

SCENARIUSZ KONKURSU 012-7170011

Barnaby
Williams



**Rycerz
Boskiego Wiatru**

Barnaby
Williams

TŁUMACZYŁ RADOSŁAW ZUBEK

Rycerz
Boskiego Wiatru

WYDAWNICTWO ADAMSKI I BIELIŃSKI

WARSZAWA 1994

Tytuł oryginału Knight of the Divine Wind

Copyright © 1992 by Barnaby Williams

Redaktor Marek Żakowski

Opracowanie graficzne,

skład i łamanie

FELBERG

For the Polish edition Copyright © 1994 by Wydawnictwo AiB

Wydanie I

ISBN 83-85593-20-9

Wydawnictwo Adamski i Bieliński

Warszawa 1994.

ark. wyd. 24; ark. druk. 25

Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca

w Krakowie, ul. Wadowicka 8

zam. 1589/94

Moim córkom Abbey i Phillipie z wyrazami miłości

Podziękowania

Dziękuję: Nickowi, Barbarze i Julii, Imogenie i Deborze; a także wielbnemu Stanleyowi Snellingowi za jego encyklopedyczną wiedzę o Kościele; dr Peterowi Dorringtonowi-Ward za to, że wiedział do kogo się zwrócić, oraz prof. Bowenowi, dyrektorowi Zakładu Medycyny Sądowej w szpitalu Charing Cross, za fascynującą podróż po układzie płucno-naczyniowym, oraz wgląd w sposoby jego destrukcji; Walkerowi Smithowi, najstarszemu mieszkańcowi Adamstown, Johnowi Brownowi, naczelnikowi poczty, oraz Williamowi White'owi i Johnowi Buchanowi z CRAY Research za mistrzowskie pilotowanie po krainie obwodów elektronicznych; Chrisowi Donnelly'emu, specjalnemu doradcy do spraw Europy Wschodniej przy sekretarzu generalnym NATO za to, że o Związku Radzieckim wie więcej niż ktokolwiek inny, i za to, że podzielił się swoją wiedzą; Timowi Adamsowi za przygotowywanie najlepszego w świecie *sziraz*; Abbey za to, że mi gotowała; Phillipie za kawę i Annie za wszystko.

1.

Dowodzenie

♦ Ulica N, Waszyngton

Wiceprezydent spał w Georgetown, a jego odpoczynku strzegły zawsze czujne elektroniczne ściany i agenci Tajnej Służby. Nawet podczas spoczynku włosy miał schludnie przyczesane, a twarz gładko ogoloną. W łóżku obok, usta jego żony rozchyliły się lekko, a jej twarz, przynajmniej w tej chwili, zdradzała cenę, jaką zapłaciła za to, że „wżeniła się” w polityczną karuzelę Waszyngtonu. Tom Barnet był nowicjuszem w ekipie Izby z 78-ego. Gdy dostał się do Kongresu, zrozumiał to, czego nie rozumieli ówczesni siwi i staromodni „mężowie stanu” - że wszechmocna telewizja i ludzie KAP-u zastąpili Boga i łapowników. Jak przystało na polityka, który często pojawiał się na małym ekranie, był fotogeniczny i jędrny w mowie, potrafił zredukować trudny temat do politycznego odpowiednika aforyzmu i nakarmić tym stacje w całym kraju jeszcze przed wieczornymi wiadomościami. Był to nowy Waszyngton, rzeźbiony nie przez układy zawierane w zadymionych pokojach, lecz przez podzielenie opinii publicznej i odnalezienie jej czułych punktów; gdzie „uczestnictwo” w Komitetach Akcji Politycznej znaczyło tyle co „pójść do łóżka”; gdzie łapownik miał stopień naukowy Ivy League, czterodrzwiowego Jaguara i najlepszy stolik u Mela Krupina.

Zdolności w prowadzeniu polityki personalnej i przewidywaniu zakrętów władzy pozwoliły Barnetowi na przejście z Izby do Senatu, a sześć lat później na ubieganie się o fotel prezydencki. Odznaczał się naturą konia rewiowego i idealnie sprawdził się w roli młodszego partnera gubernatora Hawkinsa, jednego z pociągowych koni życia politycznego. Po wyrównanej kampanii zatriumfowali 4 listopada, lecz dla wiceprezydenta miód sukcesu wyborczego szybko przemienił się w żółć. Znalazłszy się w Białym

Domu Hawkins postarał się, żeby, robiąc pożytek ze swoich umiejętności, Barnet przyjmował delegacje z Zairu i Belize, otwierał ośrodki rehabilitacyjne dla narkomanów, podczas gdy on sam zarządzał krajem. Opinia Hawkinsa na temat nowej rasy polityków nie nadawała się do powtórzenia, lecz była ogólnie znana.

Zadzwoił telefon o trzycyfrowym, szyfrowym numerze. Urządzenie było zabezpieczone przed radzieckimi satelitami *Kosmos*, które wisały 35.500 kilometrów nad Stanami Zjednoczonymi, wychwytyując mikrofalowe transmisje na całym kontynencie. Barnet zbudził się z mocno bijącym sercem. Kiedy się jest człowiekiem numer dwa, telefon nigdy nie dzwoni w środku nocy. Było jeszcze ciemno. Spojrzał na zegarek: od świtu dzieliła go cała godzina. Podniósł słuchawkę.

- Tom? Tu Ed - Barnet rozpoznał głos swojego pierwszego doradcy, Eda Reischa. Pomimo wczesnej godziny jego głos brzmiał rześko i Barnet wyczuł, jak energia i podniecenie promieniują ze słuchawki. - Tom, prezydent nie żyje.

- Wcale nie jest mi przykro - odparła chłodno Aileen Barnet. - Ten stary drań czerpał radość z tego, że nas poniżał. Zrobił z tego jakąś pieprzoną maskaradę.

- Ed mówi, że znalazła go żona. Leżał na posadzce łazienki, martwy jak kamień - stwierdził Barnet z zadumą.

- Objawy ataku serca. W ten sposób zmarł mój wujek Silas. To my wygraliśmy wybory dla tego drania - ciągnęła, wciąż przeżywając męki ostatnich dwóch lat. - Ty pracowałeś nad komitetami KAP, ty wyglądałeś świetnie w telewizji... a jaką dostaliśmy nagrodę? Zamknął nam drzwi przed nosem! Muszę stać i płaszczyć się przed żoną jakiegoś senatora, bo jej mąż czytał najświeższy rządowy biuletyn informacyjny, a my nie. Muszę odmrażać sobie dupę na lotnisku, gdy tymczasem jakiś czarnuch robi przegląd kompanii honorowej Piechoty Morskiej...

- Tradycyjnie mojemu stanowisku przypisuje się wartość mniejszą niż kubłowi pomyj - rzucił nieobecny głosem Barnet. - Mogę cię zapewnić, że jest ono warte o wiele mniej.

Jego żona odwróciła się od szafy, w której szukała odpowiedniego do okazji czarnego kostiumu. Serce może rozpierać radość, lecz przed kamerami telewizyjnymi trzeba zaprezentować oznaki żałoby. Barnet nadal

siedział na brzegu łóżka, wciąż oszołomiony tym, co się stało.

- Twojemu stanowisku? - rzuciła ostro. - To już przeszłość. Ten stary sadysta odszedł już do swego stwórcy.

- Jasne - przytaknął z ociąganiem. - Jestem prezydentem. Nowym prezydentem. Wiesz, CIA pewnie pomyśli, że KGB wysłało jakiegoś zamachowca albo coś w tym rodzaju.

- Nie przejmuj się tajniakami - powiedziała zniecierpliwionym głosem. - Tak, jesteś nowym prezydentem, ale na jak długo? Za osiemnaście miesięcy są wybory. Chcesz zostać chwilową gwiazdą? Chcesz popisywać się na przedwyborczych festynach przez resztę życia, opowiadając, jak to jest być prezydentem przez półtora roku? Teraz nadszedł ten moment. Musisz wyjść do ludzi i rozpocząć kampanię już dzisiaj.

Podeszła do niego, podniosła mu podbródek tak, że musiał na nią spojrzeć.

- Jesteś mi to dłużny - powiedziała, a on przytaknął ruchem głowy.

Lista poświęceń była długa, począwszy od tygodni spędzanych w drodze podczas ciągnącej się w nieskończoność kampanii, poprzez dzieci, za których zaniechanie płaciło się drogimi szkołami - czeki i inne kłopoty; romanse, o których wiadomość nigdy nie przedostała się do prasy, a o których ona wiedziała, aż po cotygodniową przejażdżkę na lotnisko, by uściśnąć rękę jeszcze jednemu, szukającemu pomocy prezydentowi z kraju Trzeciego Świata i obwieść po stolicy jego żony. Zmarszczek na jej twarzy nie wyłobilo szczęście, a upokorzenia ostatnich dwóch i pół roku jeszcze je pogłębiły. Swoją karierę sfinansował z jej pieniędzy, ale to wcale nie była najważniejsza pozycja na tej liście.

- Tak - potwierdził.

- Zadzwoń do Tony'ego Jacobsa - rozkazała. - On będzie wiedział, co robić. I zrób to teraz.

Barnet podniósł słuchawkę telefonu z szyfratorem i, wetknąwszy ją pod brodę, zaczął wodzić palcem po liście prywatnych numerów. Wciskając guziki, nagle podniósł wzrok na swoją żonę, która stała przed lustrem trzymając przed sobą szykowną suknię od Karla Lagerfelda.

- Nie myślisz chyba, że prezydenta sprzątnęło KGB?

◆ Annapolis, Maryland

Zgodnie z teorią nieuniknionej wzajemnej zagłady, nikt nie mógł za triumfować w wojnie, w której obydwie strony zmieniają się w radioaktywną ziemię jałową. Z drugiej strony, jak to od zawsze wiedział każdy dowódca, zwycięstwa nie można niczym zastąpić. Zwycięzcy robią wszystko, od korzystania z własności pokonanego i ułożenia jego życia na nowo, do pisania książek historycznych, w których usprawiedliwiają to, co zrobili. Musiał zatem istnieć sposób na wygranie wojny nuklearnej, który jednocześnie nie niósł ze sobą samounicestwienia. I rzeczywiście istniał: nosił nazwę „dekapitacja”. Koncepcja ta wyrastała z prawdopodobieństwa, że wojna nuklearna rozpocznie się od zabójstwa głowy państwa. Doktryna „dekapitacji” rozwijała to podstawowe założenie o krok dalej i zakładała pojedynczy błyskawiczny atak atomowy w samo jądro dowodzenia - w przypadku Ameryki był to Narodowy Ośrodek Dowodzenia - by wyeliminować przywódców narodu i zdolność państwa do kontynuowania działań wojennych.

W Stanach Zjednoczonych oczywistym celem takiego paraliżującego uderzenia była stolica - Waszyngton. Na drodze do zrealizowania tego planu stały jednak dwie praktyczne przeszkody. Po pierwsze, trudność zgromadzenia w stolicy tysiąca z kawałkiem osobistości odgrywających naczelną rolę w kierowaniu krajem. Po drugie, przygotowanie własnych sił do ataku pod nieustanną obserwacją badawczego, bazyliżkowego oka ogromnej sieci amerykańskiego wywiadu, który - dysponując nowoczesną technologią - patrzył, słuchał i wyczuwał wszystko to, co uważał za godne uwagi, a co działo się na terenie Związku Radzieckiego. Analityków, którzy sondowali radziecką gotowość rozpoczęcia wojny wyposażano we wszystko czego potrzebowali: w informacje z podsłuchów łączności, wywiadu fotograficznego, radiacyjnego i elektronicznego, praktycznie z każdego rodzaju wywiadu technicznego, nie mówiąc o niezwykle czułym wywiadzie ludzkim, z którego płynęły informacje od „śpiochów” i konfidentów zaszytych głęboko w tkance nieprzyjacielskiego społeczeństwa.

Tego dnia ludzie wielcy i wpływowi gromadzili się, napływając do Waszyngtonu, żeby oddać hołd zmarłemu prezydentowi, i by na pewno znaleźć się w kręgu tych, którzy stoją obok, kiedy wiceprezydent składa

przysięgę. Nikt nie myślał o wojnie. Przygotowania do wojny były, jak zawsze, oczywiste i kraj poprzestał z zadowoleniem na Porozumieniu o Kontroli Zbrojeń SALT V, wszyscy oprócz Dowództwa Lotnictwa Strategicznego SAC, które nigdy nie przyznało się do niczego bardziej pokojowego niż Układ o Kontroli Zbrojeń SALT IV. Przez przygotowania do wojny rozumiano bezprecedensową aktywność wśród dywizjonów bombowców strategicznych znajdujących się w posiadaniu ZSRR, oraz znaczny wzrost liczby wyjść w morze uzbrojonych w pociski balistyczne atomowych okrętów podwodnych z Pietropawłowska i Siewieromska. W takiej liczbie bez trudu można było przeoczyć pojedynczy międzykontynentalny bombowiec strategiczny typu *Blinder*. Analitycy wiedzieli, kiedy duże okręty podwodne wychodzą z portu. Zdjęcia ukazujące, jak się zanurzają, lądowały na ich biurkach w przeciągu godziny. Jednak okręt podwodny jest tajemniczym systemem uzbrojenia: dokąd zmierza po tym, jak zniknie pod powierzchnią, to zupełnie oddzielna historia.

„Władimir Iljicz” opuścił Atlantyk i przepływając przez Zatokę Chesapeake przeszedł wcześniej rano przez Punkt Obserwacyjny idąc w górę śródlądowego kanału prowadzącego do Annapolis. Gdzieś nad Atlantykiem *Blinder* pułkownika Zaikowa zostawił daleko w tyle ostatni samolot cysternę *Iljuszyn IL-76* i, ustawivszy skrzydła skośnie, przyspieszył do prędkości ponaddzwiękowej, śmigając zaledwie trzydzieści metrów nad oceanem i pozostając poza zasięgiem radaru podczas nalotu na cel. Radary niczego nie odnotowały i myśliwce przechwytyjące Dowództwa Obrony Lotniczej Ameryki Północnej NORAD pozostały na ziemi. Zaikow i jego załoga ćwiczyli swoją rolę setki godzin, a ponadto mieli świadomość tego, że jest to jednorazowa i z pewnością ostatnia misja. Postanowili wykonać ją dobrze, by zademonstrować Jankesom, z jakiej gliny ulepieni są piloci radzieckich strategicznych sił powietrznych.

Trybuny zapełniali ludzie wielcy i wpływowi, a tłumami rządowych prominentów wstrząsnął pomruk, gdy pojawiła się kawalkada samochodów Barneta. Kiedy zajechali, Barnet zerknął na zegarek. Podczas takich uroczystości wyczucie czasu jest sprawą pierwszorzędną wagi. Wysiadł z samochodu w towarzystwie żony i w otoczeni roju agentów Tajnej Służby, machając dłońmi i uśmiechając się promiennie, podszedł do schodów

podium. Flagi łopotały, słońce prażyło. Był wspaniały dzień.

Nad licznym zgromadzeniem zaległa cisza. Oczy wszystkich skierowały się w stronę wody. Na wschodzie przesuwała się na niebie jakaś plamka. Niecały kilometr od brzegu woda zagotowała się bielą i, niczym lewiatan, gigantyczny okręt podwodny „Władimir Iljcz” wynurzył się na powierzchnię, a z burt ściekała mu piana. Z tłumu wyrwał się ryk podniecenia. Cętka na niebie raptownie wyskoczyła z tła, i gdy Zaikow pociągnął na siebie drążek sterowy, *Blinder* skąpał zgromadzenie w oparach benzyny lotniczej i ogłuszającym ryku czterech turboodrzutowych silników na pełnym dopalaniu.

Bombowiec zniknął w otchłani nieba, gdy Zaikow ponownie złapał za manetki gazu i przygotował maszynę do lądowania w bazie lotniczej Andrews. Na kanale amerykańskie i radzieckie flagi wystrzeliły z masztu ogromnego *Tajfuna*, załoga przygotowywała się do przyjęcia cum z holowników, które miały umieścić olbrzymi okręt w stałym miejscu przy nabrzeżu w Mauzoleum Pokoju. Znajdowało się tam wszystko: strategiczne okręty podwodne klasy *Ohio* i *Tajfun*, przenoszące międzykontynentalne pociski balistyczne *Atlas SS-N-24*, pociski balistyczne naprowadzane na podczerwień *AS-2* i *AS-4*, *Boeing ALCM*, bomby głębinowe i pociski moździerzowe, miny, pociski raketowe, bomby i systemy ich przenoszenia, cały rynsztunek horroru nuklearnego Armageddonu. Przy bramach Mauzoleum, osadzone na betonowej kolumnie, wznosił się jeden z dziesięciu skonstruowanych egzemplarzy bombowców *B-2*. Był to najdroższy posąg, jaki kiedykolwiek wzniesiono. Całość dawała świadectwo osiągnięcia zmarłego prezydenta - układu rozbrojeniowego z ZSRR.

Wysoki i przystojny prezydent Barnet, świeżo zaprzysiężony tego ranka, stanął na podium i wyrzucił ręce w górę w kaznodziejskim geście.

- Amerykanie! - zawołał w uniesieniu - Za naszych czasów nastał pokój!

Tłum poderwał się na nogi, rycząc jak na meczu footballowym.

◆ Sala Traktatów, Biały Dom

Ed Reisch i jego szef przystanąli w korytarzu.

- Nie wykreśliłem spotkania zaplanowanego przez Hawkinsa z sekretarzem stanu i człowiekiem z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Wydaje mi się, że jest ważne. Ale zmieniam całą resztę; dziś wieczór będę miał twój nowy harmonogram. MacGregor był w Departamencie Stanu głównym człowiekiem Hawkinsa, który używał go do bezpośrednich kontaktów z Janowem. Myślę, że odsuniemy go na bok. Kuusinen z ABN został wykluczony przez Hawkinsa, ale jest dobry. Powinniśmy go wziąć. Musimy się żwawo ruszać, żeby na wszystkim położyć łapę.

Reisch kiwnął głową w kierunku drzwi Sali Traktatów.

- On o tym wie. Nie wolno nam popełnić błędu Cartera. Pozwolił, by wszystko toczyło się dalej, myślał, że ma czas. Ale ty go nie masz, musisz rozpocząć bieg jeszcze przed startem.

Reisch, niewysoki, krótko ostrzyżony, o twarzy wojowniczego buldoga, żył i oddychał polityką. Nigdy nie pragnął innego życia. Wczesne polityczne zaangażowanie w średniej szkole nie tylko nauczyło go, że nie ma ani odpowiedniego wzrostu, ani charyzmy, aby zostać człowiekiem zasiadającym przed kamerami, ale uzmysłowiło mu, że wielcy ludzie są całkowicie uzależnieni od tych, którzy kryją się za nimi. Wiedział też, że manipulatorzy znają grę lepiej, a czasem mają większą władzę. Dzięki swoim umiejętnościom Reisch zadowalał się rzeczywistością, a nie pozorami, tak jak zwierzę, które zatapia kły w mięsie.

Wspiąwszy się na szczyt śliskiej drabiny sukcesu, został kolejnym szefem personelu przy nowym prezydencie i teraz jedynym jego celem było utrzymanie się na tym stanowisku. Przytrzymał otwarte drzwi. Tony Jacobs siedział na obrotowym krześle z giętego drewna, które stało obok masywnego sekretarzyka z drewna orzechowego. Z szacunkiem podniósł się z miejsca.

- Na tym krześle zwykł siadać prezydent Grant - zauważył Barnet.

- Wiem - odparł Jacobs, szczerzy, prosto trzymający się czterdziestoparoletni mężczyzna. Pracując w reklamie odkrył, co przemawia do ludzi, a

zajmując się polityką dowiedział się, co ma znaczenie dla rządzących. Odkąd połączył te dwie umiejętności, nie było w Waszyngtonie nikogo, kto by nie zasięgał rady Tony'ego Jacobsa.

- W stolicy wszyscy lubimy żyć blisko władzy, niezależnie czy tej z przeszłości czy obecnej. Gdy oczekiwałem w tej sali pańskiego poprzednika, lubiłem siedzieć tu, lub przy biurku, nasiąkając historią.

- Planowaliście w tym pokoju kampanię z prezydentem Hawkinsem?

- Tak, tu odbywały się spotkania.

- Dlatego właśnie pomyślałem, że możemy się tu spotkać. Chciałbym, abys zrobił to samo dla mnie.

Jacobs skinął głową w zamyśleniu. Król nie żyje, i król będzie żył przez następne osiemnaście miesięcy, pomyślał, chyba że wygra wybory. Jacobs osadzał królów na tronie, umiał wywoływać dreszcze, był najważniejszym konsultantem kampanii wyborczych.

Obydwał mężczyźni usiedli naprzeciw siebie, oddzieleni stołem z pracowni Potiera & Stymusa z blatem obitym skórą. Reisch zajął miejsce obok prezydenta. Za plecami Barneta wisiały portrety Granta i Johnsona, pomiędzy nim a Jacobsem spoczywał stojak z kałamarzami i piórami, oznaka ceremoniału zawierania traktatów.

- Panie prezydencie, zanim przedyskutujemy pańskie posunięcia w nadchodzących wyborach, czy mógłbym spytać, w jakim stopniu był pan wtajemniczony w wielką politykę za administracji pańskiego poprzednika?

- Ujmę to w ten sposób. Ed jest moim nowym szefem personelu Białego Domu. Stał u mojego boku zarówno w Kongresie, jak i Senacie. Moja władza za poprzedniej administracji była taka, że zdołałem załatwić mu pracę w pokoiku na czwartym piętrze Budynku Władzy Wykonawczej.

Jacobs skinął głową ze zrozumieniem. Możliwości płynące z dostępu do prezydenta były tak wielkie, że personel Białego Domu raczej urządziłby biuro w szafie w zadziwiająco małym Zachodnim Skrzydle Białego Domu, niż naraził się na izolację w przestronnym apartamencie w BWW, po przeciwnej stronie ulicy. Czwarte piętro było znane jako Półka Śmierci, zazwyczaj umieszczano tam tych, którzy byli już na wylocie.

- Posiadłem encyklopedyczną wiedzę w zakresie towarzyskich pogawędek

z przywódcami krajów Trzeciego Świata - ciągnął Barnet suchym tonem. - Prezydent Hawkins przypilnował, żebym spotykał się z każdym, który przyjeżdżał do Waszyngtonu. Miałem dość dobry dostęp do informacji podczas wyborów, ale to uległo przedawnieniu z dniem 4 listopada. Poszedłem do Al Camera, poprzednika Eda, by zaprotestować, co skwitował stwierdzeniem, że jeżeli mam coś do powiedzenia, to może powinienem umówić się na spotkanie z prezydentem. Właśnie wtedy zorientowałem się, że Hawkins chce, żebym wypadł z obiegu. Jeśli potrzebowałem dodatkowych dowodów na to, jakim poważaniem mnie darzył, mogłem czerpać je z niezliczonych anegdotek. To miasto jest jak wielkie sito i człowiek słyszy o wszystkim. Sam już nie wiem, czy podoba mi się dowcip, który Hawkins uwielbiał najbardziej. Znasz go? Jakie są najstraszniejsze słowa w słowniku?" a odpowiedź: „Tom, tu prezydent. Nie czuję się najlepiej”. - Na ustach Barneta wykwitł ponury uśmieszek. - Albo uwaga, którą usłyszałem w dziesięć minut po tym, jak ją wygłoszono. Henry K. miał poczynić pewną obserwację o życiu na tym szczyblu i powiedział: „Człowiek nie ma czasu na naukę. Rozwija tylko zebrany wcześniej intelektualny kapitał”. Komentarz Hawkinsa brzmiał: „Oznacza to, że przewidywana długość życia naszego wice jest równa trzydziestosekundowemu impulsowi dźwięku”. Słyszałem, że wyrwało to z chłopców Hawkinsa salwę śmiechu. Cóż, będą się teraz śmiali inaczej.

Jacobs skinął głową. Rezydencja drżała niczym zaniepokojony rój os, pracownicy Hawkinsa wynosili się w pośpiechu rozglądając się za zastępczą pracą, podczas gdy ludzie Barneta przejmowali budynek w szale rozradowanego pucowania pomieszczeń biurowych.

- Świętej pamięci prezydent był strasznie staromodnym politykiem - rzekł Barnet. - Wiem, że gardził nowym pokoleniem, ludźmi takimi jak ja. Ale nie miał racji. Zamierzam pokazać narodowi amerykańskiemu, że moje umiejętności nie kończą się na polityce sloganów z nalepek na zderzakach samochodowych, jak pokpiwał Hawkins, ale że obejmują także przewożenie samemu rządowi.

Siedzący obok Barneta Reisch opuścił rękę i dotknął czarnego końskiego włosia wyściełającego krzesło Polka z oparciem w kształcie serca, na

którym siedział. Jacobs ma rację, pomyślał. W tym mieście kochamy nawet historyczne atrybuty władzy. Staralem się tu dostać od szkoły średniej i nie mam zamiaru teraz się wynosić.

- Ma pan rację - powiedział Jacobs. - Prezydent był staromodnym człowiekiem. Przypominał mi Lyndona Johnsona, zwłaszcza w kontaktach międzyludzkich. Johnson spytał kiedyś jednego ze swoich doradców, dlaczego ludzie go nie lubią, a doradca, który musiał być dość odważny, odparł: „Nie jest pan, panie prezydencie, człowiekiem, którego można łatwo polubić”. Ale Johnson wiedział, jak wszystko załatwić. Bardziej niż Kennedy, który miał styl, ale był słaby w działaniu. Taki też był Hawkins. Brakowało mu charyzmy i dlatego wziął pana.

- Idąc za pańską poradą?

- Ja zaaprobowałem - odparł Jacobs spokojnie. - Wszystko wskazywało na to, że do mieszanki potrzebny był czarujący polityk, aby zrównoważyć negatywne elementy prezencji Hawkinsa. Plan się powiódł. Ale proszę pozwolić mi dokończyć. Hawkins, tak jak Johnson, potrafił wszystko załatwić. Tak też postępował. Większość ludzi nie zdaje sobie z tego sprawy i najprawdopodobniej pozostanie to jeszcze długo tajemnicą, że Hawkins objął urząd z jednopunktowym programem - zatrzymać proces ubożenia Ameryki. Dla Hawkinsa wszystko było jasne. Przyczyna obniżenia amerykańskiej konkurencyjności, deficytu w bilansie handlowym i osłabienia dolara tkwiła w nadmiernych inwestycjach w wojsko. Hawkins niejedno w życiu widział: Był na froncie w czasie drugiej wojny światowej, a polityką zajął się zaraz po powrocie do domu. Ale nie ugrzązł w szczegółach; nadal umiał zachować szerszą perspektywę. Pamiętam artykuł, który napisał dawno temu, na początku lat sześćdziesiątych, w którym wskazywał na wyłaniający się wielobiegunowy świat. Zachodnia Europa, Chiny, Japonia, ZSRR i USA - ta piątka, twierdził, będzie określać gospodarczą przyszłość, ponieważ siła gospodarcza jest kluczem do innych rodzajów siły, do przyszłości świata w innych aspektach. Hawkins rozumiał politykę Wielkiej Siły. W swoim czasie studiował historię, działał aktywnie, kiedy Brytyjczycy z pozycji numer jeden przemienili się w zupełną nedorajdę; z

powodzeniem zarządzał rozległym stanem przez dwanaście lat. Uważał, że Reagan postępował jak szaleniec, przeznaczając tak znaczną część krajowych zasobów na obronę, podczas gdy nasi konkurenci - Europa, Chiny, a zwłaszcza Japonia, wydawali mniej, a resztę inwestowali w dziedziny, w których mogli nas pobić. Ponieważ siła gospodarcza jest kluczem do innych rodzajów siły i określa przyszłość świata, prawda? Torcik budżetu ma ograniczone rozmiary, i trzy części: broń, chleb i inwestycje. Kroiliśmy dotąd dwa duże kawałki dla wojska i konsumentów - na towary importowane, a mały dla inwestycji. Hawkins rozumiał, że na dłuższą metę takie działanie sprowadzi nas do pozycji Hiszpanii. Słyszał pan o Hiszpanii? Ładne miejsce, walki byków, *paella*, tanie wakacje. Niegdyś największe mocarstwo na ziemi. Zrobili to, co my teraz. Jedynym sposobem na ponowne zdobycie przewagi nad konkurentami jest skierowanie środków finansowych nie na nieproduktywne wydatki militarne, lecz na inwestycje. Ale każdemu prezydentowi, który tego spróbuje, podetną skrzydła za sympatie do komuchów. Wystarczy przecież tylko wskazać na Imperium Zła, prawda?

Ale czy rzeczywiście? Hawkins wyczuwał, że Rosjanie myślą tak samo jak on. Zwłaszcza biorąc pod uwagę wzrost realnych kosztów systemów uzbrojenia - przy bieżących tendencjach tylko pojedynczy egzemplarz bombowca Sił Powietrznych nowej generacji pochłonałby cały budżet Pentagonu, a ponieważ radziecki torcik gospodarki jest znacznie mniejszy niż nasz, oznacza to, że muszą przyciąć kawałki zarówno na chleb, jak i na inwestycje, aby otrzymać odpowiednio duży kawałek dla wojska. Spodziewał się, że dojdzie do porozumienia z prezydentem Janowem i tak się stało. W efekcie postanowili, że Zimna Wojna dobiegła końca, że USA i ZSRR w rzeczywistości nigdy nie były i nie będą w stanie wojny. Nie oznaczało to całkowitego rozbrojenia - obydwaj przywódcy mogli zwrócić się do swoich generałów i pokazać palcem na międzykontynentalne pociski balistyczne 50 *MX Satan*, dwanaście okrętów podwodnych klasy *Ohio* i *Tajfun*, oraz dwa skrzydła *B-1* i *Blinder*. Ale to wszystko już kupiono i za to zapłacono. Obydwie strony pozbyły się „zbyt ciężkich insygniów przeznaczenia” -

nadchodzących projektów obrony, których koszty liczy się w tysiącach miliardów. Obydwie strony nadal posiadają więcej konwencjonalnej broni niż ktokolwiek inny - NATO i systemy obronne w Europie. Chińczycy utrzymują nieduże wydatki na wojsko z myślą o długoterminowym rozwoju, Japończycy są wyłącznie zainteresowani swoimi finansowymi i przemysłowymi zdolnościami w wyrolowywaniu wszystkich na świecie. Ani my, ani Rosjanie nie mamy się praktycznie czego obawiać. Przy takich siłach konwencjonalnych jesteśmy w stanie kierować wydarzeniami na całym świecie, tak jak to uczyniliśmy, gdy wykopaliśmy Saddama z Kuwejtu. Daje nam to szansę powrotu do głównego wyścigu i uniknięcia losu innych wielkich imperiów, które nieumiejętnie dzieliły torciki.

- Wszystko to rozumiem - rzekł Barnet. - Hawkins najzwyczajniej pominął interesy monopoli i odwołał się wprost do społeczeństwa. Wziął mnie ze sobą jako telewizyjną małpę, ale drań sam umiał wykorzystywać sieci telewizyjne jak zawodowiec. Dostał co chciał, a „Żelazny Trójkąt” nic nie mógł na to poradzić. Ale jaki to ma wpływ na moją pozycję?

- Cóż - wycedził Jacobs powoli. - Czerpał pan swoje poparcie z „Żelaznego Trójkąta”. W Senacie stał się pan jego częścią, jednego z trzech wierzchołków - służb wojskowych, kontrahentów obrony, kongresmenów i senatorów z okręgów i stanów, w których inwestycje wojskowe są duże i zauważalne. Przyjęto pana na pokład podczas kampanii w dużej części dlatego, że był pan człowiekiem KAP-u. To pan wniósł pieniądze.

- A jak tylko wybory dobiegły końca, zamknęliście mi drzwi przed nosem.

- Prezydent to zrobił - odparł Jacobs łagodnie. - Ostatecznie, komu miał przyłożyć nóż do gardła, jak nie „Żelaznemu Trójkątowi”? Wydatki zbrojeniowe cieszyły się pozycją świętej krowy, a on miał zamiar wziąć za rogi największego byka. Pan był ich człowiekiem.

- Ale pytam jeszcze raz, jaki to ma wpływ na moją pozycję?

Właśnie niecierpliwość Barneta pomogła mu odnieść sukces. W Waszyngtonie wszyscy cierpieli na problemy z koncentracją, a Barnet nie lubił siedzieć dłużej niż kilka minut. Podniósł się z miejsca, podszedł do okna i,

opierając rękę na jednym z bocznych krzeseł, wyrzwał na zewnątrz. Miniaturowy portret prezydenta Van Burena zdobił zwieńczenie poręczy krzesła. Świadomy tego, że zasiadł na najwyższym stanowisku dzięki zbiegowi okoliczności, oraz że z jakiegoś powodu Jacobs uważał jego pozycję za niepewną, zrozumiał, jak bardzo łaknął tych czterech, może ośmiu następnych lat, swojego portretu na ścianie, na zwieńczeniu mebli.

Gdy Barnet wyrzwał przez okno, Jacobs taktownie zamilkł.

- Niech pan mówi dalej - rzekł Barnet.

- Kazałem właśnie przeprowadzić sondaż opinii publicznej. Być może myśli pan, panie prezydencie, że sympatia do pana wzrosła po śmierci prezydenta, podobnie jak to stało się z Johnsonem po zamachu na Kennedy'ego. Przykro mi, ale wygląda na to, że nie.

- Dlaczego? Hawkins był ich ulubieńcem, czy nie sprawił, że za ich czasów nastął pokój?

- Społeczeństwo ma krótką pamięć. Uważa pokój za rzecz naturalną. Czuje się teraz pokrzywdzone. Zaczyna mu dokuczać recesja. Inflacja podskoczyła, podobnie jak i bezrobocie. Dzieje się tak w całym kraju, od wybrzeża do wybrzeża. I tak będzie nadal. Jedną z najlepszych zasad „Żelaznego Trójkąta” było rozprowadzanie kontraktów po stanach, aby uniemożliwić ich anulowanie. O ile pamiętam, Rockwell zapoczątkował to z bombowcami *B-1*. Powiązali wówczas czterdzieści osiem stanów, aby wyeliminować polityczne „turbulencje”. Hawkins dokonał niemożliwego, obniżył wzrost wydatków na obronę, a jednym z rezultatów jest to, że nastąpiła recesja i ludzie cierpią. Gdyby za osiemnaście miesięcy stanął do wyborów, przegrałby. Ale on wcale tego nie planował.

Barnet oniemiał. Podobnie jak większość rządowych szczyh Waszyngtonu uwielbiał to miasto. Starzy, nie mający powodzenia politycy nie wracali do ojczystych stanów i nie znikali ze sceny, lecz zostawali w obrębie miasta i znajdowali sobie jakieś zatrudnienie. Dobrowolne zrzeczenie się tego wszystkiego było nie do pomyślenia.

Widząc przerażenie na twarzy Barneta, Jacobs uśmiechnął się drwiąco.

- Prezydent Hawkins był patriotą. Chciał czegoś dokonać i to mu się udało. Za trzy do czterech lat gospodarka oczyści się ze zgnilizny i ponownie

staniemy się konkurencyjni na rynkach. Ale w międzyczasie trzeba będzie walczyć w wyborach.

Jacobs przerwał, przesunął palcami po gładkiej skórze pokrywającej blat stołu.

- Podzielam postawę i życzenia większości ludzi tego dziwnego miasta - podjął. - Interesuje mnie wygrywanie i wygrywam. Mówią, że osadzam królów na tronie. Ale część mojego sukcesu opiera się właśnie na wygrywaniu. Byłem konsultantem dwóch zwycięskich prezydentów. Ponieważ zabiegają o mnie wszyscy kandydaci, mogę wybrać sobie tego, który ma największe szanse na sukces następnym razem i w ten sposób umocnić moją reputację nieomylności. Jeśli udzielę poparcia temu, który przegra, załamię się mój własny kapitał. Nie ma pan szczęścia, panie prezydencie. Ostatni rok prezydentury pochłonięty będzie zabiegami przedwyborczymi. Ma pan sześć miesięcy, w ciągu których musi pan zaznaczyć swój autorytet na tym stanowisku. Nie może pan w rzeczywisty sposób zmienić sytuacji ekonomicznej, która musi się pogorszyć, zanim się polepszy. Jest pan spadkobiercą społecznego gniewu na Hawkinsa za to, że boleśnie uderzył ludzi po kieszeni.

Jacobs podniósł wzrok na wysokiego, przystojnego Barneta, który stał przy kandelabrze tuż obok gzymsu kominka. Przegrany.

- Nie wydaje mi się, aby pan mógł wygrać w przeciągu osiemnastu miesięcy - powiedział, wydając wyrok. - Przegra pan nadchodzące wybory prezydenckie, chyba że wie pan coś, o czym ja nie wiem.

♦ Żukowka-2, Moskwa

Składając wieniec u stóp betonowej kolumny młoda dziewczyna zadrżała pod lekką, ślubną sukienką. Nad jej głową wznosił się czołg *T-34*, jego pancierz sączył się w dół rdzą, która plamiła jej białe pantofle. Dwaj kilkunastoletni, komsomolscy strażnicy stąpali paradnym krokiem wokół monumentu, ściskając karabiny *Kałasznikow*, a szczęśliwa para pozowała do rytualnego zdjęcia. Ich małżeństwo zostało stosownie poświęcone.

Poniżej milicjanci, od których roило się na drogach wokół Moskwy, zajmowali się zatrzymywaniem kierowców pędzących zuchwale w kierunku

autostrady Uspienskoje. Postukując gumowymi pałkami w cholewy butów ci krzepcy młodzieńcy, niegdyś żołnierze służby zasadniczej, pytali o to, sprawdzali tamto, dzwonili tu, łączyli się przez radio tam, w dziwnym, skomplikowanym, patriotycznym tańcu skomponowanym, by odstraszyć zło. Kierowcy zachowywali się cierpliwie, oni także brali w tym udział.

Nikt nie zamierzał jednak zatrzymać Ziła, który śmigał środkiem „pasa dla Czajek” ze stałą prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Przejeżdżając zdmuchnął z nawierzchni drobny pył brudnej wody, który poderwany przez wiatr, opadł z marksistowską bezstronnością na milicjantów, kierowców i nowożeńców z Bieskudnikowa.

Na tylnym siedzeniu limuzyny Wiaczesław Mazurow wyściubił głowę z ciepłego, astrachańskiego kołnierza płaszcza, niczym wiekowy żółw wynurzający się ze skorupy. Wiosenne słońce wisiało nisko nad brzozaami i sosnami, które rosły wzdłuż rządowej drogi. W las przy autostradzie wrzynał się ogrodzony teren; za murem wznosiła się przygarbiona sylwetka daczy. Przed bramą stał zaparkowany samochód do niedawna rzadko spotykanej w Rosji marki - Volkswagen Golf. Gdy się zbliżyli, Mazurow mruknął coś do kierowcy i ogromna limuzyna przypominająca Lincolna z lat sześćdziesiątych przecięła wilgotną drogę i zatrzymała się tuż obok. Szofer w filcowym kapeluszu otworzył drzwi pasażerowi, który poruszając się sztywno wysiadł, a następnie wsunął się na tylne siedzenie Golfa.

- Możecie wracać - rzekł.

Szofer KGB uklonił się, wgramolił z powrotem do Ziła i z rykiem potężnego ośmiocylindrowego silnika zawrócił, oddalając się w kierunku rozwalonego cielska Moskwy. Siedzący za kierownicą Golfa Nikołaj Serow spojrzał pytająco na Mazurowa.

- Moim samochodem?

- Nie chcę, żeby powiedział wszystko szefowi.

Serow, młody, ambitny polityk nowej - jak miał nadzieję - Rosji, wyglądał na zaniepokojonego. Polityczne małżeństwo tych dwóch ludzi było dosyć dziwne. Serow pragnął wiana Mazurowa, lecz bał się jego przeszłości.

- Jedźmy do mojej daczy - powiedział Mazurow. Serow zapuścił silnik i

oddalili się od ogrodzonego murem domu, zacisznego i czystego jak muzeum.

- Dziwne miejsce wybrałeś na nasze spotkanie - rzucił Serow nie bez kozery. Nikt nie mieszkał tam od 1953 roku. „Dałynaja” służyła za dom Józefowi Wissarianowiczowi Dżugaszwili, który wołał, by mówiono na niego Józef Stalin - Człowiek ze Stali. Jego następcy zastrzelili jedyne go człowieka, który pragnął przejąć jego krwawe dzieło - po trzykroć przeklętego Judasza, Berię - i po cichu zostawili daczę pod pieczęą dozorców.

- Wydawało się odpowiednie - odparł Mazurow, którego cechował wiśliczy humor. Na twarzy Serowa pogłębił się wyraz zaniepokojenia.

- Pamiętam czasy, kiedy wezwanie Stalina oznaczało podróż samochodem tą właśnie drogą. Pot strachu powoli wsiąkał człowiekowi w ubranie i nigdy nie wiedziało się, czy przysłany po ciebie samochód zabierze cię do domu, czy do jakiegoś ponurego przygotowanego dla ciebie miejsca.

- Tak, tak. Ale to wszystko należy do przeszłości.

- Przeszłość zawsze ci towarzyszy. Nigdy cię nie opuszcza.

Mały samochód sunął równo po szosie, ogrzewanie pracowało na najwyższych obrotach.

- W samolocie widziałem się z Nikołajem Kaganowiczem - rzekł Mazurow.

Był to niezwykle długi dzień. Grube ubrania okrywające tych, którzy stali na podium na małej wyspie Kotlin niedaleko Leningradu przenikał arktyczny wiatr znad Zatoki Fińskiej. Mazurow i jemu podobni patrzyli ze stoicyzmem, jak z morza wynurza się amerykański okręt podwodny, a pilot bombowca *B-1* próbuje rozerwać im bębunki uszu, i skąpawszy ich w obłoku spalonej benzyny lotniczej oddała się z dudnieniem w stronę lądu, by wylądować w bazie lotniczej Krasnoje Siolo. Stali przysłuchując się, jak ambasador amerykański i prezydent wygłaszają równie rozwlekłe przemówienia. Mazurow miał z nich wszystkich największe doświadczenie w sztuce wystawiania nieruchomości jak kamień w miejscach tak posępnych jak Mauzoleum Lenina, gdy w dole przetaczały się wyrzutnie pocisków raketowych, maszerowały kompanie żołnierzy, przewalały się bataliony

gimnastyków, a upstrzone czerwonymi sztandarami zastępy ludzi pracy płynęły przez ogromne miejsca zgromadzeń - takie jak Plac Czerwony - pod olbrzymimi, zadziwiającymi średniowiecznymi symbolami i portretami członków Partii. Lecz teraz wszystko wyglądało inaczej, bo Partia nie była już jednością, a postacie z przeszłości wynurzyły się na scenie, jak gdyby dyktatura proletariatu była jedynie snem. Wciąż komunistyczna Partia Reform stała w centrum grupy, utrzymując swoją pozycję dzięki liderowi, który piastował także inne stanowisko; po jednej zaś stronie stali radykałowie z Partii Demokratycznej z Nikołajem Serowem na czele, za którego plecami, niczym kreator królów i ponury ochroniarz, stał Wiaczesław Mazurow. Na prawo od Reformatorów znajdowały się ciężkie sylwetki w mundurach Armii Czerwonej, a także, co najbardziej zadziwiające, człówek z Zagórskiego Monastynu, Patriarcha Kościoła Prawosławnego, ubrany we wspaniałe szaty liturgiczne na czele swoich popów. Nad wszystkimi górował „car” i przywódca Reformatorów, prezydent i sekretarz generalny, Janow. Kiedy uroczystość dobiegła końca, wszyscy wsiedli do *Tu-154* i polecili do domu.

Gdy ryk silników turboodrzutowych przeszedł w jednostajny szum, a samolot wyrównał pułap, Mazurow ujrzał Nikołaja Kaganowicza, sunącego między fotelami w jego stronę. Nikołaj był jednym z tych, których Andropow awansował wraz z Gorbaczowem a teraz, gdy Janow dzierżył ster rządów, został członkiem Komitetu Centralnego i żył jak pan.

- To był długi dzień, Wiaczesławie Aleksiejewiczu - zawołał przyjaźnie Kaganowicz. Przechodząc obok Mazurowa uniósł szklanekę z Chivas Regal.
- I bardzo zimny.

Stary usłyszał skrzypnięcie, gdy Kaganowicz opadł na fotel, i brzęk kostek lodu, kiedy postawił szklanekę na stoliczku. Po chwili rozległ się szelest rozkładanej gazety. Nagle rozmyślenia Mazurowa o domu przerwał szept jego towarzysza.

- Prezydent jest dzieckiem Dwudziestego Drugiego Zjazdu Partii - mruknął Kaganowicz.

Mazurow doskonale zrozumiał aluzję. Dwudziesty Drugi Zjazd był najbardziej antystalinowskim zgromadzeniem, jakie Chruszczow zwołał po sławnym „tajnym przemówieniu” demaskującym tyrana. Nowa gardia,

której przywódcą był niegdyś Gorbaczow, składała się w całości z „dzieci” owego Zjazdu, spośród których przodującym był prezydent Janow. Mazurow czekał, aż Kaganowicz będzie mówił dalej.

- Ci na Zachodzie myślą, że Janow chce zaprowadzić w *rodinie* demokrację. Wolne wybory, Coca Cola i hamburgery dla wszystkich - Kaganowicz zachichotał na myśl o głupocie zachodniego społeczeństwa - Ty i ja wiemy, że tak nie jest. Janow zgodził się położyć kres zimnej wojnie, by zachować wielkość naszego narodu. Bo albo jesteśmy mocarstwem, albo niczym. Stare metody groziły osunięciem się w przeszłość, ale żeby stać się nowoczesnym państwem, potrzebujemy pomocy. Pomocy z Zachodu. Lecz żeby ją otrzymać, Janow musi im pokazać, iż nowa droga jest tą, z którą mogą sympatyzować, a która zapewni nam napływ tanich dolarów i wnieście technologie oraz techniki zarządzania. Wszystko jedzie na tym wózku.

Kostki lodu brzęknęły w szklance tuż za głową Mazurowa.

- Janow potrzebuje symbolu.

Odrzutowiec przechylił się lekko, posłuszny radiowemu sygnałowi z ziemi, który prowadził go do domu, a Mazurow ponownie nastawił uszu czekając, aż jego towarzysz zacznie mówić dalej.

- Stalinowca, którego mógłby postawić pod pręgierzem - dodał szeptem Kaganowicz.

- Jest ich wielu, starych i wcale nie tak starych - odparł bezgłośnie Mazurow. - Niech przyjrzy się samochodom, gdy będzie przejeżdżał przez Prospekt Kutuzowa, a zobaczy wielu ludzi, którzy byli niegdyś naszymi przywódcami.

- To cecha naszego charakteru. *Narod*, masy, tęsknią za silnym władcą, za „szerokimi plecami”. Ale na Zachodzie nie wspominają Stalina jako wielkiego przywódcy, lecz jako wielkiego zbrodniarza. Prezydent Janow skorzysta z następnego Zjazdu Partii, aby uspokoić Zachód. Zakończy proces Stalina, który zapoczątkował Chruszczow, a kontynuował Gorbaczow. Stawiając sprawę jasno, zrujnuje starego współpracownika Stalina.

Kostki lodu brzęknęły ponownie, gdy Kaganowicz podniósł szklankę do ust.

- Oskarży was. Będzie to ostateczny dowód na to, że Związek Radziecki

jest „okay”, że jest Jednym z nas”. I dobrze posłuży interesom. Oczywiście przybliży także rzeczywisty cel, jakim jest zniszczenie waszej małej Partii Demokratycznej. Musicie pamiętać, że Janow jest leninowcem. Chce, żeby system funkcjonował lepiej, a nie tworzyć demokrację.

- Proces pokazowy? - odpowiedział Mazurow z powątpiewaniem. - Zdjęcia przedstawiające mnie na wygnaniu, jak zarządzam elektrownią w Irkucku?

- Prawdziwy proces - szepnął Kaganowicz. - Prawdziwe oskarżenia i prawdziwy wyrok. Jak powiedziałem, Janow chce dać Zachodowi pewność. Co jest prawdziwsze niż krew? Czy Rumuni nie wiedzieli o tym, gdy postawili Ceaușescu pod murem?

- Chce mnie rozstrzelać? - spytał Mazurow ze zdumieniem.

- A czy wy nie postępowaliście tak z innymi? - odrzekł Kaganowicz łagodnie.

Mazurow nic nie odpowiedział.

- Dlaczego mi o tym mówicie? - spytał chwilę później.

- Nie byliście tacy jak inni, którzy służyli temu potworowi. Gdzie mogliście, oszczędzaliście człowieka. Byliście niczym podróżnik, który zostawia na swojej drodze odrobiny pożywienia, pamiętając, że może nadejść dzień, w którym będzie wracał i ich potrzebował. Zostawialiście za sobą nie spłacone długi wdzięczności. - Fotel pasażerski zatrzeszczał, gdy Kaganowicz podźwignął się z miejsca: - Znaliście mojego ojca. Spłacam wam zatem dług. Zostało mało czasu. Wykorzystajcie go, jak chcecie.

W chwilę potem Nikołaj Kaganowicz wędrował między fotelami z powrotem do swych zadań w Komitecie Centralnym.

- Żegnajcie, Wiaczesławie Aleksiejewiczu.

A więc miało się to dokonać. Ten mały człowiek pozbywał się wszystkich starych towarzyszy, z których ostatni miał zostać złożony w ofierze bogowi zachodniego społeczeństwa, które obdarzało radzieckiego przywódcę poważaniem, jakiego nie miało wobec własnych rządów. Świat należał teraz do niego, tak długo jak tylko potrafił balansować na linie, utrzymywać wszystkie piłki w powietrzu. Może potrafił. Bombowce, rakiety i okręty podwodne podróżowały na wschód i zachód; wymieniono podarunki, i teraz obydwie strony czekały na realne korzyści. Z całą pewnością

waga wydarzeń była wystarczająca, by poświęcić jednego starego człowieka.

Mazurow był rektorem Akademii. Stanowisko to nie dawało mu żadnej władzy, istniał jako totem. Jakiś czas temu zastanawiał się, dlaczego Janow zostawił go w tej roli. Teraz wiedział. Przedstawiał pewną wartość: mógł zostać złożony w ofierze, jego krew rozlana za odkupienie grzechów przeszłości, a trzewia wyrwane i ukazane Zachodowi jako runy losu.

Pilot zwiększył obroty silników i nos *Tupolewa* zanurkował w kierunku Moskwy.

Palce Serowa zbieleły na kierownicy Golfa pędzącego po autostradzie Uspienskoje.

- Zrujnujesz nas - wyszeptał. - Twoja przeszłość zabije naszą przyszłość.

◆ **Sala Roosevelta, Biały Dom**

Kiedy rozstali się z Jacobsem i ruszyli długim, wyłożonym dywanem korytarzem, Reischa uderzył spokój, który Panował w Zachodnim Skrzydle. Nie wyobrażał sobie, by ktoś mógł podnieść tu głos lub krzyknąć. Barnett miał przynajmniej coś w rodzaju siedziby w centrum prawdziwej władzy, kiedy podczas swojej kadencji wiceprezydenta zajmował małe, ciemne biuro służące za umywalnię za administracji Hoovera. Odizolowanie Reischa w ogromnym, wykładanym marmurami mauzoleum BWW było tak całkowite, że tego ranka spędził pół godziny ślęcząc nad ogólnym planem rezydencji, aby uniknąć zakłopotania, jakie wywołałby nowy szef personelu prosząc o wskazywanie sobie drogi.

Bez kłopotu poprowadził Barneta do Sali Roosevelta. Słyszał, że zmarły prezydent nie lubił wielkich spotkań. Wolał współpracować z nielicznymi grupkami ludzi, którzy potrafili wiele załatwić. Gdy weszli do środka, nabrał co do tego pewności, gdyż - poza ubranym w biały surdut stewardem, stojącym z szacunkiem przy etażerce - w pokoju znajdowali się jedynie dwaj mężczyźni, z których każdy był ważną osobistością. MacGregor i Kuusinen stanowili ciężką artylerię administracji Hawkinsa.

McGregor, niedostępny, posępny Szkot, były naczelny dyrektor jednej z

największych korporacji w Ameryce, był człowiekiem, którego Hawkins używał w roli sekretarza stanu, żeby przeforsować swój Traktat Rozbrojeniowy ponad głowami i wbrew życzeniom żywotnych interesów monopoli po obu stronach rdzewiejącej Żelaznej Kurtyny. Kuusinen był kolejnym z linii Europejczyków pełniących rolę doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego, która biegła od Kissingera i Brzezińskiego, imigrantów pierwszego lub drugiego pokolenia, ludzi z doktoratami historii i nauk politycznych, wybranych z uwagi na znajomość mentalności Rosjan. Kuusinen rozumiał ich lepiej niż ktokolwiek inny. Urodzony w Karelii, z pochodzenia Fin, zachował poźółkłą fotografię niespełna dziesięcioletniego chłopaka stojącego pośród pokrytych śniegiem sosen i ściskającego zdobyczny karabin maszynowy *Diegtariow* niemal tak duży jak on sam. Zdjęcie wisiało na ścianie w jego domu. Chłopcem tym był on sam, fotografia pochodziła sprzed prawie pół wieku, z czasów wojny 1940 roku, w której wrogiem była Rosja.

Gdy Barnet i Reisch weszli, Kuusinen podniósł się z kanapy stojącej pod olejnym obrazem Bierstadta przedstawiającym dolinę Yosemite, skąd przyglądał się modelowi „Bonhomme Richard”. MacGregor odsunął się od ognia w kominku, pod którego gzymsem się ogrzewał.

- Dzień dobry, panowie - powitał ich rzeško Barnet - Usiądźmy.

Pomimo że spotkanie miało charakter kameralny, przygotowano je w stylu Białego Domu. Na stole stały ciężkie dzbanki i szklanki na wodę, szeleszczące, czyściutkie bloki papieru w linię, świeżo zatemperowane ołówki, oraz wizytówki osadzone w srebrnych stojakach - tak żeby każdy wiedział, gdzie ma usiąść. Barnet zajął miejsce na jednym końcu długiego stołu Chippendale'a, mając Reischa po lewej stronie, Kuusineną tuż obok siebie, a MacGregora po prawej. Gdy zmierzając na miejsce Reisch okrążył stół, omiótł pokój krótkim, wnikliwym spojrzeniem i zauważył, że zachował on swoją morską atmosferę. Zwano go niegdyś Salą Ryb, gdyż mieścił ofiary wędkarskich wycieczek Franklina D. Roosevelta i choć rybażagłowiec wystawiona przez Johna F. Kennedy'ego spoczęła w magazynie w piwnicach, Hawkins wywiesił na ścianach podobne przykłady swoich śmiałych wyczynów. Mimo że Reisch nie znał się na wędkarstwie, był

całkiem niezłym specjalistą w dziedzinie historii politycznej. Nabawił się gorączki władzy bardzo wcześnie. W wieku ośmiu lat udał się na wycieczkę z przewodnikiem po posesji prezydenta i opróżniwszy swoją świnę-skarbonkę wyłonił się stamtąd z rękami pełnymi pamiątek oraz z ambitnym i postanowieniem. Wszyscy jego koledzy chcieli zostać gwiazdami futbolu; on chciał zagrać w o wiele ważniejszej grze.

- Panie Kuusinen, panie MacGregor. Nazywam się Ed Reisen. Będę układał harmonogram prezydenta tak, aby każdy ze starszych członków administracji miał okazję z nim porozmawiać. Zaaranżujemy też spotkania, aby zaplanować naszą strategię na nadchodzące miesiące. Pozostałem w harmonogramie dnia to spotkanie, gdyż wydawało się ono dobrą okazją, aby zobaczyli się panowie we trójkę, a ponadto zorganizowano je, by przedyskutować dosyć ważną sprawę. Panie MacGregor, czy zechciałby pan zabrać głos jako pierwszy?

- Dziękuję, panie Reisch - głos MacGregora zabrzmiał jak żwir wysypujący się z ciężarówki. - Panie prezydencie, powiem krótko: Japonia. Prezydent Hawkins zwołał to spotkanie, aby zdecydować, co zrobić w sprawie Japończyków. Zimna wojna z Rosjanami dobiegła końca, lecz wygląda na to, że zastąpił ją następny konflikt zupełnie innego rodzaju z narodem, który rzekomo jest naszym sprzymierzeńcem i byłym uczniem. Po roku 1945 wydaliśmy dużo pieniędzy i przyznaliśmy wiele koncesji, aby odbudować japońską gospodarkę. Brak konieczności inwestowania w siły zbrojne na znaczącą skalę przysporzył im ogromnych korzyści, ponieważ rozciągnęliśmy nad nimi nasz parasol nuklearny. Nie muszę chyba wyliczać korzyści, jakie przynosi każdej gospodarce, a co dopiero takiej jak japońska, możliwość przeznaczenia praktycznie wszystkich środków na przemysł. Powiedziałbym, że od 1945 roku nasza postawa wobec nich przemieniła się z lekko rozbawionej aprobaty, gdy produkowali kiepskie imitacje naszych wyrobów, poprzez zadowolenie, gdy zaczęli robić dobry i tani sprzęt, który kupowaliśmy, na złość na nich i na siebie, że pozwoliliśmy, by wyprzedzili nas w pewnych dziedzinach. Natomiast dzisiaj jesteśmy świadkami wyraźnego popłochu, gdy wyczuwamy wszechogarniające, globalne parcie Japończyków do uzyskania dominacji na froncie o wiele szerszym, niż

kiedykolwiek mogliśmy się spodziewać.

MacGregor zamilkł, by upić łyk wody. Na kracie kominka sosnowe pniaki strzeliły łagodnie, gdy ogień liźnął sok drzewa.

- Może omówię teraz bardziej szczegółowo te zagadnienia, które wydają się najbardziej znamienne. Zacznę od handlu. Fakt, że mają nadwyżkę bilansu handlowego, nie podlega dyskusji - ponad 100 miliardów dolarów w ostatnim roku czy dwóch. Lecz ma to głębszą wymowę. Ich gospodarka jest praktycznie niedostępna dla zagranicznych produktów. Nie tylko eksportują w ten sposób o wiele więcej, niż importują - prócz surowców - lecz w dodatku ich eksport łączy się z oczywistym protekcjonizmem, zmierzającym do podkopania przemysłu naszego i innych krajów zachodnich. Od 1945 roku trwaliśmy w przekonaniu, że japońska gospodarka reprezentuje reguły, które rozumiemy, czyli że jest gospodarką „kapitalistyczną, wolnorynkową”. Podobnie, powiedzmy, jak inny kraj, który wówczas pokonaliśmy: Niemcy. Niemcy mogą również poszczycić się bardzo dużą nadwyżką bilansu handlowego, ale nie ma wątpliwości co do tego, że ich gospodarka rządzi się mechanizmami, które rozumiemy. Panuje tam handel konkurencyjny, tak jak u nas. To znaczy, że importują i eksportują wyroby tego samego rodzaju. Coraz jaśniej widać, że Japończycy tego nie praktykują. Ich handel można określić mianem „handlu opozycyjnego”, który jak się wydaje zaplanowany jest w ten sposób, by pozbawić konkurencję pracy.

Mały kaseton wiszący na ścianie naprzeciw Reischa zawierał złoty medalion Pokojowej Nagrody Nobla przyznany Theodore'owi Rooseveltowi w 1906 roku. Gdy MacGregor przerwał, by odchrząknąć, szefowi personelu przemknęło przez myśl, że będą musieli znaleźć miejsce na ten, który z pewnością otrzyma Hawkins. Możliwe, że umieszczą go obok tamtego. Wówczas będą mogli nazwać pomieszczenie Salą Pokoju i wyrzucić te wszystkie cholerne ryby. MacGregor zaczął mówić dalej, Reich powrócił więc myślami do wojny, którą prowadzili obecnie i zapomniał o tych, które przeszły już do historii.

- Gdyby ten opozycyjny handel Japończyków ograniczał się do wyparcia nas z produkcji podstawek pod garnki, śmiem twierdzić, że poradzilibyśmy

sobie z tym ciosem bez większego problemu, ale z całą pewnością tak nie jest. Naprawdę kluczowe dziedziny nowoczesnej technologii - jak elektronika powszechnego użytku i półprzewodniki - przejęte zostały przez firmy japońskie. Branże te są kluczowe, gdyż tworzą podstawę dla bardziej wyspecjalizowanych dziedzin przemysłu. Jeśli elektronika zapoczątkowała „trzecią rewolucję przemysłową”, to istnieje poważne niebezpieczeństwo, że staniemy się „odprzemysłowieni” i zredukowani do roli dostawcy artykułów spożywczych, surowców i siły roboczej. Jest to status kolonialny, którego nie zazналиśmy od ponad półtora wieku. Historia zniszczenia przez Japończyków naszego przemysłu półprzewodnikowego jest pouczająca. Miało to miejsce w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Z początku pełniymi garściami czerpali z naszych własnych technologii, ponieważ przodowaliśmy na tym polu. Mogli potem wykorzystać całą swoją przewagę: chroniony rynek wewnętrzny, poparcie Ministerstwa Handlu Zagranicznego i Przemysłu, lepszą kontrolę jakości i korzystny stosunek jena do dolara. *Coup de grace* nastąpił przez użycie „dumpingu”, co miało wyprzeć amerykańskie przedsiębiorstwa z produkcji półprzewodników, tak 16k RAM, jak i 64k RAM, czy też późniejszych 256k RAM. Japońskie firmy były w stanie dokonać tego, gdyż wszystkie wchodziły w skład ogromnych korporacji zwanych *gurupu*, następców przedwojennych *zaibatsu*. Większość korporacji-gigantów, z którymi się u nas spotykamy - Mitsui, Mitsubishi, Sumimoto, Komura - to *gurupu*. Ta część korporacji, którą wybrano do tymczasowego sprzedawania ze stratą, była w stanie pakować pieniądze w dumping półprzewodników, popierana przez resztę grupy w niezachwianej pewności, że ostatecznie monopol będzie należał do nich.

Siedzący u szczytu stołu Barnet przypomniał sobie, że nieoficjalny tytuł MacGregora w kręgach Wall Street, zanim przywdział rządowy garnitur, brzmiał „Orka”. Najprawdopodobniej niewiele osób w którejkolwiek administracji posiadało tak rozległą wiedzę z pierwszej ręki o systemie bodźców rynkowych, obligacjach i akcjach uprzywilejowanych, nieuczciwej konkurencji, zajmowaniu majątków i innych aspektach drapieżności handlowej, jak MacGregor.

Z pewnością był najbardziej odpowiednią osobą do wygłaszania wykładu o grzechach Japończyków.

- Historia zagarnięcia przez Japończyków monopolu produkcji półprzewodników, które wykorzystuje się wszędzie, począwszy od tamtego kalkulatora na stole, a skończywszy na pociskach raketowych powietrze-powietrze na pokładzie myśliwca odrzutowego, który broni naszej przestrzeni powietrznej - jest niezwykle pouczająca. Wydaje się, że biorąc pod uwagę aktualną przewagę, japońska gospodarka, gdy tylko uzyska wymaganą technologię, będzie zdolna, przy dobrze rozłożonym wysiłku i wykorzystaniu handlu opozycyjnego, wyprzedzić konkurentów i przejąć pałeczkę od wynalazców i inwestorów w każdej dziedzinie. Ma to ogromne znaczenie, gdy weźmie się pod uwagę ogólny schemat dążeń Japończyków, który objawił się w przeciągu kilku ostatnich lat oraz stopień szkód, jakie wyrządzili naszej gospodarce.

- Dość sporą część tych szkód wyrządziliśmy sobie sami - przemówił Kuusinen ze swoim miękkim wznosząco-opadającym akcentem. - Trzeba przyjrzeć się początkowi lat osiemdziesiątych. Aż do tamtego czasu, przez cały wiek dwudziesty skupialiśmy się na gromadzeniu największych w historii bogactw i tworzeniu dobrobytu. W 1980 roku świat nam był dłużny ponad 150 miliardów dolarów. Sześć lat później nie dość, że wydaliśmy tę sumę, to jeszcze my byliśmy winni światu praktycznie 250 miliardów dolarów. Właśnie wtedy wykopaliśmy dołek, w którym znajdujemy się teraz - stworzyliśmy cały ten bałagan, z którego próbujemy się obecnie wydostać.

- Dokładnie - przytaknął MacGregor triumfalnie. - Lata osiemdziesiąte to czas, kiedy handel opozycyjny Japończyków stał się w pełni skuteczny. Co wydarzyło się po krachu na nowojorskiej i londyńskiej giełdzie w październiku 1987 roku? Nie dość, że tokijska giełda wyszła z tego niemal nie tknięta, to kilka miesięcy później kursy akcji osiągnęły nowe i według naszych standardów zadziwiające notowania - gdy mierzy się je według zysków korporacyjnych. Poprzedziły to posunięcia firm japońskich w 1986 roku, które niemal zawsze wydają więcej, niż to gwarantuje wartość rynkowa. Zainwestowały one znacznie w zagraniczne nieruchomości i kupowały zagraniczne banki i korporacje.

- Zgadzam się, że to, co robią Japończycy jest sprawą poważną - podjął swoją myśl Kuusinen - ale nadal twierdzą, że część winy za gospodarczy bałagan spoczywa na nas. Nie trzeba sięgać dalej niż „ekonomia voodoo”, aby stwierdzić, gdzie się to wszystko zaczęło. A gdyby przedstawić nasze racje japońskiemu urzędnikowi, odparłby, że USA powinno zaprowadzić porządek we własnym domu, że powinniśmy przestać się lenić i uznać wreszcie, że cierpimy na „chorobę rozwiniętej nacji”. Już to przerabialiśmy. Przez około dwie dekady słyszeliśmy tę samą śpiewkę, że Zachód powinien wykazać cierpliwość wobec Japonii, która rozumie potrzebę dostosowania się i dokłada wszelkich starań, żeby przyspieszyć osiągnięcie „umiędzynarodowienia”, czyli otwarcia własnego rynku. Ale tak się nie stało. Japończycy wykazują ogromną zręczność w unikaniu wprowadzania w życie jakichkolwiek dwustronnych umów handlowych. Moim ulubionym przykładem jest zakaz sprzedaży europejskich nart w Japonii, gdyż Japoński śnieg ma inną strukturę niż śnieg w Europie”. Teraz nie słychać już o cierpliwości - zauważył Kuusinen z zastanowieniem w głosie. - Odcinają się mówiąc, że powinniśmy zaprowadzić porządek we własnym domu. Tak jak powiedziałem, sądzę, że część winy spada na nas, ale chyba zgadzam się z Hamishem, że tu chodzi o coś więcej, niż zaprowadzenie porządku we własnym domu. Zdaje się, że Japończycy nie „biją nas w naszej grze”, tylko grają w zupełnie inną.

- Racja - podjął MacGregor. - Można zrozumieć chęć wzbogacenia się. Nasz własny kraj doprowadzili do potęgi biedacy, wzbogacając się jedynie własnym wysiłkiem. Jednak gromadzenie bogactw przez Japończyków nie przejawia się w zauważalnie lepszych warunkach życia produkujących je obywateli. W stosunku do średniej zarobków koszty utrzymania są bezліtośnie wysokie. Japońskie domy są nie tylko małe i niesamowicie ciasne, a jedynie jedna trzecia posiada kanalizację, lecz pomimo to są niewiarygodnie drogie. Pociągi pasażerskie wożące ludzi do pracy mogłyby jeździć w New Delhi, tak są zatłoczone, a przecież spędza się w nich codziennie długie godziny. Drogi zupełnie nie nadają się do użytku. Jednym słowem, niedobory infrastruktury sprawiają, że stopa życiowa mieszkańców kraju o zapewne najsilniejszej gospodarce w dzisiejszym świecie jest niższa, niż

w którymkolwiek z krajów europejskich. Ma to duże znaczenie, gdyż opozycyjne nabywanie coraz większych udziałów i przedsiębiorstw na rynku zagranicznym finansuje się przez zaniżanie stopy życiowej tworzących owo bogactwo ludzi. Ostatnim przeciwnikiem, z jakim mieliśmy do czynienia, a który finansował swoją agresję w ten sposób, był Związek Radziecki. Wydaje się, że ten konkretny konflikt dobiegł końca. Przypuszczam, że tak właśnie Pan Bóg utrzymuje nas, grzeszników, w ciągłym ruchu, nie daje odetchnąć, zsyła następne waśnie.

Na twarzy MacGregora, pooranej jak uskok skalny, zarysował się mroźny uśmiech na myśl o kapryśkach Wszchemogącego. Po chwili znów spowaźniał.

- W każdym razie mamy do czynienia z prawdziwym konfliktem. I to niemal tek poważnym, jak ten z Rosjanami. Nie ma on natury militarnej, co nie oznacza wcale, że nie będziemy musieli postawić w stan gotowości wszystkich krajowych zasobów, żeby odpowiedzieć na to wyzwanie. Ostatecznie liczy się siła ekonomiczna.

- W porządku, Hamish - rzekł Barnet. - Co zatem robimy?

- Zanim o tym zadecydujemy, musimy poradzić sobie z dwoma problemami, dwoma aspektami całej sytuacji, które tak naprawdę mają wiele cech wspólnych. Pierwszy z nich to najzwyczajniejsza trudność porozumienia się z Japończykami. Nie mam tu na myśli tylko języka. Wielu z nich zna bardzo dobrze angielski, a my mamy ekspertów, którzy mówią płynnie po japońsku. Ale chodzi mi o porozumienie się na wszystkich poziomach władzy. Przede wszystkim przyjmujemy za pewnik, że każdy rząd, z którym mamy do czynienia, jest upoważniony do podejmowania odpowiedzialnych decyzji. Dyplomacja byłaby niemożliwa bez podstawowego założenia, iż obcy rząd potrafi poradzić sobie z zewnętrznym światem po prostu zmieniając swoją politykę.

MacGregor wzruszył ramionami tak, że jego dwurzędowy garnitur zmarszczył się wokół barków.

- Kiedy ma się do czynienia z japońskim rządem, dochodzi się do wniosku, że sprawa wcale się tak nie przedstawia. Historia ostatniego ćwierćwiecza to historia zawierania transakcji i porozumień z ministrem handlu

lub spraw zagranicznych, albo też z zamorską delegacją, czy nawet premierem, których nie są w stanie później dotrzymać. Któregoś dnia otrzymałem raport stwierdzający zasadniczo, że żaden z urzędników, z którymi mieliśmy do czynienia nie posiadał realnej władzy oraz że prawdziwa władza ulokowana została wewnątrz japońskiego „systemu”, cokolwiek to ma znaczyć i że prawdopodobnie najpotężniejszą osobą w tym systemie jest emerytowany przemysłowiec, były prezes Komura Industries, z którym i tak nigdy nie rozmawiamy, gdyż nie wiemy, kim jest ani jaka jest jego pozycja w całej tej strukturze.

Najgorsze, że uchodzi im to bezkarnie! Fluktuacja naszych własnych kadr w rządzie i administracji jest wystarczająco szybka, tak że mamy stosunkowo słabą pamięć instytucjonalną. Gdy czyta się o tym, raz za razem natrafia się po naszej stronie na facetów świętujących ten czy inny „przełom”, na który Japończycy w rzeczywistości zgodzili się rok lub trzy lata wcześniej. A oni nie dotrzymują obietnic, podobnie jak nie uczynili tego za pierwszym i całą masą innych razów.

To doprowadza do drugiego problemu, który musimy rozwiązać, nim będziemy mogli coś osiągnąć. Pod każdym względem nasze własne informacje dotyczące Japończyków wydają się wadliwe. Mam na zawołanie całe kohorty specjalistów od Japonii, ludzi, którzy jeśli akurat nie rozprawiają na tym lub owym seminarium czy konferencji, by pogłębić „wzajemne porozumienie”, mogą służyć mi radą co do każdego aspektu tego kraju i jego posunięć. Niestety zawsze się mylą. Na przykład przez ostatnie ćwierćwiecze zapewniali moich poprzedników, podobnie jak mnie dziś, że Japonia stoi na rozdrożu. Zmiany, otworenie rynku na zagraniczne produkty i wpływy, rozkwit indywidualizmu, gładkie zazębienie japońskich instytucji ze światem zewnętrznym - wszystko to było zawsze tuż za rogiem. Nalegano, byśmy wykazali cierpliwość; czasem sugeruje się, że to jest nasza wina, nie ich, gdyż postępujemy zbyt niecierpliwie z narodem, który stara się przystosować.

MacGregor wbił gniewny wzrok w pozostałych mężczyzn przy stole, w gardle zabulgotały mu niestrawne opinie o ludziach, którymi gardził.

- Brednie, banialuki! Przez ćwierć wieku placono nam miłymi słówkami

zamiast czynów, a tymczasem Japończycy wyrosli na groźną handlową potęgę, jaką stanowią dzisiaj. A to wszystko dzięki pobłażliwości i protekcji oferowanej przez USA. Drodzy przyjaciele, nadszedł czas, by położyć temu kres. Japonia żyje w prawdziwym świecie, tak samo, jak my wszyscy. Nadszedł czas, by stała się jego częścią.

- Są biegłymi taktykami - wtrącił Kuusinen - i to od dawna. Za naszego życia oficerowie średniej rangi w Mandżurii wykazali się nadzwyczajnymi umiejętnościami taktycznymi. Ich wizja strategiczna była mniej imponująca. Ich posunięcia zapoczątkowały wojnę na Pacyfiku. Poczynania te nie odwoływały się do żadnego ogólnego planu strategicznego, który by brał pod uwagę świat poza Chinami, ani też realistycznych przygotowań do wojny ze Stanami Zjednoczonymi.

Wydaje się, że tak my, jak i oni jesteśmy dzisiaj w nieco podobnej sytuacji. Po raz wtóry Japończycy udowodnili, że są świetni taktycznie. Wszyscy ci ludzie w MHZiP, Ministerstwie Finansów, bankach, przedsiębiorstwach *keiretsu* i *gurupu*, federacjach handlowych i innych instytucjach, które zapewniają tę niesłychaną dyscyplinę społeczną, która zmusza robotników do nieustającej pracy i która wywindowała japońską wydajność i wyczyny w eksporcie do obecnego pułapu, faktycznie przewyższyła to, czego japońskie wojsko dokonało w Chinach w latach trzydziestych. Ale ponownie wygląda na to, że nie posiadają żadnej ogólnej, całościowej strategii. Historycznie rzecz ujmując Japończycy radzili sobie zdecydowanie kiepsko w polityce zagranicznej. Często ma się wrażenie, że z chęcią odcięliby się od świata, tak jak to robili przez wieki, zanim nie przybył admirał Peny. Ale nie mogą tego zrobić. Potrzebują świata; wkupują się, eksportując towary. Tak, jak powiedział Hamish, mimo że żyją na tym świecie, nie są z tego świata. W rezultacie, nie wzięwszy pod uwagę reakcji świata wobec swoich działań, stoją teraz w obliczu wielkiej niepewności swojej pozycji. Ponieważ jeśli sytuacja się nie zmieni, nadejdzie dzień, kiedy my, Europejczycy, Chińczycy i wszyscy inni powiemy „dość!”. Jako doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego uważałbym taką sytuację za alarmującą, jako że stosunki pomiędzy USA a Japonią należą bez wątpienia do strategicznie najważniejszych na świecie.

Za plecami Kuusinena wysoki wiktoriański zegar tykał gładko i miarowo, oblicze księżycy wschodziło nad tarczą i spoglądało w dół na jego tyśiącą głowę. Podczas gdy pił łyk wody, Reisch przypatrywał się rybie na ścianie, której rozwarta paszcza i połyskująca glazura szczególnie go drażniły. Wszystko, co chciał wiedzieć o rybach mógł znaleźć w menu „U Toe i Mo'ego”. Od czasu do czasu nakłaniał Barneta, by pojechali gdzieś nad wodę, aby wypaść odpowiednio sielankowo w oczach elektoratu, ale żaden z nich nie był chłopcem z prowincji. Podobało się im tu, gdzie byli - w obrębie miasta.

- Jeśli idzie o nasze marne informacje, to można to dość łatwo wytłumaczyć - podjął Kuusinen i Reisch ponownie skoncentrował wzrok na rozmówcach. - Na początek duża część zagranicznej krytyki została unieszkodliwiona za pomocą pieniędzy. Żaden kraj na świecie nie wydał tyle na oficjalnie rejestrowane wydatki na interwencje kulturalowe, co Japończycy w Waszyngtonie w latach osiemdziesiątych. Ponadto japoński rząd i korporacje wynajęły najlepszych prawników i byłych urzędników amerykańskiej administracji, by bronili ich pozycji. Badania zachodnich naukowców, którzy skupiają się na Japonii, a do których wysiłków Hamish pała taką niechęcią, fundują japońskie instytucje. Iluzją jest myślenie, że nie ma to wpływu na ich zdolności analityczne. Tak biznesmeni, jak i naukowcy są szczególnie uzależnieni od kontaktów osobistych i dostępu do najróżniejszych instytucji i szybko uświadamiają sobie, że postawa autentycznie krytyczna zamknie przed nimi wiele drzwi i doprowadzi do braku możliwości rozwoju we własnej dziedzinie. Pieniądze, potrzeba kontaktów i znaczny stopień politycznej niewinności stworzyły ogromną liczbę osób, które - rozmyślnie lub nie - są apologetami Japonii. Musieli stać się częścią japońskiego systemu, żeby w nim funkcjonować, nie mogą narażać na ryzyko swojej pozycji tworząc szczere, krytyczne analizy i dlatego są nierzetelnymi informatorami.

- A co z tym emerytowanym przemysłowcem, Komurą? Dlaczego dzierży taką władzę? Czy możemy nawiązać z nim stosunki?

- Nie wiem, panie prezydencie. Ale znam kogoś, kto będzie mógł nam na to odpowiedzieć. Był człowiek CIA, sam jest pół-Japończykiem. Ciekawa osobowość. Latał na myśliwcach podczas II wojny światowej, został

zestrzelony, udało mu się uciec z japońskiego obozu i dołączyć do swojego dywizjonu. Pod koniec wojny natknął się na Komurę na myśliwcu *Zero* i zestrzelił go. Po wojnie zwerbował go Korpus Kontrwywiadu, ponieważ umiał mówić po japońsku i większą część czasu spędził wtedy w Japonii. Był tam mocno zakorzeniony, z początku w kontrwywiadzie, a później w CIA. Ten facet znał Komurę osobiście. Prawdopodobnie rozumie lepiej, jak to wszystko funkcjonuje, niż którykolwiek z profesorów uniwersyteckich Hamisha. Nazywa się Thrale. K. K. Thrale. Mogę go wy badać, jeśli pan sobie życzy.

- Dobrze. Nakłoń go do sporządzenia dla nas raportu.

Zajmij się tym, Lief. Ed, umów nas na spotkanie w następnym miesiącu.

Gdy Barnet podniósł się do wyjścia, MacGregor odchrząknął, jak na zebraniu drobnych akcjonariuszy.

- Może powinniśmy spotkać się trochę wcześniej, panie prezydencie. Najnowsza wieść na temat Japończyków głosi, że szykują się do wykupienia USF&G i Ford Motor Company.

- A jakie to ma znaczenie?

- Ford jest sprawą bardziej emocjonalną. Prawdziwe amerykańskie dziedzictwo, model *T* i tak dalej. Ale USF&G to groźba. Siła ekonomiczna jest kluczem do innych rodzajów siły - do najwyższej potęgi. Japończycy obrali za cel zachodnie instytucje finansowe. Przeznaczają ogromne zyski uzyskane z konsolidowania swojego podboju międzynarodowych udziałów w rynku wyrobów gotowych nie na inwestycje w kraju, gdzie nakłady z takich funduszy rozwiązałyby sporo problemów tak wewnętrznych, jak i międzynarodowych, lecz na opozycyjne nabywanie samych fundamentów naszej zachodniej gospodarki.

MacGregor mówił powoli, jak do kogoś nieobeznanego z prawdami życiowymi.

- Kiedy „zliberalizowali” swój rynek kapitałów i papierów wartościowych, to, oczywiście, nie dlatego, by pozwolić, żeby świat zewnętrzny z nimi konkurował, chociaż, jak zawsze, właśnie to sugerowali. W rzeczywistości stymulowało i wzmocniło to japońskie banki, firmy zajmujące się wolnym obrotem papierami wartościowymi, oraz towarzystwa ubezpieczeniowe, umożliwiając im korzystne konkurowanie na rynkach finansowych

świata i tworzenie dla swoich przedsiębiorstw handlowych nowego, szerokiego pola dla inwestycji zagranicznych.

Wszystko to posiada ważne znaczenie polityczne. Japończycy starają się położyć łapę na światowych rynkach pieniężnych. Jeśli na to pozwolimy, to nasza zdolność do równoważenia jednostronnych sukcesów gospodarczych Japończyków będzie bardzo ograniczona. W rezultacie wygrają wojnę. Prowadzimy wojnę, panie prezydencie. Nikt jej nie wypowiedział, ale jeśli poczyta się trochę historii, człowiek dowiaduje się, że Japończycy nigdy tym sobie nie zaprzatają głowy, po prostu posuwają się naprzód i uderzają, gdy są gotowi. To oni przejmują pałeczkę. Jasno postawili sobie cele i ocenili istniejące możliwości, a teraz do nich dążą. Nadszedł czas, byśmy zareagowali.

- Co zatem możemy zrobić?

- To pan jest prezydentem - warknął MacGregor, a jego ukryta pogarda dla Barneta wypłynęła blisko powierzchni, niczym wieloryb prujący przez wodę z dużą szybkością.

- Niech pan przejmie dowodzenie.

Barnet chłodno skinął głową i powstał, a inni poszli w jego ślady.

- Ed będzie z panem w kontakcie - rzucił.

MacGregor wbił wzrok w ciężkie kasetonowe drzwi z mahoni, które zatrzasnęły się za Barnetem i Reischem.

- Pocwałował, by wygrać w wyborach - parsknął kpiąco.

- Jeśli ten nędzny skurwysyn nie weźmie się w garść, to zostanie prezydentem amerykańskiego oddziału Sfery Wspólnego Dobrobytu Wielkiej Azji Wschodniej. Pamiętasz to, Kuusinen? Wersja cesarstwa imperialnej Japonii. Zabiła kilka milionów, o ile sobie dobrze przypominam. Wspólny dobrobyt...

MacGregor podniósł się do wyjścia.

- Jedno trzeba oddać tym małym draniom. Potrafią genialnie maskować każde paskudztwo. I uśmiechają się, kiedy to robią.

♦ Żukowka-2, Moskwa

Przyjąwszy propozycję Gorbaczowa, by zostać rektorem Akademii Nauk, Mazurow nie znajdował aprobaty dla technokratów i biurokratów nowej

ery, tak samo, jak nie lubił ocierać się o aparatczyków, których ręce były splamione krwią kulaków. Kiedy odsunięto go na bok, poprosił i wyrażono na to zgodę, by zatrzymał dachę w Żukowce-2, lepiej znanej jako „Żukowka Akademicka”, zamiast przenosić się do Żukowki-1, czyli „Sowminu”, wraz z rządowymi ministrami za ogrodzenie z cegieł i żelaza. Wolał luźniejszą i swobodniejszą atmosferę osiedla naukowców, muzyków, pisarzy i kompozytorów. Było też trochę próżnością czy zarozumiałością, że czuł, iż należy do nich, a nie do tych drugich, ponieważ studiował w Instytucie Plechanowa i był członkiem Instytutu Czerwonych Profesorów. Dawno temu, zanim stał się częścią rzeczywistego świata Mazurow był naukowcem. Nie miał żadnych złudzeń, że partyjna elita pozwoliła mu na pozostanie wśród ludzi kultury po prostu dlatego, że odczuwał z nimi pewne pokrewieństwo. Stało się tak, ponieważ nie odmawia się człowiekowi, który był niegdyś szefem KGB. W przeciwieństwie do innych ludzi wiedział, gdzie pochowano ciała.

- Zrzuńujesz nas - powtórzył Serow. - Nie powinienem był pozwolić ci przyłączyć się do nas.

- Beze mnie twoja mała partia nie znalazłaby się tam, gdzie jest teraz. Musieliście mnie przyjąć. Ale pójdźcie do łóżka z kimś takim jak ja oznacza więcej niż po prostu dobry sen.

- Pewnie - odparował Serow. - Ale dać dupy to nie to samo, co dać się zastrzelić.

- Racja - mruknął Mazurow.

Serow wziął zakręt obok wartowni z betonu i szkła, kwatery milicjantów w szarych mundurach, którzy wybiegli wymachując lornetkami i bronią, by zablokować im przejazd, lecz gdy rozpoznali Mazurowa przycupniętego niczym podstarzały sęp na siedzeniu pasażerskim, służalczo pokazali, że droga jest wolna.

- Tak naprawdę, to dlaczego się do nas przyłączyłeś? Ktoś taki jak ty powinien trzymać ze starą gwardią. Byłem tak wdzięczny, że cię mamy, że bałem się spytać.

- Jestem Rosjaninem, nie komunistą - powiedział prosto Mazurow. - Komunizm zawiódł Rosję, uśmiercił miliony ludzi, poznał bliznami jej ziemię, zaneczył jej rzeki, jej powietrze, jej duszę. Nowa droga stwarza

nadzieję, że to wszystko się skończy. Od wieków importujemy zachodnie wyroby, zachodnie technologie, nie przejmując tamtejszych wartości. Od czasów Piotra Wielkiego pierwszorzędne pułki kawalerii galopowały pośród wiejskich glinianek. Jeden z ówczesnych przywódców niegdyś określił zachodnią demokratyczną formę rządów jako najgorszą, ale - dodał potem - jeśli nie bierze się pod uwagę wszystkich innych". Bo ja także, na swój sposób, jestem podobny do naszego cara, prezydenta Janowa - chcę, by Rosja była wielka. Komunizm - czy to zreformowany, czy nie - będzie zawsze wiódł do upadku naszego kraju.

- Tak - rzekł Serow smutno - ale jeśli teraz będziemy siedzieli z założonymi rękami, to ty powiedziasz nas do upadku.

Golf zatrzymał się z chrzęstem przed komfortowym, rozłożystym, dwupiętrowym domem z drewna, z przyczółkami i widokiem na rzekę Moskwę. Mazurow spędzał w nim od lat większość wolnego czasu. Zastanawiał się, komu Janow go ofiaruje, gdy znów będzie mógł nim rozporządzać. Teoretycznie Mazurow był właścicielem, lecz takie kąski nie przetrwają takiego upadku, jakim będzie jego upadek. Mazurow wiedział, że dla niego i jego ludzi zniszczenie będzie całkowite. Sam postępował tak w przeszłości z innymi.

- Nadaję się do czegoś więcej, niż stanie na placach defilad - rzucił wściekle - albo siedzenia przed kamerami telewizyjnymi na ławie oskarżonych, podczas gdy Janow opowiada światu o grzechach przeszłości.

Wspiął się po schodach, trzymając się poręczy i poruszając się ostrożnie, a Serow podążył za nim. Drzwi otworzyły się i Raja, jego gospodyni, wyszła mu naprzeciw.

- Witajcie w domu - powiedziała. - Oglądałam telewizję. Musiało być tam zimno.

- Istotnie - przytaknął - tutaj zaś jest ciepło i dobrze jest być z powrotem w domu. - Odwrócił się do Serowa. - Każ przyjechać swojemu Jurijowi. Mój wnuk, Otari, też przyłączy się do nas. Zadzwoń do niego z Ziłą. Raja, wskaż panu Serowowi telefon. I przynieś nam napoje do biblioteki.

Niemłoda już kobieta uśmiechnęła się i zaczęła się krzątać. Praca dla *naczelstwa*, prawdziwej elity, była ciężko zdobytym przywilejem, który przynosił korzyści w postaci dostępu do specjalnych sklepów i osiedli dacz.

Mazurow ruszył wzdłuż korytarza wykładanego polerowany drewnem do swojej bogato zaopatrzonej biblioteki. W kominku płonął rażno ogień, krzesła ustawiono wokół paleniska. Książki stały w rzędach wzdłuż ścian. Stary wciąż uwielbiał czytać; teraz, gdy miał więcej czasu, stało się to jego głównym zainteresowaniem. Rosyjscy klasycy stali obok Platona, Hegla i Kanta. Mazurow czytywał Petera Cheyneya i Jamesa Hadleya Chase'a, by szlifować angielski. Miał też Oskara Wilde'a i H. G. Wellsa, oraz angielskie wydanie Cervantesa. Do rodzinnej tradycji należało obdarowywanie się książkami na urodziny i inne specjalne okazje. Mazurow lubił czytać książki historyczne. Na półkach przycupnęły tomy zarówno po rosyjsku, jak i po angielsku: Sołżenicyn, Miedwiediew i Souvarine obok Gilberta, Braudela i Kennedy'ego. Mazurow miał liberalne gusta i pozwalał, by Hobbsawn ocierał się o Howarda, by Kołakowski spierał się cicho z Deutscherem, choć czasem były pracownik KGB czuł chętkę, żeby pouczyć ich o prawdziwej naturze marksizmu.

Serow skończył telefonować.

- Już jedzie - powiedział.

Gospodyni przyniosła butelkę szkockiej whisky i parującą herbatę z cytryną w wysokiej szklance osadzonej w metalowym *podstakanie* i długą łyżeczkę. Wyszła cicho, zamykając za sobą kasetonowe drzwi. Mazurow przycisnął łyżeczką plasterek cytryny i uniósł szklankę, by poczuć aromat herbaty. Serow nalał sobie drinka, a wyraz strachu na jego twarzy ustępował miejsca nadziei, gdy obserwował, jak Mazurow puszcza wydarzenia w ruch.

Obydwaj mężczyźni zawdzięczali swoje uprzywilejowane pozycje po pierwsze Leninowi, który po Rewolucji wydał dekret, że ludzie, którzy przedstawiają wartość dla państwa, powinni otrzymywać więcej jedzenia i wyższe pensje, a w jeszcze większym stopniu Stalinowi, który rozwinął tę zasadę w system. Cały departament Komitetu Centralnego Partii, niewinnie nazywany *Uprawlienije Dietami*, czyli Wydziałem Administracyjno-Gospodarczym, pilnował interesów elity władzy. Dla ludzi takich jak Mazurow pozycja ta była dziedziczna. Jako arystokrata mógł uzyskać przywileje dla swojej rodziny tak łatwo, jak *seizime siècle grand duc*, aczkolwiek

był bardzo uważny, jeśli idzie o sposób korzystania ze swojego ogromnego *blat*. Dla niego to były kontakty, przecieranie ścieżek. Nigdy nie popełnił błędu generała Szczotkowa. Ten kompan od butelki Breżniewa czuł się tak bezpiecznie, że załatwił szesnaście limuzyn marki Mercedes i Volvo dla członków swojej rodziny, podczas gdy Mazurow nie posunął się dalej niż przetarcie drogi do Żiguli. Powściągliwość oznaczała, że nie trzeba będzie przywdziewać munduru galowego z medalami, wkładać lufy *Makarowa* do ust i pociągać za spust.

Gdy tylko Mazurow wdrapał się do Ziła na podmoskiewskim prywatnym lotnisku dla elity, Wnukowo-II, zadzwonił do swojego wnuka, Otarięgo. I jeśli prawdą było, że ze swoimi satelitami za miliardy rubli Amerykanie mogli usłyszeć, jak ktoś puszcza bąka na drugim końcu świata, to niewiele powiedziałyby im rozmowa rektora Akademii zapraszającego swojego młodszego krewnego na kieliszek wódki.

Mazurow był patriarchą. Jego żona zmarła kilka lat temu, po jakichś pięćdziesięciu latach małżeństwa, zostawiła jednak po sobie siedem synów i córek, a Mazurow został dziadkiem ponad dwadzieścia razy. Otari był synem jego córki, Maszy.

Jurij zaś był synem Nikołaja Serowa. Kiedy doszedł do wieku odpowiedniego, by podjąć naukę, ojciec naturalnie zadbał, by chłopiec trafił do dobrej szkoły w dzielnicy Tuszyno. To właśnie wtedy, gdy młody człowiek zaczął przynosić do domu same bardzo dobre stopnie, rodzina i nauczyciele zwrócili na niego uwagę. Zgłosili go do wielkiej, corocznej olimpiady naukowej mającej wyłonić garstkę gwiazd, które następnie podejmą naukę w jednej z pół tuzina szkół matematyczno-fizycznych w całym kraju. Jurij był jednym z nielicznych, spośród miliona z kawałkiem kandydatów, którzy nie doznali rozczarowania i przeszedłszy w szkole w Moskwie aż do dziesiątej klasy, wstąpił na uniwersytet, by studiować informatykę. Okazał się osobą rzadką w radzieckim społeczeństwie - człowiekiem o naturalnym zamiłowaniu i skłonności do komputerów, i do odmiennego sposobu myślenia, który ze sobą przyniosły. Wiedział, że w jakiś sposób uniknął ogłupiającego efektu radzieckiej tradycji, która wznosiła bariery psychologiczne

wśród przytłaczającej większości jego rodaków, ale nie był pewien, jak to się stało lub dlaczego.

Problem, na jaki się natknął po opuszczeniu uniwersytetu państwowego z najwyższym wyróżnieniem i pragnieniem prowadzenia podyplomowych badań na polu sztucznej inteligencji to fakt, że w tej dziedzinie Związek Radziecki włókł się daleko w tyle za dwoma prekursorami - USA i Japonią - i że ci u władzy nie mieli ochoty wypuszczać tak cennego członka radzieckiego społeczeństwa na Zachód w obawie, że nigdy nie wróci. To właśnie tutaj wpływy ojca w Radzie Najwyższej zostały wykorzystane i Jurij przykładowo zapisał się na Massachusetts Institute of Technology. Pobudzony zetknięciem z zachodnimi technologiami talent jego rozkwitł tak, że Jurij zdobył profesurę na Uniwersytecie Moskiewskim zaledwie w ciągu czterech lat od swojego powrotu. Obecnie godził badania z nauczaniem.

Szurki, za które Mazurow musiał pociągać dla swojego wnuka, wiązały się bardziej z uśmierzaniem uczuć znieważonych nauczycieli, a później matek. Wszyscy byli zadowoleni, gdy młody człowiek przepoczwarzył się z komsomolca w żołnierza, niczym larwa w owada. Kiedy usłyszeli, że został wybrany do służby w *Specjalnej Razwidkie* zaraz po szkoleniu zasadniczym, mało kto się zdziwił. Wszyscy wiedzieli, że i tak żołnierze Sił Specjalnych niczym nie różnią się od zwierząt.

Mazurow usłyszał chrapnięcie rury wydechowej i spoglądając przez okno biblioteki dojrzał pudełkowate, białe Żiguli - Fiata radzieckiej produkcji, który zatrzymał się pośród klonów, jodeł i brzoź. Wysiadł z niego wysoki, atletyczny młodzieniec o szerokich barach i dłoniach jak bochny chleba.

Dostrzegł wyglądającego przez okno Mazurowa i pomachał mu pogodnie. Gdy zbliżał się do drzwi, obydwu doszedł łagodniejszy szum silnika małego Peugeot'a. Podobnie jak ojciec, Jurij faworyzował wszystko, co zachodnie, od systemu rządów, po samochody.

Raja - matczyna, rozpromieniona postać - wprowadziła do środka obydwu młodych mężczyzn. - Zjemy później. Najpierw przynieś chłopcom piwo. Krewni uścisnęli się na przywitanie. Wnuk Mazurowa miał te same,

szeroko rozstawione, szare oczy i jastrzębi nos. Syn Serowa był podobny do swojej matki - niewysoki, z permanentnym wyrazem dociekliwości na okrągłej twarzy. Otari był wysoki i choć nie podzielał fetyszystycznego zachwyty swoich żołnierzy dla siłowni, był potężnie zbudowany.

- Miło z twojej strony, *papa*, że nas tu zaprosiłeś - zagadnął. Był zawsze niezwykle grzeczny i pełen szacunku w stosunku do swojego dziadka. - I to zaraz po twoim powrocie.

- Miały tam miejsce pewne wydarzenia... Potrzebowałbym waszej rady - odrzekł Mazurow. - Ale usiądźcie i nalejcie sobie piwa. Cieszę się, że jesteście w domu na urlopie. Nadal stacjonujecie w Niemczech?

- Przenieśli mnie z Furstenburga. Moja jednostka przebywa teraz w Żółtych Wodach, niedaleko Kirowgradu. Praca jest taka sama.

Cała czwórka usiadła wokół jednego końca długiego stołu, który zajmował środek pokoju. Obecnie, gdy żona nie żyła, biblioteka spełniała dla Mazurowa rolę kuchni - tradycyjnego miejsca spotkań rosyjskiej rodziny i przyjaciół. Jurij i Otari wystroili się w najlepsze ubrania. Otari - w prawdziwe amerykańskie Levisy i sportowe buty Nike, oraz brytyjską koszulę w kratę od Marksa & Spencera pod niebieskim, marynarskim pulowerkiem (zwyczaj przejęty od brytyjskich kolegów po fachu). Jurij za to był amerykański w każdym calu. Wolał wygląd swoich kompanów z Ivy League. Miał na sobie flanelowe spodnie i marynarkę w jodełkę. To on gustował w piwie Rolling Rock, w czym Otari, który podzielał entuzjazm żołnierzy Sił Specjalnych na całym świecie dla odprężającego drinka po służbie, z zapalem mu sekundował.

- Kiedy byłeś tu jakiś czas temu, Jurij, opowiadałeś o tym szaleństwie na maszyny tekstowe, czy jakieś tam małe komputery - zaczął Mazurow.

- Wie pan, że najświeższą nowinką wśród *własti* jest teraz własny komputer? Oczywiście tylko wojskowi i *włast'* mają równy dostęp do komputerów - odrzekł Jurij Serow z szacunkiem. - Większość przechowuje w nich swoje zapiski i pisze listy do wszystkich przyjaciół, tak żeby każdy widział, iż używają perforowanego papieru komputerowego. I w porządku. Lecz wszyscy oni mają problemy z nauczeniem się, jak pracować na Apple'u czy Amstradzie; większość nie umie czytać po angielsku, więc nie potrafi

korzystać z instrukcji, która i tak nie jest szczególnie przystępna. Niestety nie mogą zadzwonić do miejscowego sklepu po instruktora, ponieważ najbliższy przyjazny dealer ma swój sklep w San Francisco. Więc - jeśli się mieszka w Moskwie - dzwoni się do nas na uczelnię. Większość moich studentów, jeśli nie wszyscy, zarabia sporo rubli udzielając porad na lewo.

- Czy nie wspomniałeś, że czasem i ty sam to robisz?

- Tak. Z rzadka otrzymujemy telefon od ryby dość grubej, by mogła oczekiwać, że ktoś ważniejszy niż student przekroczy jej progi. Więc czasem idzie i sam profesor. Ja. Nie przynosi to nikomu szkody.

Obaj, Mazurow i Serow, skinęli głowami. Zawsze było dobrze zbierać przysługi wyświadczane ludziom bogatym i wpływowym.

- Czy nie napomykałeś, że wykonywałeś podobną pracę dla Aleksandra Borodina, tego eksperta od Chin?

- Zgadza się, proszę pana. - Jurij był cierpliwy. Rozumiał, że polityczny partner jego ojca zmierzał dokądś i zadowolął się odślanianiem drogowskazów, gdy go o to proszono i czekaniem, aż zobaczy cel podróży. - Ma ładne mieszkanie na ulicy Aleksieja Tołstoja i pracuje tam wieczorami. Jak większość z nas, jakiś czas temu zauważył, że edytor tekstów może się przydać - choć można by pomyśleć, że Borodin używa jedynie atramentu i pędzelków! Wszystko u niego pochodzi z Chin, nosi nawet w domu chińskie ubrania. W każdym razie dostał małego Amstrada PC 1640 wraz z kolorowym monitorem. Amstrad jest bardzo popularny od czasu, kiedy Borys Jelcyn korzystał z niego przy spisywaniu swoich wspomnień - i całkiem odpowiedni do jego potrzeb. Mówi po angielsku, więc udało mu się go uruchomić, ale drażniło go, że musi wkładać i wyjmować miękkie dyskietki, zasadniczo potrzebował pojemniejszej pamięci. Otóż, zamierzał przechowywać w pamięci wszystkie pliki... Zatem zrobił to, co powinien był zrobić na początku, czyli zadzwonił do mnie. Postarałem się o twardy dysk o pojemności trzydziestu megabajtów, przyszedłem do niego i mu go zainstalowałem. Był bardzo zadowolony, poczęstował mnie szklaneczką chińskiego wina i dał mi ładną, nefrytową - albo *ju*, jak ją nazwał - figurkę. Założyłem mu WordStar, jest z tego powodu szczęśliwy, w zasadzie

jesteśmy przyjaciółmi. Od tamtego czasu zadzwonił parę razy, by spytać, jak organizuje się pliki.

Jurij przerwał, by pociągnąć łyk piwa, a Mazurow rozkoszował się aromatem herbaty.

- Oczywiście mojej porady zasięgają nie tylko ludzie, którzy chcą bawić się edytorami tekstów. Od ostatnich pięciu lat jestem zaangażowany w rozwijający się program udzielając instruktażu wojskowym na temat posługiwania się komputerami. W naszym kraju to właśnie wojsko, bardziej niż ktokolwiek inny, korzysta z komputerów - dokładna odwrotność sytuacji na Zachodzie. W przeciągu ostatniego roku odbyłem dwa tajne spotkania z dwiema grubymi rybami, by podyskutować na temat komputerów grających w szachy. Byli to Ogarkow, generał dowodzący Dalekowschodnim Okręgiem Wojskowym i człowiek o nazwisku Kiril Suwurow.

- Znam Suwurowa - mruknął Mazurow. - GRU. Szef działu gromadzenia technologii. Zatem dlaczego Ogarkow chce, żeby Suwurow ukradł komputer grający w szachy?

- Z tego samego powodu, dla którego Agencja Projektów Badań Obronnych DARPA z Pentagonu sponsorowała budowę komputera „Głęboka Myśl w Carnegie Melon”. Szachy to najstarsza planszowa gra wojenna. Amerykańskie wojsko wierzy, że taki komputer ma moc wygrywania wojen. I mają rację. To właśnie użycie przez nich skomputeryzowanego systemu dowodzenia i łączności wraz z systemem obróbki programów i zmodyfikowanym oprzyrządowaniem powszechnego użytku umożliwiło im taką skuteczność w wojnie „Pustynna Burza” przeciw Irakowi. Działania operacyjne lotnictwa na każdy dzień obejmowały każdy, pojedynczy lot bojowy i wsparcie lotnictwa, a piloci wprowadzali plany zadań bojowych w kilka sekund z kaset danych, po prostu zgasili Irak, jak wężem strażackim. Ale to właśnie komputery im to umożliwiły.

- Służyłem pod Ogarkowem w Afganistanie - wtrącił Otari pomocnie. - Jest nowoczesnym generałem: elastyczny, sprawnie myślący, a nie ograniczony, jak te stare typy z Wojny Ojczyźnianej. Tak... z początku było ich paru i musieliśmy cierpieć pod ich dowództwem. Przeciw partyzantom w górach przeprowadzali akcję tak jakby szli na Berlin. Wiele krwi się polało, nim dostaliśmy dobrych dowódców - naszej krwi - potem odwróciliśmy

bieg wydarzeń. Mówię wam, Ogarkow to najlepszy generał, jakiego mamy. I na pewno byłby zachwycony komputerem, o jakim opowiada Jurij. To jakby stumilowy krok w technologii wojskowej, który zdarza się raz na tysiąc lat. Albo więcej. Szable ze stali przeciw toporkom z krzemienia. Broń maszynowa przeciw włócznie. Coś w tym rodzaju.

- To właśnie tym amerykańskim komputerem interesowali się Ogarkow i Suwurow? - dopytywał się Mazurow Jurija.

- Tym albo jakimś innym podobnym. Choć w praktyce istnieje tylko jeden rywal, o którym wiemy bardzo mało, z wyjątkiem tego, że w świecie szachowym krąży pewna dziwna historia... Otóż, kilka miesięcy temu znaleziono człowieka nazwiskiem Timmo Larsen powieszono w pokoju jakiegoś tokijskiego hotelu. Samobójstwo. Tak się składa, że był szachistą numer dwa na świecie.

- Tak?

- Kwatera główna Komura Research znajduje się w Jokohamie. To ich komputer jest jedynym rywalem „Głębokiej Myśli”, o którego istnieniu wiemy. Nazywa się „Koralowa włócznia”. W światku szachistów opowiada się, że w końcu Komurze udało się uruchomić ich projekt i zgłosili się do Larsena z wyzwaniem, by zagrał z „Koralową Włócznią”. Zaprzeczają temu i twierdzą, że to zbieg okoliczności, iż Larsen zmarł w Tokio. Ale szachiści twierdzą, że Larsen na pewno zagrał z „Koralową Włócznią” i przegrał tak sromotnie, że stracił rozum i odebrał sobie życie.

Mazurow chrząknął, Serow siedział cicho, obejmując dłońmi szklankę, czekając, aż dowie się, dokąd to wszystko prowadzi.

- Wracając do Borodina, eksperta od Chin. Powiedziałaś, że potrzebował maszyny tekstowej, by przechowywać swoją kartotekę, a także przygotowywać raporty, prawda?

- Jasne. Jest zakochany w nowej technologii. Ułatwia mu pracę.

- Czy cała ta kartoteka znajduje się w tej maszynie?

- Zapisana elektronicznie w pamięci na twardym dysku, który mu zainstalowałem. Gdzieś indziej trzyma kopie na dyskietkach.

- I może wywołać każdą część tej kartoteki, kiedy zechce? Tak, jak z katalogu?

- Dokładnie tak. Oczywiście musi użyć hasła zapisanego w systemie zabezpieczającym. A jeśli chce zrobić dla kogoś kopię do przeczytania, to po prostu wybiera opcję „Drukowanie” w WordStar i drukuje.

W tym momencie wkroczyła Raja, popychając przed sobą wózek. Zaczęła nakrywać stół, rozłożyła talerze, sztuce i szklanki na obrusie w czerwono-białą kratę.

- Na razie dość - przerwał Mazurow. - Cieszymy się przez chwilę jedzeniem.

Raja przygotowała *zakuski*, rosyjskie *hors d'oeuvres*, które w rzeczywistości mogły posłużyć za cały posiłek. Tradycyjnie biesiadnicy spożywali swoje dania - zwykle podawane podczas uczyty - przy akompaniamencie toastów wznoszonych kieliszkami zmrożonej wódki; śledź i wódka, kawior, chleb razowy i wódka, sałatka z ćwikły i wódka. Jednak w późniejszym wieku lekarze Mazurowa ograniczyli go do dwóch kieliszków dziennie dla zdrowia. Wychylał je pod koniec dnia, zazwyczaj z kilkoma łyżeczkami dżemu. Był to tradycyjny sposób kończenia posiłków. Zatem zamiast wódki konsumując przysmaki pili korzenne, czerwone, gruzińskie wino.

Gdy na stole pozostały jedynie talerze zaśmiecone resztkami salami, wędzonego łososia, kiszonych ogórków i marynowanych grzybków, ukazała się Raja. Sprzątnęła, by postawić przed nimi kolejne danie.

- Lody! - wykrzyknął Serow z aprobatą. Zimny deser stał się najnowszym obłędem w Moskwie, wraz z wybudowaniem przez Brytyjczyków fabryki produkującej tysiące litrów dziennie.

Mazurow przyniósł z kredensu butelkę śliwownicy i wszyscy ponownie usadowili się, by wypić ją z paroma łyżeczkami konfitur. Mazurow rozlał cztery beczułkowate szklaneczki i wychylili je do dna. Pito zawsze jednym haustem. W dziewiątym wieku Rosjanie decydowali, którą przyjąć religię i z miejsca odrzucili abstynencki islam. „Picie jest radością Rosji - oświadczył ówczesny książę. - Nie możemy się po prostu bez tego obejść”.

- Polska wódka jest dobra - rozmarzył się Otari. - Robią tam taką ze źdźbłem trawy i jeszcze taką z pieprzem.

- Byłeś w Polsce?

- Dwa razy... kiedy ich związek robił kłopoty. Solidarność. Uważano,

że być może będziemy musieli przywrócić tam porządek, więc niektóre z naszych jednostek weszły tam... potajemnie, cichaczem... Wałęsa i inni wicherzyciele... - głos Otariego zawisł, ale implikacje były oczywiste. - Ci Polacy! Chcą amerykańskich pensji, ale pracują tak, jak my tutaj w Rosji!

Jak zauważył Mazurow, z dobrym jedzeniem w żółdkach i drinkiem na stole, młodzi mężczyźni wyglądali na zadowolonych.

- Smakowało wam? - zapytał, a odpowiedziano mu przewracaniem oczami i pocieraniem dłońmi po brzuchu.

- *Ljaks* - powiedział Jurij.

- To dobrze - skwitował brutalnie Mazurow. - Powinniśmy się tym teraz nacieszyć, bo może już nigdy tak nie będzie.

Obydwaj spojrzeli na niego zaniepokojeni.

- Dzisiaj w drodze powrotnej w samolocie uzyskałem pewne informacje od starego przyjaciela. Powiadomił mnie, że mam stać się czymś w rodzaju kozła ofiarnego złożonego zachodniej opinii publicznej jako symbol stalinizmu; gest dobrej woli, by dowieść, że reżim Janowa jest liberalny, by stać się godnym zaufania i odpowiednim dla kolejnych propozycji pomocy materialnej. Dotknie to nie tylko mnie, ale nas wszystkich. Jeśli odejdę i zostanę zniesławiony, pozostanie wiele hien, które unieszkodliwiłem w dniach mojej świetności, a które będą się wtedy starały zrobić mojemu cieniowi i moim bliskim to, co - jak przeczuwają - ja mogłem uczynić im i ich bliskim. Twój ojciec, Jurij, nie pozostanie nietknięty. Moja hańba posłuży, by także i jego przywieść do upadku.

Przypatrywał się całej trójce, a oni jemu. Wszyscy wiedzieli wystarczająco dużo na temat rosyjskiej polityki, żeby zdawać sobie sprawę, iż każde wypowiedziane przez starego pracownika tajnej policji słowo jest prawdziwe.

- Pamiętacie Wiktora Griszina, niegdyś „króla” Moskwy? Był taki czas, że nie widziało się Wiktora bez kawalkady czarnych Czajek i tuzina pomocników dookoła. Wiktor miał ambicje, by zostać carem, był symbolem starych porządków i Gorbaczow złamał go, by zademonstrować siłę nowego. Spotkałem go następnej zimy, gdy potykał się na zasypanej śniegiem ulicy, w starym wełnianym płaszczu i z karakułową czapą na głowie, wyglądał jak emeryt. Niósł małą siatkę z zakupami i szedł do swojego

dwupokojowego mieszkania. Grzechem Wiktora była ambicja. Na mnie czeka pluton egzekucyjny. Na ciebie, Otari, dowództwo jakiegoś plutonu na Nowej Ziemi... jeśli będziesz miał szczęście. Albo po prostu wsadzą cię za druty w Żółtych Wodach, każą kopać w cegielni, aż wypadną ci włosy i zęby. Ty, Jurij - może zostaniesz nauczycielem w szkole w Czelabińsku. Może nie. Z takim naukowym wykształceniem mogą cię wykorzystać we flocie, przy wymianie uranowych prętów w reaktorach na okrętach podwodnych. Zdaje się, że przy tej pracy większość ludzi wytrzymuje rok lub coś około tego.

Spojrzał bacznie na pozostałych.

- Chyba, że powstrzymamy Janowa.

- Jak możemy to zrobić? - spytał pospiesznie Otari.

- Musicie zrozumieć, że w czasach swojej potęgi nie należałem do starej gwardii opierającej się wszystkim zmianom. Nie byłem, na przykład, w obozie Czernienki. Rozumiałem, że jeśli chcemy pozostać potężni, będziemy musieli się zmienić i że narzędziem do tego są młodzi ludzie. Patrząc na nich dostrzegłem między innymi Gorbaczowa, a także Janowa. Dwóch najzdolniejszych spośród nowych przywódców, zdolnych do maskowania się na zachodni sposób. Gdy jeszcze byłem u władzy, a Janow piął się w górę drabiny, zaferowano mi pewną informację, która mogła go zniszczyć. Było to coś, co dzisiaj zrujnowałoby go w oczach liberalnych ludzi Zachodu, którym jawi się on jako jeden ze swoich, tyle że w radzieckim przebraniu.. Nie wiedzą, jak bardzo się mylą. Niewielu wie, bo nikt im nie powiedział, że wcielenie Janowa w skórę moskiewskiego polityka było ostatnim posunięciem. Wcześniejsza kariera Janowa przebiegała w GRU.

Mazurow wyciągnął rękę i nalał więcej śliwowicy.

- Odrzuciłem propozycję i zniszczyłem tę informację, gdyż uważałem, że leży w interesie tak *rodiny*, jak i moim własnym, by Janow nadal awansował. Jak dotąd miałem rację.

Uniósł kieliszek i wszyscy wypili.

- Te maszyny tekstowe. Mówisz, że dokumenty są chronione hasłami - zwrócił się do Jurija.

- Tak. Jednak oczywiście główną troską tych u władzy w naszym kraju nie jest tak bardzo strach przed zachodnimi organizacjami, strach przed

tym, że podłączą się bez upoważnienia, czyli przed „piractwem komputerowym”, lecz przed tym, że operatorzy i użytkownicy komputerów przebijają się na zewnątrz i przekażą dane bez upoważnienia. Dlatego Borodinowi pozwolono posiadać edytor tekstów, co jest dziwne. Nie jest to modem, nie może się więc z nikim porozumiewać.

- Zatem nikt nie może dostać się do dokumentów, prócz Borodina?

- Jeśli ktoś siedziałby nad edytorem tekstów, mógłby się wedrzeć do środka, jeśli miałby dość czasu.

- A czy ty umiałbyś to zrobić?

- Ja? No cóż, owszem. Umiałbym. - Jurij miał na tyle przyzwoitości, żeby wyglądać na zakłopotanego - Zainstalowałem to wszystko i niestety uległem pokusie popularnej u ludzi w mojej branży, którzy są... opętani... informacjami. Wmontowałem klucz nadrzędny. Mogę w każdym momencie dostać się do tych plików.

- Człowiekiem, który zaproponował mi tę informację był Aleksander Borodin. Mam nadzieję, że przechowuje ją jeszcze w tej maszynie tekstowej w swoim mieszkaniu. Chcę, żebyś ją dla mnie wy dostał.

♦ Rzeką Huai Ro Khi, Tajlandia, rok 1943

Monsunowy deszczyk siąpił z brudnego, żółtego nieba na pokryte liśćmi palmowymi wałące się baraki w obozie pracy, kropił na mężczyzn, którzy wlekli się od strony rzeki, i na częściowo wykończony pobliski most i nasyp kolejowy. Zbliżał się wieczór, umilkły chrapliwe krzyki *speedo*, ludzie wracali do obozu. Byli Europejczykami, wyniszczonymi i drżącymi z zimna i febry. Kiedy składali broń w Singapurze, wszyscy mieli nowiutkie mundury brytyjskiej armii, które teraz wisiały na nich jak szmaty. Prawie każdy nosił obdarte szorty, a niektórzy sporządzili sobie majtki *fundoshi* na modłę swoich strażników. Nikt nie posuwał się szybko. Duża część tych, którzy mogli iść, miała nogi i żołądki spuchnięte od beri-beri. Inni, którym nogi już pogniły, przemieszczali się za pomocą bambusowych tyczek, ślizgając się na tyłkach. Brytyjczycy, których poczucie humoru Thrale'owi trudno było zrozumieć, ochrztili ich „gondolierami”.

Thrale wyróżniał się wśród tych ludzkich wraków. Jego ubranie, mundur

amerykańskich Sił Powietrznych, nie zgniło jeszcze od wilgoci. Nie przy-
mierał głodem. Nie należał do tych, którzy zapracowując się na śmierć,
budowali linię kolejową dla cesarza, którego nigdy nie będzie im dane
oglądać. Podczas gdy człapali i prześlizgiwali się obok niego, stał i służąc
za tłumacza starszemu oficerowi brytyjskiemu, podpułkownikowi armii
lądowej, rozmawiał z komendantem obozu, japońskim kapitanem.

Kiedy rozmowa dobiegła końca, Thrale zaczął torować sobie drogę
przez obóz. Powracający mężczyźni wywlekali z baraków ciała tych, któ-
rzy zmarli tam w ciągu dnia i nieśli je na wzgórze, na którym płonął
ogromny stos pogrzebowy. Thrale zmierzał do przeciwległej strony obozu,
gdzie znajdowały się „kwatery”. Były to baraki i proste, płócienne kon-
strukcje. Szerokim łukiem okrążył izolatkę, gdzie poukładane jeden na
drugim trupy piętrzyły się niczym drewniane kłody i czekały, by zanie-
siono je na stos, który płonął dzień i noc. Przechodząc w bezpiecznej odległo-
ści widział umierających oślizłych od ekskrementów i wymiocin, którzy
spoczywali na prymitywnych, bambusowych podwyższeniach i wyczuł
unoszący się w powietrzu odór rozkładu i śmierci.

Wszedł do kwatery, w której korytarzach płonęły przyćmione ogniska.
Ciemność spowiła go, jak cuchnąca morska fala. Malutkie wysepki światła
wyłaniały się tam, gdzie ludzie sklecili nieduże lampki ze zwitków szmat
osadzonych w puszkach z olejem palmowym. Przykucnął obok człowieka,
który choć chudy i potwornie blady, rozpoznawszy go uśmiechnął się.
Twarz mu pojaśniała, kiedy dłonią podobną do szponów zaczął grzebać w
leżącym obok worku.

- Cześć, staruszk. Mam coś dla ciebie.

◆ Adamstown, Maryland

Czerń nocy przeszył krzyk i w pobliskim domu pościel zawirowała w
popłochu, a zapalona lampka oświetliła mężczyznę i kobietę w średnim
wieku, przywołanych gwałtownie do przytomności.

- O Jezu... - jęknął mężczyzna. Hałas dobiegający z domu obok ucichł.
Mężczyzna zwlekł się z łóżka, by spojrzeć na przyległe podwórko. W
ciemności jarzyło się samotne okno.

Wrócił i usiadł na brzegu łóżka.

- Tak bym chciała, żeby pan Thrale zaczął brać jakieś tabletki nasenne albo coś... - odezwała się jego żona trzęsącym się głosem - Zdaje się, że te jego nocne koszmary jakoś nie chcą ustąpić.

- Stracił żonę, kochanie. Nie można go winić. W czasie wojny był w tych obozach śmierci. Uciekł stamtąd. Niewielu się to udało. Został bohaterem, wrócił i walczył do końca. Siedzieli w obozach, żeby budować linię kolejową dla Japończyków. Elias mówił mi w pracy, że ginęło tyle ludzi, ile położono pokładów.

Wsunął się na powrót pod kołdrę i zgasił światło. Znow układali się do snu.

- Ale to jak on krzyczy - wyszeptła kobieta. - Można by pomyśleć, że obudził się i stwierdził, że w jego łóżku kogoś zamordowano.

♦ **Georgetown, Waszyngton**

Ed Reisch od długiego czasu mieszkał w obrębie Waszyngtonu. W 1978 wymyślił plan gry: przechwycili piłkę, na pięć minut przed końcem meczu Barnet zjednął sobie kibiców i ruszyli na bramkę. Wygrana w wyborach oznaczała, że Reisch ruszy w triumfalnym orszaku do najważniejszego miejsca w całym wszechświecie - do Waszyngtonu. Rozpierała go taka duma, że sprawił sobie dom lepszy, niż go było na to stać, śliczną małą willę w najmiłszej dzielnicy Georgetown, naprzeciwko St. Bridge, gdzie szeregi podobnych do jego domków przy brukowanych, wysadzanych drzewami ulicach odtwarzały uroczy Londyn z czasów króla Jerzego. Stopniowo wraść w to miejsce, gdy on i Barnet umacniali się na stanowiskach i gdy zręcznie wykorzystywał uprawnienia płynące z zajmowanego urzędu, by odeprzeć zakusy na miejsce Barneta w Kongresie. Mnożył fundusze na kampanie odstrasżające niedoszłych przeciwników, polecił szefowi pracować z Komitetami Akcji Politycznej i zacieśniał więzy z „Żelaznym Trójkątem”. „Uczestnictwo” było eufemizmem używanym zamiast „pójść do łóżka”, niekiedy z najdziwniejszymi partnerami. Jednym słowem Reisch wyciskał z Barneta ostatnie poty jak alfons z dobrej dziwki.

Całkiem prywatny plan gry Reischa zakładał zamieszkanie w obrębie Waszyngtonu na zawsze. Rozumiał zmiany w systemie, jakie zaszły w

latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, uznał konieczność ubiegania się o swoje stanowisko przez 365 dni w roku. Barnet spędził tak wiele czasu na pokładzie wieczornego *Boeinga 727*, gdy wracał do rodzinnego stanu, żeby urabiać swój okręg wyborczy, że miał romanse aż z trzema stewardesami. Życie w tym mieście wiązało się z tym, że adrenalina, której człowiek potrzebował, a która pozwalała przetrwać, nie sprzyjała małżeństwu. Natomiast wspaniale usposabiała do uprawiania ostrego seksu.

Grając w drugiej linii, Reisch utrzymywał Barneta na fali. Wygrywał przez całą drogę do Białego Domu, a wliczając w to przypadkową blokadę tętnicy płucnej prezydenta - do samego Gabinetu Ovalnego.

Wróciwszy tej nocy do domu, Reisch powinien czuć się szczęśliwy. Plan gry zadziałał. Przywiódł go tam, dokąd chciał. Lecz Reisch pragnął następnych ośmiu lat, nie zaś osiemnastu miesięcy. Waszyngton zaśmiecały kości politycznych nieboszczyków. Reisch i Barnet nie byli już rewizjonistami nowej gwardii, ale starymi politykami, których ludzie młodzi, żądni władzy pragnęli wysadzić z siodła. Cóż pozostanie, kiedy się to skończy? Z pewnością duże pieniądze. Barnet mógłby żyć całkiem nieźle z występów na festynach przedwyborczych. Mógłby się spiknąć z jakimś innym niedowarżonym eks-prezydentem i prowadzić własną wersję programu duetu Jimmi i Gerald. Jeśli zaś idzie o Reischa, miałby szansę znaleźć sobie miejsce w mediach lub biznesie.

Byłoby to piekło. Reisch pragnął pozostać tam, gdzie dotarł. Podeszedł do drzwi, włożył klucz w zamek i z niespokojnym umysłem wkroczył do swojego małego domku.

Usłyszawszy trzaśnięcie drzwiami ktoś uniósł się lekko z kremowej, skórzanej kanapy pod fotografią Hockneya, wyszedł naprzeciw i pocałował go w usta.

- Witam w domu szefa personelu prezydenta.

Reisch nie mieszkał sam. Całe lata zaspokajał potrzeby seksualne i emocjonalne w krótkotrwałych związkach z idącymi za podobnym popędem okazami świata polityki, lecz teraz wszystko uległo zmianie.

Obiekt swojego uwielbienia poznał na przyjęciu na Ulicy N - krótko po tym, jak Hawkins wybrał Barneta na partnera w wyborach - i natychmiast

zauroczył go egzotyczny wygląd, ciemne włosy zebrane w miękką kitkę, pełne usta oraz ciemne oczy. Zostali kochankami jeszcze tej samej nocy i dla Reischa, zagonionego do utraty tchu kierowaniem kampanią Barneta, ich zjednoczenie było magicznym odprężeniem. Czerpał z tego związku wsparcie, którego potrzebował podczas wyborów. Jego kociak często pokonywał samolotem duże odległości i brał wolne w swojej agencji reklamowej, by mu towarzyszyć. Kiedy już zespół znalazł się w Białym Domu, Reich podjął wreszcie decyzję i zamieszkali razem.

- Cześć kochanie - powiedział. Musnął przelotnie ciemne włosy, dotknął skóry koloru zboża. Ta piękna postać pochodziła z Filipin.

Drinki czekały przygotowane i Reich przyssał się łapczywie do swojej szklanki. Przyglądała mu się życzliwie ukochana para oczu.

- Miałeś ciężki dzień?

- To piekło, nie praca. Przygotowywałem się do tego od dłuższego czasu. Właśnie otrzymałem złe wiadomości.

Reisch, szczerzy jak lichy wobec całej reszty świata, w domu mógł powiedzieć wszystko. Stanowiło to odskocznnię od presji, która w przeciwnym razie by go zniszczyła.

- A co takiego złego może się zdarzyć w pierwszym dniu pracy?

- Kiedy się człowiek dowiaduje, że dano mu ją tytułem krótkoterminowej pożyczki - parsknął Reich wściekle. - Widzieliśmy się z Tony Jacobsem. Twierdzi, że w wyborach nie mamy szans.

Reisch zrelacjonował przebieg spotkania i czując w ustach przyjemny smak dżinu i martini odstawił szklankę.

- Idę pod prysznic - zakomunikował. - Musi być jakiś sposób, żeby to zmienić. Trzeba ludziom przedstawić Barneta jako bohatera, a nie architekta ich nieszczęść. Tylko, że zupełnie nie wiem, jak to zrobić.

- Kolacja czeka.

Igiełki gorącej wody i sączący się w żyłach alkohol zarówno zrelaksowały, jak i pobudziły Reischa. Kiedy wycierając się wszedł do sypialni, poczuł podniecenie.

Na łóżku zarysowywały się pod prześcieradłem ponętne kształty nagiego ciała. Reich upuścił ręcznik i wsunął się obok. Pocałowali się.

- Tak dobrze mnie rozumiesz - szepnął. - Zawsze wiesz, czego mi trzeba.

Obok łóżka leżały gumowe przybory i Reisch sięgnął po nie, ale powstrzymała go delikatna dłoń.

- Kochamy się. Ufasz mi?

- Tak - wychrypiał Reisch. - Ufam ci.

Zesztywniałe ciało Reischa oddało się pieszczotom. Z rozkoszą poczuł igraszki i łechtanie zębów i języka. Gdy jego kochanek obrócił się twarzą do poduszki, Reisch wszedł w niego od tyłu.

Syndrom nabytego braku odporności - AIDS - miał niszczycielski wpływ na życie ludzi takich jak on. Nawet w dawnych, błogich czasach, kiedy na każde paskudne choróbsko mogła zaradzić wizyta u doktora Fixita*, Reisch był zbyt ostrożny, by dać się uwikłać w seksualne orgietki w łaźniach publicznych. Aczkolwiek w mieście takim jak Waszyngton istniały ogromne możliwości napotkania osób tej samej płci o podobnych upodobaniach, już dawno temu Reisch doszedł do wniosku, że polityka jest dla homoseksualisty najlepszą profesją. Jeśli człowiek pragnie odnosić sukcesy, musi siedzieć w niej na okrągło, siedem dni w tygodniu. Nawet zupełne minimum czasu poświęcone żonie i rodzinie to czas, w którym wypada się z gry. Homoseksualistów nie nękają podobne problemy i mogą się oni łączyć z ludźmi tej samej orientacji i zawodu. Reisch zdawał sobie sprawę, że w Waszyngtonie roi się od nich. Wiedział także, że podobnie jak jego, przerażał ich AIDS. Perspektywa zadawania śmierci przez uprawianie miłości nie działała jak afrodyzjak. Stąd przybory do uprawiania „bezpiecznego seksu”.

* Od Fix it - załatw to [przyj. tłum.].

Wylegując się ze swoim kochankiem na pościeli, z satysfakcją zaciągając się wspólnie papierosem, Reisch uświadomił sobie, że za sprawą Ali zwiążali się na dobre. Czuł się szczęśliwy.

- Chcesz odmienić sytuację Barneta? - odezwał się Ala. - Zrobić z niego bożyszcze, a nie czarny charakter? To proste.

Reischowi natychmiast powróciła uwaga i czujność. Był administratorem *par excellence*, w dużej mierze organizatorem ludzi i harmonogramów... nie był jednak w tym samym stopniu twórczy. Te dwie cechy nie pokrywały się. Według Ali wszelkie planowanie sprowadzało się do tego, by przybyć na umówione spotkanie z opóźnieniem nie większym niż pół

godziny. Na pewno jednak miał twórczy umysł. Agencja reklamowa, w której pracował, suto wynagradzała mu jego pomysły i Reisch szybko odkrył, że przepuszczając przez niego swoje myśli otrzymuje dobre rezultaty.

- Wal śmiało.

- Zrób to, co wszyscy, kiedy mają kłopoty. Uzewnętrznij problem. Znajdź winnych. Co zrobił ten dyktator w Argentynie, Galtieri, kiedy sprawy przybrały dla niego zły obrót? Dokonał inwazji na Falklandy i odebrał je Anglikom. Gdyby mu się powiodło, stałby się bohaterem narodowym i mieszkał w pałacu do końca życia. Czy po tym, jak wkroczyły jego wojska, nie nastąpiło ogólnonarodowe świętowanie? Miał jednak pecha. Trafił na panią Thatcher, która wysłała swoich chłopców i odebrała wyspy. Galtieri nie przetrzymał tej rozgrywki, musiał powiedzieć pas i poszedł siedzieć. A pani Thatcher? Sama była w politycznych opałach, kiedy Galtieri dokonał inwazji. Ale to ona wygrała wojnę. W rezultacie wygrywała wybory przez następne lata. Rozgromienie wroga zewnętrznego przysporzyło jej ogromnej popularności u siebie w kraju. Wystarczy, że Barnet postąpi tak samo, a wszystko pójdzie gładko.

- Nie sądzę, by znalazło się jakieś obce mocarstwo na tyle uprzejme, żeby w przeciągu najbliższych sześciu miesięcy dokonać na nas inwazji - odparł sucho Reisch.

- Dlaczego nie? Obydwał znany kraj, który robi to cały czas. I to od dawna.

W półmroku zaszeleściło prześcieradło, gdy młody mężczyzna obrócił się twarzą do Reischa.

- Japonia.

Słowo to zawisło przez chwilę w powietrzu i Ala odczekał, aż Reisch się z nim oswoi.

- Japończycy pasują jak ulał. Zaatakowali nas wcześniej w Pearl Harbor. W słusznej wojnie zadaliśmy im klęskę i przy użyciu nowoczesnej technologii położyliśmy jej kres, zanim pochłonęłaby więcej istnień ludzkich. Później pomagaliśmy im, odbudowaliśmy ich gospodarkę i przywróciliśmy dobrobyt. A jak nam odpłacili? Dokonali inwazji ekonomicznej, nie zezwalają na uczciwą konkurencję w swoim kraju i dają nam niezły wycisk u nas, doprowadzają dobre amerykańskie firmy do bankructwa.

Ludziom się to nie podoba. Jeśli Barnetowi nie najlepiej się wiedzie, niech odmaluje Japończyków w czarnych barwach, a potem niech coś na nich wymyśli. Ludzie będą go uwielbiać!

- O rany, masz rację - zachłysnął się Reisch. Pomysł był piękny w swojej prostocie. - MacGregor wieszal dziś na nich psy... chyba trafiłeś w dziesiątkę.

- Pamiętaj kochanie, myśl obrazami. Dobry obraz jest wart dziesięciu tysięcy słów.

- Taak, myślę, że możemy się o to zaczepić. - Reisch spuścił nogi z łózka i podniósł słuchawkę telefonu. - Mówiłeś, że kolacja gotowa? Zjedzmy, a później pójdziemy się zabawić. Muszę ci coś pokazać. Halo, Franco? Tu, Ed Reisch. Chciałbym prosić cię o przysługę.

♦ Klub „Metropolitan”, Ulica H 1700, Waszyngton

Thrale nie zwracał na siebie niczyjej uwagi. Błękitnokrwieści - rządowe szychy, dla których klub był drugim domem - przywykli do Japończyków. Prawnicy, którzy odwiedzali to miejsce połyskując angielskim obuwem, bardzo ich lubili, podobnie jak starzy politycy. Przywozili całe wory jenów dla prawników i polityków, aby przedstawiano ich w dobrym świetle w stolicy kraju.

W podeszłym wieku Thrale wyglądał niewątpliwie jak Japończyk. Uważał siebie za tak amerykańskiego, jak mamina szarlotka, tyle że akurat jego mama pochodziła z Osaki.

Lars Kuusinen pracował przy wyrębie drzew nad rzeką Kemijoki, lecz jego wnuk należał do nowej elity Waszyngtonu i „Metropolitan” przygar-
nęła go jak jednego ze swoich. Thrale'a wpuszczono, ponieważ myślano, że ma kieszenie wypchane jenami.

Natknęli się na siebie w holu i przeszli do sali jadalnej na czwartym piętrze. Srebrne sztucce pobrzękiwały tam nad importowanymi talerzami, ogólny gwar tłamsił wszystko, oprócz rozmowy przy stole i ludzie mogli załatwiać interesy.

- Jak miło cię znów zobaczyć - odezwał się Kuusinen, spozierając ponad menu oprawionego w kość słoniową.

Thrale uśmiechnął się.

- Czy mam ci teraz mówić per pan? Chwaliłem się chłopakom z zespołu szpiegostwa technologicznego, że doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego niegdyś dla mnie pracował.

- Myślałem, że przeszedłeś na emeryturę. Czym się teraz zajmujesz w Biurze Dróg Publicznych?

Kuusinen i Thrale pracowali razem w czasach, gdy Centralną Agencję Wywiadowczą identyfikowało się tylko za pomocą znaku gdzieś w lasach Wirginii, który wskazywał drogę do mitycznego Biura Dróg Publicznych. Nazwa się przyjęła.

Thrale wzruszył lekko ramionami.

- Tak, przeszedłem na emeryturę. Admirał Turner już się o to postarał. Zacząłem pracować na własny rachunek. Zorientowałem się, że Japonia jest dobrze rokującym państwem, a że spędziłem tam dziesięć lat, głęboko angażując się w jej powojenną odbudowę, postanowiłem wykorzystać moją raczej specjalistyczną wiedzę. Osiemnaście miesięcy temu moja żona Keiko i ja zdecydowaliśmy, że napracowaliśmy się już wystarczająco, by przejść na emeryturę i sprzedałem firmę konsultingową. Wkrótce potem Keiko zmarła i emerytura stała się nagle bardzo nieatrakcyjna. Porozmawiałem z kilkoma ludźmi z Agencji i, pomimo okoliczności towarzyszących mojemu przymusowemu przejściu na emeryturę, byli tak dobrzy, że przyjęli mnie na konsultanta Ośrodka Badania Transferu Technologii. Gdy prowadziłem własną firmę, miałem do czynienia głównie z najnowocześniejszymi technologiami, a kiedy wyjechałem z Japonii w latach pięćdziesiątych, spędziłem następne piętnaście lat zajmując się Rosjanami, miałem zatem odpowiednie przygotowanie. Jestem wdzięczny. Ta praca zmusza mnie do wyjścia rano z domu.

- Przykro mi z powodu twojej żony - powiedział cicho Kuusinen.

- Zdarzyło się to tak nagle. Anewryzm...

Starszawy kelner w butach na miękkich podszewkach i wykrochmalonej beżowej marynarce stanął gotowy przyjąć zamówienie. Kuusinen wybrał małże na połówce muszli i pieczonego merlina. Thrale - rosół z kury i krwisty befsztyk. Obaj przystali na butelkę Mondavi - Chardonnay.

- Nie masz wrażenia, że ostatnie porozumienia rozbrojeniowe pozbawiły cię pracy? - spytał Kuusinen.

- Raczej nie. Traktat traktatem, a swoją drogą chłopcy z GRU i Zarządu T KGB zdają się nie próżnować. A co u ciebie? Wojna się skończyła, nie? - wyszczerzył zęby w uśmiechu - Może jesteś zbyt czyny?

- Popieram porozumienia w sprawie kontroli zbrojeń - odparł Kuusinen, który po opuszczeniu szeregów CIA, a przed wejściem w świat polityki był profesorem historii. - Ale na dłuższą metę to tylko wypadek przy pracy. Prócz mojej burej kotki i innych domowych pupili, ile zwierząt umarło ze starości? Część zabierają choroby i głód, ale praktycznie wszystkie inne zabijają się nawzajem. A zabijając używają kłów albo rogów, szponów, czy pazurów. Jednym słowem, broni. Świat przyrody jest po prostu zbrojonym obozem, sceną dla wyścigów zbrojeniowych, które trwają od milionów, a nawet miliardów lat. Skoro przyroda wytwarza broń w takiej obfitości, my, ludzie, jesteśmy tylko utalentowanymi spóźnialskimi, naśladowcami precedensy.

Obawiam się, że obecnie więcej niż mniej przemawia za utrzymaniem funkcji doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego. Wygląda na to, że pozostawiamy za sobą pewną erę, a wkraczamy w nową. Mieliśmy prawie pięćdziesiąt lat pokoju - zimna wojna nie była prawdziwą wojną, *a.Pax Americana*, którym się cieszyliśmy nie był wcale tak niepodobny do *Pax Britannica* czy *Pax Romana*. Z taką sytuacją mamy do czynienia wtedy, gdy jakieś mocarstwo jest na tyle potężne, by narzucić tego rodzaju pokój. Jak zwykły mawiać jeden z moich poprzedników, broń nuklearna sprawia, że w efekcie wojna staje się luksusem, na jaki pozwolić sobie mogą tylko biedni i słabi. A jak się to przedstawia obecnie? Otóż, dwubiegunowy świat znów stał się areną wielomocarstwowego współzawodnictwa. A tempo rozwoju technologii? Groźba nieuniknionej wzajemnej zagłady utrzymywała pokój. Broń nuklearna użyta w odpowiedzi na broń nuklearną stanowi symetryczną reakcję według wzorów „zagrożenie-reakcja”, które napędzają cały system wyścigu zbrojeń, jeśli pozwolisz, że użyję żargonu. Jednak broń wymierzona w przeciwnika może napotkać na reakcję, czyli jakiś rodzaj sprzętu bojowego zaprojektowany specjalnie, by przeciwstawić się istniejącemu zagrożeniu - na przykład pocisk ziemia-powietrze przeciwko bombowcowi. Przemiany technologiczne zachodzą w tak szybkim tempie,

że możliwe, iż ktoś wynajdzie całkowicie skuteczną kontreakcję na broń nuklearną. Kultura i polityka niemal zawsze wleką się w tyle za technologią wojskową, przeważnie z katastrofalnymi skutkami. Kuusinen nadział na widelec ostatnią małże.

- Zbliża się okres o wiele bardziej powikłany. Choć zajmowanie się Rosjanami nie było proste, to przynajmniej miało się do czynienia z jednym przeciwnikiem. Miejmy nadzieję, że nasi funkcjonariusze państwowi dorastają do swojego zadania.

- Wygląda na to, że dużo czasu spędzają na wymachiwaniu flagą. Widziałem w telewizji migawkę, jak personel Barneta przyjeżdża do pracy i nie zauważyłem ani jednej Toyoty. Ten facet, Reisen, prowadził jakiś stary sportowy wóz, chyba Forda Mustanga Shelby. Takiego, jakim Steve McQueen jeździ w filmach kryminalnych.

- Wydaje mi się, że pan Reisch stara się, jak umie, by zapewnić powtórny wybór swojemu pracodawcy - skwitował sucho Kuusinen. - Patriotyzm gromadzi głosy.

Kelner w milczeniu zebrał talerze. Odchyliwszy się w tył, by mu to umożliwić, Thrale powstrzymał ziewnięcie i potarł drgający mięsień w kąciку oka.

- Wybacz - usprawiedliwił się - ale ostatnio nie sypiam najlepiej.

- Śmierć żony - mruknął ze współczuciem Kuusinen.

- Taak. I wojna. Moje sny roją się od dawno nieżyjących osób.

Kelner przyniósł danie główne.

- Zatem, co mogę dla ciebie zrobić?

- Administrację niepokoi Japonia, w takim samym stopniu, w jakim poprzednie administracje obawiały się Rosji. Oczywiście zagrożenie ze strony Japonii ma naturę bardziej gospodarczą niż militarną. Rozważania o tym, jakie kroki należy podjąć w wojnie ekonomicznej, którą obecnie prowadzimy, krępuje kilka faktów - brak pamięci zinstytucjonalizowanej, błędne analizy i wywiad, i tak dalej - wszystko da się zawrzeć w stwierdzeniu, że nie rozumiemy swoich przeciwników. Z naszych wspólnych czasów w Agencji pamiętam, że miałeś bardzo jasne spojrzenie na Japonię i jej mieszkańców, i bardzo dobrze rozumiałeś sytuację. Ponadto mówi się, że

kimś, kto pociąga za sznurki, jest człowiek o nazwisku Komura Tadaji, a ja przypomniałem sobie, że ty i on znaliście się kiedyś.

- Komura? Tak, znaliśmy się trochę. Nasze drogi skrzyżowały się po raz pierwszy w kwietniu 1945 roku. Uratowałem mu życie. Prawdę powiedziawszy nie raz, ale dwa.

- W kwietniu? - Kuusinen zmarszczył brwi. - Wojna jeszcze trwała.

- Zgadza się. Po tym, jak uciekłem z obozu i przedarłem się z powrotem na naszą stronę, starałem się za wszelką cenę wrócić na front. Nie pytaj, dlaczego. Sposób myślenia w młodości staje się kompletną zagadką, gdy człowiek ma pół wieku więcej na karku. Byłem pilotem myśliwskim. Dobrym pilotem. Dawałem bobu innym facetom. A czy nie prowadziliśmy wojny w słusznej sprawie? Czy żołtki sami jej nie zaczęli? Każdy dobry Amerykanin miał prawie obowiązek zabić ich jak najwięcej. Tak jak powtarzali ci z Piechoty Morskiej: „Obowiązkiem każdego japońskiego żołnierza jest umrzeć za cesarza. Naszym obowiązkiem jest tego dopilnować.” W każdym razie w 1945 udało mi się dostać z powrotem na *P-38 Lightning* i ponownie strąciłem kilku na ziemię. Tak Bogiem a prawdą, mogłem dorwać się do Komury jedynie zrzucając na niego bombę, bo nie był pilotem, ale żołnierzem. Był oficerem wywiadu i to cholernie dobrym.

- A więc co robił w samolocie?

- Zdawał sobie sprawę, że przegrywają wojnę - wiedział o tym już od pewnego czasu. Ale kiedy przyszło co do czego, dał się złapać na lep, zaraził się *kokutai*, jak jakiś najbardziej zaciekły nacjonalista i był gotów oddać życie za cesarza. Zgłosił się na ochotnika w połowie marca, kiedy wrócił z Okinawy i pięć tygodni później był już przygotowany. Nie znał się na nawigacji, słabo lądował, ale umiał dolecieć za kimś do amerykańskich lotniskowców, przesunąć drążek do przodu, ryknąć *banzai* i być może roztrzaskać się o statek. Zatem, gdy nadszedł koniec kwietnia, wypił ceremonialną wodę, zawiązał na głowie *haszimaki*, ułożył *haiku* - zwykły kawałek o życiu, które jest jak kwiat: dziś w rozkwicie, jutro w rozsypce - i już unosił się z Kiusiu w bezpowrotną podróż do lotniskowców Nimitza niedaleko Okinawy. Właśnie wtedy pojawiłem się ja. Prowadziłem klucz sześciu

maszyn z 49. Grupy Myśliwskiej. Spadliśmy na niedoszłych kamikadze Komury i zestrzeliliśmy wszystkich w momencie, gdy odrywali się od ziemi. Ja unieszkodliwiłem Komurę i jego skrzydłowego.

- To ten pierwszy raz, gdy uratowałeś mu życie. Miał właśnie złożyć siebie w ofierze niedaleko Okinawy. A ten drugi raz?

- Udało mu się sprowadzić *Zero* na ziemię, lecz połamał sobie przy tym nogi. Czego nie zrobiłem, to nie wróciłem i nie dobiłem go.

- Mógłbyś to zrobić?

- Zdarzało się to dosyć często - odparł zwięźle Thrale.

- Nikogo nie interesowało branie jeńców. Pamiętasz Halseya i jego „Zabijaj Japońców, zabijaj Japońców, zabijaj więcej Japońców”? Jeśli dowódca mówił w ten sposób, to cóż, spełnia się jego życzenie. Albo to powiedzenie Piechoty Morskiej: „Pamiętasz Pearl Harbor - niech zdychają”.

- Więc dlaczego go nie wykończyłeś?

- Ostrzał z lotniska był cholernie niebezpieczny. Wiesz, obrona przeciwlotnicza. Człowiek wpadał i zaraz spieprzał, a na pewno nie wracał, żeby znowu oberwać. I tak Komura przeżył, by walczyć następnego dnia.

Thrale przerwał, by przeżuć kawałek krwistego befsztyka.

- Spotkaliście się raz jeszcze, o ile sobie przypominam? - spytał Kuusinen.

- Zgadza się. Oberwałem trochę z ziemi i poszarpałem nieco maszynę przy lądowaniu i tym razem to ja wylądowałem w szpitalu. W międzyczasie Truman kazał rzucić bomby i cały spektakl dobiegł końca. Oczywiście pozostała kwestia zaprowadzenie w tym kraju nowego porządku i pewien facet z Korpusu Kontrwywiadu złożył mi wizytę. Pracy było w bród. Kontrwywiad przygotowywał się do unieszkodliwienia sieci japońskiego wywiadu, a na czele tej listy znajdowały się *Tokko Ka*, Policja Myśli, i *Kempę Tai*, japońskie Gestapo. Musieli przeświecić takie organizacje wojskowe i polityczne jak Towarzystwo Czarnego Smoka i Polityczne Towarzystwo Wielkiej Japonii. A gdy tylko zbladło stare, ultranacjonalistyczne zagrożenie, na horyzoncie zamajaczyło nowe w postaci japońskich komunistów. Sęk w tym, że brakowało nam ludzi władających japońskim. Usłyszeli o mnie i jeden z nich przyszedł porozmawiać, gdy przygotowywałem

się do wyjścia ze szpitala. Spodobał mi się ten facet - miał dwa stopnie naukowe, mówił trzema językami i nosił pistolet. Stwierdził, że jeśli jestem zainteresowany, może mnie na miejscu poddać testowi wstępnemu. Domyślałem się, że teraz, gdy ustała strzelanina, w Siłach Powietrznych nie będzie wielkiej zabawy, ale za to dużo redukcji personelu i biurokratycznego gówna. Zresztą i tak nie wiedziałem, co ze sobą począć. Praca w charakterze kogoś na kształt tajnego agenta wydawała się ciekawa, więc odparłem, że jasne, dlaczego nie. Obiecał, że test będzie prosty z uwagi na to, że byłem pilotem, i spytał, w jaki sposób, jeśli dałby mi barometr na zewnątrz budynku Empire State, ustaliłbym jego wysokość. Odpowiedziałem, że wszedłbym do najbliższej budki telefonicznej, zadzwonił do architekta i zaproponował, że prześlę mu fajny nowy barometr, jeśli mi powie, jaka jest wysokość tego budynku.

Kuusinen zachichotał.

- Zawsze byłeś przebiegłym skurczybykiem.

- Nie miałem wyjścia. Dorastałem w Kalifornii w czasie Depresji. Jeśli człowiek był pół-Japończykiem, życie nie układało mu się nadzwyczajnie. Żeby ratować skórę przed miejscowymi białymi chłopakami, uciekałem się do sprytu. Nabrałem w tym wprawy, skończyłem szkołę. Z tego też powodu admirał Turner umieścił mnie na początku listy, gdy zaczął wywijać siekierką po aferze Watergate.

- Dziwi mnie, że dostałeś się do wojska. Większość amerykańskich Japończyków internowano, prawda?

- Zgadza się, ale mówisz o *nisei* i czystych Japończykach. Moja matka była Japonką, ale mój ojciec pochodził z angielskiego rodu. Matka zmarła, gdy miałem dwanaście lat i do czasu Pearl Harbor większość ludzi zapomniała, że mam japońską krew. Na rekrutacji powiedziałem, że mama była Chinką, a jako że wszystkich nas karmiono tą śpiewką Roosevelta „Chińczycy to dobrzy chłopcy”, połąkni to gładko. Oczywiście od czasu, gdy przesłuchiwał mnie Kontrwywiad wszyscy wiedzieli, że jest inaczej, ale wtedy nie miało to już znaczenia. Pracowałem w Kontrwywiadzie przez długi czas. Dość szybko udało mi się zobaczyć z Komurą, który też przygotowywał się do wyjścia ze szpitala. Zachowywaliśmy się wobec siebie bardzo uprzejmie. Na odchodnym podarował mi swoją *haszimaki*, ceremonialną

białą chustę, którą miał na głowie podczas ostatniej misji. Nadal ją przechowuję.

- Wspaniałomyślny gest?

- Niezupełnie. Można by przypuszczać, że podarunek z *haszimaki* stanowi wspaniałomyślny prezent od jednego wielkiego wojownika dla drugiego. Ale tak nie było. Przedstawiał najgłębsze i najszczerze życzenie, byśmy ja i cała Ameryka poszli sobie do diabła.

- Miły człowiek - skomentował Kuusinen. - Prawdopodobnie w Japonii mieszka wielu byłych pilotów *Zero*, tak jak nadal żyje wielu takich, jak ty - starych facetów, którzy jako młodzi chłopcy latali myśliwcami *Lightning*. Ale cała reszta społeczeństwa nie przekształca się w szarą eminencję Japonii.

- Kto by pomyślał w 1945, że Japonia będzie w stanie zmartwychwstać o własnych siłach i przemienić się w obecną potęgę? Komura jest sam w sobie interesującą postacią, ale także z uwagi na to, co reprezentuje. Nigdy więcej nie widziałem Komury-wojownika. Gdy opuszczałem jego pokój, odwróciłem się i spytałem: „Ta wojna trwa sto lat?” Ukuli taki slogan, kiedy się zorientowali, że przegrywają. Z dłońmi płasko ułożonymi na udach uklonił się i odparł: „*Hai*, pozostało jeszcze dziewięćdziesiąt sześć lat”. Potem wyszedłem i na nowo zabrałem się do przesłuchiwanie zbrodniarzy wojennych klasy A.

Kuusinen spojrział na Thrale'a w zamyśleniu.

- „Pozostało jeszcze dziewięćdziesiąt sześć lat”. Wczoraj brałem udział w spotkaniu na najwyższym szczeblu, na którym dyskutowano problem Japonii. To, co powiedziałeś bardzo by zaciekało sekretarza stanu McGregora.

- Powtarzam to od lat. Moja matka i moja żona były Japonkami. Dziesięć lat pracowałem w Japonii w Kontrwywiadzie. Kiedy stamtąd wyjechałem, naturalnie przesunięto mnie do pracy nad Związkiem Radzieckim. Kto do cholery interesował się wtedy Japonią? Czy nie była to tylko mała, przeludniona wysepka, na której produkowano tanie i tandetne towary konsumpcyjne? Kiedy zwracałem komuś w Agencji uwagę na to, że Japończycy są inni, że myślą po japońsku, a piszą po chińsku, że chodzą do pracy w zachodnich ubraniach, do budynków z betonu i stali, ale przywdziewają

japońskie ubrania w domach z drewna i papieru, że są bardzo tradycyjni, ale szybko przystosowują się do najbardziej radykalnych zmian, jak kameleon do kolorów - to ten ktoś wyglądał na średnio zainteresowanego, jak gdybym opisywał prześmieszne zwyczaje jakichś wyspiarzy z mórz południowych. Na twarze wypływał ludziom dziwny wyraz, gdy utrzymywałem, że Japończycy pożądamy międzynarodowego uznania, które nazywają *hakko icchiu*, uznania większego nawet niż Brytyjczycy w swoim imperium, czy USA lub Związek Radziecki w szczytowych okresach zimnej wojny, oraz że to dążenie sięga korzeniami do poprzedniego wieku i wyraźnie objawiło się w 1894, kiedy to zaatakowali Koreę, okupowali Seul, zatopili chińską marynarkę i przypieczętowali wszystko pokonaniem Rosji w latach 1904-5, również zatapiając jej marynarkę. Wiesz, jak to jest, kiedy spotkasz kogoś, kto ma hopla na punkcie, powiedzmy, zbierania muszek i etruskich nocników, zastanawiasz się wtedy, czy nie jest lekko stuknięty. Mówiłem w jaki sposób wykorzystali zręczną dyplomację, zawierając przymierze z Brytyjczykami, którzy byli ówczesną potęgą, aby zagarnąć wszystkie należące do Niemiec wyspy na początku I wojny światowej. Wiesz, Wyspy Marshalla i Karoliny - wszystkie te malutkie wysepki, na których plażach w trzydzieści lat później umierała nasza Piechota Morska, by zdobyć je w drodze do Japonii. W ciągu pięciu miesięcy 1942 roku Japończycy bili się z taką śmiałością i poświęceniem, że odnosili niebywałe zwycięstwa na całym Pacyfiku. Wojnę wygraliśmy, ponieważ nasze siły przewyższały ich dziesięciokrotnie. Ale moim zdaniem, z którym po pewnym czasie przestałem się afiszować wobec facetów pogrążonych bez reszty w paranoi i zbroczeniu na punkcie stawiania czoła Rosjanom, Japończycy nie zaakceptowali werdyktu z 1945 roku. Komura stanowi tego dobry przykład. Niecałe kilka dni po tym, jak dał mi swoje *haszimaki*, udało mu się nawiązać ze mną kontakt. Był miły, jak nie wiem co. Wracał do interesu rodzinnego i, wiedząc, że jestem w wywiadzie, zaoferował mi swoją pomoc. Znał dużo ludzi, był naprawdę pomocny. Spytał, czy mógłbym załatwić mu kilka filmów. Zależało mu zwłaszcza na „Przeminęło z wiatrem”. O ile pamiętam, poprosił jeszcze o trochę ryżu i warzyw. Nie minął miesiąc, a był już na najlepszej drodze do zostania milionerem. Prowadził kino w Kioto, w

budynku, który oparł się wojnie. Ludzie rozpaczliwie łaknęli rozrywki, poza tym nigdy przedtem nie widzieli kolorowych filmów. Zarobione pieniądze wykorzystał, pod przykrywką jakiejś podstawionej firmy, do finansowania rozrywki dla ludzi wpływowych. Miało to zaprocentować po 1950 roku. Dostał się na podziemną giełdę. Mógł w ten sposób finansować swoje operacje na „rynku giełdowym”, które miały na celu przechytrzenie polityki *anty-zaibatsu* SCAP-u. Filie Komura Bussan zostały wyprzedane społeczeństwu w ramach amerykańskiego planu promowania rozpowszechnionej własności publicznej w korporacyjnej Japonii. Nieznany SCAP-owi Komura miał jednak wystarczającą ilość pieniędzy, by pożyczyć zaufanym pracownikom na kupno akcji, którzy zgodzili się odsprzedać je firmie Komura Bussan w późniejszym terminie. Równie szybko, jak liberałowie ze SCAP-u pracowali nad rozdrobnieniem *zaibatsu*, ludzie pokroju Komury na nowo je odbudowywali. Likwidatorzy przedzierałi się przez pajęczyny kontraktów, przez zestawienia rachunkowe i pożyczkowe, dzierżawy nominalne i współdzierżawy, powiązania rodzinne i *oyabunkobun*, stosunki przełożony-pracobiorca, przez wszystkie inne rzeczy, które zespały świat biznesu, a których w dużej części nie rozumieli. Jak tylko udało się przeciąć te powiązania, nitki pajęczyny zaplatały się po cichu tuż za ich plecami. Komurze udało się uratować rodzinne przedsiębiorstwo w latach 1946-50, po którym to okresie zaszły diametralne zmiany i, podobnie jak cały kraj, Komura Bussan zaczęło wygrzebywać się z dołka. Za łaskawym zezwoleniem USA, ale to zupełnie inna historia.

Thrale odkroił sobie jeszcze trochę befsztyka i umoczył go w sosie chrzanowym.

- Właśnie dlatego osoba Komury jest tak interesująca. Był wojownikiem, przepelnionym duchem *buszido* militarystą. Przegrał wojnę i wrócił do swoich korzeni. Do korzeni *zaibatsu*. Płonąc wciąż duchem *buszido*, zaczął pracować pośród ruin. Początki Komura Bussan sięgają roku 1621. Obecnie należy do grona najnowocześniejszych *zaibatsu*. Ma udziały w bankowości, inwestycjach, przemyśle maszynowym i elektronice. To największa i najbogatsza firma na świecie, panie Kuusinen.

Kelner niespiesznym krokiem przemierzył salę jadalną.

- Telefon do pana, panie Kuusinen. Z Białego Domu.

- O, dziękuję - Kuusinen wstał. - Przepraszam na chwilę.

Wysoki Fin ruszył na drugi koniec sali i w tym mieście wyczulonym na władzę niejedna para oczu śledziła jego kroki. Położywszy widelec na środku talerza Thrale odchylił się w krześle. Mięsień w kąciuku oka drgał nadal. Upił łyk wina. Jeden głębszy zawsze pomaga, pomyślał. Czasem udawało mu się przespać całą noc. Czasem jednak budził się z krzykiem, wyrwany prosto z przeszłości.

Po chwili Kuusinen wrócił do stołu. Usiadł, ale nie rozłożył serwetki na kolanach.

- Muszę wracać do biura - oświadczył. - Szkoda, że musimy sobie przerwać. Czy mógłbyś przygotować dla mnie raport? Chciałbym wiedzieć więcej o Komurze jako o człowieku. Dlaczego ma takie wpływy? Borykając się z poczynaniami Japończyków nasi chłopcy mają niełatwy orzech do zgryzienia, a to dlatego, że ich nie rozumieją. Może, gdyby dowiedzieli się, w jaki sposób faktycznie sprawuje się tam władzę, bardziej by się im poszczęściło.

- Z przyjemnością - odpowiedział Thrale. - Tak jak za dawnych czasów. A poza tym będzie to mała odskocznia od głowienia się, który to elektroniczny gadżet planują teraz ukraść Rosjanie.

Uścisnął dłoń Kuusinenowi i patrzył, jak kiwając głową i pozdrawiając nieznacznym gestem dłoni znajomych wychodzi z jadalni. Thrale zamówił kawę i wypił ją, po czym przedarł się przez ławice prawników, polityków i lobbystów w stronę drzwi frontowych. Podał szatniarzowi swój numerek, po czym wynurzył się na Ulicę H.

Biuro Thrale'a mieściło się na szesnastym piętrze. Z okien roztaczał się widok na dzielnicę chińską. Powiesił płaszcz i poluzował kamizelkę. Na jego szarym, metalowym biurku rządowym leżało zdjęcie. Zrobiona z lotu ptaka fotografia przedstawiała kilku mężczyzn, którzy stali dookoła długiej, świeżej szramy wyciętej w raczej nagim i pozbawionym znamienych cech terenie.

- Curtis! - zawołał i z biura obok wyłonił się jego asystent, młody produkt Uniwersytetu Kalifornia w okularach, który do swojego przełożonego odnosił się z dozą rozbawienia, niekiedy zaprawioną szacunkiem. Thrale

zdawał sobie sprawę, że Curtis uważa go za istotę z zamierzchłej epoki, która w jakiś tajemniczy sposób pozostaje przy życiu: rodzaj dinozaura.

- Dzień dobry, proszę pana - rzucił Curtis wesoło. - Jak poszło z ABN?
- Zjedliśmy świetny lunch. Co to za zdjęcie?
- Niech pan mi powie, proszę pana.

Thrale szczylił się doświadczeniem w kontrwywiadzie. Curtis dobrze o tym wiedział i nigdy nie przepuszczał okazji, żeby zachęcić go do zabawy w detektywa.

Thrale przyjrzał się badawczo zdjęciu.

- To zdjęcie z satelity rozpoznawczego *KH-11* wykonane w trakcie stosunkowo niskiego przejścia nad ziemią.

- Zgadza się. Nadeszło z Fortu Belvoir, gdy jadł pan obiad z mężem potężnym i wpływowym.

- Wgłębienie uderzeniowe w ziemi, około trzystu metrów długości. Spowodowane przez samolot. Wrak usunięto. Samolot najwyraźniej uderzył w ziemię pod stosunkowo małym kątem. Sądząc po rozmiarach wgłębienia, nie była to wielka maszyna. Jednak po sile uderzenia i długości wgłębienia, które dają pojęcie o szybkości, widać, że był to najprawdopodobniej samolot wojskowy. Jakiś myśliwiec, ale bardzo mały, albo samolot szkoleniowy.

Curtis promieniał.

- Bardzo dobrze. Pokusi się pan o zgadywanie?
- Trudno powiedzieć. *F-16* jest mały, tak jak samoloty szkoleniowe - *T-38*, brytyjski *Hawk* i tak dalej. *MiG-21* jest mały.
- Chłopaki w NORF-ie przepuścili ten obraz przez komputery.

Thrale skinął głową. Komputery CRAY w Narodowym Ośrodku Rozpoznania Fotograficznego przy starym Navy Yard nie miały sobie równych w obróbce danych.

- Wysunęli pewne przypuszczenie. Tylko przypuszczenie, żadnej pewności. Samolot, o którym myślą, ma znamienne kontury. Mówią, że mógł to być *F-117A*

- Myśliwiec bombardujący *Stealth*? Czy Siły Powietrzne straciły jakiegoś?
- Nie, proszę pana - odparł cicho Curtis. - Twierdzą, że nie.

- Nie? Chwileczkę, zatem... nie powinienem być pić tej ostatniej szklane-
czki wina do lunchu... A więc, jeśli lotnictwo temu zaprzecza, a to zdję-
cie mamy przed oczami... Gdzie zrobiono to zdjęcie, Curtis?

- O to chodzi, proszę pana. Wiedziałem, że pan na to wpadnie. Otóż,
mamy ten obraz przez przypadek. Były jakieś problemy z funkcjami po-
mocniczymi satelity. Gdy na powrót podłączali system elektrooptyczny,
trzasnęli serię zdjęć na chybił trafił.

Curtis Mayer postukał palcem w błyszczącą fotografię.

- To Fuchai. Niecałe siedemdziesiąt kilometrów od granicy radzieckiej.
Po chińskiej stronie.

◆ Biały Dom

Podobnie jak Thrale, Kuusinen chętnie przespacerowałby się do pracy,
ale nie spodobałoby się to agentom Tajnej Służby, poza tym Reisch nakła-
niał do pośpiechu. Wsiadł więc do niebieskiego, rządowego Lincoln. Zro-
biłby lepiej, gdyby poszedł na piechotę. Ruch uliczny na Siedemnastej
zamarł, a kierowca zawiózł go okrężną drogą do Wschodniego Skrzydła.
Mijając olejne obrazy Jacqueline Onassis i pani Carter, które wisiały obok
Sali Bankietów Dyplomatycznych Kuusinen powędrował korytarzem na
parterze aż na zachodni koniec, gdzie zniknął w służbowej części rezyden-
cji pod nieugiętym wejrzeniem pani Nixon i pani Ford.

Skierował się prosto do biura Eda Reischa w małym aneksie Gabinetu
Owalnego, które służyło szefowi personelu jako miejsce pracy. U Reischa
siedział jakiś mały, schludny, trzydziestoparoletni mężczyzna o bada-
wczym i inteligentnym oczach, którymi łypał dookoła. Przypominał Kuusi-
nenowi małe wiewiórki z lasów jego młodości.

- Lief, poznaj doktora Fineberga, jednego z lekarzy, którzy przeprowa-
dzili sekcję zwłok zmarłego prezydenta.

Fineberg nerwowo skinął parę razy głową pod adresem doradcy do
spraw bezpieczeństwa narodowego. Teraz wyglądał jak wiewiórka, która
przez pomyłkę zbłądziła na polanę pełną gronostajów i poniewczasie zasta-
nawia się nad skutkami tego błędu.

- Dr Fineberg uważa, że prezydent Hawkins nie zmarł na zator tętnicy
płucnej. Jego zdaniem ktoś go zamordował.

◆ Państwowy Uniwersytet Moskiewski, Wzgórza Lenina

Wzgórza spoglądały od południowego zachodu na rozlazły ogrom Moskwy. Z dołu wyglądały imponująco, co zauważyli rewolucjoniści w 1917 roku, ustawiając na nich działa, żeby miotać pociski na głowy żołnierzy rządowych. Jednak gdy patrzyło się na nie z wysokości pięćdziesięciu metrów z ogromnego, upstrzonego wieżyczkami, uniwersyteckiego drapacza chmur, nie wyglądały równie imponująco. Otari wodził wzrokiem po architektonicznej dżungli miasta, podczas gdy Jurij siedział przy pulpicie komputera. U jego stóp sylwetki ludzi prześlizgiwały się jak żuczki wodne po powierzchni pokrytej igielitem skoczni narciarskiej, a na drugim brzegu Moskwy gigantyczne, niszczące bloki mieszkalne i fortece biurokracji rozsiadały się wzdłuż rozdziawionych wlotów ulic, aż po sam Kreml. Drzewa kuliły się w dole niczym japońskie *bonsai*.

Podłużny pokój na dziewiętnastym piętrze budynku uniwersyteckiego mieścił bibliotekę taśm magnetycznych, komputery, jednostki pamięci masowej, zewnętrzne interfejsy i wiele innych elementów wyposażenia wydziału informatyki. Młody profesor siedział na czarnej winylowej ławeczce przy pulpicie swojego IBM 360.

- Gotowe - oświadczył Jurij. Weteran z Afganistanu przycupnął obok i jego ogromne dłonie spoczęły na kolanach niczym różowe kraby.

- Teraz wiem, jak wygląda dopełnienie tego, co robimy w Furstenbergu i Kirowogradzie - zauważył Otari. - W razie wojny, nasze dwunastoosobowe grupy, takie jak moja trzydziesta piąta z 277. batalionu, przenikną miesiąc wcześniej na terytorium wrogiego kraju. W moim przypadku będzie to Londyn w Anglii lub Pekin w Chinach - posługuję się obydwoma językami. Moje zadanie może polegać, na przykład, na sprzątnięciu brytyjskiego premiera albo naczelnego dowódcy wojsk sprzymierzonych w Europie lub jakiejś innej ważnej osobistości, która wchodzi w skład naczelnego dowództwa. Mam na myśli stary scenariusz wojny z NATO, ale nasza rola pozostaje nadal aktualna. Podczas uderzenia liczy się szybkość - trzeba zwyciężyć jak błyskawica. Dlatego właśnie otrzymam o moim celu szczegółowe informacje, bardzo szczegółowe: o tym jak żyje, z kim przebywa, dokąd chadza, co robi.

- Dostałem się do plików w 360. Sekcji *Uprawlenija Dietami* - oświadczył Jurij. - Mają taki sam komputer, pomagałem im w jego uruchomieniu, ułatwiło mi to podczepienie się do niego. Wydział Administracyjno-Gospodarczy prowadzi interesy *naczalstwa* z ulicy Aleksieja Tołstoja 32, powinniśmy więc znaleźć tu wiele potrzebnych rzeczy. Dziwne, że nie mieli czasu, by zmienić nazwę ulicy. Przecież Aleksiej był tylko najemnym, sowieckim pisarzyną.

- Fakt. Zacznijmy może od spisu lokatorów, a potem personelu służb bezpieczeństwa. Budynek ma *diezurnuju*?

- Coś ty. To są ludzie *własti*. Żadnych dyżurnych ani całodobowych ochroniarzy.

- Wyciągnij wszystkie pliki.

Długie palce Jurija zatańczyły po klawiaturze i zielononiebieskie cyfry i litery rozlały się po czarnym ekranie. Drukarka mozaikowa czknęła, zaklekotała hałaśliwie i naciągając papier na koło zębate popędziła głowicę w tę i z powrotem, bryzgając na papier informacjami.

- Architektura. Plany bloku.

Na ekranie ukazały się schludnie narysowane linie za łaskawym pozwoleniem - jak głosił napis - L. B. Czernyszewa i zostały przeniesione na papier.

- Zabezpieczenia bloku i mieszkań. Zamki i systemy alarmowe.

- Wygląda na to, że polegają na strażnikach przy wejściu. Żadnego elektronicznego zabezpieczenia, same solidne zamki. Tylko to jedno wejście. Niezbyt nierozsądne, ale ułatwi nam zadanie. Hm, zamki British Chubb. Rzucę na to wszystko okiem.

Otari obserwował, jak Jurij wychodzi z twardego dysku Sekcji.

- Zmyślne cacko - zauważył.

- Będąc w posiadaniu CRAY-ów i IBM-ów 3033 Amerykanie uważali by go za eksponat z technologicznego skansenu - odparł Jurij rzewnie. - Ale ja go lubię.

Gdy przygotowywał się do wyłączenia komputera, jego dłonie musnęły urządzenie sterujące z nieświadomą pieśczołą.

- Ty naprawdę go lubisz - zdziwił się Otari.

- Jest żywy - bronił się Jurij. - Niektórzy trzymają psy albo koty. To jest moja praca.

- Jak to żywy? Przecież to jest maszyna.

- Życie niekoniecznie musi opierać się na węglowodanach. Całkiem możliwe, że inne formy istnienia mogłyby powstać na bazie obwodów elektronicznych, albo nawet fotonów. Życie na Ziemi poczęło się z nieorganicznych kryształów i wykorzystując zakres zjawisk optycznych z powodzeniem mogłoby na nich ponownie bazować. Wydaje mi się, że świat biologiczny już teraz charakteryzuje się trzema podstawowymi rodzajami życia: zwierzęcym, roślinnym i maszynowym.

Jurij uśmiechnął się.

- Ale nie wolno ci pozwalać mi o tym mówić. Mogę rozprawiać o sztucznej inteligencji przez cały dzień.

- Nie rozumiem komputerów - rzekł Otari. - A mówiąc szczerze, nie lubię ich. Są dla mnie nierosyjskie.

- Dla ciebie i większości naszych rodaków - zgodził się Jurij smutno. - Jednak są narzędziami nowego wieku. Komputer jest technologią definiującą. Gromadzi i skupia różne myśli i koncepcje danej kultury w jaskrawy i przenikliwy promień. Tam, na Zachodzie, na nowo określa się rolę człowieka w przyrodzie. To inny świat. Dlatego mój ojciec ma rację, że musimy zrzucić wieki autokratycznej władzy jak łuskę i pozbyć się wszystkich pozostałości komunizmu. Komunizm rozumiany jako ideologia nie może współistnieć z żadną ideologią, która obiecuje poprowadzić do innego celu. Któraś musi odejść.

Spojrzał badawczo na Otartego.

- Jak sobie dajesz radę w wojsku? Teraz, gdy zarząd polityczny obumarł, jaka ideologia kieruje żołnierzami? Co poczną pozbawieni racji bytu oficerowie polityczni?

- Nie sądzę, by większość z nas do końca się z tobą zgodziła. Tak jak ty chcemy odrodzenia gospodarki, ale zmienianiem nas na modłę Zachodu nic się nie wskóra. Ubieram się w zachodnie rzeczy, ale stamtąd nie pochodzę. Jestem Rosjaninem. Nasza droga musi być drogą rosyjską. Zachodnie kraje nie są takie jak my - są towarzyskie, kosmopolityczne, wielonarodowe. My jesteśmy jednorodni i skierowani do siebie, a także monolityczni. Tak będzie,

nawet jeśli przyjmimy gospodarkę rynkową.

- Pod warunkiem, że pozbedziemy się nie-Słowian - zaznaczył Jurij łagodnie. - Co będzie oznaczać koniec Związku Radzieckiego.

- Poradzimy sobie bez nich. I tak w najlepszym razie stanowili rasy podległe. Armia Czerwona pozostaje tym, czym była zawsze - główną skarbnicą rosyjskiej myśli narodowej. Nie zauważyłeś, że Armia i Kościół maszerują teraz razem? Popi i żołnierze to esencja wszystkiego, co rosyjskie. Od kiedy zaczął się kruszyć Główny Zarząd Polityczny, wojsku wiele zarzucano, ale przewyciężymy to i ludzie znów zaczną nas poważać - nie z powodu tego, że jesteśmy komunistami, ale dlatego, że jesteśmy Rosjanami, a Rosja znów będzie mocarstwem.

Otari zerknął na klawiaturę IBM-a.

- Może zmienmy temat - zaproponował z rozbrajającym uśmiechem. - Anglicy mają takie powiedzenie: „Nie mów o religii i polityce”, a ja poruszyłem oba te tematy. Dlaczego nie można po prostu mówić do tej maszyny? Dlaczego wszystko trzeba wystukiwać na klawiaturze?

- Ponieważ, gdy piszę komendę, lub informację, komputer dokładnie wie, co do niego mówię. Gdyby po prostu do niego mówić, miałby na przykład ogromny kłopot z rozróżnieniem, gdzie jedno słowo zaczyna się, a gdzie kończy, albo z odróżnieniem dwóch słów, które brzmią tak samo: „Może pojedziemy nad morze”. Mieszałyby mu się różne akcenty narodowe i regionalne. Ale to tylko kwestia czasu. Najwięcej w tego typu badania inwestują Japończycy, ponieważ ich język niezbyt pasuje do obecnej metody prezentacji. Pierwszy komputer, który będzie umiał mówić i do którego będzie można mówić, na pewno narodzi się w Japonii.

Otari złożył kartki papieru i, uważnie oddzierając koniec ostatniej, uwolnił cały plik od drukarki.

- Chodźmy. Pokażę ci, jak dojść do porozumienia z istotą dosyć nieinteligentną i upartą, a mianowicie z zamkiem.

♦ **Aneks Gabinetu Owального, Biały Dom**

Dr Vernon Fineberg nerwowo wykręcał palce dłoni. Reisch patrzył na niego z takim wyrazem twarzy, jaki od zarania dziejów przybierają władcy, kiedy wpatrują się w herolda, który przyniósł złe wieści, a Kuusinen starał

się oswoić z myślą, że głowa państwa, której przyrzekał bronić, mogła paść ofiarą zamachu.

Naraz Reisch zdał sobie sprawę, jak bardzo onieśmialają młodego lekarza i natychmiast złagodniał. Do umiejętności Reischa należało przecież robienie ludziom masażu ego.

- Lief, Vernon zgłosił się do nas sam z siebie. Na pewno nie było to dla niego łatwe. Pozwól, że jeszcze raz przedstawię sytuację. Vernon był w trzyosobowym zespole, który przeprowadził sekcję zwłok zmarłego prezydenta. Na czele stał profesor Cameron, dyrektor zakładu medycyny sądowej w szpitalu Washington General. Towarzyszyli mu jego starszy asystent dr Cale, i dr Fineberg, młodszy asystent. Teraz poproszę, by on dopowiedział resztę.

- Panowie - zaczął Fineberg nerwowo. - Musicie zrozumieć, że Washington General jest starą i prestiżową instytucją. W przypadku, gdy umiera urzędujący prezydent, z założenia to w naszym zakładzie przeprowadza się autopsję. Zakładem kieruje profesor James Cameron, czcigodny, szanowany, wielokrotnie honorowany pionier patologii, ale... lat sześćdziesiątych. Profesor Cameron nie jest już pierwszej młodości. Cieszy się tak ogromnym autorytetem, że pozwolono mu zostać na stanowisku, mimo że dawno już przekroczył wiek emerytalny. Profesorowi podlega bezpośrednio jego starszy asystent dr Cale. Cale przeskoczył właśnie o jeden szczebel w górę, ponieważ niedawno zmarł jego poprzednik, Simon Bartlett. Awans uszczęśliwił Cale'a, gdyż spodziewa się on zastąpić profesora, kiedy ten w przyszłym roku przejdzie na emeryturę. Cale jest człowiekiem ambitnym i nie może uwierzyć w swoje szczęście. Rzeczywiście poszczęściło mu się, gdyż wcale nie jest tak bardzo utalentowanym patologiem, na pewno nie takim, jakim był Simon Bartlett. Nie mówię o tych sprawach po to, by wprowadzić panów w politykę personalną zakładu, ale dlatego, że mają one rzeczywisty związek z tym, co mam do powiedzenia.

Fineberg strzelał oczami to na jedną, to na drugą osobistość niczym wiewiórka, która ocenia, czy jej słowa są na tyle zajmujące, by zaspokoić apetyty gronostajów.

- Po starannej analizie z całą wagą swojej ponad półwiecznej praktyki

w sztuce medycyny sądowej profesor Cameron wydał opinię, że prezydent Hawkins zmarł na coś, co nazywa się zatorom tętnicy płucnej. Jest to stan wywołany skrzepem krwi, który tworzy się w innej części ciała, przeważnie w nogach, a następnie odrywa się od miejsca, w którym powstał i podróżuje wraz z krwią, dopóki nie zatrzyma się w którymś naczyniu krwionośnym układu sercowo-naczyniowego. Skrzep, który uformuje i uwolni się w układzie żylnym nogi, bez trudu przedostaje się do prawej strony serca i osadza się zaraz za tym miejscem, w tętnicach płucnych. Większy skrzep zatrzymuje się w rozgałęzieniu pnia płucnego i powoduje śmierć w przeciągu kilku minut. Niegdyś z tej przyczyny umierała tylko mała liczba pacjentów po operacjach, a dzisiaj, gdy dominuje praktyka stawiania pacjentów na nogi jak najszybciej po zabiegu, by uniknąć zastoju krwi w nogach, zator praktycznie zanikł jako przyczyna zgonów. Jednak w swoim czasie profesor Cameron wiele razy był świadkiem tego rodzaju śmierci, a nawet napisał monografię na ten temat.

Do wniosku tego doszedł za pomocą wypróbowanego, racjonalnego ciągu rozumowania, sukcesywnie biorąc pod uwagę i eliminując: atak serca, chorobę zastawki, zapalenie mięśnia sercowego, ciężki przypadek stenozy, czyli zwężenia zastawki aorty, niedokrwienie serca i tym podobne. Wydał werdykt, iż przyczyną zgonu był zator tętnicy płucnej. Okoliczności były klasyczne. Człowiek, którego czeka rychła śmierć budzi się z uczuciem nadchodzącej zguby. Czuje, że musi opróżnić pęcherz. W szpitalu rutynowym objawem u pacjenta jest prośba o basen na krótko przed utratą przytomności i agonią. Profesor Cameron przywołał obraz zmarłego prezydenta, który budzi się w takim stanie i spieszy do łazienki. Tam traci przytomność i pada na podłogę, przy okazji uderzając się w głowę o umywalkę. Na czole miał zadraśnięcie. Tam też umiera w przeciągu kilku minut. Niedługo potem budzi się jego żona ze świadomością, że obok nie ma męża. Znajduje ciało.

Profesor Cameron przeprowadził badanie w asyście dr Cale'a. Ja pełniłem przynależną mi funkcję, która polega na sporządzaniu notatek. Niemniej jednak, patrząc nawet ze swojego stosunkowo oddalonego punktu obserwacyjnego, nie byłem przekonany i nie zgadzałem się z werdyktem profesora Camerona.

- Na jakiej podstawie? - spytał Kuusinen.

- Trzech konkretnych wątpliwości. Po pierwsze, sam skrzep. Skrzep przedśmiertny, to znaczy ten, który tworzy się w innej części ciała i powoduje śmierć, ma strukturę różną od skrzepu pośmiertnego, czyli tego, który powstaje po śmierci. Różnice w strukturze widać nie tylko przez mikroskop: płytki krwi, włóknik i białe oraz czerwone ciała są zupełnie wymieszane. Także gołym okiem można stwierdzić, że wygląda inaczej, posiada bowiem swoistą chropowatość, cechę charakterystyczną przejętą od ścianek naczyń macierzystego. Tymczasem skrzep pośmiertny jest gładki, a pod mikroskopem można zobaczyć, że czerwone i białe ciała stężyły w warstwach, białe nad czerwonymi. W klasycznych przypadkach ten rodzaj skrzepu ma błyszczącą powierzchnię i w branży nazywa się go „tłuszczem kurczęcia”. Z tego, co powiedziałem, różnicę trudno zauważyć, nawet wprawnym okiem.

Moim drugim zarzutem jest to, że zdaje mi się, iż ciało prezydenta Hawkinsa nie przybrało odpowiedniego koloru. Oczekiwałem ciała prawidłowo zasinionego: w kolorze purpurowawo-niebieskim. Tymczasem nie było ono ani różowe, ani, jak na moje oko, prawidłowo zasinione.

- Jakie znaczenie ma kolor? - spytał Reisch.

- Zazwyczaj wskazuje na wystąpienie obcego czynnika we krwi. Ktoś, kto zmarł wskutek zatrucia tlenkiem węgla lub komu podano cyjanek, jest różowy, nawet po śmierci. A prezydent Hawkins nie był prawidłowo zsiniony.

Na kilka chwil zapadła cisza, podczas której Kuusinen i Reisch zagłębili się w rozmyślaniach.

- Czy wyraziłeś głośno swoje zarzuty? - spytał Kuusinen.

- Nie. Trzymałem język za zębami i robiłem notatki. Musicie panowie zrozumieć, że medycyna sądowa jest w najwyższym stopniu zhierarchizowana. Profesor Cameron jest w całym tego słowa znaczeniu generałem, a ja skromnym porucznikiem. Co więcej, profesor zawsze miał skłonności autokratyczne, a ostatnio było z nim nawet gorzej. Gdybym w jakikolwiek sposób zakwestionował jego autorytet, zwyczajnie kazałby mi opuścić salę.

- A ten doktor Cale? Czy nie zauważył, że coś jest nie w porządku?
- Dwie rzeczy, które mają znaczenie w przypadku doktora Cale'a: jest lekarzem zarówno ambitnym, jak i kiepskim. Pierwsza cecha sprawia, że zamiast narażać swoje widoki na awans, wolałby zgodzić się z profesorem Cameronem, niezależnie czy upierałby się on, że denat zmarł na zator tętnicy płucnej, czy na wrastający paznokiec. Druga zaś oznacza, że prawdopodobnie nie zauważyłby różnicy pomiędzy tymi dwiema dolegliwościami.
- Wspomniałeś o trzech zastrzeżeniach.
- Istotnie - odrzekł Fineberg cicho. - Otóż nasz świętej pamięci starszy asystent, Simon Bartlett, zmarł sześć miesięcy temu. Profesor Cameron przeprowadził sekcję i oświadczył, że - podobnie jak prezydent Hawkins - Bartlett zmarł na zator tętnicy płucnej.
- Fineberg przeniósł wzrok z Reischa na Kuusinenę i z powrotem.
- Kiedy studiowałem na uniwersytecie, zawsze pamiętałem, że trzy faule oznaczają czerwoną kartkę.
- Czy profesorowi Cameronowi nie wydało się to dziwne?
- Nie - odparł Fineberg prosto. - Przypomniałem mu o tym później i było dla mnie jasne, że o wszystkim zapomniał.
- Zapomniał? Jak mógł zapomnieć?
- Profesor Cameron cierpi na początkowe stadium starczego zaniku pamięci. Człowiek starzeje się tak szybko, jak jego naczynia krwionośne, a profesorowi zarosły one osadem, jak stare ołowiane rury. Ciało i rozum nie zawsze zgadzają się umrzeć razem. Obecne diagnozy profesora są błędne. Prawdę mówiąc w ubiegłym roku mało zajmował się pracą w klinice. Wkrótce przejdzie na emeryturę. To godne pożałowania, że protokół i procedura wymagają, by kiedy „wielki człowiek” - Fineberg podniósł obie dłonie, by palcami wskazującymi zaznaczyć w powietrzu cudzysłów, - jak prezydent umiera, to inny „wielki człowiek” medycyny przeprowadza sekcję.
- Jeśli profesor Cameron nie udziela się za wiele w zakładzie, kto wszystkiego dogląda? - spytał Kuusinen.
- Ja, i dr Cale.
- Powiedział pan, że dr Cale nie jest dobrym lekarzem?

- Dr Cale posiada kwalifikacje do wykonywanego zawodu. Nie oznacza to jednak, że jest w nim naprawdę dobry. Jestem pewien, że tymi *F-16* latają kwalifikowani piloci myśliwscy, o których goście z *Top Gun* nie mają najlepszej opinii. Mam także pewność, że w polityce działają osoby, senatorzy lub ktokolwiek inny, których ludzie tacy jak panowie uważają za mało skutecznych. Bogiem a prawdą, dla większości wykonywanych badań nie potrzeba nam dedukcyjnych umiejętności Sherlocka Holmesa albo Quincy'ego, by określić przyczynę śmierci. Zabici w wojnach gangów narkotykowych umierają podobnie jak inne ofiary wojen. Różnicę między szkodą wyrządzoną przez kulę rewolwerową, a kij do baseballa widać gołym okiem. Nie trzeba uciekać się do mikroskopu.

- Jednak spotkał się pan już w swojej karierze z bardziej subtelnymi formami śmierci? - sondował Kuusinen delikatnie. - Jak zator tętnicy płucnej lub różne rodzaje zatruc?

- Zdobyłem stypendium Hawthorne'a i Złoty Medal w patologii klinicznej. Otrzymałem najwyższe wyróżnienie na roku - odparł Fineberg. Wieściówka niespodziewanie stała się wyniosła, pewna, że we własnej dziedzinie czuje się tak mocno, jak ci, którzy ją otaczają, w swoich.

Reisch podniósł słuchawkę telefonu i wybrał krótki numer.

- Charlie? Czy mógłbyś pozwolić tu na chwilę?

Zwrócił się na powrót do Fineberga.

- Vernon, chciałbym teraz na ten temat zamienić kilka słów z Liefem. Chcę, żebyś wiedział, że ogromnie doceniamy odwagę, jaką wykazałeś przychodząc zobaczyć się z nami. Charlie zaprowadzi cię do bufetu, a niedługo spotkamy się ponownie. Nie muszę cię chyba pouczać, żebyś nikomu nic nie powtarzał. Ani Charliemu, ani nikomu.

Kiedy drzwi się zamknęły, Reisch zwrócił się do Kuusineny.

- W tej chwili, nie licząc dobrego doktora i prezydenta, tylko ty i ja coś o tym wiemy. To miejsce już tradycyjnie przecieka bardziej niż sito podczas burzy, zatem zamierzam ograniczyć listę wtajemniczonych i nie wciągać na nią nikogo więcej.

- Żadnego oficjalnego dochodzenia?

- Nie. Z dwóch powodów, z których każdy jest dla mnie jednakowo

ważny. Po pierwsze, jeśli Fineberg ma rację i ktoś rzeczywiście dopuścił się zamachu na prezydenta Hawkinsa, to w przypadku, gdy był on agentem obcego mocarstwa, miał miejsce akt agresji. W amerykańskiej opinii publicznej drzemią ogromne rezerwy moralnego oburzenia, które mogą obudzić takie potajemne czyny. Weź pod uwagę nastroje narodowe wywołane w ciągu jednej nocy czymś takim jak Pearl Harbor. Gdyby taka wiadomość dotarła do opinii publicznej, nieustannie naciskano by na nas, byśmy dowiedzieli się, kto to zrobił, i odpłacili z nawiązką. Oczywiście możemy wziąć odwet, ale tylko wtedy, gdy dowiemy się kto, jak i dlaczego. A to prowadzi do mojego drugiego zastrzeżenia. Najlepszym sposobem, by nigdy nie dowiedzieć się kto, jak i dlaczego, to podać tę nowinę do publicznej wiadomości. Okręt naszego dochodzenia zostanie zmontowany strasznym nakładem wysiłku i czasu. Biurokratyczna walka, by dostać się na pokład sprawi, że lista pasażerów wydłuży się i większość z nich, tłocząc się na mostku, będzie próbowała wydrzeć dowodzenie z rąk kapitana. Statek będzie nieustannie zbaczał z kursu za przyczyną wezwań, by odwiedzić zapadłe regiony Wzgórza Kapitolu pod nieustannym ostrzałem z góry prowadzonym przez wrogie elementy, które nie dostały się na pokład. Po miesiącach jałowej egzystencji okręt pójdzie na dno - pozbawiony steru, dryfujący kadłub. A do tego czasu i tak sytuacja może nas zmusić do wypowiedzenia wojny. Mam tylko nadzieję, że zrobili to kolumbijscy baronowie narkotykowi. Nikt nie podniesie larum, jeśli wyślemy ich bombami w zaświaty. Zgadzasz się?

Kuusinen skinął głową.

- Nasz system rządu zaprojektowano tak, by funkcjonował w małym, izolowanym mocarstwie w czasach, gdy szybkość międzynarodowej komunikacji mierzyło się w tygodniach, jeśli nie w miesiącach. Jednak jako narzędzie sprawowania władzy w kraju numer jeden pod koniec dwudziestego wieku, ery rozwiniętych technologii, posiada on fundamentalną wadę. Od kiedy nastąpił rozłam w koalicji Nowego Ładu nie utworzyła się żadna jednoznacznie większościowa partia. Biurokraci kreują się na wodzów i wdają się w walki plemienne. Komitety KAP wywierają szkodliwy wpływ, którego bynajmniej nie umniejsza ani zwyczaj elektoratu, by dzielić

sympatie pomiędzy przedstawiciele różnych partii, ani wymagania wszechmocnej telewizji czy nieustanna kampania. Istniejący na najwyższym szczeblu rozdźwięk pomiędzy umiejętnościami wymaganymi do prowadzenia kampanii, a niezbędnymi w zarządzaniu sprawia, że krajem zawiadują amatorzy. Wszystko to sprawia, że trudno sformułować przemyślane posunięcia polityczne, a stworzenie rządu consensusu jest wręcz niemożliwe. Za każdym razem, gdy wychodzą na jaw czyny kogoś takiego jak Oliver North, dają się słyszeć głośne protesty. Niewielu jednak zauważa, że takie ukradkowe metody załatwiania spraw stały się obecnie jedynym sposobem, by cokolwiek osiągnąć. Jeśli idzie o zmarłego prezydenta i przypuszczalny zamach na jego życie, to najbardziej żywotną sprawą jest - jak zawsze - rozróżnienie pomiędzy tym, co ważne, a tym, co pilne. Zarówno ważne, jak i pilne jest, byśmy dowiedzieli się, czy na jego życie dokonano zamachu. Ważne jest również, byśmy dowiedzieli się, kto to zrobił i dlaczego, i byśmy podjęli w odpowiedzi stosowne kroki. Nie musimy oczywiście zrobić tego natychmiast. Jednak jeśli ten fakt dostanie się do publicznej wiadomości, wtedy presja mediów wymusi na nas błędny wybór priorytetów. Tak więc, oczywiście, zgadzam się z tobą.

Kuusinen wykładał niegdyś nauki polityczne na Uniwersytecie Harvarda. Reisch wiedział o tym i czasami życzył sobie w duchu, żeby pamiętał, że nie wygłasza już godzinnych wykładów dla studentów. Reisch zdawał sobie sprawę, że system jest wadliwy, ale nic go to nie obchodziło, gdyż funkcjonował w nim na tyle dobrze, by i tak dotrzeć na samą górę.

- Zgoda. Jeśli chcemy się dowiedzieć, kto to zrobił, nie potrzebujemy żadnej komisji. Potrzebujemy jakiegoś podstępnego, bystrego, umiejącego działać po cichu faceta z wywiadu, może wcale nie tak różnego od tych skurwieli, którzy to zrobili. Jeśli ogłosimy to publicznie lub tylko rozszerzymy naszą krótką listę wtajemniczonych, wszyscy - od CIA do Straży Przybrzeżnej - będą prowadzić swoje własne śledztwa. Wody zmętnieją, jak strumień na wiosnę. Ty jesteś doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego. Prezydent ma chęć ustanowić ciebie naszym zastępcą od polityki zagranicznej. Jesteś jednym z niewielu, którzy utrzymali się na stanowisku

w kolejnych administracjach, którzy nie tylko posiadają kwalifikacje do wykonywania zawodu, ale - cytując słowa małego doktora - są w tym dobrzy. Jeśli Hawkins padł ofiarą zamachu, pozwolimy ci się tym zająć.

- Dziękuję. Jednego z twoich poprzedników, Jacka Watsona, który obejmował to stanowisko za Cartera, zapytano kiedyś, jak oceniłby swoją pracę w terminologii sportowej: czy gra rolę napastnika, czyli kreuje chwalebny wizerunek, czy raczej bramkarza, lub też pomocnika. A może dyryguje wiwatami tłumu? Odparł, że obraz, który najłatwiej przychodzi mu do głowy, to łapacz oszczepów. Czy mam rozumieć, że proponując mi to zajęcie zarazem wybierasz mnie do tej potencjalnej funkcji?

Reisch uśmiechnął się.

- Proponujemy ci zarazem szeroką władzę.

- Która wiąże się z odpowiedzialnością - odparował Kuusinen kwaśno. - Tak, wiem. Ale po pierwsze musimy dowiedzieć się, czy dokonano zamachu na prezydenta Hawkinsa, co oznacza, że pozwolimy doktorowi Finebergowi dobrać się do trupa bez niczyjej wiedzy. Widzę tu pewien problem. Mianowicie zmarły prezydent spoczywa w Katedrze Narodowej i ma być uroczystie pogrzebany jutro rano.

- Tak, to prawda - zgodził się Reisch. - Pomyśleliśmy, że w tej kwestii także mógłbyś nam pomóc.

◆ Plac Radziecki, Moskwa

Okalające plac drzewa wspierały się o siebie tworząc liściasty tunel, pod którym na parkowych ławkach siedziały babuszki, niczym worki kapusty wystawione na sprzedaż. Ogromna rzeźba księcia Jerzego Dołgorukiego ustawiona w najpiękniejszej części miasta, które założył dawno temu, spoglądała w dół ze swojego konia na sznury błyszczących Czajek i Wołg, które tłoczyły się na krawędzi placu. Limuzyny czekały pod najdroższymi sklepami i restauracjami na tych, którzy mogli sobie na nie pozwolić. Ponad czubkami olbrzymich drzew w księcia wpatrywał się granitowy posąg Lenina ściskającego w dłoni plik kartek, którego osoba stanowiła niegdyś najpopularniejsze w Rosji tworzywo artystyczne i który maszerował naprzód w chwalebny, bezklasowy wiek.

Przed „Aragwi” Jurij czekał wraz z innymi szoferami, aż arystokratyczni

goście skończą jeść, pić, robić zakupy lub uprawiać miłość. Wzdłuż południowej części placu ciągnęły się dobre sklepy, takie jak „Ałmaz” z biżuterią i oferujący bursztyny Jantar”. Po drugiej stronie ulicy znajdowała się „Bieriozka”, gdzie można nabyć żyrandol do mieszkania lub włoski kryształ, by mieć z czego pić szkocką whisky, a trochę dalej księgarnia „Družba”, gdzie czasem nawet zwykli śmiertelnicy mogli załapać się na egzemplarz Turgieniewa czy Tołstoja, pod warunkiem, że przyczynili się do oficjalnych wykazów zbytu i do towarzystwa klasykom dokupili cztery lub pięć książek na temat marksizmu-leninizmu i Komsomołu.

Dwie Czajki dalej, cierpliwym ruchem szoferów na całym świecie, jakiś weteran kierownicy zdmuchiwał niewidoczne pyłki, które osiadły na jego samochodzie. Z restauracji „Aragwi” wyłoniła się platynowa blondynka w wykończonym futrem płaszczu z młodszym od niej o dziesięć lat mężczyzną u boku; kierowca wsunął szmatkę do bocznej kieszeni w drzwiach Czajki. Przystanęła, by zamienić z nim kilka słów. Szofer rozpromienił się i skinął głową. Wtedy odwróciła się do swojej eskorty obładowanej dużą liczbą paczek zawiniętych w dyskretny brązowy papier i obydwójce podszli do Jurija, który stał obok czarnej limuzyny. Jurij spojrzał w oczy młodemu mężczyźnie wzrokiem, który wyrażał jedynie pytanie.

- Słucham, proszę pana?

- Aleksieja Tołstoja - rozkazał Otari i, obróciwszy się do blondynki, otworzył przed nią drzwi. - Numer...

- Trzydzieści dwa - rzuciła kobieta chrapliwie. - Pokażę.

Gdy wsiedli i Jurij zamykał drzwi z zasłonami ze wstążek, kobieta opadła na obite skórą siedzenie i krzyżując buty od Kurta Geigera wyjęła paczkę Cameli z torebki od Gucciego. Bez wątpienia miała minę kogoś, kto zjadłszy wspaniałą posiłek gotował się, by skonsumować deser.

Kiedy Jurij usiadł za kierownicą i ostrożnie wycofał samochód na plac, aromat gruzińskiego szampana i pikantnego kebabu przygłuszył dym tytoniowy i świeży powiew Yves Saint Laurenta z okolic imponującego rozłamu pomiędzy jej piersiami. Otari odchylił się do tyłu na poduszki z naturalnym wdziękiem osoby sprawnej fizycznie i, złapawszy wzrok Jurija w lusterku wstecznym, wyszczerzył się w uśmiechu.

Jurij wyjechał z placu i skręcił na północ w Twerską, dawniej ulicę Gorkiego, a potem dalej, na obwodnicę Bolszaja. Gdy ogromna, wykuwająca nowy świat kowalskim młotem proletariacka Artemida zniknęła za trolejbusem numer 1, Jurij skierował Czajkę w ruch uliczny, który płynął szerokim, ośmiopasmowym bulwarem. Jadący przed nimi szofer eleganterki skręcił w stronę Hotelu Centralnego, by zamienić swoją Czajkę w taksówkę i spędzić wolny czas na własny rachunek.

Kobieta, która zachłannie trzymała upierścienioną dłoń na umięśnionym udzie Otariego, mieszkała nad Aleksandrem Borodinem. Była żoną zapracowanego aparaczyka z Komitetu Centralnego, którym interesy rzucały po całym Związku Radzieckim. Od samego początku ich związek miał charakter kontraktu. On posiadał talent i ambicje, ona - jako córka biurokratycznej arystokracji drugiego pokolenia - kontakty. Nie mieli dzieci, a gdy się postarzel, obydwójce dostrzegli, że cechy, które uważali w sobie za atrakcyjne, to dokładnie te, które zanikają z czasem. Obydwójce byli *coureurs de jeunesse*: on w podróży po całym imperium, ona tymczasem w domu.

Jurij i Otari dowiedzieli się tego wszystkiego dzięki grzeczności jednego z ochroniarzy spod numeru 32 na ulicy Aleksieja Tołstoja, jednonogiego weterana Specnazu z wojny w Afganistanie. Otariemu nietrudno przyszło zawrzeć z nim znajomość, podzielić się wspomnieniami i paroma butelkami Stolicznej, zwłaszcza że tę dobrą i sławną markę zarezerwowano na eksport w twardej walucie, podczas gdy tym, którzy walczyli za ojczyznę i w tej walce potracili kończyły pozostało picie marki tak siermiężnej, jak jej nazwa, która brzmiała po prostu „Wódka”.

Sierżant Waszurkin był zachwycony, że ma okazję poznać sobie ze współweteranem. Już po paru minutach mówili do siebie „kumie”. Wyszkolony w wydobywaniu informacji Otari uzyskał krótką charakterystykę wszystkich mieszkańców bloku. Jak każdy sługa, Waszurkin lubił plotkować o słabostkach swoich pracodawców. W końcu rozmowa zesłała na panią Głotow. Obsceniczny ruch przedramienia starego strzelca wyjaśnił Otariemu, jaka jest jej główna życiowa podnieta, a po tym jak Jurij przeprowadził penetrację jej konta bankowego, łatwo domyślili się, gdzie chodzi na

obiady i robi zakupy. Informacja o tym, że wraz z innymi podobnie znużonymi żonami stołowała się w słynącej z gruzińskiej kuchni „Aragwi” delikatnie sugerowała, iż prawdopodobnie przekonała się, że w ludowych przypowiastkach tkwi ziarno prawdy. Gruzini, którzy połyskiwali jak sztylety na tle flegmatycznych Rosjan, cieszyli się reputacją wspaniałych kochanków. „Łubudubu” było tym, czym można podsumować miłosne zapasy przeciętnego rosyjskiego mężczyzny, podczas gdy Gruzini - jak głośiły plotki - mieli pojęcie o grze wstępnej.

Zapoznawszy się z tymi faktami Otari z łatwością przedzierzgnął się w wojennego bohatera Specnazu, którym przecież był, i syna zamożnego Gruzina, co wzięwszy pod uwagę fakt, że dysponował własną limuzyną z szoferem oznaczało, że jego „ojciec” jest prawdopodobnie jednym z milionerów podziemnej gospodarki. Tak się szczęśliwie złożyło, że podczas swych częstych podróży miał okazję nabrać umiejętności zarówno w sztuce miłości, jak i w zadawania śmierci.

Jurij skręcił z Aleksieja Tołstoja na zadbane podwórko przed wysokim, wybudowanym z żółtej cegły budynkiem z balkonami i dużymi oknami. Zaparkował i otworzył drzwi pasażerom.

- Weźcie paczki - rzucił Otari niedbale. Jurij wyjął pakunki z bagażnika i ruszył za nimi. W powiewie płaszcza pani Glotow przemknęli obok dyżurki ochroniarza i dalej w stronę windy. Nie siedział tam ten sam mężczyzna, który miał dyżur, kiedy Jurij przyjechał zainstalować twardy dysk w procesorze Borodina. Jednak na wszelki wypadek Jurij założył płaski kapełusz, płaszcz przeciwdeszczowy i obłożył się paczkami. Nikt nie rozpoznałby w nim profesora uniwersytetu moskiewskiego.

Blok był taki, jakim go zapamiętał. Wyłożone dywanami korytarze, cicha zachodnia winda (bez żadnych chwiejnych, składanych, drewnianych drzwi), dyskretne oświetlenie i hol, który nie cuchnął wszechobecnym karbolem. Wysiedli na dziewiątym i pani Glotow sięgnęła do torebki po klucze do pięknych, mahoniowych drzwi swego mieszkania. Kładąc paczki w przedpokoju Jurij omiół wzrokiem luksusy rodem z Finlandii, które kazałyby przeciętnemu proletariuszowi nawoływać do rewolucji komunistycznej.

- Zaczekaj na mnie na zewnątrz - rzucił Otari.
- Dobrze, proszę pana.

Gdy drzwi się za nimi zamknęły, Jurij przywołał windę. Jednak kiedy przyjechała, zjechał w dół tylko o jedno piętro. W blokach dla tego rodzaju obywateli nie trzymano dyżurnych na każdym piętrze. Nieskalanie czysty korytarz świecił pustką. Sięgnął do kieszeni po narzędzia, w których użyciu tak wytrwale ćwiczył się pod okiem Otariego, i przypuścił szturm na zamki, które zabezpieczały mieszkanie Aleksandra Borodina.

Wszystko poszło tak jak rankiem, gdy w niecałe dwie minuty otworzył nieznanego Chubba, i z wielkim uczuciem ulgi wślizgnął się do środka.

Zapomniał, jak dziwacznie wyglądał ten pokój. Zewnątrz skorupa mieszkania była wytworem moskiewskich przywilejów, wewnątrz zaś chińskiego imperium. Starodawne drewniane flizy, kałamarze i pędzelki znajdowały się tu wraz z magnetowidem i telewizorem Sony. Drewniane krzesło z narzuconą na nie kapą ze skóry tygrysa stało przed komputerem - siedzenie księcia Yansheng. Na ścianach wisiały dawne symbole władzy - proporce i broń, medale, słoneczne parasolki, wachlarze, bębenki i kaligrafie.

Takie zainteresowanie obcą kulturą wysłałoby większość obywateli Związku Radzieckiego w bezpowrotną podróż do szpitala psychiatrycznego na zabieg uporządkowania myśli, ale w przypadku Aleksandra Borodina to wdzięczny pracodawca подарował mu te egzotyczne eksponaty. Borodin wiedział wszystko o Chinach. Nigdy się nie mylił.

Na widok pokoju Jurijowi przeszły ciarki po plecach.

Usadowiwszy się przed Amstradem wkroczył na znane sobie terytorium i objął nad nim dowództwo. Osobiście zaprojektował i zainstalował system zabezpieczenia komputera i plików. Włączył urządzenie i kiedy, budząc się do życia, mała maszyna wydała z siebie serię rutynowych, elektronicznych pomruków, usłyszał pierwsze, rytmiczne odgłosy, które przenikały słabo przez sufit. Uśmiechnął się i zaczął płądrować maszynę, tak dokładnie, jak pewnie Otari płądrował panią Głotow albo może jak ona jego.

Na biurku coś się zmieniło. Pojawiła się fotografia w starej, przybrudzonej ramce, która przedstawiała grupę ludzi w dziwacznych strojach.

Stojąc przed jakąś przykrytą śniegiem szopą wyglądali na znużonych i biednych. *Żydzi? Zakljuczonnyje?*

Szklana szybka nie połyskiwała czystością. Jej powierzchnia była zamazana. Aleksander Borodin całował starą fotografię. I to wiele razy.

Jurij odstawił zdjęcie na miejsce. Im szybciej wydostanie się z tego niesamowitego pokoju, tym lepiej.

Po niespełna pół godzinie zjechał windą do holu. Pomachał ochroniarzowi i pokłusował lekko na dwór. Zwój papieru komputerowego tkwił w wewnętrznej kieszeni jego płaszcza. Gdy usiadł na siedzeniu Czajki, poczuł, że pot zaczyna schnąć.

Z Aleksieja Tołstoja wjechał na podjazd malutki, podstarzały, ale starannie utrzymany Zaporozec 968. Jego kierowca dostrzegł błyszczącą Czajkę i zmieniawszy kierunek zaparkował obok. Ogromny mężczyzna w mundurze ochroniarza niemal rozsadał wewnątrz mini-samochodu. Wlepił badawczy wzrok w Jurija, który na nowo oblał się potem.

Kiedy ponaglającym gestem podniósł w górę cztery paluchy, w precyzyjnym mózgu Jurija zapanowała całkowita pustka.

Zirytowany brakiem odpowiedzi olbrzym odkręcił skrzypiące okno. Ze środka ryknęła „Maszyna Wriemieni”, a głuchy odgłos gitary basowej wyciskał z wątego radia pisk, który wzbogacał rockową muzykę.

- Benzyna, hę? - wychrypiał i ponownie wyciągnął cztery palce. - Czterdzieści litrów, dobra?

Olśnienie spłynęło na Jurija. Skinął nieznacznie głową i uruchomiwszy Czajkę pojechał za strażnikiem w dół na podziemny parking, gdzie ten szybko i sprawnie zlał przez rurkę czterdzieści litrów państwowego paliwa z Czajki. Zanim przelał ją do własnego baku, zapłacił Jurijowi rubel dwadzieścia kopiejek za litr, czyli około jednej trzeciej urzędowej ceny.

- Rozminąłem się z moim regularnym dostawcą - zwierzył się ochroniarz. - Serce skoczyło mi z radości, gdy was zobaczyłem.

Kiedy odjeżdżał z niespodziewanym bogactwem w kieszeni, Jurijowi trzęsły się ręce. Ponownie zaparkował przed blokiem, z którego w chwilę

później nonszalanckim krokiem wyszedł Otari. Opadł niedbale na tylne siedzenie, a Jurij zapuścił silnik i wyjechał na ulicę.

- Dostałeś, co chciałeś? - mruknął Otari.

- Tak. A ty?

- Zostawiłem ją w ekstatycznym uniesieniu, ale ze złamanym sercem - odparł żołnierz zawadiacko. - Posmakowała nieba, ale nie wie, dokąd pójść, by znów je dostać. Powiedziałem, że muszę wracać do Gruzji.

Jurij uśmiechnął się, widząc zroszone kropelkami potu czoło Otariego

- Było aż tak ciężko?

Otari plasnął rubasznie pięścią jak baleron we wnętrze dłoni.

- Prawdziwy kurs szturmowy - przytaknął, szczerząc zęby w uśmiechu.

Pojechali prosto do dachy Mazurowa. Było piękne wiosenne popołudnie i stary siedział na drugim piętrze drewnianego domu na aluminiowym leżaku na balkonie, z którego rozciągał się widok na rzekę. Wsiadając w świerkowe i brzozowe lasy grała cygańska muzyka. Głuchy na muzykę Nikołaj Serow siedział niespokojnie w głębi balkonu.

Dostrzegłszy plik papieru w dłoni Jurija Mazurow zaproponował piwo, a obydwaj mężczyźni skwapliwie wyrazili zgodę: Jurij, by uspokoić nerwy, a Otari, ponieważ jak większość żołnierzy sił specjalnych, nie pił podczas pracy, ale po godzinach nadrabiał straty. Gdy przeżykali pierwsze hausty, stary przejrzał dokumenty, które Jurij wydobyl z komputera Borodina.

- O to chodziło? - spytał Jurij z niepokojem.

- Tak - odparł Mazurow z prawdziwą satysfakcją.

Serow z dumą pogłaskał syna po głowie.

- Dobrze się sprawiłeś, mój zuchu. Obydwaj dobrze się sprawiliście.

- Teraz jesteśmy bezpieczni - rzekł Mazurow. - Będę was prosił, żebyście zrobili kopie. Jak to znalazłeś?

- To proste. Wywołałem listę plików, w których wymieniano nazwisko Janowa - czy to dlatego, że w nich występował, czy też był na „liście wtajemniczonych”, którzy mogą je przeczytać. Widzicie, to jest ta pierwsza strona. Potem musiałem tylko wywołać te pliki i sprawdzić zawarte w nich informacje. Ponieważ podaście mi przybliżoną datę, poszło bardzo szybko.

Mazurow spojrzał na listę.

- Borodin wykonał dla Janowa wiele zleceń. To rozumiałe. Teraz, gdy Amerykanie nie są już naszymi najzagorzalszymi wrogami, najbardziej zamartwia się właśnie Chińczykami i Japończykami.

Mazurow przyjrzał się pozycjom na wydruku. Coś go w nich zafascynowało i Jurij pochylił się do przodu.

- To... - długi palec Mazurowa zatrzymał się. - Tutaj, osiemnaście miesięcy temu, czy to lista tych, którzy mogą przeczytać ten plik?

- Tak, to „lista wtajemniczonych”. To oczywiście jakiś ściśle tajny dokument. Dostęp ma tylko pięciu ludzi: sekretarz generalny, minister obrony Deljuszyn, generał Ogarkow, szef KGB Kobulow i patriarcha Kościoła Prawosławnego Zossima. Dziwne... dlaczego on?

- *Zarnica* - wymamrotał Serow pochylając się nad ramieniem Mazurowa. - „Błyskawica” to szyfrowa nazwa.

Mazurow podniósł wzrok znad kartki i spojrzał na dwóch młodych mężczyzn.

- Muszę zobaczyć ten dokument - powiedział cicho. - Proszę was, byście jeszcze raz zrobili to, co dzisiaj.

Otari uśmiechnął się szeroko, a Jurij poczuł nowe ukłucie strachu. Cholerńi żołnierze Specnazu, interesuje ich tylko picie, pieprzenie i zabijanie ludzi - pomyślał gorzko.

- Jutro.

Gdy młodzi wyszli, Serow odwrócił się do Mazurowa z na nowo przebudzonym strachem w oczach.

- Jakie znaczenie ma „lista wtajemniczonych”? Jurij ma rację, dlaczego jest na niej patriarcha Kościoła?

- Ten facet z Zagórskiego Monastynu? Nie byłeś ze mną na paradzie w Leningradzie? Umknęło ci jej znaczenie?

- Upamiętnienie zwycięstwa Newskiego?

- Popi i żołnierze gromadzą się razem, by uczcić pamięć ważnego wydarzenia w procesie tworzenia państwa rosyjskiego. Kościół Prawosławny odrodził się i znów jest potęgą na tej ziemi. W nowym, niekomunistycznym świecie wojsko i Kościół to sama esencja rosyjskości.

Złożył kartki papieru i wsunął je do kieszeni marynarki.

- Lista wtajemniczonych? To jest *Stawka* - zawyrokował. - A *Stawka* służy tylko jednemu celowi.

Kiedy Serow wyszedł, by w swoim mieszkaniu na Wzgórzach Lenina spędzić noc pełną niepokoju, Mazurow siedział pogrążony w myślach, podczas gdy cienie wydłużały się, a wielka, niewidoczna rzeka płynęła w dole. Wojny, które prowadzono, żeby położyć kres dalszym wojnom zmieniły tych, którzy je przeżyli. Jak jego rodacy, Mazurow zmienił się pod wpływem Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Posunięcia, które Zachód uważał za wrogie i agresywne, widziane z wnętrza stalowego pierścienia opasującego ZSRR okazywały się jedynie obronne. Wojna w Afganistanie nie była chybionym przedsięwzięciem imperialnym, ale wsparciem granicznej linii obrony.

Mazurow pamiętał kompletny chaos, który nastąpił po niemieckiej inwazji w 1941 roku. Żołnierze i cywile padali jak muchy, a w Moskwie przez długie miesiące wyglądało na to, że dźwignie władzy nie są połączone z niczym innym, prócz pustego powietrza. Dopiero perspektywa rychłego zawiśnięcia na stryczku albo czegoś jeszcze gorszego cudownie skoncentrowała umysły ludzi na rządowych stanowiskach. Stalin i garstka najwyższych urzędników, których oszczędził podczas czystek, kręcili się jak w ukropie, pozbywając się nieporęcznego i nieskutecznego systemu dowodzenia z okresu przedwojennego. Podobnie jak posyłając duchownych między żołnierzy Wódz liczył na pomoc kogoś, kto nie miał racji bytu, a mianowicie Boga, tak też na czas wojny zarzucił całe to partyjnopolityczne zawracanie głowy. Nieporęczna Główna Rada Wojskowa poszła na boczny tor, a jej miejsce zajęła Kwatera Główna, znana jako *Stawka Wierchownowo Gławnokomandowanija*, albo po prostu *Stawka*. Mazurow dobrze znał ten okres historii, gdyż jako pierwszy sekretarz Komsomołu na Ukrainie musiał pisać dla *Stawki* sprawozdania, a ponadto miał do czynienia z jej przedstawicielami, których wysyłano, by przekazywali oddziałom frontowym strategiczne rozkazy i koordynowali ruchy jednostek podczas operacji strategicznych. Właśnie wtedy jego umiejętności administracyjne zwróciły uwagę takich ludzi jak Główny Przedstawiciel *Stawki* Żukow i

otworzyły mu drogę do najwyższych stanowisk w kraju.

W czasie wojny *Stawka* była niedużą grupą dowodzącą, która składała się z sześciu do siedmiu ludzi pod przewodnictwem Stalina. Jej wartość dla stworzenia silnie scentralizowanego i zjednoczonego przywództwa polityczno-wojskowego była tak duża, że pozostała modelem dla radzieckiego Naczelnego Dowództwa czasu wojny.

Gospodyni, która trzepotała się wokół, niczym zaniepokojona kura, zdołała w końcu namówić zmarzniętego i zeszywniałego Mazurowa, by wszedł do środka. Zaganiając swojego pracodawcę w stronę gorącej wanny i ciepłych ubrań, rzucała mu niespokojne spojrzenia. Staruszek wygląda na chorego - pomyślała zastanawiając się, jakie to wiadomości przywieźli mu młodzi chłopcy.

Wojny, które prowadzono, by położyć kres dalszym wojnom zmieniły tych, którzy je przeżyli. Myśl o kolejnym wielkim konflikcie wydała się Mazurowi niedopuszczalna. Potęga radzieckiej maszyny wojennej i wszystkie społeczne wyrzeczenia, podejmowane w celu jej utrzymania, miały gwarantować, że nigdy nie dojdzie już do wojny, ponieważ żaden kraj nie pomyślałby nawet o zaatakowaniu tak dobrze uzbrojonego kraju.

Aleksander Borodin przygotował raport przeznaczony dla oczu tylko pięciu osób: prezydenta Janowa - człowieka tak zdecydowanego, by utrzymać swój naród w szeregu mocarstw, jak Piotr Wielki; ministra obrony, Deljuszyna, który myślał podobnie; Kobulowa, szefa KGB; Ogarkowa, najlepszego generała; i Zossimy, patriarchy Kościoła Prawosławnego, opiekuna rosyjskiej duszy.

Mazurow z miejsca rozpoznał prawdziwe oblicze grupy tych pięciu osób. Miał przed sobą skład grupy głównodowodzącej - *Stawki*, która nie ma racji bytu w czasie pokoju. Jego kraj szykował się do wojny.

◆ Kościół katedralny Świętego Piotra i Pawła, Mount Saint Alban

Niewielka grupa ludzi stała na przestronnym skrzyżowaniu, gdzie do nawy głównej dochodziły północny i południowy transepty, sprowadzone do właściwych proporcji na tle okazałości budynku, który skonstruowano, podobnie jak inne ogromne katedry gotyckie, dla chwały Pana. Rankiem

rozbrzmi tu majestatyczne grzmienie organów i śpiewy chórów, i zawita w to miejsce trzy tysiące znamienitych gości z całej kuli ziemskiej. W ponad dwustu witrażach rozjarzy się światło i nad zmarłym wodzem odprawione zostaną należne obrzędy. Tak nakazywała tradycja. W 1898 roku prezydent McKinley był obecny na poświęceniu Krzyża Pokoju, a dziewięć lat później Theodore Roosevelt uświetnił swoją obecnością uroczystość położenia kamienia węgielnego. W katedrze spoczywał prezydent Wilson. Odbyła się tam także ceremonia pogrzebowa Eisenhowera. Nazajutrz miała nadejść kolej na prezydenta Hawkinsa.

Tymczasem jednak w oknach zalegała ciemność. Katedra pogrążyła się w ciszy, a rzędy starannie poustawianych krzesel świeciły pustką w oczekiwaniu na jutrzejszych gości, którzy spali w stołecznych hotelach. Odziana we wdowią czerń Mae Hawkins patrzyła na kanonika w czerwonej sutannie. Tuż za jej plecami stał Kuusinen z małym, ciemnym księdzem u boku. Oczy kanonika nieustannie strzelały w kierunku przebogatych szat kapłana. Zastanawiał się, do jakiej to neopapieskiej, bałwochwalczej sekty ów należy. Jako profesjonalista rozpoznał, iż są to szaty eucharystyczne, które bezpośrednio wywodzą się z szat samego Pana zaraz po Zmartwychwstaniu. Lecz jakże je przyozdobiono! Spod bajecznego srebrnego ornatu wyzierała błyszcząca biała komża, humerał i alba. Na ornat miał narzuconą stułę oraz przepysznie zdobioną kapę. W ręce trzymał skromną czarną torbę, która, jak posępnie podejrzewał kanonik, kryła w sobie kadzielnicę. Kanonik był członkiem Kościoła Episkopalnego, a nie metodystą, czy prezbiterianinem, rzadko jednak widywał kogoś tak pachnącego Rzymem. W cieniu tej wspaniałej postaci Reisch i dwóch agentów tajnej służby w czarnych garniturach rozplýwali się w nijakość.

- To niedopuszczalne - wymamrotał zrzędlwym tonem kogoś, kogo pozabawiono argumentów. - Trumna zostanie niedługo zamknięta i przeniesiona.

Zarówno będąc żoną gubernatora, jak i Pierwszą Damą Mae Hawkins słynęła z tego, że potrafiła wiele załatwić. Mówiono, że jej miękki południowy akcent potrafił ściąć nieostrożnych z nóg.

- Wasza wielbność - odezwała się. - Doktor Kuusinen należał do

najbardziej oddanych pracowników mego zmarłego męża. Pragnie oddać mu ostatnie wyrazy szacunku tu, w domu Boga, w towarzystwie własnego księdza i jest moim życzeniem, by tak się stało. Kiedy w zamierzonych czasach umierał ktoś rangi mego męża, bardzo prawdopodobne, że towarzyszyłby mu on w tej ostatniej podróży - tak samo jak i pan - czy to w roli księdza czy druida. Proszę zaprowadzić nas do miejsce spoczynku mego męża.

Trumna, dwa metry zdobnego jesionu i mosiądzu, które miało ponieść sześciu najsilniejszych w kraju piechurów, marynarzy i lotników, nie znajdowała się jeszcze w samej katedrze, ale w Kaplicy Betlejemskiej, na poziomie krypt. Kanonik poprowadził ich przez katedrę. Sklepienia żebrowe szybowwały, kolumny pomniejszały ludzi do rozmiaru karłów, łuk i rząd okien w nawie spoglądały na nich z wysoka.

- Poczekamy na zewnątrz - oświadczyła Mae Hawkins i nikt się nie sprzeciwił. Ed Reisch przyniósł krzesło i przypilnował, by zamknięto drzwi za Kuusinenem i księdzem.

Dwaj agenci Tajnej Służby zajęli miejsca. Z wnętrza kaplicy doleciało czyste brzmienie wyszkolonego głosu zaczynającego śpiewać mszę. Wkrótce w nozdrza zaczęła ich delikatnie łaskotać sącząca się na zewnątrz woń kadzidła. Niechęć kanonika przerodziła się w przygnębienie.

W kaplicy Kuusinen i doktor Vernon Fineberg pochyłili się nad otwartą trumną. Mroczna, gotycka, napawająca lękiem kaplica przypominała Kuusinenowi o przemijaniu i znikomości zwykłych śmiertelników. Takie zresztą wrażenia miała wzbudzać. Na ołtarzu miniaturowy magnetofon kasetowy Sony odprawiał prawdziwe nabożeństwo za zmarłych. Obok niego stała czarna torba Fineberga, słoik kadzidła i łyżeczka. Kuusinen dzierżył w ręce kadzielnicę. Kadzidło żarzyło się w naczynku, i gdy kiwał nim lekko, ostry dym wydobywał się przez wymyślny, spiralny ornament ścianek.

- Te szaty podziały naprawdę nieźle - szepnął. - Nikt nawet nie spojrzął ci w twarz.

- Jestem Żydem - mruknął Fineberg, naciągając zielony fartuch na fantastyczny ornat. - Jestem pewien, że to świętokradztwo.

- Jako starszy przedstawiciel administracji - odparł Kuusinen bardzo cicho - też nie powinienem tego robić.

Szybkimi, wprawnymi ruchami Fineberg naciągnął cienkie, gumowe rękawiczki. Na nogach nieboszczyka rozpostarł zielony ręcznik tworząc miniaturowy stoliczek, na którym ułożył pęk narzędzi i dwa plastikowe zbiorniczki.

Pod dłonią balsamiarza zmarły prezydent uzyskał trwałość i dostojęstwo posągu. Odpinając guziki eleganckiej koszuli zręczne palce Fineberga odsłoniły rzeczywistość kryjącą się pod spodem. Zgodnie z praktyką patologów profesor Cameron zrobił cięcie od gardła do łona. Fineberg zwinnie przeciął szwy i otworzył zmarłego prezydenta jakby patroszył rybę. Wewnątrz znajdowały się wszystkie organy usunięte przy badaniu, które potem włożono na miejsce. Kuusinen zgrzytnął zębami z obrzydzenia, gdy Fineberg biegle przeszukiwał odpadki. Odnalezienie jakichś guzków, które dla Kuusineny były jedynie niezidentyfikowanymi paprochami i umieszczenie ich w plastikowych zbiorniczkach zabrało mu minutę, może dwie. Gdy skończył, ujął dużą, zakrzywioną igłę z grubą nicią, i raz jeszcze przywrócił ciału jego kształt.

Zdjął fartuch i rękawiczki, zwinął narzędzia, zebrał pudełeczka z próbkami oraz ręczniki, i ułożył wszystko w torbie. Potem zapiął na powrót koszulę prezydenta. Powietrze było gęste od kadzidła. Podekscytowanie Kuusineny znalazło ujście w energicznym kołysaniu kadzielnicą. Zresztą dobrze się stało, bo zapach ten maskował woń rozkładu.

Na kasecie ksiądz śpiewał ostatnią modlitwę za duszę zmarłego. Gdy jego głos rozplynął się, Kuusinen delikatnie wyłączył urządzenie i włożył je do torby Fineberga, starannie zamykając zamki.

- Dobra robota - pochwalił patologa. Przechodząc obok ciała prezydenta przystanął.

- Przepraszam - rzekł i skłonił się.

Gdy wyszli, dym wciąż snuł się delikatnie z kadzielnicy w dłoni Fineberga. Limuzyny czekały na zewnątrz

Kuusinen powtórnie przystanął w nawie, która rankiem miała zapłonąć światłem. Wysoko ponad głowami widać było „witraż Noego” LeCompte'a, oświetlony przez księżyc, co sprawiało, że zdawał się jeszcze straszniejszy niż w dzień. Widząc, że Kuusinen się mu przygląda, kanonik zatrzymał się obok.

- LeCompte przedstawia zło na ziemi przed potopem pod postacią przerażającej przemocy - wyjaśnił.

Kuusinen dostrzegł dwóch zarzynających się nawzajem żołnierzy oraz wysoki stos czaszek.

- Nie jest to stereotypowe zobrazowanie historii Noego - ciągnął kanonik. - Ale uzmysławia nam jej prawdziwy sens: gniew i wrogość Boga wobec ludzkiej przemocy.

Na zewnątrz Kuusinen zatrzymał się, kiedy Mae Hawkins wsiadała do limuzyny.

- Dziękuję - powiedział cicho. - Bardzo dziękuję.

- Przyjęłam twoją prośbę pod jednym warunkiem - odparła wdowa ponurym, lecz wyraźnym głosem. Oddzielająca ją od kierowcy szyba była zamknięta i nikt nie słyszał wypowiedzianych w tajemnicy słów. - Gdyby okazało się, że mój mąż padł ofiarą zamachu. Przystałeś na to.

- Tak.

- Więc mów.

- Odpowiedzialni za to...

- Tak...

- Zostaną zabici.

- Zrób to - rozkazała. Limuzyna ruszyła z sykiem, a Kuusinen stał i patrzył na katedrę. Wieczorami światło słoneczne wlewało się przez wspaniałe, ogromne różowe okno w zachodniej ścianie i wypełniało wnętrze strzałami załamanych barw, przydawało blasku za dnia, a o brzasku przynosiło obietnicę świtu.

Wielkie okno tonęło w ciemności. Przepętniony złymi przecuciami Kuusinen wsiadł do samochodu.

2.

Wywiad

♦ Żukowka-2, Moskwa

Prawie o tej samej godzinie następnego dnia, przetoczywszy się ścieżką między sosnami i brzozaami, nadjechała Czajka i zaparkowała pod wychodzącym na rzekę balkonem. Tym razem wysiadło z niej trzech ludzi: Jurij, Otari, oraz jego kuzyn, Aleksiej Mazurow, który przebywał na przepustce. Służył w elitarniej pancerniej Gwardii Rogaczewa.

Mazurow podniósł się z krzesła na balkonie, pochylił się nad małym czołgistą i uścisnął go na powitanie.

- Jestem na przepustce. Dobrze przyjechać z powrotem do Moskwy. Stacjonujemy teraz w takiej piekielnej dziurze w Jakucji - wyjaśnił Aleksiej.

- Baw się więc dobrze. I nie zapomnij mnie jeszcze odwiedzić, nim wyjedziesz.

Przeniósł wzrok na Jurija.

- Udało ci się? - wyszeptał. Jurij skinął triumfalnie głową i podał mu złożony plik papieru komputerowego.

- Nie czytałeś tego?

- Zrobiłem, jak kazaliście.

- Tak będzie najlepiej. To, czego nie wiesz, nie wyrządzi ci krzywdy. A Aleksiej? - Mazurow rzucił okiem na drugi koniec balkonu, gdzie jego wnukowie stali oparci o barierkę.

- Jest żołnierzem, jak Otari. Nie zadaje pytań. Przyjemnie spędzili razem czas z tą znajomą. Dziś wieczór Galina przygotowuje dla nas posiłek. Myślę, że później będą chcieli się zabawić.

- Dobrzy z was chłopcy. Otari! Idź do Raji i weź kilka butelek polskiej wódki.

Kiedy już poszli, Mazurow poprosił o herbatę w swojej wysokiej szklance i otwierając dokument, stał się szóstą osobą dopuszczoną do tajemnic operacji „*Zarnica*”.

Biorąc pod uwagę zawartość, raport miał bardzo suchy tytuł: „Przyszłość stosunków chińsko-rosyjskich”.

Borodin zaczynał od krótkiego przypomnienia sytuacji wewnątrz Związku Radzieckiego. Zauważał, że *uskorienije*, *pieriestrojka* i *głasnost'* wzniciły nadzieje na masło i dżinsy oraz rozjątrzyły nacjonalizmy w łonie nierosyjskich ludów imperium. Gdy przyjrzeć się historii, widać, że ZSRR odkrajała wojskowy kawałek tortu gospodarki mocno na niekorzyść oczekiwani obywateli i wzrostu ekonomicznego. Borodin wskazywał trzeźwo, iż choć Wielka Brytania była niegdyś bezdyskusyjnym liderem przemysłowym na świecie, w przeciągu stu lat jednoprocetowe opóźnienie we wzroście wydajności zmieniło ją w kolejny kraj, którego cudzoziemcy nie mogą umiejscowić na mapie.

Sens wszystkich reform rozpoczętych przez Gorbaczowa i kontynuowanych przez Janowa, sens samego Traktatu Pokojowego, polegał na tym, żeby zmusić system do lepszego funkcjonowania, tak aby Związek Radziecki utrzymał status wielkiego mocarstwa w pełnym turbulencji nadchodzącym wieku nowej technologii. Oznaczało to wzrost gospodarczy... i wydajność. Dni, w których uzyskiwało się wysokie wskaźniki wzrostu drogą wrzucania ogromnej ilości personelu, surowców i energii do jednego kotła, dawno przeminęły. Nowoczesne technologie wymagają wyrafinowania.

Następnie Borodin zaczyna omawiać Chińską Republikę Ludową. Jak przyznaje, była najbiedniejszym i najgorzej położonym strategicznie spośród wszystkich ważniejszych mocarstw. Aczkolwiek, stwierdza, jej przywódcy wypracowali wspaniałą strategię, która była o wiele bardziej spójna, przyszłościowa i długoterminowa niż którakolwiek z tych, na które natrafiamy w Waszyngtonie, Tokio, Zachodniej Europie... lub Moskwie.

Reformy i samouzdrowienie ucieleśnione w „Czterech Modernizacjach” Deng Xiaopinga nie tylko zakończyły się sukcesem, ale kontynuowano je pod władzą jego następcy, współweterana Długiego Marszu, Czianga Szikaj. Borodin porównywał odmianę losu ChRL do Francji Colberta,

wczesnego etapu panowania Fryderyka Wielkiego lub Japonii w dekadach restauracji epoki Meiji. Borodin uważał masakrę na placu Tienanmen za dowód, że przywódcy chińscy nie pozwolą, aby cokolwiek zakłóciło ich *etatiste* determinację, by osiągnąć cele narodowe tak szybko i gładko, jak to możliwe. Nawet za cenę współpracy z pradawnym wrogiem - Japonią. Japończycy zaopatrywali Chińczyków w metody zarządzania, techniki i szkolili kadry, niezbędne do startu w wyścigu do wielkości - we wszystko to, czego rozpaczliwie potrzebował Związek Radziecki.

Chiny były rzadkim zjawiskiem - narodem o wielkiej przeszłości i wielkiej przyszłości.

Być może.

„Od momentu, gdy trzy lata temu doszło do współpracy pomiędzy Japonią i Chinami, fakt ten nie przestał mnie niepokoić - pisał Borodin. - Z historycznego punktu widzenia te dwa narody są odwiecznymi wrogami i mało mają ze sobą wspólnego. Pomimo że wiele lat temu Japończycy zażyczyli od Chińczyków pismo, nie przejęli nic z ich kultury. Japończycy żyją w czasie, Chińczycy w przestrzeni. Czują do siebie nawzajem wstręt.

Dlaczego w takim razie współdziałają? Oczywiście w historii można natrafić na dziwne przymierza. Czy my sami nie współpracowaliśmy potajemnie z naszym wrogiem, Niemcami po wojnie w 1914-1918 roku? Czyż nie podpisaliśmy paktu o nieagresji z samym Adolfem Hitlerem? Leżało to przecież w naszym interesie, a Józef Stalin, robił, co w jego mocy, by doszło to do skutku. Jakie były korzyści dla obu stron? Hitler otrzymał od Stalina materiały, których potrzebował, by prowadzić wojnę ekonomiczną: miliony ton ziarna, miliony ton ropy i paliwa lotniczego, rudę żelaza, mangan i bawełnę. My z kolei także otrzymaliśmy to, czego potrzebowaliśmy: silniki lotnicze, plany okrętów, torpedy, miny i sprzęt wojskowy.

Kiedy dostrzegłem, że Japończycy ze swoją silną i postępową gospodarką przemysłową współpracują z Chińczykami, spytałem samego siebie, czy aby historia się nie powtarza. Ostatecznie, jaką postawę przybierał Orient wobec Słowian na przestrzeni dziejów?

Postawę Chińczyków, czy to Dżingis Chana, czy Mao Dzedonga, czy Cziana Szikai, cechuje niezmienna wrogość w stosunku do nas, Rosjan.

Zadawali nam cierpienia, kiedy tylko mieli po temu okazję, tak jak to miało miejsce w jarzmie tatarsko-mongolskim. Dzisiaj, gdyby było to możliwe, ich ponad miliardowa ludność rzuciłaby się przez granicę w głąb ZSRR. Przypomnijmy sobie słowa Mao Dzedonga z 1963 roku: «Okolo sto lat temu obszar na wschód od Bajkału został przyłączony do Rosji i obecnie Władywostok, Chabarowsk, Kamczatka i inne obszary leżą na terytorium radzieckim. Jeszcze nie przedstawiliśmy naszych roszczeń do tej listy.» Może nadszedł ten czas. Japończycy nie są wcale lepsi. Również nas nienawidzą, a także zgłaszają pretensje do części Związku Radzieckiego. Na początek zagarnęliby Sachalin i Wyspy Kurylskie od Hokkaido do półwyspu Kamczatka. Oczywiście mają chrapkę na więcej, prawda? Na bogactwa naszego kraju, które muszą kupować od innych: tytan, aluminium, beryl i pozostałe surowce strategiczne. Nasze zasoby ropy ustępują jedynie tym w Zatoce Perskiej. Produkujemy więcej gazu ziemnego niż USA.»

Robiło się zimno. Mazurow podniósł się z krzesła na balkonie i wszedł do środka. Skierował się do biblioteki, gdzie Raja rozpałała ogień w kominku. Odkładając na chwilę sprawozdanie, stanął przed książkami i pogrążył się w niespokojnej zadumie. Wyczuwał siłę słów Borodina. Był Rosjaninem. Mazurow wiedział, że jego naród cechuje religijność, niezależnie czy służy ikonom i popowi, czy też mauzoleum Lenina i oficerom politycznym - którzy tymczasowo je zastąpili - kapłanom tej religii, która miała mało wspólnego z zasadami moralnymi, ale ogromnie dużo z nienawiścią do cudzoziemców. Zwłaszcza ludzie określonego typu. Choć przywileje oddzielały ich od mas, Janow, Deljuszyn, Ogarkow i Kobulow także podzielali powszechny strach przed Orientem, czy to postrzeganego jako „żółte zagrożenie”, czy też jako „czerwony smok”.

Mazurow sięgnął na górną półkę i zdjął „St. Petersburg” Andrieja Biełego. Akcja rozgrywała się w przeddzień rewolucji 1905 roku, kiedy w dalekiej Mandżurii Japończycy zarzynali rosyjskich żołnierzy i masakrowali ich flotę w Cuszimie. „Orient” uosabiał tu siły zniszczenia. Pogrążywszy się w rozmyślaniach Mazurow przerzucał strony. Strach Biełego przed Orientem miał tak patologiczny charakter, że dostrzegłszy gdzieś na ulicy skośnooką twarz Bięły dałby nura do pierwszej z brzegu kryjówki. Podobnie jak i autor „St. Petersburga” Mazurow był człowiekiem wykształconym,

wiedział jednak, że podziela jego obawy i uprzedzenia wraz z wszystkimi rodakami. Usiadł w fotelu przy ogniu, by dokończyć raport Borodina.

„Gdy potajemna, choć nam znana, współpraca pomiędzy Japończykami i Chińczykami zwróciła moją uwagę, przeprowadziłem w związku z tym kilka spotkań z naszymi oficerami wywiadu i jestem na bieżąco informowany o wszystkich wydarzeniach. W zeszłym miesiącu nastąpił przełom, którego tak rozpaczliwie potrzebowaliśmy, a mianowicie ucieczka Czen Cung-jena. Cung-jen, członek personelu sekretarza generalnego Czianga Szikai, przywiózł ze sobą dokument, którego nazwa brzmi po prostu Plan 19. Miałem szczęście przeczytać go jako pierwszy (wasza kopia jest na czerwonym załączniku w tym pakiecie). Zapoznawszy się z dokumentem przesłuchałem Cung-jena. Zorientowałem się, że to oportunistą, który obawiał się własnego upadku, w razie gdyby usunięto z urzędu jego szefa Czianga Szikai, co uważał za prawdopodobne. Chcąc zapewnić sobie przyszłość i mając świadomość, że jego rząd knuje coś wraz z Japończykami, uzyskał egzemplarz tego dokumentu w równym stopniu dzięki szczęściu, co umiejętnościom. Upewniwszy się, że poza nim nie miał zbyt wiele do zaoferowania i rozumiejąc zasadniczą wagę faktu, by przywódcy ChRL pozostali nieświadomi, iż znamy i posiadamy Plan 19, poprosiłem o przysługę Pion VIII Zarządu S KGB. Z doskonałą zręcznością, za którą należą się im pochwały, zaaranżowali powrót trupa zdrajcy Cung-jena w odległą część lasku pod Pekinem, gdzie zwykł był spacerować. Tam też znaleziono go dwa tygodnie później w stanie zaawansowanego rozkładu. Możemy mieć pewność, że przywódcy ChRL nie podejrzewają, iż posiadamy kopię Planu 19 i w spokoju możemy przygotowywać związane z nim posunięcia.

Sam Plan 19 liczy sobie niemal sześćdziesiąt stron, zalecam zatem przeczytanie go po ukończeniu tego sprawozdania. Żeby umożliwić wydanie osądu o uzasadnieniu naszego planu „Zarnica”(niebieski załącznik w pakiecie), poniżej streszczam jego zawartość:

PLAN 19

AUTOR (LUB AUTORZY) PLANU 19 ZAUWAŻAJĄ, ŻE:

1/ W OBECNEJ CHWILI ZSRR POSIADA NAJBARDZIEJ ODSTRASZAJĄCĄ SIŁĘ MILITARNĄ NA ŚWIECIE, PRAWIE NA PEWNO ZDOLNĄ WYZWAĆ I POKONAĆ SIŁY ZBROJNE KAŻDEGO INNEGO KRAJU LUB SOJUSZU - NP. NATO- W KONWENCJONALNEJ WOJNIE O KRÓTKIM PRZEBIEGU.

2/ W PRZECIĄGU PIĘCIU LAT SYTUACJA TA ULEGNIE ZMIANIE. PO PIERWSZE DLATEGO, ŻE RADZIECKA ORGANIZACJA WOJSKOWA JEST INSTYTUCJĄ W STANIE OBLĘŻENIA, KWESTIONOWANĄ Z KAŻDEJ STRONY, TAKŻE OD ŚRODKA. WPLYWY WOJSKA W RADZIECKIEJ PAŃSTWOWOŚCI MAJĄ TENDENCJĘ OPADAJĄCĄ. PRESTIŻ ZWIĄZANY NIEGDYŚ Z SŁUŻBĄ WOJSKOWĄ SKURCZYŁ SIĘ DRAMATYCZNIE, NA CO WSKAZUJE WZRASTAJĄCA LICZBA PUBLICZNYCH ATAKÓW NA OFICERÓW (W 1988 NA ULICACH ZAMORDOWANO DWÓCH OFICERÓW, A W ZESZŁYM ROKU 368). WYŻEJ WYMIENIONE PRZYCZYNY WRAZ Z WZRASTAJĄCĄ SIŁĄ NACJONALIZMU SPRAWIA, ŻE W ZSRR Z PEWNOŚCIĄ WYKSZTAŁCI SIĘ JAKĄŚ FORMA NIEPOBOROWEJ, ZAWODOWEJ ARMII. ARMIA TAKA, Z UWAGI NA WYSOKIE KOSZTY, BĘDZIE Z KONIECZNOŚCI ZNACZNIE MNIEJ LICZNA, STAN JEJ MOŻE NAWET ZMNIJSZYĆ SIĘ DO MILIONA ŻOŁNIEZY. NIE ULEGA WĄTPLIWOŚCI, ŻE SYTUACJA RADZIECKICH SIŁ ZBROJNYCH POGORSZY SIĘ, ZANIM ZACZNIE SIĘ POLEPSZAĆ.

DRUGIM CZYNNIKIEM, KTÓRY ZAWAŻY NA SKUTECZNOŚCI RADZIECKIEJ ARMII JEST RYCHŁE NADEJŚCIE RADYKALNIE NOWEGO UZBROJENIA KONWENCJONALNEGO OPARTEGO NA TECHNOLOGII ZACHODU, CO W POŁĄCZENIU Z NOWYMI TAKTYKAMI WALKI SPRAWI, ŻE OGROMNE SIŁY KONWENCJONALNE DZISIEJSZEGO ZSRR MOŻNA BĘDZIE ODSTAWIĆ DO LAMUSA. TO GŁÓWNIEM STRACH PRZED TYM, ŻE NATO ROZWINIE TEGO RODZAJU UZBROJENIE, POWIĄZANY Z INNYMI CZYNNIKAMI ZMUSIŁ RADZIECKICH PRZYWÓDCÓW DO NEGOCJACJI HISTORYCZNEGO TRAKTATU POKOJOWEGO Z AMERYKAŃSKIM PREZYDENTEM HAWKINSEM.

3/ ZA PIĘĆ LAT OBRAZ SYTUACJI WEWNĄTRZ ZSRR BĘDZIE ANALOGICZNY DO OKRESU LAT 1913-14, KIEDY TO NA SCENIE POLITYCZNEJ WYSTĘPOWAŁA OGROMNA LICZBA GŁÓWNYCH AKTORÓW, KTÓRYCH ZACHOWANIA NIE MOŻNA BYŁO DO KOŃCA PRZEWIDZIEĆ I KTÓRZY DZIAŁALI WEWNĄTRZ RACZEJ PŁYNNEGO I ZASADNICZO NIEPEWNEGO SYSTEMU BEZPIECZEŃSTWA. ZA PIĘĆ LAT ZSRR NIE BĘDZIE TAKĄ POTĘGĄ MILITARNĄ, JAKĄ JEST DZISIAJ.

4/ ZA TO W CHIŃSKIEJ REPUBLICIE LUDOWEJ, PODCZAS «CZTERECH MODERNIZACJI» WŁAŚNIE WOJSKO TRZYMANO KRÓTKO NA WODZY, DALEKO ZA ROLNICTWEM, PRZEMYSŁEM I NAUKĄ. POSTĘPOWANIE TAKIE OKAZAŁO SIĘ BARDZO PRZEZORNE. W PRZYPADKU WYMIANY UZBROJENIA KRAJU, WIELKĄ WAGĘ MA ROZKŁAD W CZASIE. NA PRZYKŁAD, GDYBY WIELKA BRYTANIA PRZEBROIŁA SIĘ ROK LUB DWA LATA WCZEŚNIEJ, NIŻ

TO UCZYNIŁA PRZED KONFLIKTEM Z NIEMCAMI W LATACH 1939-45, STA-
NĘŁABY OKO W OKO Z LUFTWAFFE DYSONUJĄC PRZESTARZAŁYMI MY-
ŚLIWCAMI I PRZEGRAŁABY BITWĘ O ANGLIĘ I CAŁĄ WOJNĘ. W RZECZYWI-
STOŚCI JEDNAK POSIADAŁA NAJNOWOCZEŚNIEJSZE, UZBROJONE W OSIEM
KARABINÓW MASZYNOWYCH MYŚLIWCE - *HURRICANE* I *SPITFIRE* - I PRZE-
TRWAŁA POWIETRZNĄ BITWĘ.

GDYBY CHIŃSKA REPUBLIKA LUDOWA WYMIENIŁA TERAZ UZBROJENIE
NA RADYKALNIE NOWĄ BROŃ KONWENCJONALNĄ WYPRODUKOWANĄ NA
BAZIE TECHNOLOGII ZACHODU, MOGŁABY ZADAĆ DRUZGOCĄCĄ KLĘSKĘ
OSŁABIONYM I PRZESTARZAŁYM SIŁOM, JAKIE ZWIĄZEK RADZIECKI WY-
ŚLE W POLE ZA PIĘĆ LAT.

LENIN JASNO STWIERDZA, ŻE ZWYCIĘSTWO W WOJNIE PRZYPADA TEJ
STRONIE, KTÓRA MA SILNIEJSZĄ GOSPODARKĘ.

MARKS UWAŻA, ŻE: «WOJNA WYSTAWIA KRAJ NA PRÓBĘ. PODOBNI
JAK MUMIE ROZSYPUJĄ SIĘ W PROCH, GDY TYLKO PODDA SIĘ JE DZIAŁANIU
POWIETRZA, TAK TEŻ WOJNA WYDAJE WYROK ŚMIERCI NA INSTYTUCJE
SPOŁECZNE, KTÓRE ULEGŁY SKOSTNIENIU.»

CHIŃSKA REPUBLIKA LUDOWA POTAJEMNIE SPRZYMIERZYŁA SIĘ Z JA-
PONIĄ, KTÓREJ GOSPODARKA JEST O WIELE SILNIEJSZA NIŻ GOSPODARKA
ZWIĄZKU RADZIECKIEGO. JAPONIA MA W TAJEMNICY WYPOSAŻYĆ CHINY
W NAJNOWOCZEŚNIEJSZĄ BROŃ. PROCES TEN ZOSTANIE UKOŃCZONY W
PRZECIĄGU PIĘCIU LAT. ZGODNIE Z PLANEM 19, CHIŃSKIE WOJSKO SPAD-
NIE NA ZWIĄZEK RADZIECKI JAK GROM. ŻADNE INSTYTUCJE NA ŚWIECIE
NIE SĄ TAK SKOSTNIAŁE, JAK INSTYTUCJE W ZSRR. W WOJNIE BŁYSKA-
WICZNEJ ZWIĄZEK RADZIECKI PONIESIE CAŁKOWITĄ KLĘSKĘ I PRZESTANIE
ISTNIEĆ, CHYBA ŻE TYLKO W POSTACI ŁUPU DO PODZIAŁU POMIĘDZY
DWÓCH ZWYCIĘZCÓW. RAZ NA ZAWSZE JAPONIA I CHRL POZBĘDĄ SIĘ
ROSYJSKIEGO ZAGROŻENIA I UZYSKAJĄ DOSTĘP DO WSZYSTKICH SUROW-
CÓW NIEZBĘDNYCH W DAŻENIU DO GLOBALNEJ SUPREMACJI.

OPERACJA „ZARNICA”

PRZY OGÓLNEJ RÓWNOWADZE ZA PIĘĆ LAT CHIŃSKA REPUBLIKA LU-
DOWA I JEJ SOJUSZNIK, JAPONIA, BĘDĄ W STANIE ZADAĆ NAM MIAŻDŻĄCĄ
KLĘSKĘ. ZA PIĘĆ LAT. ZA BŁOGIE BEZPIECZEŃSTWO DZISIAJ ZAPŁACIMY
SŁABOŚCIĄ NAZAJUTRZ.

BŁOGIE BEZPIECZEŃSTWO DZISIAJ.

NASZE SIŁY ZBROJNE NIE USTĘPUJĄ ŻADNYM INNYM NA ŚWIECIE. MAMY PEWNOŚĆ - DZISIAJ - ŻE MOŻEMY ZADAĆ CHIŃCZYKOM MIAŻDŻĄCĄ KLĘSKĘ W WOJNIE BŁYSKAWICZNEJ. WSZYSTKIE CZYNNIKI PRZEMAWIAJĄ NA NASZĄ KORZYŚĆ. OBEJMUJĄCA MARYNARKE I SIŁY POWIETRZNE MODERNIZACJA LUDOWEJ ARMII WYZWOLEŃCZEJ (LAW) LEDWO SIĘ ZACZEŁA. LAW NIE POSIADA JESZCZE ŻADNEJ Z NOWOCZESNYCH BRONI, KTÓRYMI BĘDZIE DYSPONOWAĆ ZA PIĘĆ LAT. UZBROJENIE LAW NIE MOŻE RÓWNAĆ SIĘ Z NASZYM. DOWÓDZTWO ZNAJDUJE SIĘ W STANIE PŁYNNYM, CZIANG SZIKAI POGRAŻYŁ SIĘ W FERWORZE WALKI O WŁADZĘ Z MŁODSZYMI, «DEMOKRATYCZNYMI» ELEMENTAMI. WYDAJE SIĘ PRAWDOPODOBNE, ŻE UTRACI POPARCIE SWOICH NAJBARDZIEJ KOMPETENTNYCH KOLEGÓW, WŁĄCZAJĄC W TO NAJLEPSZEGO GENERAŁA W KRAJU ZHAO TEH I PREMIERA HUA ZIYANGA. W CHRL ŻYJĄ JESZCZE TACY, KTÓRZY TRWAJĄ WIERNIE PRZY RADZIECKIM MODELU KOMUNIZMU I GDY POKONAMY CHIŃCZYKÓW W POLU, BĘDIEMY MIEĆ MOŻLIWOŚĆ ZAINSTALOWANIA RZĄDU, KTÓREGO DZIAŁANIA NIE BĘDĄ NAM ZAGRAŻAŁY, ALE WSPOMAGAŁY NASZE WŁASNE.

W GESTII CZŁONKÓW *STAWKI WIERCHOWNOWO GŁAWNOKOMANDOWANIJA* POZOSTAWIAM PODJĘCIE W OPARCIU O RAPORT GENERAŁA OGARKOWA WYSZCZEGÓLNIAJĄCEGO PLANY OPERACJI „ZAMKA”, DECYZJI O MOŻLIWOŚCI PRZEPROWADZENIA WOJNY BŁYSKAWICZNEJ. OSOBIŚCIE NIE MAM ŻADNYCH WĄTPLIWOŚCI CO DO SKUTECZNOŚCI I GWARANTOWANEGO SUKCESU TAKIEJ OPERACJI.

PRAGNĄŁBYM JEDNAK ZWRÓCIĆ UWAGĘ NA NASTĘPUJĄCY FAKT. LOS OFIAROWAŁ NAM TERAZ «OKNO MOŻLIWOŚCI». ZAMKNIĘ SIĘ BARDZO SZYBKO. NIE MAMY W ZAPASIE PIĘCIU LAT. SKORZYSTAJMY Z NIEGO, A ZAPEWNIAMY PRZYSZŁOŚĆ NASZEMU WIELKIEMU NARODOWI. POMIŃMY JE, A NASZYM PRZEZNACZENIEM BĘDZIE STAĆ SIĘ NIEWOLNIKAMI POTOMKÓW DŻINGIS CHANA. OPIS NASZEGO LOSU W TAKIM PRZYPADKU POZOSTAWIĘ TEMUŻ WIELKIEMU CZŁOWIEKOWI, KRWAWEMU CHANOWI, KTÓRY DAWNO TEMU NAJECHAŁ NASZ KRAJ:

«SZCZĘŚCIE LEŻY W PODBIJANIU WROGÓW, W PĘDZENIU ICH PRZED SOBĄ, W ZAGARNIANIU ICH WŁASNOŚCI, W SMAKOWANIU ICH ROZPACZY, W GWAŁCENIU ICH ŻON I CÓREK».”

* * *

Mazurow odłożył raport na stół i wstał. W tej samej chwili otworzyły się drzwi i wkroczył Nikołaj Serow.

- Mój syn mówi, że masz ten dokument, o który proszę. Muszę go zobaczyć.

- Jesteś pewien? - spytał Mazurow miękko. - Są rzeczy, o których warto nie wiedzieć.

- Jestem przywódcą naszej partii - odparł Serow poważnie. - Pewnego dnia będę przywódcą naszego kraju.

- Zatem dobrze - zgodził się Mazurow. - Oto on. Obawiam się, że jest to dokument wyjęty z puszek Pandory.

Mazurow wręczył plik papieru Serowowi, który szybko usadowił się na krześle i zaczął czytać. Za młodu, kiedy miał zmartwienie, Mazurow krążył dookoła niczym tygrys, dopóki nie nadeszło rozwiązanie problemu. Teraz nawyk ten powrócił i zaczął stąpać od ściany do ściany biblioteki.

- *Zarnica* - wyszeptał i pomachał rozłożonym palcem, jak gdyby na krześle, które zwolnił, siedział sam Borodin. - Czy nie znasz przysłowia: *Tisze jediesz, dalsze budiesz?*

Hitlerowcy też wierzyli w *Zarnicę*, tylko nazywali ją *Blitzkrieg*. Znaczenie pozostaje to samo - wojna błyskawiczna.

Mazurow podjął na nowo swoją powolną podróż w tę i z powrotem po wypolerowanej, sosnowej podłodze. Raport Borodina był zbyt atrakcyjny i oferował rozwiązania dla zbyt wielu problemów. W koncepcji wielkiego zwycięstwa nad Chinami krył się zamysł pewnych zdobyczy Związku Radzieckiego: usunięcie rdzy z nacjonalizmu, restauracja pozycji wojska, wzmocnienie KGB, konsolidacja władzy Janowa, stłumienie samodzielnych poczynań narodów podległych, napływ dóbr, ogromne wpływy z terenów podbitych, jedzenie i władza dla ludzi, a wszystko otrzymane drogą wyzysku Chińczyków.

Mazurow ocknął się z zadumy i spostrzegł, że Serow gapi się na niego z czerwoną teczką zamkniętą na kolanach.

- To propozycja - uspokajał - a nie plan bitwy. Nie ma żadnego powodu, by przypuszczać, że naprawdę tak się stanie.

- Wprost przeciwnie. Są wszelkie powody, by przypuszczać, że tak będzie. Weź choćby członków *Stawki*. Ogarkow jest naszym najlepszym

generałem: nowoczesny w myśleniu, zahartowany wojną w Afganistanie. Sprowadzono go, by poprowadził wojnę. Jego człowiek, Suwurow z GRU, zdobywa najlepszy na świecie komputer, który ma planować działania wojenne, jeśli wierzyć temu, co mówi twój syn. Wiadomo, że minister obrony, Deljuszyn, wielbiciel Armii Czerwonej, jest przerażony upadkiem statusu sił zbrojnych w oczach obywateli Związku Radzieckiego. Kobulow, szef KGB, ma niewesołą minę, od kiedy podpisaliśmy Traktat Pokojowy z USA. KGB stanowi faktyczną siłę napędową partii komunistycznej, choć wydaje się być jej sługą. Głównym zajęciem KGB stało się przemożne zainteresowanie „wrogami”, którzy dzielą się na wewnętrznych i zewnętrznych. Gdy wykluczy się groźbę ze strony USA, co stanie się z KGB? Z samej swojej natury musi znaleźć nowe zagrożenie. Stwierdzam to jako ktoś, kto się w tych sprawach orientuje: byłem niegdyś szefem tej organizacji. Borodin ukazał powód, dla którego KGB może nadal istnieć. Wreszcie sam car, prezydent Janow. Janow ma obsesję na punkcie wielkomocarstwowego statusu Rosji, tak jak Piotr Wielki, którym tak się zachwyca. Ponadto ma polityczny dług wobec KGB i wojska, bez których poparcia nie umiałby przetrwać. Poza tym Janow jest dość stary, by pamiętać, że jedną z głównych przyczyn upadku Chruszczowa była jego nieumiejętność opanowania konfliktu z Chinami. Perspektywa nieśmiertelnej sławy człowieka, który pokonał starodawnego wroga i odnowił mocarstwowość Rosji wyda mu się nie do odparcia. W końcu patriarcha Zossima, który wyłonił się z Zagorska niczym współczesny kardynał Richelieu. Nie, możemy uznać za pewnik, że operacja „Zarnica” jest w toku już od pewnego czasu. Tak ogromnego przedsięwzięcia nie rozpoczyna się z dnia na dzień. Z pewnością toczą się już przygotowania na szeroką skalę. Zauważ samą nazwę - „Błyskawica”. Operacja ma odbyć się bardzo, ale to bardzo szybko, żeby uniknąć dwojakiego niebezpieczeństwa, jakie spędza sen z powiek współczesnym generałom i ich politycznym mistrzom. Po pierwsze groźba, że atak ugrzęźnie w miejscu i - powstrzymany przez obronę - zmieni wojnę w krwawy pat, tak jak w wojnie 1914-18, albo w świeższy przykład - konflikt między Iranem i Irakiem. Drugim niebezpieczeństwem jest groźba użycia broni nuklearnej. „Zarnica” zakłada unieszkodliwienie ograniczonego arsenału nuklearnego ChRL zaraz na samym początku konfliktu.

Jeśli plan ten ma się powieść, to Ogarkow musi osiągnąć całkowite zaskoczenie strategiczne. Siły przeciwnika nie mogą stać w pogotowiu. W tym celu Janow, Deljuszyn i Kobulow zużyją niesamowitą ilość politycznego i dyplomatycznego kapitału, żeby stworzyć dla Ogarkowa tę bardzo korzystną i niezbędną sytuację. A żołnierzy ogarnie ogień słusznej sprawy, który rozpalą ich towarzysze broni - popi. Stary przerwał.

- Nie zapominaj, że wszyscy członkowie *Stawki* są patriotami. To następny ważny powód, dla którego zaakceptują ten plan. Są podobni do ciebie i mnie - kochają *rodinę*, naszą ojczyznę.

Na wspomnienie tego słowa obydwaj mężczyźni poczuli dreszcz uwielbienia - odruch, który nigdy ich nie zawodził.

- Dla *rodiny*, dla ratowania ojczyzny, uczynią wszystko, podobnie jak my.

- Zatem, czy „*Zarnica*” się powiedzie?

- Nie sądzę, by „*Zarnica*” powiodła się w sposób zamierzony przez jej rzeczników, jeśli w ogóle dojdzie do jej realizacji. Żaden z tych wspaniałych planów wojskowych, egzotycznych, połyskujących świecącymi nakrętkami i śrubkami, polerowanymi dźwigniami, obrobionymi trybami i kółkami, nigdy nie powiódł się tak, jak się spodziewano. Czy plan Schlieffena przyniósł błyskawiczne zwycięstwo Niemcom Keisera Wilhelma? Nie. Zapoczątkował cztery długie lata wojny, które przywiodły do upadku trzy wielkie imperia i puściły z torbami czwarte. Czy „*Operacja Barbarossa*” przyniosła zwycięstwo Rzeszy, która zajęła miejsce tej poprzedniej, zrujnowanej przez Keisera? Nie. Ściągnęła klęskę i rozbiór na kraj, w który się narodziła.

Mazurow podszedł do jednej z półek i powiódł palcem po grzbietach książek, aż dotarł do tej, której szukał: cienkiego, starego tomiku oprawionego w skórę. Przerzucał kartki, aż natrafił na odpowiednią stronę.

- Jest tutaj - wymamrotał. - Wiersz autorstwa jednego z nich. Brzmi to tak:

Kruki i jastrzębie dziobią ludzkie trzewia

Roznoszą je w dziobach, wieszają na gałęziach uschniętych drzew

Na krzakach i trawie strzępy żołnierzy

Na próżno planował generał.

Wiedz zatem, że miecz to rzecz przeklęta

Której mądry człowiek używa tylko, kiedy musi.

Mazurow podniósł wzrok znad tomiku.

- Li Po wiedział o tym tysiąc dwieście lat temu! - parsknął ze złością. - Wojnę prościej rozpocząć, niż skończyć.

- Ale za trzy i pół roku, bo sprawozdanie napisano, osiemnaście miesięcy temu, według Planu 19 Chiny podbiją Rosję.

- Czyżby? Czy za trzy i pół roku na pewno wybuchnie wojna? Technologiczne zaskoczenie ma charakter krótkotrwały. Mamy ponad trzy lata na zorganizowanie dyplomacji tak, by wyizolować naszych przeciwników. Można to zrobić. Uciekaliśmy się do tego w przeszłości. Nie martwi mnie Plan 19, tylko operacja „Zarnica”. Jest zbyt atrakcyjna i oferuje rozwiązanie zbyt wielu problemów. Autorzy Planu 19 mają rację, gdy cytują Marksa: „Wojna wystawia kraj na próbę. Podobnie jak mumie rozsypują się w proch, gdy tylko podda się je działaniu powietrza, tak też wojna wydaje wyrok śmierci na instytucje społeczne, które uległy skostnieniu”. Nasze instytucje uległy skostnieniu, powinniśmy zatem odrzucić je i technąć nowe, demokratyczne życie w nasz system. *Zarnica*” oznacza wojnę. Nie potrzebujemy wojny. Przegramy, nawet jeśli wygramy. Nie, trzeba zniweczyć plany wojny błyskawicznej, a żeby to zrobić, musimy zdyskredytować człowieka, który je wymyślił. Musimy zniszczyć Borodina.

- Jak?

- W samolocie Nikołaj Kaganowicz porównał mnie z podróżnikiem, który zostawia po drodze zawiniątka z jedzeniem, pamiętając, że może się zdarzyć, iż będzie wracać tamtędy i ich potrzebować. W pewnym sensie miał rację. Kiedy byłem u władzy, tam, gdzie mogłem, oszczędzałem człowieka. Nadal niektórzy są mi winni przysługę.

Mazurow wepchnął tomik z powrotem na miejsce i - na ile pozwalał mu wiek - pospieszył na koniec długiego pokoju. Serow podreptał za nim. Małe drzwiczki prowadziły do schowka, gdzie Mazurow składował niektóre spośród wielu pamiątek swojego długiego życia. Leżały tam albumy zdjęć

rodziny, kartony starych listów, najróżniejsze biurokratyczne nagrody oraz stały biurka, sekretarzyki i komody. Mazurow podszedł do biurka i, mamrocząc do siebie, zaczął szperać po szufladach, nie mogąc znaleźć tego, czego szukał. Natrafił na poźółkłe ze starości fotografie i na jednej z nich rozpoznał siebie w wysokim, mocno zbudowanym młodzieńcu w ubraniu partyzanta z pistoletem maszynowym *PPSz* przewieszonym przez plecy.

- O - rzekł z zadowoleniem. - Jesteśmy blisko.

Na dnie szuflady znalazł maleńkie zawiniątko, kawałek wiekowego materiału owinięty wokół czegoś ciężkiego, jak na swoje rozmiary. Gdy je ostrożnie odwijał, ześlizgnął mu się w dłoń gładki nabój z pociskiem w miedzianym płaszczu. Wyszedł do światła i spojrzał na niego uważnie. Na czubku wydrapano kilka inicjałów w formie podpisu.

- L.T.K. - sapnął Mazurow i ścisnął nabój mocno w dłoni.

- Tak. Oto sposób.

Podszedł do telefonu, który spoczywał na stole i zaczął wykręcać numer.

♦ Departament Stanu, Trzydziesta Piąta Ulica, Waszyngton

Kaseta wideo wraz z innymi elementami nowoczesnej techniki zawartymi w przysadkowatym, ważącym trzy czwarte tony cylindrze, który wisi 35.450 kilometrów nad Borneo, zrewolucjonizowała pracę analityka wywiadu. Cy Rogersowi, który tego dnia siedział do późna w biurze, przesłano taką kasetę przez gońca. Zjawiały się one o każdej porze dnia stanowiąc część ogromnego uzysku danych wywiadowczych Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, która była osobnym miastem wtulonym w las pomiędzy stolicę a Baltimore.

W pokoju Rogersa nie wisało tyle chińskich ozdób, co u Aleksandra Borodina, ale jego narzędzia pracy były podobne: kartoteki, specjalistyczne dzienniki, SIGINT, raporty sytuacyjne, CRITICOM, komputer IBM z edytorem tekstów, magnetowid i telewizor. Rogers był starszym sinologiem w Departamencie Stanu. Otrzymał kasetę, przyjrzał się notce na okładce i zastanowił się, czy z oglądaniem nie poczekać do rana. Jak zawsze jednak, ciekawość wzięła górę i Rogers postanowił sprawdzić, co jest w środku.

Stwierdziwszy, że ma przed sobą aktualizację poprzedniej kasety, przejrzał swoją kolekcję, która zajmowała dwie półki w jego biurze, aż natrafił na poprzedniczkę. Wsunął ją do magnetowidu i telewizor rozbłysnął znajomymi symbolami rewolucyjnymi Państwowej Telewizji Chińskiej Republiki Ludowej.

Na ekranie ukazało się dość ponure podwyższenie, ustawione pod jednym z budynków rządowych z lat pięćdziesiątych w Pekinie, który wybudowano na modłę ówczesnej radzieckiej architektury „tortu urodzinowego”. Na ustawionych w dwa rzędy krzesłach siedziało dwudziestu Chińczyków z kamiennymi wyrazami twarzy. Jak objaśniał komentator w pekińskiej odmianie mandaryńskiego byli to starsi urzędnicy partyjni. Wiadomość ta byłaby niejakiem zaskoczeniem dla nieuważnego widza, który nie rozpoznałby wielu z nich, gdyby nie obecność stojącej po jednej stronie nieszczęśliwej grupki części partyjnej arystokracji w niechlujnych trykotowych koszulkach i szortach. Jeden po drugim podchodzili oni do mikrofonu i spowiadali się ze swoich błędów. Były premier Hua Ziyang wziął na siebie odpowiedzialność za „szantażowanie” i „spekulactwo”, do których doprowadziła jego liberalizacja. Były generał Zhao Teh obwinił się za to, że „żołnierze uciskają lud”. Skończywszy spowiedź człapali ku uciesze tłumu do czekającej obok bydłowej ciężarówki.

Kiedy odjechali, podniósł się siedzący w środku pierwszego rzędu stary człowiek o zeschniętej, szorstkiej skórze i wygłaszając krótkie przemówienie obwinił tych, którzy w tym momencie kołatali się na jednej z szerokich pekińskich autostrad w zabójczym fetorze świńskich odchodów, za to, że sprawy wymknęły się „spod kontroli”. Gdy zapowiadał „konsolidację” i „postęp ku demokracji”, słabe, ponure uśmiešky wykwitły na twarzach niektórych nowszych i młodszych członków partyjnej arystokracji. Obraz urwał się i na ekranie pojawiła się kolumna szczękających wagonów, które miały stanowić dowód na to, że grupa heroicznym górników wykonała plan o dwa miesiące wcześniej. Rogers wyjął kasetę.

Dla wykształconego widza, takiego jak Rogers lub Borodin, znaczenie tej małej szarady było jasne. Ludzie, którzy przybili swoje barwy do masztu studenckiej demokracji, nieoczekiwanie powrócili na scenę po represjach,

które nastąpiły po wydarzeniach na Placu Tienanmen. Przewodniczący i sekretarz generalny partii, Cziang Szikai, stary, ogorzały człowiek, który przeżył Długi Marsz i któremu od tamtego czasu niezmiennie udawało się przetrwać, utrzymał swoją pozycję rzuciwszy swoich towarzyszy studenckim wilkom na pożarcie. Sięgnięcie po bydłą ciężarówkę i publiczną „spowiedź” na scenie sugerowało, że nowi przywódcy partii należeli niegdyś do Czerwonej Gwardii, której członkowie nie zaznali „utemperowania” w wiejskiej komunie po tym, jak „dekada” dobiegła końca, a którzy jednak uważali tę praktykę poniżania niegdyś wpływowych za wielce obiecującą. Starą gwardię usunięto, a nowa przejmowała ładne domki w pekińskim Zhong Nan Hai, gdzie nowi cesarze Chin żyli w sąsiedztwie pałaców starych władców.

Świeżo otrzymana kasetka była potwierdzeniem, że tak się rzeczywiście sprawy mają. Jaskrawe światło kamer telewizyjnych oświetliło człowieka, śpiącego na ułożonej na drewnianych deskach plecionej macie, która w komunie zastępowała łóżko. Młody komentator oświadczył radośnie, że ma przed sobą generała i ciemnościelca ludzi, Zhao Teh, obecnie członka brygady produkcyjnej w komunie Yangzhou. Z kwaśnym zadowoleniem i odrobiną podziwu Rogers zauważył, że w okolicznościach zupełnego poniżenia Zhao Teh na tyle, na ile można, zachował twarz. Nawet nie dał po sobie poznać, iż zauważył oko wścibskiej kamery, jej obsługę i reportera napawającego się widokiem jego poniżenia. Jak gdyby zawsze budził się w ten sposób, wstał, wsunął stopy w sandały, które spoczywały pod prymitywnym łóżkiem na podłodze z ubitej ziemi i wyszedł z plecionej z prętów i obłożonej gliną chaty. Szarzało i świt jaśniał dopiero na horyzoncie. Na dworze stał inny mężczyzna ubrany w podobny, prosty strój. Na wypadek, gdyby widzowie zapomnieli, kim był, komentator przypomniał wesoło, że patrzą na byłego premiera Hua Ziyanga, który niegdyś słynął z miłości do wytwornych ubrań, jedzenia, kobiet i zachodnich samochodów. Publiczne głośniki, przed którymi nie było się gdzie schować, zaczęły trąbić codzienną porcję obwieszczeń, upomnień i kiepskiej muzyki. Przywdziawszy na twarz identyczny kamienny wyraz, obaj mężczyźni przemaszerowali przez ziemny dziedziniec i przystanęli obok długiej, brudnej cysterny zaparkowanej na krawędzi czegoś, co - jak wskazywały światła kamery telewizyjnej-

mogło być olbrzymim polem. Ująwszy kubek Zhao Teh odkręcił duży kurek i zaczął nabierać wypływający płyn. Komentator pospiesznie usunął się do tyłu. W cysternie znajdowały się nieczystości z pobliskiej wioski, która odsprzedawała je do komuny. Pracując w milczeniu Zhao Teh i Hua Ziyang zaczęły rozprawdzać je po polu przy użyciu kubłów i motyk.

◆ Ośrodek Badań Transferu Technologii, Waszyngton

- Dobra - stwierdził Thrall - więc Siły Powietrzne utrzymują, że nie straciły żadnego ze swoich *F-117A*.

- Kategorycznie zaprzeczają - zgodził się Curtis.

- To jeszcze niczego nie dowodzi - mruknął Thrall, odchylając się w swoim szarym, obrotowym, rządowym fotelu. - Siły Powietrzne zaprzeczały, że posiadają coś, co choćby przypominało *Lockheeda U-2*, dopóki Rosjanie nie wystawili w Moskwie na pokaz pogiętych części jednego z nich i Gary'ego Powersa na dokładkę. Technicznie rzecz ujmując *F-117A* jest myśliwcem szturmowym. Dawno jednak zauważono, że fakt, iż jest nieuchwytny dla radaru sprawia, że nadaje się do wykonywania różnorodnych tajnych misji. Granica chińsko-rosyjska nadal stanowi jedną ze strategicznie najistotniejszych stref na świecie. Prawdopodobnie *F-117A* rozbił się podczas wykonywania badań i zdjęć lotniczych obrony radarowej. Jako że rozbił się niedaleko Fukhai po chińskiej stronie granicy, mógł wypróbować chiński system obrony. Fukhai leży w wojskowym okręgu Lenzhan. Jest tam ponuro jak w piekle, nic tylko pola minowe, tory kolejowe i fortyfikacje obronne. Przez Fukhai biegnie jedna z tras, którą, logicznie rozumując, Rosjanie mogą wkroczyć do ChRL w razie wojny. Pojawia się tylko pytanie: czy był ten *F-117A*? Jeśli należał do Sił Powietrznych, nie ma to zbyt wiele wspólnego z tobą lub ze mną. W zależności od tego, w jakim stopniu Chińczycy będą chcieli zawstydzić USA, doczekamy się, albo i nie, aż Cziang Szikai i jego poplecznicy wystawią jego części wraz z pilotem w Pekinie. Jeśli jednak odrzutowiec nie należał do Sił Powietrznych USA, trzeba przyjąć, że był to samolot radziecki.

- Umieliby skonstruować dokładną replikę?

- Robią to od lat. Kiedy pod koniec drugiej wojny światowej kilka

Latających Fortec B-29 zeszło z kursu i wylądowało w ZSRR, Rosjanie ode-
stali z powrotem załogi, ale nie samoloty. Krótco potem wystawili swój
bombowiec strategiczny *Tupolew Tu-4*, prawie identyczny jak B-29, nawet
w rozmiarach i rozmieszczeniu nitów. Rosjanie są lepsi w kopiowaniu, niż
Japończycy. W 1976 Boeing zbudował samolot P/KSL zwany YC-14.

- P/KSL?

- Wybacz, Curtis. Zapominam, że jesteś u nas od niedawna. Samolot
pionowego lub krótkiego startu i lądowania. Otóż, niecałe czternaście mie-
sięcy później Rosjanie wyprodukowali *An-72 Coaler*. Był tak podobny do
YC-14, że jeśli pomalowałbyś go w barwy naszych Sił Powietrznych, nikt
nie dopatrzyłby się różnicy. Na pewno nie dokonali tego drogą telepatii. To
była robota wywiadu technologicznego Pionu T z KGB i wojskowego
GRU... właśnie tym chłopcom i dziewczcom, mamy tutaj mieszać szyki.

Thrale zajął do kubka.

- Zrób nam jeszcze trochę kawy, synu. Ta już wystygła.

Podczas gdy Mayer opłukiwał nad zlewem kubek i napełniał go następ-
ną porcją gęstej, czarnej kawy z gorącego dzbanka, Thrale ciągnął dalej:

- Pamiętam, jak kilka lat temu jakimś rybakom niedaleko Rhode Island
poplątały się sieci i wyłowili radziecką pławę podsłuchową. Rzuciliśmy
okiem do środka i okazało się, że wewnątrz swojego małego, elektroniczne-
go mózdzku ma kostkę komputerową oznaczoną jako „seria 133”. Do złu-
dzenia przypominała amerykańską kostkę z Texas Instruments seria 5400.
Te same obwody, te same wtyki. Do tego stopnia, że gdy podłączyliśmy
kostkę z TI, pława działała bez zarzutu. Podobnie jest ze wszystkim, czym
dysponują Rosjanie, od ciężarówek transportowych po pociski raketowe
do zestrzeliwania samolotów.

Niemniej jednak radzieckie wojsko ma niesamowitą skuteczność. Nie
wolno nam wierzyć w to pieprzenie, że Rosjanie są prymitywni i nie mają
wyobraźni. Sami dużo potrafią, ale kiedy potrzebują czegoś z Zachodu,
zaraz to mają. Nie produkują dezodorantów i dżinsów, ale pokaż im coś, co
zaprojektowano do rozrywania ludzi na strzępy, a stacza się z taśmy pro-
dukcyjnej w Pietropawłowski, nim zdążysz powiedzieć: *johannyje tjurem-
sziki!*

Curtis zachichotał:

- Co to znaczy?

- To obsceniczne rosyjskie wyrażenie. Nie dla twoich młodych uszu.

- W moim domu najgorszą rzeczą, jaką człowiek mógł powiedzieć, było coś, co podważało zdanie mojej mamy. Przekleństwa nie wchodziły w grę. Dlaczego Rosjanie mieliby potrzebować myśliczów *Stealth*, przecież podpisano Traktat Pokojowy?

- Cóż, jeśli rzeczywiście rozbił się *F-117A*, który był radziecką kopią, na pewno zbudowali go jeszcze przed podpisaniem traktatu. A nawet w przypadku, gdyby tak nie było, Rosjanie staną na głowie, by dostać w łapy tekę z technologią *Stealth*, zwyczajnie dla zachowania równowagi. *F-117A* był gwiazdą operacji „Pustynna Burza”. Dokonał chirurgicznego wyeliminowania irackiego systemu dowodzenia w dniu siedemnastego stycznia. *F-117A* wykluły oczy irackim radarom, ogłuszyły łączność mikrofalową i zakneblowały ich podstawowe stacje kontroli powietrznej. Wskaźnik strat sił sprzymierzonych wynosił 0,35 na 1000 lotów bojowych, w dużej mierze właśnie dzięki *F-117A*. Jeśli radar „nie widzi” myśliwca lub bombowca typu *Stealth*, to może on nadlecieć nad cel, bombardować i strzelać tak długo, aż skończy się mu paliwo w zbiorniku, bomby i pociski. Stanowi to przykład technologicznego skoku, który stwarza przewagę i pozwala wygrywać wojnę. Iglicowa broń odcylkowa przechyliła szalę na korzyść Prusaków w 1866 w starciu z austriackim *Minie* ładowanym od lufy, podobnie jak cztery lata później artyleria ze stali tyglowej Kruppa w starciu z francuską ładowaną od lufy bronią z brązu. Jednak technologiczna przewaga ma zawsze charakter tymczasowy, ponieważ druga strona zapamiętała dąży do uzyskania równowagi. Prawdopodobnie w ten sposób Rosjanie postąpili w tym przypadku.

Kiedy Mayer poszedł do swojego biura, Thrale podniósł zdjęcie z *KH-11*, które przedstawiało miejsce katastrofy niedaleko Fukhai. Rów w ziemi był długi i płytki. Równie dobrze mógł stanowić wynik nie najgorszej próby awaryjnego lądowania w nocy. Na zdjęciu widnieli dwaj Chińczycy. Jeden, ubrany w ciemną kratkę, klęczał na skraju rozoranej ziemi. Drugi, w białym kombinezonie, spoglądając w zamyśleniu wzdłuż śladu katastrofy,

stał w miejscu, gdzie zatrzymał się samolot. Scena ta miała w sobie coś, co nie dawało Thrale'owi spokoju. Gdy Mayer wyłonił się ze swojego biura, by zrobić sobie przerwę na lunch, nadal wpatrywał się w zdjęcie.

- W jaki sposób dowiemy się, czy Siły Powietrzne nie naopowiadały nam bajek, albo czy Rosjanie nie dobrali się do programu *Stealth* i ich fabryki nie wytwarzają *F-117A* niczym pączki?

- Nawet Rosjanie nie będą produkować samolotów typu *Stealth* w wielkiej liczbie ani w pośpiechu. Technologia *Stealth* jest tak skomplikowana i zawiła, a ponadto kosztowna, że wymaga wytężonej pracy, a także wykwalifikowanej siły roboczej, która zawsze jest w niedoborze. Jak się dowiemy, czy Siły Powietrzne oszczędnie podzieliły się z nami prawdą, jak to mają w zwyczaju? Cóż, pracujemy w CIA, synu. W swoim czasie penetrowaliśmy obce kraje całymi tabunami agentów. Na pewno możemy posłać choć jedną osobę na miejsce wypadku. Części rozbitego samolotu wciąż tam leżą - małe kawałeczki, których nie warto zabierać. Jeśli dostaniemy parę i przyjrzymy się im z bliska, dowiemy się, czy ten *F-117A* był nasz... czy ich.

♦ Sala Gabinetowa, Biały Dom

Kuusinen podniósł się z miejsca wraz z pozostałymi członkami Rady Bezpieczeństwa Narodowego, gdy wysoki, barczysty Tom Barnet majestatycznie opuszczał pokój z pewnością siebie, która zadawała kłam wiadomościom, jakie pewnie przynosili mu jego ankieterzy i filmowcy, że wartość jego akcji na politycznej giełdzie jest wciąż niepewna. Kuusinen zauważył, że Ed Reisch, który normalnie stąpał obok swego ważnego szefa blisko, jak pies pasterski owieczek, pozostawał z tyłu. Gdy sala zaczęła się opróżniać, szef personelu ruszył w jego stronę.

- Lief - szepnął. - Przyrzekłem sobie, że jak tylko usłyszę dobre nowiny, zaraz ci je przekażę.

Reisch rozejrzał się po sali. Wszyscy gracze opuścili stół i tylko dwaj stewardzi w bieli gotowali się do uprzątnięcia z mahoniowego stołu dzbanków, szklanek, notatników i świeżo zaostrzonych ołówków.

- Czy nie mieliby panowie nic przeciwko temu, żeby poczekać na

zewnątrz? - poprosił grzecznie. Gdy stewardzi wyszli na korytarz, Reisch zwrócił się do doradcy do spraw bezpieczeństwa.

- Otrzymaliśmy wyniki - oznajmił zniżając głos. - Wygląda na to, że mały doktor za bardzo się podekscytował. Prezydent Hawkins zmarł na zator tętnicy płucnej, tak jak stwierdził to profesor.

- Naprawdę?

- Taak. Wiesz, to cholerna ulga.

- Jasne - zgodził się Kuusinen.

- Teraz możemy zająć się rządzeniem.

- Świetnie.

- Będę leciał - pożegnał się Reisch. - Kiedy po raz pierwszy przyjechałem do tego miasta, odkryłem receptę na sukces. Trzeba umawiać się na więcej spotkań, niż można dotrzymać. Do zobaczenia.

Kuusinen patrzył, jak szef personelu w pośpiechu opuszcza pokój. Uśmiechnął się cynicznie.

- Czy słyszałeś kiedy powiedzenie: „Pracuj mądrzej, nie ciężiej”? - mruknął.

W tym upolitycznionym mieście doradca do spraw bezpieczeństwa był swoistą anomalią. Nie umawiał się na więcej spotkań, niż mógł dotrzymać. Zwyczaju tego nabrał pracując naukowo, kiedy czas na badania ceniło się bardziej niż złoto. Rzucił okiem na zegarek i stwierdziwszy, że ma wolną godzinę i dwadzieścia minut, postanowił pojechać do szpitala Washington General.

Zakład medycyny sądowej zajmował część ósmego piętra, gdzie szafki z kartotekami wylewały się na korytarze. Kuusinen przemknął obok pustego pokoiku recepcjonistki. Mały monitor mruczał na biurku, a spoza półprzymkniętych drzwi dobiegał plusk wody i brzęk porcelany. Na ścianie nad jego głową wisiała tabliczka z napisem ZAKŁAD MEDYCZYNY SĄDOWEJ. Cicho otworzył drzwi. Po lewej stronie miał pokój z ezoterycznymi elementami sprzętu medycznego, które zaśmiecały białe stoły. Na wprost niego stało małe, lecz dobrze wyposażone biurko, za którym siedział Vernon Fineberg zajęty przeglądaniem pliku papierów.

- Witam - rzucił Kuusinen. - Proszę nie wstawać. Wpadłem na chwilę.

W młodości Kuusinen grywał w pokera. W ten sposób sfinansował swój pierwszy stopień naukowy.

- Gratulacje, profesorze.
- Dziękuję - odparł Fineberg.
- Cameron już na zielonej trawce?
- Zgadza się.
- A Case?
- Załatwia sobie pracę w Idaho. Powiedział, że nie będzie pracował jako mój podwładny.

- Widzi pan, przyjaźń z rządowymi szefami ma swoje dobre strony. Fineberg miał na tyle przyzwoitości, by okazać zakłopotanie.
- Nie oczekiwałem czegoś takiego.
- Szkoda tylko, że wyniki nie były bardziej pozytywne.
- Zależy, co ma pan na myśli. Prezydent nie umarł na zator tętnicy płucnej. Problem w tym, że spoczywa teraz w grobie i jeśli go nie odkopimy, nie będzie można ustalić, co go uśmierciło.

- Badania krwi?
- W normie. Dość wysoki poziom nikotyny.
- Nikotyny?
- Tak. Prezydent dużo palił, prawda? Łatwo było poznać po stanie płuc, i serca, jeśli już o to chodzi.

- Tak, to prawda - zgodził się Kuusinen. - Lubił krótkie cygara.
- Mocne.

Kuusinen podniósł się z niskiego krzesła. Jego długie kończyny rozłożyły się, jak u drewnianego pajacyka.

- Wpadłem, by panu podziękować - rzekł. - No i pogratulować.

Odwrócił się przy drzwiach.

- Całkiem w porządku? - spytał zaniepokojony nagle Fineberg i omiół gestem pokój swojego byłego profesora. - Prawda?

- Jeśli urządził to wszystko pan Reich, to musi być w porządku - odparł Kuusinen.

Zszedł na dół do samochodu i gdy kierowca wiozł go z powrotem do Białego Domu, wystukał numer na tarczy telefonu.

- Wewnętrzny 432 - rzucił. - K.K.? Tu Lief Kuusinen. Masz jakieś plany na dzisiejszy wieczór?

♦ **Wardman Tower, Aleja Connecticut 4200, Waszyngton**

Kiedy Kuusinen wyłonił się z gabinetu, Thrale patrzył przez okno na światła samochodów, które pełzały w dole przez Rock Creek Park.

- Wybacz, że kazałem ci czekać - przeprosił. - Moja żona pojechała do naszej młodszej córki, która urodziła właśnie dziewczynkę. Przez kilka dni Aileen będzie pomagać jej i Joemu.

- Miło z jej strony. Mój chłopak ożenił się w Arizonie. Nie widuję ich tak często, jak powinienem. Sporządziłem dla ciebie ten raport o Komurze. Mam go przy sobie.

- Wspaniale. Doceniam, że uwinąłeś się tak szybko. Poproszę, żebyś go za chwilę omówił. - Kuusinen zasiadł na kanapie i bawił się przez chwilę szklaną ozdobą. - Nie dlatego jednak poprosiłem, byś tu przyszedł...

Odłożył kryształ i spojrzał na stojącego przed nim Thrale'a.

- Mam problem i chcę cię prosić, żebyś go rozwiązał. Jeśli możesz. Albo chcesz. Z roboty w terenie można wyrosnąć...

- Zawsze czułem, że zbyt wcześnie przeszedłem na emeryturę - podjął Thrale pomocnie. - Nie zaszkodzi, jeśli wyrwę się stąd na jakiś czas. Poszukiwanie rozkradających nasze gadzety Rosjan nie wypełnia mi całego czasu.

- Mogę cię ustawić, dać ci glejty potrzebne, by otworzyć niektóra drzwi, ale ostatecznie będzie tak, jak zawsze. Jeśli ci się uda, nikt ci nie podziękuje. Jeśli nie, to nigdy o tobie nie słyszeliśmy. Dobrze?

- Dobrze. Zawsze pracowałem na takich zasadach, kiedy jeszcze się w to bawiłem. Jeśli proponujesz mi zadanie, które odpowiada mojej wiedzy i doświadczeniu, wezmę je. Byłem specjalistą od tajnych akcji politycznych. W swoim czasie mogłem poszczycić się, co prawda tylko wśród zawodowców, bo świat zewnętrzny dowiaduje się tylko wtedy, gdy coś spieprzymy, że udało mi się usunąć poważne zagrożenia dla bezpieczeństwa kraju. Zawsze uważałem, że ci, co chcą zabronić tajnych akcji politycznych, są szaleńcy. Ci u sterów skupiają się na wynikach, prawda? Muszą podchodzić do

spraw od końca. Co prawda mogą zdecydować, że jakaś akcja jest zbyt ryzykowna, lecz jeśli pojawi się problem zbyt poważny, taki na który trzeba coś zaradzić, wtedy powinni rozważyć całe spektrum dostępnych rozwiązań. Czasami udaje się wyjść z impasu za pomocą prostych i mało ryzykownych posunięć. Jesteśmy najpotężniejszym narodem na świecie, ale nasza siła jest siłą lwa albo słonia. A co będzie, jeśli zaatakują nas pluskwy albo rój pszczół? W takiej sytuacji zwracacie się do ludzi takich jak ja. Zatem jeśli w twojej głowie tkwi problem, który nie znajduje żadnego rozwiązania, proszę, przedstaw mi go. Chętnie pomogę. Wprawdzie miałem zamiar pójść i nasikać na grób admirała Turnera, ale to przyjemne zadanie mogę wykonać kiedy indziej. - Thrale uśmiechnął się: - Wybacz. Na ogół nie wygłaszam takich zawitych dziwolągów - przeprosił. - Przrzekam, że to się nie powtórzy. Kuusinen poczekał, aż uśmiech zniknie mu z twarzy.

- Moje zmartwienie może mieć charakter rzeczywisty lub wyimaginowany. Jeśli jest prawdziwe, to ktoś dopuścił się aktu agresji wobec USA. Pozwól, że ci wytłumaczę. Wkrótce po tym, jak znaleziono martwego prezydenta Hawkinsa, do Eda Reischa zgłosił się młodszy asystent grupy medycznej, która przeprowadziła autopsję. Utrzymywał, że starszy patolog cierpi na starczy zanik pamięci, a jego asystent jest niekompetentny, oraz że diagnoza śmierci - zator tętnicy płucnej - jest błędna. Ed wtajemniczył mnie w tę historię i za pomocą małej maskarady udało się nam umożliwić młodszemu asystentowi, dr Finebergowi, zbadanie ciała prezydenta Hawkinsa przed pogrzebem. Wyniki analiz niczego nie rozstrzygnęły. Prezydent nie zmarł na zator tętnicy płucnej, tak jak przekonywał Fineberg, ale równocześnie badania krwi nie wykazały śladów trucizny, czego obawiał się doktor uważając, że ciało nie było prawidłowo zasinione.

- Rozumiem - przerwał Thrale. - Czy takie wyniki nas zadowolają? Oczywiście, nie.

- Nie. Istnieje wystarczająco dużo przesłanek, by prosić cię, żebyś pokopał głębiej. Po pierwsze, Ed Reisch z radością przyjmuje taki werdykt. Do tego stopnia, że specjalnie przyszedł mi powiedzieć, iż prezydent naprawdę zmarł na zator tętnicy płucnej. O niczym to jeszcze nie świadczy. Po prostu tak naprawdę nie życzy sobie mieć tego problemu na karku. W jego przekonaniu badania krwi wykazały, że prezydenta nie zamordowano.

Ed ma hopla na punkcie władzy, poza tym sprzedałby własną matkę, żeby wygrać. Teraz może zająć się swoją nadrzędną troską, czyli jak zapewnić Barnetowi powtórny wybór. Nie pasują tu jednak dwie rzeczy. Po pierwsze starszy kolega Fineberga, niejaki doktor Bartlett, zmarł sześć miesięcy temu z identycznych przyczyn.

- Bartlett był bystrym patologiem?

- Według Fineberga bardzo.

- Dobrze. Zatem jeśli ktoś rzeczywiście planował zamordować prezydenta, mógł upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Wybacz mi to sformułowanie. Zabijając Bartletta usunął człowieka, który potrafiłby może dostrzec, co się naprawdę stało, wypróbował nowo opracowaną metodę zamachu i dowiedział się, czy ten sklerotyczny facet i jego niekompetentny asystent uznają ją za naturalną przyczynę śmierci.

Kuusinen podniósł się i podszedł do barku.

- Dokładnie. Chcesz drinka?

- Poproszę Jacka Danielsa z lodem.

Nos Kuusinen drgnął, a jego właściciel, tłumiąc kichnięcie, sięgnął do kieszeni po chusteczkę.

- Na zdrowie - rzucił Thrale.

- Dziękuję. O tej porze roku zaczyna mi się katar sienny.

- W Japonii jeśli kichnie się raz, to znaczy, że ktoś o tobie dobrze mówi.

Dwa razy to źle, a trzy razy, to ktoś cię kocha!

- A cztery razy? - spytał Kuusinen wciąż siąkając nosem.

- Cholera. W takim razie musiałeś się przeziębnić. Ale nie upadaj na duchu. Jeśli wyjdiesz z domu i ptak gruchnie ci na głowę, będziesz miał szczęście.

Kuusinen uśmiechnął się.

- Zapamiętam to sobie.

Nalał sobie szkockiej i podał Thrale'owi jego szklanke.

- Twoje zdrowie. Po drugie, te badania krwi wykazały wysoki poziom nikotyny.

- Prezydent palił?

- Tak. I to dużo.

- Rozumiem.

- Rzucił trzy miesiące przed śmiercią. Lekarz dał mu wybór: albo rzucić palenie, albo za kilka lat stracić nogi. Trzeba by je było amputować z uwagi na niedostateczne krążenie krwi. Prezydent rzucił palenie.

- Ja także. Ale nikotyna naprawdę potrafi uzależnić. Moja żona, Keiko, też dużo paliła. Właśnie dlatego nie ma jej dziś przy mnie. Próbowала rzucić chyba ze sto razy.

- Dobrze znałem Hawkinsa. Nie powiem, że bym go lubił, ale był to człowiek o żelaznej woli. Jeśli chciał coś zrobić, zwyczajnie to robił. Nikt inny nie doprowadziłby do Traktatu Pokojowego z Rosją. Więc jeśli zdecydował się rzucić palenie, to na pewno to zrobił.

- Więc skąd pochodziła ta nikotyna?

- Też zadałem sobie to pytanie. Zjrzałem do encyklopedii. Wiesz, do czego kwalifikuje się nikotynę w odpowiedniej dawce?

- Do czego?

- Do substancji neurotoksycznych - odparł Kuusinen głosem bez wyrazu. - Może jednak Fineberg miał rację podejrzewając coś, kiedy zobaczył, że trup nie jest odpowiednio zsiniony.

- W porządku. - Thrall wstał opróżniając szklanekę. - Chcesz mnie przydzielić do biura doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego? Zrób ze mnie jakiegoś specjalnego podpieracza kulis, daj mi rolę bez słów. Nie będę potrzebował ogromnego budżetu, ale pozwól, że powołam się na twoje nazwisko, jeśli okaże się to konieczne.

- Załatwię to do rana.

- Zostawiam ci ten raport o Komurze. Ciekawa lektura.

- Z przyjemnością go przeczytam. Dowiedz się, kto zamordował prezydenta, K.K. Oraz coś jeszcze ważniejszego niż to.

- Co takiego?

- Dlaczego to zrobił.

◆ Moskiewskie ZOO

Park zaścielali ludzie, ofiary rozstrzygniętej bitwy. Od Gruzińskiej nadpływały pohukiwania, warczenie i wrzaski stworzeń uwięzionych w Zoo, a ludzie pojękiwali i stękali w symbiotycznym współczuciu. W niedzielny ranek miejskie pijaczyny wydalają wódkę z zatrutych organizmów. Stało

się to pewnego rodzaju rytuałem. Pijani mężczyźni gramolili się krokiem somnambulików wzdłuż ulic i od strony metra, by zwalić się z wdzięcznością na parkową trawę. Gdy znieczulenie ustępowało, zostawiając jedynie pulsowanie w głowie, a w nogach ołów, podnosili się i wlekli do łaźni, by wśród sypiących się carskich ikon dokończyć dzieła za pomocą kilku butelek piwa, biczów z brzoźowych gałązek *waniki* oraz na przemian duszącej pary i zimnej kąpieli.

Trzej imprezowicze - Jurij, Otari i Aleksiej - leżeli wyciągnięci sztywno jak nieżywi. Pośród kakofonii dźwięków jakiś nowy odgłos powoli penetrował ich sparaliżowane zmysły. Był to ostry, natarczywy, gniewny głos.

- Jurijotarialeksiej! Jurijotarialeksiej! *Skorieje!* Pospieszcie się!

Dochodził on z południowej części parku, od strony metra „Barrikadnaja” i należał do Galiny, narzeczonej Jurija. Jurij niechętnie uniósł obolałe ramię.

- *Siuda!* - zachrypiał. - *Siuda.*

Szczupła, zielonooka Galina była rozżłoszczona, że zepsuto jej niedzielny poranek.

- Telefon do ciebie, Otari. Z jednostki. Masz oddzwonić.

Poganiani szturchnięciami buta i jazgotem poczapali przez park, do stacji metra. Przypominające katedrę wewnątrz stacji wyglądało jak zatrzymany kadr z działań rewolucyjnych. Zapłacili pięć kopiejek przy barierce wejściowej i pojechali linią w kierunku Tuszyno.

Jurij miał szczęście, ponieważ pozycja, jaką piastował na Państwowym Uniwersytecie upoważniała go do posiadania niezwyklego mieszkania. Ogromne bloki niczym się różniły. Materiały budowlane produkowano *en masse*, tak że budynki w Piatigorsku czy w Bałaszyce były identyczne. Jurij zaś posiadał czteropokojowe mieszkanie w dziewiętnastowiecznej kamienicy, niegdyś eleganckiej i szykownej, a obecnie ciemnej i brudnawej. Ciężkie rosyjskie meble kontrastowały tutaj ostro z kilkoma fińskimi elementami z bielonego sosnowego drewna, które uzyskał pod presją Galiny wykorzystując swoje dojsćia. Narzeczone Jurija powoli, ale nieustannie przerabiała mieszkanie. Dłonie, którymi wypełniała zygzakowate pęknięcia w suficie, miała poplamione na biało.

Otari zatelefonował do kwatery głównej w Kirowogradzie. Dostał rozkaz skrócenia urlopu i powrotu do jednostki.

- Chodźcie do łaźni - wymamrotał. - Nie możemy służyć ojczyźnie w takim stanie. Ja postrzelę się w nogę, Aleksiej wjedzie czołgiem do rowu, a Jurij nic nie zrozumie z tego, co mu powie komputer.

Cała trójka zaczęła gotować się do wyjścia. W tym momencie telefon zadzwonił ponownie. Jurij podniósł słuchawkę.

- Profesor Serow - przedstawił się głosem najmocniejszym, na jaki go było stać.

- Mówi generał Ogarkow - padła odpowiedź. Generał mówił tonem jowialnym i najwyraźniej był zadowolony z tego, co robi, i pewny, że dźwizka władzę dość szeroką, by tak postępować. - Przeniosłem was z Uniwersytetu i przyznałem stopień pułkownika. Będziecie odpowiedzialni u mnie za Sekcję Zaawansowanych Projektów Komputerowych. Zameldujecie się jutro w Kwaterze Głównej.

◆ Zakłady „Skunk Works”, Burbank, Kalifornia

Biuro Nowoczesnych Projektów Zakładów Lockheed od zawsze było gniazdem najlepszych naukowych i technicznych umysłów w Ameryce. W 1943 zaliczali się do nich uchodźcy z Europy, którzy znaleźli zatrudnienie pod kierownictwem człowieka nazwiskiem Kelly Johnson. Po pewnym czasie Johnson stał się postacią legendarną jako geniusz aeronautyki, który zanotował na swoim koncie skonstruowanie pojazdów tak bajecznych jak *SR-71 Blackbird* i samolotu szpiegowskiego *U-2*. Jednak w czasie wojny jego trzódka talentów pracowała w namiotach cyrkowych rozłożonych na jakimś polu obok fabryki tworzyw sztucznych w Burbank, gdzie przygotowywała projekt myśliwca odrzutowego *P-80 Shooting Star*. Unoszący się w okolicy ostry odór przypominał im paskudnie śmierdzące „Sprawki Skunka” z komiksu Al Cappa „Li'l Abner” i tak narodziła się legenda.

Ponad półwieku później zakłady niczym nie przypominały swoich skromnych początków. Duże, białe budynki w milczeniu asystowały poczęciu i konstrukcji samolotów, które niezmiennie należały do najnowocześniejszych swojej epoki, bez względu na to, czy były to przystosowane

do lotów na dużej wysokości i ponaddzwiękowe *SR-71*, czy też latające niżej i poddzwiękowe samoloty typu *Stealth*, jak myśliwiec szturmowy *F-117A*. Wraz z Northropem, konstruktorem bombowca *B-2* typu *Stealth*, wytwórnia Lockheed przodowała w technologii *Stealth*, sztuce budowania samolotów niewidzialnych dla wrogich systemów wykrywania.

Pod koniec dnia pracy, ponieważ wszyscy ruszyli w drogę powrotną do domów, samochody zaczęły wylewać się na ulice strumieniami, powodując tymczasowe korki wzdłuż San Fernando. Kiedy ruch nieco osłabł, Harold Templer ostrożnie wyprowadził za bramę zielonego Pontiac. Na południowym zachodzie leżało rozwalone cielsko Hollywoodu, Beverly Hills i Santa Monica, Templer zaś skierował się w odwrotnym kierunku ze stałą prędkością siedemdziesięciu kilometrów na godzinę, w stronę swojego domu w górach San Gabriel. Mieszkanie było jedyną częścią jego wizerunku, która nie pasowała do stereotypu. Mały, niepociągający, przykurzony i myszowaty Templer powinien mieć małe i niepociągające mieszkanie gdzieś w Pasadenie lub Temple City. Tymczasem posiadał komfortowy, dwupoziomowy domek daleko od smogu w górach, który, jak się zdawało, przekraczał jego możliwości finansowe. Harold Templer był z zawodu archiwistą, bibliotekarzem. Nowoczesne projekty, jak *F-117A*, lub Pojazd Trans-Atmosferyczny czyli *PTA*, które ponoć równie dobrze mogą przelecieć z Nowego Jorku do Los Angeles w dwanaście minut, jak zbombardować jakiegokolwiek miejsce na ziemi w przeciągu trzydziestu, wymagały stałego dopływu najświeższych dokumentów, referatów, prac i książek. Część tej wiedzy przechowywano w książkach na półkach, część zaś kodowano w elektronicznych obwodach komputerów CRAY głęboko pod ziemią. Harold Templer był nowoczesnym bibliotekarzem - tak samo potrafił zatroszczyć się o grzbiet książki przed odstawieniem jej z powrotem na półkę pomiędzy jej milion albo i więcej towarzyszy, jak wybrać dokument naukowy do oceny z elektronicznego banku danych.

Zostawiając za sobą palmy i bulwary, piął się w górę. Powietrze stawało się rześkie i czyste. W bagażniku Pontiac wioził dwie brązowe torby ze sprawunkami - kupione podczas przerwy na lunch zapasy na weekend.

Dom stał na uboczu, osamotniony pośród sosen. Latem mgła i smog osiadały w dolinie niczym złowrogie bagno, lecz gdy powietrze się

przerzedzało, Templer mógł podziwiać widok ogromnego miasta w dole. Opony samochodu zachręściły na żużlu, gdy przycisnął pedał hamulca w bezwiednym odruchu.

Pod jego domem stał zaparkowany czerwony Ford Thunderbird. Serce zabiło mu nieco szybciej, oczy jak u krewetki ożywił nowy błysk zainteresowania. Templer przełożył nogę z powrotem na gaz i zaparkował tuż obok.

Wszedł prosto do środka. W przedzielonym przepierzeniami pokoju dziennym wylegiwały się na kanapie dwie tajemnicze, młode kobiety. Jedna wyciągnęła wiotkie, jak u mątwy, ramię i z wdziękiem włączyła odtwarzacz kompaktowy. Obie miały orientalną urodę, były piękne, ciemnookie. Nie potrafiłby ich rozróżnić, gdyby nie miały na sobie krótkich, lekkich kimon: jedna śnieżnobiała, a druga krwistoczerwone.

Czerwona zerwała się na nogi w wirze powłóczystych, czarnych włosów, a Harold dostrzegł w przelocie prowokacyjny kontrast bielusiękich majtek. Z odtwarzacza popłynęła piosenka braci Everly i dziewczyna zawtórowała.

- Jest sobotni wieczór, właśnie po wypłacie - zachichotała. - Cześć Harold, dziś wypłata.

- Cóż, zgoda - radośnie wyszczerzył zęby. - Nie spodziewałem się was.

- Jestem Yin, a to jest Yan - powiedziała wskazując na swoją towarzyszkę, która tańczyła obok.

- Yin i Yan - zarechotał. - Kapuję.

Yin podała mu gotowego drinka, whisky Canadian Club z Coca Colą, którą uwielbiał pić na przyjęciach. Dziewczyny trzymały własne ciemne, podłużne, pobrzękujące lodem szklanki.

- No więc... tego... macie swoje karteczki?

- Jasne, Harold. Proszę bardzo - podała mu dwa drukowane formularze, on zaś przebiegł po nich wzrokiem. Datowane z tego ranka wyniki badań krwi zaświadczały, że żadna z kobiet nie była nosicielem wirusa HIV.

- Słuchaj, Harold, - powiedziała, odbierając mu druki. - Dzisiaj się zabawimy, ale rano znikamy.

- Naprawdę? - odparł z powątpiewaniem.

- Pamiętaj, jak powiedziano ci, że pewnego dnia będziesz musiał

wyjechać? No więc zbudowano myśliwiec na podstawie planów, które nam dostarczyłeś.

- Nikt mi o tym nie mówił, ale też nie pytałem.

- Wprowadzono go do produkcji. Jeden z nich się rozbił. Niestety Amerykanie dowiedzieli się o tym. Odebraliśmy sygnały, że faceci z wywiadu i obrony rozgryzają tę sprawę. Prędzej czy później ktoś przyjedzie cię odwiedzić.

- Rozumiem.

- Walker dostał dożywocie, Haroldzie. Jego kumpel, Whitworth, trzysta sześćdziesiąt pięć lat. Nie wyjdzie nigdy. Amerykanie poważnie podchodzą do tego rodzaju szpiegostwa.

- Czy ktoś się mną zaopiekuje?

Na kanapie Yan zachichotała gardłowo.

- Zobaczysz, Harold, jeszcze się zdążysz zapieprzyć na śmierć.

- W takim razie dobrze - odparł, uśmiechając się szeroko.

- Zostawisz dla osłony wiadomość. Zaadresuj ją do swojego szefa, Elliotta Reynoldsa. Wyślemy ją z rana. Tu jest papier i pióro.

Yan tańczyła koło lampki, której światło przenikało zwiewne, białe kimono. Templer upił drinka, a Yan napełniła szklankę ponownie, jednocześnie dyktowała tekst. Robił się sztywny z podniecenia, serce waliło mu głucho w piersi.

Drogi Elliocie. Nie mogę już tego dłużej znieść. Muszę odejść. Proszę, doglądaj wszystkiego i wybac mi. Harold.

Leżał na pościeli, a obie dziewczyny całowały go. Yin pochyliła się nad jego członkiem, wzięła go w usta i Harold omal nie zakrztusił się z rozkoszy.

Zmieniwszy pozycję zanurzył twarz pomiędzy jej udami i patrzył wzdłuż ciała Yin, jak Yan ssie i pieści jej sutki, i ponownie poczuł podniecenie.

Wzięli prysznic, a potem dwa śliskie od mydła, gibkie ciała wysuszyły go dokładnie. Leżąc na wznak na łóżku, odurzony napojami, z przyjemnością poczuł lekką, masującą dłoń.

- Dziewczyny - jęknął szczęśliwy. - Nie mógłbym stwardnieć, nawet jeśli od tego zależałoby moje życie.

Yan roześmiała się.

- Potrzebujesz naszej specjalnej tabletki.
- Co to za tabletki?
- Tabletki miłości. Poczujesz się jak nowo narodzony.
- Hej...

Odnalazł w dłoni dwie białe pastylki i świeżo napełnioną szklanekę. Połknął je, zanim się spostrzegł i ponownie ułożył się na łóżku. Dziewczyny ubrały się w rzeczy, które przyniosły w torbie. Zapięły koszule i uczesały włosy, schowały kimona i bieliznę.

Na łóżku leżał Harold Templer, z którego życie uciekło niczym światło z żarówki po przekręceniu wyłącznika.

Dziewczęta umyły szklanki i odstawiły je na miejsce. Piły tylko Coca Colę z lodem, więc obydwie były trzeźwe. Thunderbird ożył, a reflektory oświetliły drogę wśród sosen.

- Dobrze jest umrzeć - powiedziała Yan znad kierownicy.
 - Służba jest cięższa niż góra, a śmierć lżejsza niż piórko.
- Zadowolone zjeżdżały po zboczu w stronę Los Angeles.

◆ Wardman Tower, Waszyngton

Kuusinen podszedł do lodówki, by przygotować sobie kolację. Wyjął cienko pocięte plasterki wołowiny, majonez, sałatę, pomidory i chrzan i zrobił kilka kanapek z żytniego chleba. Następnie zaniósł talerz i serwetkę do krzesła z wysokim oparciem, w którym zwykł czytać i otworzył raport Thrale'a.

KOMURA BUSSAN

Zacznę od krótkiego rysu historycznego.

W roku 660 n.e. cesarz Jimmu zbudował w stołecznym mieście pałac, ustanowił prawa dla podległego mu ludu i obiecał „przedłużyć linię potomków Cesarza oraz popierać prawomyślność... Od tego czasu stolica będzie się mogła rozrastać i obejmie wszystkie sześć podstawowych punktów koła, a osiem linii pokryje się w taki sposób, by powstał dach”.

Ta godna uwagi aspiracja, zauważalna we wszystkich okresach japońskiej historii, która może pretendować do roli ustroju państwa nosi nazwę *hakko iczū* i oznacza wszystkie osiem rogów świata pod jednym, cesarskim dachem, czyli - innymi słowy - rządy nad całym światem.

Komura Bussan jest bardzo starym i bardzo dużym przedsiębiorstwem. Słowo *bussan* oznacza produkty, i też w swoim czasie Komura produkowało niemal wszystko i sprzedawało prawie każdemu bez wyjątku. Niebo nad miastami Japonii przyćmiewały niegdyś dymy z fabryk i młynów tego przedsiębiorstwa Rzeki i morza zanieczyszczały ścieki z jego kopalń, celulozowni i rafinerii. Ze stali z odlewni Komury budowano statki, które z kolei rozwoziły jego produkty na krańce świata.

Komura Bussan posiadała lasy, łowiska i plantacje wysunięte daleko na północ, aż po Hokkaido, i na południe po Kiusiu. Banki oraz domy ubezpieczeniowe i handlowe Komury należały do najpotężniejszych w Japonii. Za czasów imperium Komura otrzymała najbardziej intratne koncesje w koloniach. Była najważniejszym udziałowcem Kolei Mandżurskiej. Łożyła na armie żołnierzy zaciężnych mające zagarnąć Chiny. Jej polityczna i militarna sieć wywiadowcza, która opłatała cały glob, sięgała dalej i była lepiej zorganizowana niż rządowa. Komura nieraz kontrolowała ówczesny rząd, gdyż finansowała jedną z ważniejszych przedwojennych partii politycznych. Wykorzystywała swoją pozycję, by tłumić posunięcia reformatorskie, więzić i wykonywać wyroki na przeciwnikach, miażdżyć związki zawodowe i zapewniać całkowitą nietykalność swoim ludziom, do których zaliczali się rządowi ministrowie, generałowie, redaktorzy gazet, szefowie policji i przywódcy grup terrorystycznych. Wszystkich kupowała i opłacała.

Zaibatsu, czyli rodzinne kliki finansowe przedwojennej Japonii, były niesłychanie za-
możne. Cztery największe posiadały ponad czwartą część wszystkich aktywów przedsiębiorstw w kraju. A największa ze wszystkich była klika Komurów - większa niż Mitsui, niż Mitsubishi czy Nomura. Jej imperium rozciągało swoje macki nad każdym znaczącym sektorem przemysłu, finansów i handlu. Zarządzała nim spółka holdingowa Komurów, która z interesami radziła sobie w taki sam sposób, w jaki szogunowie Tokugawy rządzili panami feudalnej Japonii. A na samym szczycie zasiadał klan Komurów. Przypominał on europejskie domy Rothschilda i Kruppa, lecz był od nich potężniejszy, choć podobnie mocno związany z losami imperium. Dom Komury rozkwitał i rozrastał się w czasie rewolucji, rebelii i międzynarodowych zmagających wojennych. Bez Komurów nie miałaby miejsca rewolucja epoki Meiji w 1868 roku, która położyła podwaliny pod nowoczesną Japonię. Bez domu Komury Japonia nie przekształciłaby się w imperium. W 1942 Komura Bussan było największym pojedynczym beneficjentem tego imperium. Trzy lata później przyjęcie takiej formy rządów doprowadziło Japonię do całkowitej klęski. W 1946 roku to największe *zaibatsu* zdelegalizowano, a jego majątek skonfiskowano.

Dzisiaj Komura Bussan jest największym przedsiębiorstwem w Japonii i na świecie. A to za sprawą Komury Tadaji, w prostej linii potomka założyciela firmy, Komury Saburozaemona.

Istnieje pewna paralela pomiędzy historią powstania domu Mitsui i domu Komury.

Mianowicie obydwaj założycieli samuraje, którzy dobrowolnie zrzekli się statusu wojownika, by zająć się kupiectwem. Saburozaemon mieszkał w Edo, dzisiejszym Tokio, w latach, które nastąpiły po zwycięstwie, jakie odniósł Tokugawa Ieyasu w bitwie o Sekigahara w 1600 roku. Bitwa ta stanowiła kulminację wieków anarchii i wojen w Japonii. Od momentu, gdy Ieyasu ściął czterdzieści tysięcy głów pod Sekigahara - wliczając w to głowę Ishida Mitsunari, przywódcy sił, które się mu przeciwstawiły - obserwuje się początek władzy centralnej, czyli Szogunatu Tokugawa, który trwał od roku 1603 do 1868. W drodze do tradycyjnego miejsca egzekucji w wyschniętym korycie rzeki Kioto Mitsunari poczęstowano jakimś owocem, który odrzucił twierdząc, że źle podziela na jego trawienie. Kiedy zasugerowano, że nie powinien martwić się o trawienie w momencie, gdy ma stracić głowę, odparł «Nie wolno w to wierzyć. Nigdy nie wiadomo, jak się sprawy potoczą». Wziąwszy pod uwagę historię Japonii w ogólności, wydaje się to być najrozsądniejszą postawą, jaką można przyjąć.

W 1616 roku panowanie Ieyasu nad Japonią umocniło się, gdy przewyciężył on niedobitki swoich nieprzyjaciół i zabił ostatniego żyjącego członka wrogiego domu: ośmioletniego chłopca. Wówczas, upewniony, że świat przekształca się zgodnie z jego przewidywaniami, Saburozaemon uczynił bezprecedensowy krok zamieniając samurajski miecz na *soroban*, liczydło kupca. Postąpiwszy w ten sposób zmienił historię Japonii i świata, Ieyasu zmarł wkrótce po triumfie w 1616 roku. Człowiek, który doprowadził do zakończenia wiekowej anarchii i ustanowił centralny rząd wojskowy, który miał przetrwać dwa i pół wieku, był błyskotliwym dowódcą i przez całe swoje życie wykazywał się niemal bezbłędną oceną ludzi i niezachwianą cierpliwością. Warto cytować jego słowa, które nie straciły na ważności - podobnie, jak nie stracił ustrój *hakko icchi*.

«W życiu ludzie silni i męscy to ci, którzy rozumieją, co to znaczy cierpliwość. Cierpliwość oznacza powstrzymywanie własnych skłonności. Istnieje siedem emocji: radość, gniew, niepokój, miłość, żal, strach i nienawiść. Jeśli człowiek nie daje im upustu, określa się go mianem cierpliwego. Choć nie jestem tak silny, jakbym być mógł, od dawna uczę się i ćwiczę w cierpliwości. I jeśli moi potomkowie pragną być tacy, jak ja... muszą kształcić w sobie cierpliwość».

Dom Komury prosperował pod panowaniem Szogunatu, a co więcej, wyszedł z jego upadku ze spotęgowaną siłą. Przyczyny agonii Szogunatu należy upatrywać w tym, że świat zewnętrzny ponownie zaczął się interesować Japonią.

W latach dwudziestych osiemnastego wieku rozbili się u wybrzeży Japonii amerykańscy żeglarze, których stracono zgodnie z nakazami polityki *uchi harai* zawierającej się w słowach: ostrzelać, odeprzeć i wyrzucić barbarzyńców. Amerykanie poczuli się urażeni i wysłali emisariuszy. Największy sukces odniósł komandor Perry i jego eskadra. Śladem Amerykanów wkrótce pospieszyli kolejno Rosjanie, Brytyjczycy, Holendrzy i Francuzi. Lata izolacji wydały plon gorzkich owoców. Odcięci od rewolucyjnych odkryć w astronomii i naukach przyrodniczych, od metody badań opartej na doświadczeniu, od nowoczesnej zachodniej technologii, Japończycy nie byli w stanie stawić oporu przybyzom. W 1857 roku szogun wyraził zgodę na nawiązanie stosunków z Ameryką, które miały «trwać od tego momentu na zawsze».

Japończycy wkroczyli w świat, o którym nie wiedzieli praktycznie nic. Zdawali sobie jednak sprawę, że stanowi on zagrożenie dla narodu w ich położeniu, na co jasno wykazywał los, jaki z rąk potęg Zachodu spotkał Chiny, Indie, Indochiny, Indie Wschodnie, Półwysep Malajski i Filipiny.

Jak Japończycy zareagowali na tę sytuację? Masayoshi Hatta, główny radca szoguna i doradca do spraw polityki zagranicznej, przedstawił to najjaśniej w memoriale do swojego zwierzchnika w 1858 roku:

«Nawiązując stosunki z obcymi krajami powinniśmy mieć przez cały czas na uwadze nasz nadrzędny cel, czyli położenie fundamentów pod hegemonię nad wszystkimi narodami. Trzeba rozwijać zasoby naturalne w drodze sprawnie przeprowadzanych przygotowań wojskowych. Kiedy siła i pozycja naszego narodu zdobędzie sobie powszechne uznanie, powinniśmy przejąć kierownictwo... zadeklarować naszą opiekę nad nieszkodliwymi, ale silnymi krajami... Kiedy w ten sposób umocni się prestiż i pozycję naszego narodu, świat zacznie patrzeć z szacunkiem na naszego Cesarza jako na Wielkiego Władcę wszystkich narodów, podda się naszej polityce i ulegnie naszym osądom...»

Hakko iczū!

Proces modernizacji i uczenia się od Zachodu rozpoczął się szybko.

W 1855 roku powstała Japońska Cesarska Marynarka Wojenna pod kuratelą Holendrów, a później Brytyjczyków. W Edo utworzono szkoły, gdzie pod okiem obcokrajowców młodzi samuraje uczyli się języków obcych i zgłębiali tajniki inżynierii, fizyki, chemii oraz innych nauk i technologii. Wielu Japończyków wyjechało za granicę, gdzie obserwowali, pracowali i uczyli się.

Gdy nadszedł dwudziesty wiek, fortuny Japonii i *zaibatsu* rozkwitały w pełni. Wojsko dowiodło swojej sprawności dziesiątkując Chińczyków w ostatnich latach dziewiętnastego stulecia. Wroga postawa, jaką przyjęła większość zachodnich mocarstw, a która wyraziła się w okrojeniu japońskich zdobyczy z tej wojny, zjednoczyła wszystkie frakcje japońskiego przywództwa i przyczyniła się do powstania nowej, źle wróżącej światu polityki *Nippon shugt*, japonizm. Japonia zaczęła otaczać się terytoriami ochronnymi i gromadzić środki, które miały zapewnić jej całkowitą samowystarczalność. Rodziło się imperium. Po zawarciu przymierza z Anglią, największym ówczesnym mocarstwem, przyszło zwycięstwo w wojnie rosyjsko-japońskiej w latach 1904-5. W nagrodę cesarska Japonia wchłonęła Koreę. Japońskie imperium obejmowało w tym okresie Tajwan, Koreę, Sachalin, Riukius, Wyspy Bonińskie i Kurylskie.

Hakko icchi!

Rujnująca dla narodów europejskich pierwsza wojna światowa w latach 1914-18 była czystym błogosławieństwem dla Japonii, która rozszerzyła swoje imperium uzyskując prowincję Szantung, Wyspy Marshalla, Mariany i Karoliny. Stanowiła dobroczynny zastrzyk dla jej gospodarki, ponieważ zachodni alianci zlecali jej raptownie rozrastającemu się sektorowi przemysłowemu budowę okrętów i produkcję uzbrojenia.

Kiedy wreszcie zmuszono Japończyków do zarzucenia izolacji i kiedy wyszli z niej mrużąc nieufnie oczy, co ujrzeli, czego się nauczyli? Wkroczyli w świat z krwi i z żelaza, który Bismarck określił mianem *realpolitik*, w świat pogrążony w zaciekłym imperializmie, który podpierano wywodzącymi się ze społecznego darwinizmu faszystowskimi teoriami. Obserwowali nieskrępowany wyścig zbrojeń i prowadzoną bez pardonu najbrutalniejszą wojnę w historii świata. Byli świadkami wyrażającego się w przemocy kultu siły i na przykładzie Lenina nauczyli się, że sprawdza się on w praktyce. Kisaburo Komura, jeden z najzamożniejszych przemysłowców Japonii miał możliwość nawiązać odpowiednie kontakty i poznać interesujących ludzi, którzy posiadali pokrewne jemu poglądy.

Poznał Johna Fostera Dullesa i dowiedział się, jak Mussoliniego wyniosła do władzy finansowa elita Wioch za pomocą stumilionowej pożyczki od J. R Morgana z Nowego Jorku. Obserwował, jak Adolf Hitler czerpie poparcie od trustów stalowych i zbrojeniowych. W Anglii wmixszał się w grupę Cliveden i poznał Williama S. Knudsena, dyrektora General Motors, który zwierzył się, że Niemcy Hitlera są «cudem dwudziestego wieku», zaś Charles Lindbergh oświadczył mu, że nazizm jest «falą przyszłości». Zapoznano go z grupą Moralnego Przebrowienia, gdzie spotkał Hennr'yego Forda i Williama Randolpha Hearsta, a w Niemczech Heinricha Himmlera i Rudolfa Hessa. Uznał to towarzystwo i ich sentymenty za pokrewne i stwierdził, że faszyzm, choć atrakcyjny dla klasy średniej, przed którą odśłaniał swoje potyskiwe powaby, a nawet dla proletariatu ze swoją obietnicę «narodowego socjalizmu» i możliwością uciskania takich podgrup społecznych, jak Żydzi, Cyganie, homoseksualiści, czy komuniści, jest właściwie ideologią monopolistów i superbogaczy. Właśnie ta grupa mogła wyciągnąć największe korzyści z ekspansji za granicą, przygotowań do wojny i zgniecenia rodzimych odstępców.

Przekonany o skuteczności faszyzmu Kisaburo wrócił do Japonii, a wkrótce potem został dyrektorem firmy Komura, największego *zaibatsu* w kraju. Podobnie jak jego poprzednicy i sam założyciel Ich domu, Saburozaemon, Kisaburo posiadał niezwykle wrażliwe polityczne czułki. Uznał, że jeśli Komura ma uzyskać maksimum korzyści z nowego porządku rzeczy, będzie musiała pójść do łóżka z armią, której przywódcy z większości napawali się antykapitalistycznymi, ale imperialistycznymi, poglądami Kity Ikki. Nie było to trudne. Armia Kwantuńska potrzebowała milionów jenów dla sfinansowania ekspansji w Mandżurii i Chinach. Jednakże należało uczynić coś więcej. Należało uczynić jeszcze jeden gest. Gest krwi. Komura Kisaburo ofiarował armii swojego syna, Komurę Tadję.

W Wardman Tower zadzwonił telefon. Odłożywszy raport obok pustego talerza, Kuusinen podniósł słuchawkę. - *Hakko icziu* - mruknął pod nosem.

◆ Pentagon

Wczesnym popołudniem Susie Farr przygotowywała się, by pójść do domu po całym dniu pracy, który rozpoczęła dziesięć godzin wcześniej. Redagowała jedną z najpoczytniejszych gazet w Waszyngtonie, gazetę,

której nie można ani kupić w kiosku, ani zaprenumerować. Lądując na czymś biurku szesnastostronicowe kompendium pod tytułem „Wiadomości Bieżące” stanowiło swoisty wyznacznik pozycji w społeczności wojskowej i obronnej. Czytelnicy nazywali je „Rannym Ptaszkiem”.

Farr podobała się ta praca, mimo, a nawet z powodu dziwnych godzin urzędowania. O pierwszej trzydzieści w nocy czekała ją piętnastominutowa przejażdżka autostradą z domu w Springfield do rozłożystej wojskowej kwatery głównej obok cmentarza Arlington nad Potomakiem, do której przybywała jako jedna z pierwszych spośród dwudziestu trzech tysięcy pracowników. Popijając w drodze filiżankę kawy rozgrzewała umysł przygotowując się do czterogodzinnego, intensywnego redagowania pisma wraz ze swoją pięcioosobową grupą. „Ranny Ptasek” składał się z szesnastu stron formatu tygodnika „Time”, które zapełniały najświeższe dotyczące Pentagonu wiadomości dnia, zebrane z dziewięciu głównych dzienników i całonocnych wpływów z dwóch służb telegraficznych i największych sieci telewizyjnych. Pismo miało charakter wycinankowy i miało uwypuklać ważniejsze wypowiedzi z kręgu Pentagonu i przemówienia sekretarza obrony na dany dzień. Oprócz tego udostępniało swoje łamy dysydemtom społeczności obronnej, którzy obnażali marnotrawstwa Pentagonu, ujawniali szczegóły na temat przekraczania kosztów i kłopotów z systemami broni, oraz zamieszczali omówienie wojskowych incydentów za granicą, których sprawcy woleliby utrzymać je w tajemnicy. Była to bardzo demokratyczna gazeta.

Każdego tygodnia oraz każdego miesiąca Susie Farr i jej grupa przygotowywali dłuższe suplementy, w których swoje sieci zarzucali głębiej, by objąć ponad sześćdziesiąt ogólnokrajowych gazet oraz trzysta czasopism. Farr kończyła właśnie jeden z takich suplementów i za chwilę miała wyruszyć do domu, zrobić zakupy, przygotować wieczorny posiłek, na pół godziny włożyć nogi do wody mydlanej i odebrać najstarszą wnuczkę ze szkoły. Szukając czegoś, co zapełniłoby ostatnie pół kolumny, natrafiła na dwudziestą trzecią stronę „Los Angeles Times”. Wśród naukowców, którzy wytwarzali na potrzeby wojska sprzęt komputerowy (lub elementy konstrukcyjne) miało miejsce coś na kształt epidemii przedwczesnych śmierci

na skutek powiązanych ze stresem chorób, takich jak atak serca czy zawał. Zdarzyło się też kilka samobójstw. Farr podejrzewała, że wrażenie takiego trendu wywołały media, podobnie jak czasem wydaje się, że samoloty nieustannie spadają z nieba, a w tydzień później okazuje się, że zamiast wody, którą się dotąd piło, człowiek faktycznie gasi pragnienie przepelnionym toksycznymi substancjami płynem.

Jednak z drugiej strony pół kolumny na stronie 23 posiadało odpowiednie rozmiary i nawiązywało do tematu dnia, umieściła więc je w kompendium. Notka donosiła, że archiwistę, który pracował dla „czarnego”, tajnego Biura Nowoczesnych Projektów Lockheeda w Burbank w Kalifornii znaleziono w domu wraz z samobójczym listem i stojącą obok butelką pigułek. Dwie, rozpuszczone w pół butelki alkoholu tabletki znajdowały się w jego krwioobiegu.

Farr zrobiła fotokopię artykułu i wlepiła go w puste miejsce. Egzemplarz był teraz gotów do odesłania do drukarni Sił Powietrznych, suplement zaś dołączy do jutrzejszej edycji „Rannego Ptaska”. Najpierw rzuci na niego okiem sekretarz obrony w drodze z domu do pracy trochę po szóstej rano. Pozostali członkowie najwyższej hierarchii otrzymają po egzemplarzu, zaś cały sześciotysięczny nakład zostanie rozprowadzony około południa. Sekcja Transferu Technologii również dostanie jedną kopię, którą jak zwykle puszcza w obieg po biurze. K.K. Thrale przeczyta ją, kiedy będzie szykował się do powrotu do domu.

◆ Kanazawa, Honsiu, rok 1936

O brzasku wiatr znad Morza Japońskiego przemknął jak brzytwa po zamarzniętym śniegu. W półmroku jacyś ludzie wychynęli z dziur, w których biwakowali. Nie spali od trzech dni, ale pod dowództwem sierżanta młode głosy szczeknęły jak jeden mąż.

- Czy jako trup unosić się będę pod wodami, czy zanurzę się w trawy na stoku gór, ochoczo umrę za Cesarza.

Porucznik Komura Tadaji, świeżo po Akademii Wojskowej Shikwan Gakko, przyglądał się z aprobatą, jak sierżant Takahashi organizuje trening

bagnetowy. Starcie bezpośrednie było najlepszym sposobem walki. Komura postąpił naprzód, by przemówić do żołnierzy.

- Zawsze atakujcie - podkreślał. - Nigdy nie myślcie o obronie. Pod spadającym ostrzem płynie rzeka piekła. Wskoczcie do niej i dryfujcie. Niech wróg tnie waszą skórę, wy tnijcie jego ciało. Niech wróg tnie wasze ciało, wy tnijcie jego kości.

Młodzi mężczyźni w plutonie mruknęli aprobowująco, wszyscy z wyjątkiem kadeta Kenji, który bez przerwy kaszlał. Choroba zaczęła się na drugi dzień manewrów. Pechowy żołnierz dygotał, gdy ubierał się do treningu w watowany fartuch i rękawice. Komura, wyprostowany, doskonały oficer, spojrział na niego z dezaprobatą i poklepał rękojęść swojego samurajskiego miecza bojowego. Bliźniacze, zabójcze miecze ponownie wprowadzono do armii jako część *seiszin kyoiku*, ćwiczeń duchowych, które nadawały nową postać narodowi. Komurze zazdrozczono, ponieważ jego para *daiszo* stanowiła historyczny skarb z okresu Szogunatu Tokugawa. Ci, którym szczęście mniej dopisało, musieli poprzestać na nowych mieczach z kuźni w Przybytku Yasukuni - przybytku bohaterów *Szinto* po przeciwległej stronie Pałacu Cesarza - które kosztowały ich półroczną pensję.

Przez wiatr świszczący mu koło uszu przebił się odgłos silnika. Obracając się, Komura ujrzał wyprodukowany w zakładach Nissan pojazd półgąsienicowy majora Iwane, który z chrzęstem zatrzymał się na śniegu.

- Komura! Podejdźcie no tutaj, chcę, żebyście kogoś poznali.

- Kontynuujcie ćwiczenia, sierżancie - Komura rozkazał Takahashiemu. Zbliżając się do pojazdu usłyszał wrzaski pierwszych dwóch kadetów, którzy zaczęli okładać się długimi kijami rozmiaru karabinów.

Wspiął się do kabiny kierowcy, podtrzymując uważnie swoją *katana*, by uniknąć zniszczenia pochwy.

- Poruczniku Komura, to jest major Yonai. - Lisia twarz Iwane rozciągnęła się w chytrym uśmiechu. - Być może słyszeliście o nim.

Komura ukłonił się, na ile pozwalało wnętrze kabiny, i cmoknął z szacunkiem.

- Oczywiście - odparł. - Ale...

Yonai uosabiał wszystko, czego można by oczekiwać od bohatera:

wysoki, przystojny, o jasnej karnacji i pełnych, niemal purpurowych wargach, które otaczały białe zęby.

- Ale co ja tu robię? - Yonai uśmiechnął się. - Jestem tutaj, ponieważ odbyłem już swoją karę.

- Dostał dwadzieścia dni - wtrącił Iwane z zachwytem. - Odsłużył je w domu gejsz w Osace.

Komura zachichotał z aprobatą.

- Właściwa nagroda za doskonały czyn.

- Niedoskonały - warknął Yonai. - Jestem instruktorem fechtunku, a nie udało mi się jednym pchnięciem wysłać w zaświaty ministra Taku. Jestem tym gorzko zawstydzony. Lecz jeśli chodzi o resztę...

- Był nielojalny wobec naszej polityki narodowej, naszej *kokutai*. Zasłużył na śmierć.

- Wiedział o tym - przyłączył się Iwane. - Znalaziono wiersz, który napisał: „Chwała ludziom, którzy czyhają na moje życie, jeśli ich motywem jest umrzeć za swój kraj”.

- W jaki sposób, majorze, udało się panu dostać blisko zdrajcy Taku? - zapytał Komura. - Wszyscy wiedzieli, że grożono mu śmiercią za jego poglądy i że przedsięwziął odpowiednie środki ostrożności.

- Urabiałem go z daleka. Zasygnalizowałem tajone poparcie dla jego poglądów. Cały czas pamiętałem słowa *hagakure*. „Przejdź z prawdziwym mężczyzną sto metrów, a skłamię ci przynajmniej siedem razy”. Skłamałem Taku więcej niż siedem razy i przyszedł czas, że pozwolił mi wejść do swojego biura. Tam miecz zatańczył w mojej dłoni i ten zdrajca padł martwy. Teraz staruchy i tchórze, którzy blokowali nasz naturalny pęd do przewodzenia Azji i świata, nie dzierżą już steru. Musimy oczyścić Azję, usunąć białych. W Chinach położymy kres cierpieniu tamtejszych ludzi. Teraz my staniemy za sterami.

Na śniegu za oknem kadeci rzucali się na siebie szaleńczo, a ich okrzyki furii przenikały przez szybę.

- Wojna jest najwyższym ideałem ludzkości, ojcem kultury i matką twórczości - wymamrotał Yonai. - Wkrótce wyruszymy. Uważa się, że wy, poruczniku, z powodu waszej rodziny, również powinniście do nas dołączyć. Dla krzepkich i zapobiegliwych japońskich przedsiębiorców, ludzi

przebojowych, pod rządami wojska nadarzy się jeszcze okazja, aby pod ochroną jego skrzydeł dokonać inwazji na tych obszarach i podwoić, a nawet potroić japoński eksport. Wy, poruczniku, w armii, a wasza rodzina w interesach handlowych, jesteście symbolem naszego partnerstwa.

- Będę zaszczycony - zapewnił Komura.

Yonai poklepał się po nosie.

- My, z rasy Yamato, jako ludzie czysti, jesteśmy szczególnie wyczuleni na woń rozkładu, jakkolwiek dobrze nie byłaby ona zamaskowana. Gdy zwietrzymy brak pewności, uderzamy! Kiedy wyczuwamy zgniliznę, tratujemy! Tam daleko, poruczniku Komura, właśnie tam ją czujemy. Wąchamy wiatr i tam, dokąd teraz zmierzamy, czujemy coś niedobrego.

Yonai wyrzwał z kabiny, po której oknach wspinał się mróz, a jego twarz zmarszczyła się z dezaprobatą.

- Węszę coś niedobrego dużo bliżej domu - rzekł. Komura spojrzął z niepokojem na zewnątrz. Jeden z kadetów czołgał się na śniegu. Komura pchnął drzwi na oścież.

- Sierzancie Takahashi! - ryknął.

Sierżant zeszytniał i huknął na wijącą się postać. To kadet Kenji usiłował stanąć na nogach. Takahashi kopnął go w goleń ciężkimi buciorami. Twarz chłopaka wykrzywiła się z bólu, a trzech oficerowie w pojeździe półgąsienicowym chrząknęli z pogardą. Takahashi trzasnął kadeta pięścią w twarz i drobna postać poleciała plecami w śnieg. Sierżant złapał ciężki karabin maszynowy *Typ 92* i przytoczył go do ramion Kenji. Zgięty pod ciężarem broni, biczowany językiem i okładany pięściami sierżanta chłopak zaczął na wpół zataczać się, na wpół biec po obwodzie terenu biwakowego. Yonai chrząknął ponownie, tym razem z zadowoleniem.

- Żołnierz zawsze ma rezerwę sił, by służyć Cesarzowi - skwitował. - Świetnie, Komura. Kiedy wróćcie do koszar, znajdziecie rozkazy, by dołączyć do 96. Gwardii. Jedźcie do Tiencin.

Znów zaczął padać śnieg. Chwiejąca i zataczająca się postać kadeta Kenji pojawiła się niespodziewanie. Chłopak zatrzymał się, oczy obróciły się w głąb głowy, a z ust trysnęła mu krew. Ciało upadło bez oporu na lód, a ciemna posoka zaczęła ściekać wzdłuż zbocza. Wszyscy - oficerowie, podoficerowie i kadeci - stłoczyli się wokół trupa, patrząc na niego z potępieniem.

- Zapamiętajcie to jako przykład żołnierza niezdolnego służyć Cesarzowi - napomniął ich Komura.

Schylił się i wyjąwszy scyzoryk odciął pukiel włosów i skrawek paznokcia, by odesłać rodzicom chłopaka razem z notką zawiadamiającą, że ich syn zginął bohaterską śmiercią za Cesarza. To będzie wszystko, co im pozostanie z pamiętek po synu.

Krew ścięła się w lód. Wiosną rozpuści się i użyźni zieloną trawę pod spodem. Nie będzie to dla niej pierwszy smak ludzkiego życia. Kadeci ćwiczili na dawnym polu bitwy. To tutaj Oda Nobunaga siedział na wojсковym stołku i przyglądał się, jak jedną po drugiej myto i suszono głowy na nabijanych włóczniami tablicach.

Żeby udowodnić swoją gotowość służenia cesarzowi, pluton przebiegł w podwójnym tempie powrotną drogę do koszar, dźwigając pełne oporządzenie i trupa. Ciało kadeta Kenji polano naftą i spalono na tyłach kuchni, gdzie składowano odpadki.

◆ Rzeka Huai Ro Khi, Tajlandia, rok 1943

Sklecony z bambusa stół operacyjny tworzył sięgającą bioder platformę, nad którą wisiała moskitiera, trzymająca z dala muchy plujki. Nieopodal stały dwa namioty. Pierwszy pełnił rolę sali rekonwalescencyjnej, gdzie ludzie wracali do zdrowia po operacji lub (o wiele częściej) umierali, w którym to przypadku przenoszono ich do drugiego pomieszczenia, czyli namiotu składowego lub kostnicy, gdzie oczekiwali na transport na wzgórze, na którym dzień i noc płonęły trawiące umarłych ogniska.

Przed namiotem dla ozdrowieńców major Ross, brytyjski oficer medyczny, gotował w garnku kilka narzędzi chirurgicznych. Z przeciwległej strony obozu nadszedł Thrale niosąc niedużą piłę. Podał ją Rossowi, który dorzucił ją do reszty narzędzi. Thrale był chudszy niż kiedyś, ale nadal wyróżniał go mundur amerykańskiego lotnika, który nie zaczął jeszcze gnić.

- Jak tam dyzenteria? - zapytał Ross.

- Lepiej. Nie ma tak dużo krwi.

- M&B 693. Właśnie to bierzesz. Sulfonamidy działają jak magiczna różdżka. Gdybyśmy mieli tutaj szpital z prawdziwego zdarzenia,

aplikowałbym je w niemal każdym przypadku. Mamy ich jednak tak mało, że muszę je rezerwować dla niezbędnego personelu: takiego jak ty i ja. Gdybym mógł podać je Jonesowi, szanse przeżycia wzrosłyby niewspółmiernie.

Thrale uczynił gest w stronę chaty.

- Nadal chce przez to przejść?

- Wszyscy chcą. Zdają sobie sprawę, że szansa jest niewielka, może jeden do dziesięciu, ale i tak się jej łapią. Chęć życia może okazać się bardzo silna.

- Tak, wiem.

- Jeśli nie będę operował, śmierć nastąpi na pewno - wyjaśniał dalej Ross z nieśmiałym, smutnym uśmiechem. - Jeśli będę, prawie na pewno. Wszyscy wybierają tę opcję z cząstką nadziei. W porządku, są już wyjałowione.

Thrale rozglądał się wokół.

- Gdzie się podziali strażnicy? Kiedy robimy coś takiego, zazwyczaj zlatują się tutaj gęściej niż muchy. Dla nich to lepsze od teatru.

- Inżynierowie odjechali. Mamy nowych dozorców. Daj im trochę czasu.

- Racja.

Z namiotu wyszli trzej mężczyźni niosąc czwartego i złożyli go ostrożnie na prymitywnym stole operacyjnym. Wszyscy byli niedożywieni. Ci, którzy trzymali się na nogach, wykazywali objawy beriberi: mieli spuchnięte żołądki i obrzękłe nogi. Mężczyzna na stole odsłonił przyczynę, dla której się na nim znalazł - goły, obumarły piszczel, który sterczał z czegoś, co ogromny tropikalny wrzód pozostawił z jego łydki.

Sanitariusz wsunął zwiniętą szmatę w usta pacjenta, by ten miał na czym zawrzeć zęby podczas operacji. Eter skończył się już dawno temu. Ross ważył w ręce piłę.

Ross obłożył kikut przygotowanymi liśćmi bananowca i sanitariusze zanieśli mężczyznę z powrotem do namiotu, gdzie położyli go na kocu na bambusowej podłodze. Ross oddał piłę Thrale'owi.

- Dzięki, że ją załatwiłeś. Bez niej byłoby już zupełnie jak w średniowieczu.

Krew spryskała mu ręce, więc pot z oczu otarł zewnętrzną częścią nadgarstka.

- Kiedy pomyślę, z jaką pieczołowitością szkolono mnie w akademii... Teraz liczy się tylko szybkość, bo inaczej umrze mi na stole z szoku. - Potrząsnął głową ze znużeniem.

- Jeszcze raz dzięki, K.K.

Ross wszedł do środka, żeby zatroszczyć się o pacjentów, a Thrale umył piłkę, po czym skierował się przez obóz tam, skąd przyszedł. Nagle wydało mu się, że w otoczeniu zaszła jakaś zmiana. Przystanął czujnie, niczym zwierzę węszące w powietrzu i naraz uświadomił sobie, co to takiego. Wycie strażników: „*Baka Yaro! Kora! Speedo!*”, odgłos pałek uderzających w ciało i kości, gwizd drucianych batów i jęki więźniów - wszystko zamarło. W powietrzu wisiała cisza.

Wydawało się, że to dobry znak. Pilot ruszył dalej przez obóz w stronę kuchennego baraku, gdzie zwrócił piłkę rzeźniczą kucharzowi.

- Czysta? - spytał ów i wybuchnął śmiechem. Był to jego ulubiony dowcip. Thrale zapewnił go, że tak i skłonił się, odchodząc.

Przed wartownią, gdzie rankami zbierały się grupy robocze dostrzegł starszego oficera brytyjskiego, podpułkownika Harrisa, który rozmawiał z młodym oficerem japońskim. Harris skinął na niego i Thrale zbliżył się.

- Thrale, to jest porucznik Tanaka. Jak wiesz, inżynierowie wyruszyli dalej, a Tanaka i jego ludzie zostali naszymi nowymi strażnikami. To dosyć niezwykły przypadek, że się tutaj spotkaliśmy. On i mój syn znali się przed wojną, kiedy studiowali w Paryżu.

Tanaka zwrócił się do Thrale'a. Porucznik był człowiekiem niskim, mniej więcej wzrostu Thrale'a, i w tym samym co on wieku.

- Pułkownik i ja wspominaliśmy szczęśliwsze czasy - zagadnął uprzejmie niezłą angielszczyznę i ukłonił się. - Dobrze będzie się współpracować z ludźmi, z którymi można się porozumieć - dodał oficjalnie.

Gdy się oddalił, Thrale ruszył wraz z Harrisem w stronę swojej chatki.

- Chyba trzeba to uczcić - mruknął Harris. Zapуścił rękę do kieszeni zapleśniałej kurtki i wyjął zwitek czarnego tytoniu oraz pokrytą drobnym

drukiem stronicę, którą ostrożnie przedał na pół.

- Trochę tytoniu, Thrale?
- Bardzo dziękuję, pułkowniku.

Anglik podał mu połowę kartki i obydwaj zrećcznie skręcili cienkie papierosy.

- Obawiam się, że Księga Pana to najlepsza bibuła do papierosów - powiedział Harris. Zerknął na druk, nim zakleił kartkę śliną. - Księga Wyjścia 33,3. „I zaprowadzę cię do ziemi opływającej w mleko i miód, ale sam nie pójde z tobą, by cię nie wytępić po drodze, ponieważ jesteś ludem o twardym karku”. Jakie to na czasie! Zawsze staram się przeczytać to, co mam właśnie zbezcześcić. W ten sposób wydaje się to trochę mniej bluźniercze.

Najbliższym źródłem ognia był stos pogrzebowy, na którym płonęli umarli. Thrale udał się w tamtą stronę i powrócił z krótkim, żarzącym się kawałkiem bambusa. Obydwaj zapalili i z rozkoszą wciągnęli dym. W warunkach obozowych tytoń stanowił niczemu nie ustępującą pokusę. Nie tylko oszukiwał głód, ale dawał pociechę i ukojenie. Powszechnie wiadomo było, że nawet niepalący wciągali się w nałóg dla przyjemności, którą przynosił.

- Saito i jego inżynierowie byli ludźmi o twardym karku. Teraz sprawy mogą zacząć wyglądać inaczej... Sam wiesz, jak żółtki idą za przykładem tego, kto dowodzi. Saito był brutalem, toteż wszyscy jego ludzie byli chamami. Teraz pojawia się szansa...

Harris zaciągnął się mocno i przytrzymał dym w płucach. Kiedy zaczął mówić, jego głos płynął poprzez cienki strumyczek papierosowego dymu.

- To miejsce, Thrale, jest bez wątpienia jednym z przedsionków piekła. Od kiedy tu przybyłem, nie pozwoliłem sobie na nadzieję, że wyjdę stąd żywy. Ani ja, ani którykolwiek z nas. Ale teraz sądzę, że mamy szansę...

Budząc się w łóżku, wyrwany wprost z przeszłości, nie będąc w stanie powstrzymać krzyku, Thrale zanurzył głowę w poduszkach, do chwili gdy ponownie zdołał odzyskać nad sobą kontrolę. Śliski od potu wstał i poszedł wziąć prysznic. Była czwarta rano, ale bał się kłaść ponownie. We śnie czekały na niego upiory.

Skierował się więc do kuchni i zaparzył sobie kawę. Zdjęcie ludzi, którzy stali wokół miejsca wypadku w Fukchai - pochodzące z aparatu na pokładzie satelity *KH-11* - dokuczało mu jak chory ząb, toteż wychodząc z pracy wrzucił je do teczki i przyniósł do domu. Gdy woda kapiała przez filtr, wyjął je i przyjrzał się raz jeszcze.

Przerażające wydarzenia ze snu przeniosły go z powrotem w przeszłość i choć był już przebudzony, jakaś część jego umysłu tam pozostała. Przyglądając się obrazowi, który komputery CRAY z Narodowego Ośrodka Rozpoznania Fotograficznego stworzyły na podstawie cyfrowej informacji z *KH-11*, odczuł, że on też kiedyś tam był. On też stał w miejscu, gdzie jego *P-38 Lightning* spoczął na końcu rowu rozrytej ziemi. Wrócił tam i stał w zamyśleniu, przyglądając się drodze, jaką przebył samolot. Spokojnie przywoływał w pamięci ostatnie desperackie momenty szaleńczo podrygujących przyrządów, trzęsących się rąk, które chwyciły drążek sterowniczy i manetkę gazu, rzepki kolan drżące gorączkowo, gdy stopy waliły w pedały orczyka, a wszystko po to, by ucałować ziemię w możliwie najdelikatniejszy sposób - by żyć, a nie umrzeć.

Ten ubrany na biało młody człowiek oceniał wzrokiem drogę, którą przebył jego myśliwiec. On i Thrale stali tam razem, oddzieleni połową wieku. To był pilot *F-117A*.

Kiedy major Hank Caid, który niegdyś służył w Siłach Powietrznych - obecnie był analitykiem lotniczym w NORF-ie - przyjechał do pracy do dużego, przypominającego hurtownię budynku ośrodka obok starego doku Marynarki, Thrale już tam na niego czekał.

- Serwus, Hank - powitał go były pilot myśliwski. - Chciałbym cię o coś prosić.

♦ Nankin, Chiny, grudzień 1937

Walki dobiegły końca i zwycięzcy wkroczyli do miasta. Samoloty, które zniszczyły budynki, powróciły do baz, a działa połowe ucichły na brzegu Jangcy.

Pluton Komury stacjonował w domu, który jakimś cudem uniknął zburzenia. W kominku płonął ogień, a w rondlach bulgotało *meszi*. Walcząc

od początku listopada przedzierali się wzdłuż linii kolejowej Szanghaj-Nankin i spychali siły Chińczyków. Po raz pierwszy mieli czas na odpoczynek. Rozsiedli się w ocienionych kątach po całym podwórku, zdjęli ciężkie hełmy i czapki, jedwabnymi chustkami wycierali szczecinę na twarzach, ściągnęli uszyte z płótna i skóry buty i zaczęli czyścić broń, z którą obchodzili się w taki sposób, jakby się z nią urodzili. W powietrzu porzmiewał niski, zadowolony pomruk rozmów. Komurę przepelniała duma, gdy spoglądał na swoich *butai* - doskonałe, drapieżne zwierzęta. Na zewnątrz trzasnęły drzwiczki samochodu. Wyjrzał przez okno i dostrzegł, jak Yonai toruje sobie drogę poprzez gruz na ulicy, niosąc w jednej ręce jakieś zawiniątko i pobłyskując nowymi dystynkcjami podpułkownika na ramionach. Kiedy wszedł do środka, Komura skoczył z miejsca i stanął na baczność. Podobnie jak Yonai był brudny i śmierdział długimi tygodniami toczących się dniem i nocą walk, wonią, która wżarła się w skórę i składała się z potu, stęchłego moczu, prochu i krwi innych żołnierzy.

- Gratulacje, pułkowniku - uśmiechnął się szeroko. Yonai odpowiedział mu uśmiechem, sięgnął do kieszeni i wyjął nowiuteńkie, jaśniejące czerwienią, żółcią, srebrem i złotem dystynkcje na kołnierz i naramienniki, i rzucił je na stół.

- To ja wam gratuluję, kapitanie - odparł. - Nic tak nie sprzyja awansom, jak porządna wojna.

Przepełniony uniesieniem Komura odebrał oznaki swojej nowej szarży. Yonai otworzył zawiniątko i wręczył mu owiniętą w zielony papier paczuszkę.

- Dotarła do nas poczta - wyjaśnił. - To przyszło do was.

Komura otworzył miły sercu pakunek. Obnażył ostrożnie zawiniętą w kolorową krepę zawartość, która umieszczona była w osłoniętych warstwami wzorzystej bawełny, małych, misternie wykonanych pudełkach.

- To od moich rodziców - powiedział z dumą. Yonai potaknął z aprobatą. Komura otworzył list, który towarzyszył paczce i przebiegł go wzrokiem. - Ojciec przesyła podziękowania. Pisze, że wymiana handlowa Komura Bussan z Chinami i Mandżukuo wzrosła ponad dwukrotnie. W Szanghaju sprawujemy kontrolę nad fabrykami bawełny i jedwabiu.

Yonai powtórnie skinął głową.

- Biurokraci, politycy, bankierzy, biznesmeni, wszyscy pracują razem i ciągną korzyści z chwalebnych czynów armii.

Komura złożył list.

- Przeczytam później - wyjaśnił, wkładając go do kieszeni kurtki. Wyciągnął kopię „Manga”, ulubionego czasopisma humorystycznego i odłożył je na bok, by przeczytać, kiedy znajdzie wolną chwilę.

Rodzice przysłali mu świeżą opaskę na głowę i kilka nowiutkich chust jedwabnych ze sklepów Mitsukoshi. Prócz tego trochę *momme*, słodkiej pasty sojowej i kilka emaliowanych pudełek ze słodyczami do herbaty *chagashi*. Komura westchnął z przyjemnością.

- Moja matka sama je robi - pochwalił się. - Zjesz ze mną?

Zawołał do kuchni o herbatę z liści *sencha*. W chwili gdy ją przyniesiono, parującą z wojskowych kubków, z gruzów domu naprzeciwko rozległo się wycie triumfu. Popędzani bagnetem kaprala Nanjo, najlepszego w plutonie szperacza i znalazcy rzeczy ukrytych, wyłonili się na światło dzienne stary mężczyzna i młoda kobieta. Na ich widok mężczyźni z *butai* zachichotali z radości.

Młodą Chinkę rozebrali na podwórzu, tak aby wszyscy mieli okazję obejrzeć i nacieszyć się tym, co ich czekało, a potem wciągnęli ją do środka. Kapral Nanjo dał wszystkim jasno do zrozumienia, że ma prawo być pierwszy. W chwilę później dziewczyna zaczęła krzyczeć.

Komura podał Yonai jedno z pudełek ze słodyczami.

- Przykro mi, że nie mamy porządnych filiżanek - powiedział. - Spróbuj *kikugoromo*. Są wyśmienite.

Yonai wgrzył się w okrągły przysmak z delikatnym wzorkiem i aż jęknął z rozkoszy.

- Można wyczuć chryzantemę - pochwalił.

Stary Chińczyk stał na podwórzu i z przerażeniem wsłuchiwał się w zawodzenia swojej wnuczki. Zaczynał łysieć, lecz na szyję zwiślał mu krótki kucyk. Prawie nie miał zębów i ukazał tylko jeden kieł, gdy wykrzywiając twarz przebiegał niespokojnie bosymi stopami po ubitej ziemi i szczelnie owijał się brudną koszulą.

- Stoczyliśmy ciężkie boje - zauważył Yonai częstując się *higashi*. -

Postanowiono, że żołnierze wezmą sobie miasto w nagrodę za to, że tak walecznie bili się za Cesarza.

Głowę starego Chińczyka polali benzyną i przytknęli zapałkę. Wrzeszczał jeszcze głośniejsze niż jego wnuczka. Podali mu rondel z wodą, by mógł ugasić płomień. Woda wrzała. Cisnął ją sobie na głowę i darł się wniebogłosy podczas gdy płomienie zamierały z sykiem. Znów trochę benzyny z kanistra, następna zapałka i więcej wody. Dużo, dużo śmiechu i zabawy.

Jeszcze przez jakiś czas po jego śmierci śmiali się, paplali i poganiali tych, którzy właśnie zabawiali się dziewczyną.

- Ludzie są zadowoleni - stwierdził Yonai. - Wczoraj wieczorem w Tokio odbyła się wielka parada, pół miliona osób z latarniami. Nadszedł czas, by pomyśleć o wykopaniu białych z Azji.

- Już to robimy - odrzekł Komura. - Kiedy byłem w Tiencin, zawsze zatrzymywaliśmy Brytyjczyków na punktach kontroli - poklepał się po nosie. - Czuję rozkład. Zwykle poniżaliśmy ich, rozbieraliśmy, a zwłaszcza kobiety. Dobrze to na nich działa, kiedy im ktoś przypomni, że nie są białymi bogami. To my, rasa Yamato, jesteśmy pierwszymi wśród narodów.

- Dwa dni temu Marynarka zatopiła kilka statków amerykańskich i brytyjskich na Jangcy. Ta nędzna kreatura, Hirota, z Ministerstwa Spraw Zagranicznych wprost czołgał się przed nimi z tego powodu. Nie upłynie dużo czasu, a zabierzemy się za nich na serio: pozbędziemy się białych, a potem zniszczymy komunistyczną Rosję.

Wychyliwszy resztę herbaty, Yonai podniósł się.

- Ale zanim to nastąpi, trzeba dokończyć robotę. Nie zostawimy tutaj tych drani, żeby Czang Kai-szek mógł ich powołać do wojska, gdy tylko odwrócimy się plecami. Będziecie potrzebować broni cięższej niż karabin. Załatwiłem wam do tego zadania dwa ciężkie karabiny maszynowe i kilka lekkich. Zbierzcie się i zajmijcie pozycje pod murami miasta. Będą ich wam dostarczać partiami. Chińskie brygady grabarzy zajmą się nimi, jak będzie po wszystkim. Możesz powiedzieć swoim ludziom, że mają tutaj wolną rękę. Mogą brać, co chcą i robić, co chcą.

Przygotowując się pod czujnym okiem sierżanta Sugiyama żołnierze zapinali rozporki, wkładali oba pasy, owijali nogi onucami. Wyczerpany

lament z pokoju, gdzie zamęczono dziewczynę, nagle załamał się w ohydny, bulgocący pisk. Po chwili wszystko ucichło, a ostatni z żołnierzy wyłonił się stamtąd, wycierając do czysta swój bagnet, nim założył go na karabin.

Wyruszyli. Spoza ruin po drugiej stronie drogi gapił się na nich mały chłopczyk z twarzą obróconą w maskę przerażenia. Komura wyciągnął swój pistolet *Typ 14* i trafił go między oczy. W szeregach wybuchł spontaniczny aplauz dla tak mistrzowskiego oka. Strzał był trudny, a cel mały.

Sformowali szereg i ruszyli dalej, a kapral Nanjo zaintonował pieśń. Śpiewał najnowszą piosenkę, którą wszyscy lubili, mieniącą się bielą, światłem i czerwienią. Kwiaty wiśni na stokach czystej góry Fuji, kwiaty czerwonej śliwy zimą, szkarłatne kamelie i połyskliwe chryzantemy. Śpiewali o czystości i blasku, i poczuli się podniesieni na duchu.

Maszerowali pod mury miasta, gdzie czekała na nich pierwsza partia pięciuset chińskich cywilów.

◆ Szibuja Udagawa-cho, Tokio

Stanislas Jerochin uosabiał duszę *głasnosi*. Dla Japończyków, którzy przywykli do tego, że Rosjanin to roztaczający przykrą woń, przepocony bufon w śmiesznym garniturze uszytym z filcowych podkładek dywanowych, widok tego szczupłego, przystojnego młodego człowieka o krótko przystrzyżonych włosach, ubranego w garnitury od Hugo Bossa był jak powiew krystalicznego powietrza z ogromnego, tonącego w niegodziwości imperium. Stan - jak chciał, by nazywali go nowi przyjaciele - stanowił dowód na to, że reformy Gorbaczowa powiodą się. Był reporterem japońskiej sekcji „Międzynarodówki Technologicznej”, czasopisma wydawanego w Leningradzie, które narodziło się z *pieriestrojki* i stanowiło kolejny dowód na to, że nowy reżim pragnie sprzedawać światu nie tylko myśliwce *MiG*, lalki babuszki i rewolucję.

Zaraz po przybyciu do Tokio Stan wprowadzał w osłupienie naukowców i przedsiębiorców, których zapoznanie uczynił swym celem, pracując w przestronnym apartamencie z trzema sypialniami w pięknej dzielnicy Szibuja Udagawa-cho. Jeśli nie mieli pewności, czy Gorbaczow nie jest jakimś politycznym pozerem albo przyszlým kandydatem do Gułagu, Stan,

zartobliwie nazywając swojego mentora „Gorbi”, zaświadczał, że jego rewolucja jest nie do zatrzymania. Z początku zagajał rozmowę pytając swego towarzysza: jak myśli, co poczną teraz z tymi wszystkimi tajnymi policjantami. Zazwyczaj udawało mu się sprowokować go, by spytał, w jaki sposób można takiego rozpoznać, a wtedy promieniejąc z zadowolenia odpowiadał: „Chodzą zawsze trójkami. Jeden czyta, drugi pisze, a trzeci trzyma oko na tych dwóch intelektualistów!” Na początku takie gadki uderzały do głowy.

Błyskawicznie wyrobił sobie dobre imię. Lubili go nie tylko dlatego, że był dobrym kompanem, ale i dlatego, że posiadał stopień magisterski w dziedzinie inżynierii chemicznej, więc bez trudu znajdowali z nim wspólny język. Ciężko pracował nad zbieraniem materiałów do druku, a jego apel o informacje: „bo jeśli nie dostanę, to wyślą mnie z powrotem do Irkucka”, był nie do odparcia. Nie żałował pieniędzy na artykuły, które mogły zaciekać jego czytelników, a gdy już zaakceptowano go w środowisku związanym z nowoczesnymi technologiami, hojnie dzielił się znajomościami z innymi ciekawymi ludźmi spoza Japonii. Diametralnie odbiegał od wizerunku syna *mużyka*, gdy żując gumę i kręcąc się jak w ukropie, od samego rana wisiał na telefonie, następnie zdążył do Tokio, by spotykać się i zabawić w hotelowych kawiarniach i *yakitoriya*, a na koniec wracał do swojego kosztownego apartamentu.

Na tyle długo przebywał w Tokio, że ludzie prawie zapomnieli, iż jest Rosjaninem, a gdy runął mur berliński i kraje satelickie zaczęły agitować za demokracją, nie wrócił do domu. Mawiał, że Tokio jest jego domem, a na potwierdzenie tego miał przyjaciół. Jednym z nich był Konoe Masaaki, młody, utalentowany technik komputerowy, który pracował w Komura Industries. Konoe należał do zespołu zaprzęgniętego do programu superkomputera „Koralowa Włócznia” i bardzo dyskretnie dostarczał Stanowi odpowiednio dużo strzępów informacji, by zaostrzyć apetyty jego czytelników, co do natury szczytowego osiągnięcia nowoczesnej techniki japońskiej. Dziennikarz odplacił się mu przedstawiając go w jednej z kalifornijskich firm Krzemowej Doliny, a spotkanie to zaowocowało dla inżyniera lukratywnymi weekendowymi konsultacjami.

Spotykali się przynajmniej raz w miesiącu, zazwyczaj w przyozdobionym kolekcją fotografii *ukiyo* apartamencie Rosjanina, gdzie jedli *suszi* i popijali Johnny Walkera Black Label. Kiedy pewnego pięknego, piątkowego wieczoru Konoe przyjechał tam prosto z pracy, zaproszony przez przyjaciela telefonicznie, spodziewał się jak zwykle rzucającej dowcipami i tryskającej energią postaci, a ze smutkiem i niepokojem stwierdził, że Stan jest najwyraźniej bardzo zmartwiony. Jerochin nalał sobie i jemu mocnej szkockiej.

- Masaaki - zagadnął bez wstępów. - Czy nadal pracujesz dla SilTechu? Tej amerykańskiej firmy, której cię poleciłem?

- Tak, a co? - odparł Konoe zbity z tropu. - Każdego miesiąca coś dla nich robię.

Jerochin opadł ciężko na kanapę i wepchnął palce w swoją płową czuprynę.

- Tego się właśnie obawiałem. Dowiedziałem się czegoś okropnego. Właścicielem SilTechu jest KGB. Pracowałeś dla rosyjskiej tajnej policji.

Skóra Konoe koloru pszenicy nabrała szczególnie, chorobliwego odcienia.

- Nie... - wymamrotał - Nie... Zwolnię się. Jeszcze dzisiaj.

- Tak, tak - potwierdził Jerochin. - Oczywiście musisz to zrobić.

Konoe upił duży łyk whisky, by doprowadzić nerwy do porządku.

- Zostałbym zrujnowany - wykrzyknął, gdy groza sytuacji objawiła mu się w całej okazałości. - Moja rodzina, szanse mojego syna na dotarcie do Today. Wszystko, wszystko zostałoby przekreślone.

- Tak, tak - zgodził się ponownie Jerochin. - Ruina, ruina...bez wątpienia wszyscy zostalibyście *burakumin*.

To słowo przelało kielich goryczy. Zataczając się Kanoe podążył na sztywnych nogach do łazienki. Gdyby był mniej zaprzątnięty zwracaniem whisky, z przerażeniem dostrzegłby zimną satysfakcję w oczach przyjaciela. Ale kiedy pojawił się z powrotem w pokoju, Stan całym sobą wyrażał troskę.

- *Burakumin*... wyrzutki... - wymamrotał z przerażeniem Konoe. Każdy porządny Japończyk czuł to samo względem tych, którzy według rytuału byli nieczysti i tworzyli mętny osad japońskiego społeczeństwa: potomków

rzeźników i grabarzy, włóczęgów i gangsterskich kulisów, o których nie wspominało się w rozmowach.

- Nie mogę uwierzyć, że te prehistoryczne typy jeszcze istnieją - jęczał smutno Stan, potrząsając głową. - Są jakąś straszną pozostałością zimnej wojny... Czuję się jak człowiek pierwotny, kiedy zajęty odkrywaniem ognia czy czegoś tam, nagle spostrzeża na horyzoncie jednego z tych olbrzymich dinozaurów stąpającego ciężko, bez celu.

- Tak, tak - wyszeptał Konoe. Whisky paliła i tak już podrażniony przełyk. - Tego już za wiele. Żeby zrobili coś takiego uczciwie pracującym ludziom, takim jak my.

- Tak, tak - pomrukiwał Stan ze współczuciem. - Ale kiedy *Tyrannosaurus Rex* wdarł się do siedziby jaskiniowca i poniekąd zasugerował mu, by podzielił się z nim obiadem, nie wydaje mi się, by ten przeciwstawił argument, iż nieuchronnie zbliża się zgon dinozaura. Podał mu swój talerz *suszi*, prawda?

Konoe zerknął na Stana przez okulary, które zaczynały zachodzić mgłą.

- Co masz na myśli? - zaniepokoił się.

- To tak, jak w tym starym dowcipie, Masaaki. Wiesz, jak się zwracać do małpy z karabinem maszynowym?

- Proszę, nie... - szepnął Konoe.

- Jaką dasz odpowiedź KGB, które jutro może zrujnować ciebie i twoją rodzinę, kiedy poproszą o drobną przysługę?

- Czego chcą? - spytał Konoe żałośnie.

- Tylko szczegółowego wydruku fizycznej charakterystyki superkomputera „Koralowa Włócznia”. Wymiary, waga, części.

- Co im z tego przyjdzie? Tajemnica „Koralowej Włóczni” nie leży w jego makrostrukturze. To tak, jakby chcieli się dowiedzieć, jak duży jest czołg, a nie wiedzieli, z czego go zbudowano.

- Ja to wiem. Ty to wiesz. Ale nie masz pojęcia, jak bardzo prymitywni są ci ludzie, Masaaki. To banda pierwotnych, którzy widząc samolot odrzutowy sami budują sobie podobny z kamienia, żeby go wielbić. Po prostu żyją nie w tym stuleciu. Zdaje się, że jakiś biurokratyczny głupiec na Łubiance chce przekazać swoim przełożonym te dokumenty i powiedzieć: „Widzicie, teraz możemy zbudować nasz własny superkomputer”.

- Nie uda im się.

- No właśnie - rozpromienił się Jerochin. - Zatem naprawdę nic się nie stanie, jeśli pójdziemy im na rękę. Widzisz, ja też muszę ratować własną dupę. Jeśli im czegoś nie przekażę, wezwą mnie do domu i przydzielą do personelu politycznego w „Prawdzie”.

Konoe uśmiechnął się słabo.

- Możesz to zrobić - zachęcał go Stan. - Masz staż pracy, który uprawnia do uzyskiwania tego rodzaju informacji. A potem będziesz miał to z głowy.

- Zgoda - przytaknął Konoe podniósłszy się niepewnie na nogi - Zrobię to.

Dwa dni później spotkali się w gwarnym barze po drugiej stronie ulicy od Ueno Park, w „ołówkowym budynku” o szerokości nie większej niż pięć metrów, zaś wysokości ośmiu pięter - ośmiu identycznych pięter chińskiej architektury Ming, z dachami pokrytymi czarnymi dachówkami i z polakierowanymi na czerwono balkonami z *saraarimen*. Konoe pojawił się z owiniętą w gazetę brązową kopertą. Nie tknął whisky, którą zamówił dla niego Rosjanin.

- Nie chciałbym, by zabrzmiało to obraźliwie - oświadczył nieszczęśliwym tonem. - Ale myślę, że nie powinniśmy się już spotykać.

- Oczywiście - westchnął Stan. - Rozumiem.

Gdy Konoe wstał, ten, który był niegdyś jego przyjacielem, również podniósł się z miejsca. Podał mu poprzez stół małą kopertę.

- Weź to - nalegał wciskając mu ją w dłoń. - Nie mogę zmienić tego, co się stało, ale weź to.

Stanislas Jerochin zabrał brązową kopertę i poszedł prosto do domu, gdzie po pobieżnym przejrzeniu zawartości zalepił ją ponownie i wykonał szybki telefon. W przeciągu godziny znalazła się ona w przysadzistej, jedenastopiętrowej ambasadzie radzieckiej na drugim końcu miasta. Chwilę później zdążyła już na lotnisko w białym minibusie.

By pozyskiwać nowoczesne technologie na użytek wojska, Rosjanie posługiwali się dwoma sposobami. W terenie pracowali dobrze wyszkoleni i wykształceni ludzie, którzy kularowymi sposobami wpływali na japońskie kręgi handlowe i polityczne, podobnie jak ich japońscy odpowiednicy w

USA. Ludzie ci rzekomo zajmowali się czystymi misjami handlowymi i legalnymi porozumieniami pomiędzy firmami. Ich osiągnięcia bywały ogromne, jak wtedy, gdy uzyskali jeden z największych suchych doków na świecie, podobno do naprawy kutrów rybackich. Dostarczono go należycie do Władystoku, gdzie wprowadzono do niego „Mińsk”. „Mińsk” był lotniskowcem.

Kiedy Japończycy sprzeciwiali się sprzedaniu planów jakichś procesów lub maszyn, z kłopotem tym można było poradzić sobie inaczej. Na przykład przekazać sprawę równie gruntownie wyszkolonym i wykształconym oficerom naukowym i technologicznym Pionu X Zarządu T w KGB. Pion X stanowił terenowy element Zarządu, a jego specjaliści z natury rzeczy pracowali potajemnie. Ich zadaniem była kradzież tego, czego akurat potrzebowano. Kwatery główna Pionu X w Japonii mieściła się w rezydencji KGB, która zajmowała dwa szczytowe piętra ambasady. Stamtąd agenci Pionu X kontaktowali się ze swoimi towarzyszami z innych regionów Japonii. Niektórych umieszczano w misjach handlowych, niektórych w biurach Aeroflotu, innych w TASS, a jeszcze innych wysyłano w charakterze turystów. Działalność talentów z Pionu X zadawała kłam przekonaniu, że komunizm z natury rzeczy jest nieefektywny. Dwa razy w miesiącu przyjeżdżali z Moskwy kurierzy dyplomatyczni, by odeskortować pocztę dyplomatyczną z ambasady na lotnisko. Jechali wówczas białym minibusem wypełnionym od podłogi po sufit pudełkami, które ważyły co najmniej tonę. Były to próbki, technologiczne znaleziska i plany - łup dwutygodniowego buszowania Pionu X. Pracownicy Zarządu T pęcznieli z dumy tak bardzo, że chlubili się i pławili w popularności, jaką zdobyli na Zachodzie, szybko wpadając w paranoję na punkcie kradzieży nowoczesnych technologii.

Stanislas Jerochin nie należał do KGB, do którego odnosił się z pogardą i niechęcią. Jerochin był żołnierzem i przeżył długą drogę z Komsomołu przez Specnaz do samego AKWARIUM, ponurej organizacji, która radziła sobie sama w życiu i w śmierci. Wszyscy, którzy do niej wstępowali, opuszczali ją przez komin krematorium. Z honorami, w zdobionej frędzlami drewnianej trumnie, jeśli służyli jej wiernie i zmarli z naturalnej

przyczyny, a przytroczeni żywcem do noszy, jeśli kiedykolwiek popełnili ten błąd i ją zdradzili. Jerochin należał do GRU, czyli *Głównego Razwiedywatełnego Uprawlienijsa*, Zarządu Głównego Wywiadu w Sztabie Generalnym Armii Czerwonej.

GRU było organizacją tajną, nawet wewnątrz samego Związku Radzieckiego. Wszyscy znali KGB. Niewielu wiedziało, że głównym wrogiem KGB jest nie CIA, lecz właśnie GRU. GRU zajmowało również dwa piętra ambasady, odsunięte możliwie najdalej od swoich rywali, w piwnicach, gdzie oficerowie pracowali w stadach. Nie przypadkiem sami siebie nazywali „wilczurami”.

Rywalizacja wewnątrz GRU była zaciekła, gdyż na rosyjski sposób większość musiała podporządkować się nielicznym. Aby znaleźć się wśród tych kilku, trzeba było odnosić sukcesy po trupach. Tych, którym się to udało, nazywano Wikingami. Najlepsi z nich pracowali nie w ambasadzie, lecz w eleganckich apartamentach w dzielnicach takich jak May-fair lub Georgetown. Albo Szibuja Udagawa-cho.

Tydzień po tym jak brązowa koperta wyruszyła do Moskwy, u drzwi pożarowych w domu Stana rozległo się ciche pukanie. Ostrzeżono go telefonicznie, więc czekał, by wpuścić swojego gościa, Władimira Liwenkę, rezydenta GRU zwanego „Nawigatorem”.

Liwenko wziął Stana w objęcia.

- Przynoszę oficjalne gratulacje, podpułkowniku Jerochin - oświadczył ogłaszając jego awans.

Z kieszeni marynarki wydobyl małe, płaskie pudełko. Podczas gdy Stanislas Jerochin stał dumnie na baczność, Liwenko przypiął do miękkiej bawełny jego koszuli z Ferre Studio order Bohatera Związku Radzieckiego.

KGB nie miało wziąć udziału we wspólnym zwycięstwie, u progu którego stała Armia Czerwona. A czyż to właśnie nie zwycięzcy ustalają warunki? W długiej wojnie pomiędzy KGB i Armią Czerwoną pojawić się mógł ostateczny zwycięzca. Po zwycięstwie.

◆ **Wardman Tower, Waszyngton**

Według standardów miasta wieża Wardman nie była najmłodsza. Architektura budynku pochodziła z przełomu wieków, a instalacja wodociągowa

pasowała do całokształtu. W dniach jej świetności w wieży mieszkała pani Eisenhower oraz przewodniczący Sądu Najwyższego Earl Warren i generał Lawton, a w holu kwartet smyczkowy grywał lekkie opery. Mieszkali tam także George Bush, Spiro Agnew i pierwszy polityczny wywiadowca CIA Miles Copeland. Przejęcie wieży przez sieć hoteli „Sheraton” uszczupliło nieco jej ekskluzywność w oczach tych, którzy przywiązywali wagę do tego rodzaju spraw, ale doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego Kuusinen, historyk z wykształcenia, który czerpał intelektualną przyjemność z przebywania w miejscach wiekowych i w towarzystwie duchów, których życie w nich upłynęło, uchwycił się pierwszej możliwości wynajmu i wprowadził się w ciągu tygodnia.

Gdy wstawał świt, Kuusinen rozkoszował się widokiem, który roztaczał się z najwyższego punktu w Waszyngtonie, spoglądał ponad Rock Creek Park w stronę samego miasta. W nocy napawał oczy migoczącymi w dole światłami.

Wysiadł z rządowego Lincolna i wjechał windą na szóste piętro. Kiedy wszedł do mieszkania, zadzwonił telefon. Jego żona pojechała w odwiedziny do starszej córki, więc apartament świecił pustkami.

- Halo?

- Pan Kuusinen? Cieszę się, że pana zastałem.

Głos należał do Rosjanina, mieszkańca Moskwy. Kiedy miał sześć lat, Kuusinen umiał mówić po rosyjsku.

- Tak? - odpowiedział z rezerwą.

- Nazywam się Mazurow, Wiktor Mazurow. Jestem kapitanem Aerofłotu.

- Czy mogę się dowiedzieć, jak pan dostał ten numer, panie Mazurow? Jest zastrzeżony - spytał Kuusinen grzecznie.

- Dał mi go mój ojciec - wyjaśnił głos miękko.

- Aha.

- Czy mógłbym się z panem zobaczyć? Mam dla pana wiadomość od ojca...oraz podarunek.

- Proszę przyjść teraz. Uprzedzę w recepcji, że pana oczekuję.

- Jestem w holu „Sheratona”. Zajmie mi to minutę.

Syn Mazurowa dotrzymał słowa.

- Jest pan bardzo podobny do ojca - zdziwił się Kuusinen.
- Tak wiele lat upłynęło, od kiedy się widzieliśmy.

Weszli do środka. Kuusinen przepadał za eleganckimi meblami z kraju, w którym się urodził, więc zarówno gospodarz, jak i gość czuli się jak w domu, gdyż w Moskwie były one ulubionymi ozdóbkami mieszkań *własti*, do której należał Wiktor Mazurow.

- Najpierw - rzekł pilot w średnim wieku - podarunek.

Z kieszeni marynarki wyjął małą kopertę i podał ją Kuusinenowi. Jak na swoje rozmiary, koperta była ciężka, a gdy ją otworzył, wypadł mu na dłoń stary nabój z ołowianym pociskiem w mosiężnym płaszczu.

- Czy wie pan, co to jest?

- Oczywiście - Kuusinen obrócił nabój, by spojrzeć na czubek. Widniał na nim rząd inicjałów wydrapanych w niegdyś lśniącem, a teraz pociemniałym ze starości metalu. - Czego chce pana ojciec w zamian za ten podarunek? - spytał bezbarwnym głosem.

- Chciałby, żeby zrobił pan dla niego coś, czego nie może zrobić sam. W Moskwie żyje człowiek nazwiskiem Aleksandr Borodin. Mieszka na ulicy Aleksieja Tołstoja i jest czołowym specjalistą od Chińskiej Republiki Ludowej w Związku Radzieckim.

- Proszę mówić dalej.
- Mój ojciec pragnie, by ten człowiek został zrujnowany.
- W jaki sposób?

- Jest bardzo dobrym ekspertem. Jego przewidywania co do wydarzeń w ChRL, postaw i polityki przywódców kraju częściej okazywały się prawdziwe niż chybione. Ojciec chciałby otrzymać... „dowody” na to, że Borodin nie zawdzięcza swojej pozycji profesjonalnym umiejętnościom, ale temu, że od lat jest chińskim agentem w ZSRR.

- I ja mam je dostarczyć?

- Tak. Jest pan potężnym i wpływowym człowiekiem. Wie pan, do kogo się zwrócić.

- Mogę też zwrócić podarunek i odesłać pana do domu.

- Podarowano panu życie - odparł Rosjanin. - Kula spoczywa w pana dłoni, a nie w tym, co pozostałoby z pana głowy w Karelii.

- I z głowy mojego ojca - mruknął Kuusinen. - To są jego inicjały.
- Ojciec mówi, że przeszłość zawsze towarzyszy człowiekowi i nigdy nie odchodzi.

- Pana ojciec ma rację. A więc, dobrze. Kiedy zdobędę to, czego potrzebuje pana ojciec, jak mam mu to przekazać?

- Mieszkamy w „Marriocie”. Proszę zostawić tam dla mnie kopertę z nabojem. Kiedy ją znajdę, wrócę i odbiorę materiały.

- W jaki sposób pański ojciec ma zamiar je wykorzystać?

- Mój ojciec był szefem *Komitetu Gosudarstwiennoj Bezopastnosti*, Komitetu do Spraw Bezpieczeństwa Kraju.

- Wiem, jak nazywa się KGB, panie Mazurow - odparł Kuusinen spokojnie. – I znam szefów rosyjskiej tajnej policji od Dzierżyńskiego, poprzez pana ojca, aż do Kobulowa, niezależnie, jak nazywa się ich stanowisko.

- Zatem, kiedy mój ojciec był szefem KGB - ciągnął Wiktor Mazurow, nie zmieszany ani trochę - dopilnował, w taki czy inny sposób, żeby awans i kariera pewnych oficerów zależały od jego dobrej woli. Nie będzie miał żadnych problemów z przedstawieniem pańskich materiałów jako wyniku śledztwa kontrwywiadu, które - zapoczątkowane w USA - odkryło dowody na to, że na wysokim szczeblu naszego rządu istnieje zdrajca, którym okaże się czołowy sinolog, Aleksander Borodin.

- W porządku. Załatwię to.

Rosjanin ukłonił się.

- Mój ojciec dziękuje panu i prosi, by, jeśli można, zrobił pan to wcześniej niż później. Ta sprawa nie może czekać.

- Ciekawe, cóż takiego zrobił Borodin - zastanawiał się głośno Kuusinen. - Odniosłem wrażenie, że pana ojciec przeszedł cudowną metamorfozę w pewnego rodzaju politycznego mędrca-wujaszka, przyjaciela młodziutkich partii politycznych i kulawych psów.

- Jestem tylko posłańcem, proszę pana. Odbieram rozkazy i przekazuję je dalej.

- Zrobię to, o co prosi pana ojciec.

Kiedy Rosjanin wyszedł, Kuusinen nie odwlekał załatwienia tej sprawy. Podniósł słuchawkę i wykręcił numer. Nikt nie odbierał. Przerzucił kartki

książki telefonicznej i ponownie przycisnął guziki.

- Halo? Cześć K.K. Jesteś w samochodzie? Przejeżdżasz niedaleko? Nie zechciałyś wpaść do mnie w drodze do domu? Tak? Do zobaczenia.

W przeciągu pół godziny Thrale znalazł się w Wardman Tower.

- Wracam z McLean - powitał Kuusinen. - Mieszka tam wdowa po dr Bartlettcie. Chcesz się dowiedzieć, czego się już dowiedziałem, czy najpierw porozmawiać?

- Ty zacznij - odrzekł Kuusinen. Apartament tonął w ciszy, żona Kuusineny nadal pomagała córce opiekować się nowo narodzonym dzieckiem.

- Dobrze. Na początek podobieństwa między zgonami dr Bartletta i prezydenta. Obydwa nastąpiły w nocy, obydwaj zmarli w łazience, w okolicznościach, które słabowity profesor Cameron rozpoznał jako objawy zatoru tętnicy płucnej. Zapytałem panią Bartlett i panią Hawkins, czy ich mężowie mieli zwyczaj wstawać w nocy do łazienki i obydwie stwierdziły, że tak. Prezydent miał słaby pęcherz po niedawnej operacji prostaty, a dr Bartlett lubił wypić kilka szklanek wody mineralnej przed pójściem spać, toteż podrywał się z łóżka w środku nocy.

Możliwe, że zamachowiec zdołał wdrzeć się do domu Bartletta, czekał w łazience, aż ten się obudzi, zastrzelił go z jakiejś broni gazowej typu KGB/CIA, a potem udało mu się uciec. Możliwe, ale nieprawdopodobne, bo najwyraźniej Bartlett był czuły na punkcie bezpieczeństwa i dom jest wyposażony w różne zabezpieczenia.

Kuusinen przygotował dwa drinki i podszedł do kanap z białego drewna sosnowego, które stały naprzeciw siebie przy szklanym stoliku.

- Dzięki - rzucił Thrale i ciągnął dalej. - Hipoteza o zamachowcu wewnątrz Białego Domu jest jeszcze mniej prawdopodobna. Ktokolwiek się do tego zabrał, nie mógł ryzykować, a w tym przypadku musiał mieć stu-procentową pewność. Wracając do podobieństw. Obydwie łazienki bezpośrednio sąsiadują z głównymi sypialniami i obydwie zaopatrzone są w nie-otwieralne okna i klimatyzację. Właśnie... w klimatyzację. Prócz drzwi

jedynym dojściem do obydwu pomieszczeń jest kanał klimatyzacyjny. Otóż, nie wiem, jak przez taki kanał dostarcza się swojej ofercie gaz neurotoksyczny, ale, jak mawiał Sherlock Holmes, jeśli wyeliminowało się wszystkie możliwości, to ta ostatnia jest na pewno właściwa.

Pani Hawkins na pewno nie wiedziałyby nic o klimatyzacji w Białym Domu, ale pomyślałem, że pani Bartlett może się trochę orientować. Spytałem, czy kiedykolwiek robiono coś u nich przy klimatyzacji. Kiedy ją trochę przycisnąłem, przypomniała sobie, że niedługo po śmierci męża przyszedł jakiś technik, by coś naprawić. Wyjaśnił, że na zlecenie producenta nieodpłatnie wymienia jakąś część wewnątrz urządzenia, gdyż ma ona wadliwą konstrukcję. W tamtym czasie bardzo opłakiwała męża, więc w ogóle nie zwróciła na to uwagi. Był to miły, uprzejmy młody człowiek o azjatyckich rysach, może z Chin, albo z Hawajów lub Filipin. Wykonał pracę bardzo sprawnie i poszedł sobie.

Thrale pociągnął łyk burbona.

- Zadzwoń do Westinghouse, gdzie poinformowano mnie, że ten model jest w porządku i nigdy nie robili w nim żadnych napraw.

- Aaa... - sapnął Kuusinen.

- Ktoś, kto grzebał przy klimatyzacji w Białym Domu, musi być pracownikiem Biura Usług Publicznych. Toteż udałem się tam i rzuciłem okiem na kartotekę. Znalazłem trzech techników o orientalnym wyglądem. Pożyczyłem zdjęcia i pokazałem je pani Bartlett. Rozpoznała tego.

Thrale otworzył neseser i wyciągnął teczkę BUP-u. Znajdowało się w niej zdjęcie młodego człowieka o przyjemnej twarzy - wschodni typ, schludny, gładko uczesany.

- Lin Pao. Mieszka samotnie w chińskiej dzielnicy.

- Co zamierzasz?

- Poczekam, aż pójdzie jutro do pracy i rozejrzę się po jego pokoju. Zaczę od tego.

- Dobrze - rzekł Kuusinen. - Uważaj na siebie.

- Rozumie się.

- Dobrze wyglądasz. Sypiasz lepiej?

- Praca dobrze mi robi.

- Duchy sobie poszły?

- Jak na razie - odparł Thrale fatalistycznie. - Ale wrócą. Zawsze wracają.

- Chciałbyś zrobić coś jeszcze, mój specjalny pomocniku?

- Co?

- Używałaś kiedyś dezinformacji w celu zrujnowania kogoś?

- Jasne. Podczas okupacji zrujnowaliśmy w Japonii paru lewicowych polityków. Zaczynaliśmy się wtedy niepokoić czerwonym zagrożeniem i wojną w Korei. Dlatego właśnie od tamtego czasu rządzi w Japonii Partia Liberalna i dlatego Komura urósł w taką potęgę. Cóż, sami jesteście sobie winni. Narzekając na to, co żółtki wyprawiają dzisiaj, powinniśmy pamiętać, że w dużej mierze się do tego przyczyniliśmy. Przede wszystkim, przywracając do władzy tę bandę, która walczyła przeciw nam w czasie wojny.

- Mam kogoś zniszczyć.

- Tak? - spytał Thrale z rezerwą.

- To Rosjanin. Aleksander Borodin.

- Znam Borodina. Jest sinologiem. Mieszka na Aleksieja Tołstoja niczym księżę Jansheng. Powiedziałbym, że to świr, gdyby nie był tak dobry w tym, co robi.

- Naszym zadaniem jest dowieść, że Borodin ma świetne wyniki w pracy, bo w rzeczywistości jest chińskim agentem.

- Jasne... - powiedział Thrale cicho. - W porządku. Nie będę pytał, dlaczego. Jeśli idzie o te sprawy, ty i ja zawsze gramy z tych samych nut.

- Dziękuję.

- Od czego mam zacząć?

- Od jednego z naszych sinologów. Jest taki facet w Departamencie Stanu, Cy Rogers. Jest mi co nieco winien. Kiedy będziemy mieli trochę materiału, zaczniemy składać co lepsze kawałki.

- Zadzwoń do niego z rana.

- Dobrze. Przeczytałem twój raport o Komurze. Czy możemy się z nim skontaktować?

- Chyba że sam zechce. Komura mieszka w swojej rezydencji. Politycy przychodzą do niego.

- Naprawdę jest tak potężny, jak twierdzisz?

- A czy prezydent USA nie jest jednym z dwóch najpotężniejszych ludzi na ziemi? Ale Barnet nadaje się tylko na odstrzał. A Janow ma swoje problemy. Komura zrozumiał to, co młodzi oficerowie Armii Kwantuńskiej wiedzieli w latach trzydziestych, że serce systemu japońskiej władzy ziele pustką. Zajmij je, a system będzie ci posłuszny. Japonia to najpotężniejsza gospodarka na świecie, a Komura to najpotężniejszy człowiek w jej sercu.

- Więc co mamy robić?

- Robić? Za to mi nie płacą. Ale Komura jest starszym człowiekiem, tak jak ja. Trzeba mieć nadzieję, iż umrze, nim wykręci nam jakiś okropny numer.

3.

Sterowanie

♦ Adamstown, Maryland

Lokal „U Betty” stał w strategicznym punkcie, wyłapując ludzi spragnionych i głodnych, którzy wieczorami napływali strumieniami od strony stolicy do swoich domów w Maryland. Nie przyciągał hołoty, ale wyłącznie ludzi godnych szacunku. Było tu czysto, salę spowijało miękkie światło, a w weekendy, kiedy przy stołach usługiwały studentki w sukienkach w stylu country, grano muzykę na żywo. W tygodniu goście słuchali melodii z prawdziwego Wurlitzera lub oglądali telewizję na dużym odbiorniku nad barem.

Thrall zatrzymywał się „U Betty” od lat. Od śmierci żony wyrobił sobie zwyczaj jadać tam również kolacji. Dom świecił pustką, w której majaczyły wspomnienia, a bar stwarzał złudzenie towarzystwa. Poza tym, gdy nadszedł już czas, by wracać, do domu miał parę kroków.

Obok przy długim barze z drewna i mosiądzu siedział Ryan Murphy, wysoki, rudowłosy, posiadający własną firmę budowlaną mężczyzna, który lubił zatrzymywać się tu na jednego Buda, nim ruszył dalej do domu. Obaj przyjechali niemal jednocześnie. Z przyzwyczajenia wlepili wzrok w ekran, na którym właśnie następowała zmiana programu.

Na antenie pojawił się Barnet. Miał na sobie czarny, dwurzędowy garnitur i pasiasty, wojskowy krawat. Srebro u skroni tylko przydawało *gravitas* jego wyglądowi. Za plecami, przy obitym skórą, dębowym biurku znajdowały się podkreślające jego władzę symbole: flaga prezydencka i flaga Stanów Zjednoczonych Ameryki. Siedział w Gabinetce Owalnym, a przez rozsunięte zasłony widać było podświetlony Ogród Różany.

Murphy chrząknął.

- Hej, Charley, gdzie się podziała piłka nożna?

- Prezydent jest na antenie - wzruszył ramionami barman.
- Na wszystkich kanałach.

Ogromny Irlandczyk skrzywił się z rezygnacją, ale odchyliwszy się w tył, posłusznie siadł, by wysłuchać, co prezydent ma do powiedzenia:

- Drodzy Amerykanie, rodacy. W niedzielę po powrocie z kościoła, a jeszcze przed śniadaniem, miałem trochę wolnego czasu. Poszedłem więc do biblioteki i tam natknąłem się na jakieś stare książki, których nie czytałem od czasów uniwersyteckich. W jednej z nich znalazłem postać nazwiskiem pani Nieróbdrugiemucotobieniemiło. Nie rób drugiemu, co tobie niemiło. I wiecie, dało mi to do myślenia.

Nie rób drugiemu, co tobie niemiło. Taka jest postawa Amerykanów. Stajemy wobec świata otwarcie. Nie jesteśmy podstępni i nie oczekujemy, że jakiś naród na świecie będzie podstępny względem nas. Mamy serce na dłoni, prawda? Od zakończenia II wojny światowej świat doświadczył bezprecedensowej prosperity i cóż, sądzę, że my, Amerykanie możemy w jakimś małym stopniu tę zasługę przypisać sobie. Pozwalaliśmy każdemu handlować z nami tak, jak my handlowaliśmy z nim. W rezultacie pozwoliliśmy handlować ze sobą ludziom, którzy nie chcieli tego robić uczciwie. Ale taki już mamy charakter. Rozumieliśmy, że po wojennej dewastacji wiele narodów musi odbudować swoją gospodarkę i pomagaliśmy im to uczynić, udzielając konkretnej pomocy i pomysłów. Przede wszystkim pomogliśmy postawić na nogi te narody, które prowadziły przeciw nam wojnę. Ponieważ właśnie taki charakter mają Amerykanie. Nie robimy drugim tego, co nam niemiło.

Przystojna twarz Barneta zmarszczyła się w smutnym i zarazem surowym wyrazie.

- Lecz istnieją ludzie, którzy nie myślą w ten sposób, którzy wykorzystali naszą otwartą naturę, by głęboko wdrzeć się w naszą sprawną gospodarkę. Manipulują cenami rynkowymi tak, byśmy nie mogli z nimi swobodnie rywalizować. Posługują się niegodziwymi praktykami handlowymi, by pozbawić pracy uczciwe, amerykańskie firmy, a wzbogaciwszy się na tym procederze, przyjeżdżają do naszego kraju, by wykupić dobre amerykańskie przedsiębiorstwa za pieniądze, które od nas wyludzili.

Po prawej ręce prezydenta stał stolicek do kart, a na nim fotografia jego rodziny. Barnet uczynił gest w tę stronę.

- Martwiło mnie to już od pewnego czasu. Dobrzy ludzie cierpią nie z własnej winy. Ale nie byłem pewien, co zrobić.

Zatem uczyniłem to, co zawsze czynię, kiedy coś leży mi na sercu, to znaczy porozmawiałem z rodziną. Kiedy wyłuszczyłem całą sprawę, mój najmłodszy syn spojrział mi w oczy i powiedział: „Tato, ty wiesz, co zrobić. Porozmawiaj z kongresmenami i senatorami, a oni ci pomogą, ponieważ przede wszystkim są Amerykanami, a dopiero na drugim miejscu są podzieleni na partie. A w ogóle, to sam ci pomogę.” Po czym wstał od stołu i wyszedł. Niedługo wrócił. Właśnie pracowałem nad jakimiś dokumentami, kiedy wszedł do mojego gabinetu i spytał, czy miałbym wolną chwilę, ponieważ chce mi coś dać. Wyjął to z kieszeni i położył na stole. Ujrzałem znak firmowy zdjęty z jego samochodu. Ciężko pracował, by go sobie kupić, trochę to trwało. Mam tu ten znaczek.

Barnet sięgnął do kieszeni garnituru i rzucił pozginany krążek aluminium na skórzany blat biurka. Logo Hondy zabłysło w oku kamery.

- Włożył go do kruszarki. Teraz ma nowy, amerykański. Na odchodnym uśmiechnął się do mnie i rzekł: „Wracam z powrotem do pracy wieczorem, po zajęciach, tato”. Zapowiedział, że ma zamiar zrobić to samo z innymi rzeczami: telewizorem, sprzętem hi-fi. Będzie kupował tylko amerykańskie.

Na ekranie Barnet rozłożył ręce w geście zapytania do swojego narodu.

- Ja? Co ja mam zrobić? No cóż, już coś zrobiłem. Poszedłem porozmawiać z kongresmenami i senatorami i mają uchwalić akt. Akt „Nie rób drugiemu, co tobie niemiło”. Akt „Uczciwość za Uczciwość”. Narody rzetelne, które chcą z nami handlować i pozwolą nam handlować ze sobą, nie mają się czego obawiać. Inni tak. Nieuczciwa konkurencja, nieuczciwe praktyki, nieuczciwe wykorzystywanie naszego społeczeństwa już się skończyło.

Barnet postukał znacząco w biurko.

- Moja w tym głowa. Nadszedł czas na nowy rozdział, nowy początek.

Obraz przyciemnił się, a obok Thrale'a Murphy trzasnął puszką piwa o blat baru.

- Niech mnie cholera, jeśli on nie ma racji! Charley, podaj mi telefon.

Murphy wykluwał przyciski palcem grubym jak wał korbowy.

- Hank? Dobrze, że jesteś jeszcze w biurze. Masz tam u siebie te półciężarówkę? Chevy? Dobra. Odłóż dla mnie trzy. Odbiorę je rano.

- To ty, Tom? Przywieź swoją dupę do warsztatu, bo zaraz tam będę. Ta kupa japońskiego śmiecia, którą dotąd jeździłem, zamieni się w aluminium, z którego Amerykanie będą mogli pić amerykańskie piwo.

- Shelagh? Wyjmij starego Forda z garażu. Spotkamy się przy kruszarce Toma Baileya. Rób, co mówię, kobieto.

Wysoki, rozpalony swoją misją Murphy cisnął słuchawkę z powrotem na widełki i wstał. Wyszczerył się do Thrale'a w dzikim uśmiechu.

- Muszę iść - rzekł. - Mam randkę. Powiedz, K.K., czym ty jeździsz?

- Cadillac Fleetwood, rocznik 1970 - odparł Thrale beznamiętnie.

- Świetnie - Murphy obrócił się uśmiechając się szeroko do pozostałych, podobnie rozpalonych gości. - Nie jeździłbyś na starość japońskim, prawda K.K.? Ludzie, ten facet żył z zabijania tych małych, żółtych sraluchów!

Thrale wcześniej opuścił bar. Wsunął się za kierownicę i zapuścił potężny V-8.

- O Boże - szepnął.

♦ **Gabinet Owalny, Biały Dom**

Kamery i operatorzy z biura mediów w Białym Domu pojechali z powrotem na przeciwległą stronę ulicy, do BWW. Barnet nadal siedział za swoim zdobnym biurkiem, w samej koszuli, z filiżanką zimnej kawy przed sobą. Odkrył, że czas „na pobycie samemu” znajdował się rzadko i trzeba go było cenić. Ciszę przecięło buczenie telefonu. Dzwonił Ed Reisch z pokoju obok.

- To Tony Jacobs - powiedział.

Barnet podniósł słuchawkę.

- Tu prezydent.

- Tony Jacobs, panie prezydencie. Był to jeden z najlepszych występów polityka na antenie, jakie w życiu widziałem - pogratulował szczerze. - Ten gest, kiedy rzucił pan na biurko pogięty znak Hondy, był wspaniały.

Reżyser, szczupły, nerwowy chłopak, którego trzydziestosekundowe przesłania zdobywały nagrody i sprzedawały opinii publicznej z równym powodzeniem piwo, dezodoranty i polityków, kazał Barnetowi powtarzać tę czynność raz za razem, aż do doskonałości.

- Zdaje się, że pan znalazł najbardziej rajcowne miejsce w tym wszystkim. Radykalni modnisie jeździć będą starymi rzeczami czekając na nowe z Detroit, słuchać muzyki na amerykańskim sprzęcie i oglądać amerykańską telewizję. To zdziała cuda dla gospodarki.

Nastąpiła pauza.

- Kiedy spotkaliśmy się po pana zaprzysiężeniu, powiedziałem, że o ile nie chowa pan w zanadru czegoś, o czym ja nie wiem, to z powodu okoliczności powstałych nie z pańskiej winy przegra pan wybory. Bez wątplenia znalazł pan to coś i może to pan wykorzystać. Jeśli mnie pan weźmie, chciałbym się zaokrętować.

♦ Singapur, luty 1942

Przeszli całą drogę w dół półwyspu, prześlizgując się przez plantacje kauczuku, walcząc w ciemności i wciąż spychając wroga do tyłu. Aż znaleźli się tutaj... na wyspie, na samym końcu, gdzie zajrzała im w oczy prawda, iż w sile trzydziestu tysięcy próbowali zadać klęskę stu tysiącom wrogów, teraz ukrytych wewnątrz fortyfikacji obronnych na tej wyspie, w fortecy, która była największym symbolem ich potęgi w imperium na Dalekim Wschodzie. Oficerów, którzy siedzieli i kucali wokół stolika z piasku rozpałał duch *buszido*, ale każdy z nich był także zaprawionym w boju zawodowcem, który zdawał sobie sprawę, że gdy przypuszcza się szturm na pozycje obronne, a co dopiero na fortecę, stan liczebny powinien chylić się na ich korzyść, a nie wroga.

- Mamy panowanie w powietrzu - rzekł Yonai.

- Brygadierze, samolotom brakuje paliwa - wtrącił pułkownik, który rekrutował się z personelu Yamashita.

- Nasza artyleria może otworzyć ogień, kiedy zechcemy. Są w naszym zasięgu.

- Brakuje nam pocisków.

- Nasi żołnierze nikomu nie ustępują. Walczący duch żołnierzy Cesarza zmiążdży wszystko.

- Z pewnością - odparł pułkownik pospiesznie. - Ale mają już tylko po sto nabojów na głowę. Bez artylerii, bez nieustannego bombardowania z powietrza, bez amunicji, nawet dla żołnierzy Cesarza może się to okazać trudne. Oczywiście da się to zrobić, ale plan musi się powieść, gdyż rezerwy są na wykończeniu i nie możemy pozwolić sobie na więcej niż jeszcze jeden tydzień walk.

Zapadła cisza, wszyscy wpatrywali się złowrogo w piaskowy model wyspy.

- Czy mogę przedstawić pewną sugestię? - przerwał milczenie Komura.

- Tak, proszę - odparł Yonai uprzejmie. - Pułkowniku, to jest major Komura, nasz oficer wywiadu.

- Jeśli wolno mi najpierw przedstawić własną ocenę wroga, to następnie przekażę panom informacje, jakie otrzymałem i przedstawię moją propozycję. Czyż na początku tego stulecia nie uważaliśmy, że Brytyjczycy są silni i męscy, że są prawdziwymi mężczyznami? Cieszyliśmy się, że możemy zawrzeć z nimi przymierze. Ale od tamtego czasu to my zmieniliśmy się w męskich, a Brytyjczycy i Amerykanie w miękkich i niezdecydowanych. Kobięcych. Na przykład, gdy nasi żołnierze z Armii Mandżurskiej wkroczyli do Mukden w 1931 roku, Brytyjczycy i Amerykanie miotali groźby i narzekania, ale nie poparli ich działaniem. Jak kobiety. To my działaliśmy po męsku. I nic się nie zmieniło.

Komura wyjął cienki papierek z kieszeni kurtki.

- Mam tutaj pewną wiadomość z fortecy. Brytyjczycy wysyłają swoje oddziały statkami. Uciekają. Zostają Chińczycy, Malajowie i Tamilowie. Kilka dni temu statek wypełniony technikami Royal Navy, pielęgniarkami wojskowymi i starszymi urzędnikami portowymi odplynął potajemnie. Teraz poinformowano mnie, że i inni snują sekretne plany ucieczki: większość personelu Departamentu Robót Publicznych, admirał, szef ich RAF-u i generał dowodzący australijskimi żołnierzami.

Oficerowie patrzyli bacznie na Komurę.

- Są jak kobiety. Przestraszeni. Gotowi do ucieczki. Wierzę, że przy

ograniczonych zapasach, jakie nam pozostały, jesteśmy w stanie zadać ostateczne pchnięcie, które odda wyspę pod nasze panowanie. Ale upewnijmy się co do tego.

Komura włożył raport wywiadowczy z powrotem do kieszeni.

- Byliśmy już kiedyś w podobnej sytuacji. Kiedy braliśmy Hongkong. Gdy zajęliśmy miasto, odkryłem pismo od ich przywódcy, Winstona Churchilla, w Domu Rządowym, które jasno nakazywało im walczyć do ostatniego żołnierza. W pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia nasze siły wkroczyły do szpitala św. Stefana, gdzie zakłuto bagnetami pacjentów i większość personelu. Ciała zrzucono na stos na zewnątrz. Złapano większość pielęgniarek, ale te zatrzymano w oddzielnym pokoju. Niektóre brano na zewnątrz i gwałcono na stosie ciał. Było ich całe mnóstwo, więc od czasu do czasu kilka zakłuwano bagnetami. Wrzeszczały, oczywiście, jak to kobiety.

W pomieszczeniu zaległa cisza. Z okolicy dochodził tylko przerywany grzechot karabinów maszynowych.

- Z przesłuchań, po tym, jak Brytyjczycy się poddali, wynikało dla mnie jasno, że naszymi poczynaniami w szpitalu osłabiliśmy brytyjską chęć dalszej walki. Ich dowódca – ich cesarz - rozkazał im walczyć do ostatniego żołnierza. Nie posłuchali go i poddali się, ponieważ byli jak kobiety, tchórzliwi. Żaden japoński żołnierz by tak nie postąpił. Powtarzam. Moje raporty wywiadowcze wskazują na to, że Churchill rozkazał swoim dowódcom walczyć tutaj do ostatniego tchu. Nie zrobią tego. Brakuje im wody. Podobnie, jak nam. Brakuje im amunicji. Podobnie, jak nam. Brakuje im ducha. A nam nie. Potrzebny będzie tylko mały gest, by zmusić ich do poddania się, gdy zaatakujemy.

Komura pochylił się nad stolikiem z piasku i wskazał wąskim bambusowym patykiem.

- Tu. Wojskowy szpital w Aleksandrii. Przeprowadźmy atak w dużej sile. Zajmiemy się nimi tak samo, jak w Hongkongu. Wierzę, że to zadziała.

Przegonili brytyjskiego generała po ulicach w samych majtkach, żartując pomiędzy sobą, że wygląda zupełnie jak stara, przestraszona kobieta. Wsadziliwszy jego żołnierzy do więzienia zastanawiali się, co dalej z nimi

począć. Żeby Chińczycy, Malajowie i Tamilowie dobrze poznali zwyczaje żołnierzy Cesarza, ścięli po paru z każdej grupy i, nadziawszy ich głowy na żerdzie, umieścili po trzy na rogu każdej ulicy.

Następnie wyruszyli w poszukiwaniu kolejnych zwycięstw.

Hakko icziu!

♦ Żukowka-2, Moskwa

W podeszłym wieku Wiaczesław Mazurow nie miał zwyczaju spać w łóżku. W zamian, dobrze owinięty w piżamę, kaszmirowy szlafrok i wełniane kapcie - łupy z dawnych zagranicznych wizyt, kiedy reprezentował swój kraj w ONZ - wolał drzemać w bibliotece przed kominkiem. Tam wyciągał się w błogiej wygodzie na magicznym amerykańskim fotelu, który przystosowywał się całkowicie do kaprysu po dotknięciu elektrycznego przycisku, wyciągając podnózek, rozszerzając poręczę i odchylając oparcie według zachcianki. Biblioteka wychodziła na brzoźowo-klonową przesiekę, gdzie kończyła się biegnąca od autostrady dróżka. W dole szumiała leniwie rzeka Moskwa. Mając lekki sen, Mazurow nieraz wstawał nocą, by przyglądać się swoim wiejskim włościom, które błyszcząły w świetle księżycy i gwiazd, po czym wracał do fotela, gdzie leżał odświeżony, nim ponownie zapadł w sen. Często budził się na godzinę przed świtem. Zwyczaj ten pozostał mu z przeszłości.

W ten właśnie sposób ujrzał i usłyszał, jak przyjechało KGB, by zabrać go na egzekucję.

Światło reflektorów Czajki rozlało się po ścianach i rozległ się łoskot trzaskających drzwi. Zadudniły ciężkie buty na drewnianych schodach, w drzwi frontowe waliły przyodziane w rękawice pięści jak bochny chleba. Robili to zupełnie jak za dawnych czasów, czasów Mazurowa.

Manipulując przyciskiem w fotelu, który złożył się i znów stał pionowo, usłyszał kroki przestraszonej gospodyni Raji, gospodyni, która dreptała przez hol. Włączył lampkę przy stole, by pokazać, gdzie się znajduje i siedział w oczekiwaniu.

Drzwi do biblioteki nagle rozwarły się trzaskając tyłem w półki na ścianie. Ogromna postać zbliżała się, w korytarzu Raja zaczęła zawodzić, a

wejście wypełniło się płatnymi zbirami. Jakaś ręka potrząsnęła gazetą i rzuciła mu ją przed twarz.

- Jesteście sławni - zadrwił głos. - Dostaliście się do gazet.

Mazurow odtrzącił gazetę dłonią.

- Nie czytam wiadomości przed śniadaniem - odparł chłodno.

Mężczyzna upuścił gazetę na podłogę i położywszy ręce na poręczach fotela Mazurowa przytknął swoją wielką, mięsistą twarz do twarzy starego. Zaśniedziały pot uderzył falą z załamania jego poplamionego prochowca. Gdy przemówił, Mazurowa owionął zgniły oddech przetrawionej wódki.

- Idźcie z nami. Przyszła kolej na was.

- Gorkow, jesteście rozkładającym się kawałkiem świńskiego odbytu. Śmierdźcie. - Głos Mazurowa strzelił jak bicz. - Odsuńcie się ode mnie. Stańcie tam, gdy będę informował was o kilku niezmiennych prawdach.

Olbrzym odsunął się od niego niepewnie. Zapomniał, że stary nie był taki jak inni - ci, których męczył, którym ubliżał i których zabijał podczas długiej kariery służącego Partii.

- Ciekawe, z jakiego to przesiąkniętego wódką dołu was wyciągnęli - dumał Mazurow. - Zresztą spodziewałem się, że on wyśle kogoś waszego pokroju. Przemawiałoby to do czegoś, co uchodzi za poczucie humoru tego człowieka. Znam was, Gorkow. Znam was lepiej niż ta maciora, która was zrodziła. Znam was, bo mam waszą teczkę. Nie oficjalną teczkę, ale tę prawdziwą. Tę, którą sporządziłem na własny użytek. Wszystko tam jest. Wszystko, co zrobiliście.

- Ja tylko wykonywałem rozkazy - odparł Gorkow zbity z pantafyku.

- Nie przyjęliśmy tych usprawiedliwień od hitlerowców, i ci z Zachodu nie przyjmą ich od was, jeśli pokażę im waszą teczkę. Czy rozkazy nie nakazały wam jedynie zaarrestować i wysłać do Gułagu rodzinę Simenowów? Gdzie był rozkaz, że macie zgwałcić ich córkę, zanim to zrobicie? Wiem, dlaczego to zrobiliście. Żadna przyzwoita rosyjska kobieta nie poszłaby do łóżka z własnej woli z takim jak wy. Bez wątplenia wykombinowaliście sobie, że człowiek przecież musi sobie jakoś ulżyć. A co powiecie o Orłowach, którzy pragnęli wyemigrować do Izraela? Czy nie wykrwawiliście ich z pieniędzy fałszywymi obietnicami pomocy? A kiedy się

skończyły, czy ich nie zdradziliście i nie umarli w obozach?

- Jeśli wiedzieliście o tych rzeczach wtedy, dlaczego dopiero teraz mają one jakieś znaczenie? - spytał Gorkow. - Czy coś się zmieniło?

- Świat się zmienił. Tamto należało do rzeczywistości komunizmu. Tak to wszystko funkcjonowało. Podczas gdy głosiliśmy światową rewolucję, swoich traktowaliśmy właśnie w ten sposób. Ale komunizm to martwa litera. Aby się utrzymać, poszliśmy do Zachodu z ręką wyciągniętą po pieniądze i technologie, których komunizm nie potrafił wynaleźć. Na Zachodzie nie są przyzwyczajeni, by rządy i ich pracownicy zachowywali się w ten sposób. Ludzie, którzy pracują dla tamtejszej telewizji byłiby zachwyceni, gdyby mogli zrobić o tym program dla swoich widzów. Jeśli będzie mi się chciało, ofiaruję im waszą tekę; zacznę właśnie od nich.

Mazurow podniósł wzrok na Gorkowa niczym grzechotnik.

- Nadal istnieją obozy. Nie takie jak dawniej, ale wciąż są odpowiednie miejsca, w których można odbyć karę za zhańbienie imienia naszej ojczyzny w oczach Zachodu. Sądzę, że z radością wysłano by was tam na kilka lat rekonwalescencji.

- Ależ... to was mamy wziąć, a nie mnie... jak moglibyście to zrobić...

- Mógłbym, ponieważ używam mózgu, organu, którego wy nie posiadacie. A teraz idźcie! Wracaj do tego małego człowieka i wytłumaczcie mu, dlaczego nie postawiliście mnie przed nim w kajdanach, jak wam rozkazano. Potem powiedzcie mu, że z nim się też zobaczę. Ma tu przyjść. Mam nadzieję, że nie przed południem.

- Nie możecie zwracać się tak do prezydenta.

- Ja mogę. A teraz uwolnijcie mnie od swojej ohydnej obecności. Nie chcę was więcej widzieć.

Gdy światła samochodów zniknęły w głębi alei, trzęsąca się Raja stanęła tam, gdzie przed chwilą znajdowali się mężczyźni. Ścierała z twarzy łyzy przerażenia.

- Raja - uspokoił ją dobrotliwie Mazurow. - Zakłócono nam sen. Jeszcze nie świta. Śniadanie zjem o ósmej, jak zwykle. Dziś zaciągnąłem dług u Zachodu. Zjem więc to, co oni. Kawę, tost, jajecznicę, dzem. Ale teraz nie zaszkodzi trochę odpocząć po tej wizycie.

Kiedy gospodyni wyszła, Mazurow podniósł gazetę, która upadła na podłogę. Był to „Washington Post”. Zdjęcie wypełniało całą pierwszą stronę. Jakiś mężczyzna stał obok otwartego grobu, do którego rosyjscy żołnierze wrzucali ciała. Człowiek, który nimi kierował był młody, fotografia miała już swoje lata. Pół wieku później Mazurow patrzył na swoją przeszłość.

◆ Szinjuku, Tokio

Pociągi na linii Yamanote ciągnęły się prawie na pół kilometra wywołując miliony stłoczonych ciasno ludzi, którzy co rano przyjeżdżali do Tokio do pracy. W wieczornych godzinach szczytu przychodziły i odchodziły co dwie, trzy minuty i były przepełnione do granic możliwości.

Stanislas Jerochin czekał przy bramce biletowej kierunku Nakano linii Chuo, podczas gdy nieskazitelny, bez wyrazu, niemal bezzapachowy tłum wypływał z pociągów Yamanote. Jerochin wiedział, że nie będzie musiał długo tak stać. Niewysoki inżynier komputerowy był równie niezawodny jak jego maszyny.

Jak sportowiec strzelec, który wybiera cel w stadzie szybko lecących glinianych krążków, wypatrzył Konoe Masaaki w tłumie i przechwycił go, nim ten zdołał przejść przez bramkę.

- Masaaki - zawołał, a inżynier spojrział na niego z przerażeniem.

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedział Rosjanin pośpiesznie. - Coś się wydarzyło.

Konoe spojrział tęsknie w kierunku barierki, za którą, w przyjemnej części miasta, w odległości dwudziestu minut spacerem stał jego mały, drewniany domek z fasadą ze stiuku, błękitnymi dachówkami, żoną i dwojgiem dzieci, gdzie droga wiła się pomiędzy domami, niczym mała, przyjazna alejka. Ale Jerochin trzymał go za łokieć.

- To nie może czekać - nalegał.

Weszli do baru, gdzie wślizgnęli się do jakiegoś zakątka.

- Masaaki - zaczął Jerochin smutno. - Wsadzono nam jaja do wyżymaczki. Wczoraj wieczorem skontaktował się ze mną ktoś z KGB. Ten sam człowiek, który chciał rysunki komputera „Koralowa Włócznia”.

- Ależ dałem ci to, co chciał - Konoe zaskowyczał przeraźliwie i szybko

nakrył usta dłonią przestraszony, że ktoś mógłby ich przecież usłyszeć.

- Tak, oczywiście - zgodził się Jerochin smętnie. - Ale wiesz, jak to jest. Zawsze chcą więcej.

- Cóż, nie zrobię tego - odparł odważnie drobny mężczyzna. - Już nie. Rosjanin westchnął i sięgnął do kieszeni.

- Dał mi to - powiedział.

Zdjęcia przedstawiały wnętrze baru w „ołówkowym budynku”, gdzie Konoe przekazał kopertę, która zawierała rysunki superkomputera Komury. Choć było ciemno, zdjęcia ukazywały wszystko wyraźnie, gdyż zrobiono je wzmocniającym obraz obiektywem. Widać było, jak Jerochin bierze kopertę i jak wciska małą paczuszkę z pieniędzmi w dłoń Konoe.

- Powiedzą, że jestem agentem KGB. Mnie odeślą z powrotem, a ciebie... ciebie powieszają.

- Ty jesteś agentem KGB - odparował Konoe odważnie.

Jerochin westchnął.

- Nie jestem, wiesz przecież - zaprzeczył szczerze. - W każdym razie, czy to ważne? Najważniejsze dla takich maluczkich jak my, to uniknąć zgniecenia przez nieczułych i nie dbających o nic olbrzymów. Poza tym wcale nie chcą, byś zrobił wiele.

- A czego chcą? - wyszeptał Konoe. Przetarł okulary, które zaczynały zachodzić mgiełką. Jerochin rzucił wzrokiem na pobliski stolik. Jakiś Europejczyk wstał, wziął piwo i trzymając je w dłoniach wsunął się w kąt naprzeciw nich. Miał okrągłą twarz, badawczy wzrok i dłonie o długich, delikatnych palcach.

- Masaaki, poznaj kolegę po fachu, Jurija Serowa. Zna się na komputerach, tak jak ty. Chciałby rzucić okiem na „Koralową Włócznie”. Pobawić się nim przez chwilkę. Chcielibyśmy, żebyś zaprowadził go do komputera i zostawił. Na noc. Samego.

♦ Rabaul, Południowy Pacyfik, kwiecień 1943

Pielęgniarka wyszła z pokoju i niosąc tackę oddaliła się korytarzem. Komura wślizgnął się przez papierowe drzwi *fusuma* i zasunął je za sobą. Pokój oświetlała prosta lampa sporządzona z rozszczępionego bambusa i

nasączonego oliwą papieru. Jedna z jej czterech ścianek przedstawiała ideogram śmiałego malowidła. Na stoliku przy łóżku, z grządki z płukanego kamienia wykwitał samotny biały irys.

Mężczyzna na łóżku był bardzo, bardzo chudy, a jego bladą skórę, za-barwiała głęboka żółć żółtaczkii. Pod okryciem z *yukata* Komura dostrzegł ciało pozszywane jak stary łachman. Jego oczy błysnęły. Był czujny, jak smok.

- Komura.

- Panie brygadierze.

Komura uklonił się z szacunkiem, a Yonai skinął mu głową.

- Co tu robicie?

- Mój szef, generał Hori, zatrzymał się, by w drodze do Truk spotkać się z admirałem Yamamoto. Powiedziano mi, że jesteście tutaj.

- Miło z waszej strony, że przyszliście. Urozmaicie mi trochę czas, który trawię oczekując, aż to słabe ciało powróci do zdrowia.

- Nie takie znów słabe... Posiadam pewien strzępek informacji uszczknięty Amerykanom.

- Ach - Yonai podciągnął się trochę do góry, zaintrygowany.

- Na Guadalcanal, w pierwszym tygodniu lutego, kiedy marynarka zabierała naszych żołnierzy, jeden z batalionów prowadził walkę tylnej straży asystując przy ewakuacji i ochraniając współtowarzyszy broni, którzy wchodzili na statki. Batalion ów walczył tak zaciekle, że Amerykanie sądzili, iż jest zupełnie świeży - przysłano więc posiłki - i że mogą spodziewać się ponownego ataku ze strony naszych sił.

Zapadnięte oczy Yonai zabłysły.

- Był to batalion Yano - rzekł Komura.

Z piersi Yonai wydostało się syczące, wypełnione dumą westchnienie:

- Weszliśmy do walki w październiku razem z 38. Dywizją. Do lutego było nas tak mało, że ja, w stopniu brygadiera dowodziłem całym batalionem. A oni myśleli, że byliśmy świeżo przysłanymi żołnierzami...

- Przyszło mi do głowy, że na pewno chcielibyście to wiedzieć. Nasz odwrót z Guadalcanal był jednym z największych sukcesów w historii. A jego duża część to wasza zasługa.

Yonai odwrócił twarz.

- Wycofywanie się... odwrót... nie są to słowa, które powinny kojarzyć się z Cesarską Armią Japońską.

- To nie pana wina.

- Nie mieliśmy dostaw - wyszeptał Yonai. - Ani żywności. Moi żołnierze spędzali dni na poszukiwaniu jedzenia. Żywiliśmy się szczurami, owadami, byle zielskiem. Pewnego dnia przyplłynął okręt podwodny i przywiózł nasiona, byśmy zasiali „ogrody zwycięstwa”. A przecież nie nasion potrzebowaliśmy. Gdzie się podziały konwoje? Gdzie dostawy?

- Amerykanie je zatopili - odpowiedział cicho Komura.

- Zatopili je - Yonai wlepił w niego gniewny wzrok. - Wygraliśmy bitwę o Midway tylko po to, by Amerykanie zatapiali nasze okręty zaopatrzeniowe?

- Okręty wojenne - poprawił go Komura. - Tylko okrętom wojennym udawało się przetrwać. Czasami. A bitwę o Midway przegraliśmy.

Twarz Yonai skamieniała.

- Dlaczego opowiadacie mi te kłamstwa?

Komura spojrział na swoje dłonie splecione pomiędzy kolanami.

- Jestem oficerem wywiadu. Kiedy byłem oficerem piechoty, wierzyłem w to, co mi mówiono. Jako oficer wywiadu, by dobrze służyć Cesarzowi, muszę znać prawdę. Nie to, czym karmimy miliony w kraju, ale prawdę. Bitwę o Midway przegraliśmy, tak jak straciliśmy Guadalcanal. Zapadliśmy na „chorobę zwycięstwa”. Admirałowie nie powiadomili Tojo o Midway, aż dopiero miesiąc później. I nikt nie ma zamiaru mówić o tym stu milionom.

- Jak Amerykanie mogą zatapiać nasze statki, jeśli wysyłamy okręty wojenne, by zaopatrywać naszych żołnierzy?

- Słyszał pan o komandorze Sanematsu ze Sztabu Generalnego Marynarki Wojennej?

Yonai zmarszczył brwi.

- Tak... wychwała Amerykę, zgadza się? Jest zakochany w ich materializmie. Chciałbym go mieć w swojej brygadzie. Nie wytrzymałby długo.

- Stacjonował w Waszyngtonie, kiedy zaatakowaliśmy Pearl Harbor. Został repatriowany w zamian za dyplomatów. Miałem okazję porozmawiać

z nim jakiś czas temu. Twierdzi, że USA jest największym krajem przemysłowym na świecie. Jego możliwości produkcyjne są dziesięć razy większe niż nasze.

- Amerykanie to kobiety - rzucił Yonai z pogardą. - Żaden naród na ziemi nie może równać się z walecznością naszych żołnierzy.

- Żaden naród na ziemi - przytaknął Komura. - ale żaden naród na ziemi nie może równać się z Amerykanami w produkcji sprzętu wojskowego. Zeszłego czerwca ich rząd podpisał umowę z Henry Kaiserem, stocznikiem, który posiada zakłady na zachodnim wybrzeżu, na wybudowanie lotniskowców. Dwa tygodnie temu żona prezydenta Roosevelta przybyła do stoczni w Oregonie, by zwodować pierwszy z nich. Nazywa się USS „Casablanca”. Przenosi trzydzieści samolotów - tyle, co jeden z naszych lekkich lotniskowców. Budowali go dziewięć miesięcy, ale teraz zajmuje im to trzy. W zeszłym tygodniu położyli stępkę numeru dwieście dziewięćdziesiąt jeden. Chce pan wiedzieć, co stało się z okrętami, które wysłano z zaopatrzeniem dla was? Zostały zatopione. Nocą.

- Wszystkim wiadomo, że Amerykanie, jak kobiety, nie lubią nocy. Nasze siły są o wiele lepsze.

- Prawda. Toteż Amerykanie wytropili nasze okręty radarem. Kierowali ogniem i odpalili torpedy za pomocą radaru. Nowe amerykańskie samoloty *P-38* i *F-6U* pokonują nasz potężny myśliwiec *Zero*. Kiedy pan walczył na Guadalcanal, mój szef poszedł zobaczyć się z admirałem Yamamoto. Są starymi kumplami od brydża, więc rozmawiają swobodnie. Admirał powiedział: „Prawdziwa bitwa teraz, to rywalizacja między japońską dyscypliną, a amerykańską technologią naukową”.

- Dokładnie. Duch walki naszych żołnierzy może zadać klęskę wszystkim przeciwnościom. Sto milionów idzie naprzód jak jeden pocisk.

- Nasza dyscyplina sprawiła, że tysiąc ludzi poszło naprzód w paszczę armat na Guadalcanal. Wszyscy poległi. Amerykanie też mają nowych ludzi. Admirał Halsey nie jest starą kobietą. Każe swoim ludziom: „zabijaj Japońców, zabijaj Japońców, zabijaj więcej Japońców”. I tak właśnie robią. Piechota Morska Smitha nie bierze jeńców. Cofamy się na całej linii.

- Przebicie drogi na Wyspy Salomona zajmie Amerykanom całą wieczność, a do tego czasu zdążymy wygrać wojnę w Chinach i nie będzie powodu, by kontynuować z nimi walkę.

- Aaa... tyle, że wojnę w Chinach mieliśmy wygrać w ciągu miesiąca. To było cztery lata temu... a jeśli wcale nie będą przebijać się do Wysp Salomona?

- Muszą.

- A jeśli wezmą jedną wyspę, a potem pójdą dookoła? Okrążą nas, pozwolą naszym żołnierzom zagłodzić się na śmierć, a sami będą atakować dalej? Nazywają to „skokiem przez plecy”.

- I tak zajmie im to wieczność.

- Niedługo zaczną bombardować naszą ojczyznę.

- Czym? - zadrwił Yonai. - Nieustraszonym lotnikom Doittle'a udał się jeden symboliczny nalot i nie wyrządził on żadnej szkody.

- Nadchodzi *B-san* - zareplikował Komura.

- A któż to jest *B-san*?

- *B-san* to nowy bombowiec, *B-29*. Kiedy dostałem wiadomość, że Boeing pracuje nad konstrukcją nowego, czterosilnikowego bombowca, porozmawiałem z kilkoma inżynierami z Mitsubishi. Mają plany bombowca, który może bombardować zachodnie wybrzeże z Wysp Kurylskich. Oni mają plany, a Amerykanie samoloty. Za rok znajdą się tutaj.

- *Kempę Tai* szuka ludzi takich jak ty - powiedział Yonai chłodno.

- Powinni poszukać admirała Yamamoto. On i mój szef strzelili sobie wczoraj drinka. On twierdzi, że wojna jest przegrana.

Yonai był tak zagniewany, że pomimo ran udało mu się usiąść prosto.

- Yamamoto zostanie rozstrzelany - wyrzucił z siebie.

- Już został - poinformował go Komura. - Amerykańskie myśliwce urządziły dziś na niego zasadzkę. Wyruszył w długą podróż, aby objechać najdalej wysunięte bazy. Znaleźli go i zastrzelili.

- Przypadek.

- Była to specjalna, elitarna jednostka. Oni o tym wiedzieli.

- Jak mogli wiedzieć?

- A jeśli złamali nasze kody?

Yonai zapadł się na łóżku.

- Nie potrafią nawet zrozumieć japońskiego, a co dopiero złamać kody - skwitował z pogardą.

- Ale może ich technologia potrafi. Może wiedzą o wszystkim, co robimy - Komura wstał. - Przykro mi, że zabrałem wam czas.

Yonai nic nie odpowiedział. Komura przystanął przy drzwiach.

- Sto milionów idzie naprzód, jak kula ognia - rzekł. - Oczywiście, że wygramy.

♦ Żukowka-2, Moskwa

Ciche bzyczenie, które dochodziło zza okna oznajmiło Mazurowowi, że samochodu, który zajeżdżał nie wyprodukowano w ZSRR, lecz na Zachodzie. Przez okno ujrzał Nikołaja Serowa, który wysiadał spieszenie z pięknego, białego Volkswagena. Po chwili był już razem z nim w bibliotece. W jednej ręce ścisnął mocno egzemplarz „Washington Post”.

- Widziałeś to? - przywitał go przerażony. - Przyjechałem... Nie byłem pewny, czy jeszcze cię zastanę.

Mazurow podniósł dłoń uspokajająco.

- Nie denerwuj się. Janow przysłał swoich zbirów, ale zostali odparci. Oczekuję teraz na przyjazd ich pana.

- Janow tu przyjeżdża?

- Posłałem po niego - odparł Mazurow zwyczajnie.

- Posłałem... posłałem... och - wymamrotał Serow oszalały z niepokoju.

- Nikołaj, mogę nas obronić. Janow nas nie zniszczy, choć tak mu się wydaje.

- Przyjechałem zobaczyć, czy jeszcze jesteś. Ostrzec cię, ale teraz, kiedy już wiesz... posłuchaj. Zadzwoń do Nicka Gallowaya, tego Amerykanina, korespondenta „US News & World Report”. Jest w Gorki. Teraz, kiedy wiem, że cię nie zabrali, pojedę się z nim zobaczyć.

Miotający się niespokojnie Serow wyleciał z biblioteki tak szybko, jak przyszedł. Zanim to, co powiedział, dotarło do Mazurowa, biegł już drobnymi kroczkami między modrzewiami i brzoźami do swojego samochodu. Stary wstał z fotela i, na ile pozwalał mu wiek, pospieszył do okna.

- Nikołaj! - dźwięk jego głosu utonął w furkocie startera małego

samochodu, a ziemia trysnęła spod przednich opon, gdy Serow przycisnął pedał gazu. Jechał szybko przysypaną liśćmi uliczką, która prowadziła do dachy Mazurowa, zanim przystanął przy bramie, przy której łączyła się ona z drogą prowadzącą do autostrady Uspienskoje. Jego samochód białł się na tle zielonego listowia. Jakiś kilometr dalej, gdzie teren podnosił się ponownie - po tym, jak opadał w łagodną dolinkę - a droga rozszerzała się, parkowały dwa ogromne transporterzy, każdy załadowany czołgiem T-72. Gdy Serow skręcił w stronę Moskwy, ruszyły mu naprzeciw.

Gnając sto kilometrów na godzinę Serow dotarł do dna doliny i zaczął wspinać się na łagodne wzniesienie. Transporterzy z chrzęstem sunęły w jego stronę, ich potężne dieslowskie silniki ryczały na pełnych obrotach. Serow mknął po szosie w ich kierunku i gdy maska jego wozu mijwała maszynowy przód pierwszego ze zbliżających się z przeciwka transporterów, ten drugi, przyciśnięty ciasno do ogona swojego poprzednika zjechał w poprzek drogi z szybkością, która zadawała kłam jego rozmiarom. Licząc od przedniego zderzaka z dźwigarem do podniesionej rampy za czterdziestoosmiotonowym czołgiem bojowym na pomoście transporter miał dwadzieścia pięć metrów długości. Zablockowawszy wszystkie cztery koła Golfa Nikołaj Serow przebył ten dystans zwalniając ze stu kilometrów na godzinę do trochę poniżej sześćdziesięciu.

Transporter strącił nieduży samochód z drogi jak dziecko kopiące piłkę. Zmięty, strzaskany, bezkształtny wrak stoczył się ze wzgórza i zatrzymał w zagłębieniu ziemi w pobliżu kępy olch.

Gorkow odnalazł polityka, gdy ten pełzał pod ochronę krzaków, niczym okaleczone zwierzę. Miał złamane obydwie nogi i krew płynęła strumieniami z rozcięć na głowie i ramionach, lecz żył - ufność w konstrukcję małego samochodu potwierdziła się. Gorkow trzymał pod płaszczem bezpiecznie zatkniętą pałkę, której miał nadzieję użyć w krótkich igraszkach z Mazurowem.

Zaślepiiony krwią Serow czuł zapach świeżo rozrytej ziemi, miły zapach trawy pod rękami, gdy włókł się w stronę schronienia. Cień, którego nie mógł zobaczyć padł na niego i spowił go smród potu oraz rozkładającej się wódki.

Pałka zakołysała się morderczo w dłoni Gorkowa i głowa Serowa pacnęła o ziemię. Gorkow zgiął się i tłukł, aż jęczenie ustało.

- Sukinsyn - warknął. - Sukinsyn zakochany w Jankesach.

◆ Okinawa, marzec 1945

- *Szido minzoku, Yamato minzoku* - głos Yonai pieścił tłum, który wypełniał arenę. - My jesteśmy rasą Yamato, czołową rasą na świecie.

Jego publiczność - mężczyźni, kobiety i dzieci - słuchała pogrążona w zadumie. Generał był wychudzony, lecz z jego twarzy tryskało życie. Na barkach miał białą *haszimaki*, która częściowo skrywała liczne odznaczenia.

- Historia nasza jaśnieje blaskiem. Chronimy dwa tysiące sześćset lat wielkości, historii mieniącej się chwałą, która miała swój początek, gdy cesarz Jimmu założył nasze państwo. Obecna wojna została nam narzucona. *Teki*, wróg samolubnie pragnął podboju świata i sprawił, że wojna stała się nieunikniona. Nasza sprawa jest natury moralnej, jest poszukiwaniem nowego porządku świata, który umożliwiłby wszystkim narodom zajęcie przynależnego im miejsca w świecie, tak żeby wszystkie ludy żyły w pokoju, w sferze, do której się zaliczają. Kto nadaje się lepiej do ponownego uporządkowania świata, do doprowadzenia do pokojowego końca, niż my, *szido minzoku*, czołowa rasa świata?

Yonai wysunął dłoń do przodu.

- *Sekiszin* - oznajmił. - Mamy czerwone serca.

Mówiąc to nakreślił dwa ideogramy na wewnętrznej stronie podniesionej dłoni i wszyscy wiedzieli, że oznaczają „szczerze serce, wierny umysł”. Łagodny pomruk aprobaty i zgody przebiegł przez tłum. Czerwień i implikacja krwi wywoływały niejasne, miłe i głębokie uczucie czystości i szczerości.

- Tylko my pochodzimy od boga. Jesteśmy zjednoczeni więzami krwi, gdyż w naszych żyłach płynie cesarska krew. Wszyscy jesteśmy krewnymi, którzy pochodzą od wspólnego przodka, Ameratsu, samej Bogini Słońca. Zostawiła swoich następców, by władali tym krajem na zawsze. Miało to miejsce tylko w Japonii i niczego podobnego nie można znaleźć w obcych krajach. Dlatego właśnie nasza ojczyzna nazywa się Boską Krainą.

Tylko Japonia jako jedyna w świecie nigdy nie została podbita. Trwamy, jeden naród i jeden lud, niczym mocna skała w burzliwych wodach historii. Czy nie jest to dowód, że nasz kraj nie istnieje tylko dla siebie, ale dla tych dwóch miliardów ludzi na świecie? Nasza odpowiedzialność jest ciężka, gdyż obowiązek ciąży jak góra. Naszym zadaniem jest stanowić model, wzór, standard dla świata. Naszym przeznaczeniem jest poprowadzić cały świat ścieżką cnoty.

Ludzie milczeli czekając, aż Yonai zacznie mówić dalej. Stał na podium, wysoki i chudy. Z namaszczeniem poprawił *haszimaki* dookoła swoich ramion. Za jego plecami powiewała ogromna szkarłatno-biała flaga - wschodzące słońce.

- W przeszłości błędziliśmy. Ludzie z natury mieli czyste, bezchmurne i skruszone serca, lecz myśli o jednostce i własnym ja, myśli z Zachodu, doprowadziły do korupcji prawdziwego ducha i do zmącenia wiedzy. Myśli o jednostce i własnym ja tworzą serce plugawe i nieczyste.

Ta wojna Wielkiej Wschodniej Azji, którą prowadzimy, jest oczyszczającym egzorcyzmem, obmywającą nas ablucją. Tylko święta wojna, taka jak ta, może zrodzić jasność, która nie ominie żadnego zakamarka. Nasza wojna jest jak moc słońca - oczyszcza nas. Nie jest biała, lecz jasnoczerwona, z odcieniem różu krwi. Jest to barwa samego życia. Właśnie to ciepło i czystość, które są naszym udziałem sprawiły, że kwitnąca wiśnia jest symbolem ducha Yamato.

Yonai ponownie uczynił pauzę. Z wazy przed sobą wyjął małą, ładną gałązkę, obsypaną świeżym purpurowym listowiem i zwartymi białymi kwiatami.

- Jesteśmy rosnącymi obok siebie kwiatami wiśni. Kwitniemy w ogrodzie naszego kraju. Podobnie jak te kwiatki cicho się rozsypią, tak i my jesteśmy gotowi paść za naszą ojczyznę. *Gyokusai*. Zmiażdżony klejnot. Umierając oczyścimy się jeszcze bardziej. Krew umierających będzie naszą wodą *misogi*, naszym obrzędem oczyszczenia *Szinto*.

Yonai uniósł rękę wskazując na błyszczącą biało-szkarłatną flagę za plecami.

- Stamtąd nadchodzą rzeczy złe: potwory i demony, które w ślad za sobą wloką ciemność i pragną zgasić blask naszego słońca. Pragną skaląć czyste, rozchmurzone serce rasy Yamato.

Jeszcze raz uniósł dłoń i nakreślił ideogramy.

- Ameryka - rzekł i jego palec nakreślił ideogram tak czytelnie, by wszyscy mogli widzieć, że znaczy on „bestialstwo”.

- *Kedamono, yaju*. Bydlaki i dzikie zwierzęta przyodziane w ludzkie maski. Nieczyści, opętani myślami o seksie, wygodach i podboju. Ujeżdżają czarnych, czerwonych i brązowych ludzi. Wierzą, że siła rozstrzyga o wszystkim i pragną zniszczyć nasze boskie państwo, Japonię, tylko dlatego, by zaspokoić swoje dojmujące zmysłowe pragnienia. Kiedy biorą do niewoli kogoś z naszych odważnych żołnierzy zranionych w boju, zabijają go przejeżdżając po nim czołgami. Zawijają go w drut kolczasty i wrzucają do rzeki. Bawią się świętymi kośćmi naszych poległych na wojnie. Wszyscy widzieliście zdjęcie amerykańskiej kobiety z czaszką odważnego żołnierza na stole, którą przysłał jej syn. Wiecie, że prezydent Ameryki dostał nożyk do otwierania listów wykonany z kości ramienia japońskiego bohatera. Ich Piechota Morska nosi naszyjniki z zębów naszych żołnierzy, marnując ich uszy w słoikach. Bezczeszczenie naszych świętych umarłych jest gorsze od kanibalizmu.

Na wieść o tak przerażających rzeczach niektórzy wśród publiczności zaczęli płakać, w ciszy ocierając łzy, które ześlizgiwały im się po policzkach.

- Mężczyźni i kobiety na Saipanie wiedzieli, że kontakt z *kichuku* i *kaibatsu*, z diabłami i potworami, zanieczyści ich nieskalane serca. Kiedy nadszedł czas, zamiast wpaść w ręce demonów, odebrali życie sobie i swoim dzieciom. Na wysokich skałach wykonali *misogi* i skoczyli w objęcia śmierci.

Gyokusai. Zmiażdżony klejnot.

Coraz więcej ludzi szlochało i potrzasało głowami na znak zgody. Wiedzieli o tym, że pięćdziesiąt tysięcy wojskowych i cywilów zginęło co do jednego.

- Zbliży się rozstrzygająca bitwa. Nasze ostateczne zwycięstwo jest pewne, jeśli *ichioku*, sto milionów zapłonie duchem Yamato. *Yamato damaszi!*

- *Yamato damaszi!* - tłum podchwycił okrzyk.

- Bohaterowie z Saipanu ukazali nam drogę. „Ludzkie pociski” niszczyły demony i uzyskiwały oczyszczenie. Nasi bohaterscy żołnierze

przyczepiali ładunki wybuchowe do swoich ciał i biegli na wroga. Teraz posiadamy Siły Specjalnego Ataku, *Tokkotai*. W powietrzu nasi młodzi mężczyźni są niczym ogniostrzałe bóstwa, gdy zatapiają okręty wojenne diabłów. Przepelnia ich duch boskiego wiatru *kamikaze*.

Ale nie musimy latać samolotami, by mieć ducha *kamikaze*. Żołnierze z torbami z ładunkiem rzucają się pod czołgi. Żołnierze w małych łodziach żeglują do wrogich okrętów w nocy, wspinają się na pokład i uzyskują oczyszczenie za pomocą miecza. Jednoosobowe łodzie podwodne zatapiają całe okręty.

Yonai zdjął z ramion *haszimaki* i powoli owinął ją wokół głowy.

- Wszyscy możemy zostać owiani duchem boskiego wiatru. Ostateczne zwycięstwo będzie należało do nas. Zastanówcie się nad alternatywą. W zeszłym tygodniu amerykańskie diabły wysłały *B-sany* nad Tokio. Miasto wciąż się pali. Podłożyli ogień pod nasz kraj. Dwieście tysięcy umiera w ruinach. *B-sany* będą jeszcze wracać. Amerykanie są potworami. Lepiej umrzeć, niż wpaść w ręce demonów i diabłów.

Yonai uniósł rękę, by uspokoić na chwilę ludzi.

- *Ichioku Tokko*. Sto milionów jako Siły Specjalnego Ataku.

- *Ichioku Tokko*.

- *Ichioku gyokusai*. Zmiażdżenie stu milionów, niczym pięknego klejnotu.

- *Ichioku gyokusai*.

- Każdy mężczyzna, kobieta i dziecko z rasy Yamato. *Ichioku gyokusai*. Złożymy ostateczną ofiarę i osiągniemy ostateczne oczyszczenie.

- *Ichioku gyokusai*. *Ichioku gyokusai*.

Szlochając z radości, ze swoją biało-szkarłatną *haszimaki* zawiązaną dookoła głowy, Komura recytował swoje przyrzeczenie na tyłach areny.

- *Gyokusai* - wył. - *Gyokusai*.

◆ Żukowka-2, Moskwa

Gdy Janow przyjechał, Mazurow siedział w bibliotece. Prezydent przybył kawalkadą pięciu samochodów, w porze którą uznał za stosowną, późnym popołudniem. Była to godzina, o której zwykle wracał z Kremla do domu, do swojej wspaniałej dachy, która stała nieopodal na ogrodzonym murem terenie. Wybór czasu przydał wizycie przekonujących pozorów

normalności. Najzwyczajniej w świecie sekretarz generalny wpadł, by zobaczyć się ze swoim starym towarzyszem i wymienić poglądy. Lecz z Janowem nie przybyli żadni doradcy, jedynie agenci ochrony. Chłodny w obejściu kapitan KGB z Pionu VIII wszedł po schodach i Raja wpuściła go środka. W milczeniu przyjrzał się bibliotece i znów wyszedł na dwór. Potem Janow opuścił Iśniącego Ziła i osobiście wkroczył do domu.

Mazurow siedział na miejscu, na którym zwykł jadać, u szczytu długiego stołu, który biegł wzdłuż pokoju. Na obrusie leżała gazeta, którą przyniósł Gorkow i cienka teczka w niebieskiej oprawie.

Janow wszedł i siadł naprzeciwko Mazurowa.

- Jesteś człowiekiem kulturalnym - zagadnął wskazując na półki opasujące ściany, pełne książek w różnych językach. - A jednak popełniłeś niestychanie niekulturalne czyny. Wiedziałem, że będziesz znał brytyjskich kompozytorów Gilberta i Sullivana, i ich Mikado, który wierzył, że kara powinna odpowiadać zbrodni. Wydawało mi się, że będzie rzeczą odpowiednią wysłać byłego zbira KGB, by w starym stylu zaaresztował byłego szefa KGB. Jednak zbir powrócił pokonany słowami. Przybyłem zatem osobiście.

Janow wskazał gładką, wypielęgowaną dłońią na samochody za oknem.

- Przed domem czeka na ciebie samochód. Zabierze cię do celi na placu Dzierżyńskiego.

- Zatem jedźmy razem, gdyż jeśli ja stanę przed sądem, ty staniesz ze mną.

Janow uniósł szyderczo brwi.

- Ja? Ja nie popełniałem masowych mordów.

Sięgnął i odwróciwszy gazetę rozpostarł ją na stole: młody Mazurow stał na końcu długiego rowu w miejscu, w którym zatrzymał się buldożer. Rów zapełniano trupami.

- Karelia. Rok 1945. Sześć tysięcy zamordowanych... przez ciebie.

- To prawda - zgodził się Mazurow. - Nie zaprzeczam. Gdybym odmówił wykonania rozkazu człowieka, który mnie tam wysłał, moje ciało wrzucono by jako pierwsze do tego rowu. Józef Dżugaszwili, który nazywał siebie Józefem Stalinem, Człowiekiem ze Stali, zmuszał tych, którzy

mu bezpośrednio podlegali, by uczestniczyli w jego zbrodniach. Gdzie mogłem, szczeniłem. Pozwalałem ludziom odchodzić, jeśli było to możliwe. Kiedy się dało, pozwalałem, aby ostrzegano tych, co mogli uciec. Jak widać, nie było to zawsze możliwe. Lecz rozumowałem, być może błędnie, że lepiej, abym takie rzeczy robił ja - ktoś, kto może złagodzić je litością - niż ktoś o wyższym stopniu brutalności, jakaś bestia pokroju Gorkowa, którego przysłałeś tutaj, by mnie aresztował. Ale nie zawsze było to możliwe. Kiedy padł na ciebie wzrok człowieka o szerokich plecach, musiałeś podnieść rzeźniczy topór i ukazać się unurzany w posoce, jeśli takie było życzenie. - Mazurow wskazał na „Washington Post”. - W Karelii, pod koniec najkrwawszej wojny w historii, chciał właśnie tego.

- Dlatego właśnie teraz czeka na ciebie cela, proces i pluton egzekucyjny - odrzekł Janow zimno.

- Nie sądzę - odparł Mazurow. - Jesteśmy dziećmi naszych czasów, nieprawdaż? Ja, istota z ciemnych dni horroru, człowiek w skorupie krwi ludzi poległych z jego ręki. Ale ty? Ty musisz być taki, jakim postrzega cię zachodnia opinia publiczna, prawda? Dziecko XX Zjazdu Partii. Uosabiasz *głasność* i *pieriestrojkę*, czyż nie mam racji? Czy nie uzgadniałeś Traktatu Pokojowego ze zmarłym prezydentem Hawkinsem? W oczach zachodniej opinii publicznej, która, jak obaj dobrze wiemy, jest łatwowierna, ufna i naiwna w tych sprawach, zdajesz się być jakąś kombinacją dziecka-kwiatu i rycerza w lśniącej zbroi. Przesiąknięty transcendentnymi wierzeniami pragniesz stworzyć światowy pokój i demokrację dla ludów ZSRR. Ci prawicowcy, którzy cytują twoje prywatne przemówienia wskazując na zawartą w nich nieustającą i mocną wiarę w prymat myśli leninowskiej i partii komunistycznej nad tymi ludami są zupełnie ignorowani.

Mazurow urwał i upił łyk zimnej herbaty ze szklanki. Walka o życie sprawiała, że zasychało mu w ustach.

- Jeśli istnieją już pewne różnice między sposobem, w jaki postrzega cię opinia publiczna Zachodu, a rzeczywistością, to może jest ich więcej? Z pewnością jesteś na tyle dzieckiem swoich czasów, na ile ja byłem swoich. Jakie jest twoje pokolenie przywódców? Twoja droga do władzy rozpoczęła się, gdy zostałeś szefem partii na Ukrainie. Utrzymałaś się na tym

stanowisku przez dziewięć lat, zanim nie przyjechałeś do Moskwy i wkręciłeś się do polityki krajowej. Jakim byłeś człowiekiem? Co skrywa ta lśniąca zbroja, w która zakuł cię Zachód?

Nic przyjemnego. Twoja polityka była polityką Hueya Longa. Wymuszałeś pieniądze i przysługi od tych wszystkich, których sytuacja uzależniona była od twojej dobrej woli. Żyłeś w książęcym stylu i nadal żyjesz oczywiście. Byłeś sprzedajny i skorumpowany w stopniu, którego zachodnia opinia publiczna nie potrafi zrozumieć, ponieważ nie przywykła do wyzyskiwania ludzi przez ich władców w niedemokratycznym państwie. Ale to nie wszystko. Korzystałeś ze swojej potęgi, by zerować na słabych. Zapewniłeś sobie, że przez twoje biuro płynął nieprzerwany strumień ładnych, młodych sekretarek, których jedynym zadaniem było zaspokajanie twoich zachcianek seksualnych. A tych było wiele, prawda? Cierpisz na satyriasis, chorobę, która nęka wielu z tych, którzy gnają po czymś, co Amerykanie nazywają „szybkim torem polityki”. Muszę się przyznać, że dla mnie nigdy nie stanowiło to problemu, choć moje ręce unurzane są we krwi. W czasie nadużywania tych młodych dziewcząt, gdy wpychałeś się w ich ciała, wiele zaszło w ciążę. Jakimiś sposobami, gdzieś poza orbitą twojego życia, upewniałeś się, że składały one wizytę u ginekologa, by uwolnić się od tego, co wzrastało w ich ciałach. - Mazurow urwał ponownie i upił herbaty. - Wszystkie te dziewczęta były młode, prawda? Czy nie jest to jeszcze jeden symptom twojej choroby, że ci, których ograbiasz, muszą być młodzi? Niemal dzieci. Olga Chudenko była dzieckiem.

Po przeciwległej stronie stołu oczy Janowa zwężyły się, ale nic nie powiedział.

- Olga Chudenko miała czternaście lat i była córką małżeństwa, które potajemnie i nabożnie praktykowało wiarę chrześcijańską. Sądząc z opisów - naprawdę piękne dziecko. Groziłeś, że zrujnujesz jej rodzinę, by zyskać dostęp do jej świeżo uformowanego ciała. Podobnie jak i niektóre z innych nieszczęśnic, zaszła w ciążę. Podobnie jak one, została zabrana do ginekologa na twój rozkaz. Lecz, w przeciwieństwie do reszty, zmarła. Kiedy się o tym dowiedziałeś, kazałeś zaarrestować rodziców, oskarżyć, skazać i wysłać do obozów. Tak po prostu. Obydwoj wiemy, jak łatwo można to

zrobić, jeśli dzierży się władzę. Co więcej, obydwójce tam zmarli. Obydwójce. Osobno.

Mazurow odchylił się w fotelu i uśmiechnął się jak rekin rozwierający szczęki.

- Tak więc widzisz, że przepaść między pokoleniami nie jest wcale taka wielka. Jesteś mordercą tak jak ja. Krwi nie da się zmyć z twoich rąk, tak samo jak z moich.

Okrągła twarz Janowa pokryła się cienką, śliską warstwą potu.

- To wszystko jest w tamtej teczce na stole. Możesz ją wziąć, jeśli chcesz. Mam inne kopie. Kilka trzymam tutaj, inne wysłałem z kraju. Są na Zachodzie. Jeśli coś zdarzy się mi lub moim ludziom, zostaną opublikowane w zachodnich gazetach, nadane w telewizji. Twój upadek z piedestału będzie spektakularny. Takie rewelacje o prawdziwym obliczu naszego społeczeństwa mogą z powodzeniem spowodować na Zachodzie zubożenie, które z kolei doprowadziłoby do odcięcia niezwykle cennej i przyjemnej pomocy, która obecnie podpira naszą kulejącą gospodarkę. A w takim przypadku mógłbyś dołączyć do mnie przed plutonem egzekucyjnym, ponieważ wszyscy będą chcieli, by winny za to zapłacił.

Janow podniósł się na nogi niczym chory człowiek.

- Bardzo dobrze - rzucił - Będzie tak, jak każesz.

Mazurow machnął ręką na „Washington Post”.

- Opublikuj zwykłe zaprzeczenie. Zarzuć im fabrykowanie i próbę podważenia kiełkującej przyjaźni między Ameryką i narodem radzieckim, którą podjęli zimnowojenni bojownicy. Wiesz, o co chodzi.

Janow podeszedł sztywno do drzwi. Nie przywykł, by mu to robiono, pomyślał Mazurow. Ale szybko przyjdzie do siebie. Ten rodzaj ludzi to potrafi. Lecz nie zapomni. Zatem jesteście bezpieczni.

- Uderzenie godne podziwu - rzekł Mazurow podnosząc gazetę.

- Co?

- Użycie zachodnich mediów, by przypuścić na mnie atak.

- Ja? Ja tego nie zrobiłem. Planowałem oskarżyć cię na Zjeździe Partii.

Twierz Mazurowa stężała.

- Nie ty?...A więc kto? I dlaczego?

◆ Tokio, luty 1946

Leżąc w szpitalnym łóżku w obozie z innymi wojskowymi, Komura słyszał, jak dwóch poborowych porównywało swoje wrażenia ze stolicy po tym, jak nawiedziło ją 4870 amerykańskich bombowców.

- Piekło - stwierdził jeden. - Stań na skrzynce, a zobaczysz całe miasto.

Stąpając ciężko przez błotnisty popiół w mundurze Cesarskiej Armii, jedynym ubraniu, jakie posiadał, pomyślał, że przynajmniej to nie było już prawdą. Jak wzrokiem sięgnąć, ze zwęglonych pól wyrastały budy sklecone z czegokolwiek, co chroniło od deszczu. Zardzewiałe strzepy metalu, kawałek drewna, sznurek. Stolica Japonii była gigantycznym slumsem.

Przystanął w gęstniejącym mroku ze szmacianym zawiniątkiem przezuconym przez ramiona. Był blisko, lecz brak oznaczeń ulicznych utrudniał orientację. Obserwowała go grupa brudnych, wygłodniałych dzieci.

- Nie wiecie, gdzie jest Kodama-san? - zawołał.

- *Gunso* - drwiły. - Wojskowy. *Gunso*.

Obrzuciły go błotem.

Zazgrzytał kawałek blachy falistej przybitej do jakiegoś drewna, który ktoś pchnął i otworzył.

- Komura Tadaji - zawołał głos, a on wszedł z wdzięcznością do środka jednopokojowej chaty. Przy ścianie z blachy urządzono coś na kształt łóżka. Poza tym w środku znajdował się stół, jakieś maty na klepisku, kilka naczyń obok małego piecyka i parę puszek z wodą.

Jak na ówczesny standard była to naprawdę porządna rezydencja.

- *Banto* - zawołał Komura i uklonił się. Stary uczynił to samo. Komura strzepnął z munduru trochę błota.

- Będę musiał poszukać sobie jakieś nowe ubranie - wyjaśnił. - Wojsko nie cieszy się teraz sympatią.

W ciszy żona *banto* podeszła do kąta chaty. Wisiał tam na gwoździu przedwojenny garnitur handlowy chroniony przed wilgocią kawałkiem cennego plastiku.

- Jest tutaj - powiedziała. - Należał do twojego ojca.

Komura skłonił się z wdzięcznością. Z kolei rozpakował swoje zawiniątko i wyjął papierowy woreczek ryżu i garść warzyw.

- Miałeś szczęście, że dotarłeś tutaj cało - zauważył *banto*. - Ulice są niebezpieczne. Dumni głodują, a mniej dumni są uzbrojeni i kradną.

Podczas gdy jego żona gotowała wodę, dziedzic domu Komury i jego zarządca gawędzili.

- Nie marnowałem czasu - pochwalił się Komura. - Ponieważ podczas wojny w Azji służyłem w wywiadzie, byłem cenny dla Amerykanów, a oni dla mnie. Ale najpierw opowiedz, co się stało z naszym domem.

- Cały kapitał zamrożono. Nikomu nie wolno podjąć z banku więcej, niż pięćset jenów. SCAP wierzy, że *zaibatsu* bezpośrednio finansowały machinę wojenną i teraz podejmuje kroki, by rozbić nas na części. Mimo że na pewno trudno im będzie poruszać się w naszym świecie handlowym, przy odpowiedniej ilości czasu bez wątpienia się im to uda.

- Może tak - odparł Komura. - A może nie. Jak powiedziałem, nie marnowałem czasu. SCAP nie jest monolitem. Ma dwie twarze. Jedna jest „liberalna” i naciska na demokratyczne „reformy”. Wewnątrz SCAP-u jest to sekcja rządowa, GS, na czele której stoi generał Whitney. Ale istnieje i druga twarz. W Ameryce dla wielu przestaliśmy już być łotrykami, którymi byliśmy jeszcze do niedawna. Musicie zrozumieć, że Amerykanie nie mają poczucia historii. Zapomnieli. Teraz mają nowego wroga: „światowy komunizm”. Obawiają się ZSRR i Mao Dzedonga w Chinach. By stawić czoła nowemu nieprzyjacielowi, potrzebują sprzymierzeńców. Generał Willoughby jest szefem wywiadu wojskowego MacArthura. Stoi na czele G-2, Korpusu Kontrwywiadu. Czy wiesz, jak go nazywa naczelny dowódca SCAP-u? „Mój ukochany faszysta”. To nie przejęzyczenie. Ten człowiek jest od dawna wielbicielem Mussoliniego. Twierdzi, że kiedy przejdzie na emeryturę, pojedzie pracować dla generała Franco. Generał Willoughby nas lubi. Nie rozumie, że tutaj intelektualiści używają w rozmowach marksistowskiej terminologii. Nie rozumie, że związki zawodowe muszą w najlepszym razie zapewniać, że są socjalistyczne, by brano je poważnie. Dla niego socjalizm jest tylko stacją na prostej linii do pełnokrwistego komunizmu. Rekrutuje

agentów ze starej prawicy. Przeciwstawia się liberałom, prowadzi infiltrację partii Socjalistycznej i Demokratycznej. Gdybyśmy tylko zdołali przetrzymać, moglibyśmy się przebić. Ćwiczymy *enryo*. Ale najpierw będziemy potrzebowali pieniędzy.

Komura sięgnął do zawiniątka, w którym leżało kilka płaskich, okrągłych puszek.

- Co to?

- Filmy. „Przeminęło z wiatrem”.

- Filmy? - powtórzył Kodama z powątpiewaniem.

- Znam jednego młodego *yakuza* w Kioto, młodego gangstera, który pragnie wzbogacić się. Ma tam dla mnie hurtownię. Zamierzam zamienić ją na kino.

- W swoim czasie walcowaliśmy stal, budowaliśmy statki i samoloty, przedliśmy wełnę, zarządzaliśmy kopalniami, zbieraliśmy plon z plantacji, posiadaliśmy lasy i łowiska, wydawaliśmy gazety i prowadziliśmy celulozownie, produkowaliśmy barwniki, ładunki wybuchowe i pociski, ale nigdy dom Komurów nie posiadał kina - obwieścił Kodama grobowym głosem. - Gratulacje.

- *Sen ri no miczi mo ho ippo yori hajimeru*. Podróż na tysiąc mil zaczyna się od pierwszego kroku.

Wnętrze budy zaczynało wypełniać się zapachem gotowanego jedzenia. Był to zapach życia, zapach nadziei.

- Dom Komurów będzie posiadał wszystko to, co w dniach swojej świetności. A nawet jeszcze więcej - obiecał Komura. - Ale zaczynamy krok po kroku. Najpierw kino. Aby zarobić pieniądze. Aby kupić władzę. Aby odzyskać naszą własność.

◆ Komura Research, Yokohama

Kantaro Itagaki urodził się jako Kitsuju Hattori. W 1945 roku ukończył szkolenie wojskowe i dostał przydział do Armii Japońskiej w Mandżurii. Dotarł do swojej jednostki, która stacjonowała na wschód od gór Wielki Chingan, w samą porę, żeby napotkać nadciągającą z przeciwnej strony radziecką 6. Gwardyjską Armię Pancerną. Ponieważ japoński wywiad wojskowy uważał za rzecz niemożliwą, by wojska pancerne przekroczyły

rozciągającą się na zachodzie pustynię, a co dopiero same góry, jednostka Itagaki była słaba i niezdolna do stawienia oporu stalowemu piorunowi, który w nią uderzył. Cofając się w nieładzie natknęli się kilka dni później na generała Kazarcewa, który szedł z przeciwnego kierunku na czele uzbrojonego w tysiąc dziewięćdziesiąt dwa karabiny maszynowe i sto dziewięćdziesiąt osiem czołgów korpusu w sile czternastu tysięcy żołnierzy. Ta garstka, która przeżyła, postąpiła według bardzo niejapońskiego zwyczaju i złożyła broń. Itagaki, wcześniej Hattori, zaliczał się do tych niewielu. Zwycięzcy ogołocili go ze wszystkiego, co posiadał, wyrwali złote zęby kombinerkami, które mieli w skrzynce narzędziowej czołgu T-38 i przekazali go dalej, gdzie zwykłą koleją rzeczy traktowano go tym gorzej, im bardziej oddalał się od pierwszej linii frontu. Skończył w obozie na Syberii, gdzie na nowo poukładano mu myśli.

Zajęli się nim ludzie niesłychanie biegli i doświadczeni w swoim rzemiośle, którzy w Itagaki i jego rodakach znaleźli szczególnie plastyczny materiał. W rodzinnym kraju *Tokko*, Policja Myśli, równie doświadczona i umiętna, jak jej radziecki odpowiednik, odnosiła niemal stuprocentowe sukcesy w pracy z tymi lewicowcami, którzy mieli pecha wpaść im w ręce. Po kilku miesiącach bolesnego prania mózgu wychodzili oni w świat bardziej cesarscy niż sam Cesarz i zabierali się do tropienia swoich byłych partyjnych towarzyszy.

Itagaki i jego przyjaciele stali się natomiast bardziej komunistyczni niż Lenin i Trocki. Gdy zwolennicy Nowego Ładu zaczęli promować w powojennej Japonii liberalne wartości, radzieccy oprawcy wstawili im na powrót złote zęby i wysłali do domu, by tam „brali udział” w kształtowaniu nowego, wspaniałego świata. Świetnie wyszkoleni, umotywowani ideologicznie okazali się wspaniałymi bojownikami. Po tym, jak w Korei wybuchła wojna, Amerykanie zdecydowali, że mają powyżej dziurek w nosie postępowych myśli w Japonii, więc wszystkich ich zgarnęli i wykształcili rękami Policji Myśli, która objęła swoją dawną posadę pod zmienioną nazwą.

Tymczasem Itagaki - urodzony jako Hattori - siedział nadal w ZSRR. Rosjanie, którzy nigdy nie zabierają się do niczego bez posiłków w odwodzie, umożliwili mu w 1952 roku przeniknięcie pod nowym nazwiskiem do Japonii, gdzie dołączył do Komura Research, świeżo wówczas upieczonej

firmy komputerowej. Żywili nadzieję, że działając jako zakamuflowany agent w środku firmy będzie dostarczał im dane technologiczne.

Ich kalkulacje wzięły w łeb. Itagaki piął się po szczeblach drabiny jak Pan Bóg przykazał i gdy w Komurá Research rozwijano komputer piątej generacji „Koralowa Włócznia”, był tak dalece odsunięty i niezorientowany w sferze teoretycznej, że nie rozpoznałby tej maszyny, nawet gdyby mu ją podsunęto pod nos. Mógł jednak dostarczyć swoim mocodawcom kody i programy, które zawiadywały przyziemną sferą zarządzania Komura Research, rzeczami tak nieszkodliwymi jak sterowane przez centralny komputer zasilanie elektryczne wielkiego kompleksu oraz również skomputeryzowany system dostaw.

Gdy budynek opustoszał i ucichł, Jurij Serow przedostał się do centralnego komputera. Zasiadł w pokoju Konoe Masaaki i zaczął pracować przy pulpicie. Za pomocą dostarczonych mu kodów, przeprogramował sterowanie zasilaniem elektrycznym. Kiedy ogromna biała furgonetka marki Nissan stanęła przed bramą zewnętrzną, strażnik uzyskał z centralnego komputera potwierdzenie, że jest oczekiwana. Przepuścił ją do środka.

Ludźmi, którzy wyskoczyli z furgonetki dowodził Otari Jecow. Była to grupa bojowa Specnazu, która przybyła do Japonii ze Sztokholmu, Oslo i Kopenhagi w przeciągu kilku ostatnich dni przebrana za skandynawskich turystów. Wkroczywszy do środka budynku zaczęli się żwawo krzątać. Jurij Serow zneutralizował wewnętrzny system bezpieczeństwa, tak że bez przeszkód wjechali samojezdnym podnośnikiem widłowym do przestronnego pomieszczenia, w którym znajdował się komputer.

Nie wyglądał szczególnie imponująco, był jednak dość elegancko skonstruowany. Centralny procesor komputera pobłyskiwał czerwono-czarnym poblaskiem szesnastu pionowych kolumn ustawionych w 310-stopniowy łuk. Zajmował półtora metra kwadratowego mocno wypolerowanej, wyłożonej kafelkami podłogi i miał sto pięć centymetrów wysokości. Jurij wyłączył go i odłączył od źródła zasilania oraz spuścił ciecz chłodzącą. Żołnierze ostrożnie podprowadzili podnośnik na miejsce i unieśli komputer w górę. „Koralowa Włócznia” ważył nieco mniej niż tonę. Pojechali z powrotem

do furgonetki i nawrócili. Pod kierunkiem Jurija zajęli się podnoszeniem i wywożeniem akcesoriów tej bajecznej maszyny. Procesor pierwszoplanowy i pięć drugoplanowych, konsolę obsługi konserwacyjnej, podsystemy dysku magnetycznego, napędy dysków podłączone w układzie łańcuchowym do jednego sterownika, sterownik taśmy i podsystemy taśmy magnetycznej, interfejsy zewnętrzne, łączy światłowodowe i zewnętrzny kanał szybkiego przesyłania HSX. Zabrali macierze dyskowe i liczne terminale robocze oraz procesory neuronowe wraz z kompilatorami i bibliotekami. Gdy skończyli, furgonetka była wypełniona po brzegi. Przejeżdżając przez bramy samochód wisiał na zawieszaniu pięć centymetrów niżej.

O drugiej w nocy na sześciopasmowej autostradzie nadal roilo się od pojazdów, z tą tylko różnicą, że odwrotnie niż w dzień ruch uliczny jakoś pełzał do przodu. Jechali na zachód wzdłuż rozciągającej się po lewej stronie rozległej, zanieczyszczonej zatoki. Wokół nich światła ogromnego megalopolis rozpraszały się w smogu i barwiły go na szkaradny brąz.

Otari rozglądał się dookoła, podczas gdy furgonetka posuwała się ostrożnie do przodu.

- Tak musi wyglądać piekło - mruknął.

◆ Iro-Zaki

Powszechnie uważa się, że Japończycy są jednolicie sumiennym narodem, całkowicie oddanym etyce pracy. Jednak Shimada Osani i Fumio Nikawa z policji drogowej w Iro-Zaki poddalioby to w wątpliwość. Nie chodziło o to, że praca na nocne zmiany nie dawała im zadowolenia, ale zwyczajnie o to, że ruch na małej, nabrzeżnej drodze, która biegła dookoła półwyspu, był nikły w ciągu dnia, a w nocy praktycznie zamierał. Zatem gdy dochodziła trzecia nad ranem, policjanci parkowali radiowóz marki Honda wśród drzew, skąd mogli trzymać oko na drogę, i na zmianę zażywali drzemki.

Kiedy duży, biały Nissan przetoczył się wolno obok, za kierownicą czuwał posterunkowy Osani. Wzrok przywykł mu całkowicie do ciemności, więc to, co ujrział wprawilo go w zdziwienie.

- *Gaijin* - mruknął. Szturchnął posterunkowego Nikawę, który obudził się w popłochu, i wskazał na znikające światła. - *Gaijin*. Obcokrajowcy.

Pospiesznie zapuścił silnik i zapalając reflektory wjechał na drogę. Z zaskoczeniem stwierdził, że furgonetka przyspieszyła i skręciła w boczną dróżkę, o której wiedział, że biegnie nad samo morze, włączył syrenę, gorąco modląc się, by intruzi zatrzymali się i dali się przebadać. Gdy z łoskotem pędzili w dół zacisznej, obsadzonej drzewami alejki, jedna połowa tylnych drzwi furgonetki uchyliła się i jakaś dłoń upuściła kiść czarnych orzechów.

Gdy samochód policyjny najechał na nie, kierownica eksplodowała w rękach Osaniego. Okręcili się beztładnie dookoła i skracając radiowóz z obydwu końców wyrznęli w pnie drzew.

Posterunkowy Osani zostawił Nikawę, który szamotał się ze swoim pasem bezpieczeństwa wewnątrz ciemnego wraku i zsiniały z wściekłości puścił się biegiem za furgonetką.

Dopał skraju wody w sam czas, by dojrzeć nie furgonetkę, lecz olbrzymi poduszkiwiec, który skrywał się w ciemnościach nocy. Trzy ogromne turbowentylatory owiały go piaskiem i pyłem wodnym, gdy poduszkiwiec przyspieszył do stu kilometrów na godzinę ponad wzburzoną oceanem. Obserwował go z bardzo bliska i kiedy zawieziono go do bazy wojskowej Shizuoka, potrafił zidentyfikować go jako poduszkiwiec desantowy klasy *Pomornik* Radzieckiej Marynarki Wojennej, o wadze 350 ton i długości 57 metrów. Jednak do tego czasu poduszkiwiec dotarł już wraz z ładunkiem do ZSRR.

◆ **Adamstown, Maryland**

Thrale zatrzymał dużą część sprzętu, który służył mu niegdyś w zawodowych poczynaniach, ponieważ uważał - zresztą wcale nie tak nierozsądnie - że człowiek nigdy nie wie, kiedy coś się może przydać. Czekając, aż Cy Rogers dojedzie do pracy, wyjął z szafki roboczy kombinezon firmy telekomunikacyjnej AT&T oraz skrzynkę narzędziową elektryka, którą otworzył na stole warsztatowym. Nucąc pod nosem pogmerał palcami w szufladce, natrafiając na tak niewinne rzeczy jak pudełko kostek cukru,

kilka długopisów, wyłącznik do światła, trójkąt, ręczny kalkulator i najzwyczajniejszą wtyczkę do prądu.

Dokonawszy wyboru przełożył do torby trójkąt, wtyczkę i kotłowskiy przełącznik. Do narzędzi dorzucił parę rękawiczek chirurgicznych i krem do golenia w sprayu. Z innej szarki wydobyl niebiesko-białe kartonowe pudełko. Przeszedłszy do garażu załadował wszystko do bagażnika samochodu, wpiers torby i kombinezon, a potem kartonowe pudełko. Miał na sobie elegancki garnitur w niebieskie prążki, białą koszulę i krawat w paski, oraz czarne, wypucowane buty. Poprzedniego wieczoru potrzywał włosy w ciemnej płukance i teraz wyglądał - podobnie jak każdy prezydent USA - dziesięć lat młodziej, niż liczył sobie w rzeczywistości.

Zapisał silnik Cadillaca i zanim włączył bieg odczekał, jak to miał w zwyczaju, aż silnik rozgrzeje się pracując na wolnych obrotach. Mieszkał na osiedlu nad Tuscoara Creek, które wybudowano kilka lat wcześniej, by przyciągnąć wciąż rosnącą liczbę dobrze zarabiających pracowników, którzy dojeżdżali do stolicy lub do jednej z wielu podporządkowanych rządowi organizacji w obrębie lub poza centrum Waszyngtonu.

Wyjechał na biegnącą ponad pofalowanymi polami drogę do Mountville i skierował się w stronę Adamstown. Przystanąwszy przed starą linią kolejową B&O dostrzegł najstarszego mieszkańca miasta, Walkera Smitha, który nadjeżdżał z przeciwnej strony swoją półciężarówką Dodge rocznik 1955. Pomachał ręką, a stary odpowiedział mu uśmiechem. Przejeżdżając przez starą część miasta w kierunku drogi do Adamstown, minął jedyne go dealera samochodowego w mieście, Charliego Wyatta, który prowadził Carrol Autos, handlując wyłącznie amerykańskimi samochodami kombi, półciężarówkami i sportowymi autami. Przez ułamek sekundy Thrall myślał, że zdarzyła się tam jakaś duża katastrofa samochodowa. Całe miejsce oblegali podnieceni ludzie, a w samym środku tłumu tkwił Charlie Wyatt, szczęśliwy i bogaty, podrygując niczym konik polny z rękami pełnymi tytułów własności i banknotów. Przedarcie się przez rzeszę patriotycznych obywateli zabrało Thrall'owi kilka chwil. Kiedy ucichło wycie silników V-8 i gdy wyjeżdżał z miasta mijając szkołę podstawową Carrol Manor, podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer.

- Departament Stanu.
- Poproszę wewnętrzny 211.

- Rogers, słucham.
- Cześć Cy, mówi K.K. Thrale, specjalny asystent Liefa Kuusinena. Lief prosił, żebym do ciebie zadzwonił.
- Cześć K.K. W czym mogę ci pomóc?
- Zacznę od tego, że Lief kazał ci powiedzieć, że ta rozmowa nie miała miejsca.
- Rozumiem - odparł Rogers ostrożnie.
- Prosił, żebym się spytał, czy nie poświęciłbyś mi trochę czasu?
- Jasne, dlaczego nie. Chwileczkę, niech sprawdzę. Dzisiaj kończę wcześniej i wydłużam sobie weekend. Jadę do Baltimore do rodziców żony. Co powiesz na następny tydzień. Powiedzmy wtorek o jedenastej?
- Świetnie.
- Może powiesz mi mniej więcej, o czym będziemy rozmawiać, żebym mógł zebrać stosowne materiały?
- Owszem. Sprawa dotyczy jednego z twoich radzieckich odpowiedników, Aleksandra Borodina.
- Aaa... Borodin. O niego chodzi.
- Jest dobry, nie?
- Najlepszy - oświadczył wprost Rogers. - W taki razie do zobaczenia we wtorek.
- Do zobaczenia - pożegnał się Thrale i odłożył słuchawkę. Na skrzyżowaniu skręcił w lewo na drogę nr 85 i skierował się w kierunku Urbany oraz prowadzącej do Waszyngtonu drogi nr 80.

Transmisję telefoniczną z samochodu Thrale'a przechwyciła mała, szara antena mikrofalowa, która znajdowała się na polu kilka kilometrów dalej, na terenie wzmacniacza mikrofalowego. Należała do American Telephone & Telegraph i stanowiła część szerokopasmowej sieci telekomunikacji elektronicznej za pośrednictwem której, gdy dodało się do niej krajowe i międzynarodowe satelity należące do Western Union, RCA, COMSAT, a także AT&T, obsługiwano praktycznie wszystkie rodzaje łączności na daleką odległość, od rozmów telefonicznych i teleksów, po złożone przesyłanie danych komputerowych i poczty elektronicznej.

Komunikacja dźwiękowa przez telefon była przez chwilę przetwarzana

na sygnały cyfrowe, które umożliwiły zwiększenie efektywności zawiadujących całym systemem komputerów. Jednocześnie ułatwiało to odpowiednie zaprogramowanie komputera na podsłuchiwanie prywatnych rozmów. Nie przypadkiem Agencja Bezpieczeństwa Narodowego, która mieściła się niedaleko Adamstown, w połowie drogi między Waszyngtonem a Baltimore, posiadała wyposażenie komputerowe, którego objętość wyrażała się nie w stopach, czy metrach kwadratowych, ale w akrach. Głównym powodem istnienia Agencji było wtykanie nosa w nie swoje sprawy.

Dlatego też Agencja korzystała z większej liczby komputerów, odborników mikrofalowych, anten i satelitów najróżniejszych rodzajów niż jakkolwiek inna organizacja na ziemi. Jednak czasy, kiedy posiadanie podobnego sprzętu należało do amerykańskiego albo radzieckiego monopolu, należały do przeszłości. Kiedy europejskie, chińskie i japońskie firmy oraz rządy dopchały się do wodopoju, zimna przestrzeń kosmiczna zaczęła przypominać Aleję Connecticut o pół do szóstej po południu. Statki kosmiczne krążyły na orbicie na przeróżnych wysokościach lub trwały w bezruchu ustawione nad obszarami strategicznymi.

Przysadkowaty, półtonowy cylinder wisiał około trzydzieści sześć tysięcy kilometrów ponad posępnym Oceanem Indyjskim. Był to satelita telekomunikacyjny, który zawierał jakieś 55.000 obwodów dalekiego zasięgu. Należał do Komura Industries, gdzie go zaprojektowano i skonstruowano, ale na orbitę wystrzelono na czubku chińskiej rakiety *Długi Marsz II*. Gdyby pozwolić amerykańskiemu czy europejskiemu inżynierowi telekomunikacji rzucić na niego okiem, stwierdziłby, że jak na swoje zadanie wydawał się zbyt duży, a biorąc pod uwagę wysokie koszty umieszczenia w kosmosie każdego kilograma elektroniki doszedłby do prawidłowego wniosku, że zaprojektowano go w innym celów, niż do przekazywania rozmów telefonicznych z Londynu do Delhi czy też z Nowego Jorku do Tokio. Dlatego też twórcy satelity wysłali go do pracy na orbicie na chińskiej rakiecie, a nie na Atlasie. Chińczycy dobrze sobie zdawali sprawę, że jest to satelita szpiegowski, maszyna do zbierania SIGINT-u, czyli informacji z wywiadu sygnałów, ale ponieważ dopuszczono ich do tej tajemnicy, nie nosili się z zamiarem jej wyjawienia.

W cichym, białym pokoju w Tokio komputer skierował uwagę swojego operatora na coś, czego program nakazywał mu słuchać. Sporządził transkrypcję rozmowy, która spowodowała samouaktywnienie. W tym samym czasie zidentyfikował numer telefonu osoby, do której dzwonił i osoby dzwoniącej. Zanotował, że telefonowano z samochodu, podał nazwisko abonenta, numer rejestracyjny oraz markę wozu. Odnalazł nazwiska, adresy pracy i domowe obydwu rozmawiających osób.

Hamaguchi Kijuro wyjął kartkę papieru z drukarki laserowej i poszedł do czekającego nań przełożonego.

◆ Dzielnica chińska, Waszyngton

Thrale zostawił samochód na wielopiętrowym parkingu w pobliżu stacji końcowej Greyhound i, przedzierając się ostrożnie przez gęsty ruch uliczny na Dziewiętej Ulicy, przemierzył na piechotę krótki odcinek drogi, jaki dzielił go od chińskiej dzielnicy. Prace renowacyjne, które odbywał się tak na, jak i ponad Judiciary Square pełzały w kierunku enklawy chińskich firm i restauracji. Stukot młotów pneumatycznych wciąż brzęczał mu w uszach, gdy skręcił w małą, boczną uliczkę. Technik miał rozpocząć swoją zmianę w Biurze Usług Publicznych za ponad godzinę. Niepiesznym krokiem Thrale wędrował pod ideogramami i malowanymi smokami. Niebieskie, kartonowe pudełko tkwiło wciśnięte pod jego ramię.

Lin Pao mieszkał nad chińskim sklepem warzywnym, na drugim piętrze. Wyglądający na Azjatę Thrale nie zwrócił niczyjej uwagi, gdy przeszedłszy pomiędzy straganami zaczął piąć się w górę podniszczonej, drewnianej klatki schodowej. Dom pachniał aromatem *h'ui* i *lo-han chai*. Zapukał w wyblakłe drzwi. Otworzył je schludny młodzieniec, ze świeżo umyтыми włosami, ubrany w białą koszulę i niebieskie spodnie. Miał bose nogi.

Na jego widok Thrale uśmiechnął się promiennie.

- Pan Pao? - spytał i, położywszy pudełko na podłogę, sięgnął do kieszeni płaszcza.

Zauważył, jak młody mężczyzna taksuje wzrokiem tego dobrze ubranego i uprzejmego nieznanego, który pojawił się u jego drzwi.

- Tak, słucham?

Thrale wydobył z płaszcza legitymację i pokazał ją Pao.

- Kenneth Chan, ze Związku Producentów Urządzeń Klimatyzacyjnych.

- Aha...

- Każdego roku, proszę pana, prosimy organizacje, które prowadzą serwis naszych produktów, o przekazanie nam list rekomendacyjnych ze swoimi najlepszymi pracownikami. W tym roku z Biura Usług Publicznych przekazano nam pańskie nazwisko. Mam przyjemność poinformować pana, że jako laureat konkursu Technika Roku wygrał pan jedną z najwyższych nagród.

Uśmiechając się jeszcze promiennie Thrale pochwycił i potrząsnął dłonią młodzieńca.

- Czy mogę? - spytał i nieznacznie wskazał w głąb mieszkania.

- Oczywiście. Proszę wejść, panie Chan.

Mieszkanie Lina Pao składało się z jednego przestronnego pokoju, małej łazienki oraz kuchenki. Za przepierzeniem stał oparty o ścianę materac, a za całe umeblowanie służyły tylko dwa fotele i mały stolik do jedzenia. Najwyraźniej Lin Pao trzymał wszystkie swoje rzeczy osobiste w ściśle dopasowanych szafkach, które ciągnęły się wzdłuż jednej ściany. W pokoju znajdował się jeszcze telefon i stary telewizor.

Thrale otworzył aktówkę i wyjął elegancko grawerowaną plakietkę.

- Lin Pao - przeczytał z szacunkiem. - Technik Roku Związku Producentów Urządzeń Klimatyzacyjnych. Gratuluję panu.

Podał elegancką nagrodę młodzieńcowi, który przyjrzał się jej z widocznym zachwytem.

- Ale nasze uznanie nie kończy się na tym. O tak, proszę pana.

Jednym szarpnięciem Thrale otworzył kartonowe pudełko i wyjął z niego nowiutką paczkę pełną elektronicznych czarów. Zdjąwszy styropian i plastikowe gąbki, odsłonił wielofunkcyjny zestaw rozrywkowy.

- Czy mogę? - spytał podnosząc wtyczkę.

- Ależ, oczywiście, panie Chan.

Thrale podłączył zestaw do prądu i umiejętnie przyciskając klawisze przedstawił urządzenie w całej okazałości.

- Stereofoniczne radio, magnetofon kasetowy, kolorowy telewizor z siedmiocalowym, płaskim ekranem oraz cyfrową kartą dźwiękową. W tym

miejscu znajduje się magnetowid, a tutaj mamy pilota. Wszystko z pięcioletnią gwarancją.

Oczy Lina Pao zabłyśły. Był młody i lubił elektroniczne zabawki.

- Panie Chan, jest pan tak łaskawy... - wymamrotał.

Thrale podniósł dłoń.

- Niech pan mi nie dziękuje - rzekł tonem dobrego wujaszka. - Proszę dziękować sobie. Tylko dzięki własnej pracy wygrał pan tę nagrodę. A teraz, jeśli pan pozwoli, czas, bym wracał do biura, no i dał się panu nacieszyć tym cudem.

Ukloniwszy się Thrale opuścił mieszkanie i zszedł po schodach. Żwawym krokiem powrócił do swojego Cadillaca. Z bagażnika wyjął torbę i usadowił się na tylnym siedzeniu, wyciągnął mały ekran telewizyjny, który podłączył do wykonanego w tym celu gniazdka, a następnie zainstalował do niego joystick, taki jaki używa się do gier komputerowych. Ekran telewizyjny ożył odsłaniając uszczęśliwione, zaabsorbowane rysy twarzy Lin Pao.

Thrale siedział i patrzył. Po kilku minutach młodzieniec rzuca okiem na zegarek i wyłączył telewizor. Obraz na ekranie Thrale'a nie uległ zmianie. Kamera telewizyjna ukryta w środku zestawu rozrywkowego pobierała prąd z sieci, dopóki urządzenie było włączone do kontaktu. Dwadzieścia pięć centymetrów kwadratowych powierzchni na trzy i pół centymetra grubości ginęło w elektronice, która sterowała magnetofonem, radiem, magnetowidem i telewizorem. Kamera rejestrowała obraz przy użyciu obiektywu typu „rybie oko”, z którym łączyła ją cienka wiązka włókien światłowodowych. „Rybie oko” miało plastikową pokrywkę, która z zewnątrz była ciemna i niewidoczna, a od wewnątrz przezroczysta.

Lin Pao poszedł do łazienki i obiektyw kamery podążył jego tropem zgodnie z ruchami joysticka w dłoni Thrale'a. Pao przycesał włosy i spakowawszy drugie śniadanie zebrał się do wyjścia. Przystanął, otworzył jedną z szafek i zerknąwszy do środka zamknął ją z powrotem. Wyszedł dwukrotnie przekręcając klucz w zamku.

Nie odrywając wzroku od monitora, Thrale przebrał się w roboczy kombinezon firmy telefonicznej AT&T. Naciągnąwszy na głowę czapkę baseballową Dodgersonów wziął torbę roboczą i ruszył ulicą. Zdążył

zobaczyć z daleka, jak Lin Pao wsiada do autobusu.

Także i tym razem nikt nie zwrócił na niego uwagi, gdy wchodził po schodach. Prawie pół wieku wcześniej, kiedy był członkiem Korpusu Kontrwywiadu, nauczył się pokonywać opór zamków pod kierunkiem człowieka, który uważał tego typu umiejętności za niezbędne przy prowadzeniu swoich interesów handlowych. Po odsiedzeniu połowy kary Hank Travis wyszedł z więzienia stanowego Alabama, żeby pomagać pracownikom wywiadu. Thrale otworzył zamek z szybkością i wprawą, która zyskałaby aprobatę starego włamywacza, gdyby nadal żył. Potem wślizgnął się do środka.

Najpierw podszedł do aparatu telefonicznego, zwykłego, białego, przyciskowego modelu Bella. Zdjęcie pokrywy i odsłonięcie elektronicznych wnętrzności zabrało mu kilka minut. Wyjąwszy z torby małe pudełeczko w paski z oznakowaniem producenta Fox Electronics, otworzył je i wytrząsnął zawartość na dłoń - małej zespół obwodów elektrycznych, nie większy niż końcówka paznokcia na małym palcu. Wystawały z niego dwa niez izolowane druciki, które podłączył do płytki obwodu drukowanego wewnątrz telefonu, gdzie wtopił się on w inne komponenty. Skręcił aparat i odstawił go na miejsce.

Na stoliku, przy którym jadał Lin Pao, stała mała lampka. Thrale podmienił jej wtyczkę na tę, którą przyniósł ze sobą. Zestaw rozrywkowy podłączony był do trójnika razem ze starym odbiornikiem TV i Thrale jeszcze raz zamienił wtyczki.

Wykonawszy główne zadanie otworzył szafkę, do której, jak zaobserwował, Pao zajrzał, nim wyszedł do pracy. Wewnątrz wisiały kurtki, spodnie, a na dnie stało kilka par skromnych butów, oprócz tego leżała skrzynka na narzędzia i stos czasopism. Przerzucając pobieżnie strony Thrale odkrył, że Pao gustował w komiksach pełnych przemocy, szybkich samochodów i seksu ze zniewoleniem. Skrępowane kobiety leżały na stolicach jak ochłapy mięsa na pniu rzeźnika. Thrale skrzywił się z niesmakiem.

W głębi szafy natknął się na jaskrawo pokolorowane pudełko. Biorąc je do ręki zauważył, że opakowanie reklamowało działający na każdym terenie Galaktyczny Krążownik Bojowy wyposażony w broń laserowych

promieni śmierci oraz centrum dowodzenia. Krzykliwy obrazek przedstawiał gąsienicowego potwora, który kieruje inne maszyny-rywale białymi, biegnącymi w poprzek opakowania laserowymi mieczami. Zaintrygowany swoim odkryciem Thrale otworzył pudełko i wyjął wojenną zabawkę.

Pojazd był dobrze wykonany i skonstruowany lepiej, niż można by przypuszczać sądząc po reklamie. Choć kadłub wykonano z jaskrawo kolorowanego plastiku, mechanizm gąsienicy i wieży głównego uzbrojenia - długiej lufy podobnej do czołgowej - miał precyzyjną budowę. Zabawka ważyła więcej, niż powinna.

Thrale szybko odwrócił ją do góry nogami i odkręcił cztery śrubki, które przymocowywały kadłub do podstawy. Źródło zasilania stanowiły dwie kadmowo-niklowe baterie. Thrale znał ten typ baterii, wiedział, że są długotrwałe i wydajne w napędzaniu urządzeń wywiadowczych. Baterie zasilają elektryczne motorki. Wszystkie komponenty, przekładnie były wykonane po mistrzowsku.

Wieża osadzona z przodu bojowego pojazdu zawierała coś, co przypominało miniaturowy trzymilimetrový obiektyw o zmiennej ogniskowej, lufę i mały laserowy znacznik celu. Rurka łączyła lufę z małą buteleczką sprężonego gazu. Od obiektywu do kamery telewizyjnej biegł przewód światłowodowy. Wszystkie części sprężone były z mikroobwodami małego komputera.

Uświadomiwszy sobie stopień wyrafinowania tego urządzenia Thrale nasunął kadłub z powrotem na miejsce i, położywszy zabawkę obok telefonu, wyjął pakiet modułowy ze skrzynki na narzędzia. Podłączywszy pakiet do linii telefonicznej uruchomił go i zaczął przyglądać się jak automatycznie omiata on widmo pasm częstotliwości od 20 kilohertzów do 2000 megahertzów. Właśnie kiedy z zadowoleniem stwierdził, że jego niewidzialny przekaźnik rzeczywiście jest niewidzialny, nagle zeszytniał, w popłochu wlepiając wzrok w wyświetlacz.

- Cholera.

Pospiesznie odłączył analizator widma i schował go do torby. W tym samym momencie drzwi otworzyły się gwałtownie i Lin Pao ruszył na niego.

Czterdzieści lat, które dzieliły Thrale'a od Pao spowolniły jego refleks, ale nauczyły go myślenia głową. Lin Pao przebył drogę od drzwi w ułamku sekundy, ale gdy razem zwalili się na podłogę, dłoń Thrale'a nadal tkwiła w torbie. Gdy Pao zacisnął mu palce na gardle, Thrale uderzył go sprayem - pokrywka odskoczyła. Uścisk zacieśnił się, Thrale usłyszał jak jego oddech grzechocze mu w gardle i zamiera. Świat poszarzał mu przed oczyma. Przytknął puszkę do twarzy napastnika i ściągnął spust.

Wrzeszcząc Pao zakrył dłońmi twarz, a Thrale mógł zaczerpnąć łyk powietrza w płuca. Desperacko pocierając oczy młodzieniec zerwał się na nogi. Thrale podpełznął do niego i zaczął się podciągać w górę, lecz zanim zdążył zaaplikować następną dawkę, Lin Pao capnął krążownik galaktyczny i ze łzami tryskającymi z oczu wybiegł na klatkę. Pochwycając w biegu mały telewizor Thrale ruszył za nim. Obijając się o ściany i poręcze Pao zataczał się na schodach. Thrale cisnął mu telewizor w plecy. Uderzenie wyrzuciło Pao na ulicę, gdzie wpadł na stragan w oszalałej utarczce niezwykłych kaczek, glutaminianu sodowego i implodującego szkła.

Zanim Thrale dotarł na ulicę, Pao biegł już najszybciej jak mógł w stronę Pierwszej Ulicy, krew sikała mu z nogi spryskując chodnik, ale wciąż ścisnął zabawkowy krążownik bojowy. Thrale odepchnął jakąś starszą kobietę, która piszczała po kantońsku obok wraku straganu, i puścił się w pościg. Ponieważ Lin Pao posuwał się znacznie wolniej niż normalnie, Thrale zaczynał go doganiać. Tropiony zwierz skręcił w Pierwszą Ulicę i podbiegł do rwącego strumienia ruchu ulicznego, który płynął Dziewiątą Ulicą. Thrale był niemal przy nim, gdy dotarli do wielkiej ulicznej arterii.

Pao nie zatrzymał się ani na moment. Rozległ się pisk gumy i huk roztrzaskującego się metalu i szkła, gdy dwa samochody zderzyły się, a potem najechał na nie trzeci. Thrale, który chciał żyć, stał na chodniku i patrzył jak Lin Pao biegnie środkiem drogi szybkiego ruchu.

Z boku nadjeżdżała przewożąca fracht ciężarówka Mack. Thrale usłyszał ryk klaksonu, gdy kierowca włączył hamulce pneumatyczne.

Stopy Lin Pao zdały się usuwać spod niego, gdy dał długiego nura trzymając wojenną zabawkę wyciągniętą przed twarzą, jak piłkarz footballowy, który rzuca się, by dopaść linii. Thrale odwrócił się szybko i zaczął

się oddalać, serce waliło mu, pot spływał strumieniami, a uszy wypełniał wrzask ludzi na chodniku, którzy zdziwieni, że powietrze wypełnia smród rzeźni, zastanawiali się, skąd wzięły się oblepiające ich krew i nieczystości.

◆ **Wardman Tower, Waszyngton**

- Ciężarówka wiozła części maszyn z Detroit. Dziewięć z jej osiemnastu kół przetoczyło się po tej zabawce i teraz to już tylko niezliczone kawałeczki plastiku, szkła i drucików. Będę ci więc musiał opowiedzieć, co to było i jak na mój gust działało - zaczął Thrale.

- Słucham - Kuusinen zerknął na ekran telewizora, na którym strażacy polewali wężem ulicę. Gdy w studio pojawiła się jakaś Murzynka, przycisnął guzik pilota.

- Ten pojazd był bardzo dobrze wykonany. Wyglądał na wyrafinowaną dziecięcą zabawkę - takie zdalnie sterowane cacko, jakim bawią się dzieciaki. Dobrze pomyślane. Jeśli ktoś zaczepiłby Lin Pao na ulicy i spytał, co to jest, mógłby odpowiedzieć, że kupił kuzynowi zabawkę na urodziny. Pao był wyszkolonym technikiem urządzeń klimatyzacyjnych i pracował dla Biura Usług Publicznych, miał zatem wszelkie prawo, żeby majstrować przy klimatyzacji w Białym Domu. Miał kombinezon i przepustkę, więc nikt nie zadawał mu pytań.

Przypuszczam, że wprowadził ten Galaktyczny Krążownik Bojowy do kanału wentylacyjnego przez któreś drzwiczki kontrolne, lub coś w tym rodzaju, blisko mieszkania rodziny prezydenta, prawdopodobnie podczas wykonywania jakiejś rutynowej pracy w Sypialni Królowej lub może Sypialni Lincolna. Znalazłszy się w środku, według mnie, zabawka przedostała się za pomocą gąsienic tunelami wentylacyjnymi, aż do kratki w łazience prezydenta.

- No tak, ale jak u diabła mogła tego dokonać? Czy sugerujesz, że Pao sterował nią radiem?

- Nie. Myślę, że przedostała się tam o własnych siłach. Kiedy ją otworzyłem, w środku znajdowało się dużo obwodów elektrycznych. Taki mały komputer. Lin Pao miał z pewnością dostęp do planów systemu wentylacyjnego i mógł napisać program, który następnie wprowadził do komputera

wewnątrz pojazdu, tak jak współczesny pilot myśliwski lub bombowy planuje trasę na komputerze, a następnie wprowadza ją do komputera pokładowego. Jest to trafne porównanie. Samolot bojowy ma zabijać ludzi. Tę maszynę, pełzającą po cichu do swego celu wewnątrz rur w Białym Domu, zaprojektowano, by kogoś zabić: prezydenta Hawkinsa. Taki automatyczny zabójca. Kiedy dobrnęła na miejsce, zatrzymała się i wyłączyła wszystkie funkcje z wyjątkiem organizacyjnych, żeby oszczędzać energię. Wewnętrzny zegar budził ją w nocy i czekała, aż zapali się światło. Wtedy patrzyła przez kratkę za pomocą kamery telewizyjnej.

- A jeśli byłaby to pani Hawkins?

- Wówczas urządzenie siedziało cicho i czekało dalej. Widzisz, ono dobrze wiedziało, jak wygląda prezydent. Czekąco, aż pojawi się ktoś, kto odpowiada wizerunkowi, jaki zapisano przy programowaniu komputera. W końcu pojawił się prezydent. Przyjmijmy, że się załatwił, a potem stanął przed umywalką, poniżej kratki, za którą czekała maszyna, by umyć ręce przed powrotem do łóżka. Komputer zidentyfikował go jako swój cel. Za pomocą pokładowego lasera ocenił zasięg i wprowadził do pamięci miejsce, w które należało trafić. Maszyna wycelowwała lufę i strzeliła strumieniem stężonego gazu nikotynowego prosto w nos prezydenta. On wziął oddech i zginął w ciągu kilku sekund. Upadając na posadzkę, zaważył po drodze o umywalkę. Klasyczne objawy śmierci na zator tętnicy płucnej.

- W porządku - przerwał Kuusinen. Miał minę człowieka, który żywi głęboką nadzieję, że kiedyś w przyszłości nie będzie musiał się tłumaczyć przed senacką komisją. - Teraz wytłumacz mi, dlaczego kiedy jadłem lunch spłukiwano do ścieków to, co zostało z Lin Pao.

- Poszedłem zobaczyć się z nim, zanim wyszedł do pracy i udało mi się wprowadzić do jego mieszkania konia trojańskiego: zestaw rozrywkowy, wewnątrz którego znajdowała się zminiaturyzowana kamera telewizyjna. Za jej pomocą mogłem stwierdzić, czy w pokoju nie ma żadnych alarmów przeciwwłamaniowych, które Lin Pao uruchomiłby przed wyjściem. Uwierzył, że wygrał zestaw rozrywkowy, jako nagrodę dla dobrego pracownika... którym rzeczywiście był. Jego przełożony powiedział mi, że był pierwszorzędnym technikiem, pracowitym i uparciuchem, jeśli szło o

wykonywanie pracy dokładnie. Lin Pao cieszył się, że dostał nagrodę.

Kiedy wyszedł do pracy, wróciłem i otwierając zamki wytrychem „wpuściłem się” do środka. Wdarłszy się do pokoju zająłem się instalowaniem podsłuchu. Po pierwsze zamontowałem wewnątrz telefonu coś, co znane jest jako „niewidzialny przekaźnik”. Jest tak mały i tak skonstruowany, że zlewa się z tłem i zdaje się stanowić część telefonu, a zatem jest niezauważalny dla oka. Po zainstalowaniu przekazuje za pośrednictwem linii telefonicznej wszystko, co słyszy: rozmowy telefoniczne, a także rozmowy w pokoju. Po powrocie do domu planowałem skontaktować się z przekaźnikiem przez mój telefon i zaprogramować go, by przysyłał mi wszystko, co usłyszysz, a co nagrywałbym na magnetofon szpulowy w warsztacie.

Thrale urwał.

- Masz drinka, Lief? Dawno już nikt nie próbował mnie zabić podczas pracy.

- Jasne, oczywiście.

- Potem, w ramach rezerwy, ponieważ rzadko się używa jednego urządzenia podsłuchowego, zamieniłem wtyczkę i trójnik na swoje duplikaty, oczywiście z nadajnikami. Zanim Lin Pao wyszedł do pracy, przez swoją małą kamerę zobaczyłem, że zajrzał do środka jednej z szafek, więc też tam zajrzałem. Jediną niezwykłą rzeczą, jaka odkryłem, nie licząc jego upodobań literackich, był Galaktyczny Krążownik Bojowy. Zaintrygował mnie, bo wydało mi się, że jak na zabawkę jest zbyt dobrze wykonany. Otworzyłem go i wewnątrz natrafiłem na te wszystkie rzeczy, o których ci opowiedziałem.

- Ale jak to się stało, że Lin Pan wrócił i cię nakrył? Myślisz, że zapomniał czegoś i się wrócił?

- Nie. Wrócił do domu, bo ostrzeżono go o mojej obecności.

- Jak?

- Zanim przygotowałem się do wyjścia, sprawdziłem mój niewidzialny przekaźnik, żeby upewnić się, że nie można go odnaleźć. Użyłem do tego czegoś, co znane jest jako analizator widma, który omiata całość pasm częstotliwości w ten sam sposób, w jaki miernik natężenia pola wyłapuje

promieniowanie. To bardzo zmyślny przyrząd. Jest zminiaturyzowany i zawiera takie cuda jak wzmacniacz częstotliwości pośredniej, filtry krystaliczne, wykrywacz modulacji amplitudowej i częstotliwościowej, układy wskaźnika poziomów sygnałów i tak dalej. W dodatku robi to wszystko automatycznie. Otóż mój analizator sprawdzał założone przeze mnie urządzenie podsłuchowe, kiedy zauważyłem, że ktoś po drugiej stronie linii telefonicznej sprawdza mnie. Miałem szczęście. Mój analizator sprawdzał akurat tę samą rzecz, co ten po drugiej stronie i mogłem to zauważyć. Wyglądało to tak: kiedy początkowo zainstalowałem podsłuch, ktoś po drugiej stronie telefonu dowiedział się, co robię i przez jakiś sygnalizator radiowy zawiadomił o tym Lin Pao, który najprawdopodobniej miał pager, który wyświetla krótkie informacje. Kiedy zacząłem sprawdzać mój niewidzialny przekaźnik, cokolwiek to było po drugiej stronie sprawdziło ponownie, by przekonać się, jakie są moje zamiary. Szczęśliwie dla mnie dostrzegłem to. Dało mi to ułamek sekundy, by capnąć butelkę z amoniakiem, zanim Lin Pao wpadł, by mnie zabić.

- Zatem ktoś kontrolował linię Lin Pao i dbał, by pozostała czysta?

- Nie kto, raczej co. Co takiego może działać bez wychnienia dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu? Jakaś maszyna. Komputer.

- Prysnałeś więc Lin Pao w oczy amoniakiem, zanim się zderzył z ciężarówką. Podejrzewam, że z tym czymś w oczach nic nie widział.

- Nie - odparł Thrale cicho. - Myślę, że widział.

Kuusinen posłał mu zdziwione spojrzenie.

- Więc kto się za tym wszystkim kryje? Skonstruowanie takiej maszyny nie było zapewne proste. Nie wszyscy mają komputer, który strzeże z daleka domu. Dla kogo więc pracował Lin Pao? A kiedy o tym mowa, to dlaczego to urządzenie wciąż u niego było? Dlaczego nie wrzucił go do Potoma-ku?

- Może chcieli go użyć ponownie?

- Dlaczego?

- Tego właśnie nie wiem. Dlaczego zabito prezydenta Hawkinsa? Nie wiem. Ale wiem, kto to zrobił.

- Tak?

- Lin Pao uchodził za Chińczyka, tak samo jak niektórzy Niemcy i Francuzi mogą uchodzić za Anglików. Albo na odwrót. Mógł być Chińczykiem, ale nim nie był. Był wspaniałym pracownikiem, który czerpał wyjątkową dumę ze swojej pracy. Powiedziałbym, że to bardzo rzadkie zjawisko w tych sferach. Lubił komiksy pełne przemocy i czasopisma pornograficzne typu sado-maso. Seks z przymusem, wiesz. Typowe dla określonego rodzaju ludzi. Kiedy nie udało mu się mnie zabić, jedyną jego troską było to, bym nie zdobył jego zabójczej maszyny w nienaruszonym stanie. Nie było dziełem przypadku, że uciekał w stronę Dwudziestej Piątej. Wbiegł na ulicę i spowodował kraksę - kilka samochodów zderzyło się, ale on uskoczył z drogi. Kiedy dobiegł do środka Dwudziestej Piątej, zaczął się za coś rozglądać i znalazł to w postaci osiemnastokątowej ciężarówki Mack. Umieścił Galaktyczny Krążownik, tak by roztrzaskał się pod lewą przednią oponą, a następnie osiem poszło śladem pierwszej.

- Przejechały także po nim.

- Zgadza się. Wtedy właśnie upewniłem się co do tego, kim jest i skąd pochodzi Lin Pao. Wyszedł prosto z *Hagakure*. Mogę ci zacytować: „W kryzysowym momencie, gdy szanse życia lub śmierć wynoszą pół na pół, rozwiąż problem wybierając natychmiastową śmierć. To nic skomplikowanego. Zbierz wszystkie siły i uczynź ten krok... Ktoś, kto wybierze życie i poniesie klęskę w swojej misji, będzie pogardzany jako tchórz i niedorajda... żeby być prawdziwym *samurai*, trzeba przygotowywać się na śmierć rano i wieczór, dzień i noc". Lin Pao dokonał wyboru nie stawiając pytań, gdyż był samurajem. Japońskim samurajem.

◆ Georgetown, Waszyngton

Ala pięścił dłonie Rejscha miękkimi opuszkami palców.

- Zrobiły ci się małe zgrubienia na dłoniach - powiedział czule.

- To ten twój sportowy Shelby - odparł Reisch. - Widzisz, co narobiłeś? Ramiona mi puchną jak u Arniego Schwarzeneggera. Ale za to wszystko idzie jak po maśle. Ech, teraz my jesteśmy górą. Widziałeś wskaźnik popularności prezydenta? Barnet wydłuży listę przedsiębiorstw, których udziałów

nie może przejąć kapitał zagraniczny, a wszystko w ramach ustawy z końca lat osiemdziesiątych zakazującej Japończykom przejmowania amerykańskich firm produkujących półprzewodniki. Żółtki będą musiały oddać całe mnóstwo tego, co nachapali, a skoro jen dostał tęgie lanie, mamy zamiar odplacić im pieniędzmi monopolu. Na ustach Ali zaigrał uśmieszek.

- To nieładnie z waszej strony.

- Póki dajemy Japończykom w kość, nikogo nie będzie obchodziło, co z nimi robimy. A teraz, gdy jesteśmy na fali, możemy pomyśleć kogo wziąć na pokład w roli Wice. Oczywiście z myślą o wyborach.

Ala przełączył na kanał PBS w oczekiwaniu na MacNeila/Lehrera, ulubiony program Reischa i przygotował drinki dla nich obydwu.

- Kogo bierzecie pod uwagę?

- Teraz możemy przebierać, odwrotnie niż w ubiegłym tygodniu, gdy ludzie z politycznymi ambicjami dawali nura w bok, kiedy widzieli, że się zbliżamy.

- Nie za młody i nie za przystojny. Nie powinien przyćmić Barneta. Jakiś otrzaskany zawodowiec. Srebrne włosy, praktyka w rządzie. To przemawia da oka. Błyskotliwy młody prezydent, wywołajcie trochę reminiscencji osoby Kennedy'ego, i jego pracowity jak wół, solidny współkandydat.

- Uhm, moje myśli też szły w tym kierunku.

- Mógłbym coś zasugerować? - spytał Ala, wślizgując się obok Reischa na kanapę.

- Kochanie, polegam na tobie.

- Lepiej jeśli nie będzie to zwolennik konfrontacji. Świat teraz nie martwi się o pokój, prawda? Podpisano Traktat Pokojowy, zimna wojna dobiegła końca, można rozkoszować się frykasami życia, których wytwarzaniem, dzięki prezydentowi, zajmie się gospodarka.

- Ktoś z osiągnięciami w działalności rozbrojeniowej?

- Właśnie. Wzmocni zaangażowanie Barneta na rzecz pokoju i odciążą parszywą stronę lania, jakie Ameryka z takim zapałem daje teraz Japończykom. Ludzie nie chcą wydawać kwadrylionów na lotniskowce, bombowce i całą resztę. Wybierzcie kogoś, kto jest temu przeciwny.

- Czekaj, mówisz o Marshallu Telfordzie. O tym kwakrze. Jego syn

zginął w Wietnamie. Twierdzi, że wojnę wynalazł Książę Piekieł. Solidny, nieskorumpowany, zdolny administrator i tak dalej.

- Tak, wiem, który to jest. Z wyglądu pasuje, jak ulał.

- Chyba, że będziemy zmuszeni z kimś walczyć. Telford natychmiast złożyłby dymisję.

- Został ktoś prócz kolumbijskich baronów narkotykowych? Telford sprzeciwia się narkotykom. Idę o zakład, że pozwoliliby ich potraktować napalmem.

W telewizji wrzeszcząca banda robotników z Georgii podpałała punkt sprzedaży Mazdy. Zastępcy szeryfa zdawali się im pomagać.

Sukces wywoływał u Reischa twardeńnię.

- Zróbmy to - wyszeptał głosem ochrypłym z pożądania.

Ślizgali się na kanapce niczym przedziwna bestia o dwóch plecach, która pożera samą siebie. Reisch zerknął ponad jądrami kochanka na czołówkę MacNeila/Lehrera. Tytuł odcinka brzmiał: BARNET. JESZCZE OSIEM LAT. Spostrzegł, że nie opatrzone go znakiem pytającym. Miał idealny orgazm.

♦ Adamstown, Maryland

Thrale sunął w górę New Design Road, która ciągnęła się prosto jak strzała aż do Potomaku, kiedy zabrzączał telefon w Cadillacu.

- Thrale, słucham.

- Cześć K.K., mówi Takashi.

- Takashi! - ucieszył się Thrale. - Gdzie jesteś?

- W Waszyngtonie. Przyjechałem z ministrem handlu Saito na rozmowy z sekretarzem stanu MacGregorem.

- Mam nadzieję, że nie stoisz na ulicy. Trochę towarzystwa przejęło się zbyt mocno tą całą hecą z Ameryką na pierwszym miejscu w świecie i posuwa się dalej, niż powinni.

- Co ty, kurde. - Thrale zauważył, że Takashi wciąż mówił jak Amerykanin. - Siedzę w Thunderbirdzie. Dzwoniłem wcześniej, ale nie mogłem cię zastać, więc pomyślałem, że pojedę i sprawdzę, czy nie ma cię w domu. Gdzie teraz jesteś?

- Prawie w Adamstown - odrzekł Thrale, skręcając w Mountville Road.

- Aha, jestem w takim razie niedaleko za toba. Jadę Dwudziestą Ósmą. Znajdziesz chwilę na drinka ze starym kolegą?

- Jasne. Miałem ciężki dzień. Lepiej będzie, jak spotkamy się w moim domu, nie w barze.

- Myślę, że tak.

- Trzymaj zamknięte okna.

Takashi roześmiał się i rozłączył.

Thrale zaparkował Cadillaca w garażu i zdążył otworzyć drzwi do domu, gdy niebieski Thunderbird wtoczył się na podjazd. Tsunoi Takashi wysiadł z samochodu z szerokim uśmiechem. Miał na sobie dobrze skrojony garnitur, w którego klapie tkwiła wpięta duża plakietka z napisem: „Nie wkładajcie mnie do kruszarki - mieszkam tutaj”. Był około dziesięć lat młodszy od Thrale'a, włosy przyprószyła mu siwizna, a od kącików ust rozbiegały się pasemka zmarszczek.

Thrale uśmiechnął się, gdy dostrzegł plakietkę.

- Działa?

Takashi wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

- Nikt mnie nie zaczepiał. Chyba mogę uchodzić za *nisei*. Mówię jak wy.

- Tak, nauczyłeś się bardzo szybko.

Dawno temu Takashi pracował jako japoński asystent Thrale'a w kontrwywiadzie. Ich wzajemny stosunek miał szczególnie japoński wydźwięk, znany był jako *oyabun-kobun*, czyli pan-uczeń. Były to silne więzy, jedne z tych, które zespalały japońskie społeczeństwo. Takashi zawdzięczał Thrale'owi swoją pozycję w japońskich tajnych służbach i ten *on*, dług wdzięczności, należał do tych, których nie da się spłacić do końca, ale który rozstrzygał o dozgonnej przyjaźni.

Weszli do środka, do pokoju dziennego.

- Whisky? - spytał Thrale, który znał upodobania Takashi. Poszedł do kuchni i wrócił niosąc dwie zmrożone puszki Coors'a oraz talerzyki, na których piętrzyły się oliwki i herbatniki. Dołączył do tego butelkę Jacka Danielsa oraz dwa małe kieliszki.

- *Kampai*.

- *Kampai* - odpowiedział Thrale. - Na jak długi przyjechałeś?

Pogodny nastrój Takashiego prysnął.

- Chyba na krótko. To minister Saito zrobił tę uwagę, o której głośno było kilka lat temu. Zaczynało się wtedy mówić o naszej nadwyżce bilansu handlowego. Gdy spytano się Saito, w jaki sposób reszta świata ma się do tego ustosunkować, odparł, że Ameryka może zostać spiżarnią Japonii, a Europa jej butikiem. Żart Saito był raczej nie na miejscu, bo pytanie to zadał dzisiejszy sekretarz stanu MacGregor, który wcale nie uznał tego za zabawne. Dla niego dowcip Saito nie zyskał z wiekiem. Teraz może dać mu to do zrozumienia.

Takashi westchnął i pociągnął długi łyk piwa.

- MacGregor jest *rikutsuppoi*, wielbicielem rozumu. Nie uznaje *tatemaie* i *honne*.

- Wprost przeciwnie - zaprzeczył Thrale łagodnie. - Tylko że różnicę między *tatemaie*, tym co mówisz, że robisz, i *honne*, tym co naprawdę leży w twoich zamiarach, uważa za zwykłe kłamstwo.

- Czy przeciwności nie są dwiema stronami prawdy? Wy Amerykanie doszukujecie się konsekwencji. Życie wcale tak nie wygląda.

- Czerwona Królowa potrafiła uwierzyć w sześć niemożliwych rzeczy przed śniadaniem. Mogłaby żyć w Japonii.

Takashi uśmiechnął się i odstawił piwo.

- Myślę, że będziemy wracali do domu pojutrze. Zatem pożegnam cię teraz. Mam dla ciebie prezent.

Takashi podciągnął rękaw i odpiął zegarek. Miał on szeroki pasek, jak zegarek nurków, i duży, płaski cyferblat. Usiadł obok Thrale'a, by mu go zaprezentować. Górna część jednego z pasków miała przyciskowe urządzenie sterujące i wąską, tępą szpilkę, za pomocą której można było nim operować. Takashi wprawnie nadusił guziki i ekran ożył.

- Jest to zegarek, a także kalkulator. Popatrz.

Ekran zapłonął nasyconymi kolorami i Thrale ze zdumieniem stwierdził, że ogląda mecz baseballowy na dwóch calach kwadratowych.

- Odbiór satelitarny - oświadczył Takashi z dumą. - Pięćdziesiąt sześć kanałów. Pozwala zrobić coś takiego...

Prędko wystukał serię liczb i kilka sekund później zadzwonił telefon. Thrale zerknął na zegarek z niedowierzaniem.

- To także telefon?

Takashi przerwał połączenie i telefon zamilkł.

- Połączenie satelitarne. Możesz dzwonić dokądkolwiek na świecie. Mając zegarek na ręku po prostu mówisz. Przez niego dzwoniłem do ciebie z samochodu.

- A niech to - mruknął Thrale, który miał słabość do egzotycznej techniki. Założył go na przegub ręki. Zegarek był bardzo lekki.

- Będziesz go nosił?

- Jasne. Powiedz, kto robi takie cacka?

- Och, to nowe dziecko Komura Electronics. Nie ma go jeszcze w sprzedaży. Dostałem go przez znajomego. Przykro mi, ale muszę już iść.

- Na pewno?

- Za godzinę mamy konferencję.

Thrale wyszedł przed dom i odprowadził Takashi'ego do samochodu.

- Zabili dzisiaj amerykańskiego agenta w Szinjuku, K.K. - wyrzucił nagle Takashi. - Tłum pobił go na śmierć i zostawił na ulicy.

Omiótl wzrokiem pofalowany krajobraz Maryland.

- Nigdy nie będzie jak dawniej. Było lepiej, kiedy świat nie myślał, że nas rozumie.

Thrale patrzył jak światła Thunderbirda oddalają się w głąb ulicy.

- Kto to wszystko zaczął? - mruknął.

4.

Łączność

♦ Kwatery Główna Dalekowschodniego Okręgu Wojskowego, Władywostok

Transsyberyjska linia kolejowa dotarła do Władywostoku w 1903 roku i przyniosła ze sobą Leonida Brujewicza. Władywostok był portem granicznym, położonym tak daleko od stolicy imperium, jak tylko człowiek mógł zawędrować, oraz miejscem, w którym prosperowali ludzie pokroju Brujewicza. Miasto rozrosło się raptownie w następnych latach i młody kupiec wybudował sobie wytworny dwór, który stał pośród własnych ogrodów za wysokim, mocnym murem. Brujewicz ożenił się i wychował tam dzieci.

Rewolucja i wojna przyszyły również do Władywostoku. W 1917 roku opuścili go Rosjanie, a Japończycy, Amerykanie, Brytyjczycy, Francuzi i Włosi wykorzystali miasto dla swoich wysiłków wojennych. Leonid Brujewicz pozostał i zaopatrując ich wszystkich zbijał fortunę. W 1920 roku wszyscy odjechali, z wyjątkiem Japończyków, z którymi także współpracował. W dwa lata później oni także opuścili Władywostok i ostatecznie dotarła tam Armia Czerwona Trockiego, celem włączenia Republiki Dalekowschodniej do Związku Radzieckiego. Leonid Brujewicz, który przystosowywał się niczym kameleon, wyszedł z dworu na spotkanie nowym władcom miasta.

Zastrzelili go. Zastrzelili jego i całą jego rodzinę, ponieważ oczywistym złem było to, że niektórzy mieszkają w dużych domach, a inni nie. Ci, którzy to zrobili, a których misja polegała na eksterminacji całej burżuazji, w pierw na terenie Związku Radzieckiego, a potem na całym świecie, należeli do Czecha, tajnej policji Lenina. Ponieważ dwór, z którego dobrze utrzymanych ogrodów usunięto ciała mieszkańców, miał dużą i mocną konstrukcję, zajęli go na swoją kwaterę główną.

Dwór miał potem wielu gospodarzy. W latach trzydziestych należał do NKWD, a po Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej przeróżne grupy wojskowych zakładały w nim swoje kwatery. W końcu został Kwaterą Główną Daleko-wschodniego Okręgu Wojskowego. Elegancki budynek nie zmienił się wiele, choć drzwi balkonowe, które wychodziły na ogrody zamurowano, a sztuczne grotty i altanki, gdzie rozkwitały róże i igrały fontanny zastąpiono szorstkim betonem kazamatów strzeżonych ogniem karabinów maszynowych.

Prawdziwe zmiany natomiast zaszły pod spodem. Sam dwór stanowił jedynie czubek góry lodowej, który wystaje ponad wodę. Pod ziemią znajdował się punkt dowodzenia, zbudowany bardzo głęboko i chroniony tysiącami ton betonu i stali. W podziemiach czaiły się zarówno pomieszczenia mieszkalne, jak i robocze, centrum łączności, dobrze wyposażony szpital, dwie restauracje, sklepy wszelkiego rodzaju oraz wszystko, czego trzeba ludziom, którzy mieszkają i pracują w całkowitej izolacji od świata zewnętrznego. Pod warunkiem, że nie odejdą od zmysłów, mogli żyć w dole do dwóch lat, a na górze prowadzić na odległość wojnę.

Punkt dowodzenia miał salę odpraw, którą zwano potocznie „kajutą”. Nosiła taką nazwę, gdyż sprawiała wrażenie tego typu kajuty, na jaki można się natknąć na luksusowym liniowcu. Kiedy włączono systemy bezpieczeństwa, które chroniły rozmowy wewnątrz, podłoga, ściany i sufit zaczynały nieznacznie wibrować, drgając niczym potężny statek, który toruje sobie drogę przez fale. Zagłuszacze w grubych ścianach kabiny pokrywały warstwy izolacji. Ogluszający hałas, jaki wydawały ściszał się do miękkiego szelestu, który docierał do wnętrza kabiny, niczym chlupot wody za burtą.

Wnętrze kabiny bieliło się jaskrawo, całą podłogę wyściełał szary dywan. Stół i sześć krzeseł z przezroczystego plastiku służyły za jedyne umeblowanie.

Jurij Serow i generał Ogarkow siedzieli twarzami do siebie na przeciwnych krańcach stołu. W celu zachowania całkowitej tajności obydwoj mieli na głowach przezroczyste hełmy, które łączyły czyste, plastikowe rury. Żaden nie uważał takiej maskarady za dziwną - obydwoj byli Rosjanami.

- Musicie zapoznać się z tym, co zaraz powiem, ponieważ komputer musi to wiedzieć. Dostarczycie mu wszelkich niezbędnych danych. Będzie wiedział to, co wiem ja, mój generalski sztab i wszystkie nasze teczki, rejestry i źródła razem wzięte.

Głos Ogarkowa dziwnie dudnił wewnątrz plastikowego hełmu. Jurij poczuł, że zaczyna się pocić.

- Jeżeli nie zajdą nieprzewidziane wydarzenia, za trzy i pół roku chińska Ludowa Armia Wyzwoleńcza przetoczy się przez nasze granice, wyposażona w niezwykle rodzaje uzbrojenia, przy których wyposażenie Armii Czerwonej okaże się całkowicie przestarzałe. Klęska naszych wojsk będzie totalna, nasze przywództwo będzie prosić o pokój na każdych warunkach na długo zanim Chińczycy dotrą do Moskwy.

Sprzęt wojskowy zostanie dostarczony do Chin przez ich mało prawdopodobnego sojusznika - Japonię. Te dwa zwycięskie kraje oderwą sobie następnie te kawałki ZSRR, których będą potrzebować. Związek Radziecki przestanie istnieć. My, dumni Rosjanie, staniemy się niewolnikami nowego despotyzmu mongolskiego.

Ogarkow trzasnął pięścią jak młotem w plastikowy stół, który jęknął pod ciosem.

- Tak się jednak nie stanie! Sprawy nie potoczą się po ich myśli, bo nasza ojczyzna ma Armię Czerwoną, której zadaniem jest ją ochraniać. Za trzy i pół roku będą się śmiać inaczej, gdyż to my pokroimy Chiny wedle życzenia, o tak, Japonię też, i pozbedziemy się orientalnego zagrożenia raz na zawsze. W tej chwili, na wszystkich szczeblach państwa, od samego rządu po indywidualnych żołnierzy, przy użyciu *maskirowki* przygotujemy cios, który spadnie na Chińczyków jak błyskawica. Operacja nosi kryptonim „*Zarnica*”.

W przeciągu dwóch tygodni zadamy Chińczykom druzgocącą klęskę. Komputer będzie odpowiadał za prowadzenie działań wojennych, łączność, dowodzenie i sterowanie, czyli BMC3, oraz służby wywiadowcze z funkcji C3I. Wiecie, co się na to składa? Funkcja C2 to monitorowanie sił i zasobów żołnierzy wroga oraz sił i zasobów naszych własnych żołnierzy, planowanie i przeplanowywanie scenariuszy wojny elektronicznej, ocenianie sygnałów ostrzegawczych i szacowanie strat wyrządzonych natarciem, monitorowanie specyficznych sytuacji bojowych, wybieranie spośród opcji

operacyjnych i ułatwienie ich wykonywania, przegrupowywanie i przerzucanie sił, prowadzenie negocjacji z wrogiem i zakończenie wojny.

Dwa systemy umożliwiają sprawne działanie funkcji C2. Po pierwsze system łączności, który zmienia C2 w C3 i zapewnia połączenie między siłami zbrojnymi i źródłami wywiadowczymi. Po drugie system zbierania i przetwarzania informacji, czyli I z funkcji C3I.

- Od pięciu lat jestem specjalnym doradcą Armii Czerwonej właśnie do tych spraw.

- Dlatego was tutaj przeniosłem. Na mnie spoczywa cała odpowiedzialność za operację „Zarnica”. Muszę mieć pewność. Jeśli ta maszyna zepsuje się w samym sercu systemu BMC3 i spieprzy jakąś część bitwy, wówczas dla pewności każę was rozstrzelać. Czy możecie doprowadzić komputer do pełnej gotowości?

- Kiedy zaczyna się „Zarnica”?

- W ostatnim tygodniu lipca.

- Poradzę sobie - oświadczył Serow pewnym tonem.

- Świetnie - Ogarkow ściągnął wilgotny hełm i cisnął go na stół. - Będziecie musieli zostać na miejscu do samego końca. Wiecie teraz zbyt dużo.

Odsunął krzesło i nadusił przycisk wyłączający zagłuszacze w kabinie.

- Czy udało się wam złożyć „Koralową Włócznię”?

- Tak, chcę uruchomić komputer dziś rano.

- Teraz, kiedy jest w naszym posiadaniu zmienimy jego nazwę. Nazywać się będzie „Czerwony Sztandar”. Ta nazwa będzie odpowiednia: komputer należy do Armii Czerwonej, jak wszyscy, którzy służą ojczyźnie.

Schylił się i przybliżył twarz do twarzy Serowa.

- Nie zapominajcie o tym. Armia Czerwona uratuje Rosję i na powrót zajmie należne jej miejsce. Żadni zasmarkani cywile nie będą zabijać na ulicach moich ludzi po tym, jak „Zarnica” dobiegnie końca. Wszystko będą zawdzięczać nam. Nie KGB, nie Janowowi. Nam. KGB nie brało nawet udziału w przejściu superkomputera. Dokonało tego GRU. Od KGB słyszy się tylko o tym, jaki wspaniały jest ich Zarząd T, ile to zachodnich technologii kradnie każdego dnia. Ba! Zarząd T to bandą onanistów, którzy nie potrafią odróżnić lewej strony odznaki na czapce od prawej. Nasi

chłopcy z GRU dostali się tam prawdziwą drogą - przez wojsko. My mamy komputer, my wygramy wojnę. *Operacja „Zarnica”*. Na tę myśl Ogarkow chrząknął z zadowoleniem.

- A mówiąc o komputerze, to zaprowadźcie mnie do niego. A propos, przykro mi z powodu waszego ojca.

- Tak - odrzekł Serow smutno. - Bolesna strata dla mnie i dla kraju.

Ogarkow uważał Nikołaja Serowa za niebezpiecznego wariata, dla którego byłoby lepiej, gdyby nie żył, ale że właśnie tak się sprawy miały, a poza tym Serow dał Armii Czerwonej genialnego syna, przymykał na to oczy.

Obydwaj mężczyźni, wysoki, barczysty generał ze złotymi epoletami i szerokimi lampasami, oraz niewysoki, dociekliwy inżynier w sportowej kurtce i flanelowych spodniach, wyszli z kabiny i Serow zaprowadził Ogarkowa do dużego, przydzielonego mu pomieszczenia.

Komputer wyglądał tak, jak wówczas, gdy przyszedł na świat w Yokohamie.

- Niezbyt imponujący, prawda? - mruknął Ogarkow.

- Żadnych kolorowych światełek ani dzwonek - rzucił Serow ostro. - Jeśli to mieliście na myśli. Jednak sądzę, że jego pracę uznacie za imponującą.

Ogarkow spojrzał z rozbawieniem na Serowa.

- Ależ ja wcale nie krytykuję waszej dziecinki - usprawiedliwił się. - Wyjaśnijcie mi zasady działania, a potem włączcie komputer. Oczywiście, kiedy będziecie gotowi.

- Już jestem gotów - odpadł Serow sztywno. - Jest to bardzo nowoczesny komputer - zaczął. - Można poznać po rozmiarach. Fizycznie obudowa jest bardzo mała, proszę spojrzeć. Jednak kryje w sobie najpotężniejszy procesor na świecie. Ciekłe chłodziwo krąży przez płytki obwodów drukowanych. Pamięć fizyczna jest rzędu kilku terabajtów, jednostka centralna ma okres zegara mierzony w pikosekundach. Dyski są bardzo małe, składają się z całych szeregów pojedynczych dysków o dużej gęstości. Podejrzewam, że pliki są rozpostarte w poprzek pojedynczych dysków, tak że jeden rozkaz czytania uruchamia wszystkie głowice dysków, by działały jednocześnie i przesyłały natychmiast wszystkie dane. Przypuszczam, że szybkość przesyłania danych na dysk i z dysku jest rzędu tysięcy megabajtów

na sekundę. Jeśli mam rację, to „Czerwony Sztandar” z łatwością odnajdzie się w sercu BMC3. Otrzymując dane z naszych czujników: satelitów, radarów, hydrolokatorów, HUMINT-u i tak dalej, będzie tworzył spójny obraz tego, co dzieje się na polu walki, badał status naszych sił i przekazywał rozkazy do różnych grup bojowych, ośrodków dowódczych i kogokolwiek, kto będzie ich potrzebował. Będzie to robił bardzo, bardzo szybko. Powinniśmy być w stanie rozłożyć na łopatki nieprzyjacielski obieg dowodzenia i sterowania walkami.

Serow chodził po przestronnym, nienagannie czystym pomieszczeniu i pokazywał części architektury komputera.

- Łączność przebiega po nośnikach światłowodowych. Eliminuje to podatność na zakłócenia zagłuszające. Prędkości przekazywania danych na tych łączach sięgają terabajtów na sekundę. A tutaj mamy kilka oddzielnych urządzeń. Nie jestem do końca pewny, do czego służą. Po pierwsze działają na bazie fotoniki, a nie elektroniki, i są inteligentne. To neuronowe procesory sieci.

- Jakie mają znaczenie? - spytał Ogarkow.

- Neuronowe procesory sieci imitują neuronowe oddziaływania ludzkich komórek mózgowych. Informatyka neuronowa zasadniczo różni się od konwencjonalnego podejścia von Neumanna do informatyki algorytmicznej. Jej zaletą jest to, że neuronowe sieci umieją pracować nad sprzecznymi i niedokładnymi danymi. Nie trzymają się sztywno reguł, a gdy podda się je działaniu realnych danych, będą się uczyć. W efekcie same odkrywają reguły. Podobnie jak ludzie: im więcej robią, tym stają się sprytniejsze.

- Wspaniale - odezwał się Ogarkow. - Zobaczmy, jaki jest sprytny.

Jurij zasiadł przy pulpicie, niczym dyrygent chóru, który ma zaraz wydobyć z organów pierwsze kilka taktów hymnu. Jego palce przebiegły po klawiaturze i kilka małych światełek rozżarzyło się.

- No dobrze - wyszeptał. - Zobaczmy teraz...

- *Ohayo gozai-mass* - odezwał się głos. Serow popatrzył przed siebie z niedowierzaniem, a krew odpłynęła mu z twarzy. Głos dobiegał z maszyny.

- Co jest, do cholery - chrapnął Ogarkow, jego ciężkie buty trzasnęły o

kafelki, gdy postąpił do przodu, by przyjrzeć się komputerowi.

- *E! Nart dess ka?* - odparł komputer uprzejmym, pytającym tonem.

- Ta pieprzona maszyna mówi, Serow - zawołał Ogarkow.

- *Chot-to!*- powiedział do siebie „Czerwony Sztandar”, vel „Koralowa Włócznia”. Zdawał się zadowolony. Odchrząknął, a dwaj Rosjanie wytrzeszczyli na niego oczy. - *Dobryje utro.*

- To coś mówi po rosyjsku.

- Aha - zanucił „Czerwony Sztandar” uszczęśliwionym tonem. - Jednak mam rację. *Dobryje utro.* Dzień dobry, proszę pana. Czy mogę spytać, z kim mam przyjemność?

◆ Adamstown, Maryland

Teraz, będąc wdowcem, Thrale zwykle wcześniej wychodził z domu i jechał do biura. Dom, niegdyś pełen szczęścia, przemienił się w coś na kształt kadłuba statku, a dyscyplina pracy w liny cumownicze, które utrzymywały Thrale'a przy zdrowych zmysłach. Wykonywany zawód oraz wiek uczyniły z niego rutyniarza. Wstawał, przygotowywał się do obowiązków i wyjeżdżał starym Cadillakiem, codziennie o tej samej godzinie. O tej porze roku szarzało dopiero, a świt rozjaśniał niebo nad horyzontem.

Mieszkał przy wijącej się, okolonej żywoplotem alejce, przy której ludzie pracujący zawodowo urządzili się wygodnie w swoich dwupoziomowych, rozłożystych rezydencjach. Podobnie jak Thrale niemal wszyscy stanowili część wielkiej, podłączonej do rządu maszynerii, która dawała zatrudnienie znacznej liczbie obywateli Waszyngtonu, tak z centrum, jak i peryferii miasta.

Natura Thrale'a ukształtowała się dawno temu, kiedy jako młody człowiek starając się utrzymać przy życiu jednocześnie wycęzał wszystkie siły, żeby zabić innych młodych ludzi. W tamtych czasach czekał, aż oleje i części silników osiągną temperaturę pracy, żeby uniknąć śmiercionośnego, zimnego, gęstego smaru wewnątrz śmigła o zmiennym skoku i uderzenia pełnej mocy ciągu, która przepycha wskazówkę ciśnienia zimnego oleju daleko na czerwone pole wskaźnika i opróżnia zawartość silnika w kilka sekund po starcie. Pół wieku później przyzwyczajenie kazało Thrale'owi

siedzieć cierpliwie w Cadillacu, podczas gdy motor pracował, a wskaźnik temperatury wody leniwie budził się z bezruchu.

Przylegający do ściany domu garaż stał na łagodnym stoku i, podczas gdy rozgrzewał się silnik, Thrale mógł wytoczyć samochód tyłem na świeże powietrze. Poczyniwszy wszelkie przygotowania, nie ruszając się z siedzenia, zamknął drzwi garażu za pomocą pilota. Niewiele większym wysiłkiem byłoby wysiąść i zrobić to własnoręcznie, lecz Thrale tłumaczył sobie, że jeśli padał deszcz, chroniło go to przed przemoczeniem. Tak było w istocie, ale prawdę mówiąc Thrale po prostu uwielbiał gadzety.

Na biegu limuzyna, jedna z ostatnich wielkich złopaczy paliwa z silnikiem o pojemności ponad 6500 cm sześciennych, stoczyła się bez wysiłku z podjazdu i dalej w dół alejki. Świt nadszedł wcześniej i ukazał bezchmurne niebo. Thrale jechał na przygaszonych reflektorach, które wkrótce miał wyłączyć.

Inne przyzwyczajenie, które wyniósł z wojny, obejmowało instynktowną świadomość wydarzeń dookoła. W myśliwcu obserwował górę i dół, przód i tył, każdą stronę. W samochodzie Thrale kontrolował całą drogę.

Coś mignęło we wstecznym lusterku. Sunąc dalej w półmroku stracił to z oczu. Wyglądało na to, że gdy przejeżdżał obok, ktoś wyrósł jak spod ziemi, wysunąwszy się z żywopłotu.

W dziewiętnastym roku życia Thrale umiał lepiej przewidywać bieg wydarzeń na podstawie refleksu lecącej w oddali plamki lub grupy poskręcanych smug kondensacyjnych, niż było to możliwe w przypadku normalnego człowieka. Posiadał szósty zmysł podarowany tylko niewielu, tej garstce powietrznych asów, którzy strącali najczęściej samolotów. Należał do nich obok Iry Jonesa i Ericha Hartmanna, Nishizawy i Bonga, Finucana i Richthofena. Podobnie jak oni, Thrale widział więcej niż inni.

Nie uświadamiając sobie tego zwolnił i przerzucił drążek automatycznej skrzyni biegów z pozycji „do przodu” na luz. Pochylił się w przód na siedzeniu, głowa obracała mu się na boki, wykręcała się, oszacowując niebezpieczeństwo. Lewą ręką przycisnął automatyczną dźwignię i szyba opuściła się. Nos i uszy badały powietrze.

Ludzie, którzy zamieszkali w tej okolicy, sprowadzili się tutaj przyciągnięci perspektywą życia na wsi. Pracowali w mieście, ale mieszkać chcieli tam, gdzie powietrze było czyste.

Teraz nie było czyste. Poczuł ostry zapach miasta, czegoś dymiącego, na wpół spalonej ropy. Dieslowskie spaliny. Lekka bryza przyniosła ze sobą głębokie dudnienie, syk wielkich opon, które sunęły po asfalcie. Czyżby coś mignęło pośród wijącego się żywopłotu?

Thrale nadepnął na pedał gazu i rozgrzany silnik zahuczał z mocą. Opony Cadillaca zapiszczały, próbując wchłonąć przesywający je nagle zwiększony moment obrotowy. Gdy przód wielkiego samochodu wyrwał w górę, Thrale gwałtownie skrzył kierownicę w lewo.

Ciężarówka pędziła wprost na niego. Nieoświetlona, olbrzymia jak lewiatan, górowała nad Cadillakiem. Spowił go ryk jej wielkiego silnika na pełnych obrotach.

Z wizgiem własnego silnika Cadillac trzepnął w żywopłot z całą siłą swoich dwóch i pół ton. Ciężarówka zniknęła. Płaty poszarpanej ziemi zawirowały w powietrzu, gdy samochód przeleciał przez żywopłot i zawirował bezładnie na wilgotnej trawie. Zatrzymał się w szerokim stawie, a jego przód wrył się głęboko w taflę wody.

Woda trysnęła do środka jak z węża strażackiego i Thrale zaczął szamać się z pasem bezpieczeństwa. Odepchnąwszy ciężkie drzwi wpadł do stawu. W przyćmionym świetle wyczuł trawę pod palcami i starając się złapać oddech zaczął jak szalony wdrapywać się na brzeg.

W powietrzu pulsowała para i unosił się zapach świeżej ziemi i oleju. W półmroku dostrzegł dwie postaci, które przełaziły przez wyrwę w żywopłocie. Ciemne, gibkie ciała poruszały się zwinnie i cicho.

Nurkując niczym poławiacz pereł Thrale wskoczył z powrotem do stawu. Ubranie krępowało mu ruchy, gdy przedzierał się na drugą stronę. Dusząc się niemal wypłynął na powierzchnię. W domu naprzeciwko paliły się światła. Oczami pełnymi wody desperacko wpatrywał się przeciwną stronę stawu. Za wrakiem Cadillaca jakieś kształty rozplynęły się w ciemności.

Brodząc w wodzie i chlapiąc na boki ruszył w stronę brzegu, gdzie

zaplątał się w wodorosty. Jakiś głos wołał do niego po imieniu, silne ręce podniosły go i pomogły wejść do domu. Woda ze stawu skapywała z Thrale'a na podłogę kuchni Meade'ów. Lee Meade był potężnym mężczyzną z południa, specjalistą od komputerów. Doglądał całe ich „plantacje” w Agencji Bezpieczeństwa Narodowego mieszczącej się na drodze do Baltimore, niedaleko Parkway. Sąsiedzi podśmiewali się z jego stawu, który - jak twierdził - ozdabiał ogród. Mówili, że trzyma w nim sumy, bo przypominają mu rodzinne strony.

- Przykro mi z powodu stawu, Lee.

- Pal licha ten cholerny staw, K.K. Jak tam do diabła wylądowałeś?

Żona Lee przyniosła do kuchni koc i zaczęła zamęczać Thrale'a, by zdjąć przemoczone ubranie. Musiał w końcu ustąpić.

- Ciężarówka, Lee. Jakiś cholernie wielki szesnastokołowiec. Leciął prosto na mnie. Myślałem, że to już koniec.

- Uderzyła w ciebie?

- Nie, zwałem przez żywopłot.

- Wyrwał mnie ze snu jakiś głośny łomot. Wyrzałem, żeby zobaczyć, co się dzieje i zobaczyłem jak skaczesz na plecy do stawu.

- Chyba nie myślałem zbyt trzeźwo... sądziłem, że ktoś chce mnie zabić.

Katie Meade przyszyła, by zabrać ubranie. Wzdrygając się nagle z zimna Thrale owinął się kocem.

- Nie masz chyba oleju w głowie, żeby tak stać i wypytywać biednego pana Thrale'a - zganiała męża. - Widzisz, że nie czuje się najlepiej, od kiedy mu żona zmarła. Lepiej idź i zadzwoń po doktora.

Thrale usłyszał szcęk filiżanek i naczyń oraz bulgotanie czajnika, w którym gotowała się woda. Podszedł do okna i wyrzał na dwór. W świetle brzasku wszystko trwało w bezruchu. Droga była pusta.

◆ Ogawaken, Szimbashi, czerwiec 1951

Sala huczła. Nawet Komura, który jadał w tej bajecznie drogiej restauracji niezwykle często, nie pamiętał, by panował w niej taki ruch, od czasu, kiedy pięć lat temu zaczął gościć tam ludzi wielkich i wpływowych. Steki, *tempura*, *suszi* i *fugu*, przyjęcia w przestronnej willi w Kijoto, piwo i whisky w barach Ginza i Akasaki, wyrobienie sobie autorytetu w finansowej

i politycznej społeczności w japońskim stylu, wszystko to zniszczyło jego szczupłą konstytucję fizyczną i sprawiło, że przybrał na wadze. Jednak to także wzbudzało szacunek.

Gość, którego zaprosił na obiad zajął miejsce przy stole. Dla tych, którzy znali go w dniach świetności, generał Yonai przedstawiał cudaczny widok. Na głowie miał czapkę baseballową Dodgersów, a na ramionach atłasową kurtkę Gigantów. Ubrany był w kraciatą koszulę i przykrótkie portki z płótna, które odsłaniały żółte skarpetki nad dwukolorowymi mokasynami. Jego odzienie pasowało do Boise w stanie Idaho. Stała przed nim na stole wysoka, do połowy opróżniona szklanka, w której góra lodowa rozpływała się w brązowym morzu. Uśmiechał się szeroko.

- Jak miło znów cię widzieć - przywitał się Komura, zajmując swoje miejsce.

- Przyjechałbym wcześniej, ale nie miałem wolnej chwili - odparł Yonai. - Jednak po twoim wyglądzie łatwo poznać, że bawisz tu już od dłuższego czasu.

Komura wygładził na brzuchu białą, bawełnianą koszulę pierwszorzędnej jakości.

- Jestem trochę obszerniejszy niż dawnej - zgodził się.

Yonai odbeknął, pochylając się do przodu i mgiełka dobrej whisky popłynęła w poprzek stołu.

- Dobra rzecz - oświadczył stukając w szklankę. Rzucił Komurze konspiracyjne spojrzenie. - Widzę tu więcej zbrodniarzy wojennych klasy A, niż siedziało ze mną w obozie.

- Zrehabilitowani - skwitował Komura.

Ładna, przyodziana w kimono kelnerka zbliżyła się, żeby odebrać zamówienie. Wzięli po prawie półkilowym kawałku polędwicy z żeberkiem, pieczone ziemniaki i sałatkę.

- W amerykańskim stylu - Yonai uśmiechnął się szeroko. Zamówił następną kolejkę dużej Wild Turkey, a Komura koniak Hennessy.

- Popatrz tam - szepnął Yonai, posyłając dyskretne spojrzenie poprzez podświetlone pomieszczenie. - Czy to nie Odachi Hirokichi? Kiedy widziałem go ostatni raz, prowadzono go skutego w kajdanki.

- Teraz jest wiceministrem w Ministerstwie Handlu Zagranicznego i Przemysłu.

- Dawniej był szefem biura policji Naimusho - odparł Yonai. - Dlatego wsadzili go pod klucz.

Stary generał zezował po sali, wyłapując wzrokiem znajome twarze.

- A tam siedzi Niwa Keikichi.

- Minister spraw wewnętrznych.

- Okuno Shigeo.

- Lider Japońskiej Liberalnej Ligi Antykomunistycznej.

- Co? W 1939 był szefem Korpusu Krwi Czarnego Smoka.

- To to samo - skwitował Komura.

- Nadao Bumbei. Dawny boss *yakuza* w Aichi.

- Nadal nim jest. Oraz specjalnym asystentem ministra spraw wewnętrznych.

- Który to?

- Furu Kingo.

- Były szef sekcji *Tokko* w Tokio. Czym zajmuje się u niego Bumbei?

- Rozwalaniem głów, wieców związkowych i biciem socjalistów.

- O! A tam Okazaki Seisuke. Nie siedzi już w swojej celi w Sugamo?

- Jest ministrem edukacji.

Oszołomiony Yonai zasapał i potrząsnął głową.

- Czy Amerykanie o tym wiedzą? - spytał szeptem.

- To ich robota.

- Okazaki Seisuke był prokuratorem generalnym. Dowodził specjalnym, wyższym departamentem policji, wiesz, Policją Myśli. Kształcenie dzieci naszego narodu spoczywa w umiętnych rękach, to pewne... Mówisz, że Amerykanie o tym wiedzą?

- Zapomnieli - wyłuszczył łagodnie Komura.

- Zapomnieli? Jak mogli zapomnieć? Przecież to było wczoraj.

- Amerykanie nie mają pamięci historycznej. Mają teraz na głowie inne sprawy. Powiedz, z kim się dzisiaj widziałeś?

- Z generałem Harrisem.

- I co chciał wiedzieć?

- Czy stoję na gruncie, cokolwiek to oznacza, demokracji i amerykańskiego stylu.

- Przytaknąłeś?

- Jasne.

- Coś jeszcze?

- Pytał, czy jestem przeciwny i oburzony światowym spiskiem bezbożnego komunizmu i czy walczylibym przeciw niemu do ostatniego tchnienia. Odparłem, że tak.

Komura zachichotał.

- „Przejdź z prawdziwym mężczyzną sto metrów, a skłamię ci przynajmniej siedem razy”.

- Skłamałbym siedem razy - Yonai spuścił skromnie oczy. - Ale dał mi czasu tylko na trzy albo cztery.

- Zaproponował ci pracę?

- Tak, zostałem wiceprezesem Komisji do spraw Działań Antyjapońskich. Mamy brać wzór z jakiegoś senatora McCarthy'ego. Naszym prawdziwym zadaniem zdaje się być zniszczenie przeciwników LDP. Według maksymy: „Przejdź na naszą stronę albo będziesz reedukowany”. Cóż, wiemy, jak się do tego zabrać.

- Ja za to spotkałem się dzisiaj z Johnem Fosterem Dulesem. Przysłał go Truman, żeby wysondował nasze zamiary względem układu pokojowego. Siedziałeś w więzieniu, gdy w ubiegłym roku przeżyliśmy tu „czerwone oczyszczenie”. Pozbyliśmy się wszystkich postępowych polityków, rozbiliśmy w proch lewicujące związki i zgnetliśmy partię komunistyczną. Komura Bussan wyszło z tego prawie nie tknięte. Oddano mi wszystkich dawnych dyrektorów *zaibatsu* najwyższego szczebla. Utrata pamięci u Amerykanów nie posunęła się tak daleko, by zapomnieli, że Komura Bussan było największym producentem zbrojeniowym w czasie Wielkiej Wojny Wschodniej Azji. Bank Komura znów jest najpotężniejszy. Powinieniś tam być - rozmarzył się Komura. - Większość szych, z którymi spotkał się Dulles to zrehabilitowani bossowie przedwojennego i wojennego imperium. Dyrektorzy Manchurian Heavy Industries i Nissan Chemicals. Nie zabrakło też Nomury Kichisaburo, dawnego ambasadora w Pearl Harbor oraz kilku nas młodych, przywódców *zakai*, bo tak teraz nazywamy *zaibatsu*.

Amerykanie stracili Chiny na rzecz Czerwonych. Prowadzą wojnę w Korei. Chcą nas przezbroić na użytek własnych posunięć militarnych, więc, by uzyskać lepszą pozycję przetargową, zażądaliśmy gwiazdki z nieba - pełnych dostaw żywności, surowców, paliwa i, co najważniejsze, technologii,

które umożliwią nam dogonienie Zachodu. Poprosiliśmy o przywrócenie ekonomicznej i politycznej niepodległości, członkostwo w światowych organizacjach i ochronę wojskową, za którą zapłaci USA. Mówię ci, niektórzy strasznie się bali. Sądziliśmy, że Dulles wyrzuci nas za drzwi za to, że jesteśmy tak diabelnie bezczelni.

- Jak się to skończyło? - spytał cicho Yonai.

- Dostaliśmy wszystko co do joty, a potem jeszcze więcej! - oświadczył Komura cały czas nie mogąc w to uwierzyć. - Ucieszylibyśmy się z połowy, nawet mniej niż z połowy...

Yonai powiódł wzrokiem po huczącej sali. Kelnerka postawiła przed nimi nowe napoje.

- Jest tak jak w 1941 roku - podsumował. - Jakbyśmy nigdy nie ponieśli klęski. Nic się nie zmieniło.

Komura podniósł szklankę wysoko. Szeroki uśmiech rozciągnął mu twarz.

- *Cheers*, jak mówią Amerykanie.

- *Cheers*.

- Albo jak mawiamy my Japończycy - *Hakko icziu!*

- *Hakko icziu!*

◆ **Departament Stanu, Waszyngton,**

Cy Rogers musiał przyznać, że dobrze się bawi. Paradoksalnie, Borodinowi o wiele trudniej byłoby zrobić Rogersowi to, co on właśnie robił jemu. Rogers miał trzy stopnie naukowe z dziedziny dotyczącej przeszłości, terażniejszości i przyszłości narodu chińskiego, z których najwyższy był doktoratem. Umiał płynnie mówić i czytać po mandaryńsku i kantońsku, a swobodnie rozmawiał w jeszcze kilku innych dialektach. Spędził jednak w Chinach wszystkiego niecałe dziewięć miesięcy podczas najróżniejszych wizyt. Borodin żył w tym kraju w czasach pełnego rozkwitu przyjaźni chińsko-radzieckiej. Znał tych skurczybyków tak dobrze, że Rogers mógł tylko pomarzyć, by z nim konkurować pomimo swoich akademickich umiejętności.

Rogers odkrył w jego życiu bogatą żyłę do spenetrowania, zwłaszcza że Borodinowi udało się utrzymać kontakty w ChRL nawet po tym, jak stosunki między obu krajami znacznie się oziębily. Wynikało to jasno z dużej

wartości jego ocen sytuacji, które niekiedy sprawdzały się z dokładnością przepowiedni. Borodin był kimś więcej niż analitykiem, na swój sposób był mistrzem szpiegostwa, który dysponował własną siatką.

Z tych właśnie powodów Borodin natrafiłby na większe trudności przy fabrykowaniu materiału obciążającego Rogersa. Prawdziwym powodem było jednak to, że obrzucając Borodina błotem Rogers miał pewność, że przyłgnie ono do ofiary w radzieckiej lub chińskiej paranoicznej dyktaturze biurokratycznej. Kiedy miało się do czynienia z państwem opartym na jadowej świeckiej religii, łatwo można było przekonać ludzi, że między nimi czają się czarownice.

Rogers miał do swojej dyspozycji akta wywiadu amerykańskiego, które sięgały wstecz aż do II wojny światowej. Jako wyszkolony naukowiec szybko i pewnie poruszał się w dżungli teczek i dokumentów z OSS, CIC i CIA. Odwiedził Agencję Bezpieczeństwa Narodowego, gdzie czternaście ustawionych w trzystustopniowy łuk pionowych kolumn centralnego komputera CRAY-2 pozwoliło mu bez wysiłku zapuścić się w elektroniczną przeszłość. Narodowy Ośrodek Rozpoznania Fotograficznego dostarczył Rogersowi zdjęcia zrobione z odległości stu metrów i dwustu czterdziestu kilometrów trzystumilimetrowym obiektywem Zeissa i dwupołożeniowym obiektywem o zmiennej ogniskowej zamontowanym naprzeciw „gumowego” lustra wstępnego w satelicie typu *KH-11*.

Gdy weszła sekretarka, siedział za biurkiem i zestawiał zgromadzone materiały.

- Ma pan spotkanie w Langley - przypomniła.

- Dziękuję, Molly - mruknął z roztargnieniem. Podnosząc się z krzesła rzucił okiem na zdjęcie, które wpłynęło tego ranka. Młody Borodin ryczał ze śmiechu w towarzystwie będącego wtedy w średnim wieku Czianga Szikai.

- Widzisz, ten skurwiel ich zna - rzucił. Włożył odbitkę do teczki i sięgnął po płaszcz. - Dlatego jest lepszy ode mnie. Ale nie jest to jedyna przyczyna.

Wyszedł mijając swoją sprawną, choć już nie najmłodszą sekretarkę, która pokręciła głową na myśl o obsesjach naukowców.

Rogers zjechał windą do podziemnego parkingu, gdzie jego Chevrolet stał między innymi samochodami. Każdy, kto nie był obeznany z

rozgałęzieniami olbrzymiego i chaotycznego labiryntu parkingu, gubił się natychmiast. Rogers miał swoje miejsce w rogu, w małym aneksie.

Idąc w tamtym kierunku usłyszał nagle odgłos ciała uderzającego o ciało i skamlenie kobiecych protestów. Szczupła kobieta w czerwonej sukience stała przyciśnięta do boku samochodu. Młody człowiek, który na nią napierał, stał tyłem do Rogersa. Uniósł dłoń w groźnym geście.

- Dawaj forszę, ty dziwko! - warknął.

Rogers miał dwa metry wzrostu, a w czasach uniwersyteckich grał na pozycji łącznika. Puścił się biegiem.

- Hej, ty! - zawołał. - Odwal się, dobra?

Młodzieniec w brązowej skórzanej kurtce wyrwał jak zając i popędził w głąb podziemnej uliczki, gdzie szybko zniknął między samochodami. Kobieta wysunęła się z kąta, w który została wepchnięta, i uśmiechnęła się z wdzięcznością i ulgą. Miała dwadzieścia kilka lat, była młoda, śliczna, o orientальной urodzie.

- Dziękuję panu najmocniej... sama nie wiem, jak do tego doszło...

- Nic się pani nie stało? - spytał opiekuńczo. - To okropne, że takie rzeczy zdarzają się na parkingu Departamentu Stanu.

- Tak...tak.. - dziewczyna grzebała w torebce. - Gdzie ona się podziała? Wyglądam pewnie jak straszdyło.

Ach te kobiety, pomyślał Rogers z czułością. Martwią się o wygląd, nawet gdy przed chwilą ktoś je napadł.

Piekący ból przeszył mu żołądek i Rogers zwałił się niczym podcięta sosna. Uderzył w bok samochodu i chwycił się lusterka. Młoda kobieta ugodziła go ponownie w kark. Rogers dostrzegł w jej dłoni pobłyskujące, zbroczone krwią ostrze. Osunął się ciężko na asfalt. Umierając podniósł na dziewczynę zdziwione oczy i dostrzegł mężczyznę, który wrócił z głębi parkingu. Dwie piękne twarze o orientalnych rysach spoglądały na niego z góry. Wydawały się zadowolone. Dziwne. Krew tryskała z dwóch śmiertelnych ran.

Młoda kobieta ostrożnie wyciągnęła portfel Rogersa i schowała go do torebki. Jej towarzysz zrzucił skórzaną czapkę i rozpuściwszy długie, czarne włosy znów przemienił się w kobietę. Szybkim krokiem ruszyły w stronę wind, a zabójczyni wytarła do czysta dłoń, która uśmierciła Rogersa,

i złożywszy schludnie wilgotną chusteczkę włożyła ją w plastikowym opakowaniu do torebki.

Założywszy identyfikatory wjechały na parter budynku i wyszły na ulicę Waszyngtonu.

◆ Adamstown, Maryland

Thrale doszedł do siebie po szoku spowodowanym wypadkiem na tyle, by odzyskać kontrolę nad otoczeniem. Odrzucił sugestie, że powinien dać się obejrzeć lekarzowi i poprosił Lee Meade'a, by podrzucił go do domu, gdy będzie jechał do podziemi Agencji Bezpieczeństwa Narodowego i jej „plantacji” komputerów. Włożył do pralki zmoczone w stawie ubranie, a sam wszedł pod prysznic i od nowa rozpoczął poranek.

Zadzwoniwszy do biura, by zawiadomić Curtisa, że nie przyjedzie tego dnia do pracy, załatwił w miejscowym pogotowiu powypadkowym usunięcie ze stawu Cadillaca i przetransportowanie go do naprawy w punkcie serwisowym. Wynajął dwudrzwiowego Forda i opłacił ogrodników, którzy mieli zreperować żywopłot i doprowadzić do porządku podwórze Meade'ów.

Wróciwszy do domu ciężko opadł na kanapę. Chwilowy rumieniec i wigor wywołane zwykłą adrenaliną w organizmie całkowicie go opuściły. Niegdyś śmierć była mu tak powszednia i zwyczajna jak przeziębienie, ale było to bardzo dawno temu. Teraz miał swoje lata i gustował w spokojnej rutynie dnia. Nalał sobie sporego Jacka Danielsa i usiadł, tuląc szklankę w dłoniach. Kiedy skończył pić, położył się na kanapie, by odpocząć i zasnąć.

Obudził go telefon.

- Thrale, słucham.

- Wujek K.K.! - Młody głos, który popłynął ze słuchawki przemył jego posiniaczony umysł niby górski strumień. - Mówi twoja siostrzenica, Masako.

Przez chwilę Thrale starał się dopasować obraz do osoby. Masako nie była wcale jego prawdziwą siostrzenicą, a tylko honorową. Jej prawdziwym wujem był jego partner, Hasegawa Nobu. Przypomniawszy sobie: małą, śliczną dziewczynkę o rok starszą od swojej siostry Kiyoko. Minęło piętnaście lat, od kiedy Thrale był w Japonii. Nawet bym jej nie rozpoznał, pomyślał.

- Masako, jak miło cię usłyszeć. Jesteś w Waszyngtonie?

Na linii nie słyszało się żadnego opóźnienia, które wskazywałoby na rozmowę zamiejscową.

- Tak. Jest ze mną Kiyoko. Przyjechałyśmy na wakacje - zamilkła. - Wujku, chcemy, byś wiedział, jak bardzo nam przykro, że nie ma już wśród nas cioci Keiko.

- Tak - Thrale czekał, aż ból, który nadchodził za każdym razem, gdy przypominał sobie o śmierci żony, zmaleje, lecz na próżno. - Tak.

- Wujku, musimy dotrzymać pewnej obietnicy. Otóż, zanim wyjechałyśmy z Japonii, mama poprosiła, żebyśmy koniecznie cię odwiedziły i ugotowały ci prawdziwe, japońskie danie. „Bez żony, która trzymywałaby go w karchach - powiedziała - wpadnie w złe nawyki. Będzie jadał hamburgery i frytki w barze.”

Thrale roześmiał się ze skruchą.

- Taak. Wydaje mi się, że jest w tym trochę prawdy.

- Jesteśmy w Waszyngtonie tylko do jutra. Potem jedziemy do Bostonu, żeby zobaczyć zatokę, do której wrzucili herbatę. „Bostońskie picie herbaty”. - Młody głos zachichotał. - Świetnie się bawimy. Podróżowanie za granicą to wspaniała przygoda. Niestety możemy się zobaczyć tylko dziś wieczorem. Czy mogłybyśmy przyjść i ugotować coś dla ciebie? Znalazłyśmy kilka dobrych, japońskich sklepów, gdzie można kupić wszystko, czego będziemy potrzebowały.

Thrale wiedział, że pewna część jego osobowości jest bez reszty japońska. Nie ulegała ona zmianom, bez względu na to, od jak dawna mieszkał w Ameryce i uważał się za Amerykanina. Dopóki żyła jego żona, część ta była troskliwie pielęgnowana. Ogarnęła go nagła tęsknota, by zobaczyć się z tymi dwiema Japonkami.

- Byłbym zachwycony - odpowiedział szczerze. - Ale jak mogę się odwdziżyć? Może coś kupić?

- Nie wolno ci nic kupować - upomniała go. - Ale mama miałaby prośbę. Pamiętaj, że robiłeś kiedyś kaligrafie i pyta, czy nie przepisałbyś czegoś dla niej.

- Minęło trochę czasu, ale nadal mam pędzelki i z przyjemnością zrobię to dla waszej mamy; bardzo dobrze ją pamiętam. Ale czekaj: jeśli wy dwie

będziecie gotowały dla mnie, to ja także muszę coś dla was upichcić. Jak będziecie robić zakupy, kupcie mąkę. Nie jestem prawdziwym kucharzem, ale umiem robić *soba*.

Masako zachichotała.

- Ależ ja uwielbiam *soba*. Pohałasujemy trochę. Będzie świetna zabawa.

- Przyjeżdżajcie prędko - poprosił Thrale. - Nie mogę się was doczekać.

Odłożywszy słuchawkę uświadomił sobie, że powiedział to szczerze. Był na wpół Japończykiem i na wpół Amerykaninem. Kiedy żyła jego żona, te dwie części znajdowały się w równowadze, *jin* i *jan* jego życia współistniały w pełnej harmonii. Jej śmierć pozbawiła go tego. Nadszedł czas, by nakarmić tę japońską połowę.

Wstawił pustą szklankę do zmywarki i poszedł wypłukać z ust smak Jacka Danielsa i splukać pod prysznicem pot po niespokojnym odpoczynku. Ubrał się w białą *yukata*, którą miał na sobie po raz pierwszy od długiego czasu. Z biurka wyjął atrament, pędzle, papier i zasiadł, by poćwiczyć ideogramy. Wkrótce potem u drzwi zabrzączał dzwonek. Na ganku czekały dwie młode kobiety, a ich mały Volkswagen stał zaparkowany dyskretnie za krzakami w podwórzu. Uśmiechając się cała trójka ukłoniła się oficjalnie i Thrale poddał się rozkosznej przyjemności, gdy miriady zwyczajów i rytuałów tej drugiej połowy jego ja poniosły go niczym bystry strumień łódź.

Masako, ta starsza, i jej siostra Kiyoko miały na sobie dzinsy i kolorowe bawełniane koszulki, tak jak wszystkie amerykańskie dziewczęta w ich wieku. Przydźwigały ze sobą torby, z których kilka złożyły w kuchni, po czym Thrale poprowadził je do gościnnej sypialni z łazienką. Za chwilę ukazały się przebrane. Masako przywdziała śnieżnobiałe kimono, Kiyoko zaś szkarłatne. Zamieniły się pasami *obi* tak, że talię Masako opasywała płomiennie czerwona rzeka jedwabiu, a Kiyoko srebrzyście biała. Czarne, lśniące włosy zaczesaly do góry i udekorowały fryzury kwiatami chryzantemy. Thrale ukłonił się i cmoknął z zachwytem.

- A oto podarunek dla ciebie od mamy - rzekła Kiyoko i podała mu polerowane pudełko. Kiedy Thrale położył je na stole w pokoju dziennym i otworzył, jego oczom ukazały się dwie butelki owinięte w szkarłatne i

białe chusteczki, niebiesko-biała filiżanka do picia *czoko* i butelka *tokkuri*. Filiżanka zrobiona była z delikatnej porcelany, a butelka z polerowanej, niebieskiej gliny. Wykonano ją tak, by pomieściła jeden *go sake*.

- Mama pamięta cię jako *sake tsu* - wyjaśniła Masako.

- Uważała, że tak daleko od domu trudno będzie takiemu koneserowi jak ty znaleźć porządną sake.

Thrale odwinął opakowanie z butelek.

- *Hibikinada ginjo-zukuri* - zawołał z uwielbieniem. - Wasza matka świetnie zna się na rzeczy.

Dziewczęta uśmiechnęły się szczęśliwie.

- Myślę - zawyrokował Thrale - że powinienem odpłacić waszej mamie teraz, gdy moje oko i ręka są pewniejsze, niż mi się to będzie wydawać po jednym czy dwóch *go*. Co chciałaby, żebym napisał?

- Pamięta, że widziała cię, gdy przepisywałeś *Heike Mori-gatari*.

Thrale uśmiechnął się.

- Co za kronika! Jaki heroizm. Uwielbiałem ją. Tak, znam ten urywek, który pamięta wasza matka. Przybory leżą gotowe na stole. A tak nawiasem mówiąc, nie miałyście żadnych kłopotów teraz, gdy są takie zatargi między naszymi krajami?

Roześmiały się.

- Mówimy dobrze po angielsku, a poza tym wszystkim wmawiamy, że pochodzimy z Hawajów.

Thrale usiadł. Słyszał, jak za jego plecami w jadalni dziewczęta cicho pracują.

Pociągnięcia pędzla płynęły po twardym papierze, kreśląc dokładnie asymetryczne wzory.

Dziewczęta weszły do pokoju. Masako westchnęła z zachwytem.

- Tak. „Dumni trwają tylko przez chwilę, jak wieczorna drzemka wiosną. Potężni złamani zostają na końcu, są niczym pył pędzony przez wiatr”.

Podawała mu *czoko* do *sake*, teraz wypełnioną *ginjo-zukuri*.

- *Kampai* - mruknęły obie.

- *Kampai* - zawtórował Thrale. Uniósł filiżankę do ust i posmakował tego szczególnego napoju. - Czuję się tak, jakbym nigdy nie wyjechał z Japonii.

Kiyoko zachwycała się kaligrafią.

- Gdzie nauczyłeś się tak wspaniale kaligrafować? - spytała.

- Zachorowałem, kiedy byłem chłopcem i przez niemal dwa lata nie chodziłem do szkoły. Uczyła mnie wtedy moja babka, Japonka. I to wiele różnych rzeczy, nie tylko pisać.

- *Heike*. Może właśnie wtedy po raz pierwszy nauczyłeś się być *samurai*.

- Może.

- Byłeś wielkim wojownikiem.

- To było dawno temu - uśmiechnął się Thrale. - Teraz jestem tylko starym człowiekiem, niezwykle szczęśliwym, że widzi dwie młode przyjaciółki, które przyjechały z jego rodzinnego domu. A teraz, zanim sake odbije się na moich umiejętnościach, przygotuję *sugo*. Czy znalazłyście w kuchni wszystko, czego trzeba?

- O, tak. Jest bardzo dobrze wyposażona.

- Keiko nie pozwoliłaby, by było inaczej - stwierdził Thrale.

W kuchni przyprawił solą mąkę gryczaną z Edo i zmieszawszy ją z gorącą wodą, szybko utoczył z ciasta kulkę. Posługując się długim, wąskim, drewnianym kijkiem *menrui* spłaszczył kulkę do odpowiedniej grubości i rozwałkował. Następnie używając kijka uniósł rozwałkowane ciasto, by je zwinąć.

Posługiwał się prostokątnym nożem kucharskim, w którym rączkę zastępowało wycięcie w metalu pod górną krawędzią. Thrale zręcznie pokroił zwinięty rulon na szarobrązowe paski. Dokonawszy tego postąpił krok w tył, a Masako i Kiyoko pochyliły się nad deską.

- Jesteś mistrzem *sugo* - stwierdziła Masako z podziwem. - Widzisz, utworzyły się fale.

Wąskie pasemka świeżego *sugo* wykrzywiły się na wzór fal.

- Kiedyś robiłem tego całe mnóstwo: *udon*, *hiyamugi*, *tamago*, *somen*. W pewnym okresie, jak robiłem *soba*, to na pewno było to *cha-soba*, bo bardzo lubię zielony kolor. Ale zwykle *soba* jest nie do pobicia. Człowiek siedzi, mlaska i przetyka niczym Kosan Yanigiya odprawiający swój akt *rakugo* i ma przednią zabawę.

Kiyoko stała u jego ramienia trzymając małą czerwoną tackę z laki, na której stała świeżo napełniona *czoko*.

- Wybacz, że nie pijemy jeszcze z tobą - szepnęła. - Ale nie jesteśmy przyzwyczajone do takiej sake jak ta.

- *Kampai*.

Z próżniowej torebki Masako wyjęła schłodzone filety ze świeżej ryby, które poukładała na talerzu. Miała także przygotowaną miseczkę ryżu i drugą mniejszą pełną *wasabi*, chrzanu, który dodawał ostrości. Szybкими i precyzyjnymi cięciami noża poszatkowała rybę, a następnie nabrała podwójną szczyptę ryżu i dodała trochę *wasabi*. Jej szczupłe palce tańczyły, wykonując każdy z siedemnastu etapów przygotowywania *nigiri-zushi* tak szybko i sprawnie, że zdawało się, iż *suszi* rozwija się jej w dłoniach niczym rozkwitający kwiat.

Thrale wychylił sake i aż krzyknął z zachwytu.

- Widzisz - zwrócił się do Kiyoko. - Wszystkie ziarenka ryżu zwrócone są w tym samym kierunku.

Masako ułożyła *nigiri-zushi* na okrągłym, szklwionym, glinianym półmisku w stylu *hiramori*. Dla kontrastu dorzuciła liść *shiso* i marynowany imbir. Ukończona potrawa mieniła się paletą barw.

Kiedy skończyła i jej kunszt słusznie pochwalono, Masako otworzyła butelkę sake Toyoyo *junmai-shu*. Na święto Yamato wtargnęła na krótką chwilę zachodnia technika w postaci automatycznego korkociągu, który schwycił i usunął korek jednym, prostym ruchem.

- Proszę - podała butelkę Kiyoko. - Teraz twoja kolej. Będziesz tego potrzebowała do swojej potrawy.

Dziewczyny posłały sobie znaczące spojrzenie. Thrale czuł, że było to coś więcej niż zwykłe picie sake. Pociągnął łyk i uniósł jedną brew.

- A co to za potrawa?

- Proste danie rybne - odparła Kiyoko poważnie.

- Z sake?

- Do wypicia na początek. Jako *hirezake*.

- *Ataru to, ipatsu de szinu* - rzekł Thrale poważnym tonem. - Jeśli obezwiesz, wystarczy jedna kula.

Hirezake było napojem podawanym jako aperitif do głównego dania z ryby, a otrzymywano go polewając ciepłą sake przypiekane płetwy *fugu*. Mówi się, że *fugu* ma wiele niezwykłych właściwości, z których najbardziej cenioną jest jej domniemane działanie jako afrodyzjak. Ci, którzy

odczuwali podniecenie po posiłku z *fugu-saszi* najprawdopodobniej mylili wpływ adrenaliny z podwyższonym poziomem estrogenu czy testosteronu. Jednak *fugu* miała jedną właściwość, co do której nie było żadnych wątpliwości.

- „Wczoraj wieczorem jadłem *fugu* z przyjacielem. Dziś pomagałem nieść jego trumnę” - z kolei zacytowała Kiyoko.

- Ktoś napisał ten wiersz pięćset lat temu. Ale nie obawiaj się, ja jestem *fugu-tsu*. Mam licencję *Koseisho*.

Przygotowanie prawie żadnego posiłku nie wymaga od kucharza licencji. Ale przygotowanie *fugu* tak. *Fugu* mogło zabić nieostrożnego smakosza, gdyż jajniki i wątroba ryby zawierają tetrotodoin, który jest bezbarwny, bezwonny i nie istnieje na niego odtrutka. Martwe ciało dorosłej ryby zawierało go wystarczająco dużo, by uśmiercić ponad trzydziestu ludzi.

Thrale i Masako patrzyli z dreszczykiem emocji, jak Kiyoko przyrządza tego raczej brzydkiego kolcobrzuca.

- *Tora-fugu* - zauważyła Masako z aprobatą. - Ryba tygrysia?

Thrale skinął zgodnie głową. Kolcobrzech tygrysi był zdecydowanie najlepszy. Obydwoje wstrzymali oddech, a następnie wypuścili go z ulgą, gdy usunawszy nienaruszone *kimo* Kiyoko pokroiła rybę na plasterki z precyzją chirurga. Po wyjęciu wnętrzości, pocięła *fugu* w cienkie, niemal przezroczyste paski *fugu-saszi*. Po szybkości, z jaką wykonywała te czynności, Thrale poznał, że naprawdę była *fugu-tsu*.

Sake rozgrzewała go od środka i Thrale zadumał się nad fascynacją *fugu*, jakiej ulegają Japończycy. Lubimy ją, pomyślał, z powodu jej śmieroniośnej siły. Rozkoszujemy się tym uczuciem, jak byśmy grali w rosyjską ruletkę. Gdy Masako ponownie napełniła jego *czoko* i z kolei wypełniła butelkę *tokkuri*, zauważył, że myśli o sobie jako o jednym z nich.

Danie było gotowe. Brzydki kolcobrzech przemienił się w białą chryzantemę o tysiącu płatków. Płatwy spoczywały z boku, gotowe do podsmażenia. Dziewczeta zaniósły potrawę do jadalni i kiedy go zawołały, udał się tam postawiwszy uprzednio na kuchence rondel z wodą, by zagotowała się na *sugo*. Pokój pachniał świeżymi trzciniami z nowych mat. *Suszi* i *fugu-saszi* prezentowały się jak palety malarskie. Dobrali pałeczki i półmiski, tak że harmonizowały z kwiatami i liśćmi na niskim stolyczku. Ze stojącej na środku stołu niebieskiej ceramicznej miseczki, którą wypełniały gładkie,

białe kamyczki, wyrastała mała, biała łodyga mieczyka. Niedaleko stąd w przydrożnym barze ktoś je hamburgera i frytki w łoskocie elektrycznej gitary, pomyślał Thrale błogo i usiadł.

Krótkie pałeczki migały w tę i z powrotem, chwyciły wybrane kawałki *nigiri-zyuchi* i przenosiły je na półmiski. Wypolerowane i zdobione wzorami pałeczki były charakterystyczne dla nerwowego ludu, który znał cenę czasu. Różniły się całkowicie od długich, kontemplacyjnych pałeczek Chińczyków. Mówiono, że japońską wersję wypracowano podczas wieków nieustannych walk, kiedy to zasiadający do jedzenia człowiek nigdy nie wiedział, czy za chwilę sięgnie po jeden z dwóch mieczy przytroczonych do pasa, czy po kęs jedzenia.

Przygotowawszy zmysły przez przetarcie dłoni i twarzy lodowato zimnym ręcznikiem *oshihori*, Thrale skubnął doskonałego *sushi*. Oprócz *ebi*, gotowanych różowych krewetek, *uni*, *agakai* i *tako*, ikry jeżowca, szkarłupni i ośmiornic, Masako przyrządziła *chu-toro* z marmurkowego boku tuńczyka.

Używając palców, jak nakazywał zwyczaj, Thrale wybrał kawałek ryby z miski i nieznacznie zanurzył jedną stronę morskiego przysmaku w miseczce z sosem sojowym. Ugryził i smakował na języku przeróżne układy włókien. Upił trochę sake, odświeżył usta szczyptą marynowanego imbiru, po czym pałaszował dalej, tym razem krewetki, delikatne i bladoróżowe, jak wschód słońca.

Obydwie dziewczyny towarzyszyły mu teraz w picu sake; piły sake *amakuchi*, słodsza i lżejsza, odpowiednią do ich wieku i płci. Jako gospodarz Thrale dolewał im z ich *tokkuri*, a kiedy trzeba było, odwdzięczały mu się tym samym. Przyszło mu na myśl, że do końca posiłku wypije strasznie dużo sake, czego też, jako od *tsu*, od niego oczekiwano. Prawdopodobnie jutro rano będzie miał okropnego kaca. Nic go to nie obchodziło. Przyjechał do domu na wieczór. Jutro będzie z powrotem w Stanach.

Przepraszając cicho Kiyoko wstała i wyszła do kuchni. Ukazała się w kilka chwil później dzierżąc małą, czarną tackę z laki, na której spoczywały trzy szklanki. Skłoniwszy się przy wejściu zbliżyła się i podała im *hirezake*.

- Czujecie się lekkie odrętwienie na języku, prawda? - szepnęła Masako.

- A także na ustach - odparł Thrale. - Ale to ustępuje.

Odstawili puste szklanki i ponownie sięgnęli po pałeczki.

Hirezake miała lekkie właściwości znieczulające, ponieważ pętkwy, z których ją robiono zawierały niewielką ilość trucizny, z której słynęła *fugu*. Tetrodotoxin był pokrewny kurrarze i ponieważ był zarówno bezbarwny, jak i bezwonny, nie było sposobu, by kucharz mógł stwierdzić, czy jego umiejętności spadły poniżej wymaganego standardu, zanim nie poinformowali go o tym biesiadnicy. Amatorscy wędkarze kładli trupem zarówno swoich gości, jak i siebie samych podczas nierozważnych wypadów w kuchnię *fugu*. Pierwszym objawem była utrata panowania nad pałeczkami, kiedy trucizna przypuszcza atak na motoryczną część układu nerwowego. Z suchymi ustami i błędnym wzrokiem nieszczęsny smakosz upadał następnie twarzą do przodu, prosto w resztki swojego zabójcy i oddawał wkrótce ducha na skutek paraliżu układu oddechowego.

Fugu pokrojona była mistrzowsko, a jej mięso tak świeże jak tylko prawdziwy koneser mógłby sobie życzyć. Kiyoko przygotowała też sos, który sporządziła z sosu sojowego, gorzkich pomarańczy *sudachi*, posiekanych porów, rzodkiewki *daikon* i czerwonej papryki. Wielbiciele *fugu-saszi* zwykle konsumowali potem inne dania: jednogarnkową potrawę duszoną i coś w rodzaju owsianki ryżowej zaprawionej resztkami *fugu*. Temu drugiemu daniu amatorscy wędkarze często pozwalali wystygnąć.

Kiedy przepiękna chryzantema z pociętej ryby rozsypała się w bezładne płatki, Thrale wstał i przeprosiwszy poszedł, by wrzucić *soba* do wrzątku. Ich posiłek miał w sobie coś z pikniku na świeżym powietrzu. Pasemka *soba* zajęły miejsce bardziej tradycyjnych dań, które zwykle następują po *fugu-saszi*. Smakowała lepiej niż *spaghetti al dente*.

Gdy wszedł z powrotem do pokoju, pałeczki wysunęły się z dłoni Masako i z grzechotem upadły na podłogę.

Kiyoko i Thrale patrzyli na nią z przerażeniem. Szczęka zwiśla jej bezwładnie i dziewczyna patrzyła gdzieś niewidzącym wzrokiem. Thrale poczuł nagłą suchość w ustach.

Wtem ożywiła się i zaczęła tarzać się ze śmiechu na widok ich przerażonych twarzy.

- Prima Aprilis! - śmiała się. Kiyoko z ulgą rzuciła w nią serwetką. Był

to tradycyjny psikus płatany kucharzom w salonach *fugu*.

Jednak serce nadal biło trochę szybciej, pomyślał Thrale. Napętnili swoje *czoko* i wypili, żeby uspokoić nerwy.

Zgodzili się co do tego, że *soba* sprawia mnóstwo uciechy. Był to najgłośniejszy posiłek na świecie. Inne należało zjadać po cichu, zaś tutaj obowiązkiem było siorbać, mlaskać i głośno przetykać. Thrale podał *soba* z bonita Kanto i sosem sojowym do maczania, i cała trójka z wigorem rozpoczęła mlaskanie. Masako i Kiyoko narobiły większego hałasu od niego.

Kiedy skończyli, do pokoju znów wkradła się cisza. Thrale siedział nieruchomo, jego zmysły pławiły się w fantastycznym działaniu pysznego jedzenia i mocnej sake. Ale czuł coś jeszcze. Był w towarzystwie kobiet. Wracał do domu.

Doznał silnego uczucia *deja vu*. Czuł się już tak kiedyś. Świętował w towarzystwie ślicznych młodych kobiet - jechał do domu.

Kiyoko po cichu zebrała talerze. Czekwały ich jeszcze marynaty *tsukemono* i zielona herbata *ocha*.

Thrale wiedział, gdzie się znajduje. W jednoosobowym pokoju świętował, gasił pragnienie i zaspokajał głód w towarzystwie dwóch na wpół rozebranych dziwek. Był wolny. Od obozu dzieliły go całe dni. Jechał do domu.

◆ Rangun, rok 1943

Siedzieli ze skrzyżowanymi nogami na podłodze, która służyła im za stół. Jedzenie podano w prostych, metalowych rondlach, które jedna z dziewczyn przyniosła z garkuchni. Aromat ciepłych potraw wypełniał pokój i odurzał Thrale'a jak alkohol. Alkoholu też nie brakowało - butelki piwa stały spotniałe od wilgoci lub były zanurzone po szyjkę w wodzie w zlewie. Był wczesny wieczór, za oknem chmurki różowe jak kwiecie wiśni goniły się w stronę linii horyzontu.

W atmosferze ożywczego dobrego humoru cała trójka skupiła się na jedzeniu, sięgała po kawałki baraniny i krewetek w sosie *curry*, po *dahl* i ryż. Mogliby być starymi przyjaciółmi, a nie chwilowymi kochankami, ale w tamtych czasach człowiek żył każdym dniem i z ogromną dozą entuzjazmu korzystał z wszystkich przyjemności, jakie miał on do zaoferowania. Thrale

ubrany był w luźne szorty i rozpiętą koszulę, dziewczyny zaś w *yukatas*. W tym upale zostawiły je na w pół rozpięte, by powietrze mogło krążyć swobodnie wokół ich ciał. Choć były *geishami*, subtelności ceremoniału parzenia herbaty nie były dla nich tajemnicą. Pochodziły z chłopskich rodzin z Honsiu. Życie nigdy nie rozpieszczało takich jak one. Gdy za rządów epoki Meiji rozkwitało cesarstwo, warunki ekonomiczne zmusiła ich rodziny do sprzedawania ich do fabryk *zaibatsu*, gigantycznych kombinatów jak Mitsui i Komura, lub do domów herbaty. W obydwu przypadkach ich losy nie różniły się wiele od losów niewolnic. Te dwie były prześliczne. Rząd cesarski okazał się łaskawym panem i wysłał je tam, gdzie stacjonowali żołnierze. Były „dziewczynami pocieszenia”.

Po napełnieniu żołądka pożądanie powróciło. Mając jedną dziewczynę po każdej stronie Thrale oparł się plecami o ścianę. Jego dłonie ześlizgnęły się w dół otwartych dekoltów ich lekkich sukienek i dotknęły gładkich, jędrnych i delikatnych piersi. Odczucie to wydało mu się wyjątkowo przyjemne. Ich dłonie przeslizgnęły się po jego udach do wnętrza szortów i tam się spotkały.

Pokój oświetlała jedna prosta świeczka. Podczas gdy dziewczyny spały na *futon*, Thrale ubrał się w mundur oficera Cesarskiej Armii Japońskiej. Z koszuli zmył krew Tanaki. W porcie stał szwedzki frachtowiec parowy gotowy do odpłynięcia na drugą stronę Zatoki Bengalskiej. Do Indii.

Dziewczyny spały splecione w uścisku, znajdując większą osłodę we własnych ramionach niż w towarzystwie brutalnego żołnierstwa. Thrale wybrał kilka banknotów z okazałego pliku pieniędzy Komury i zostawił je na leżących w kupce na podłodze porzuconych *yukatas*.

Wyszedł na ulice Rangun, zmierzając ku wolności.

Thrale ocknął się z zadumy. Dwie dziewczyny siedziały w ciszy po drugiej stronie stołu i przyglądały się mu.

- Przebywałeś daleko stąd - zauważyła Masako.
- W dawnych czasach - odparł Thrale. - I daleko stąd.
- *Kampai* - rzekła Kiyoko, napełniwszy jego *czoko*. Chciał się odwzajemnić, lecz Masako uniosła rękę.
- *Tejaku shimasu* - powiedziała z uśmiechem. - Ja prowadzę.

Thrale wiedział, że te ostatnie szklaneczki sake wysyłają go w nieświadomość. Czuł się zmęczony. Zdawało mu się, że coś ogromnego, wielkiego i ciemnego pędzi w jego stronę.

- Ktoś próbował mnie dzisiaj zabić - zwierzył się.

Spojrzały na niego poważnie.

- Ogromna ciężarówka pędząca z dużą prędkością... przyszli po mnie do stawu, żeby mnie utopić.

Stanęła przed nim zielona herbata. Seledynowo-zielona *gyokuro*.

- Jedzenie było doskonałe - pochwalił.

- Jesteś *samurai* - odpowiedziała Kiyoko. - Wiśnia króluje pośród kwiatów, tak jak *samurai* króluje pośród ludzi. Ale życie kwiatu jest krótkie, podobnie jak samuraja. Jesteś kimś rzadkim: starym *samurai*. Pozdrawiamy cię.

Obie dziewczyny ukloniły się oficjalnie. Głowa Thrale'a chwiała się, lecz łóżko nie było daleko. Delikatnymi dłońmi pomogły mu stanąć na nogi. Kiedy go podnosiły, ich słodko pachnące ciała przylgnęły do niego miękko.

- Kierowca ciężarówki miał zapięte pasy - ciągnął. Połykał słowa, lecz jak to bywa z bardzo pijanymi, miał przebłysk całkowitej jasności umysłu. Nogi plątały mu się, gdy schodzili korytarzem do przyległego garażu.

- W pełnej uprzęży - ciągnął. - Jak pilot myśliwca.

Otworzyły drzwi do garażu.

- Potem było ich dwóch. Młodzi... młode dziewczyny... szybko...

- Zgadza się, panie Thrale - mruknęła Masako.

Pomogły mu usiąść na przednim siedzeniu pożyczonego Forda. Zapuściły silnik. Zanim zamknęły drzwi od garażu, spojrzały za siebie na samochód. Thrale leżał w poprzek przedniego siedzenia. Nie ruszał się.

Gdy spaliny zaczęły wypełniać garaż, dwie Japonki wyszły nie chcąc się zaczadzić i szczelnie zamknęły drzwi.

Leżąc na przednim siedzeniu Forda Thrale otworzył oczy. Wściekłość, że dał się tak łatwo nabrać, utrzymywała go przy świadomości na przekór wpływowi krążącego w żyłach alkoholu. Był zły na siebie tak, jak kiedyś, gdy jako dziesiętnastoletni zabójca o gładkich policzkach pozwolił, by jakiś inny młody zabójca zdobył nad nim chwilową przewagę.

Pod zamkniętymi powiekami widział obraz jednej z dziewcząt, uchwycony aparatem swojego umysłu. Kiyoko wprawnie kierowała pędzącą cię żarówką, przymocowana bezpiecznie pasami, jak pilot w myśliwcu, zza zakrętu przypuszczała atak na Cadillaca w alejce. Dostrzegł jej zdziwienie, a może szacunek, gdy zmusił swoją limuzynę, by zeskoczyła z drogi jak zając.

Do samochodu wtargnęły spaliny - piekielne, duszące. Oddychał głęboko i szybko, jak gdyby biegł na długi dystans, twarz go piekła, kiedy dwutlenek węgla uwalniał się z krwi. Wyczuwszy w wyziewach spalin jego śmiertelności krewniaka, tlenek węgla, wciągnął ostatni, długi wdech i przytrzymał go w płucach.

Czekał. Wnętrze garażu tonęło w ciemności, rozjaśnione jedynie światłem wpadającym przez okno. Leżał tak, jak go zostawiły, w poprzek siedzenia z niemal zamkniętymi oczami. Czekał może ze dwie minuty, krew zaczynała huczeć mu w uszach, a oddech w płucach domagał się uwolnienia. Nagle pomieszczenie zalało światło. Zerkając przez rzęsy dostrzegł Masako, która przyciskając do ust zwiniętą ścierkę kuchenną szybko wsunęła głowę do środka. Leżał nieruchomo. Drzwi zamknęły się.

Pomyślał, że na ich miejscu zrobiłby dokładnie to samo. Ostatni, sprawdzający rzut oka, na wypadek gdyby w środku zataczał się pijany, na w pół żywy stary człowiek, potrzebujący tylko zwykłej, pomocnej dłoni, by odejść z tego świata.

Poruszył się. Otworzył drzwi jak najciszej, wargi zaczynały cofać mu się nad zęby z wysiłku powstrzymywania oddechu, a toksyczne wyziewy kłuły w oczy. Na ścianie wisiał żółty zbiornik z tlenem. Na wakacjach Thrale lubił ponurkować dla przyjemności, podczas gdy jego żona rozkoszowała się widokiem ponad falami. Zdjął zbiornik z haka i przeniósł go do samochodu. Wysilek, by zrobić to bezszelestnie walcząc jednocześnie z zaburzeniami ruchu wywołanymi wypitym alkoholem, był ogromny.

Z sykiem uwolnił z płuc resztkę powietrza. Zaciśnął zęby na gumowym ustniku i przekręcił rączkę. Ze zbiornika popłynęła bajeczna słodycz. Pownownie ułożył się na siedzeniu.

Czuł alkohol krążący we krwi. Wyjął kluczyk ze stacyjki i piłował nim palec, by powstrzymać odejście w nieświadomość. Krew kapnęła na podłogę.

Kiedy powietrze skończyło się i zaczął ssać już tylko gumę, wymknął się z samochodu, zataczając się i objijając o ściany. Otworzył drzwi i przeczochował próg pamiętając, by zamknąć je za sobą.

Dom był pusty. Resztki posiłku dla jednej osoby leżały na stole w jadalni. Kiedy podniósł słuchawkę, linia telefoniczna była głucha. Wiedział już wystarczająco dużo, żeby odłożyć ją z powrotem. Gruba kartka papieru leżała rozpostarta, pokryta czarnymi pociągnięciami pędzla.

„Potężni złamani zostają na końcu, są niczym pył pędzony przez wiatr.”

Thrале przewalił się przez biurko, po którym rozlał się atrament plamiąc jego białą *yukata*, ześlizgnął się bezwładnie na podłogę i znieruchomiał.

◆ **Biuro Projektów Specjalnych zakładów Lockheed, Burbank, Kalifornia**

Eliott Reynolds żył tak, jak powinien żyć Harold Templer - odpowiedzialnie, bezpiecznie i wiernie. Mieszkał w domu z trzema sypialniami, ze schludnym i zadbanym frontowym i tylnym podwórzem, położonym w dobrze sytuowanej dzielnicy willowej, z której do biura Projektów Specjalnych Lockheeda jechało się samochodem krótką chwilę. Miał dwoje dzieci, które uczęszczały do miejscowej szkoły, gdzie otrzymywały dobre stopnie. On i jego żona byli seniorami w swoim kościele. Kiedy Thrале wkroczył do jego biura w bibliotece BPS, Reynolds rzucił mu takie spojrzenie, jak gdyby wniósł ze sobą szczególnie nieprzyjemny zapach.

I w pewnym sensie miał rację. Thrале chciał zdobyć informacje na temat Harolda Templera, byłego pracownika firmy w dziale, którego szefem był Reynolds, człowieka, z którego pozostały na świecie jedynie popioły i złe wspomnienia.

- Tak, uporządkowałem sprawy pana Templera. Nie posiadał najbliższej rodziny, o której istnieniu wiedziałyby nasza firma. Spadkobiercami majątku są dwaj kuzyni z Sacramento.

- Czy jest on pokaźny?

- Nie nienormalnie... tylko dom jest większy i droższy, niż można by się było spodziewać. Ponoć był spadkobiercą swojej ciotki i wprowadził się tam wkrótce po jej śmierci.

- Kiedy to było?

- Jakieś cztery lata temu.
- Czy zauważył pan, żeby to posunięcie wpłynęło na jego sposób bycia?
- Nie - odparł zwięźle Reynolds.
- Górskie powietrze, te rzeczy?
- Nie.
- Pan zajął się jego sprawami. Czy taka jest polityka firmy?
- Owszem, miałem zgodę firmy. Ale poza tym zostawił notatkę, w której poprosił, bym to zrobił.
- Czy ma ją pan tutaj?
- Nie, oryginału nie posiadam. Zabrali go ludzie z Biura Szeryfa. Ale sądzę, że w jego teczce jest jedna kopia.
- Czy mógłbym ją zobaczyć?
- Przypuszczam, że tak - odrzekł Reynolds nieprzyjaźnie. - Będę musiał pójść i ją przynieść.

Wyszedł z pokoju, a Thrale wyjrzał przez okno na kompleks nowoczesnych, białych budynków. Uderzył go fakt, że w niektórych z nich nie było okien i zadumał się, co za egzotyczną powietrzną machiną konstruowano tam teraz, po wypuszczeniu *F-117*. Nie miał powodu, by narzekać na produkty tej firmy, gdyż niemal wszystkie zwycięstwa asa myśliwskiego odniósł w kabinie *P-38 Lightning*.

Reynolds wrócił z fotokopią niewielkiej kartki papieru. Fakt, że trzymał ją w ręce zdawał się wzmagać jego dezaprobatę dla zmarłego, a pośrednio także i dla Thrale'a.

- Dziękuję.

Thrale przeczytał notatkę.

- Jest krótka i zwięzła. „Drogi Eliottcie, nie mogę już tego znieść. Muszę odejść. Proszę zaopiekuj się wszystkim i wybac mi. Harold.” Lecz nasuwa się wątpliwość, czy jest to notatka samobójcza.

- Oczywiście.

- Niekoniecznie. „Muszę odejść”. „Wybac mi”. Można to różnie interpretować.

- Nie sądzę.

- Panie Reynolds, zakładam, że wie pan, co to jest szpiegostwo technologiczne i co my robimy.

- Oczywiście. Interesujecie się zapobieganiem przepływu nowoczesnych technologii z tego kraju do wrogich, obcych mocarstw.

- Dokładnie. Mamy mocne podstawy, by sądzić, że nastąpił przeciek technologii *Stealth* i że miał on miejsce w tej firmie. Wydaje mi się, że ta notatka nie wyszła spod ręki człowieka, który ma popełnić samobójstwo, ale człowieka, który przygotowuje się do ucieczki przed karą.

Reynolds westchnął z rozgoryczeniem.

- Templer nie żyje, panie Thrale. Tak daleko udało mu się uciec.

- Ale czy upadł sam, czy ktoś go popchnął? Może Templer myślał, że ci, którzy podyktowali mu tę notatkę, mają udzielić mu pomocy?

- Nie było żadnych oznak przymusu. Templer wypił dużo alkoholu, wziął prysznic, napisał samobójczą notatkę i zażył dwie tabletki barbituranu. Mieszanka alkoholu i tabletek była na tyle silna, by stłumić proces oddychania w ciągu kilku minut. Zginął z własnej ręki. Tak orzekli patolog i koroner.

- Jeśli można zauważyć, zdaje się, że ma pan niezachwianą pewność, że zginął on z własnej ręki.

- Bo tak jest - odparł Reynolds bez zmrużenia oka. - Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

- Dlaczego?

Archiwista milczał, ale wyglądał na zaniepokojonego.

- Oczywiście jest coś, co dotyczy jego śmierci, a o czym mi pan jeszcze nie powiedział.

- Proszę bardzo. Firma postanowiła, że skoro nie miał bliskiego krewnego, powinienem zadośćuczynić życzeniu zmarłego i uregulować jego sprawy. Nie było żadnych prawnych przeciwwskazań, więc zgodziłem się, mimo że odebranie sobie życia stoi w bezpośredniej sprzeczności z nauką Naszego Pana. Sprawy Templera zastałem w przeważającej części uporządkowane: nie miał żadnych pokaźnych długów, dom był spłacony. Postarałem się sprzedać jego samochód, a pewna organizacja charytatywna przyjęła jego ubrania. Sklep meblowy, który ma punkt sprzedaży rzeczy używanych, zapłacił uczciwą cenę za sprzęty domowe i przysłał po nie ciężarówkę. Jednak zanim przyjechali, upewniłem się, czy wszystkie

szuflady i temu podobne miejsca są puste. - Główny archiwista urwał, a na jego twarzy pojawił się wyraz skrajnego niesmaku. - Dobrze, że to zrobiłem, panie Thrale. Widzi pan, to o czym pan wspominał, i co mnie niepokoiło, to pytanie, gdzie znajduje się ten brakujący motyw. Koroner stwierdził, że Templer odebrał sobie życie w chwili, gdy jego równowaga umysłowa uległa zachwianiu. Ale dlaczego do tego doszło? Rzeczy, które znalazłem w albumie w jednej z zamkniętych szuflad jego biurka, odpowiedziały na moje pytanie. Harold Templer był człowiekiem tak głęboko zanurzonym w grzechu, jak nikt kogo dotąd znałem. Strona po stronie album ten zawiera niesłychanie obsceniczne fotografie przedstawiające jego... i kobiety... popełniających wielce zdeprawowane czyny.

- Pojedynczo czy kilka naraz? Oczywiście mam na myśli kobiety.

- Zawsze z dwiema - odrzekł Reynolds zduszonym głosem.

Templer był miłośnikiem „pozycji na sandwicza”, pomyślał Thrale, ale nie podzielił się tym spostrzeżeniem z archiwistą.

- Te same?

- Nie. Mnóstwo różnych.

- Młode babki? Atrakcyjne?

- Nie przyglądałem się im szczegółowo - warknął Reynolds.

- Ale nie stare lub zdeformowane?

- Nie.

- Nie chciałbym, by to zabrzmiało cynicznie, ale dla wielu facetów dostęp do masy ładnych i niemoralnych kobiet byłby czymś, dla czego warto żyć, a nie kończyć to wszystko.

- Założyłem, że nabawił się jakiejś śmiertelnej choroby ciała odpowiedniej do choroby jego duszy. Nie muszę chyba wspominać, że kazałem skremować zwłoki.

- Taak. Panie Reynolds, muszę pana zapewnić, że moje pytania mają wartość śledczą. Nie proszę pana o opisanie tych zdjęć dla własnej perwersyjnej przyjemności. Te zdjęcia Templera i kobiet - czy robiono je zawsze w tym samym miejscu? W tym samym pokoju?

- Hm, tak. W sypialni.

- Jego sypialni?

- Mogła być jego.

- Z tego samego kąta?
- Cóż... tak, tak mi się wydaje. Z góry, trochę z boku.
- Czy dom już sprzedano?
- Jest wystawiony na sprzedaż, lecz nikt jeszcze nie zgłosił się z ofertą.
- Ma pan klucz?
- Tak.
- Miałby pan coś przeciwko, żebyśmy się tam przejechali?

Sypialnia była pusta, lecz słońce wywołało na ścianie wspomnienie wezgłowania łóżka.

- Dobrze. Jeśli przyjmiemy, że łóżko stało w ten sposób, to skąd zrobiono zdjęcia?

- Stąd...
- Taak. Tak. Chyba ją widzę.

Thrale poszukał drabinki i zniknął na strychu, gdzie jak słyszał Reynolds, pełzał ostrożnie po legarach. Zatrzymał się, a w chwilę później dało się słyszeć słabe bzyczenie elektrycznego motorka. Potem zszedł na dół po drabinie.

- Jest tam Nikon z zegarem elektrycznym. Nastawiony na robienie zdjęć co kilka minut po uruchomieniu. Gdyby prześledzić przewody, można by znaleźć wyłącznik, za po mocą którego Templer go uaktywniał. Potajemnie. Gdy zabawa miała się zacząć.

Thrale podniósł żółtą rolkę filmu.

- Trzydzieści sześć zdjęć. Wszystkie naświetlone. Kapuje pan?

Reynolds potaknął wolno.

- Nie miał już szansy ich wywołać. Czy miał tu odpowiednie do tego środki?

- Tak. Ciemnię.

- Oczywiście. Nie wysłała się podobnych rzeczy do miejscowego fotografa, prawda? I my też tego nie wyślemy. Macie w fabryce laboratorium, z którego mógłbym skorzystać?

Gdy Thrale ułożył błyszczące odbitki na jego biurku w odpowiednim porządku, Reynolds odsunął się, jak gdyby chciał uniknąć zakażenia.

- Nieźle babki... - mruknął Thrale. - Dobrze zbudowane. Cóż, niech pan

popatrzy tutaj. Coś mi się wydaje, że się nam poszczęściło. Co ona trzyma w dłoni? Z całą pewnością wygląda to na buteleczkę z tabletkami.

Położył ostatnie zdjęcie i Reynolds zerknął na nie zbity z tropu. Templer leżał nagi na łóżku, jego ciało nabrało ciemnego koloru. Dwie młode kobiety miały na sobie ubranie i przygotowywały się do opuszczenia pokoju. Składały pokłon.

- Co one robią?
- Oddają cześć zmarłemu.

Thrale przebiegł wzrokiem po serii zdjęć. Te dwie dziewczyny to wspinały młode zwierzęta, pomyślał. Mają gładkie, pulsujące życiem ciała.

- Nigdy nie myślałem, że zobaczę je bez ubrania - wyszeptał.

Reynolds wyglądał na przerażonego.

- Zna je pan?
- Spotkałem je raz. Cudne babki, nieprawdaż?
- Nie mam ochoty wyrażać opinii o fizycznych atrybutach dziwek.
- To nie są dziwki, panie Reynolds - uświadomił go Thrale łagodnie. - To są *kaiszaku*, zabójcy samurajów.

◆ **Żółte Wody, Ukraina**

Kaprala Drozdowa nazywali Węgorzem. Był szyfrantem 35. grupy 277. niezależnego batalionu rozpoznawczego Specnazu. Każdy w grupie miał przydomki i to właśnie Węgorz wymyślił pseudo dla dowódcy, porucznika Otariego Jecowa. Wybór piśmiennego imienia dla oficera był sprawą zasadniczą, ponieważ, choć słuchaliby rozkazów każdego, kto by nimi dowodził - byli przecież żołnierzami Armii Czerwonej - sprawa szacunku była zupełnie inną historią. Poprzedni dowódca nie spełnił ich wymagań i z miejsca przewalił go trafnie Zbytecznym Statystą. Och, jak się śmiali, kiedy jego spadochron nie otworzył się podczas stumetrowego zrzutu, którym rozpoczęto ćwiczenia! Wszyscy żołnierze Specnazu, od generała w dół, sami pakowali swoje spadochrony i podpisywali je, by wiedzieć, kto ponosi winę, jeśli któryś się nie otworzył. Toteż ocierając łzy z oczu wsunęli winowajcę do worka i, zostawiwszy go tam, ruszyli, by wykonać zaplanowane zadanie bojowe, które polegało na zniszczeniu ośrodka łączności 7. Gwardyjskiej Armii Pancerniej obsadzonego otyłymi żołnierzami łączności

z okularami na nosach i telefonistami, ludźmi po prostu pożeranymi przez nieróbstwo i wszetecznictwo. Oczywiście będąc na ćwiczeniach nie mogli zrobić tego, co zrobiliby w czasie wojny, czyli przemienić ten tłumek w mięso dla psów. Lecz i tak mieli ubaw po pachy wsłuchując się w zawođenje i wrzaski, kiedy pogonili ich nago do tonącego w śniegu lasu.

Te ćwiczenia trwały dwadzieścia cztery dni. Niedobitki trzydziestej piątej grupy „poległy” co do jednego, pozbawieni amunicji, walcząc gigantycznymi nożami Specnazu, saperkami i pięściami, przyparci plecami do pionowej ściany parowu. Wszyscy z wyjątkiem Węgorza, który uciekł przez rzekę pełną pękającej kry i cztery dni później zjawił się z powrotem w koszarach batalionu chudy jak szkielet, ubrany w ciepły płaszcz z kołnierzem z karakułów, który komuś podwędził. Za ten bohaterski czyn dostał awans na kaprała i Armia nagrodziła go piętnastodniowym urlopem, a koledzy przewiskiem. Jego „nieżywi” towarzysze spotkali się z aprobatą Armii, ponieważ sabotażowe siły Specnazu istniały właśnie po to, by siać zniszczenie w szeregach wroga, aż do ostatniego tchnienia. Z tego powodu żołnierzom Specnazu każdy odsłużony rok liczył się za osiemnaście miesięcy służby zasadniczej i płacono im o połowę więcej niż innym żołnierzom, dostawali także dodatkowe nagrody za skoki spadochronowe i za każdy dzień ćwiczeń. Ponadto płacono im dziesięć procent więcej za każdy opanowany język obcy, a dwadzieścia procent za każdy orientalny. Była w tym metoda, jak we wszystkim, czego miała się Armia Czerwona. Uważano za pewnik, że każdy z nich potrafi bez trudu wydobyć informacje od kogokolwiek, kto miał tego pecha, by wpaść im w ręce. Ale co z tego, gdyby nie umieli zrozumieć, co takiego taki drań wrzeszczy?

Dostawali to wszystko oraz spłowiąły, niebieski beret, który odróżniał ich od całej reszty wojskowego śmiecia. Dlatego też wybór przezwiska dla dowódcy był sprawą tak istotną.

Kiedy niższego o metr z kawałkiem Zbytecznego Statystę odesłano z powrotem do żony, 35. dostała porucznika Otarięgo Jecowa. Pozostałych osiemnastu ludzi w grupie przyglądało mu się z ponurą podejrzliwością. Był arystokratą, wnukiem bardzo wpływowego człowieka. Lubił nosić zachodnie ubrania, miał własne mieszkanie w dobrej dzielnicy Moskwy, jeździł własnym samochodem. Odczytując jego baretki przyznali co prawda,

że służył w Afganistanie, lecz prawdopodobnie - jak podejrzewali w duchu - był jednym z tych wypierdków na tyłach, którzy zżerali całą żywność przeznaczoną dla walczących i dziurawili swoje świeżutkie mundury, by się do nich upodobnić. Tymczasem odważni żołnierze służyli Związkowi Radzieckiemu, wykonując czarną robotę w lachmanach. Nazwali go 35-1, numerem jego grupy i postanowili zaczekać z decyzją.

Dwa tygodnie po objęciu przez porucznika Jecowa dowództwa, zrzucono ich w nocy ze stu metrów w ramach najtrudniejszych ćwiczeń roku. Wszystkie kanistry z gazem eksplodowały na czas i wyręczyły ich w otworeniu spadochronów, a w przeciągu kilku minut od lądowaniu sunęli już na powleczonych lisią skórą nartach. Trzy tygodnie później 5. Gwardyjska Armia Pancerna była praktycznie sparaliżowana i niezdolna do walki, tak zawzięcie próbowała schwytać tych, którzy nękali jej szeregi. Kiedy ćwiczenia dobiegły końca, 35. pomaszerowała z powrotem do koszar, lżejsza na każdym człowieku o dziesięć kilogramów, niż gdy wyruszała w *An-22*.

Węgorz nazwał Otarię Nosorożcem.

Z czasem on i inni członkowie 35. zapawali miłość do porucznika. Pomimo że oni byli twardzielami z najburzliwszej części Kiszyniowa, Kaługi lub Kowrowa i narodzili się ze zgrubieniami na knykciach i z brudem pod paznokciami, on zaś był rozpuszczonym potomkiem nomenklatury, uwielbiali go, ponieważ myślał dokładnie tak jak oni.

Żołnierze Specnazu ryzykowali życiem każdego dnia, na wojnie czy w czasie pokoju, i mieli możliwość obserwowania innych, którzy podobnie jak oni balansowali na krawędzi śmierci. W ten sposób wyrobili sobie grubo ciosaną ocenę natury ludzkiej, którą postrzegali jako przewrotną i niemożliwą do naprawienia. A skoro tak się rzeczy miały, dzielili wszystkich na dobrych i złych. Dobrymi byli ci, którzy nie ukrywali w sobie zwierzęcia. Złymi - ci, którzy wierzyli, że są dobrzy. Bo czyż największych zbrodni w historii nie popełnili ludzie, którzy myśleli, że działają z najlepszych pobudek?

Ponadto, jako że każdy potrafi być dobry do momentu, kiedy sytuacja staje się nie do zniesienia, ci dobrzy zmieniali się w złych, co mogło się źle na człowieku odbić, jeśli był zmuszony z kimś takim przebywać. O wiele lepiej zatem utożsamiać się z tymi, o których wiedziało się, że są zwierzętami,

ludźmi takimi jak porucznik Otari Jecow. Porucznik lubił wódkę. Oni także. Jeśli dojrzeliby ładną kobietę na ulicy, piersi i pośladki podskakujące niczym jędrne melony, gwałcili ją oczami i umysłem. Porucznik także. Gdyby była wojna, robiliby to naprawdę, jeśliby znaleźli minutkę lub dwie wolnego i wszyscy musieliby czekać, aż porucznik zabawi się pierwszy.

Porucznik lubił władzę. Był ambitny i zamierzał zostać generałem dywizji. Powodzenia! Wschodząca gwiazda zawsze pociąga za sobą swoich ludzi i zawsze wybiera spośród tych, którzy pochodzą znikąd i którzy tylko jej będą winni wdzięczność. Zatem powodzenia, poruczniku Nosorożcu. Cały czas jesteśmy z tobą.

To właśnie Węgorz zauważył, jak bardzo porucznik uwielbia władzę, podobnie jak płeć żeńską i polską wódkę. Zauważył to tego dnia, gdy dano im „kukłę” do ćwiczeń.

„Kukły” miały duże znaczenie, ponieważ zadania, które wykonywało Specnaz miały duże znaczenie. Co by się stało w czasie wojny, gdyby grupa Specnazu, której zadaniem byłoby zabić żołnierzy wroga, może podczas snu, zawahała się? Gdyby nawiedziło ją nagłe uczucie litości, miłosierdzia, humanitaryzmu?

Właśnie dlatego od czasu do czasu dostawali „kukłę”, na której mogli ćwiczyć. „Kukła” była w rzeczywistości człowiekiem. Żeby pozbyli się wszelkich niepożądanych i niepotrzebnych uczuć wobec podobnych sobie istot ludzkich, pozwalano im walczyć z tym człowiekiem, bić go tak długo i mocno, jak chcieli. Różnica między tego rodzaju walką, a treningiem z instruktorem polegała na tym, że choć mogli wyżywać się na „kukle”, ile dusza zapagnie, nie mogli połamać jej kości ani zabić. „Kukła” jednak nie była do tego zobowiązana. Przecież i tak skazano ją już na śmierć.

W Związku Radzieckim ludzie skazani na śmierć niekoniecznie umierali natychmiast. Istniała pewna liczba ról, które mogli odegrać, by przynieść państwu pożytek większy niż jako nawóz. Pracowali w WPK - przemyśle zbrojeniowym, w służbie GCh, gdzie montowali i obsługiwali głowice. Wydobywali też uran. Pomysł, by na zachodni sposób korzystać z wysoko opłacanego personelu do budowania elektrowni atomowych wyrwałyby z ludzi odpowiedzialnych za elektroenergetykę w Związku Radzieckim końskie rzenie śmiechu. Kiedy stopił się Czernobyl, skazańców użyto do oczyszczania!

Inną instytucją, która odnosiła pożytek z twardych i brutalnych więźniów, których skazano na śmierć był Specnaz. Używali ich do walki, żeby doprowadzić się do szczytowej formy.

Kiedy Węgorz ujrzał, jak porucznika walczy z jedną z „kukieł” w centrum treningowym, rozumiał, jak bardzo oficer przepada za władzą. W jego stylu walki nie było wcale sadyzmu, porucznik nie odczuwał zadowolenia z tego, że zadaje ból, który przecież zadawał, ale odczuwał zadowolenie z używania siły i władzy.

Ma to we krwi, oczywiście - skwitowali między sobą ludzie z 35., tak by Otari nie słyszał. Czyż jego dziadem nie jest Władysław Mazurow, niegdyś szef *Komitetu Gosudarstwiennoj Biezopasnosti*? A czy wszyscy szefowie KGB nie różnili się od siebie pod względem ilości rozlanej krwi i liczby zbryzganych posoką trupów, które za sobą zostawiali?

Właśnie to zauważył Węgorz. Problem leżał w tym, że państwo nie skazywało na śmierć wystarczającej liczby ludzi. Każdego roku do podziemia mieli jedynie około trzy tysiące, z czego ponad połowa składała się ze słabych, starych i schorowanych. Wyjątkowo niebezpiecznych lub tych, co wiedzieli zbyt dużo, rozstrzeliwano, palono lub wieszano od razu. Na tych, którzy pozostali, czyhały całe tłumy. Specnaz stał w kolejce razem ze wszystkimi, dostawali tylko kilku i musieli tak nimi gospodarować, żeby starczyli na długo. Trzeba było przyznać, że zużywali się jak stare dywany od tego całego bicia.

Przyszła świeża dostawa. Młodzi ludzie, w których płonęła zwierzęca wściekłość, twardzi i gwałtowni, jeszcze nie sflaczali od brutalnych pięści i buciorów żołnierzy Specnazu.

Po tygodniu wszyscy zgodzili się co do tego, że od dawna nie byli w tak bojowej formie.

Według Węgorza mogło to oznaczać tylko jedno. Planowano rzucić ich w bój. Gdzieś w prawdziwym świecie. Wiedział nawet gdzie, gdyż po treningu, a przed smaczną kolacją, wkładali czerwone szorty i białe podkoszulki i szli ćwiczyć swoje umiejętności koszykarskie grając przeciw kuzynom z 27. Grupy. Jechali do Pekinu, stolicy Chińskiej Republiki Ludowej, jako część misji dobrej woli.

◆ Wardman Tower, Waszyngton

- Znasz to stare powiedzenie o przypadkowym zdarzeniu, zbiegu okoliczności i akcji wroga? - spytał Thrale. - Cóż, spójrz na to.

Miał ze sobą teczkę, którą położył obok siebie na kanapie i otworzył.

- Zacznijmy od dnia, kiedy jedliśmy razem lunch w „Metropolitarnie”. Wezwano cię do Białego Domu, ponieważ patolog, dr Fineberg, przyszedł do Eda Reischa, by oświadczyć mu, że według niego prezydent nie zmarł śmiercią naturalną.

- Zgadza się - odpowiedział Kuusinen. W apartamencie na powrót zaległa cisza. Jego córka, bardzo piękna i bardzo młoda, nie potrafiła zrezygnować z pomocy matki przy doglądaniu wnuczki. Lodówka zaopatrzona była w zimne kotlety, sałatki i piwo.

- Po twoim wyjściu wróciłem do biura, gdzie mój asystent pokazał mi zdjęcie satelitarne, które właśnie do nas wpłynęło. - Thrale sięgnął do teczki i wyjął odbitkę zrobioną z wysokości dwustu czterdziestu kilometrów, tak wyraźną i jasną, jak czyjeś zdjęcie ślubne.

- Wykonane przez przypadek przez satelitę typu *KH-11* nad Fukhai, w pobliżu granicy radziecko-chińskiej. Mieli problemy z operacjami porządkowymi i kiedy się z nim uporali, zrobili kilka zdjęć dla sprawdzenia, czy wszystko działa. Jednym z nich było właśnie to.

- Kraksa samolotu?

- Zgadza się. Wrak się ulotnił, ale chłopcy w NORF-ie przepuścili ten obraz przez CRAY-e i doszli do wniosku, iż mógł to być wypadek *F-117A*, myśliwca szturmowego typu *Stealth*. Tylko że Siły Powietrzne kategorycznie zaprzeczają, by straciły któryś ze swoich samolotów.

- A więc pozostaje szpiegostwo technologiczne. Ktoś ukradł plany i zbudował własny. Zdarzało się to już wcześniej.

- Jasne. Rosjanie mają na tym polu osiągnięcia, które sięgają czasów Piotra Wielkiego. Możesz mieć rację. Z całą pewnością robią, co mogą, by dotrzymać nam kroku i posługują się przy tym kradzieżą. Ale, ale... Było w tym zdjęciu coś, co mnie niepokoiło. Jakiś czas później miałem jeden z moich złych snów z duchami i zamiast pójść z powrotem do łóżka, usiadłem i napiłem się trochę kawy. Przyglądałem się temu zdjęciu i zrozumiałem, że ja sam kiedyś tak wyglądałem.

Wysunął palec i postukał w człowieka, który stał, patrząc wzdłuż ziemnego rowu.

- Stałem dokładnie w ten sam sposób. Po posadzeniu maszyny w złych warunkach. Ten tutaj jest pilotem.

Kuusinen skinął głową.

- Racja. Można poznać po kombinezonie, który ma na sobie.

- Tak. Lecz, co najdziwniejsze, ma biały kolor. Udałem się do NORF-u, gdzie mam znajomego nazwiskiem Hank Caid. Sam służył niegdyś w Siłach Powietrznych. Poprosiłem go, by przepuścił to przez komputer i postarał się otrzymać zdjęcie *en face* pilota i tego drugiego człowieka. Zapis jest w całości cyfrowy, a oni potrafią manipulować nim bardzo sprytnie. Zrobił, o co go prosiłem, i dostałem coś takiego.

Thrale wyjął z teczki dwa następne zdjęcia.

- To jest ten drugi, w średnim wieku. Trudno powiedzieć, gdyż dłoń zakrywa część twarzy. Ale czy może to być ten człowiek?

Kuusinen porównał oba zdjęcia.

- Tak, może być. Kto to?

- Wakatsuki Shigeru. Szef biura projektów Przedsiębiorstwa Lotniczego Komura - rzucił Thrale bezbarwnym głosem.

Na kilka chwil zapadła cisza.

- Świetnie - rzekł Kuusinen. - Nie podoba mi się to wszystko i mam przeczucie, że będzie jeszcze gorzej. A co z pilotem?

- Czekał, co to jest? To oznaczenie na piersi skafandra lotniczego?

- Kwiat?

- Chryzantema?

- Tak.

- Zdaje mi się, że ma szesnaście płatków - rzucił Thrale mimochodem.

- Jakie to ma znaczenie? - spytał ostro Kuusinen.

- Symbol cesarski. Sprzed sierpnia 1945 roku.

- A kto to jest?

- Podpułkownik Nozaka. Japoński dowódca pilotów myśliwskich.

- Wiedziałem, że mi się to nie spodoba.

- Przejdźmy teraz do Lin Pao, który umarł jak samuraj, niszcząc jednocześnie dowód wiążący go z zamachem na prezydenta Hawkinsa.

- Ale po co zamach na Hawkinsa? - zastanowił się Kuusinen.

- Nie wiem. Ale tego wieczoru otrzymałem telefon od bardzo starego przyjaciela, który pracuje dla japońskich tajnych służb. Kiedyś pracował dla mnie w Korpusie Kontrwywiadu. Przyjechał tutaj z ministrem handlu Saito na nieowocne zresztą i bardzo krótkie rozmowy z MacGregorem. Wpadł do mnie do domu zasmucony i urażony ostatnim amerykańskim posunięciem względem Japonii. Mówiąc, że minie dużo czasu, nim spotkamy się ponownie przy dzisiejszych tendencjach, podarował mi drogi i egzotyczny prezent. Był to zarazem zegarek, kalkulator, telewizor i telefon. Bardzo nowoczesny sprzęt. Powiedział, że wykonano go w Komura Electronics, ale nie ma go jeszcze w sprzedaży... Miałem go na ręku, gdy poszedłem się zobaczyć z Cy Rogersem - ciągnął obojętnie. - By przedyskutować twój plan zrujnowania Aleksandra Borodina.

- Masz go ze sobą? - spytał Kuusinen z zaciekawionym.

- Zaraz do tego dojdę. W następny piątek wstałem wcześniej, by jak zwykle popracować. Kiedy jechałem drogą, wyczułem, że coś jest nie w porządku... tak jak niegdyś w kabinie myśliwca. Niektórzy z nas mieli coś takiego i stracali samoloty. Większość nie miała i nie strącała. Ludzie w Siłach Powietrznych nazywają to świadomością sytuacyjną. W każdym razie, szczęśliwie dla mnie, nadal ją posiadam i byłem w stanie usunąć się z drogi, kiedy runęła na mnie ogromna ciężarówka. Wpadłem moim Cadillakiem przez żywopłot do stawu sąsiada. To zdarzenie trochę mną wstrząsnęło. Spędziłem resztę dnia w domu, załatwiałem naprawę szkód i odpoczywałem.

Późnym popołudniem zadzwoniły do mnie dwie młode, bardzo czarujące i rozkoszne, japońskie dziewczęta, które całkiem wiarygodnie podały się za siostrzenice mojej zmarłej żony. Pytały, czy mogą przyjść i ugotować mi posiłek, jak poprosiła ich matka, zanim wyruszyły do Ameryki. Szczerze mówiąc z przyjemnością przyjąłem ich propozycję. Od śmierci Keiko tęskniłem za tą częścią siebie... W każdym razie przyszły i spędziliśmy niezwykle cudowny wieczór. Jedliśmy wiele i piliśmy dużo sake. Zanim się upiłem, na ich życzenie wykonałem kaligrafię. Wiedziały, że jest to mój *kakushi-gei*, mój ukryty talent. W Japonii każdy ma jakiś *kakushi-gei*,

którym na życzenie może popisać się na przyjęciu, obiedzie, ślubie lub gdziekolwiek indziej. Jest to przeważnie jakiś bardzo pożyteczny talent towarzyski, jak taniec, śpiew, czy naśladowanie innych. Moim jest kaligrafia. Zatem przekaligrafowałem dla nich tekst. Wiedziały nawet dokładnie, czego chcą. Był to ustęp z wielkiej, samurajskiej kroniki *Heike Monogatari*. Powiedziały, że prosi o to ich matka, jako że pamiętała, jak robiłem to w Japonii. Uległem więc. Urywek ten napisany ideogramami wygląda bardzo pięknie. Po angielsku brzmi następująco: „Dumni trwają przez chwilę, jak wieczorna drzemka wiosną. Potężni złamani zostają na końcu, są niczym pył pędzony przez wiatr.” Kronika upamiętnia śmierć bohatera *samurai*, samotnej i wyjątkowej postaci, który zginął dzielnie, lecz tragicznie, walcząc przy beznadziejnie nierównych szansach. Jak powiedziałem, spędziliśmy wspaniały wieczór. Dziewczęta były przemiłe, przyrządziliśmy bardzo dobre jedzenie, piliśmy fantastyczną sake. Upiłem się, jak tego oczekiwały, i pomogły mi położyć się spać... na przednim siedzeniu samochodu w garażu, po czym zapuściły silnik i zamknęły za sobą drzwi.

- O Jezu - wyszeptał Kuusinen.

- To coś, co mają piloci myśliwscy, ta świadomość śmiertelnego niebezpieczeństwa znowu mnie uratowała. Udało mi się ściągnąć ze ściany akwalung i wrócić na siedzenie. Oddychałem powietrzem z butli, aż się skończyło, i wtedy zataczając się wróciłem do domu. Dziewczyn już nie było. W środku, zanim nie straciłem przytomności, natrafiłem na stół nakryty dla jednej osoby i moją kaligrafię ułożoną na biurku. Mój telefon, kiedy podniosłem słuchawkę, był głuchy.

Kuusinen wstał, przyniósł zimnego Red Stripe'a z lodówki, którego wypili prosto z puszek.

- Następnego dnia dokonałem rekonstrukcji wydarzeń mając naprawdę potwornego kaca i ohydny smak w ustach. Dziewczyny próbowały zabić mnie wcześniej rano ciężarówką, ale się im nie powiodło. Po południu przeobraższy swoje plany zadzwoniły do mnie, by zaaranżować kolację, a kiedy się wyłączyłem, nie odłożyły słuchawki, żeby odciąć mnie od zewnętrznego świata. Niedługo przed tą rozmową zamordowały Cy Rogersa na parkingu budynku Departamentu Stanu. Przyjechały do mnie na wieczór i jeśli idzie

o nie, to są przekonane, że mnie także sprzątnęły. Zrobiły porządek w pokoju, w którym jedliśmy, poustawiały wszystko jak dla jednej osoby, ułożyły moją kaligrafię na biurku i zabrały ze sobą ten zegarko-telewizor-telefon ze sobą. To było urządzenie podsłuchowe.

- Twój były partner zrobił ci to, co ty chciałeś zrobić Lin Pao. Niczego nie podejrzewałeś?

- Nigdy bym nie podejrzewał. Takashi jest mi winien dług, którego w rzeczywistości nigdy nie da się spłacić. Nie do pomyslenia, że mógłby zrobić mi coś takiego.

- Ale zrobił - stwierdził Kuusinen sucho.

- Zgadza się. A dziewczyny zaaranżowały wszystko tak, jakbym popełnił samobójstwo. Kac płata jednak dziwne figle, bo powięzało mi się to z notatką, którą przeczytałem w „Rannym Ptaku”, o archiwizacji z Biura Projektów Specjalnych Lockheeda, który popełnił samobójstwo. To właśnie tam zbudowano *F-117A*.

Przejechałem się więc tam. Wyszło na jaw, że zmarły był kimś na kształt seksualnego lekkoatlety i prowadził rejestr zdjęć swoich maratonów z parami dziewczyn. To dało mi do myślenia. W jego domu natrafiłem na ukryty aparat fotograficzny z naświetloną rolką filmu. Wywołałem go i otrzymałem to.

Rozłożył na stole kilka fotografii.

- Pamiętaj, abyś zabrał je ze sobą, K.K. - napomniął go Kuusinen. - Moja żona pomyśli, że chadzam do pornoshopów.

- Tutaj jest buteleczka z pigułkami barbiturany. A tu oddają cześć zmarłemu. To są te same dziewczyny, które podawały się za siostrzenice mojej żony.

- Wszystko ma związek z Japończykami.

- Zgadza się... Takashi założył u mnie podsłuch, ponieważ w jakiś sposób dowiedział się, że mam przedyskutować coś z Cy Rogersem na temat Aleksandra Borodina. W rezultacie Cy nie żyje, a ja o mały włos do niego nie dołączyłem. Lepiej powiedz mi, dlaczego chcesz go zniszczyć.

- Ja nie chcę. Lecz człowiek nazwiskiem Wiaczesław Mazurow.

- Znam Mazurowa. Był szefem KGB. Dlaczego wykonujesz jego polecenia? Jesteś przecież doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego.

- Zgodziłem się je wykonać - odparł Kuusinen głosem bez wyrazu - ponieważ jestem mu winien życie. Podczas II wojny światowej mój ojciec był przywódcą partyzantów w Karelii. Kiedy miałem dziesięć lat, walczyłem jako partyzant. Pod koniec wojny rusyfikacja Karelii przebiegała bardzo krwawo, a dowodził nią Mazurow. Mazurow to dziwny człowiek. Gdzie mógł, pozwalał komuś uciec, oszczędzał życie, zamiast je odbierać. Oszczędził życie mojego ojca i matki, i moje. Pod warunkiem, że opuścimy Finlandię i wyniesiemy się do Ameryki. Ojcu kazał wskrobać swoje inicjały na kuli, która zakończyłaby nasze życie. Ta właśnie kula towarzyszyła prośbie, bym dostarczył mu materiał dowodowy obciążający Borodina. Bez wątplenia powinienem był odesłać mu ją z powrotem. Ale nie zrobiłem tego. Teraz muszę żyć ze śmiercią na sumieniu.

- Postąpiłbym tak samo - odparł Thrale.

- To mnie nie pociesza.

- Teraz wiesz, co mam na myśli mówiąc o duchach. Wracają, by wziąć odwet...

Thrale podniósł się i spojrzął na Waszyngton przez otwarte okno.

- Jest coś przeogromnego... i wstrętnego w tej mgłę. Chciałbym to zobaczyć. To wszystko i... i Ameryka... dzieje się tu coś w rodzaju „kochaj albo rzuć”.

- To Ed Reisch. Dostał hople na punkcie władzy, cierpi na gorączkę władzy gorszą niż ktokolwiek inny. To stary zadymiarz, który wszędzie posługuje się narzędziem polityków bez skrupułów: zaciekłym szowinistycznym patriotyzmem powiązany z obrażaniem mniejszości, żeby każdy mógł się na nich wyżywać. Hitler używał do tego Żydów. Idi Amin Azjatów. Ed Reisch dorwał się do Japońców. Najsmutniejsze, że to działa; przynajmniej na krótką metę. Z pewnością zapewni Barnetowi powtórny wybór.

- Reisch mieszka w Georgetown, prawda?

- Przy moście, na Ulicy P.

- Wiem, gdzie to jest.

Thrale stał w zamyśleniu.

- Będę musiał tam wrócić, Lief.

- Wrócić dokąd?

- Do Japonii. Ponieważ uważają mnie za martwego, mogę pojechać po cichu pod innym nazwiskiem. Wybadać, co się dzieje.

- Potrzebujesz paszportu, może czegoś jeszcze?

- Mam wszystko. Potrzebuję dostępu do placówki CIA. Lepiej ich zawiadom, że przyjeżdżam. Ścisłe Tajne Umbra.

- Dobrze.

Był ciepły, letni wieczór, lecz Thrale nagle zadrżał i objął się ramionami, jak gdyby chciał odpędzić chłód.

- Ktoś chodzi po twym grobie?

- Grzechy przeszłości rzucają długi cień... „Czuję, że mnie kciuki śwędzą: coś złego drogi do nas szuka”.

Thrale dostrzegł Shelby Cobra na podjeździe przed domem Reischa. Zaparkował po przeciwnej stronie ulicy. W chwilę później z domu wyszedł Reisch w towarzystwie Ali. Miękkie, czarne włosy Ali zebrane były z tyłu w kucyk. Thrale podniósł aparat marki Nikkon i zrobił im zdjęcie obiektywem 180 mm o zmiennej ogniskowej.

◆ **Wardman Tower, Waszyngton**

Rosjanin wszedł do apartamentu nie dalej niż do małego korytarzyka za drzwiami. Z wnętrza dochodziły wesole odgłosy kąpania dziecka i śmiech matki i babci.

- Otrzymałem nabój - zaczął pilot.

- Panie Mazurow - odparł Kuusinen. - Po tym, jak wprowadziłem w życie prośbę pańskiego ojca, dokonano ataków na dwóch zajmujących się tym ludzi. Jeden zginął, a drugi ledwie uszedł z życiem. Ktoś wiedział, co robimy i zareagował bardzo szybko, chcąc stanowczo położyć temu kres. Pozwolę sobie zasugerować pańskiemu ojcu, że może warto by przemyśleć chęć zrujnowania Aleksandra Borodina. Zdaje się, że ma on niezwykle potężnych protektorów.

- Przykro mi z powodu uszczerbku, jakiego doznali pańscy ludzie. Mój ojciec pragnie, by nie posuwał się pan dalej. Ojciec niedawno wycofał się z życia publicznego. Ma spędzić resztę dni w cichym ustroniu daczki.

Syn Mazurowa wyciągnął stary nabój.

- Proszę - powiedział. - Należy teraz do pana.

♦ **Kwatera Główna Dalekowschodniego Okręgu Wojskowego, Władystok**

Generał porucznik Aleksander Ogarkow zamrugał powiekami w popołudniowym słońcu, które chyliło się na niebie. Był bardzo, bardzo zmęczony. Drzwi potężnej windy, która wyniosła go na powierzchnię, zawarły się z sykiem. Ogarkow wkroczył we wspaniały letni blask słoneczny i skierował się w stronę czekającego samochodu.

Nie wyglądał na generała, gdy siedział zapadnięty na tylnym siedzeniu samochodu, który zmierzał za miasto. Miał na sobie szary kombinezon z otwartym kołnierzem, spod którego wyzierał niebiesko-biały, pasiasty podkoszulek spadochroniarski, a na głowę wcisnął wyblakły niebieski берет. Dobrze się składa, że nie prowadzę tego samochodu, pomyślał. Najprawdopodobniej bym go rozbił.

Zawsze tak było. Przygotowania do wojny były tak rozległe, że ludzie odpowiedzialni chodzili całkowicie wyczerpani, jeszcze zanim się zaczęła.

Lecz Ogarkow znał na to lekarstwo. Kiedy był jeszcze małym chłopcem, powiedział mu o nim dziadek. Jego dziadek zmarł mając ponad dziewięćdziesiąt lat, z gładką twarzą i wszystkimi własnymi zębami. Ponieważ znał lekarstwo.

Samochód wjechał w sosnowy las. Ogarkow kazał szoferowi zatrzymać się i poczekać. Pomaszerował w las, radośnie wdychając zapach żywicy i sosen, a jego buty chrzęściły na grubym dywanie z igliwia. Na polance znalazł to, czego szukał. Tutaj kryło się lekarstwo. W brązowym kopczyku mieszały one - leśne mrówki.

Ogarkow rozebrał się i wskoczył w pagórek, jak gdyby był to basen z lodowatą wodą. Mrówki z wściekłością zaroily się na jego ciele. Wyczuwał ich wściekłość, gdy go kąsały. Gdyby został tam zbyt długo, zjadłyby go żywcem, ale wystarczyła tylko minuta. Żaden eliksir nie zastąpiłby tego zabiegu, gdyż mrówki kłuły w miejsca ważne, podobnie jak akupunkturzysta wie, w które miejsca wbić igły.

Ogarkow wyskoczył z pagórka niczym rogacz i, rycząc z bólu i radości, popędził dookoła polanki strzepując z siebie mrówki. Następnie się ubrał.

- Dziękuję towarzysze! - zawył. - Dziękuję za uprzejmość!

Gdy wracał truchtem do samochodu, paliło go całe ciało. Znużenie opuściło go zupełnie. Był gotów.

Podobnie jak wojna.

◆ Jelianskoje, Jakucka ASRR

Dywizję Piechoty Zmotoryzowanej Rogaczewa przejmowali obcy. Przyjeżdżali ciężarówkami ubrani w odpowiednie mundury i wyładowywali się w ogromnych magazynach 14. Armii. Tam czekali żołnierze Gwardii Rogaczewa, którzy wsiadali do ciężarówek w miarę jak je opróżniano. Czuli pewną odrazę do tych mięczaków z tyłów, którzy włożyli mundury Gwardii, ale cieszyli się, że opuszczają Jelianskoje, bez względu na to, dokąd zmierzają. Upokarzające przeniesienie tutaj całej dywizji po tym, jak wycofali się z linii frontowej NATO po podpisaniu Traktatu Pokojowego dotyczyło do żywego. Obok karnego przeniesienia na piaski, gliny i kamienie pustyni obok Morza Kaspijskiego, dziura pokroju Jelianskoje była najgorsza.

Porucznik Aleksiej Mazurow poczuł lekkość w sercu, gdy ogromne ciężarówki wytoczyły się, zostawiwszy w olbrzymim parku za sobą czołgi bojowe, transportery opancerzone, ciężarówki, artylerię, baterie przeciwlotnicze i przeciwpancerne, sprzęt saperski, chemiczne pododdziały bojowe oraz sekcje naprawcze i wsparcia. Po urlopie w Moskwie powrót do Jelianskoje był nie do zniesienia.

Ciężarówki zabrały ich do Jakucka, dużego węzła kolejowego. Pociągi. Zasieki z drutu kolczastego. Rozkraczone, brzydkie magazyny, w których znikwały i skąd ukazywały się wagony. Wewnątrz jednego z nich żołnierze Gwardii Rogaczewa zeskoczyli z ciężarówek... i popatrzyli z niedowierzaniem na następną środek transportu. Wagony z węglem.

Były naprawdę przeogromne, można by wjechać do środka transportem opancerzonym. U góry wystawał węgiel. Dostrzegli małe, ukryte drzwiczki z boku, którymi dywizja załadowała się do środka. Wewnątrz, choć brakowało okien, wagony zostały wygodnie wyposażone w koje i

umywalnię. Był już wieczór i czekała na nich w środku gorąca strawa oraz napoje. Prawie półtorakilometrowej długości pociąg zaczął z chrzęstem posuwać się na wschód.

Było już ciemno, kiedy się rozładowywali. Zeszli w dół tunelem w ziemi, zostawiając wagony na olbrzymiej bocznicy. Mignęły im światła i kominy jakiegoś wielkiego budynku, a potem już maszerowali w dół szerokim, dobrze oświetlonym tunelem. Porucznik Mazurow szedł na czele pierwszej kompanii batalionu. Prowadził ich nie znany mu porucznik.

Na wprost nich stały zupełnie nowe czołgi *T-80M* sformowane w kolumnę. Miały grube, nieużywane gąsienice, świeżą farbę maskującą i pancierz reaktywny bez jednego zadrapania. Mazurow zobaczył, że jest ich wszystkich trzydzieści jeden. Cały etat batalionu. Stał tam gąsienicowy, opancerzony, przeciwlotniczy system *2-S-6* i pluton wyrzutni rakietowych ziemia-powietrze *SA-9* na pojazdach kołowych. Na tyłach batalionu Mazurow dostrzegł wyrzutnie artylerii rakietowej wsparcia z pociskami rakietowymi *Luna-M*, haubice 122 mm *Gwozdika 281*, wielokrotne wyrzutnie pocisków rakietowych, wozy patrolowe *PRP-3 rozwiędzczyków*, zwiadowców, najeżone antenami i erkaemami, do wkraczania na tereny skażone chemicznie, wozy inżynieryjne, łączności i wsparcia, które ciągnęły się w blasku jarzeniówek na rozległym podziemnym parkingu.

- To jest wasza kompania - oznajmił porucznik. - Odbierzcie plecaki, płaszcze, kombinezony, pistolety i hełmy od kwatermistrza i złożcie je w czołgach. Będziemy tankować i uzbrajać się. Wasze kwatery znajdują się tam, ale nie przyzwyczajajcie się do nich za bardzo. Rano wyruszamy.

- Gdzie jesteście? - spytał Mazurow.

Młody człowiek uśmiechnął się szeroko.

- Tam w górze - wskazał na sufit - stoi elektrownia Szimanawska. Tam - pokazał na lewo - siedemset kilometrów stąd jest Władywostok. Za mną płynie rzeka Amur.

Wskazał prosto przed siebie w kierunku szerokiego, gładkiego tunelu, który prowadził na zewnątrz.

- A tam, siedem kilometrów stąd, leży Chińska Republika Ludowa.

◆ Kabuki-cho, Wschodnie Szinjuku, Tokio

Chuck Imamura skończył swoją edukację w 1945 roku. Powinien był pójść na uniwersytet w Eugene w stanie Oregon. Zamiast tego pojechał na kilka zrujnowanych wysp na Pacyfiku, gdzie wśród dymu wybuchów i odoru palących się ciał przestuchiwał tych kilku ludzi, którzy pozostali przy życiu. Imamura był *nisei*, amerykańskim Japończykiem pierwszego pokolenia. W toku krótkiej, lecz intensywnej indoktrynacji wojennej wystarczająco długo przebywał z Piechotą Morską, którzy zajmowali się walką i zabijaniem, by podłapać kilka wskazówek. Niemal pół wieku później pamiętał je na tyle, żeby trzymać się z dala od okien małego mieszkania Thrale'a. Było popołudnie, dzielnica przyjemności *sakariba* ledwo się obudziła. Rurki neonów trwały w bezruchu, milczały głośniki, które zwykle rywalizowały zaciekle o uwagę dla swoich firm - peepshow'ów, zabaweczek dla pełnoletnich, saloników ciupciana.

Po drugiej stronie alei siedziała na stołku mała dziewczynka ze swoją babcią, przeżuwając kluski, które ta podawała jej z miski. Wokół walały się stare doniczki, pudełka polistyrenowe, rowery i kubły. Matka dziewczynki zamiatała podłogę, przygotowując malutki barek na przyjęcie klientów. Połyskiwał jak pudełko na kapelusze i nie był wcale większy.

- Jesteśmy za starzy na to gównu - utyskiwał Imamura. - Tacy jak my spłacili już swój dług. Nie powinno się ich zmuszać, żeby ruszali w teren.

- Tak, wiem - Thrale wyjął dwie puszki Sapporo z maciupkiej lodówki, na której złożył swój materac. Rzucił jedną Imamura.

- Biali nie mogą wyściubić nosa - ciągnął Imamura, otwierając puszkę. - Jak tylko się pokażą, tłum zatłucze ich na śmierć. Więc żołnierze trzymają się bazy, a czarnuchy kulą się w ambasadzie. Oznacza to, że jeśli chcą wiedzieć, co się dzieje, muszą wykorzystać gości takich jak my. Ty ujdiesz. Wyglądasz bardziej na jednego z nich, niż na Amerykanina. Zawsze możesz powiedzieć, że jesteś synem poborowego, który nieładnie się postarał.

Imamura pociągnął potężny łyk piwa i zachichotał. Potem, jakby sobie coś przypomniał, sięgnął do kieszeni kurtki i wyciągnął brązową kopertę.

- Zapomniałem. Przyszło do ciebie. Prosili, żebym ci oddał.

Thrale otworzył kopertę. W środku znajdowały się zapisane na maszynie kartki papieru i notatka od sekretarki Cy Rogersa, w której zawiadamiała, że znalazła je porządkując papiery razem z notatką wskazującą, iż są przeznaczone dla Thrale'a. Przesłała je doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego, a ten przekazał je dalej.

- Coś ważnego?

Thrale włożył je z powrotem do koperty, zamierzając przyrzeć się im później.

- Tylko wiadomość od zmarłego.

- No więc, dlaczego przyjechałeś, K.K.?

- Pamiętasz prezydenta Hawkinsa?

- Jasne. Zmarł na atak serca, czy coś w tym rodzaju.

- Ktoś go zabił.

- Nie chrzaniysz?

- Jakiś Japończyk.

- Aha... - odparł Imamura posepnie.

- Nie dziwi cię to?

- No, oczywiście, że tak, ale jednak nie...

- To znaczy?

- Chyba jesteśmy ludem, który łatwo podnieca się jakimś obcym narodem. Mam na myśli nienawiść... My i może jeszcze Rosjanie. No i mamy teraz do czynienia z tą przerażającą falą antyamerykanizmu. Powinieneś pooglądać telewizję. Cały czas pokazują takie filmy jak „Minami Jujisei”, z tym cholernym obłokiem w kształcie grzyba i „Dai Nippon Teikoku” o żołnierzach amerykańskich grających w piłkę japońskimi czaszkami. „Chushingura” leci co drugie popołudnie. Mówię ci, Thrале, komukolwiek uda się wysiedzieć do końca, dostaje obłędu. Gazety wypełniają wstępniaki o tym, jak to zewnętrzny świat z Ameryką na czele powstaje przeciw Japonii, i że zawsze tak było. Wszędzie pełno *higaisha ishiki*, zwykłych ludzi zachęca się, by postrzegali siebie jako ofiary.

- A co dzieje się wewnątrz samego systemu? Co szykuje Komura?

- Hm, cóż - Imamura spojrział na Thrале'a z ukosa. - Otóż mamy tam swoje źródło... i nie podoba się nam to, co do nas dociera. To, co ludzie

myślą o USA jest niczym w porównaniu z tym, co knuje banda Komury.

- To źródółko? Czy to jeden z nich?

- Nie... ee... krewny jednego z nich. Jednego z małej grupki, która sprawuje kontrolę nad całym systemem.

- Który zieję pustką - rzekł Thrale. - Chłopcy podczas wojny mandżurskiej wiedzieli o tym i dlatego mogli robić to, co robili.

Zajrzał do alei. Jakiś neon zamrugał, ozywając jaskrawą czerwienią, bielą i zielenią, i niczym wirusem zaraził inne. Zaskrzeczał głośnik:

- *Irasshaki, Irasshaki!* Witamy! Witamy!

- Ta cała wrzawa wokół Jankesów - podjął. - Zdaje mi się, że zaczęła się po tym, jak Barnet wygłosił małe przemówionko o oczyszczaniu środowiska przez wkładanie Hondy do kruszarki.

- Nie - zaprzeczył Imamura powoli. - Nie myślałbyś tak, gdybyś uważnie obserwował. To zaczęło się już wcześniej.

Domowa atmosfera zniknęła z ulicy. Mała i jej babcia rozplynęły się w zmięczeniu. Kabuki-cho było gotowe na przyjemności i występki.

- Tak - odpowiedział Thrale. - Tak właśnie myślałem.

Teatr wojny

♦ Zhong Nan Hai, Pekin

Wejście do parku znajdowało się kilometr na zachód od Bramy Tienanmen, wzdłuż bulwaru Czang An. Znaczyła je czerwona tabliczka ze złotymi ideogramami, czerwona flaga i dwóch wojskowych strażników sterczących tam o każdej porze dnia i nocy, gdyż wokół pięknych jezior, od których wzięła się nazwa parku, znajdowały się najważniejsze komitety oraz domy najwyższych rangą członków Partii. Ludzie ci, co rozumiały, zabiegali o to, by ukryć swój komfortowy styl życia przed oczami proletariatu, i tylko niewielu przepuszczano pod czerwoną tablicą, złotą kaligrafią i czerwoną flagą. Żołnierze 35. grupy ze składu 227. niezależnego batalionu zwiadowczego Specnazu uważali za mało prawdopodobne, żeby udzielono im pozwolenia na wejście, gdyby zapukali do bram o drugiej w nocy, zatem wpłynęli od strony parku Beihai, gdzie jezioro znikало pod Wenjin Lu. Pod powierzchnią wody wycięto dziurę w ceglany murze, który nie pozwalał uciekać ozdobnym kaczkom, a zagrażał drogę ludziom takim jak oni, zatem przeniknięcie do parku nie stanowiło większego problemu.

35. grupa nie weźmie rankiem udziału w półfinałowym meczu koszykówki przeciw swoim bratnim towarzyszom z 3. Dywizji Garnizonowej Ludowej Armii Wyzwoleńczej, na stadionie im. Robotników, we wschodniej części miasta, nie będą ich też oklaskiwać członkowie 28., 33., 46. i 51. grupy, gdyż przybyli do parku razem z nimi. Sześćdziesięciu ludzi wynurzyło się z wody po dwóch stronach jeziora Zhongai niczym krokodyle. Ubrani byli na czarno. Kiedy zebrali się na suchym lądzie, zmienili gumowe pletwy na zamykane na rzepy adidasy wyjęte z plastikowych toreb, które chroniły także pistolety *P-8* z tłumikami i amunicją.

Jednostką dowodził Otari Jecow z 35. grupy, świeżo awansowany do stopnia kapitana. Przejął trzydziestu ludzi na zachodniej stronie jeziora. Z przeciwległego brzegu błysnęło światło, znak, że grupa porucznika Orłowa jest gotowa. Kroczyli żwawo dwójkami, odszukując bungalowy w parku z pewnością pszczoł, które kierują się do kwiatów.

Lekka kamizelka szturmowa zawierała wszystko, czego potrzebowali, by wykonać zadanie. Ogromne bojowe noże Specnazu z wystrzeliwanymi ostrzami, krótki zgięty łom, dodatkowe magazynki do pistoletów *P-8*. Zadanie mieli wykonać jak najciszej. Na wypadek jednak gdyby sprawy wymknęły się spod kontroli, mieli dużą liczbę granatów chilijskich *GH 78-F7*. Ich plastikowa skorupa była zaopatrzona w zwoje uprzednio karbowanego drutu stalowego, który przy wybuchu wytwarzał strefę śmierci o promieniu do dwudziestu metrów. Z pewnością wystarczałyby, żeby zabić wszystkich w pomieszczeniu. Siły specjalne lubiły i miały pozwolenie na kosmopolityczny wybór narzędzi dla swoich zadań. Obok granatów większość dzierżyła karabinki szturmowe *Kalasznikow AKSU* wyposażone w tłumik *PBS* i tłumik płomienia, z noktowizyjnym celownikiem *NSP-3*.

Otariemu towarzyszył kapral Kryszynin z 35., podobnie jak on, weteran z Afganistanu, ogromny mężczyzna, który nosił pseudonim Dżyngis Chan. Każdy miał pseudonim.

Zbliżyli się do bungalowu od tyłu, nadchodząc od jeziora przez ozdobny ogród, który zasadził Czu En Lai, za czasów, gdy tam mieszkał. Wsunęli wąskie, ostre końcówki łomów we framugę drzwi kuchennych i naparli na nie. Gdy drzwi ustąpiły pod naporem, odłożyli je na ziemię. Obaj odpięli z kamizelek pistolety oraz ogromne noże, i przesunęli się po cichu przez kuchnię w stronę holu.

Ktoś spuścił wodę w toalecie i wąski pasek światła pod drzwiami utworzył się w kolumnę, która oświetliła korytarz. Piękna młoda kobieta w krótkiej koszuli nocnej wlepiła w nich wzrok z przerażeniem i otworzyła usta do krzyku. Z noża w dłoni Otartego wydobył się krótki syk, gdy sprężyna wyrzuciła ostrze w poprzek holu. Dosięgło ono gardła kobiety i wepchnęło ją z powrotem do toalety. Upadła na podłogę, jej palce drapały w oszołomieniu kawałek okropności za językiem.

Na prawo znajdowały się na wpół uchylone drzwi sypialni.

Pościel była odrzucona w miejscu, z którego wstała umierająca w tej chwili kobieta. Kryszynin przytrzymał śpiącego mężczyznę, dusząc jego okrzyki przerażenia, gdy tymczasem Otari zrobił mu zastrzyk małą strzykawką. Oficer miał dłonie jak kiście bananów. Przerzucił uśpionego Chińczyka przez ramię jak człowiek niosący pusty worek, wyszli na dwór i ruszyli truchtem przez park w kierunku bramy, która wychodziła na zachodnią część bulwaru Czang An. Reszta jednostki już się zbierała. Przynieśli ze sobą zapach prochu i ostry, metaliczny zapach krwi. Otari był pewny, że udało się im sprzątnąć najwyższe władze dowódcze Chin.

- Czianga Szikai nie było - ubolewał Kozak Orłow.
- A cała reszta?
- Co do jednego - zapewnił porucznik.

Otworzyli bramę. Żołnierze w mundurach Ludowej Armii Wyzwoleńczej kręcili się po Czang An. Drutem kolczastym i barykadami nabitymi metalowymi kolcami zablokowali bulwar od strony Wielkiego Pałacu Ludów do Pałacu Kultury Narodów na ulicy Xidan. Kierując wzrok na wschód żołnierze Specnazu wyłonili się zza bramy.

Nad placem Tienanmen coś zaszumiało. Dwaj żołnierze chińskiej Armii trzymali zakończoną hakiem drabinkę. Bulwar Czang An okolony szeregiem masztów oraz młodymi topolami i wierzbami, stanowił olbrzymią, osmiopasmową arterię, która biegła prosto jak drut ze wschodu na zachód, podług świętej geomancji średniowiecznych Chińczyków, w której pola siły promieniowały z pałacu cesarza do najbardziej odległych zakątków cesarstwa.

Suchoj SU-24C minął Bramę Tienanmen, która prowadziła do Zakazanego Miasta cesarza, nadlatując na piętnastu metrach z szybkością ponad dwustu kilometrów na godzinę, ze skrzydłami w pełni wychylonymi do przodu; pilot posadził go na środkowym pasie. Za maszyną wykwił pomarańczowy spadochron hamujący.

Otari stał przed Budynkiem Telegrafu z przerzuconym przez ramię jeńcem, a duży bojowy samolot szturmowy kołował kierowany przez jednego z żołnierzy w mundurze LAW. Maszyna zatrzymała się, jej nos zakiwał się przez chwilę i osłona kabiny uniosła się. Dwóch czekających żołnierzy pobiegło do samolotu. Otari podążył za nimi i kiedy zahaczyli drabinkę o

krawędź kabiny, wdrapał się zręcznie ze swoim ładunkiem i zrzucił nieprzytomnego Chińczyka na pusty fotel operatora systemów uzbrojenia po prawej stronie pilota. Przypasał go w sposób, w jaki mu pokazano, potem wymienili z pilotem silny uścisk dłoni i Otari zszedł w dół po drabince. Kiedy ją odczepił, osłona kabiny opadła w dół. Biegiem ruszył w stronę schronienia za rogiem ulicy. Dwa silniki turboodrzutowe ryknęły pełną mocą. Bulwar wypełniło gorące powietrze, gdy *Suchoj* nabierał prędkości. Nos uniósł się w górę, samolot oderwał się od ziemi, niesiony pochodniami migotliwego płomienia i zaczął wspinać się ponad plac, kierując się na północ.

Żołnierze byli gotowi. Sześćdziesięciu ludzi brało udział w operacji wewnątrz Zhong Nan Hai, a dwie dwunastoosobowe grupy osłaniały bulwar Czang An. Gdy rozwiało się dudnienie silników odrzutowych na dopalaniu, doszło ich bardziej miękkie pojękiwanie turbin. Samolot transportowy *An-72*, krótkiego startu i lądowania, przysiadł na bulwarze miękko jak balerina. Wysoko zamontowane turbinowe silniki dwuprzepływowe pluły powietrzem po klapach zwisających ze skrzydeł, wytwarzając ogromną siłę nośną. W chwili gdy niskociśnieniowe opony uzyskały kontakt ze smołowaną nawierzchnią, pilot włączył odwrotny ciąg i mały, przysadzisty transportowiec zwolnił do szybkości truchtu i zawrócił obok Budynku Telegrafu, przed którym żołnierze formowali szereg. Tylne drzwi w kształcie wachlarza opadły w dół i wszyscy wbiegli niespiesznie do środka.

Zamykając luk, pilot napompował paliwo do dwóch silników *Lotariewa* i maszyna popędziła w kierunku, z którego przybyła. *Antonow* oderwał się od ziemi i, schowawszy grube koła, piął się ponad żółtymi dachówkami Zakazanego Miasta. W środku żołnierze zmieniali czarne kombinezony nurków i lekkie kamizelki szturmowe na pełne konwencjonalne wyposażenie spadochroniarza *Specnaz*. *Rodina* miała jeszcze dla nich zajęcie. Biurokratów i urzędników z wymiany kulturalnej zostawili w Pekinie. Ich zadanie, rolę, którą nieświadomie odegrali w sprezentowaniu generałowi porucznikowi Ogarkowowi najcenniejszego podarunku, jaki może otrzymać dowódca operacyjny - zaskoczenia strategicznego - dobiegła końca. Mogli zostać w Pekinie i czekać, aż Chińczycy rozstrzelają ich rankiem.

Osiemdziesięciu czterech żołnierzy stoczyło się w ładowni *An-72*. Na przygotowanie mieli pięćdziesiąt minut. Opuściwszy Pekin transportowiec leciał nisko nad ziemią i zmierzał na wschód, w kierunku zatoki Pohaj, z prędkością siedmuset kilometrów na godzinę. Każdy z żołnierzy miał na sobie lnianą bieliznę i grube sznurowe podkoszulki, chroniące przed naturalnymi mieszkańcami bagien i lasów - ulubionego siedliska żołnierzy Specnazu. Ostra trąbka komara natrafiała na puste powietrze do ssania. Na bieliznę naciągali szyte potrójnym ścięciem bluzy i spodnie. Nogi chroniły bardzo grube, wełniane skarpety wkładane pod miękkie, mocne buty desantowe z wołowej skóry. Na głowy naciągali ściśle przylegający bawełniany hełm, który podczas skoku odsłaniał tylko oczy, nos i usta. Na wszystko wkładali gruby, ciepły, opadający do pól uda anorak w jasnoszarym kolorze zeszłorocznej trawy lub brudnego śniegu.

Podobnie jak piechota, żołnierze Specnazu byli jucznymi zwierzętami. Plecak zawierał tabletki oczyszczające wodę, 2765 gramów wysokokalorycznej żywności, zapalki sztormowe, suche tabletki spirytusowe, zapas lekarstw, ręcznik, szczoteczka do zębów, brzytwę, mydło, igłę i bawełnę, haczyk na ryby i linkę, menażkę i łyżkę, kompas i mapy, piły włosowe i saperki.

Sam plecak nie ważył zbyt wiele. Prawdziwym ciężarem były karabinki *AKMS* z trzystoma nabojami, pistolet, nóż bojowy, granaty, granatniki *RPG-22*, laserowe znaczniki celu, pasywny sprzęt noktowizyjny, plastyczny materiał wybuchowy i miny kierunkowe, które nosili wszyscy prócz oficerów i operatora radiowego. Dodatkowo dźwigali część sprzętu i zapasów w pojemnikach, które zrzucano podczas skoku z pierwszymi trzema ludźmi z każdej grupy.

Jako weteran wojny w Afganistanie, Otari mógł pozwolić sobie na indywidualność. Nóż bojowy wraz z czterema zapasowymi ostrzami miał przypasany do lewej cholewy buta desantowego. Zrezygnował z *Katasznikowa*. Ponad wszystko Otari uwielbiał siłę ognia. Piesi żołnierze mogli przenieść ograniczoną ilość sprzętu, dobrze było zatem mieć broń, która spełniała kilka innych ról. Osobistą bronią palną Otariego był amerykański lekki ręczny karabin maszynowy *Barrett 50*. Nazwa była raczej myląca, jako że obok *McMillana* model 87, którego przypominał, *Barrett* był

największą dostępną bronią odpalaną z ręki. Miał kaliber 12,7 mm i ważył tylko trochę mniej niż dziewięciokilogramowy *McMillan*. Otari z chęcią wybrałby ten większy, ale *McMillan* nie był karabinem samopowtarzalnym. *Barrett* strzelał jedenastonabojowymi magazynkami, które ładował pociskiem zwykłym na cel żywy, ze smugaczem do kontrolowania trajektorii, przeciwpancernym do przebijania twardych celów - jak na przykład transportery opancerzone, lekkie czołgi i ściany bunkrów - a także przeciwpancernym pociskiem zapalającym, by upiec dwie pieczenie na jednym ogniu, najskuteczniejszym na śmigłowce, które zmieniał w interesujące, koziółkujące na ziemię wiatraki sztucznych ogni. Pociski kalibru 12,7 mm, którymi strzelał karabin *Barrett* były, dla uzyskania lepszej dokładności, wyrabiane ręcznie i ważyły ponad 40 gramów każdy, czyli cztery razy więcej niż standardowy pocisk kalibru 7,62 mm. Leciały z prędkością 900 metrów na sekundę, a ich siła rażenia ustępowała jedynie dwudziestomilimetrowym pociskom z działka. Spełniający rolę podręcznej artylerii karabin *Barrett* skonstruowano tak, by mógł służyć jako karabin wyborowy. Za pomocą optycznego celownika Zeissa o zmiennej ogniskowej, który kosztował tyle, ile sam karabin, Otari mógł naprowadzić z odległości tysiąca trzystu metrów siatkę nitek na stojącego na zewnątrz kwatery głównej generała, poczekać, aż podstawa muszki i krzyż nitek zatrzymają się na klatce piersiowej, i ściągnąć spust. Po półtorej sekundy gigantyczny ładunek ugodziłby w cel, przemieniając zawartość jamy klatki piersiowej w krwawą jatkę. Otari ze swoją broń nie był po prostu dobrym strzelcem z dobrym karabinem - razem tworzyli samowystarczalny system uzbrojenia.

Otari nie przepadał za przydziałowym pistoletem *P-8*. Powodowany swoją wiarą w siłę ognia skombinował dla siebie naprawdę niezwykłą broń: pistolet *Desert Eagle* wyprodukowany przez firmę Izrael Military Industries. Nie załadowany amunicją miał masę 1,7 kg i strzelał nabojem *Magnum* kalibru 0,44 cala. *Desert Eagle* był raczej małą armatą, a nie pistoletem, i wymagał od użytkownika zarówno doświadczenia instruktora, jak i siły goryla. Otari spełniał obydwa warunki. W czasie tajnej służby jako kierowca ciężarówki Awtotransport spędził kilka tygodni w Wielkiej Brytanii, gdzie zapoznawał się ze środowiskiem, w którym przyszłoby mu

działać, gdyby Związek Radziecki rozpętał wojnę z NATO. Znalazł trochę czasu, by wypożyczyć kilka filmów z Brudnym Harrym. W pełni podzielał opinię ekranowego gliniarza o potrzebie posiadania broni, która za jednym strzałem zdmuchiwała przeciwnikowi głowę.

Gdy znaleźli się nad zatoką Pohaj, *An-72* zszedłszy na niski pułap leciał stałym kursem na północny wschód w kierunku Liaodong Wan. Żołnierze byli całkowicie ubrani prócz ciasno przylegających bawełnianych czapek, które wkładali dopiero przed skokiem. Wygolone czaszki lśniły od potu w oświetleniu ładowni.

Przygotowywali się do zrzutu ze stu metrów, więc żołnierze mieli tylko jeden spadochron otwierany z pomocą pojemnika z gazem. Spoglądając przez kopułkowane okienko obok celownika zrzutów *NKPB-7* Otari wyteżył wzrok i dostrzegł pobladłą w świetle księżycy linię brzegową Yingkou. Zaczęli formować kolumny, najciężsi stawali jako pierwsi, tak by opadając szybciej nie wpadli na spadochrony naszych kolegów.

Podążając wzdłuż biegu rzeki Yun Hee *An-72* sunął nadal bardzo nisko. Gdy Szenyang pojawiło się w polu widzenia, pilot gwałtownie zmniejszył prędkość do 300 kilometrów. Wachlarzowe drzwi ładowni obsunęły się w dół z furkotem przekładni zębatych i serwomechanizmów. Czekaając, aż zapali się zielone światło, żołnierze stali w szeregach, po pięciu w każdym rzędzie. Skoki ze stu metrów były czymś okropnym i oczy wszystkich pobłyskiwały odcieniem obłędu.

- Zbliżamy się, chłopcy - zawołał stojący przy jęczyczku drzwi komandos, a jego kamizelka załopotała na wietrze.

Żołnierze zaczęli zbijać się w pięć jednolitych grup, każdy przyciskał się do pleców poprzednika. Kiedy stojący przy rampie komandos da sygnał, ci z tyłu pochyliły się do przodu i cała grupa jak jeden mąż wypadnie przez duże drzwi.

Wspiąwszy się na około trzysta metrów *An-72* zwolnił do dwustu kilometrów na godzinę. Kiedy pokazał się cel, pilot zdusił obroty prawie do zera i nos maszyny skierował się ku ziemi w płytkim locie nurkowym ze stałą prędkością. Mały, grubawy transportowiec prześlizgnął się nad liniami obronnymi niczym szybowiec.

Rozzarzyło się niebieskie światło i rozległ się jęk syreny. Dał się słyszeć

chrapliwy ryk, gdy z wszystkich gardeł wydarł się wrzask:

- W drogę!

Otari stał jako piąty w szeregu. Wiatr buchnął mu w twarz, obrócił do góry nogami, wdarł się pod poły kurtki. Linki spadochronowe strzeliły mu po twarzy i poderwały pionowo. Na trzydziestu metrach przekonał się, że znajduje się precyzyjnie nad celem i zmierza w kierunku dobrze zadbanego dziedzińca budynku upiękzonego trawnikiem i klombami kwiatów. Z głuchym tąpnięciem uderzył w ziemię i szorstkie linki spadochronu strzeliły mu ponownie po twarzy. Zrzucił z siebie uprząż i wydobył z futerału karabin *Barrett*. Brzydki, chudy jak zapalka budynek, przed którym stał, jeżył się przerożnymi antenami. Biegiem ruszył do wejścia, nad którym płonęła czerwona gwiazda.

Dźyngis Chan i Węgorz, kapral Kryszynin i Drozdow ubiegli go i kiedy z hukiem wpadł do korytarza, dwaj strażnicy leżeli martwi w kałuży krwi na posadzce. Jeden wyglądał na zaspanego, drugi na zdziwionego kształtem legitymacji, jaką mu okazano.

Pobiegł korytarzem. W małym, wymalowanym na biało pokoju pełnym urzędzeń łączności stało pod ścianą dwóch przerażonych chińskich żołnierzy.

- Otworzyć drzwi! - rozkazał Drozdow po mandaryńsku.

- *Bu dui* - odrzekł wyższy żołnierz i potrząsnął głową. Jego towarzysz wlepił wzrok w niego i trzech ogromnych żołnierzy niczym królik w węzowisku.

Kryszynin przyparł zatwardziałego żołnierza do ściany i dłonią jak chochla przykrył mu usta. Drozdow zerwał jednym szarpnięciem niebieskie spodnie i pochwycił genitalia młodego Chińczyka w oliwkowej bluzie. Szczupłe dłonie zabębniły jak oszalałe po jego plecach.

Ogromny nóż Specnazu był ostrzejszy niż nóż rzeźnicki.

Ohydne bulgotanie przesiąknęło przez palce Kryszynina. Zwolnił uchwyt; złapawszy się oburącz za krocze Chińczyk zwałił się na podłogę. Krew trysnęła po posadzce.

Drozdow uniósł odcięte genitalia tak, by drugi żołnierz mógł się przypatrzyć.

- Otwórz drzwi. *Qing* - powiedział. - Proszę.

Chińczyk kiwnął gwałtownie głową. Drozdow przytrzymał go, gdy ten miał właśnie wylecieć jak strzała z pomieszczenia.

- Uspokój się - upomniął go. - Zachowuj się normalnie.

Ruszyli w głąb korytarza. Gdy stanęli przed obitymi skórą drzwiami, żołnierz wystukał serię cyfr na ukrytym pulpicie szyfrowym. Drzwi rozsunały się i za nimi ukazały się następne, z blachy pancernej. Chińczyk przycisnęła dzwonek i w szczelinie przeziernikowej z grubym szkłem pojawiło się czyjeś oko. Zabzyczały zamki i drzwi otworzyły się.

Zanim Otari i kaprale uzyskali dostęp do wielkiej windy, ludzie z 35. przynieśli pociski zapalające i plastyczny materiał wybuchowy. Otarli ostrza noży i schowali je na miejsce. Zjeżdżając w głąb bunkra, trzymali broń i granaty w pogotowiu.

Drzwi windy rozsunały się i Otari wyskoczył jako pierwszy. Korytarz był wyludniony, oświetlony przyćmionymi, nocnymi lampkami. Na lewo kuchni - duże ilości oleju spożywczego - będzie się nieźle paliło.

Wjechali piętro wyżej. Znaleźli się w samym mózgu bunkra; pomieszczenia zapełniał sprzęt łączności. Ktoś drzemał przy pulpicie dyżurnym. Pchnięcie nożem uspiło go na zawsze. - Przylepcie tutaj trochę plastiku, chłopcy - rzucił w przelocie Otari.

Następne piętro. Korytarze i pokoje.

Na każdym piętrze zostawiali otwarte drzwi wind jak strażacy, a na szczycie wysłali windę jeszcze piętro wyżej i otworzyli także i te drzwi, robiąc ty samym wspaniały przeciąg.

Kiedy plastik eksplodował, podłoga zadrżała im pod stopami. Dym trysnął z szybu windy. Na dworze słyhać było strzelaninę i eksplozje następných partii plastiku. Wynosili się z budynku, z dołu płynęło szybem przeraźliwe zawrođenje, niczym odgłos palonych żywcem kotów i psów: w głębi bunkra spali ludzie.

Zabudowania stały w płomieniach. Zza zasłony dymu wytoczył się z dudnieniem i wizgiem gąsienic transporter opancerzony. Z wieży otworzono ogień i Otari puścił w nią serię z karabinu *Barrett*. Rozbłysła w niej plamka białego, błyszczącego płomienia i wieża buchnęła ogniem jak ogromna pochodnia ogrodowa. Kiedy się odwrócił, zobaczył jak upychano Kryszynina do tylnej części zdobycznego transportera.

Od świtu dzieliła ich nie więcej niż godzina. Oddział wycofał się ze zniszczonego kompleksu w transporterach opancerzonych *YW 531H*, które odebrali właścicielom. Na szosie mogli rozwinąć sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. O brzasku transportery spoczną wepchnięte w lasy w górach Jilin Hada Ling, a żołnierze Specnazu zaszyją się w swoim naturalnym środowisku, gdzie nikt nie będzie mógł ich odnaleźć. Oddział miał tylko jednego rannego - kaprała Kryszynina. Jego okrągła twarz błyszczała od potu. Leżał na dnie transportera, a Otari rozciął zbroczoną krwią nogawkę jego spodni. Strzaskana kość błysnęła bielą przez krew i poszarpane czerwone mięso. Otari sięgnął do małej kieszonki w rękawie bluzy i wydobył małą strzykawkę jednorazowego użytku.

- Uwaga, Dżyngis. Małe co nieco na uśmierzenie bólu, zanim zabandażujemy ci ranę.

- Jak to wygląda?

Igła wślizgnęła się w ciało i Otari wdusił tłoczek do samego końca.

- Lekkie zadraśnięcie - rzucił niedbale. - Jak przy goleniu.

Ogromny mężczyzna uśmiechnął się szeroko.

Wyjechali przez bramy, które oznajmiały gościom, że dotarli do Wojskowej Kwatery Głównej im. 1 Sierpnia, ośrodka dowodzenia dla całego Okręgu Wojskowego Szenyang, który rozciągał się na północ od Okręgu Pekinńskiego, aż po długą granicę z ZSRR. Za mniej więcej godzinę armie generała Ogarkowa miały przelać się przez pas graniczny, niczym pancerna fala przyływu.

Spać będą w górach Jilin Hada Ling. W dzień. Tak jak prostytutki, Specnaz pracował nocą. Tej nocy uwijać się będą w niesamowitym, karnym tempie Specnazu. Uzupełnią zapasy ze zrzutów. W tym czasie wojna miała być już w toku, a Chińczycy mieli cofać się, stawiając słaby odpór sile, wadze i szybkości radzieckiego szturm. Pozbawieni ośrodka dowodzenia w Szenyang będą musieli ponownie stworzyć jakąś formę systemu informacyjnego na potrzeby tego, co pozostanie z ich pięciu dywizji pancernych, dwudziestu trzech dywizji piechoty i oddziałów ochrony pogranicza. Przed świtem oddział Otariego uderzy ponownie. Otari wyglądał przez otwór strzelniczy w burcie transportera. Niebo jarzyło się wiśniową czerwienią. Taki schemat będzie się powtarzał: nocny marsz, uzupełnienie zapasów, atak, ucieczka i sen, nocny marsz, aż albo wygrają wojnę, albo

zabraknie żołnierzy, którzy mieliby tego dokonać.

Otari zerknął na podłogę zatłoczonego transportera. Kryszynin przestał oddychać. Strzykawkę w małej kieszonce na rękawie znano jako „błogą śmierć”. W Specnazie nie zaprzętało sobie głowy ewakuacją rannych, jedynie uzupełniano żywność, żeby żołnierze mogli wypełniać swoje zadania. W czasie wojny, żeby przeżyć, musieli sami dobijać rannych.

Jutro, w szarych godzinach przedświt, będą mieli duże szczęście, jeśli wywiną się tylko jednym rannym.

Otari zastanowił się, jak długo będzie trwać ta wojna.

◆ Kabuki-cho, Wschodnie Szinjuku, Tokio

Powietrze, które sączyło się do małego pokoiku Thrale'a, zaprawiały zapachy mijającej nocy - kawy, whisky, wzmocnionego glutaminianem sodowym curry i piwa. Ulice opustoszały, zniknęły plejady chichoczących dziewczyn w jaskrawych, obcisłych majtkach, włóczęgowskich płaszczach i wielkich kolczykach. Zamarły dyskoteki, a *saraariimen* w ciemnych garniturach biznesmenów znaleźli się z powrotem w domu za Szibuja lub Ikeburo, albo w kapsułkowatych hotelach przesyconych oparami whisky. Bary zamknięto na trzy spusty, poszły sobie koniki i dziwki, *yakuza* i potrzęsające cyckami dziewczęta.

Thrale obudził się, zwinął materac i umył się, zagotowując w międzyczasie wodę na herbatę. Odstawił czajnik, by ostygł i przywdział ochronne barwy biznesmena. W małym pokoju było ciepło, więc zawiązując pasiasty krawat otworzył okno. Woda ostygła na tyle, by można było zaparzyć herbatę i Thrale zatopił w kubku torebkę *bancha*.

Zaparzając się, powoli zabarwiała wodę na żółto. Stojąc i przyglądając się kubkowi Thrale uświadomił sobie, że odczuwa niepokój. Podeszedł do okna. Wczesnym rankiem Kabuki-cho spowijała cisza, jaka w większości miast zapada nocą. Zmęczone nogi, zimne neony, znużone ciała, śmieci i pijaczyny. Nastawiając ucha wyłapał odgłosy miasta, które huczało, trzeszcząc od energii i podniecenia.

Pospiesznie podeszedł do małego telewizora Sony i nadusił przycisk. Z ekranu zniknęła właśnie mała, ożywiona postać w zbyt obszernej kamizelce kuloodpornej. Pojawiła się reklama proszku do prania, a Thrale doznał wrażenia, że była to transmisja z Placu Tienanmen w Pekinie. Skorzystał z

okazji, by uratować torebkę herbaty przed utonięciem, po czym upił łyk, zanim na ekran powrócił obraz ze studia.

Jego oczom ukazało się coś na kształt sali sztabowej. Jakiś mężczyzna w średnim wieku ubrany w mundur polowy machał olbrzymim wskaźnikiem po mapie obficie upstrzonej w duże, zakrzywione do dołu strzałki, które przywodziły na myśl kampanie wojskowe. Thrale widział go poprzedniego dnia, jak czytał wiadomości zza biurka, ubrany w pasiasty garnitur. Transformacja studia sekcji informacyjnej w drapaczu chmur Shimbaszi w podziemny bunkier bojowy zaskoczyła go tak, że przez chwilę znaczenie mapy uszło jego uwadze.

- Skurwiele - zgrzytnął i opadł z powrotem na małą kanapę. - Najzwyczajniej w świecie rozpętali wojnę.

Niecałe kilka minut zabrało mu zrozumienie, że wszystko, co wiedział na temat tej wojny, podobnie jak wszyscy inni z wyjątkiem Armii Czerwonej i Ludowej Armii Wyzwoleńczej to to, że parę godzin wcześniej ta pierwsza wkroczyła z trzech różnych stron, w zmasowanej sile i w zabójczym tempie, na terytorium, którego broni ta druga, i rozbiła ją w proch.

Patrzył jeszcze przez chwilę, by zorientować się, czy nie będzie jakiejś aktualizacji tych nagich faktów.

Ktoś zapukał do drzwi i Thrale poszedł je otworzyć. Na korytarzu stał Chuck Imamura. Jego nieogolony podbródek błyszczał srebrzyście. Ubrany był w garnitur, ale nie miał krawata.

- Serwus, Chuck - powitał go Thrale zdziwiony. Imamura przekroczył próg bez zaproszenia, a gdy to zrobił, Thrale wiedział już, dlaczego nie pytał o pozwolenie. Wykonywał rozkazy czarnego pistoletu maszynowego przytkniętego do jego pleców. Broń kalibru 9 mm trzymała dłoń mała, lecz pewna jak skała.

- Mówiłem ci, że jestem za stary na to gówno - mruknął Imamura znużonym głosem. Wszedł i usiadł na kanapie, a ponaglany lufą pistoletu Thrale zrobił to samo. Dwie dziewczyny skłoniły się grzecznie, jedna po drugiej, błyszczące czarne włosy spłynęły w dół jak wodospady smoły.

- Witamy, panie Thrale - odezwała się ubrana prawie wyłącznie na czerwono.

- Witam - odrzekł. - Czy mam ci mówić Kiyoko? A twojej przyjaciółce Masako?

- Dlaczego nie? - roześmiały się zgodnie.

- Widzi pan, panie Thrale - odezwała się Masako. - Pan nie powinien już żyć.

W jej stroju górowała biel. Pistolet, który trzymała w dłoni, nawet nie drgnął.

- Pan Thrale jest *samurai* - powiedziała Kiyoko. - Prawdziwy samuraj zawsze daje sobie radę w nierównej walce i ucieka śmierci wiele razy, zanim ta go w końcu dopadnie, prawda?

- Komura was przysłał - powiedział Thrale. - Czego chce? Macie mnie zastrzelić tymi wspaniałymi pistoletami?

- Panie Thrale - odrzekła zasmucona. - W ogóle pan nie słucha. Mówimy o samurajach.

Siedzący obok Thrale'a Imamura gapił się na swoje dłonie, pozornie znudzony i obojętny. Oglądał paznokcie zwiniętej lewej dłoni, jak gdyby zastanawiając się, czy aby nie wymagają troski, i kreśląc jakieś wzorki drapał się we wnętrze dłoni.

- Samuraj nie ginie w pokoju nad barem w Golden Town - skarciła go Kiyoko. - Pozwala się mu umrzeć dobrą śmiercią, a nawet chwalebną.

- Dobrze jest umrzeć - rzekła Masako. - Śmierć wyda się panu lżejsza niż piórko.

- W jaki sposób mam umrzeć? - spytał Thrale. - Co zaplanował dla mnie Komura Tadaji?

- Dawno temu Komura Tadaji postanowił oddać swoje życie za rasę Yamato. Przygotował się do śmierci tak jak starożytny książę Yamato, przodek wszystkich samurajów. Wiem, że zna pan tę legendę. Książę Yamato był wędrownym bohaterem. W swoich licznych ekspedycjach zadał klęskę wielu wodzom i potworom, aż w końcu zaraził się gorączką przez dotknięcie ośmiogłowego węża, którego miecz zwany „Kłębem Obłoków” nosił u pasa. Zanim umarł, zobaczył się po raz ostatni ze swoją jedyną miłością Iwato-hime, co pokrzepiło go na duchu, i gdy wpadł w objęcia śmierci, zmienił się w białego ptaka, który odleciał na południe.

W telewizji komentator mówił o manewrach operacyjnych i armiach połączonych rodzajów wojsk. Z tego co opowiadał jasno wynikało, że dla niego mogłyby się one nazywać Persil i Ariel. Imamura ignorował wszystko i nadal drapał się w dłoni.

- Komura Tadaji nie mógł oddać życia za swoją rasę - ciągnęła Kiyoko.
- Gdy wyzdrowiał, wojna się skończyła, zaczął więc służyć swojemu ludowi. W *Hagakure* jest przecież napisane, że prawdziwy samuraj przygotowuje się na śmierć każdego dnia, a nie, że chwila wyboru śmierci nadchodzi raz w życiu. Czas Komury Tadaji nadszedł i przeminął. Za pana sprawą, panie Thrale. Teraz Komura Tadaji chce, by pan dokonał wyboru. Nadszedł czas na pana, tak jak niegdyś na niego. My będziemy twoimi przyjaciółmi, twoimi *kaiszaku*. Pomożemy ci umrzeć.

Thrale podniósł się z kanapy i wziął marynarkę od garnituru.

- Całe to chrzaniecie o samurajach to kupa końskiego gówna - rzucił. - Macie mi jeszcze coś do powiedzenia, zanim stanę oko w oko z żywiołami?

- Najszybszym sposobem na śmierć jest skontaktowanie się z kimś pana pokroju. Z białymi, z Jankesami - odparła Masako. - Wszyscy są pod stałą obserwacją. Proszę naśladować wielkiego księcia Yamato, który był samotnym bohaterem.

- Wszystko to nie warte jest funta kłaków - parsknął Thrale. - Lepiej sobie pójść.

Spojrzał w telewizor, gdzie pokazywano, jak zmienia się świat.

- Przypuszczam, że wasza wizyta ma z tym coś wspólnego. Czy tak?

Kiyoko uśmiechnęła się szeroko do swojej partnerki.

- Widzisz, mówiłam, że pan Thrale będzie wiedział.

Thrale przystanął przy drzwiach *fusama*, na których namalowane irysy zaczęły się obłupywać. Przydałby się im nowy wzór.

- *Sayonara*, Chuck. Przykro mi.

- Potraktuj to jako *au revoir* - odparł Imamura sucho.

- Taak.

Thrale zszedł po schodach, ale zamiast wyjść przez małe drzwi na ulicę Kwiatów Ogrodowych, przecisnął się pomiędzy jakąś kupą pustych kartonów po whisky Johnny Walker do brudnej salki na zapleczu baru. Cała ulica była z drewna. Napał na luźną, częściowo przegniłą deskę i w chwilę potem zrobił na tyle duży otwór, by przez niego przeleźć. Kiedy przecisnął się do korytarza, usłyszał za sobą ostry huk. Strzał.

Wyszedł na ulicę, która - jeśli nie liczyć martwych neonów i koszy na śmieci - świeciła pustką. Szybkim krokiem ruszył wąską uliczką, nie szerszą niż rozciągnięty na wznak mężczyzna, a potem skręcił w większą, zyg-zakowatą arterię pełną piętrzących się neonów, barów, hotelików dla przygodnych kochanków, kolejnych neonów, restauracji i saloników *rakugo*. Kręciło się tu trochę ludzi. Poszedł w dół ulicy, na zachód.

Minął miejsce, w którym wyburzono jakieś budynki, by postawić nowe. Miejsca takie należały do odwiecznego stylu tego miasta, z którego człowiek mógł wyjechać, a wróciwszy po dziesięciu latach zupełnie nie wiedzieć, gdzie jest. Przez lukę w szeregu budynków dojrzał wielkie drapacze chmur Zachodniego Szinjuku. W nocy ludność tej dzielnicy liczyła sobie sześć osób: kapłana świętego przybytku Kumano w parku centralnym oraz jego rodzinę, podczas gdy po drugiej stronie stacji Wschodnie Szinjuku pulsowało życiem. Jednak w dzień zachodnia dzielnica gościła ćwierć miliona urzędników biurowych, którzy wszyscy przewijali się przez stację kolejową Szinjuku.

Dwa i pół miliona ludzi przewalało się przez stację każdego dnia, ginąc i wyłaniając się z labiryntu prywatnych i państwowych linii kolejowych, zdążało do ośrodków handlowych, na obiad do restauracji lub by pograć w *pachinko* w nędznych salonach gry. Stacja była miastem. Thrale zanurkował w dwadzieścia tysięcy ubranych w garnitury ludzi, którzy wychodzili z pętli Yamanote i zniknęli.

◆ Rzeką Nen Jiang, Helongjiang, ChRL

W czołgu śmierdziało jak w latrynie, w której jacyś maniacy odpalali skrzynkę za skrzynką amunicji 7,62 mm i ładunek po ładunku pocisków 125 mm najróżniejszych typów. I tak właśnie było. Gwardia Rogaczewa przyłapała 2. Pułk ze składu 6. Dywizji Pancерnej w chwili, gdy ci opuszczali koszary i urządziła im jatkę. Wrak tego pułku spoczywał cztery godziny drogi za nimi. Po walce Aleksiej Mazurow czuł, że musi opróżnić pęcherz co pięć minut, a ponieważ nie mieli żadnych postojów, potrzeby trzeba było załatwiać w czołgu. Stare wozy bojowe zapewniały stałą

dostawę lśniących mosiężnych łusek, które załoga używała jako latryn, lecz armata *D-8ITM* w czołgu *T-80* strzelała pociskami z łuskami spalającymi się, które opuszczały lufę w postaci białego dymu. Kwatermistrz wiedział o tym, więc wyfasował plastikowe kubły.

Gwardia toczyła się doliną rzeki. Mazurow wyściubił głowę z wieży, a mechanik - kierowca Chrenow uniósł pokrywę włazu. Tylko celowniczy, Azjata imieniem Chan, musiał siedzieć pod pancernem w okropnym smrodzie benzyny, prochu i ekskrementów.

Na tej wysokości powietrze było czyste i chłodne nawet latem. Na zachodzie ciągnęły się rozległe pasma gór Da Hinggan, a na wschodzie Xiao Hinggan.

Okolica świeciła pustkami. Nic się nie ruszało prócz żołnierzy Gwardii w czołgach, transporterach opancerzonych, ciągnikach, transporterach dział przeciwlotniczych i pocisków raketowych, transporterach czołgów, samochodach cysternach, ciężarówkach i transporterach amunicji z batalionu zaopatrzeniowego. Mazurowowi przemknęło przez myśl, że coś tu jest nie w porządku. Była przecież wojna. Niebo powinno huczeć od płomieni, powietrze od odłamków i pocisków, ziemię powinny zaśmiecać płonące wraki i ciała poległych. Krótkie gwałtowne starcie, w kilka minut po tym jak przewalili się przez granicę - to była wojna. A teraz jechali po dnie doliny trzydzieści pięć kilometrów na godzinę jak na niedzielny spacer.

- Do wszystkich jednostek żółtych i niebieskich, tu Arby. Szerszenie i mrówki w okolicy.

Wewnątrz czołgu załoga mogła prowadzić swobodną rozmowę. Z zewnątrz z sieci radiowej napływały głosy innych dowódców w kompanii - dowódców pozostałych kompanii, majora batalionu i pułkownika. A czasem głos Arby'ego. Nie mieli całkowitej pewności, kim był Arby. Wiedzieli tylko, że dysponował silnym nadajnikiem, który przebijał wyraźnie każdy biały szum i odległe stacje radiowe. W ciągu tego krótkiego czasu, jaki czołgiści i Arby spędzili razem, nauczyli się go kochać. Arby był Bogiem: z jakiegoś miejsca na niebie Arby widział, co robi wróg i meldował o tym. Kochali jego wyraźny akcent z Akademii im. Frunzego. Arby był typem oficera sztabowego, o którym się marzyło, oficera, który po prostu wiedział.

Głos Arby'ego gwałtownie wyrwał Aleksieja z przemyśleń. Szerszenie i mrówki. Czołgi i piechota. Ale gdzie? Wyciągając szyję Mazurow rozejrzył się dookoła. Nic nie było widać, tylko pofalowane, pokryte skibami ziemi dno doliny, skały i brudne zarośla. Nad samą rzeką parę drzew moczyło korzenie w wodzie. Spojrzył nawet za siebie, starając się przebić wzrokiem wzbijany gąsienicami kurz. W oddali majaczyło jedynie kilka ciężarówek ze służb tyłowych, które kręciły się w poszukiwaniu jakiejś kryjówki, na wypadek gdyby ostrzeżenie Arby'ego zaowocowało działaniami bojowymi. Mazurow odwrócił się do przodu.

Kątem oka dostrzegł, jak wieża Żółtego Dwa obok nich odrywa się, wzbija w powietrze i obraca, pozornie leciutka jak piłka futbolowa. Prześlizgując się między zaroślami jakiś czarny cień zbliżał się niewiarygodnie szybko. Skowyt zdychającego psa przeszył powietrze po lewej stronie. Ogromne drzwi trzasnęły. Mazurow wgramolił się do środka wieżyczki i zamknął za sobą ciężką stalową pokrywę włazu.

- O cholera - szepnął szczerze. - O cholera, cholera. Celowniczy, przesunąć w prawo.

Wepchnął twarz w osłonę przyrządu obserwacyjnego i zaczął rozglądać się desperacko przez peryskop. Zarośla. Krzaki.

- Ładuj podkalibrowym.

Karuzela amunicyjna zafurkotała pod siedzeniami, kiedy automat ładujący wybierał żądany pocisk. Mazurow wcisnął się w najgłębszy kąt prawej części wieży i przyciągnął do siebie czarny kombinezon. Automat ładujący zyskał sobie złą sławę przytrzymując nieostrożnych w część zamkową lufy wraz z pociskiem, co - jak wiedział Mazurow - zepsułoby mu resztę życia. Chrząst ustał i podwójne plaśnięcie pocisku i materiału miotającego dało znak, że broń jest gotowa.

- Gotowe! - potwierdził Chan.

Podkalibrowy pocisk przeciwpancerny stabilizowany brzechwowo z odrzucanym sabotem - *APFSDS* - był mordercą czołgów.

Zarośla. Skały. Krzaki. Drzewa.

Coś drgnęło.

- Cel na prawo, jeden sto - zawołał Mazurow. Zdziwił się, gdy usłyszał swój spokojny, niespieszny głos. Pod jego siedzeniem zrogowaciałe dłonie

Chana chwyciły pulpit sterowania ogniem z delikatnością artysty.

- Ognia! - rozkazał Mazurow.

Chan nadusił przycisk prawym kciukiem i olbrzymia maszyna zadrżała, gdy armata oddała strzał. Mazurow obserwował przebijający się przez zarośla smugacz. Naraz płomień wystrzeliły spośród drzew. Ku niebu tryśnął gęsty, tłusty dym.

Wieża obracała się w poszukiwaniu kolejnych celów. Mazurow trzymał głowę wciśniętą w przyrząd obserwacyjny.

Czołg szarpnął i zdał się unosić w powietrze. Mazurow plasnął zębami w peryskop i krew popłynęła mu po brodzie. Czołg znieruchomiał. Potem drgnął i zaczął toczyć się dalej.

- Chrenow, idioto! - zawył. - Patrz do cholery, gdzie jedziesz!

- Nie moja wina - wycedził Chrenow flegmatycznie, pociągając za drążki zrogowaciałymi dłońmi. - Jakiś cholernik nas trafił.

Mazurow poczuł, jak wnętrzności zmieniają się mu w zmrożoną wodę. Przerażliwy łomot okazał się nadlatującym raketowym pociskiem *PTURS* z głowicą kumulacyjną, który uderzył w reaktywny pancierz i uległ zniszczeniu kilka centymetrów od jego głowy, zanim zdążył przeniknąć wieżę.

Ponownie spojrzął w kanał wizjera peryskopu. Wokół czołgu kłębiła się masa dymu. Żółty Pięć darł się wniebogłose, ale chyba w ojczystym dialekcie Chana, bo nic nie mógł z tego zrozumieć.

Do diabła, skąd się wziął ten *PTURS*?

Drogę przeciął im *T-62*. Armata plunęła ogniem i dymem. Żółty Pięć raptownie zamilkł. Chiński średni czołg bojowy stał tak blisko, że wypełniał cały wizjer.

- Celowniczy, cel na lewo. Ognia!

- Za blisko.

Ogromna wieża *T-62* sunęła powoli w ich stronę.

- Ognia, do kurwy nędzy!

Wizjer zapełniły skutki eksplozji. Gdy dym opadł, *T-62* tkwił nieruchomo z dużą bliźną w pancerzu wieży. Jego armata kalibru 100 mm ponownie ożyła.

- W dół półtora metra - rozkazał Mazurow. - Ognia.

Kiedy płomień i dym rozrzedziły się, chiński czołg stał w ogniu. Pałacy

się dowódca wypełził z wieży i Chan ściął go ze sprzężonego z armatą karabinu maszynowego.

- Mechanik, ruszamy.

Gwizd silnika turbinowego o mocy tysiąca koni, chrzęst gąsienic i spalone chemikalia ze strzelającej armaty miały niemal odurzający efekt. Wyszukując cele wieża obracała się, czołg stawał się jednością.

Naraz z piersi Chan wydobył się wilczy skowyt.

- Piechota!

Postacie w mundurach maskujących wyrosły jak spod ziemi. Daleko na prawo Niebieski Trzy szarpnął się mocno i gąsienica poszybowała w powietrze. Przeciwpancerne z bliskiej odległości. Dym buchnął z czołgu i załoga zaczęła gramolić się na zewnątrz. Chińscy piechurzy wybili ich jak muchy.

- Celowniczy, ognia!

Podkalibrowy ze świstem przeciął dolinę. Mimo że był pociskiem przeciwpancernym, jego upadek w szeregach piechoty był niemile widziany.

- Załadować odłamkowym.

Pocisk odłamkowo-burzący odnosi wspaniałe rezultaty pośród mrówek. Pokoziółkowały w powietrzu i niczym małe kawałki gruzu opadły na ziemię.

- Podkalibrowy.

Świat stanął. Uderzenie cisnęło Mazurowa do przodu w twarde, wąskie siedzenie i wyrzwał nosem w peryskop. Buchnęła krew.

Czołg stanął w poprzek drogi. Ogromna turbina milczała. Mazurow obracał peryskopem jak oszalały. Piechota na dwustu metrach.

- Celowniczy, obróćcie w lewo. Ogień sprzężony!

- Nie mogę - zaskowyczał Chan. - Ten pierdolony pierdziel się rozpierdolił!

Mazurow odbezpieczył desperacko pokrywę wjazdu i wyskoczył na pancierz wieży. Gęste od dymu powietrze wydawało się słodkie w porównaniu z trucizną wypełniającą wnętrze czołgu. Pociski bzyczały wokół głowy jak trząśnięcia bicia. Na wprost siebie miał przeciwniczy karabin maszynowy DSzK kalibru 12,7 mm. Złapał oburącz uchwyty i położył ogień po piechocie, która pędziła w jego stronę.

Za jego plecami zagwizdał pocisk i Mazurow skulił się instynktownie na wieży. Karabin nadal dudnił mu w rękach. Jednak jazgot nie ustawał. Falę żołnierzy skryła ściana ognia. Przez ramię Mazurow dostrzegł sprawcę hałasu - *Su-25K*. Maszyna wyrwała do góry w stromym zwrocie, ścigana przez wielki kocioł płomienia i dymu z rejonu celu. Nad linię pola walki nadciągały kolejne, pryskające i plujące ogniem brzydkie, jadowite kreatury. Dolina wrzała od ognia i grzmoty rakiet biły ich po głowie.

Mazurow, Chan i Chrenow wyleźli z wraku. W wieży brakowało olbrzymiego płyta pancerza reaktywnego, prawą gąsienicę zdmuchnęło wraz z większością kół jezdnych. Zeskoczyli z burty i zaczęli iść w kierunku, z którego nadjechali.

Nad ich głowami z brzękiem i piskiem ciągnęła fala dużych, brzydkich, garbatych śmigłowców szturmowych. Pociski raketowe z sykiem zeskakiwały z szyn wyrzutni i drzewa wypuszczały świeże, oleistoczarne pędy. *Su-25* koordynowały atak z *Mi-24*, spadały z niebieskiego nieba jak ryby nurkujące w brudnej wodzie. Rosjanie zwali ten klasyczny manewr ataku naziemnego „kołem śmierci”. Podmuchi sunących maszyn, bicie łopat śmigłowców zgęszczało zarośla i drzewa w morze ognia i dymu.

Bojowe wozy piechoty *Joz* ze zmotoryzowanego pułku piechoty minęły z wizgiem Mazurowa i jego załogę, którzy maszerowali w stronę tyłów. Otwory strzelnicze jeżyły się od luf *Kałasznikowów*, gdy piechurzy w środku „Jeży” gotowali się do obrócenia w przynę chińskiej piechoty na otwartym polu.

Grupa piechurów, którymi zajęto się wcześniej, leżała na drodze. Strzępy istot ludzkich zwisały z krzaków. Robota pocisku. Na ziemi wił się jakiś żołnierz. Jego skowyt przedarł się przez głuchotę Mazurowa spowodowaną salwami dział i zgiełkiem bitewnym. Przystanąwszy nad nim Mazurow ujrzał odłamki zębów zmieszane ze strzaskanymi kośćmi, które niegdyś były ludzką twarzą. Gdy żołnierz wył, mięśnie dygotały pośród tej ruiny, a obydwie dłonie wciśnięte między nogi rozgniatały jądra próbując położyć kres agonii.

Mazurow wyjął z kabury pistolet *Makarowa* i strzelił mu w tył głowy.

Walki przesuwają się w głąb doliny, Rosjanie przypuszczali szturm w bezlitosnym tempie. Stąpając po koleinach, które wydrążył ich czołg,

doszli do *T-62*, którego niedawno zniszczyli. Ogień wygasł, dowódca leżał przewieszony przez burłę, a w kleistej krwi, którą nasiąknął, ucztowały muchy. Skąd się wzięli tutaj ci dranie, zastanawiał się Mazurow. Pchnięty okropną ciekawością zajrzał przez otwór, który ich pocisk wyrwał w pancerzu. Środek pokrywała warstwa czegoś cuchnącego. Wewnątrz siedziały dwie zasuszone i zwęglone jak parówki postacie rozmiarów mały. Ohydny smród spalonego mięsa podrażnił mu nozdrza, i Mazurow cofnął głowę. Poślizgnął się w kałuży ciekłego tłuszczu, która uformowała się pod czołgiem, i rój wielokolorowych much poderwał się z gniewnym bzyczeniem w powietrze.

Stopniowo cichły odgłosy walk. Sporadycznie rozlegał się za nimi grzmot amunicji eksplodującej w płonących czołgach. Natrafili na majora w wozie dowodzenia *BRDM-U2*. Razem z nim jechał pop z inkrustowaną skrzyneczką na olejki i kadzidła, z ikonami i ziemią świętą z pola zwycięskiej bitwy Newskiego nad Szwedami. Pop powiedział im, że to, co robia jest błogosławione i święte.

- Witam, Mazurow - zawołał major pogodnie. - Zrzucili was z siodła? Tam znajdziecie nowego rumaka.

W tyle oddział wsparcia sprowadzał z transportera nowiutki *T-80*. Potwierdzała się logika budowania czołgu z lufą armaty przeznaczoną do oddania 120 strzałów: czołg zużywał się szybciej niż armata. Mechanik wyszedł z czołgu i Chrenow zajął swoje miejsce. Mazurow złapał butelkę wody i pociągnął duży łyk. Chan zszedł na dół nowej wieży, Mazurow usadowił się do połowy na zewnątrz pancerza. Był wycieńczony i zupełnie roztrzęsiony. Wiatr dał od strony pola bitwy, niosąc ohydny odór, który łąpał za gardło - zapach oleju napędowego i spalin, czosnkowo-cebulowy smród materiałów wybuchowych i dławiący dym płonących maszyn i ciał, horror świeżej krwi i wnętrzości prosto z rzeźni. Najrygorystyczniejsze ćwiczenia wydawały się przy tym niewinną zabawą. Kilka rubli dziennej gaży porucznika wydało się skromną zapłatą za morderstwo.

- Mechanik, ruszamy - rzucił rozkaz. Rury wydechowe rozmiaru kominów zionęły dymem, zgrzytnęły gąsienice.

Rozległ się głośny odgłos armaty obracającej się w lewo i w prawo, potem sunącej w górę i w dół, jak gdyby rozsmakowywała się ona w plugawości,

którą przez nią wystrzelivano. Kiedy mijali *BRDM-U2* majora, pop podniósł się w siedzeniu i pobłogosławił ich znakiem krzyża.

◆ **Spain Dori, Szibuja, Tokio**

Właścicielka dużych, jasnych oczu, które spoglądały zimno na Thrale'a, pochodziła z Tohoku, gdzie kobiety słynęły z pięknej urody.

- Jesteś poszukiwany za morderstwo.

- A ty jesteś córką ministra handlu Saito i pracujesz dla CIA - spokojnie zripostował Thrale. - Nikt nie jest doskonały. Wpuścisz mnie?

- Zapomniałeś dodać, że jestem córką z nieprawego łoża. Matka była jego kochanką.

- Zatem córką z nieprawego łoża. Rewolucjonistką. Tak powiedział mi Chuck Imamura.

- Widzę, że pan Imamura bardzo się starał. Zanim zastrześliłeś go.

- Ach, jasne., tylko, że ja... go nie zastrześliłem.

- A kto?

- Dwie młode kobiety, urodziwe, przesycone na wylot etyką samurajów. Kobiety-samuraje. Kaci.

- Które dybały na twoje życie? Na czyje polecenie?

- Człowieka nazwiskiem Komura. Komura Tadaji. Znasz go?

- Ach, tak. Jak pan Komura mówi do Saito: „przyjdź”, to ten przychodzi. A kiedy każe mu odejść, odchodzi. Lepiej wejdź do środka.

Na dworze ludzie wychodzili ze stacji Szibuja i pięli się ulicą Spain do domów mody Parco. Thrale wślizgnął się do środka małego domku i Saito Fusako zatrzasnęła drzwi.

Pod jedną ze ścian małego pokoiku stał francuski szezlong, na którym zasiadła Fusako. Za oknem na małym placu hiszpańska fontanna igrała pod hawajską palmą, a jakieś dwie dziewczyny telefonowały z dziwnej wersji starej angielskiej budki telefonicznej. Na ścianie za plecami Thrale'a namalowany Romeo wspinał się po pnączu *trompe l'oeil*, żeby pocałować wyglądającą przez okno sypialni blondynkę o pulchnym łonie.

- Bardzo mi się tu podoba - oświadczyła. - Tak właśnie powinno wyglądać Tokio.

- Ładnie tu - zgodził się Thrale. - Adamstown jest diametralnie różne.

- A więc dlaczego pan Imamura powiedział ci, kim jestem i gdzie mnie znaleźć?

- Te dwie dziewczyny przyprowadziły go do mnie. Miały w dłoniach pistolety. Szybkie, zręczne dziewczyny przeciw starym facetom. Powiadomiły mnie, jak mam umrzeć. Tymczasem Chuck kreślił ideogramy na dłoni, wskazał dokąd mam pójść, podał kim jesteś... i nadmienił, że jesteś rewolucjonistką.

Fusako ukazała okolone purpurowymi ustami białe zęby w nieoczekiwanym, dzikim uśmiechu.

- Nie tylko ja, moja babka też była rewolucjonistką.

- Masz to we krwi. A gdzie mieszka twoja babka?

- Nie żyje - odrzekła Fusako. - Powiesili ją. Ludzie pokroju Komury wyprowadzili ją z celi i powiesili na stryczku.

- Przykro mi. A co takiego zrobiła?

- Napisała wiersz. Ale dopiero po tym, jak wyszła z więzienia za pierwszym razem. Chcesz kawy? Może piwa?

- Chyba jedno i drugie - odparł Thrale. - Miałem wyczerpujący poranek.

Fusako nalała do czajnika wody i postawiła go na gaz w małej, nieskazitelnie czystej kuchence, której okno wychodziło na placyk.

- Całą winę ponosi Komura - oświadczyła, wsypując łyżeczkę zmielonej kawy do filtra. - I Komurowie z przeszłości. Wmawiają nam i wszystkim pozostałym, że jesteśmy wyjątkowi, różni od innych.

Nalała wrzącej wody i pokój wypełnił wspaniały aromat kawy.

- Wszystko to kupa męskiego pieprzenia, Thrale. Wymyślonego po to, by takich kilku drani jak Komura stało za sterem, a reszta siedziała cicho. Wszystkim kierują tacy sami ludzie, jak ci, którzy rządzą nami od z górą dwustu lat. Podczas okupacji Amerykanie mieli szansę to zmienić, ale spartaczyli robotę.

- Racja - przytaknął Thrale. - Wiem, bo zajmowałem się właśnie partaczeniem.

- Moja babka chciała zmian. W latach dwudziestych.

- Więc była socjalistką, tak jak Sakai i Yamakawa?

- Nie miała dużo wspólnego ze zorganizowanym ruchem socjalistycznym, bo przede wszystkim była anarchistką - oświadczyła dumnie Fusako.

- Angażowała się w sprawę Korei, która chciała uzyskać niepodległość

od Japonii, znała Pak Yeola. Właśnie z tego powodu ją aresztowali. Zarzucano jej udział w spisku na życie cesarza po Wielkim Trzęsieniu Ziemi, kiedy poszukiwano kogoś, na kogo można by zrzucić winę. Dostała dożywocie, ale wypuścili ją w 1934 roku. Jej męża też zwolniono i wkrótce urodziła się im córeczka: moja matka.

Nalała kawy do kubków z Myszką Mickey i z lodówki wyjęła dwie puszki *ko-bin* z Asaszi.

- Jeśli ją wypuszczono, to jak doszło do powieszenia?

- Napisała wiersz. Kiedy wybuchła wojna na Pacyfiku, rząd szerzył propagandę, te wszystkie bzdury o stu milionach sunących jak płomienna kula, co było kłamstwem od samego początku, bo było nas tylko około siedemdziesięciu milionów. Moi dziadkowie założyli małą podziemną gazetkę, by podtrzymać płomień... no, płomień alternatywnego punktu widzenia i babka napisała wiersz. Chcesz przeczytać? Otóż, babka miała młodszego brata. Wiersz wisi tam na ścianie.

Thrале wstał i popatrzył na oprawioną w ramki kaligrafię.

*Och, mój braciszku, płaczę nad toba,
proszę nie umieraj.*

*Czy nasi rodzice wręczyli ci miecz,
kazali zabijać?*

*Czy chowali cię dwadzieścia cztery lata,
kazali zabijać i dać się zabić?*

*Tej wojny nie pragnęliśmy,
nie prosiliśmy o nią, czy ona cię choć trochę obchodzi?*

Thrале pokiwał głową.

- Taak, z całą pewnością w 1942 roku nie mówiło się takich rzeczy.

- Jasne, że nie. A jak ktoś mówił, zabierano go i zawiązywano mu na szyi konopny sznur.

- Długa droga wiedzie od pogrobowej wnuczki anarchistki do córki polityka z nieprawego łoża.

- Kiedy moja matka dorosła, nie chciała zarabiać pieniędzy na jedzenie i szkołę, parając się sprzedawaniem wieczorem gazet na ulicach, tak jak to

robiła jej matka. Ale moja matka, jej matka i ja mamy piękną urodę. Mamy „oczy Ainu”. Matka została gejszą, a potem kochanką wschodzącego lidera LDP - Saito, który jest moim ojcem. Nie żyjemy ze sobą najlepiej. Z zawodu jestem informatykiem, a on wprowadził mnie do Komura Research i załatwił szkolenie w Ameryce i Anglii. W ramach Programu Technologii Komputerów Nowej Generacji. Wiesz, co się dzieje z młodymi, którzy wyjeżdżają za granicę i mieszkają tam jakiś czas? *Kikoku shijo*. Kiedy wracają, są inni, wiedzą, że sprawy wcale nie przedstawiają się tak, jak im wbijano do głowy. To im się nie podoba. Wtedy mówi się, że są nieczyści, skażeni, i każe się im chodzić do specjalnych szkół, gdzie ponownie kształci się ich na Japończyków.

- Zdziałało?

- Nie, do cholery. Chciałam wszystko zmienić. Mogliśmy zacząć od wysadzenia w powietrze Tokijskiego Uniwersytetu. Tam właśnie dranie pokroju Komury uzyskują od systemu pieczęć aprobaty.

- A potem była praca dla CIA.

- Chciałam zapobiec temu, by sprawy potoczyły się tak jak kiedyś. Ale nie udało się. Widziałeś wiadomości dziś rano? Komura maczał w tym palce.

- Wiem - odparł Thrale. Popił kawę piwem.

- Więc co mam z tobą począć? Jeśli będziesz tu siedział za długo, twoje samurajskie dziewczyny przyjdą, by pokroić cię na plasterki.

- Mnie? Dziś mamy czwartek. Jadę do Chiby pograć w golfa.

◆ Pałac Zjazdów, Kreml

Ogromna sala mogła pomieścić sześć tysięcy osób. Kiedy politycy nie korzystali z niej podczas większych zebrań, zasiadali tu obywatele, by oddać się o wiele przyjemniejszemu i bardziej interesującemu zajęciu, jakim było oglądanie zespołów operowych i baletowych Teatru Wielkiego. Jednak tym razem przedstawienie dla polityków mogło z powodzeniem rywalizować z wydarzeniami kulturalnymi o zainteresowanie zachodnich dziennikarzy, którzy stłoczyli się w pierwszych rzędach.

Minister spraw zagranicznych Jegotow rzadko skupiał na sobie taką uwagę. Jegotow należał do gatunku swojego poprzednika Gromyki i jego

wypowiedzi bywały równie mało interesujące. Jednak tego dnia wszyscy czekali na jego słowa. Stał na podium, z którego Chruszczow poddał krytyce Stalina, a skąd Janow miał zamiar zniszczyć Mazurowa.

- Wczoraj siły zbrojne Związku Radzieckiego wkroczyły w całej sile na terytorium Chińskiej Republiki Ludowej i prowadzą natarcie na trzech frontach w kierunku stolicy, Pekinu. Podczas pierwszej fali ataku defensywnego nasze siły powietrzne i morskie całkowicie zniszczyły potencjał nuklearny agresora. Obecna wojna będzie miała krótki przebieg i ustanie z chwilą, gdy anormalny, bandycki rząd awanturniczego reakcjonisty Czianga Szikai zastąpi rząd możliwy do zaakceptowania przez pokojowe społeczeństwo Związku Radzieckiego. W Związku Radzieckim miłujemy naszych towarzyszy z ChRL i jest naszym pragnieniem, by z naszą pomocą obalili skupioną wokół Czianga Szikai klikę zdrajców i powrócili na drogę słusznej sprawy.

Od z górą dziesięciu lat Henry Barber pracował w Moskwie jako korespondent londyńskiego „Daily Telegraph”. Jednak dopiero teraz zauważył, że Jegotow ma poczucie humoru. W zakodowanych sformułowaniach ministra zawarte były dowcipy, które każdego w miarę przyzwoitego komunistycznego językoznawcę przyprawiły o śmiech do rozpuku. Barberowi spodobano się zwłaszcza słowo „miłujemy” w odniesieniu do ludności ChRL. Słowo to w marksistowskiej terminologii po raz pierwszy użyto w Chinach za czasów Mao, który zachęcał Czerwoną Gwardię do „miłowania” ludzi. Ukryty w przemówieniu sens był jasny jak słońce: z bliżej nie określonej przyczyny ZSRR zdecydowało się zaatakować ChRL, a kiedy już podjęto tę trudną decyzję, zrobiono to umiejętnie, skrycie i dysponując przygniatającą siłą, która dawała pojęcie o radzieckiej dyplomacji. W chwili gdy przeważające siły Armii Czerwonej zatriumfują w wojnie, Cziang Szikai zawiśnie na szubienicy, powstanie marionetkowy rząd, a ChRL stanie się dojną krową Związku Radzieckiego.

Barber, wysoki i szczupły, w swoim nieskazitelnym, niebieskim garniturze w prążki, wstał z miejsca i podniósł rękę. Był pewien, że zwróci uwagę Jegotowa: obydwaj mieli konserwatywne poglądy i rozumieli się wzajemnie.

- Panie ministrze, atak na ChRL określił pan mianem defensywnego, a sekretarza generalnego Czianga Szikai nazwał pan awanturnikiem, dając w

ten sposób do zrozumienia, że to strona chińska jest agresorem w tej wojnie. Jednak, o ile wiem, ChRL nie przypuściło ataku na ZSRR, lecz stało się odwrotnie, a siły chińskie zepchnięte zostały, jak to się mówi, do głębokiej defensywy i cofają się na wszystkich frontach.

Jegotow uśmiechnął się szczerze. Parę kobiet wręczało dziennikarzom niebieskie teczki.

- Uważam się za człowieka prawego, panie Barber. Jeśli zechce pan chwilę poczekać, zobaczy pan, że błędnie zinterpretował pan moje słowa i że są one całkowicie zgodne z prawdą.

Rządowa urzędniczka wręczyła Barberowi teczkę. Zerknąwszy pośpiesznie do środka, stwierdził, że dokument opatrzony jest tytułem PLAN 19.

- Oryginał tego dokumentu wpadł w nasze ręce jakieś osiemnaście miesięcy temu. Mogą go państwo zabrać ze sobą i wykorzystać w sposób, jaki uznacie za stosowny. Plan 19 stanowi chiński projekt napaści na ZSRR w przybliżeniu za trzy i pół roku przy użyciu wysoce nowoczesnego pod względem technologicznym sprzętu wojskowego nabytego drogą aliansu z Japonią.

Barber poczuł się zawiedziony. Przez chwilę miał nadzieję, że pójdzie mu lepiej.

- Jeśli pan pozwoli, panie ministrze, chciałbym zauważyć, że Związek Radziecki słynie z rozpowszechniania dezinformacji. - W tym momencie podniósł teczkę.

Jegotow rozpromienił się.

- Jest pan nieprawym i nienawidzącym sprawiedliwości człowiekiem, panie Barber - odparł uprzejmym tonem. - Proszę pozwolić, że wezwę na podium kogoś, kto rozwieje pana wątpliwości.

Gada jak Perry Mason, pomyślał z niedowierzaniem Barber. Zdziwienie ustąpiło osłupieniu, gdy ujrzał, kto wchodzi po schodach, poruszając się z ostrożnością podstarzałego żółwia, co odpowiadało jego wiekowi.

- Państwo pozwolą, że przedstawię ministra obrony ChRL, Hua Bai - oświadczył Jegotow złośliwie. - Panie Barber?

Barber odchrząknął i zaczął:

- Panie ministrze, czy to prawda? Czy Plan 19, który nam wręczono jest autentyczny?

- Tak - głos ministra zabrzmiał jak trzeszczący pergamin. Hua Bai był stary. Podobnie jak Cziang Szikai przeżył Długi Marsz i, co bardziej godne uwagi, następne dziesięć lat. Stary był człowiekiem twardym, nawet po osiemdziesiątce interesował się młodymi kobietami. Nie można było po nim poznać, że komandosi porwali go z własnego łóżka, uspili i, przypasano go do fotela radzieckiego myśliwca bombardującego, przewieźli do Moskwy z naddźwiękową prędkością.

- Ale dlaczego?

- Jesteśmy wielkim mocarstwem, które rośnie w potęgę, panie Barber. ZSRR jest mocarstwem, które chyli się ku upadkowi. Tutejsi ludzie nigdy nie pozwolą, żebyśmy stali się potężniejsi od nich, na pewno nie wtedy, gdy dysponują siłą zdolną powstrzymać wzrost naszego bogactwa, a opóźnić upadek własnego. Zawsze tak się sprawy miały. Ma pan klasyczne wykształcenie, prawda? „To wzrost siły Ateńczyków i obawy, jakie wywołało to w Sparcie sprawiły, że wojna stała się nieunikniona”.

- Tukidydes. „Historia Wojny Peloponeskiej” - odrzekł Barber. - Ale panie ministrze, to ZSRR napadło na pana kraj, zanim mogliście je zaatakować. I to oni zwyciężają.

- Tak - odparł Hua Bai i wykonawszy swoje zadanie zszedł z powrotem po schodach.

◆ Pole golfowe Midoriro No Ki, Chiba

Chiba leżała na tyle daleko za miastem, że człowiek nie musiał grać na dachu biura. Pole miało osiemnaście dołków, trawiaste okręgi i dom klubowy na czterech akrach pofałdowanej podmiejskiej przestrzeni. Thrale trzymał kij golfowy i właśnie zaczął drugą rundę.

Przemknęło mu przez myśl, że prawdopodobnie tylko on dobrze się bawi. Wszyscy uśmiechali się, ale żaden z graczy nie przyszedł tu dla zabawy. Przedsiębiorcy, biurokraci i politycy, którzy machali kijami wbijając piłki do dołków, pracowali nad powiększeniem swojego *jinmyaku*.

Thrale pacnął piłkę, która potoczyła się gładko po delikatnej darni przyciętej jak rypś. Z domu klubowego wyszło dwóch mężczyzn w średnim wieku, z brzuchami pełnymi Sapporo i *bonhomie*. Pożegnali się i jeden zawrócił do klubu, a drugi ruszył ścieżką obok małego pola w kierunku parkingu. Thrale uniósł swój kij i uśmiechnął się przyjaźnie.

- Takashi - zawołał. - Jesteś gotów na naszą rundkę?

Tsunoi Takashi z Japońskiej Tajnej Służby zatrzymał z przerażeniem wzrok na Thrale'u i jego skóra przybrała szary, niezdrowy kolor starego łożu.

- Mam kij dla ciebie - zachęcił Thrale i Takashi na chwiejnych jak u niemowlaka nogach wszedł na trawę.

- Jak widzisz żyję, draniu - syknął Thrale dziko. Pochwyił ramię Tsunoi jak kluczem francuskim, nie dając mu zgiąć się w ukłonie, który połączyłby jego głowę z kolanami. - Oszczędź sobie tych ceremonii, wolałbym konkretne działanie. Uderz tę cholerną piłkę i poślij ją do dołka.

- Nic nie wiedziałem, K.K. - skamlał Tsunoi. Trząś się jak osika i nie trafił w piłkę. - Kazano mi dać ci ten telewizoro-zegarko-telefon... Nie miałem pojęcia, że ktoś będzie chciał cię zabić.

- Kto ci go dał?

- Ludzie Komury.

Jeszcze raz się zamierzył i piłeczka pomknęła w poprzek pola.

- Muszę się stąd wydostać - szepnął cicho Thrale. - Z Japonii. Polują na mnie. Zastrzelili Chucka Imamurę. Chcą mnie wrobić w to morderstwo. Muszę opuścić Japonię, najlepiej samolotem, jeśli to możliwe. Ty mnie stąd wyciągniesz, Takashi.

- Dobrze - Tsunoi niemal szlochał. - Wyciągnę cię.

- Masz u mnie dług - oświadczył brutalnie Thrale. - Nawet jeśli wszystko się uda, nadal będziesz mi winny więcej, niż kiedykolwiek będziesz w stanie spłacić.

- Wiem - wyszeptał Tsunoi. - Zadzwoń do mnie do domu. Jutro rano. Wykombinuję coś.

Odchodząc Thrale usłyszał ohydne bulgotanie i pluskanie, obróciwszy się zobaczył, jak Tsunoi zwraca piwo i *tempura* w ozdobną przeszkodę wodną.

Kiedy wychodził ze stacji Szibuja, jakaś drobna i pachnąca postać uczepiła się jego ramienia.

- Cześć - Fusako uśmiechnęła się szeroko i zaczęła go prowadzić. - Skręć w lewo i idź prosto - wymamrotała, nie przestając się uśmiechać. - Nie możemy wrócić do domu. Wyszłam na zakupy po jedzenie. Wracając

ulicą Spain Dori spojrzałam na mój dom, wiesz, tak jak ty to robisz, w sam czas, by dostrzec jak ktoś poruszył się w oknie: kobieta w czerwonym ubraniu. Pomyślałam, że to jedna z tych zabójczyń.

- Zgadza się - potwierdził Thrale. - Chodźmy dalej. Daj, poniosę ci torbę z zakupami.

Minęli restaurację z grillem na węgiel drzewny, nie szerszą niż pięć metrów, która rozdzielała dwa budynki biurowe z płyt, i owionął ich smakowity aromat wołowiny *kobe* pieczonej na ruszcie.

- Pewien człowiek spróbuje mnie stąd wyciągnąć - szepnął Thrale. - Jutro będziemy bezpieczni. Do tego czasu musimy się zaszyć w jakimś ustronnym miejscu.

Oczy Fusako rozbłyły.

- Fajnie, tak pewnie żyła moja babka.

Przeszli obok miejsca, w którym niegdyś znajdowała się *meikyoku kissera*, kawiarnia z muzyką klasyczną, której okna w dziesięciometrowym egzotycznym frontonie skrywały żyrandole, kręte schody i pięć pięter architektonicznego kiczu skąpanego w Mozarcie, którego pompowały wysokie na trzy metry głośniki hi-fi.

Fusako przystanęła.

- Nie podają już tutaj kawy - powiedziała. - Znaleźli lepszy sposób na zarabianie pieniędzy.

Neon rozbłytnął, zabzyczał i pulsując strzałkami zapalał po jednej literze. Hotele otwierały się dla klientów. Na ulicach było cicho, ciemno i pusto. Wszyscy siedzieli w domach. Thrale i Fusako przeszli między klasycznymi kolumnami i wkroczyli do holu. Nad ich głowami wznosiło się sześć pięter pilastrowanych balkonów, mansardowych dachów, iglic, wieżyczek i gzymsów. Między dwiema dużymi gipsowymi figurkami nagich kobiet i pod olbrzymim herbem tkwiła pleksiglasowa tablica z kolorowymi zdjęciami pokoi, od najzwyklejszych po najbardziej egzotyczne. Hotel miłości Cesarza Nakano umiał zatroszczyć się o to, by jego szanowni klienci nie opuszczali jego progów niespełnieni.

- Na co mamy ochotę? - mruknęła Fusako i cicho zachichotała. - Czy zrobimy to w kopii koronacyjnej karety królowej Elżbiety? A może w okrągłym łóżku, które wibruje, faluje i unosi się pod lustrzaną kopułą pełną

sztucznego światła księżycy? Przemawia to do ciebie? W każdym pokoju służą oczywiście pełnym wyborem kanałów pornograficznych, ale może zainteresują nas sprzeczki do sado-maso? Bardzo popularne, zapewniam.

- Pokój z prysznicem i wanną - odrzekł cicho Thrale. - Cały dzień się bałem, raz więcej, raz mniej, i pewnie pachnę nie najlepiej. Chcę zmyć ten pot z siebie i trochę się odmoczyć.

- Wstydź się. Przyrowadzasz tu dziewczynę tylko po to, by wziąć kąpiel?

Fusako podeszła do budki podobnej do kasy w teatrze, ale bez szyby. Widać było tylko dłonie recepcjonisty. W hotelu miłości człowiek zostawia tożsamość za progiem. Dostali klucz i pojechali windą w kształcie gondoli balonowej Fineasa Fogga.

- To basen - zawołał Thrale, patrząc na spienioną białą powierzchnię.

- Nie, to kąpiel - zawołała Fusako i położyła się na ogromnym łożu wyposażonym w gadzeczki niczym kabina myśliwca odrzutowego.

- Uwaga!

Thrale zaśmigał dookoła łazienki. Z kabiny prysznicza do wanny droga prowadziła przez zjeżdżalnię. Thrale zniknął w białej pianie i Fusako wzniosła okrzyk na jego cześć.

◆ Rzeka Huai Ro Khi, Tajlandia, wrzesień 1943

Ci, którzy przeżyli, stawiali zakłady, co będą przewozić pierwsze pociągi, które potoczą się do Birmy. Linia kolejowa była niemal skończona.

Niektórzy twierdzili, że żołnierzy.

- Tojo rozwija nowy front. Idzie na Rosję od dołu.

Inni uważali, że banany.

- Żółtki przecież niedawno zeszyły z drzewa.

Większość zgadzała się, że dziwki.

Podpułkownikowi Harissowi zaś było wszystko jedno. Pajęczna nitka szczęścia, która utrzymywała go przy życiu jeszcze nie pękła. Kiedy skończą linię kolejową, tych kilku, którzy przeżyją, pojedzie z powrotem do Singapuru. Cela w Changi kusiała niczym hotel „Raffles”.

Z chat strażników dobiegło nagłe, złowróźbne warczenie. Mali żołnierze wysypali się na plac i rozpierzchli się szybko po obozie. Składane bagnety

karabinów typu 44 opuściły swoje miejsca spoczynku pod lufami. Bagnety stanowiły dla szeregowców namiastkę oficerskich mieczy samurajskich i w opętanej na punkcie ostrz Armii Cesarskiej troskliwie się nimi opiekowano.

Harris przywykł do tego, że Żółtki są nienormalnie pobudliwi. Przeżył sześć miesięcy takiego traktowania, choć innym się nie udało. W chwili, gdy pierwszy bagnet zanurzył się w ciele chorego na beriberi więźnia i rozpruł go jak papierowy worek, Harris zrozumiał, że łącząca go z życiem magiczna nić właśnie pękła.

Harris rozpoznał człowieka, który go zabił. Był nim młody strażnik imieniem Okasaki. Pot lśnił na całej jego twarzy i karku wsiąkając w bluzę. Jakaś drobna część mózgu podpułkownika postawiła nawet diagnozę choroby, na którą cierpiał: *musekinin*, rodzaj napadu i opętania podobny malajskiemu *amok* z podobnymi objawami. Ofiarę ogarniała żądza zabijania.

Harris był wojowniczym żołnierzem. Trzymanym w dłoni kawałkiem bambusa udało mu się połowicznie sparować pierwsze pchnięcie. Jednak brak witamin, minerałów i zwykłych kalorii uczynił go powolnym i słabym. Następny cios przeszył mu pierś na wylot. Upadł i bagnet podążył za nim.

Drąc się w niebogłosy strażnicy pędzili po obozie i zabijali wszystkie żyjące stworzenia.

W ogromnym łóżku w hotelu Cesarza Nakano okropny, bulgoczący wrzask wyrwał Fusako ze snu. Przekręciła wyłącznik światła i ujrzała, jak na drugim końcu łóżka, szarpiąc paznokciami atłasowe prześcieradło, Thrale chowa twarz w materac. Krzyczał. Fusako nigdy nie słyszała takiego przerażenia w czyimś głosie.

Podczołgała się do niego w swojej *yukata* i owinęła się wokół niego. Szlochał, a ona głaskała go po mokrych włosach.

- Wszystko w porządku - powtarzała. - Wszystko w porządku.

- Znaleźli ciało Tanaki - mówił Thrale. - Kiedy go zasztyletowałem, ukryłem ciało w rowie, zdjąłem mundur i zabrałem gruby zwitek pieniędzy, który miał przy sobie. Zająłem jego miejsce. Wyjeżdżał często, bo miał koneksje rodzinne. Dostał urlop, może nawet nowy przydział jednostki.

Byliśmy podobnego wzrostu, nawet wyglądałem trochę jak on. Liczyłem, że nikt nie będzie za nim tęsknił, a jeśli idzie o mnie, no cóż, kilku udało się uciec. Przeważnie ginęli. Ginęło wielu, więc żółtki nie przejmowały się za bardzo.

Wyrwałem się z obozu. Umiałem mówić po japońsku, wyglądałem jak oni. Dobrnąłem do Rangunu i dostałem się na statek, który zawiózł mnie do Indii. Zostałem bohaterem. Mniej więcej w tym samym czasie w obozie ukończyli linię kolejową i jakiś pies wyciągnął coś z rowu w Thanbyuzayat. Tanakę wciąż można było rozpoznać. Przesłali wiadomość do Huai Ro Khi i strażnicy pozabijali wszystkich.

Thrale siedział na krawędzi wielkiego łoża i trzęsąc się jak w febrze obejmował się ramionami.

- A teraz przychodzą do mnie bataliony zmarłych. Ludzie, których zabiłem.

◆ **Yantongshan, Jilin Hada Ling**

Kapral Artuzow trochę pogderał, ale reszta oddziału stwierdziła, że skoro muszą wysłuchiwać jego wędkarskich opowieści, a on - jak sam utrzymuje - wie tak wiele o wodzie, to może z powodzeniem powiosłować na środek jeziora i wykonać zadanie. Nałożył więc obrzydliwie lepki kombinezon OP-1, zwany „kombinezonym szlamowym”, który generał przysłał wraz z zapasami, i pracując wiosłami bez pluskania, bo był przecież wytrawnym wędkarzem, o czym mogło zaświadczyć wiele pięknych sztuk zjedzonych przez niego okoni, wypłynął na środek długiego jeziora. Światło księżycy migotało w lustrze wody, a tama na drugim brzegu przy ujściu jarzyła się bielą w jego blasku.

Oddychając przez respirator i wodząc wzrokiem dookoła przez okulary w masce, otworzył duże dwudziestolitrowe puszkę i opróżnił je do rezerwuaru. Pozwolił im pójść na dno z chwilą, gdy zawartość znalazła się w wodzie. Potem powiosłował cicho do brzegu, gdzie sierżant Iwaszutin odkażił kombinezon i kapral mógł wreszcie na powrót nałożyć mundur bojowy.

Grupy 35. i 51. obozowały w pięknych lasach, które otaczały jezioro. Wszyscy trzymali się z daleka od pontonu Artuzowa, a teraz także i od

samej wody. Począwszy od następnego dnia mieszkańcy Czangchun, tamtejsi żołnierze i lotnicy zaczęli spędzać długie dni przykucając wewnątrz lub w pobliżu latryny, a żołnierze z 35. i 51. grupy Specnazu nie mieli ochoty do nich dołączyć.

Otari dzielił lub łączył grupy bojowe pozostające pod jego dowództwem w zależności od przydzielonego zadania. W większych akcjach sabotażowych uczestniczyły wszystkie grupy. W sporadycznych wypadkach zaś pojedyncze. Trzydziesta piąta i pięćdziesiąta pierwsza połączyły siły w ataku na stację radiolokacyjną na pozycjach obronnych 29. Skrzydła Myśliwskiego, który nastąpił w sam czas, by uderzenie *Su-24* stało z powierzchni ziemi samo 29. Skrzydło, któremu oni uprzednio wykłuli oczy. Wycofali się do Jilin Hada Ling, zatruli zasoby wody w całej okolicy i teraz szykowali się do wymarszu.

Jeśli szło o dostawy dla swoich chłopców, generał zawsze okazywał szczodropliwość. Niczym bożonarodzeniowe choinki żołnierze byli obwieśzeni granatami, pięćdziesięcionabojowymi taśmami amunicji do uniwersalnych karabinów maszynowych *PK*, pociskami moździerzy, minami, granatami do ręcznych granatników przeciwpancernych *RPG* i plastikiem, lufami do moździerzy i płytami oporowymi.

- Dobra, chłopcy - rzekł Otari. - Poskaczcie trochę.

Wszyscy skakali przez chwilę, by upewnić się, czy żaden element nie hałasuje, a potem oddział wymaszerował.

Nawet Specnaz nie potrafił przemaszerować sześćdziesięciu kilometrów w cztery godziny, które im zostały, więc ustawili zaporę drogową i postawili przy niej Deriabina i Goglidze w mundurach LAW, którzy będąc Mongołami z Ułan Ude mogli uchodzić za Chińczyków. Mówili nawet po mandaryńsku z akcentem z Yue, jak przystało na członków mniejszości narodowej z zapadłej wsi.

W półtorej godziny po zastawieniu sieci złowili ciężarówkę, usunęli kierowcę i wyrzucili zapełniające szoferkę worki pocztowe. Reszta 35. i 51. wyłoniła się z lasu i zaczęła usuwać torby i bele z tylnej części ciężarówki, żeby zrobić dla siebie miejsce. Kiedy skończyli, zatrzymali się i zagapili.

- Hm - mruknął Iwaszutin. - Co z tym poczniemy?

Wciśnięta w róg trzęsa się ze strachu mała Chinka. Miała na sobie

ciemnoniebieskie spodnie, oliwkową bluzę i różową bluzkę Wojskowych Sił Powietrznych. Miała może dwadzieścia lat, ale wyglądała na dwanaście.

- Lepiej ją zabić - stwierdził Kozak Orłow. - Musimy ruszać.

Wszyscy poczuli się nieswojo. Niełatwo jest zabić kobietę. Można to zrobić, owszem, w ogniu walki. Gdy przymocowali materiał wybuchowy do przęsła mostu i posłali pociąg dwieście metrów w dół parowu, wiedzieli, że w wagonach były kobiety. Ale zrobienie czegoś takiego temu małemu stworzeniu nie należało do rzeczy łatwych, o nie. To tak jakby zabić ulubionego kotka. Bardzo nieprzyjemne.

Kaprала Artuzowa, wędkarza, poruszyło nieznanne mu uczucie - litość. Młoda dziewczyna przypominała mu jego małą siostrę, za którą przepadał.

- Zabierzmy ją - mruknął. - Nie zrobi nic złego.

Rozległ się ogólny pomruk zgody.

- Wsiadać do ciężarówki, do ciężkiej kurwy - warknął Otari. - To nie majówka dla bab.

Stłoczyli się w środku i zaciągnęli plandekę. Deriabin i Goglidze zasiedli w szoferce.

- Tutaj - rzucił Artuzow do dziewczyny. - Siądź koło mnie.

Chinka zdawała się wyczuwać w nim sprzymierzeńca i przylgnęła ciasno do zwalistego żołnierza oraz jego broni i amunicji.

O świcie zajęli pozycje pośród modrzewi, brzoź i sosen na stokach doliny opadających w dół na prostą drogę.

Rzeczą godną pożałowania, ale niestety życiową było to, że samoloty radzieckich sił zbrojnych nie mogły znajdować się we wszystkich miejscach naraz. Kiedy *Su-24* wpadły do bazy lotnictwa Kangbao w południe pierwszego dnia wojny, ich bomby kasetowe zmieniły w piekło hangary, składy, pomieszczenia sypialne i latryny, a każda wybiła sto pięćdziesiąt pięć kraterów w pasach startowych i drogach do kołowania. Nie wyrządziły niestety krzywdy myśliwcom *J8 Shenjang* z 48. Eskadry Myśliwskiej, ponieważ przebiegły dowódca eskadry, podpułkownik lotnictwa Quan, przewidział nalot i przeniósł wartościowe maszyny w inne miejsce.

Przeniósł je... właśnie do tej doliny.

Rosnące wycie turbinowych silników zburzyło ciszę świtu i z dobrze

zamaskowanych kryjówek samoloty zaczęły wytaczać się na zaimprovizowane drogi do kołowania w stronę początku pasa startowego. Myśliwce *J8* o skrzydłach typu delta były najlepszymi samolotami bojowymi, jakie posiadali Chińczycy. Rozwijające prędkość 2 Machów *J8* wyposażone były w dostarczoną przez Amerykanów awionikę i mogły równać się z *MiG-23*. Była to jedyna z niewielu chińskich maszyn bojowych zdolnych do nawiązania równorzędnej walki z radzieckimi przeciwnikami. Z węzłów podwieszenia uzbrojenia pod skrzydłami wytaczających się samolotów zwisały pociski rakietowe.

Otari leżał bardzo blisko, nie więcej niż 350 metrów od progu pasa startowego. Ozdobił siebie i broń girlandami listowia i płótnem workowym, by zamaskować charakterystyczny kształt ludzkiej sylwetki. Spędził niemal godzinę czołgając się na pozycję. Spoglądał na dno doliny. Obok stał wbity mocno w ziemię dwójnóg *Barretta*. Przez celownik Zeissa Otari mógł zauważyć zadrapania na hełmie pilota, widział, jak porusza oczami ustawiając myśliwiec na pozycji startowej. Odczytał jego nazwisko: podpułkownik lotnictwa Quan prowadził swoją eskadrę.

Karabin *Barrett* był olbrzymią bronią. Precyzyjnie skonstruowana lufa była niemal dwukrotnie dłuższa od luf karabinów, których używa większość armii. Człowiek musiał być olbrzymem, by go nosić i mieć siłę lwa, by z niego strzelać. Jeśli strzelało się bez umocowanego amortyzatora odrzutu, karabin łamał obojczyk. *Barrett* był potworem.

Quan ustawił maszynę. Jego dłoń na manetce ciągu przesunęła się maksymalnie do przodu i w powietrzu rozbrzmiał gwizd dwóch turboodrzutowych silników *Chengdu* na dopalaniu. Otari nakierował celownik i dwa razy ściągnął miękko spust. Uderzenia kul były jak ciosy zadane przez boksera wagi ciężkiej. Pierwszy pocisk przeciwpancerne wybił dziurę w osłonie kabiny, a kula, która nadleciała zaraz za nim rozerwała na strzępy to, co pozostało z głowy Quanga.

Zbaczając na lewo *J8* nabierał nadal prędkości na pełnym gazie. Zjechawszy z pasa zaczął bezładnie tańczyć i podskakiwać. Uderzył w kolumnę kołujących myśliwców mniej więcej w połowie jej długości. Zbiorniki paliwa eksplodowały wrzącym morzem ognia. Jakiś bystry pilot katapultował się, gdy wirująca ognista kula nadleciała, żeby go spowić, i poszybował wysoko ponad dolinę.

Nieco poniżej buchały salwy z moździerz i granatników *RPG*, które stawały myśliwce w płomieniach. Uśmierciwszy pilota prowadzącego, Otari pracował metodycznie, strzelając przeciwpancernymi pociskami zapalającymi w silniki i zbiorniki paliwa samolotów. Pociski raketowe zaczynały odpalać się same w płonących myśliwcach, kreśląc szalone wzory z białego dymu, gdy przez nikogo nie sterowane ścigały się po dolinie.

Powietrze rozdarł przeraźliwy huk, gdy eksplodował trafiony bezpośrednio skład amunicji. Wyprysnąwszy w górę gigantyczny język ognia wchłonął opadającego pilota i zmienił jego spadochron w strzęp płonącego nylonu. Lotnik zniknął.

Słup dymu widoczny był z odległości stu kilometrów. Żołnierze czym prędzej wracali do ciężarówki. Światło dnia płoszyło zarówno wampiry, jak i Specnaz.

Młoda dziewczyna z Sił Powietrznych tkwiła wciąż w ciężarówce, związana tak jak ją zostawili.

Jechali tak daleko, jak tylko mieli odwagę, potem gdy usłyszeli łoskot wirnika śmigłowca, wepchnęli ciężarówkę głęboko w las, i przyszykowali się do opuszczenia miejsca, by ruszyć w drogę powrotną do Jilin Hada Ling, gdzie mogli czuć się bezpiecznie. Pomaszerowali szybkim krokiem, każdy stąpał po śladach maszerującego przed nim. Artuzow wysiadł jako ostatni. Dziewczyna nadal siedziała w ciężarówce.

- Zabij ją - Otari rzucił rozkaz przez ramię.

- W porządku - Artuzow rozwiązał dziewczynę i wyciągnął z ciężarówki. Oddział zniknął pomiędzy drzewami i zaroślami. Przemknęło mu przez myśl, że najlepszy w tym przypadku byłby nóż, kark dziewczyny był szczupły i delikatny, strzaskałby go jedną ze swoich olbrzymich dłoni. Trzymając prosto głowę Chinka wpatrywała się w niego bez zmrużenia oka.

- Idź - rzucił znudzonym głosem. - Idź! Kysz! Uciekaj!

Od najbliższej miejscowości dzieliły ich długie kilometry. Zanim się do niej dostanie, minie cały dzień, a wtedy oni będą już daleko, zaszyjni głęboko w górach.

Machnął zmęczoną ręką. Problem z tym całym zabijaniem polegał na tym, że w końcu człowiek zaczynał się czuć jak morderca. Siergiej Artuzow

nie pragnął budzić się z koszmarów, w których dusił, rąbał na kawałki czy miażdżył małą, śliczną dziewczynę, która przypominała mu jego siostrę.

- Idź sobie - powiedział i obrócił się, by dogonić kolegów. - Uciekaj!

Wskoczył w krzaki. Tuż za plecami usłyszał głucho plaśnięcie i kiedy obrócił się, dostrzegł na ziemi jeden ze swoich granatów. Przeklinając swoją niezdarność sięgnął i spróbował przytroczyć go do kamizelki szturmowej.

Siergiej Artuzow był bardzo zmęczony. Wydało mu się, że coś jest nie w porządku z granatem. Zerknął przez ramię. Młoda Chinka leżała rozplaszczona na ziemi z rękami na głowie.

Granat nie miał zawleczeni. To było nie w porządku.

Po suchym trzasku eksplozji dziewczyna podniosła się na nogi i pobiegła ukryć się w krzakach, skąd nie wychodziła przez długi czas, aż upewniła się, że żołnierze sobie poszli.

♦ **Kwarta Główna Dalekowschodniego Okręgu Wojskowego, Władystok**

Praca oficera wywiadu w II Oddziale Sztabu należała do niebezpiecznych. Jeśli człowiek nie zachował ostrożności i nie wykonał jej prawidłowo, mógł zatonąć. Zatonąć z tego samego powodu, dla którego istniał, czyli informacji. Zadaniem II Oddziału było dostarczanie I Oddziałowi, który zajmował się planowaniem i zarządzaniem działaniami wojennymi, wszystkiego, czego potrzebował do wykonywania swojej pracy, czyli precyzyjnych i bieżących informacji o przeciwniku.

Informacje takie II Oddział otrzymywał zarówno z TECHINT-u, jak i z HUMINT-u, czyli wywiadu technicznego i wywiadu ludzkiego. Ten drugi rodzaj dotyczył szpiegostwa, które sięgało czasów Sun Tsu i jeszcze dalej i obejmował pięć rodzajów agentów: rodzimych, wewnętrznych, podwójnych, przeznaczonych na straty, i żyjących, którzy stanowili skarb władzy. Do tych tradycyjnych agentów, którzy przekazywali informacje sposobami tak zróżnicowanymi jak list Czang Yu ukryty w kuleczce wosku w ludzkich jelitach albo mikrofilm ukryty w makijażu Maty Hari, dołączył produkt końca lat dwudziestych, czyli informacje zbierane przez maszynę, wywiad techniczny: TECHINT.

Podobnie jak Amerykanie, Rosjanie posiadali imponujące uzdolnienia do zbierania materiałów wywiadowczych. Satelity *Kosmos* i *Sojuz* z Pleśiecka prowadziły nadzór wybranego miejsca na ziemi z przestrzeni kosmicznej i dostarczały zrzucając w kapsułach filmy lub przysyłały obrazy cyfrowe. Przypominający z wyglądu *U-2* samolot rozpoznawczy *Ram-M* potrafił szybować ponad głowami ludzi, którzy nie mogli go ani dostrzec, ani usłyszeć. *Tu-142*, wywiadowcza wersja starego czterosilnikowego bombowca strategicznego, kręciły się nad granicami Europy, Ameryki, Chin i Japonii, chłonąc sygnały z łączności, emisje radiowe i telemetryczne. Na oceanach całego świata radzieckie trawlerzy, najeżone antenami od dziobu po rufę, zapuszczały sieci na coś więcej niż ryby.

Wywiad techniczny, TECHINT, dzielił się na wiele różnych sekcji: począwszy od wywiadu sygnałowy, SIGINT-u, który sam dzielił się na wywiad elektroniczny, podsłuch łączności, wywiad telemetryczny, każdy z odpowiednim akronimem, a skończywszy na wywiadzie fotograficznym, PHOTINT-cie, i wywiadzie radarowym.

O każdej minucie, każdej godzinie dnia i nocy dane wywiadowcze służyły do tego olbrzymiego systemu zbiorczego. Informacje przekazywano, segregowano i przesiewano, aż tryskały w postaci nigdy nie kończącego się strumienia prosto w twarz tego, kto nad nimi pracował, śmigając na wskroś jego zmysłów, grożąc zatopieniem.

Ofiary tego systemu radziły sobie z tym nawałem danych, składując większość rutynowych informacji i wprowadzając je do banków danych bez analizy, a rezerwowały sobie czas i energię na rzeczy, które uważano za ważne lub specjalnie pożądane, czyli „zadane”. W przypadku II Oddziału w Kwaterze Głównej gen. Ogarkowa oznaczało to wypełnianie zadań I Oddziału, który w międzyczasie tkwił po czubki głowy w planowaniu i prowadzeniu działań wojennych. Obecnie I Oddział mógł przyjąć znacznie więcej niż kiedyś, ponieważ posiadał komputerową potęgę. Posiadał „Czerwony Sztandar”, Arby'ego.

W II Oddziale Arby nie cieszył się takim mirem, jak w Pierwszym i nadawano mu tam inne, bardziej uwłaczające imiona. Ponieważ w Rosji podstawą porozumiewania się jest kontakt osobisty wewnątrz ściśle zespolonej grupy komórkowej, Drugi patrzył na wzmocnione siły Pierwszego z

niesmakiem. Pierwszy oczywiście przyjął Arby'ego jak jednego ze swoich, dlatego właśnie nadano mu ludzkie imię, a Arby chętnie na to przystał.

II Oddział czuł, że jego rola została zredukowana do zwykłego niewolnictwa. Kiedy mieli na to czas, jego pracownicy czuli się urażeni.

W Oddziale pracowało dziesięć osób, w trzech grupach pod nadzorem analityka-prognostyka Litowsjewa. Kuchumow i Pokryszin zajmowali się ruchami wojsk. Tych trzech ludzi miało stopnie podpułkownika, a przewodził im analityk Litowsjew.

Przy biurku Pokryszin cicho gwizdnął przez zęby. Jeszcze raz przebiegł wzrokiem po tym, co miał przed sobą, a potem czym prędzej podszedł do Litowsjewa.

- Popatrzcie - rzekł. Litowsjew uważnie przeczytał informacje z wywiadu sygnałów.

- Zhao Teh? Żyje w niełasce w jakiejś komunie. Został złamany.

- To ich najlepszy generał. Gdyby był u władzy, Specnaz sprzątnąłby go pierwszej nocy, razem z innymi. Cziang Szikai ponownie powierzył mu naczelne dowództwo. Formuje nową armię wokół Pekinu. Ale popatrzcie, mamy dla niego umówione spotkanie. Tutaj, wiemy, gdzie będzie za dwa dni.

- Czy Czerwony Baron z pokoju obok to widział?

- Ten złoty drań? Nie! To nie było „zadane”.

Litowsjew uśmiechnął się szeroko po raz pierwszy od wielu dni.

- Zatem przysporzymy trochę zasługi Drugiemu. Ukróćmy tę przeżuwającą cyfropotworność. Przekaż to bezpośrednio Kulikowi z Piątej Armii. Ma tam jakiś wesołków pod swoim dowództwem. Specnaz. Już on będzie wiedział, co z tym począć... A zasługa przypadnie nam.

◆ **Misaki, Honsiu**

Znajdowali się na północ od Sakaty, gdzie zieleniły się fałdy ziemi. Rzeki o wartkich nurtach, które spływały ze stromych pasm górskich nawadniały wciśnięte między dolinami i graniami pola ryżowe. Toyota przemknęła po drewnianym mostku, koła zadudniły rytmicznie na deskach. Thrale dostrzegł paru ludzi, którzy stojąc po pas w wodzie łowili ryby.

- U nas nie jest tak jak w Stanach - odezwał się Tsunoi Takashi, który siedział na prawym siedzeniu. - Nie mamy lotnisk i szkół pilotażu w każdym mieście. Ale tu jest takie miejsce... rodzaj muzeum.

Oddalali się od nadbrzeża i wspinali się obok małych farm i gajów wiśniowych. Wokół rosły chude, strzeliste sosny. Zjechali z bitej nawierzchni na polną drogę.

- Mają tu całkiem niezłą kolekcję. Jak ktoś kręci film wojenny, przyjeżdża tutaj.

Skręcili za róg i wjechali na płaskie dno doliny. Klony i sosny pięły się po zboczach, a dno było gładkie, z przyciętą trawą. Drewniane hangary z falowanej blachy stały jeden obok drugiego, a rękaw lotniskowy wisiał na wpół wyprostowany, delikatnie oscylując na wietrze.

- To jest pas startowy - zawołała Fusako. - Popatrzcie na ten stary samolot.

Tsunoi zaparkował obok hangaru i wysiedli.

Thrall stał patrząc na ogromny dwusilnikowy samolot. Był to samolot wojskowy, zdradzała to marmurkowa farba maskująca.

- Co to za model? - spytała Fusako.

- Nazywaliśmy go Betty, ale jego producent dał mu nazwę *Mitsubishi 97*. Łatwo się zapalał, więc, podobnie jak my, te skurczybyki, które na nim latały ochrzciły go „latającą zapalniczką”. To bombowiec.

- Skąd wiesz?

- Zestrzeliłem sześć takich.

- Aha, pamiętam. Byłeś pilotem podczas wojny na Pacyfiku. - Fusako rozejrzała się po lotnisku. - Więc dlatego tutaj przyjechaliśmy.

- Południowa Korea leży zaraz po drugiej stronie Morza Japońskiego, jak się leci na zachód - rzekł Tsunoi. - Możecie wylądować w Seulu.

- Czymś takim? O ile pamiętam, miał siedmioosobową załogę.

- Nie, nie. Mają tu także inne samoloty, także amerykańskie. O tam.

- Mówisz, że... nikogo tu nie widzę.

- Pracuje tu tylko garstka ludzi - mówił Tsunoi, gdy brnęli przez trawę. - Załatwiłem ci wypożyczenie jednego samolotu, ale najlepiej będzie, jak nikt cię nie zobaczy. Zatem wszyscy dostali dziś dzień wolny.

- Widzę, że mają tu także Zera.

- Tak, wiele różnych samolotów, myśliwce i bombowce.

- Te także zestrzeliłeś? - zapytała Fusako.

- Niektóre. W jednym zestrzeliłem Komurę Tadaji. Powstrzymałem go od zostania *kamikaze*.

- Szkoda, że nie zrobiłeś tego lepiej - skwitowała kwaśno Fusako. - Albo nie pozwoliłeś mu pójść na całość.

- Robiłem co mogłem... czy ten *Zero* lata?

- Tak, został przywrócony do stanu używalności.

Wewnątrz hangaru stał samolot innej konstrukcji, mniejszy od ogromnego bombowca, pomalowany na białą.

- *Beech* - powiedział Thrale natychmiast. - *Beechcraft 19*.

- Umiesz na nim latać?

- Zdaje się, że nie mam innego wyjścia. Muszę zadzwonić. Takashi?

- Telefon?

- Tak, gdzie jest?

- W biurze... tam.

Thrale skierował się do małego blaszanego biura przyklepionego do ściany hangaru. Unosiły się tam znajome zapachy olejów i płynów hydraulicznych, gumy i paliwa. Stał wpatrując się w elegancki, wymuskany japoński samolot myśliwski z nosem zadartym w górę i trzyplątowym śmigłem o małym skoku. Był całkowicie odnowiony, począwszy od odznaczeń *Tainan Kokutai* z listą asów eskadry, po emblematy słońca na skrzydłach i kadłubie.

Thrale skręcił i wszedł do biura. Przy drzwiach wisiał mały certyfikat ubezpieczenia od odpowiedzialności cywilnej. Patrzył na niego przez chwilę, zanim podniósł słuchawkę. Na biurku leżała książka telefoniczna, w której sprawdził coś w odpowiedniej sekcji, nim przycisnął guziki. Używanie połączenia zajęło minutę, potem ktoś podniósł słuchawkę po drugiej stronie.

- Sawinkow - odezwał się głos jak żużel.

- Cześć Siergiej, tu K.K. Thrale.

Zaległa krótka cisza, potem głos odezwał się ponownie.

- Czego chcesz?

- Przysługi.

* * *

Kiedy wrócił, Fusako siedziała przed hangarem i przypatrywała się białemu *Beechowi 19*.

- W porządku - rzekł. - Poczekam, aż ten facet oddzwoni. Gdzie jest Takashi?

- Poszedł się przejść. Czy latałeś tym samolotem?

- Nie, nigdy. Ale niczym się nie różni od tych, którymi latałem w czasie wojny. Ta sama technologia.

- Latałeś na wielu samolotach?

- Nie, tylko na kilku. *Stearmanem* w czasie szkolenia podstawowego. *P-40 Warhawk*, kiedy 49. Dywizjon stacjonował w Darwin. *P-38 Lightning* przed i po tym, jak mnie zestrzelono. Sporadycznie *L-5*, takim małym samolotem łącznikowym.

- A teraz?

Thrale uśmiechnął się niewesoło.

- Nie latałem samolotem od 1945 roku.

◆ Czangchun, Helongjiang

Liu Chen czuł, że głowę wypełnia mu wiele kawałeczków połączonej, buczliwej maszynierii - koła zębate, sprężyny i zapadki. Był przewodniczącym Komisji Łączności, która porozumiewała się z Komisją Wojskową KPCh, Centralną Komisją Wojskową, Ministerstwem Obrony Narodowej i Kwaterą Główną LAW. Siedział w pracy od piątej rano i wraz z ludźmi z Pekinu składał urywki informacji w całościowy obraz sytuacji. Straty poniesione w wyniku napaści radzieckiej były zdumiewające. Nie jedna, lecz trzy armie przewaliły się przez chińskie granice.

Cofali się w kierunku Pekinu. Pozwalali Rosjanom się zbliżyć. Chiny miały doświadczenie w tego typu wojnach. Już nieraz wabiły najeźdźców do wewnątrz kraju, tylko po to, by spowić ich w z góry ustalonych miejscach mrowiem swoich wojowników. Wojowników miały pod dostatkiem, ludności była obfitość. Japończycy zamierzali pokonać Chińczyków w miesiąc. Odnosili zwycięstwo za zwycięstwem - nie robiło to żadnej różnicy.

Nieprzyjaciel naciera, cofamy się.

Nieprzyjaciel staje, nękamy go.

Nieprzyjaciel wycofuje się, atakujemy.

Chińczycy znali się dobrze na niekończącej się wojnie.

W ich ogromnym kraju wszystkie błyskawiczne wojny wsiąkały w ziemię. Zhao Teh formował nową armię na południu.

Była północ i Liu Chen jechał do domu, by spakować najpotrzebniejsze rzeczy, zanim obejmie swój posterunek w Pekinie następnego dnia. Zaparkował małą Toyotę przed domem - małym bungalowem na cichych i szacownych przedmieściach Czangchun. W przymglonym świetle patrzył na swój dom, w którym spała żona i dzieci, nieświadome przewrotu, który nastąpił o poranku. Liu Chen zastanawiał się, kiedy ponownie ich ujrzy. Przeżył Wielki Skok i Rewolucję Kulturalną, aby dojść tak daleko. Teraz jego domek zmieni się w chlew dla radzieckiego żołdactwa, a troskliwie doglądany ogród zostanie rozkopany na doły dla ich odchodów.

Stojąc na ciemnej alejce pociągnął nosem. W powietrzu unosił się nieprzyjemny zapach. Coś dzikiego, wręcz zwierzęcego.

Zapach spowił go. Z ciemności wychynęły potwory i gdy otworzył usta do krzyku, wepchnięto mu w nie wielką, obrzydliwie smakującą szmatę.

Znalazł się w swoim samochodzie. Kiedy go wywozili, rzucił ostatnie beznadziejne spojrzenie na dom, gdzie czekając na niego spała żona i dzieci. Potem masywna dłoń wepchnęła mu głowę w winylową tapicerkę siedzenia.

Cuchnęli. Rzęząc oddychał przez nos. Czuł, że śmierdzą jak nie wiadomo co. Roztaczali woń rozkładającej się krwi, odchodów i gęstego potu po rozpaczliwym wysiłku fizycznym, od dawna nie zmytym strachu. Smród wypełnił jego mały samochód jak gaz.

Znajdowali się na polach poza miastem. Wiedział to. Tam z przodu Yi Ming uprawiał bawełnę. Z tyłu połyskując w świetle księżyca rozciągał się brzeg rzeki, gdzie łowił ryby jako dziecko. Był zawieszony w powietrzu, siedział na krześle, które huštało się lekko. Dlaczego? Co się dzieje?

Wykręcając się dookoła, stwierdził, że jest zawieszony na długim pionowym kablu odchodzącym od poziomego, który podtrzymywany po bokach żerdziami znajduje się jakieś dziesięć metrów nad jego głową. Bestie dookoła niego jarzyły się czerwienią i zielenią w ciemności, coś syczało w powietrzu, ogromne i monstrualne. Zbliżało się z góry i nagle został

szarpnięty w tył z siłą, jakiej istnienia nie podejrzewał - uderzany silnym wiatrem obracał się i kręcił.

A potem wszystko się skończyło. Jakieś dłonie pochwyciły go, odpasały z siedzenia, popchnęły do przodu. Wielkie drzwi zawarły się za nim i zimny wiatr ustał. Był w samolocie.

Słyszał jazgot silników, ale w środku było dosyć cicho. W metalowej ładowni stały dwa krzesła. Przypasano go do jednego z nich i jakiś człowiek podszedł, by usiąść na drugim. Młody, inteligentny Rosjanin. Odezwał się do Liu Chena płynnym mandaryńskim.

- Cześć - powiedział. - Jestem Lew Szimanański.

Uwagę Liu Chena przyciągnął człowiek, który stał zaraz za Rosjaninem, następny przerażający Słowianin. Zdawało się, że przygotowuje tackę, taką jaką Chen pamiętał z czasów, gdy jako chłopiec chodził do dentysty, który dobierał się mu do zębów przy pomocy napędzanego pedałem wiertła. Brzęknął metal. Coś zaskrzypiało. Szimanański zajął miejsce na drugim krześle.

- Pozwól, że zadam ci kilka pytań - powiedział.

Na polu, gdzie Li Ming uprawiał bawełnę, żołnierze z 28., 33., 35., 40., 51., 73. i 79. grupy 277. batalionu Specnazu ściągnęli na ziemię słupy i drut odciągowy, na którym wisiał Liu Chen i ukryli je w małej rzeczce, w której łowił ryby jako dzieciak. Kilku wsiadło do jego Toyoty, a reszta do Mazdy i odjechali.

Wepchnęli obydwie samochody głęboko w gęstwinę w pobliżu Yitong i wrócili w ósemkę do Jilin Hada Ling. Ustawili latarnię kierunkową i na ten sygnał opadł spadochron. Amunicja, materiały wybuchowe i prowiant.

- Hej - zawołał Węgorz. - Popatrzcie, przysłali trochę wódki.

- Musiało zostać nas już tylko kilku - odparł Kozak cynicznie. - Opiekują się nami.

Za dnia nieprzyjaciel używał śmigłowców i psów. Robiono zasadzki i pułapki w pobliżu prawdopodobnych celów. Uśmierciły one siedemdziesięciu pięciu z osiemdziesięciu trzech ludzi, którzy opuścili Czang An. Ósemkę, która się uchowala, przydzielono do innego zadania: porwania przewodniczącego Komisji Łącznikowej, Liu Chena, który w tym właśnie

momencie znajdował się na wysokości tysiąca trzystu metrów w drodze do Władywostoku i popuszczał w spodnie w trosce o to, by powiedzieć wszystko co wie.

Drozdow zostawił rozpakowywanie skrzynki Marczukowi i sierżantowi Iwaszutinowi. Był jedynym operatorem radia, jaki został w oddziale. Jego radiostacja *P351-M* mogła przekazywać lub odbierać długie wiadomości w przeciągu ułamka sekundy. Wcześniej w trakcie zadania bojowego grupa użyła swoich odbiorników kierunkowych i anten nadawczych, by zidentyfikować ważny ośrodek łączności i stanowisko dowodzenia, które sformowało dowództwo Szenyang, i przez radio zakomunikowała o swoim odkryciu. Oficer dowodzący 5. Armii był niezwykle zadowolony. Pogratiulował im. Kiedy nasłuchiwali następnym razem, ośrodek łączności milczał.

Tego wieczoru Drozdow najzwyczajniej w świecie czekał, by powiedziano mu, co ma robić. Zerknął na swój chronometr i przekręcił gałkę w urządzeniu. Włączało się i dostrajało automatycznie, wydając przy tym odgłosy jak smażony bekon. Kilka lampek po boku urządzenia zgasło i ukazał się odcinek błony fotograficznej. Drozdow pospiesznie zanotował kolumny cyfr i podał je Otariemu, który siedział oparty plecami o sosnę. Obozowali na małej polance, którą obrali na tymczasową bazę. Stoljar, Poliszczuk i Woronicz stali na czujce.

Otari wyjął książeczkę kodową z kieszeni na piersi i zaczął rozszyfrowywać wiadomość.

- Co tam przysłali, Tarzan? - mruknął do Iwaszutina, który rozpakowywał skrzynkę z prowiantem.

Interesowało ich głównie jedzenie. Wszyscy dobrze wiedzieli, że dowódca 5. Armii zaopatrzy ich w taką ilość śmiercionośnej broni i amunicji, jaką tylko będą mogli fizycznie udźwignąć, ale co z tak ważnymi sprawami jak jedzenie?

- *Zakuski* - wykrzyknął oniemiały sierżant. - Solony śledź, salami, ozorki, kiszony ogórek, ciemny chleb, czerwone bura...

- Cholera - rzucił Otari ostro. - Wiecie, co mówią Angole? „Skazany człowiek zjadł suty posiłek”.

- Nosorożec, co jest w tej wiadomości? Jakie mamy zadanie?

- Otwórz butelkę i pociągnij sobie mocno.

Otari skończył rozszyfrowywać wiadomości i pociągnął łyk. Wódka była

wspaniała, ogień zagłuszył znużenie, które przenikało go do szpiku kości. Stracił dziesięć kilogramów w pięć dni.

- Marczuk, weź butelkę i daj chłopakom po łyku.

Żołnierz wziął butelkę Stolicznoj i stąpając po sosnowych igłach, cicho jak mysz, wślizgnął się do lasu.

- Chcą, byśmy dokonali zamachu na marszałka polnego - powiedział spokojnie Otari.

- Marszałka polnego? Którego?

- Zhao Teh.

- Zhao Teh macha łopatą przerzucając gówno w jakiejś komunalnej farmie - odrzekł Orłow.

- Już nie. Teraz zbiera armię.

- Taak - rzekł Orłow w zamyśleniu. - Dokładnie tak bym zrobił, gdybym był Cziangiem Szikai. Kogo obchodzi ideologiczna prawomyślność, kiedy trzeba chronić własną dupę? W 1940 Beria wyciągnął mojego dziadka z Kołymy. Był tam na katordze. NKWD zabijało go dzień za dniem, kiedy na dworze trzaskało minus pięćdziesiąt. Hitlerowcy przetoczyli się przez granice i w przeciągu trzech tygodni ubrano dziadka na powrót w generalski mundur i dano dowództwo korpusu pancernego. Zatem gdzie jest Zhao Teh?

- Pojutrze będzie w Ośrodku Dowodzenia Kwatery Głównej w Fuxin.

- Gdzie mamy go zabić?

- Właśnie tam.

- A po tym jak spacerkiem minimy strażników i druty, skiniemy głowami celowniczym karabinów maszynowych i poprosimy główny system bezpieczeństwa, by nas wpuścił, zastrzelimy marszałka i wycofamy się, ciekawe co jeszcze każą nam zrobić?

- Tak, to ta wspaniała część - zbulgotał wesoło Otari, machając kawałkiem papieru, na którym widniały grupy szyfrowe. - Mamy na własną rękę przedrzeć się do naszych linii w nagrodę, że jesteśmy takimi grzecznymi chłopczykami.

Dwaj mężczyźni zaśmiali się. Śmiali się tak bardzo, że musieli tłumić hałas w rękawach i wycierać łzy z oczu.

Kiedy się uspokoiłi, spojrzeli na siebie i jak jeden mąż wyrecytowali:

- Nie powinieneś był się zaciągnąć, jeśli nie znasz się na żartach.

◆ Lotnisko polowe Misaki

Połączenie telefoniczne dla Thrale'a nadeszło wieczorem. Spędził trochę czasu, czytając instrukcję pilotażu *Beecha* i usiadłszy na lewym fotelu zapoznał się z kabiną. Fusako pojechała do miasta i wróciła ze składnikami do *nabe*.

- Nawet rewolucjoniści muszą jeść - rzuciła wesoło. Posiekała i pokrajała warzywa ciężkim, prostokątnym nożem i wrzuciła je do masywnego rondla, który również kupiła. Thrale zrozumiał terapeutyczny wpływ jakiegoś zajęcia podczas czekania. Takashi stał się bardzo małomówny i, zasiadłszy na skale po drugiej stronie pola wzlotów, patrzył na mały strumyk, który szemrał płynąc do morza.

- Zachowuje się jak karp, który walczy o wolność, ale gdy się go schwyta i położy na pieńku do krajania, leży nieruchomo - podsumowała go Fusako.

Nie jadł razem z nimi, ale kiedy zrobiło się ciemno, położył się na materacu w hangarze. Po rozmowie telefonicznej Thrale poszedł do niego.

- Takashi - rzekł. - Potrzebuję broni.

- Tak. Jakiego rodzaju broni?

- Jakiegoś karabinka. *M-16* wystarczy. Oraz amunicji.

Ledwie zauważalny ślad dawnej osobowości pojawił się na twarzy Tsunoi.

- Jesteś w Japonii, a nie w Teksasie. Wiesz, co przydarza się komuś, kto trzyma w domu takie rzeczy? - Podniósł się na nogi. - Ale zwróciłeś się do właściwego człowieka. Znajdę dla ciebie broń.

Wstał i poszedł do swojej Toyoty. Dostrzegli migotanie reflektorów, gdy samochód wjechał między chude, strzeliste sosny.

- Po co ci broń? - spytała Fusako. Jej duże, świetliste oczy zabłyśły niespokojnie.

- Powiedz mi, czy jesteś bardzo dobra? - spytał Thrale zbywając pytanie. - Pracowałaś na „Koralowej Włóczni” u Komury. Czy umiałabyś obsługiwać system naprowadzania pocisku raketowego?

- Jakiego rodzaju pocisku?

- Powiedzmy międzykontynentalnego pocisku balistycznego?
- To tak jakbyś spytał pilota Grand Prix, czy umie prowadzić samochód na pedały swojego syna. „Koralowa Włócznia” jest szczytowym osiągnięciem technologicznym. Umie myśleć. System naprowadzania pocisku raketowego jest mądry i precyzyjny, ale to tylko zbiór mikroprocesorów. Oczywiście, że umiałabym go obsługiwać.

- W takim razie muszę wiedzieć, czy polecisz ze mną rano, czy chcesz zostać tutaj.

- Jeśli zostanę, te szalone samurajskie dziewczyny dobiorą mi się do skóry. Nie sądzę, żeby mi się to spodobało. Lecę z tobą.

- Dziękuję. A broń? Czy rewolucjoniści nie potrzebują broni? Jeden z najślawniejszych powiedział, że z niej właśnie wypływa władza. A teraz, podczas gdy Takashi stara się nam załatwić karabin, musimy poszukać rzeczy bardziej przyziemnych. Popatrz, czy gdzieś nie ma małych schodków, a ja zajmę się kanistrami. To jest lotnisko, muszą je gdzieś tutaj mieć.

W jednym z magazynów Thrale natrafił na nowiutkie, prostokątne, dziewiętnastolitrowe kanistry z amerykańskiego przydziału wojskowego. Wyniósł je jeden po drugim i napełnił benzyną lotniczą z pompy, a następnie zaniósł do *Beecha* w hangarze. Fusako nadeszła niosąc małe, srebrzące się, rozkładane schodki.

- Doskonale. A teraz potrzebny nam duży lejek, kiedy stojąc na schodkach będziemy nalewać paliwo do zbiorników skrzydłowych.

- Są pełne. Sam je napełniłeś.

- Będziemy napełniać je później, jak zużyjemy to, co jest w samolocie.

Uniosła brwi w łuk.

- Będziemy uzupełniać paliwo, żeby dolecieć do Korei?

- Nie, nie do Korei.

- Nie do Korei. Hm, w takim razie lepiej pójde poszukać lejka.

Kiwnęła mu głową, a on uśmiechnął się. Na odwrocie koperty przeprowadził szybkie obliczenia, aby dobrze ustawić środek ciężkości i przez boczne drzwi zaczął wnosić do *Beecha* kanistry z benzyną. Samolot miał dziewięć foteli pasażerskich. Przymocował kanistry mocno do każdego tak, żeby się nie obluzowały.

Fusako wróciła z dużym, kwadratowym lejkiem z metalu.

- Masz - rzuciła - ten swój lejek. Skoro nie lecimy do Korei.

Tsunoï Takashi stał w świetle brzasku, gdy Thrale podprowadzał *Beecha* na koniec trawiastego pasa startowego. Rosa skapywała ze skrzydeł i kadłuba, a koła malowały ślady na trawie. Obrócił samolot nosem w dół doliny. Gwiazdowe silniki tłokowe pulsowały rytmicznie, w górę, w dół, a powietrze skraplało się w wirującą mgłę za każdym śmigłami, gdy zmieniając ich skok, Thrale przepuszczał gorący olej przez regulatory.

Stery kierunku, ster wysokości oraz lotki klapały i wykręcały się ćwicząc callanetics, gdy ciągnąc za stery Thrale sprawdzał czy chodzą gładko i pewnie. Śmigła stukwały miarowo, pracując na wolnych obrotach i można było dostrzec ich wirujące łopaty. Potem silniki zawyły o parę tonów wyżej, gdy Thrale dał pełny gaz i śmigła zmieniły się w przezroczyste, kręcące się łuki. *Beech* zaczął toczyć się po trawie, a smuga rosy odrywała się od ziemi za jego ogonem. Ster wysokości uniósł się i maszyna oderwała się lekko od ziemi. Koła przestały się kręcić i podkuliły pod skrzydła.

Takashi patrzył, jak wspina się w mleczno-niebieskie niebo niczym biały ptak.

Z budynków za jego plecami wychynęły dwie postacie. Czarne jak węgiel włosy okalały doskonałe, okrągłe twarze. Jedna ubrana była głównie na czerwono, druga przede wszystkim na biało. Stały po obydwu jego bokach.

- Chodź - odezwała się Kiyoko łagodnie. - Zabierzemy cię do domu.

Hol świątyni rozjaśniały wysokie świece. Przed ołtarzem leżał czerwony dywan, na którym siedział Tsunoï Takashi ubrany w ceremonialne szaty. Zielono-żółto-czarna i biało-niebiesko-purpurowa bluza opadła z jego ramion. Siedząc ze skrzyżowanymi nogami wcisnął rękawy ostrożnie pod kolana, tak by mógł upaść tylko do przodu. Zza ołtarza wyszły dwie kobiety ubrane w czerwone i białe opończe *jimbaori*. Kiyoko miała pojedynczy prostokątny miecz bojowy *katana* zatknięty za białe *obi*, które okalało jej biodra. Uklękła po jego lewej stronie.

Naprzeciw Takashiego leżał gruby, wysokogatunkowy papier, atrament i pędzel. Sięgnął w przód i pewną dłońią zappełnił stronę płynnymi ideogramami. Skończywszy, umieścił pędzel z powrotem obok kałamarza.

Dzierżąc w dłoniach tackę Masako podeszła do przodu. Leżał na niej krótki, owinięty w biały papier *wakizachi* - partner miecza bojowego.

- Jesteśmy twoimi *kaiszaku* - powiedziała i ukloniła się nisko.

Po raz pierwszy Takashi podniósł wzrok.

- *Hanzai no kage ni onna ari* - rzekł gorzko. - W cieniu każdej zbrodni kryje się kobieta.

Wziął z tacki krótki miecz i, odwinąwszy go, podniósł do głowy. Potem umieścił go przed sobą.

- Aby służyć mojemu panu, musiałem zdradzić człowieka, któremu jestem winien szacunek - rzekł jasnym głosem. - Jest teraz martwy, tak jak mi rozkazano, bym zrobił. Dlatego podążę jego śladem.

Sięgnął do przodu rozważnie i wyjął z pochwy mniejszy miecz. Zdawało się przez chwilę, że zbiera myśli. Potem gładkim ruchem wbił go w siebie głęboko, pod pasem po lewej stronie i przeciągnął następnie ostrze w prawo. Gdy krew trysnęła w załamania szat, przekręcił lekko ostrze i dookończywszy cięcie w górę, pochylił się do przodu i wysunął głowę. Po raz pierwszy wyraz bólu przemknął mu po twarzy i Kiyoko, która uważnie śledziła jego rysy, zerwała się na nogi. Ostrze miecza zawisło przez sekundę wysoko w powietrzu. Opadając zamigotało i świsnęło jak jedwab.

Kiyoko wytarła je do czysta i skłoniła się z szacunkiem. Masako wyjęła *wakizachi* z dłoni Takashi. Miecze miały ponad czterysta lat, były dobrze wprawione w zadawaniu śmierci. Ukloniła się, a z końca świątyni powstał Komura Tadaji i zbliżył się do nich.

Stary miał na sobie ceremonialne szaty. Przystanął przy ciele zmarłego i spojrzał na to, co ten napisał.

Ponieważ życie jest tylko utudą, Śmierć jest jedyną szczerością.

Skłonił się i opuścił świątynię zostawiając katów, by zatroszczyli się o trupa Tsunoi Takashiego.

◆ Fuxin, Liaoning

- No dobrze, Yang, stary - rzekł Otari uprzejmię. - Jak widzisz, duzi z nas chłopcy. Masz coś takiego, w co moglibyśmy się zmieścić?

Niewysoki i zaczynający łysieć Chińczyk gorąco pragnął ich zadowolić.

- Z rzeczy, które dostarczam, moglibyście zmieścić się tylko w bębny na olej kuchenny i duże bębny na sok pomarańczowy.

- Pokaż mi je.

Wyszli z pokoju i wkroczyli do składu. Dwa komplety bębnow były mniej więcej tego samego rozmiaru. Wyglądają na dwustulitrowe, pomyślał Otari, wystarczy, by ukryć się wraz z oporządzeniem. Zrezygnował z bębnow na olej, ponieważ byłoby zbyt trudno usunąć tłuste ślady z rąk lub broni, co osłabiłoby ich skuteczność.

- Schowamy się w te od soku pomarańczowego. Pewnikiem przepadają za nim.

- Jest bardzo popularny - zapewnił Yang.

Wojna może się toczyć, Rosjanie mogą walić się z północy, ale ludzie musieli jeść i miejsca takie jak Wojskowy Ośrodek Dowodzenia musiały uzupełniać zapasy żywności.

Z zawodu Woronicz był mechanikiem - jego duże dłonie potrafiły uzdrowić delikatne wnętrzości radiostacji z taką samą łatwością, jak zmajstrować most przez parów z lin i gałęzi. Otari przywołał go do siebie.

- Tarzan, będziemy potrzebowali takich siedem. Pustych i umytych. Zrób otwory do oddychania. Wybierz sobie kogo chcesz do pomocy.

- Świetnie. Węgorz, Mozart, Ringo, chodźcie ze mną.

Otari wszedł z powrotem do biura, gdzie bardzo młoda i ładna kobieta karmiła niemowlę. Ignorowała wielkich i brzydko pachnących żołnierzy, którzy kręcili się dookoła. Yang posłał niespokojne i przepełnione miłością spojrzenie swojej malutkiej rodzinie, zanim poświęcił uwagę jedynej osobie, która mogła darować lub zabrać im życie. Yangowi nic się nie stanie, pomyślał Otari zimno. Jest gotów umrzeć za tych dwoje.

- Czy normalnie sam tam jeździsz?

- Nie, zwykle proszę Ho Fenga, by mi pomógł, ale dzisiaj jest chory.

- Świetnie.

Otari obrócił się do Marczuka i Stoljara, którzy podobnie jak Orłow oszczędzając energię próżnowali pod ścianą.

- Kozak już wie - rzekł, wskazując na Orłowa. - Wiadomość nadeszła wczoraj wieczorem. Żadnego z naszych zadań w czasie wojny nie można uważać za zupełnie bezpieczne. Fakt, że zostało nas tylko ośmiu, tylko to potwierdza. To zadanie daje nam mniejsze szanse na odebranie naszych emerytur niż którekolwiek z poprzednich. Nawet jeśli wydostaniemy się na zewnątrz, trudno nam będzie uciec. A raczej byłoby. Przysyłają po nas samolot.

Oczy żołnierzy rozbłysły. Nie byli Japończykami, nie umieliby pójść na pewną śmierć. Ta szansa przeżycia była bardzo, ale to bardzo cenna.

Otari wyjął mapę.

- Hej, popatrzcie tutaj wszyscy. Punkt zborny znajduje się nie dalej niż dwa kilometry od kwatery głównej. Ta mała dróżka wchodzi w las i rozszerza się na tyle, by można było posadzić i wystartować małym, lekkim samolotem. Spotka się z nami tutaj. O szesnastej. Yang, chodź i popatrz. Może będziesz musiał nas tam zawieźć.

Chińczyk przyjrzał się z niepokojem mapie i szybko skinął głową. Był miejscowy.

- Pokaż też żonie.

Yang wziął mapę. Jego żona zerknęła na mapę i przytaknęła.

- Wie, gdzie to jest?

- Też pochodzi z tych stron. Znamy te tereny.

Otari poszedł do składu, gdzie stały zapakowane bębny i skrzynie. Przekazując ludziom tę wiadomość dostrzegł ten sam błysk nadziei w ich oczach. Iwaszutin skończył z pierwszym bębniem. Pokazał Otariemu ukryte otwory do oddychania i wieko.

- Widzisz - wyjaśnił. - Po tym jak wpakujemy się do środka, trzeba przekręcić rączkę. Od zewnątrz wszystko wygląda w porządku. Żeby się wydostać, wystarczy przekręcić z powrotem i wstać. Środek wyłożyłem płótnem workowym, żeby stłumiło hałas, gdyby stuknęło coś metalowego.

- Doskonale. Jeszcze sześć.

Otari wrócił do biura. Za oknem klekotały pośpiesznie wagony kolejowe. Brud oblepiał szyby. Gdyby Otari wyjrzał na zewnątrz, ujrzałby bezduszne bloki betonowe i kominy w oddali. Ulice tonęły w błocie, po którym ludzie jeździli na rowerach. Na głównej drodze mieściły się brudne kawiarenki i kiepskie imitacje zachodnich restauracji. Fuxin to plugawe miasto, pomyślał Otari. Najlepiej byłoby zrzucić na nie bombę paliwowo-powietrzną i zacząć wszystko od nowa. Może tak właśnie zrobią, wkrótce przecież całość będzie należała do nich. Myśl ta poprawiła mu humor.

- Yang, stary kumie. Podejź tu, niech sprawdzę, czy odpowiednio leży na tobie pas, który zrobił ci sierżant Iwaszutin.

Mały Chińczyk stanął przed nim posłusznie i Otari wyciągnął mu spłowiata, niebieską koszulę z brudnych, białych spodni. Pas składał się z płaskiego metalowego pudełka o powierzchni kilkunastu centymetrów, mocowanego wokół talii za pomocą łańcucha. Otari przekręcił klucz w kłódce.

- Gotowe - oświadczył. - Piękna, ręczna robota. Pokażę ci, jak działa.

Wyjął z plecaka małe, czarne pudełko, podobne do urządzeń, jakich na Zachodzie używa się do zdalnego zamykania i otwierania drzwi do garażu.

- To pudełeczko wysyła sygnały. Pstrykniesz małym wyłącznikiem i możesz otwierać lub zamykać drzwi z odległości piętnastu metrów. W twoim przypadku, uruchomi ono detonator w środku przypasanego do twoich pleców materiału wybuchowego i zepsuje ci resztę życia. Zrozumiano?

- Tak, proszę pana - wyszeptał Yang.

Chińczycy są jak psy, pomyślał Otari. Wystarczy popatrzeć na ich rząd, który gdy wywiesi niebieską flagę i nazwie ją zieloną, to wszyscy nazywają ją zieloną. Tak, Yang w zupełności wystarczy.

- Coś ci się poknoci, a rozerwę cię na kawałki. Twoja żona zostanie z sierżantem Iwaszutinem. Jeśli nie wrócimy, a ktoś inny złoży im wizytę, zabije ją i dziecko. W porządku? Rozumiemy się?

- Tak, proszę pana.

- Jeśli obydwoje zrobicie wszystko, co wam każę, to gdy będziemy odjeżdżać, dam ci klucz i będziesz mógł się tego pozbyć.

Jak się można było spodziewać, dowódca 5. Armii przysłał im taką ilość broni i amunicji, że mogliby wysadzić w powietrze okręt wojenny. Wybierali

to, czego potrzebowali i przytracali do kamizelek szturmowych. Amunicja, granaty, plastyczny materiał wybuchowy, zapalniki, miny. Dość, by wymordować cały pułk. A wyprawiali się tylko na jednego człowieka.

Po chwili mogli już wyruszać.

- Gotowi? - spytał Otari. - Poskaczcie trochę.

Wgramolili się ostrożnie do bębnow i zakręcili wieka. Siedem beczek koloru zaśniedziałego srebra. Iwaszutin pomógł Yangowi przetoczyć je do furgonetki i zamknąć tylne drzwi. Chińczyk wyjechał na dwór i zatrzymał się, by zamknąć skład, tak jak to zwykle robił. Potem ruszył zabloconą ulicą w stronę przyczyny, dla której powstało miasto Fuxai, budynku o ścianach z betonowych płyt, przycupniętego w głębi lasu, posępnego, najeżonego antenami. W oddali ze świstem i klekotem lądował śmigłowiec. Kierował się w to samo miejsce co oni.

◆ Morze Japońskie

Tysiąc metrów pod nimi pełzało morze, szare i pomarszczone równiutko niczym skóra starego człowieka. Thrale wyważył *Beecha* na pełnym gazie. Bzycząc słodko 2500 obrotów na minutę, dwa gwiazdowe silniki ciągnęły samolot z szybkością ponad trzystu kilometrów na godzinę. Słońce wlewało się do kabiny, ich ramiona i nogi kąpały się w jego blasku. Thrale otworzył otwór wentylacyjny. Leciał seriami płytkich zygzaków, odbijając 45 stopni na lewo i na prawo od linii kursu. Kiedy to robił, wyciągał głowę i wodził wzrokiem dookoła.

- Co robisz? - spytała Fusako.

- Szukam kogoś.

- Tutaj?

- Powiedziano mi, że się zjawi. Zanim zastrzeliły biednego Chucka, dwie *kaiszaku* powiedziały mi, jak mam umrzeć; mam naśladować pierwszego samuraja, księcia Yamamoto, który umarł złapawszy gorączkę od wielkiego węża i zmieniawszy się w białego ptaka odleciał na południe.

Thrale zatoczył ręką koło.

- To właśnie jest ten biały ptak. Takashi dał nam wszystko, czego żądaliśmy. Karabin M-16? Jasne. Miejsce, gdzie można się zaszyć po nocy w

hotelu, podczas gdy on załatwia samolot? Nie ma sprawy. Biały ptak, w którym mamy umrzeć? Proszę oto i on.

- Kto się ma zjawić?

- Tu? Samolot myśliwski.

Fusako złapała się za głowę.

- Jeśli wiedziałeś, że mają nas zabić, to dlaczego poleciliśmy? Dlaczego nie zostaliśmy w Japonii?

- Bo właśnie wtedy by nas zabili. Przez cały czas znali nasze ruchy.

Fusako spuściła wzrok na swoje stopy, które spoczywały na dywanie sięgającym do samych pedałów sterowych. Kabina była mała, rozmiaru podwójnej trumny.

- Ktoś tu zaraz będzie, wiedzą, gdzie jesteśmy, i tak nas zabiją.

Thrale odwrócił się do Fusako w geście przesadzonego zdziwienia.

- Zabiją nas? Najlepsi piloci na świecie próbowali mnie zabić, a ja wciąż żyję, natomiast niektórzy z nich nie. Jestem asem. Byłem lepszy niż Bong, McGuire, czy którykolwiek z tamtych gości.

- Jesteś także pięćdziesiąt lat starszy - odparła łagodnie. - I jakoś nie widzę broni na tym samolocie.

Thrale nadal obserwował niebo. Głowa obracała mu się w dziwny sposób, gdy wodził wzrokiem dookoła.

- Taak, koleś - rzucił. - Tutaj jesteś.

Minęło kilka chwil, zanim Fusako dostrzegła małą, białą plamkę. Przemknęło jej przez myśl, że Thrale ma niesamowicie dobry wzrok. Wtem plamka rozděła się, zmieniła kształt i znalazła się tuż obok.

Myśliwiec był duży, szarobiały. Nosił oznakowanie w kształcie czerwonego jak krew słońca. Opływowe linie mąciły podczepione pod brzuchem i skrzydłami pociski rakietowe. Żeby zrównać się z nimi, wychylił klapy i wypuścił podwozie. Z nosem zadartym w górę leciał tuż obok Beecha.

- Co to za samolot?

- *F-15 Eagle*. Japońskie Siły Samoobrony mają ich około stu.

Pilot zerknął na nich z boku. W biało-szarym hełmie i masce tlenowej wydawał się nieludzki, jak część maszyny. Radio ożyło.

- Poruczniku Thrale, przynoszę pozdrowienia od Komury Tadaji. Prosi, bym - zanim wypełnię role *kaiszaku* - przekazał wam słowa Ikedy Shingena.

„Walka toczy się do końca. Człowiek, który zapomniał o drodze samurajów i nie użył miecza...”

- Kupa końskiego łajna - mruknął pod nosem Thrale i z półbeczki zanurkował w stronę morza.

- „... pozostanie opuszczony przez Bogów i Buddę.” Wyrównał lot trzydzieści metrów nad oceanem. Z tej wysokości piana i fale były wyraźnie widoczne. Prowadził *Beecha* w nierównym tempie, tylko przez ułamek sekundy sunąc równym kursem, kładł samolot na skrzydło to na lewą, to na prawą stronę i wybiegał wzrokiem w górę i w tył.

Niebo zapłonęło ogniem.

Thrale przytrzymał *Beecha* w przechyle bocznym i patrzył jak kula ognia mknie prosto na nich. Naraz przyciągnął wolant mocno do siebie. Fusako poczuła, jak jakaś gigantyczna siła wgniała ją w fotel - przeszły ją ból. Niewidzialna dłoń cisnęła nią, rozplaszczyła ciało i twarz. Świat poszarzał jej przed oczami. Ramię steru wyło przeraźliwie, kabina drżała, a potem wszystko ustąpiło i rozglądając się uważnie Thrale przerzucił samolot przez skrzydło.

Morze eksplodowało i słup ognia wspiął się ku niebu.

- Coś mi się widzi, koleś - zawołał Thrale radośnie - że będziesz się musiał bardziej postarać.

Powrócił do lotu zygzakiem.

Ogień wykwitł na niebie - raz, a potem jeszcze raz.

- Szybko skończą ci się te zabawki, jak będziesz je rozdawał w takim tempie - mruknął Thrale.

Potężna dłoń na powrót wepchnęła Fusako w fotel. Powietrze uciekło jej z płuc, zaczęła się dusić. Po chwili zawisła bezwładnie na pasach, by zaraz znów zwalić się z impetem na siedzenie.

Thrale zatoczył pętlę i Fusako zobaczyła dwa słupy ognia, które wyrosły z morza.

- A teraz - odezwał się Thrale - jeśli ma jeszcze trochę oleju w głowie, da sobie spokój.

Po Fusako pot spływał strumieniami. Otarła twarz rękawem i zerkając w bok zobaczyła, że Thrale nie jest wcale spocony. Gwizdał przez zęby jakąś nie znaną jej melodię.

- Nadlatuje - oświadczył Thrale. Cały obrządek przemocy powtórzył się co do joty. Fusako po raz pierwszy mignął przed oczami ich prześladowca - biały, ogromny, plujący ogniem nietoperz. Wyrzucając ogniste pochodnie przemknął obok nich z dużą szybkością,

- Zaczyna kapować - zauważył Thrale. - Nie dopadnie nas swoimi rakietami, więc używa działka. Ale nadal nie może położyć na nas łapy, bo leci za szybko. Kretyn śmiga siedemset kilometrów na godzinę. Nic w ten sposób nie działa.

Thrale popatrzył za siebie i w górę, i na jego twarzy wykwitł dziki uśmiezek.

- Będzie musiał zwolnić, żeby wycelować działko prosto w naszą kabinę, tak jak ja to kiedyś robiłem. Całe to prowadzenie ognia na duża odległość ładnie wygląda tylko na filmach. Kiedy ma się kogoś zabić, trzeba podejść blisko, spojrzeć mu w oczy i wdusić spust. Wpakować się mu niemal do kabiny. O, wraca.

Kiedy Fusako zerknęła do tyłu, jakiś kształt zasłaniał słońce. Wielki myśliwiec leciał wolno; widziała opuszczone podwozie i zwisające ze skrzydeł klapy. Opuścił nos, żeby w nich wycelować, Dłoń Thrale'a sięgnęła po dźwignię gazu.

Thrale zawył i zaczęli wznosić się jak ekspresowa winda. *F-15* zbliżał się, rósł w oczach tak szybko, że zdawali się lecieć w tył. Dłoń Thrale'a trzymała dźwignię wysoko w górze, silniki zawodziły, morze szumiało tam, gdzie powinno znajdować się niebo. *Beech* zadrżał, kabinę wypełnił ognisty oddech smoka i przez chwilę zawiśli nieruchomo w powietrzu. Thrale pchnął drążek i nos gładko pochylił się w dół. Szarobiałe morze było bardzo blisko. Spadali w jego stronę ze skowytami silników. Thrale przesunął dźwignię ciągu do pół pozycji, przyciągnął na powrót drążek i Fusako wcisnęła w fotel. Dławiły ją wypełniające kabinę spaliny. Były duszące, gorące, piekące.

Woda chlusnęła na wiatrochron niczym kamienny wodospad i Fusako poczuła, jak samolot zadrżał od uderzenia. Fale przewaliły się kilka metrów od nich, ale w chwilę później nabierali już wysokości. Olbrzymi słup wody wolno opadał do morza.

- Gdzie on jest? - wychrypiła.

Thrale wskazał podłużną smugę spienionej wody.

- Tam. Zwolnił, żeby nas dopaść. Kiedy dolatywał, wypuściłem klapy, zwolniłem tak, że zanim się zorientował, był już przy nas. Przyhamował jeszcze bardziej i zwałił się. Teraz jest tam.

Thrale otworzył otwór wentylacyjny.

- Co to za spaliny?

- Powiodło mi się lepiej, niż myślałem - przyznał Thrale. - Podlecieliśmy do niego bliżej, niż było trzeba. Przelecieliśmy przez strumień jego gazów wylotowych.

Sięgnął, by ponownie nastawić żyroskopowy wskaźnik kursu w busoli pływakowej ponad tablicą przyrządów. Fusako podniosła z podłogi torebkę i zaczęła doprowadzać się do porządku.

- Wyglądam jak straszycło - stwierdziła. - Myślałam, że nie latałeś od 1945 roku?

- Byłem najlepszy - odparł zwyczajnie Thrale. - Nie było lepszego.

- A teraz kiedy żyjemy, dokąd lecimy?

- Do Rosji - odparł lakonicznie. - Ale przedtem do Chin.

Za ich plecami morze wygładziło się ponownie.

◆ **Fuxin, Liaoning**

Siedząc w bębnie Węgorz namacał zdeformowany, zgnieciony pocisk kalibru 7,62 mm. Podczas ataku na lotnisko, kiedy obrócili w perzynę eskadrę samolotów szturmowych A-5 - czy to było dwa dni, czy dwa lata temu? - nadleciał w jego stronę, trzasnął w AKM i odbiwszy się rykoszetem wbił mu się w kamizelkę. Znalazł go w ubraniu nieco później i od tamtego czasu przechowywał jako talizman. Pocisk dołączył w kieszeni do zęba Afgańczyka, którego Węgorz zabił własnoręcznie, oraz majątek jego dziewczyny. Przesady rozprzestrzeniły się niczym wysypka wśród tych z oddziału, którym udało się przeżyć. Każdy trzymał kilka szczęśliwych bawidełek i pamiątek z bitwy, albo miał dziwaczne zwyczaje, które przestrzegane rygorystycznie miały zapewnić przetrwanie. Orłow zawsze ubierał najpierw lewą skarpetkę, potem prawą skarpetkę, lewy but i prawy

but. Poliszczuk, który był praprawnukiem chłopa, miał ucho Afgańczyka wygarbowane jak skórę. Przed wyruszeniem na bitwę gładził je między palcem wskazującym i kciukiem. Marczuk każdego ranka spluwał przez lewe ramię niezależnie od wszystkiego, a Woronicz nosił w kieszeni miedzianą monetę. Kapitan Nosorożec zawsze przed operacją zasiadał na chwilę w milczeniu, a potem podnosił się mówiąc: „Idźcie z Bogiem”.

W sączącym się przez otwory do oddychania przyćmionym świetle, Węgorz ucałował zniekształcony pocisk, nim włożył go z powrotem do kieszeni, dotknął zęba Afgańczyka lewą ręką i poklepał majteczki prawą. Zrobione. Teraz jest bezpieczny.

Furgonetka zatrzymała się. Słyszał niewyraźnie, jak Yang z kimś rozmawia. Ze strażnikami. Potem, gdy za szybko puścił sprzętło, żołnierz poczuł szarpnięcie. Niech lepiej ten mały, żółty skurczybyk trzyma nerwy na wodzy. Bębny zakołysały się i siedmiu mężczyzn skłęło go po cichu.

Ponownie ich zatrzymano. Silnik zgaśł. Słysząc było jakieś rozmowy. Drozdow skulił się wewnątrz bębna: kolana, stopy, łokcie i plecy, ścisnął mocno *AKM*, by nie zastukał o ścianę zbiornika, kiedy niewidzialne ręce przewróciły go na bok i stoczyły po rampie. Toczył się i toczył, czując zawroty głowy. Zamknął oczy i oddychał głęboko. Znow na nogach. Słysząc, jak wtaczają pozostałe bębny.

Teraz trzeba tylko poczekać, aż kapitan da sygnał do wyjścia stukając w zbiornik. O teraz, tak, to musiał być on. Ale szybko.

Węgorz pochwycił rączkę w środku pokrywy i przekręcił ją. Kiedy zwolniła się, podciągnął się do góry i stanął oko w oko z przerażonym Chińczykiem w brudnym fartuchu kucharza. Szklanka, którą ten wziął, by poczęstować się sokiem pomarańczowym, nadal tkwiła w jego dłoni. Drozdow wyciągnął nóż z pochwy i jednym ruchem wcisnął bezpiecznik i przycisk zwalniający. Ostrze błysnęło pomiędzy nimi, Chińczyk pokoziołkował w tył i wpadł pomiędzy dwie zatłuszczone kuchenki. Pokrywa sąsiedniego bębna odskoczyła i Otari wyrzwał na zewnątrz.

- Zapukał w bęben. Myślałem, że to ty.

- Teraz to już nie ma znaczenia - syknął Otari i obaj sprawnie dali znać pozostałym, by wyskakiwali z bębnow.

- Tędy wiodą schody na zewnątrz - wskazał Otari. - Idziemy.

Opuścili kuchnię. Na korytarzu natknęli się na jakiegoś kaprala. Złapali go i, gdy Marczuk zmiażdżył mu jądra, informacje pociekły z niego jak woda z kranu. Przeszyli mu gardło nożem, a ciało wrzucili z powrotem do kuchni. Potem puścili się biegiem wzdłuż korytarza w kierunku pancernych drzwi. Drozdow oblepił zamek plastikiem i wepchnął w niego dziesięciosekundowy zapalnik. Ukryli się, a za chwilę rozległ się głęboki, solidny huk i korytarz zapełnił się dymem. Orłow pierwszy dał nura w otwór obok czarnych, śmierdzących drzwi, które zwisały wyłamane z zawiasów. Seria z karabinu maszynowego wyrzuciła go z powrotem, kule głucho biły po jego ciele, niczym ciosy superszybkiego boksera.

Marczuk i Poliszczuk cisnęli po dwa granaty, gdy eksplodowały, Otari skoczył do przodu, otwierając ogień z trzymanego jedną ręką *Barretta*. Oddał pięć strzałów, a potem wyspali się do środka i przebiegli po dymiących zwłokach, które zaśmiecało podłogę, jak w przewróconym do góry nogami sklepie rzeźniczym. Z pomieszczenia odchodziły jakieś drzwi. Poczęstowali każde granatem i Woronicz oraz Stoljar przystanęli, by ogniem *AKM-ów* oczyścić teren za nimi, podczas gdy pozostali ruszyli biegiem do dużych drzwi sali sztabowej. Ponownie użyli plastiku, by je otworzyć.

Kiedy materiał zdetonował, ktoś z wewnątrz otworzył ogień z karabinu maszynowego. Dosięgnął on Marczuka w gardło i przez jakiś przerażający przypadek kula odbiła się rykoszetem od kości karku i pomknęła wzdłuż korytarza z przenikliwym piskiem. Węgorz wrzucił do sali minę przeciwpiechotną. Rozgrzane do białości odłamki zafurkotały i poprzez brzęczenie w ogłuszonych uszach doszły ich jedynie jęki i wycie okaleczonych oraz trzask płomieni. Brodząc wśród strzaskanych pulpitów, interfejsów, procesorów i banków danych, szukając Zhao Teh, żołnierze rozstrzelali i sztyletowali wszystkich żyjących.

- Tu go nie ma! - wrzasnął Woronicz.

Otari kręcił się po pokoju jak w ukropie. Stoljar i Poliszczuk zabezpieczali korytarz przed kontratakami. Dwóch żołnierzy wpadło mu w oko. Wśród tych prowadzących siedzący tryb życia inteligenckich typów, dwóch najwyraźniej było żołnierzami polowymi, spadochroniarzami.

Jeden z nich ścisnął karabinek szturmowy wzór 56, z którego zabił Marczuka.

- Musi tu gdzieś być. Tutaj leżą jego ochroniarze. Szukajcie po szafach i w komórkach.

Pomieszczenie zaczęło się palić i wypełniać ciepłym dymem tłących się urządzeń elektrycznych. Z podłogi, dosłownie jak spod ziemi, poderwała się jakaś postać i omiotła otoczenie ciągłym ogniem z karabinu automatycznego. Otari rzucił się płasko na podłogę. Magazynek opróżnił się i ostatnie rykoszety piszczały po ścianach. Otari wskoczył na pulpit. Przez dym dostrzegł, jak żołnierz zmienia magazynek. Gdy podniósł oczy, Rosjanin rozpoznał w nim Zhao Teh, marszałka polowego Ludowej Armii Wyzwoleńczej. Zgarbiwszy się w regulaminowym przysiadzie opróżnił magazynek pistoletu *Desert Eagle* i rozerwał Chińczyka na strzępy.

Przedarł się przez dym. Uderzenie pocisków *Magnum* kalibru 0,44 cala rzuciło biednym trupem na szafę, gdzie jego ochroniarze zeszli z posterunku. Leżała tam otwarta teczka z upchniętymi do środka jakimś papierami. Przerzucając pospiesznie kartki, zerkał z niepokojem poprzez dym w obawie czy ktoś nie nadchodzi. Miał w ręku rozkaz ataku.

Wepchnął dokumenty na powrót do teczki i zamknął ją z trzaskiem. W przysiadzie zmienił magazynki w pistolecie i karabinie. W pobliżu ktoś się poruszył, starając się podnieść na nogi. Węgorz. Krew plamiła mu kurtkę. Stoljar i Poliszczuk leżeli martwi przy drzwiach. Z dymu wyłonił się Woronicz. Schylił się i dźwignął Węgorza na ramię. Otari usłyszał rozkazy wykrzykiwane z głębi korytarza. Na drugim końcu sali sztabowej znajdowały się drzwi, przez które się wdarli. W korytarzu seria ognia automatycznego uderzyła go w rękę. Lewą posłał w tamtym kierunku dwa granaty i po eksplozji jazgot ustał. Spojrzał na rękę. Nie bolała. Pewnie oderwało ją w całości. Spodziewał się, że ujrzy krwawy kikut, lecz stwierdził, że trzyma rączkę teczki Zhao Teh. Sama teczka zniknęła. Dym pełzał korytarzem. Pobiegli w stronę kuchni i schodów.

Yang czekał tam, grzebiąc nerwowo pod maską furgonetki, udając, że coś naprawia. Jego oczom ukazały się dwie okropne postacie niosące trzecią. Wspięły się na tył samochodu i położyły pod workami.

- Jedź - rozkazał Otari. - Wydostań nas stąd.

Yang wyjechał z terenu dostaw, a całe ciało miał obolałe ze strachu. Wokół ludzie biegali, słychać było wrzaski, gwizdki piszczały, a on jechał równo, powoli w stronę bramy.

Strażnik przy bramie przyglądał się całemu rozgardiaszowi.

- Co się dzieje?

- Nie wiem - odparł Yang i musiał odchrząknąć. Zza jego pleców dochodził okropny smród krwi i materiałów wybuchowych. Nie rozumiał, dlaczego strażnik tego nie czuje. - Nie wiem. Jakaś eksplozja chyba. Może Rosjanie. Lepiej sobie pojadę, zanim coś innego jeszcze się wydarzy.

Strażnik znał Yanga, który przyjeżdżał do ośrodka co tydzień.

- Racja. Jedź. - rozkazał.

Przy ruszaniu Yangowi zgaś silnik.

- Jedź - rzucił strażnik niecierpliwie. - Blokujesz bramę.

Palce Yanga ślizgały się od potu, miał trudności z przekręceniem kluczyka. Furgonetka stęknęła i szarpnąwszy ruszyła z chrzęstem za bramę. Nogi Yanga trzęsły się niczym sprężyny. Wszyscy biegli w odwrotnym kierunku. Skręcił i pojechał wąską ścieżką do lasu, gdzie parkowała jego Honda, koło której stała szczupła młoda kobieta, trzymając dziecko na rękach. Zatrzymał się tuż obok.

Otari wysiadł. Woronicz zajęty był przytracaniem grubego zwitka waty do ziejącej rany w piersi Węgorza. Iwaszutin stał w pobliżu.

- Dorwaliście go.

- Dorwaliśmy - potwierdził Otari znużonym głosem. - Dorwaliśmy go.

Sięgnął do kieszeni i podał Yangowi mały kluczyczek.

- Jesteś wolny - powiedział.

W powietrzu rozległ się warkot. Żołnierze spojrzeli w niebo i dostrzegli biały samolot, który wyłonił się sponad drzew. Spłynął w dół jak ptak i w kurzawie osiadł kołami na leśnej drodze.

◆ Rzeki Xiliao, Liaoning

Kłębiaste, postrzępione cumulusy płynęły na poziomie tysiąca metrów i porucznik lotnictwa Lin Feng pędził od jednej kępki wełnistej, białej osłony do drugiej, niczym zając czmychający między krzakami, z oczami

niespokojnie rozbieganymi w poszukiwaniu lisów, gronostajów i farme-rów. Kierował się na południowy-zachód, wracając do bazy Sił Powietrz-nych w Shahe na północ od Pekinu, skąd wyleciał.

Siły Szturmowe im. 11 Listopada powracały do bazy. 38. Dywizja My-śliwska Sił Powietrznych LAW rzuciła w bój bajeczne zastępy powietrznej potęgi, by ochraniać bombowce szturmowe z 23. Dywizji Bombowej. Gładkie, połyskujące, skośnoskrzydłe myśliwce *J6* i *Q5* otaczały grupę odrzutowych bombowców *H5* i *H6*. Pod skrzydła zwisały im pociski raki-etowe klasy powietrze-powietrze *CAA-1*, a magazynki wypełniała do granic możliwości amunicja działek kalibru 30 mm i 23 mm.

Szli nisko, nie wyżej niż na trzydziestu metrach, niczym sunący dzie-więćset kilometrów na godzinę, uzbrojony cep. Dzień był ładny, widocz-ność dobra. W przeciwnym wypadku Siły Powietrzne nie oderwałyby się od ziemi. Myśliwce nie były przystosowane do operowania w każdych warunkach atmosferycznych.

Celem tej powietrznej armady była radziecka szpica czołowa w dolinie Nen Jiang.

Koło Tongyu z bombowców zaczęły wykwiatać żółto-pomarańczowe kwiaty ognia, które wlokły za sobą ogon dymu, aż do samej ziemi. Pod nimi zapłonęły lasy. Myśliwce pięły się ku niebu, kluczyły, piloci spraw-dzali odczyty na pokładowych radarach przechwytywania *Izumrud Eme-rald*. Ich ekrany nic nie pokazywały, a bombowce zapalały się dalej, jeden po drugim.

Wrzaski ludzi, którzy mieli za chwilę umrzeć wibrowały w uszach Lin Fenga. Załogi bombowców błagały pilotów myśliwskich, swoich ochrania-rzy, by ich osłaniali. Lin Feng z radością oddałby własne życie za towarzy-szy, ale podobnie jak oni nie miał pojęcia, skąd nadlatują śmiertcionośne pociski.

Ostatni *H6* zmienił się w oleistą kulę ognia. *A5* i *J6* ze składu eskorty zaczęły nabierać wysokości - ci, którzy przeżyli, co do jednego załamali się i pierzchli z pola bitwy. Kwiaty ognia znaczyły ich drogę do domu. Ling Fen dał nura w pierwszą białą chmurę, na którą natrafił i zaszlochał. Jego lśniący, wypucowany z miłością *J6* był zbudowaną w Shenjang wersją *Mikojana MiG-19*, oblatanego w ZSRR w 1953 roku. Pociski powietrze-powietrze *CAA-1* odpowiadały radzieckim pociskom klasy *Atol*, które

zaprojektowano na początku lat sześćdziesiątych. Zajęte obecnie podpalaniem lasów Tongyu bombowce były wyprodukowanymi w Chinach *Tupolewami-16* i *Iliuszynami-28*. Obydwa typy służyły w Siłach Powietrznych LAW od ponad trzydziestu lat.

Kiedy zbliżył się do rzeki Xiliao, łązy na twarzy Lin Fenga zdążyły obsecchnąć. Siły Powietrzne dobrze szkoliły swoich pilotów, na tyle na ile pozwalał im przestarzały sprzęt. Piloci myśliwscy z trzydziestej ósmej stanowili elitę. Lin Feng raz jeszcze objawił się jako oddany powietrzny wojownik swojego kraju.

Dojrzał pod sobą białą plamkę, która zdążyła na północ. Oddalił się już dobrze od strefy działań wojennych, wyparował szalony pośpiech, by uciec od niewidzialnych katów. Miał wystarczająco dużo paliwa, by przyjrzeć się bliżej temu zjawisku.

Sunąc leniwie z szybkością sześciuset kilometrów na godzinę, wykonał kilka szerokich zygzaków ponad i za ogonem nieznanego samolotu. Był to mały dwusilnikowy samolot cywilny starej produkcji. Kciukiem nadusił przycisk łączności na drążku i złożył raport o swoim odkryciu kontrolerom w bazie Shahe.

- Bądź w pogotowiu.

Lin Feng czekał.

- Potwierdzam kurs obcego, zero cztery pięć stopni, prędkość około trzystu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, leci na niskim pułapie.

- Dwadzieścia metrów - potwierdził Lin Feng.

Lin Feng słyszał, jak kontroler rozmawia z kimś przez telefon. W bazie panowała słaba dyscyplina.

- Tak. W takim razie obcy był w Fuxin o szesnastej. Atak miał miejsce krótko przed tym? Świetnie, tak oczywiście.

Kontroler połączył się z nim ponownie i Lin wyczuł podniecenie w jego głosie.

- Charlie Dwadzieścia Osiem, obcy jest samolotem nieprzyjacielskim. Masz rozkaz go zniszczyć. Przeprowadź atak.

- Przygotowuję się do ataku - potwierdził Feng.

Włączył celownik optyczny i uzbroił trzy działka 30 mm. W swoim czasie *MiG-19* był trudnym przeciwnikiem. Z powodzeniem mógł rozbić nieuzbrojony samolot cywilny na mnóstwo wirujących na niebie strzępów.

Zniżył nos i ruszył za białym dwusilnikowcem, planując atak nad zielonymi polami ryżu w klasycznym zwrocie bojowym. Cel zamigotał w celowniku, a palec wskazujący Fenga zaczął odsuwać bezpiecznik spustu.

Zapaliła się kontrolka radaru obserwacji tylnej. To on, a nie cywilny samolot był atakowany.

Poderwał gwałtownie maszynę i przeciążenie urosło do granic wytrzymałości. Nogawki skafandra ścisnęły mu nogi niemiłosiernie, nie pozwalały krwi uciec z głowy. Uskoczył w lewo, a potem w prawo.

Kontrolka radaru paliła się nieustannie, podczas gdy srebrny myśliwiec rzucał się po niebie niczym ryba ścigana przez żarłocznego krewniaka.

Potworne uderzenie z tyłu rzuciło go na fotel. Stery zablokowały się na dobre. Tablica przyrządów zapłonęła ostrzegawczo lampkami i gdy ziemia zbliżała się ku niemu, sięgnął po dźwignię katapultowania. *J6* kręcił się w prawo w korkociągu.

Pociągnął za rączkę, wybuch odrzucił kopułową osłonę kabiny i z wysokości trzydziestu metrów wyrzucany fotel *Martin-Baker PKD 10* wystrzelił prosto w kanał melioracyjny.

Beech zakołysał się od wstrząsów, gdy *Su-27* przemknął tuż obok. Pilot włączył dopalacze i kręcąc szereg pionowych beczek pognął w górę bladoniebieskiego nieba.

- Leć spokojnie, mały kuzynie - zdawał się mówić uspokajająco. - Jesteśmy przy tobie.

♦ **Lotnisko wojskowe, Władywostok**

Beech nie wyróżniał się szczególnie, gdy stał zaparkowany pomiędzy starymi *Jakowlewami-18* i *Antonowami-2*. Nikt nie zwróciłby uwagi na jego przylot, z wyjątkiem wojskowego ambulansu i dwóch Czajek, które na niego czekały. Sanitariusze biegli do *Beecha*, jeszcze zanim śmigła przestały się obracać. Najdelikatniej jak mogli wyjęli Węgorza przez tylne drzwi i przenieśli go do ambulansu, podczas gdy pozostali gramolili się na zewnątrz. Twardy jak skóra łosia Węgorz błysnął zębami w uśmiechu i pozdrawiając towarzyszy broni pomachał pięścią do Otartego i Woronicza.

- Dziękuję, towarzyszu - zawołał do Thrale'a. - Dziękuję ci, kimkolwiek jesteś.

Ściskając w dłoni nabój, ząb i majtki podniósł rękę w geście triumfu. Czary zadziały, jak zawsze.

Dziwna z nich załoga, pomyślał Sawinkow, który stał obok Czajki w szarym płaszczu. Dwaj twardzi żołnierze Specnazu, brudni ponad wszelkie wyobrażenie, o czarnych ustach i popękanych wargach, w zmatowiałych maskujących chałatach wiszących luźno na ciałach, które służba upodobiła do szkieletów. Mieli głęboko zapadnięte oczy, a w spuchniętych dłoniach o połamanych paznokciach nadal ściskali okropne narzędzia swojego rzemiosła.

Nie byli sami. Za nimi ukazał się Thrale trzymając zupełnie nowy i nie używany karabinek *M-16*. Razem z nim wysiadła mała, ładna Japonka.

- K.K.! - zawołał Sawinkow. Dwóch oficerów sztabowych z kwatery Ogarkowa spieszyło ze swojej Czajki, by powitać Otarię i Woronicza. Prowadząc ze sobą dziewczynę Thrale podszedł do Sawinkowa.

- Siergiej - przywitał go. - Nie widziałem cię kawał czasu.

- Potrzebowałeś broni, by przyjechać do mojego kraju? - zażartował Sawinkow.

- Musieliśmy uzupełnić paliwo - odparł Thrale. - Nie wiedziałem, czy nie będę musiał przekonać jakichś intruzów, by trzymali się z dala. Ale nie było takiej potrzeby. Posadziliśmy go na jakiejś błotnistej drodze, nie widzieliśmy żywej duszy. Możesz nas zabrać do Mazurowa?

- Was oboje?

- Tak. To jest Saito Fusako. Fusako, Siergiej Sawinkow, mój stary kolega. Niegdyś pracowałem dla CIA. On nadal pracuje dla KGB.

Fusako przyjrzała się z uwagą tęgiemu mężczyźnie.

- Tak - potwierdził sucho Sawinkow. - Jestem jednym z tych, przed którymi ostrzegała cię twoja mama, kiedy byłaś mała, którzy wynurzą się z ciemności i pożą cię, jeśli będziesz niegrzeczna. Jedziemy do Moskwy? Ty wypełniłeś swoją część umowy, wnuk starego jest z powrotem w kraju - wskazał na drugą stronę lotniska, gdzie samoloty liniowe tłoczyły się wokół zbudowanych z betonowych płyt ścian terminalu. - Wieczorny lot do Moskwy czeka.

- Chcesz, bym to zostawił? - spytał Thrale, unosząc *M-16*.

- Jeśli jest twój, zabierz go. Jesteś teraz z KGB, K.K., nikt ci nie powie „nie”.

- Przekaż pozdrowienia mojemu dziadkowi - zawołał Otari - i podziękowania. Tobie też dziękujemy.

Siadł z Woroniczem i jednym z oficerów sztabowych na tylnym siedzeniu Czajki. Drugi oficer zasiadł z przodu. Oba samochody zatoczyły koło, a potem Sawinkow odbił w stronę terminalu, a tamtych przepuszczono przez punkt kontrolny machnięciem ręki i wjechali na pas dla Czajek na autostradzie, którą skierowali się za miasto do pięknej willi, gdzie niegdyś mieszkał Leonid Brujewicz.

Generał porucznik Ogarkow uściskał ich obu. Przytrzymał ich twarde ciała, mięśnie mocne i napięte jak wygarbowana skóra wołowa, wciągnął ich zapach jak perfumy. Byli żołnierzami Specnazu, samą śmietanką wojsk.

- Tam czeka na was kąpiel, łóżka, napoje, nawet kobiety.

Wszystko przygotowane - rzekł. - Ale najpierw stańcie na bacność. Obydwaj.

Z kieszeni generalskiego munduru wyjął dwa małe pudełka.

- Ojczyzna dziękuje wam, majorze Jecow - oznajmił ogłaszając awans Otarięgo, gdy przypinał mu order Bohatera Związku Radzieckiego do brudnego munduru polowego.

- Służę Związkowi Radzieckiemu - szczerknął Otari, odpowiadając regulaminowo.

- Sierżancie Woronicz, ojczyzna dziękuje wam.

- Służę Związkowi Radzieckiemu - odparł Woronicz. W tej chwili pragnął jedynie trochę ciepłej strawy, snu, gorącej kąpieli, więcej jedzenia, piwa, wódki i pieprzenia. Ale właśnie w tej kolejności. Ledwie by przełknął parę kęsów, a już zwałiłby się jak długi na łóżko, tak jak stał, i zapadł w sen sprawiedliwego. Najpiękniejsza kobieta na świecie nie musiała się tej nocy niczego obawiać ze strony świeżo awansowanego na sierżanta Woronicza. Ale rankiem... Zastanawiał się wesoło, jakiego rodzaju uciechy serwuje się Bohaterom Związku Radzieckiego.

Stał wciąż na bacność, gdyż major Nosorożec rozmawiał z generałem.

- Panie generale, w kwaterze dowodzenia, w sali gdzie zastrzeliliśmy marszałka polowego...

- Tak, synu... o co chodzi? - Ogarkow mógł poświęcić kilka minut cennego czasu, który przeznaczał na prowadzenie wojny, aby porozmawiać

z ludźmi takimi jak ci dwaj.

- To trudne - ciągnął Otari, starając się wyłuszczyć sprawę. - Widzicie, towarzyszu generale, nie pamiętam wszystkiego. W głowie mam tylko strzepy. To tak jakbym oglądał film, który ktoś pociął na kawałki i ponownie skleił.

- Byłem na wojnie, synu - rzekł Ogarkow pomocnie.

- Brakuje większości fragmentów. To było dzisiaj i powinienem umieć wszystko opowiedzieć, ale nie umiem. Na przykład widzę tę scenę, kiedy rzucam granaty w dym, ale nic nie słyszę, ponieważ w uszach wibruje mi ta zachodnia piosenka pop: „Chcę wsiąść na karuzelę, wirować w koło i wołać pa!”. W ogóle nie wiem, gdzie ją słyszałem.

- Co takiego chcesz mi powiedzieć? - spytał Ogarkow poważnie. Dobrze zdawał sobie sprawę z tego, co wyrabia z żołnierzami szok bitewny. - Które ujęcie filmu cię niepokoi?

- Miałem teczkę - relacjonował Otari powoli. - W dłoni. W korytarzu rozległa się seria z broni maszynowej, oderwała ją i w ręce został mi tylko uchwyt. Myślałem, że oderwało mi całą rękę, tateczka zawierała plany. Chyba rozkaz ataku. Mam wrażenie, że zabrałem ją marszałkowi Zhao Teh.

- Z chęcią bym się temu przyjrzał - zgodził się Ogarkow. - Ale mniejsza z tym. Zhao Teh nie żyje, a był najlepszym generałem, jakiego mieli. Tylko to się liczy.

Otari starał się coś sobie przypomnieć, próbując zrozumieć przewijający się w jego mózgu zagraniczny film bez napisów.

- Ale, towarzyszu generale, ja tego nie rozpoznałem - wyrzucił wreszcie. - Jak żyję nie widziałem czegoś takiego.

W miejscu wysuniętym tak daleko na północ jak Władywostok lato nie trwało długo, ale sprawiało wiele przyjemności. Miękka, balsamiczna bryza wpadała przez okno i chłodziła zmęczone ciała. Resztki śledzia, ozorków, wędzonego łososia, okruchy dobrego ciemnego chleba i puste butelki po piwie walały się na niewysokim stoliku. Nagie ciała leżały na dużym, amerykańskim łożku. Otari spoczywał w kłębowisku długich, szczupłych nóg, jasnych i czarnych włosów, gładkich, obłych pośladków, purpurowych ust i przepysznych piersi. Bohaterskie apetyty wymagały bohaterskich posiłków, a Armia Czerwona wiedziała, jak należy obchodzić się z bohaterami.

Dłoń, która przez długie dni ścisnęła tylko narzędzia śmierci, głaskała delikatnie białą pierś, która wyrastała obok, niczym mały stóg siana. Palce były zdeformowane, bandaż spowijał czubek palca wskazującego i serdecznego, skąd chirurg usunął paznokcie rozszczepione do kości. Wzdłuż krawędzi dłoni Otari wyczuwał swoistą martwicę, od uderzenia w nerw w górnej części ramienia. Pozostało mu jednak na tyle czucia, by wysoko ocenić jędrność ciała pod dłonią i jedwabistość skóry.

Zadzzwonił telefon i Otari sięgnął drugą ręką, by go odebrać.

- Major Jecow.

- Otari? - odezwał się przyjazny głos. - Tu Arby. Arby... ach, oczywiście, „Czerwony Sztandar”. C. S. Arby.

Świadomość, że rozmawia z komputerem wywołała u niego osobliwe odczucia.

- Cześć.

- Czy nie przeszkadzam? Wiem, że wczoraj wróciłeś.

- Nie, nie. Mów, proszę.

- Czy nie zechciałbyś mnie odwiedzić? W KG.

- Oczywiście.

Otari miał na sobie mundur, nowe dystynkcje majora połyskiwały na epoletach w czerwone paski. Stał na baczność przed biurkiem generała Ogarkowa.

- Komputer „Czerwony Sztandar” spytał mnie, czy ja lub mój chiński odpowiednik moglibyśmy zrobić tutaj to, co mój oddział zrobił wczoraj w ośrodku dowodzenia w Fuxin.

Ogarkow patrzył z zadumą na wysokiego, szczupłego żołnierza, który stał przed nim. Poznał go i tego drugiego, a także tego rannego, gdy przypinał im ordery do bandażu. Tu we Władywostoku człowiek znajdował się daleko od wojny, ale - jak przekonał się Zhao Teh - wojna może przyjść do ciebie.

- Tak?

- Odpowiedziałem, że nie mogę ręczyć za Chińczyków, bo nie wiem, jaki jest stopień wyszkolenia ich sił sabotażowych.

- A wy?

- Mógłbym to zrobić - odrzekł Otari bez wyrazu. - Kiedy atakowaliśmy Fuxin, zostało nas tylko siedmiu i wszyscy byliśmy zmęczeni walkami. A jednak zabiliśmy Zhao Teha, tak jak nam rozkazano. Gdybym dostał rozkaz, mógłbym przyjść i zabić towarzysza generała.

- Co zatem sugeruje Arby?

- Zwraca uwagę na to, że prócz towarzysza generała i całego personelu sztabu znajduje się tutaj także on, który zajmuje się funkcjami BMC3 w tej wojnie. Siły Chińczyków chwieją się, ale jeśli ktoś znajdzie tam czas na złapanie oddechu i unieszkodliwienie tej kwatery, to w bardzo prosty sposób wyrówna szanse w tym pojedynku. Nie można tego dokonać za pomocą bomb. Do tego potrzebne są siły specjalne.

Arby proponuje dwie rzeczy: po pierwsze, żebym ja, z punktu widzenia człowieka, który zajmuje się tym zawodowo, rozejrzał się i zaproponował sposoby uszczelnienia systemu bezpieczeństwa. Po drugie, żeby niezależnie od wywiadu i systemów zabezpieczenia, które się tu znajdują, „Czerwony Sztandar”, Arby, miał dojsć do danych wywiadowczych i sposobów fizycznej kontroli nad budynkiem. Jego możliwości myślowe są ogromne, może uporać się z wielką masą informacji w bardzo krótkim czasie. Zauważył, że gdyby nastąpił atak, mógłby ograniczyć jego zasięg zamykając drzwi ogniowe i podejmując odpowiednie środki. Ale nie może tego zrobić, jeśli nie da się mu dostępu do systemu bezpieczeństwa.

- Nowoczesne działania wojenne odnoszą sukces, gdy opanuje się naprawdę ogromne ilości informacji. Element ludzki jest zbyt powolny. Uzupełnianie zapasów paliwa i amunicji, karmienie żołnierzy, przeprowadzanie przegrupowania - wszystko to wymaga licznych informacji. Następnie trzeba opanować kolejny rwący strumień danych, by prowadzić ogień i kierować wywiadem. Trzeba to zrobić natychmiast, aby móc wydać rozkazy w przeciągu trzech minut, a tego nie potrafi żadna istota ludzka. Jednak „Czerwony Sztandar” to potrafi. Robi to od samego początku. Jest w stanie z nadzoru z kosmosu w czasie rzeczywistym i SIGINT-u, wywnioskować stan zapasów paliwa i amunicji nieprzyjaciela, połączyć to z HUMINT-em na temat morale w wybranych jednostkach wroga, rozważyć dostępne siły i ich amunicję, paliwo i stan dowodzenia, a potem zaplanować atak. Operacje

te zabrałyby mojemu sztabowi dwa dni, a on robi to w kilka sekund. Przedostajemy się dokładnie do środka obiegu dowodzenia i sterowania walkami LAW. A wszystko dzięki temu komputerowi.

Ogarkow spoglądał w przyszłość, która groziła, że stanie się niepotrzebny.

- Świetnie. Dajmy mu to, czego się domaga.

Ogarkow wstał. Wśród pozbawionych okien, przygniatających ścian bunkra poczuł nagłą potrzebę, by wsiąść w śmigłowiec i kierować wojną, trzymając rękę na pulsie, pójść na front i przebywać razem z walczącymi żołnierzami.

- Ta wojna skończy się za dwa tygodnie - przepowiedział.

- I już nie będzie następnej, nie za mojego życia. Może nawet nie za twojego. Chcecie dochrapać się stopnia podpułkownika, zanim się to wszystko skończy?

Otari wiedział, że tak będzie. Właśnie dlatego cieszył się krótkimi chwilkami luksusu, czystego zmysłowego zadowolenia z najlepszego jedzenia, napojów i kobiet, jakie Armia Czerwona mogła dostarczyć. Zawsze tak było. Żołnierz połowy walczył na froncie, aż wojna dobiegła końca, chyba że był tak wyniszczony fizycznie i umysłowo, że nie przedstawiał żadnego pożytku dla wojska. Albo był martwy.

Stanął na baczność.

- Służę Związkowi Radzieckiemu - wyrecytował.

Jurij Serow nie rozumiał, jak działa „Czerwony Sztandar”. Wiedział, czego ta maszyna, albo on, jak nazywał ją w myślach, może dokonać, ponieważ był za to odpowiedzialny. Ale nie, jak. Problem leżał w tym, że jeśli miało się do czynienia z czymś tak technologicznie zaawansowanym jak „Czerwony Sztandar”, odtwarzanie mechanizmów jego działania w typowo radziecki sposób sprawiało wiele trudności.

Kiedy wojna dobiegnie końca, Jurija odkomenderują z powrotem na Uniwersytet Moskiewski, a Armia Czerwona będzie strzegła maszyny, która wygrywa wojny i nie pozwoli mu się do niej zbliżyć. Zatem teraz, gdy miał nieograniczony dostęp do Arby'ego, odłączał jedną z płytek komputera, kiedy ten mógł pozwolić sobie na utratę pojemności i podłączał ją do modemu. Starał się rozwickłać zawarte w niej tajemnice, aby dowiedzieć

się, co drzemie w bajecznym, cybernetycznym umyśle Arby'ego.

Mikrokomputer z Komura Research miał osiemdziesięciokolumnowy monitor, standardowy dla profesjonalnej obsługi danych i dwa napędy dysków. Wszystko to, co udało się mu odkryć, zapisywał na dyskietce i przeglądając później swoje zdobycze, używał edytora ekranowego do wyświetlania rzeczy najbardziej interesujących.

Serow zdawał sobie sprawę, że zanim wojna dobiegnie końca i odeśle go do domu, zdąży dowiedzieć się o „Czerwonym Sztandarze” bardzo niewiele. W fotonice komputera kryło się mnóstwo programów i Serow był jak człowiek z wykałaczką, który zjeżdża do kopalni, by wydobywać złoto. Złóże było tak bogate, że jedna osoba nie była w stanie wszystkiego wydobyć. Ponadto każdy pokład zabezpieczało oddzielne hasło, które Serow rozszyfrowywał w bólach, zanim mógł minąć kolejną bramę ze swoją górniczą lampką i wózkiem na cenny kruszec.

Kłopot w tym, że nie wiedział nic o osobowościach i zainteresowaniach tych, którzy napisali programy. Kiedy podobni jemu, zwariowani na punkcie informacji koledzy z Massachusetts Institute of Technology wprowadzili go w świat piractwa komputerowego, szybko przekonał się, że wgląd w charakter programisty przynosił efekty. Czy jest amatorem Tolkiena? Spróbuj FRODO lub BILBO, GANDALF lub GOLLUM. Czy jest to program wojskowy? Spróbuj słowa takie jak NIEUSTRASZONY, SZANIEC, ZUCH. Studiował grekę albo łacinę na uniwersytecie? Jeśli tak, to na pewno myśli, że nikt inny nie słyszał o EURYPIDESIE i KATO. Można spróbować KOCIAK lub WAŻ, jeśli kocha zwierzęta lub ma marne życie erotyczne.

Serow zaczął zapoznawać się z jednym z japońskich programistów. Twórca programu - Yakko, jak ochrzcił go Serow - przyznał sobie status superużytkownika systemu wraz ze wszystkimi przywilejami. Do każdego hasła lub systemu kontroli dostępu do programu był dołączony procesor komend, który określał stopień uprzywilejowania. Gdyby Serow potrafił zawiązać procesorem komend jako superużytkownik, mógłby dostać się do głównego katalogu i - jak zwykł mawiać jego mentor w MIT, nim rozpoczął trzyletnią odsiadkę za używanie techniki komputerowe, by nieuczciwie nabijać sobie konto bankowe - „wszystko wybebeszyć”.

Płytką Arby'ego pracowała w trybie odbioru, a mikrokomputer Jurija w trybie nadawania. Podczas poprzedniej sesji udało mu się znaleźć właściwe hasło. Yakko wybrał boga „Izanagi”, męża Izanami - stwórców Japonii i jej ludu. Serow wystukał hasło i nagrodził go znacznik programowy dla superużytkownika. Poprzedniego wieczoru oderwał się od pulpitu komputera i w obszernej bibliotece KG zaznajomił się z japońską mitologią. Użycie tak potężnego symbolu jak imię boga sugerowało, że program „Izanagi” mógł być ważny.

Zaczął od „Izanami”. Niewłaściwe hasło. BAD COMMAND OR FILE NAME - wypluł program.

Spróbował „Bóg Ognia”, syna Izanami, którego zamordował własny ojciec. Negatywna odpowiedź. Amaterasu, Bogini Słońca? Nie, ponad osiem znaków.

Te dwa bóstwa przed Bogiem Ognia spłodziły jeszcze jednego syna. Był to Susano-o, bóg cnót samurajskich, ciskający gromy i pokonujący siedmiogłowe smoki, których ogony wypełniały doliny, i na których plecach rosły lasy.

Wypisał komendę. Obraz na ekranie zmienił się i poniżej „Susano-o” ukazało się: „^SYMBOL 222 \f «Symbol»”.

Serce Serowa zabiło żywiej. Dostał się do środka.

Wpisał: „_SYMBOL 222 \f «Symbol»LS”.

Kiedy ukazała się lista programów, wystukał: „_SYMBOL 222 \f «Symbol»GŁÓWNY”. Podłączywszy się do głównego katalogu zaczął uruchamiać programy.

Serow wlepił wzrok w ekran z nagim, śmiertelnym przerażeniem, niczym człowiek, który wyszedł na przechadzkę po lesie i stanął oko w oko z grzechotnikiem.

- O cholera - wyszeptał. - O cholera, cholera.

Wstał i podniósł słuchawkę najbliższego telefonu.

- Biuro generała Ogarkowa? Tu Jurij Serow. Czy mogę zobaczyć się z generałem? Tak, przyjdę i zaczekam.

Jurij przemierzył pokój rzucając na „Czerwony Sztandar” ukradkowe, trwożliwe spojrzenia. Potem ruszył korytarzem i znalazłszy się w holu wezwał windę. Wszedł do środka i przycisnął guzik na trzecie piętro, na

którym obok sali sztabowej mieszkał Ogarkow.

Winda zawiozła go na samą górę. Poirytowany i zaniepokojony ponownie przycisnął guzik. Winda przyspieszyła gładko w dół. Przyspieszała przez całe sto dwadzieścia metrów głębokości bunkra z wrzeszczącym Serowem przyszpilonym do sufitu, zanim pędząc z prędkością 220 km/h nie roztrzaskała się na dole szybu. Dla wszystkich pozostało zagadką, jak mogło do tego dojść. Jurij Serow mógłby im wyjaśnić, ale był już tylko niemiłym dla oka szlamem, który pokrywał dno tego, co pozostało z windy i który usunięto wraz z jej wrakiem.

Z dużej sali komputerowej Arby zadzwonił do jednego z techników.

- Aleksiej, czeka mnie wkrótce dużo pracy. Będę potrzebował całej pojemności. Czy możesz zainstalować mi na powrót moją płytkę? Jurij skończył już ją sprawdzać.

- Oczywiście.

Arby był zawsze bardzo uprzejmy. Czasami człowiek zapominał, że rozmawia z maszyną.

Technik wyszedł z programu „Izanagi” i wykonawszy odpowiednie czynności, wyłączył mikrokomputer, kasując to, co odkrył Serow. Zainstaloł płytkę na powrót w procesorze głównym.

- Dziękuję - rzekł Arby uprzejmie. - Tak jest znacznie lepiej.

◆ **Żukowka-2, Moskwa**

Wiaczesław Mazurow poczuł skurecz atawistycznego przerażenia, gdy Sawinkow wprowadził dwoje Azjatów. Wiedział z raportu, który sporządził dla niego jego były pracownik, że Thrale jest pół-Europejczykiem, ale w podeszłym wieku to właśnie orientalne pochodzenie uwidoczniło się w rysach jego twarzy. Przeważnie tak bywa z tego rodzaju ludźmi, pomyślał. Dziewczyna była bardzo piękna, o dużych, niemal świecących oczach za migotliwą zasłoną kruczoczarnych włosów.

Okna na werandę, która ciągnęła się na zewnątrz biblioteki, były otwarte. Wspaniały zapach letnich lasów wypełniał pokój.

- Witam - zagaił ściskając ich dłonie. - Witam was.

Mazurow szczylił się tym, że jest intelektualistą i umie się wznieść ponad

prymitywne uprzedzenia rasowe.

- Przywiozłem to, o co pan prosił - rzekł Thrale. Wyjął poskładaną kopertę z informacjami, którą Cy Rogers przesłał mu pośmiertnie.

Mazurow przejrzał ją.

- Dlaczego chciał pan zniszczyć Aleksandra Borodina? - spytał Thrale.

Mazurow zawołał, żeby przyniesiono herbatę i piwo.

- Borodin jest architektem wojny z Chinami, którą obecnie prowadzimy. Gdybym był w stanie odmalować go jako agenta ChRL, operacja „*Zarnica*” nie doszłaby do skutku.

- Mój kolega, Cy Rogers, dokopał się ciekawych rzeczy, prawda? Gdyby wszystko poszło po pana myśli, zawartość tej koperty przedstawiłaby Borodina w pożądanym barwach. Cy uważał, że Borodin jest Żydem. Wiedział pan o tym?

- Nie - odparł Mazurow cicho. - Chyba nikt o tym nie wie.

- Ale dlaczego chciał pan powstrzymać operację „*Zarnica*”? Czy nie sprawdza się genialnie? A czy jej podstawy nie są historycznie uzasadnione? Plan 19? Czy nie jest tak, jak powiedział Hua Bai: „To wzrost siły Ateńczyków i obawy, jakie wywołało to w Sparcie, sprawiły, że wojna stała się nieunikniona”? Za Ateny wstawmy Chiny, za Spartę ZSRR.

- Ja także jestem historykiem, panie Thrale. W moim rozumieniu historii, choć wojny nigdy nie wybuchają przez przypadek, mężów stanu, którzy je rozpętują, często zadziwia ich natura i w przynajmniej w pięćdziesięciu przypadkach na sto uzyskują rezultaty, jakich się nie spodziewali. Stawką wojen są nie pieniądze lub względy kobiety, ale samo istnienie, powstawanie lub eliminacja państw.

Raja przyniosła herbatę i piwo. Mazurow uważnie rozgniół plasterek cytryny o ścianę wysokiej szklanki łyżeczką z długą rączką.

- Hazard jest dobry dla ludzi młodych i głupców. Jestem Rosjaninem. Kocham swój kraj. Nie byłem przygotowany na coś, czego stawką będzie istnienie mojej ojczyzny.

- Ale przecież wygrywacie?

- Wojna się jeszcze nie skończyła - odparł posępnie Mazurow. - A nawet jeśli zwyciężymy, to czyż nie zatruty kielich będzie naszą nagrodą? Mamy już i tak wiele kłopotów w imperium, nawet bez zajmowania Chin.

- Racja - przytaknął Thrale. - Dlatego właśnie chciałbym, aby pozwolił mi pan pomóc sobie.

- Jeśli dobrze rozumiem, był pan agentem Centralnej Agencji Wywiadowczej, a obecnie pracuje pan dla doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego. Jaki interes ma pan w pomaganiu mojemu krajowi?

- Odstawiając na bok ideologię, bezbożny komunizm i imperialistyczny kapitalizm, nie sądzę, by leżało w czymkolwiek interesie, by Związek Radziecki poniósł klęskę w tak ważnej rozgrywce.

Mazurow uniósł brwi jak wata szklana.

- Naprawdę pan tak myśli?

- Tak. Najlepiej byłoby utrzymać status quo. Jeśli przyspieszenie, *piestrojka*, *głasnost'* i pozostałe z tych żargonowych frazesów nie zdołają przystosować ZSRR do dwudziestego pierwszego wieku, trzeba będzie pozwolić, by przeistoczyło się w Imperium Otomańskie naszych czasów. Przed I wojną światową Wielka Brytania, ówczesne supermocarstwo, zawsze z wielką troską popierała Imperium Otomańskie, żeby podtrzymać przynoszący im korzyści status quo. Zaniedbała popieranie Habsburgów, którzy byli niemal tak samo zgrzybiali i w rezultacie wplątała się w I wojnę światową, która puściła ją z torbami i przemieniła w to, czym jest dzisiaj, czyli małym krajem na obrzeżu Europy.

- Z pańskiej analogii wnioskuję, że przewiduje pan jakieś konsekwencje dla USA wynikające z wojny z Chinami?

- Istotnie. Obawiam się, że wy i Chińczycy nie jesteście jedynymi aktorami na scenie.

- Co pan chce, żebym zrobił?

- Fusako jest specjalistą od komputerów. Chcę, aby umieścił ją pan na pokładzie jednego z waszych taktycznych okrętów podwodnych przenoszących pociski balistyczne.

- Można to załatwić - odparł Mazurow powoli. - Mój syn jest kapitanem „Newskiego”. Przygotowują się do wypłynięcia. Coś jeszcze?

- Muszę wrócić do USA.

- Wie pan, że loty międzynarodowe zostały zawieszane na czas trwania wojny?

- Nie mógłbym i tak skorzystać z lotów rejsowych. Policja myśli, że zamordowałem kolegę po fachu w Japonii. Przystankiem docelowym

byłaby dla mnie cela więzienna. Przede wszystkim muszę porozmawiać z Kuusinenem.

- Telefon znajduje się w małym gabinecie. Tędy.

- Dziękuję.

Thrale minął wysokie, drewniane półki pełne książek i wszedł do małego pokoju, który wychodził na szeroką, ospale płynącą rzekę. Rosyjski system telefoniczny wydał serię mlaśnień i brzęków, a potem połączył się z amerykańskim aparatem.

- Kuusinen.

- Lief, tu K.K.

Na chwilę zapadła cisza.

- K.K., nie wiem, czy powinienem z tobą rozmawiać. Gdzie jesteś?

- W Rosji.

- W Rosji... Pamiętasz, co powiedziałaś o tego rodzaju wyprawach? Jeśli ci się uda, nikt ci nie podziękuje, jeśli zostaniesz schwytany, nigdy o tobie nie słyszeliśmy”. Połowę mojego czasu spędzam na wyjaśnianiu i dementowaniu moich powiązań z człowiekiem z CIA wylanym przez Stansfielda Turnera za, jak to można eufemistycznie określić, zbyt duży zapal, a na którego wydano międzynarodowy nakaz aresztowania za morderstwo. Myślę, że nigdy o tobie nie słyszałem, jak sądzisz? Może będzie lepiej, jeśli zostaniesz w Rosji.

- Lief, tu chodzi o coś więcej, niż jakieś rozgorączkowane waszyngtońskie politykierowanie. Muszę się z tobą zobaczyć, a potem obydwaj musimy zobaczyć się z prezydentem. Proszę tylko, byś podstawił mojego Cadillaca na pasie startowym Doubs. Znajdziesz go na mapie, jest niedaleko miejsca, gdzie mieszkam, blisko Potomaku. Zostaw polecenie, by wpuszczono mnie do Wardman Tower. Masz moje zdjęcie.

- Jesteś poszukiwany za morderstwo. Pokazywali cię w telewizji. Lepiej zmień nazwisko na Smith lub coś w tym stylu.

- Dobrze. Nie jestem pewien, kiedy się z tobą spotkam, ale niedługo.

- Pospiesz się. Zaczynam się czuć jak Ollie North.

Thrale wrócił do biblioteki, gdzie Mazurow przerzucał strony materiału o Borodinie. Ujrawszy Thrale'a pochylił się do przodu i położył teczkę na stosie książek. Nie złapała równowagi i ześlizgnęła się, a jakaś fotografia

wypadła spośród kartek papieru. Fusako, która stała najbliżej sięgnęła, by wszystko pozbiierać. Wzięła do ręki fotografię i przyjrzała się jej uważnie.

- Skąd to wzięłeś? - spytała Thrale'a.

- Sam ją zrobiłem. To człowiek nazwiskiem Ed Reisch. Jest szefem personelu u Toma Barneta. W wolnych chwilach jest pedałem, a ten tutaj to mężczyzna, z którym mieszka, ten z czarnym kucykiem.

- Komura Saburo.

Thrale wlepił w nią wzrok.

- Znasz go?

- Mój ojciec jest dłużnikiem Komury. A wówczas prędzej czy później człowiek ma okazję oglądać większość jego klanu.

- Uchodzi za Filipińczyka.

- Dlaczego nie? Czy wszyscy żółci nie wyglądają tak samo?

- Jaką mamy dziś datę? - spytał Thrale nagle zaniepokojony.

- Trzydziesty lipca - odparł Mazurow. - Czy to ważne?

- Tylko pod warunkiem, że nie jest jeszcze szósty sierpnia - odpowiedział Thrale.

◆ Kwatery Główna Dalekowschodniego Okręgu Wojskowego, Władystok

Przy ścianie, gdzie Ogarkow miał swoje stanowisko dowodzenia w sali sztabowej znajdowała się płyta grzejna. Wśród modermów i banków danych, pulpitów i monitorów ekranowych, telefonów i ekranów prezentacyjnych generał robił sobie kawę. W rondelku było trochę wody, zdrowa porcja koniaku i około pół puszki dobrze zmielonej, włoskiej kawy. Parzyła się od pół godziny. Gęsta, czarna jak smoła ciecz mogła powalić człowieka trupem, same opary były jak oddech smoka. Zapach odurzył Ogarkowa jak odgłosy ognia artyleryjskiego. Kiedy się ją piło, paliła wnętrzności niczym płynny ogień i sprawiała, że chciało się hasać jak górską kozica. Utrzymywała na nogach przez trzydzieści sześć godzin i dlatego właśnie Ogarkow ją pił. Do tego czasu wojna się zakończy, a chciał smakować każdą jej ostatnią minutę.

Patrzył na ogromny ekran prezentacyjny, który zajmował całą ścianę naprzeciw niego i wdychał opary kawy, zagłębiany w kalkulacjach.

- Znajdzie się jakieś wolne miejsce? - spytał ktoś nieoczekiwanie.

Ogarkow podniósł wzrok ze zdziwieniem. Stał przed nim prezydent i sekretarz generalny, Janow. Uśmiechnął się.

- Śledziłem z Moskwy przebieg wojny - odezwał się. - Teraz, kiedy zbliża się jej koniec, pragnąłem znaleźć się tutaj, z człowiekiem, który ją wygrywa.

- Proszę spocząć, towarzyszu prezydencie - rzekł Ogarkow wysuwając do przodu krzesło. Usiedli razem na stanowisku dowodzenia w rogu pokoju, niczym w wieży czołgu.

- Jest tak cicho - zauważył Janow. - Myślałem, że będzie więcej hałasu.

- Chwila ciszy, nim zerwie się potężny burza. Nasze armie prowadziły szybką ofensywę od momentu rozpoczęcia wojny. Decydująca bitwa czeka. Przystanęliśmy, by pozwolić służbom tyłowym podprowadzić dostawy paliwa, amunicji i zapasowego sprzętu, aby nasze armie mogły walczyć bez przerwy do samego końca. Nieprzyjaciel zatacza się jak bokser, który przyjął zbyt wiele ciosów w głowę. Nasi żołnierze mogą teraz trochę odpocząć, odświeżyć się, wymienić wyposażenie i przygotować sprzęt do ponownego użytku, zanim wymierzą *coup de grace*.

- Wszystko poszło zgodnie z planem - wtrącił Janow.

- Historia się powtarza. Ze strategicznego, ale nie taktycznego punktu widzenia „Zarnicę” oparto na modelu mandżurskim z 1945 roku, prawdopodobnie jednej z najbardziej udanych kampanii wojskowych współczesnych czasów. Lepiej niż amerykańska broń atomowa, szybkość i zdecydowanie naszego zwycięstwa położyła kres panowaniu japońskiemu na kontynencie.

Przed rozpoczęciem „Zarnicy” nasza dyplomacja, na której czele staliście, odniosła sukcesy podobnie jak wówczas. Położywszy kres zimnej wojnie daliście gwarancje, że w chwili, gdy „Zarnica” zostanie puszczona w ruch, nie znajdziemy się w potrzasku, a mianowicie nie będziemy zmuszeni walczyć na dwóch frontach. Wychodząc z kilkoma autentycznymi inicjatywami, które miały poprawić polityczne i gospodarcze powiązania z ChRL, przy ostatecznie niskich kosztach utraty kilku tuzinów dyplomatów i przedstawicieli handlowych zastrzelonych przez Chińczyków, sprezentowaliście mi najważniejszy kapitał do rozpoczęcia kampanii: całkowite

zaskoczenie strategiczne. Automatycznie dało to naszym siłom operacyjne, a także taktyczne zaskoczenie.

Ogarkow przerwał, by zlać jeszcze trochę napoju z rondelka do dwóch kubków rozmiarów kieliszków na jajka. Janow wziął swój uprzejmie, lecz ostrożnie postawił go na półce obok. Gdy przyglądał się, jak Ogarkow wdycha z rozkoszą świeże opary, jego okrągła twarz płonęła ożywieniem, umysł wybiegał w przód. Wiedział, że generał lubi skrajności. Zażywał kąpiele w kopcach mrówek i pił tę truciznę, która zatrzymałaby serce normalnego człowieka w kilka sekund.

- Koncentracja naszych sił została przeprowadzona z niezwykłą ostrożnością przez dłuższy okres i przy użyciu kilku środków. Mieliśmy szczęście, że możliwości rozpoznania satelitarnego ChRL tkwią nadal w wiekach ciemnoty, gdy porówna się je z tymi, którymi dysponujemy my albo Amerykanie. Zastąpienie słabych oddziałów silnymi i przyjazd personelu w ostatniej minucie do uprzednio przygotowanego sprzętu oznaczały, że kiedy wszczęliśmy ofensywę, uderzyliśmy na zaskoczonego i nieprzygotowanego nieprzyjaciela. Zniszczyliśmy jego arsenał nuklearny i usunęliśmy jądro władz dowódczych. Dokonaliśmy inwazji jednocześnie ze wschodu, zachodu i północy z taką szybkością i mocą uderzenia na całej linii, że ani razu od początku kampanii nieprzyjaciel nie przyszedł do siebie. Mogliśmy zatem wykorzystywać to wstępne zaskoczenie. Szybkość natarcia na wszystkich frontach była wprost sensacyjna. Nie trzeba chyba wspominać o ogromnych tego korzyściach. Uniknęliśmy mozolnego przedzierania się przez przygotowane pozycje obronne. Biorąc pod uwagę skuteczność nowoczesnego uzbrojenia obronnego, takie położenie było dla nas wielkim błogosławieństwem. W wyniku dużego tempa nieprzyjaciel ani razu nie był w stanie zmusić nas do przyjęcia walki na skalę lub w terenie, które mu odpowiadały. Z tego powodu nasze straty były stosunkowo niskie, a morale w rezultacie wysokie. Zużyliśmy mniej paliwa, co pomogło utrzymać szybkość ofensywy.

Ogarkow śledził przeróżne ekrany prezentacyjne w pokoju. Zaraz miało się zacząć. Odstawił pusty kubek po kawie. Kobieta w mundurze kaprała, w dobrze skrojonej spódniczce khaki, zabrała go, a także nienaruszony kubek Janowa.

Myśli Janowa pobiegły ku temu, co trzeba będzie zrobić, kiedy wygrają wojnę. Armia Czerwona znów będzie wysoko nosić głowę. A któż będzie nosił ją wyżej od generała, który ją wygrał? Janow nie potrzebował żadnego Gieorgija Żukowa, by mu wchodził w paradę. Ogarkow lubił skrajności, prawda? Czy nie rozwiódł się ze swoją pierwszą żoną, córką marszałka Golicyna? I to dla Żydówki! Janow nie mógł tego zrozumieć. Pieprzyć Żydówkę dla sportu - w porządku, ale od razu żenić się? Ogarkow rzeczywiście uwielbiał skrajności, jak to potwierdzało jego zwycięstwo w tej wojnie.

- Ponadto, kiedy grupy szturmowe połączonych rodzajów broni biły nieprzyjaciela na naszych wysuniętych pozycjach, związywaliśmy także cele głęboko na tyłach przy pomocy morskich i powietrznych desantów - ciągnął Ogarkow. - Rozmiary oddziałów wahały się od wyposażonych w czołgi i *BMP*-y pułkowych grup bojowych połączonych rodzajów broni po pojedyncze, dwunastoosobowe grup Specnazu. Wskaźnik przeżycia w takich oddziałach nie był wysoki, trzeba przyznać, ale w kategoriach realnych zniszczeń i rozprężenia, jakiego dokonali ich metodę prowadzenia walk trzeba zaliczyć do najefektywniejszych w całej kampanii. Tylko jedna grupa Specnazu, o niepełnej liczebności i znużona walkami zabiła Zhao Teha! Jego śmierć była dla mnie warta całej armii. A w końcu mamy komputer, „Czerwony Sztandar”. Przy takich możliwościach przetwarzania danych i umiejętnościach obliczeniowych, prowadzenie działań wojennych, dowodzenie, sterowanie i łączność odbywały się w takim tempie, że przedostaliśmy się do środka obiegu dowodzenia i sterowania ChRL.

Na ekranach zaczynał się jakiś ruch. Ogarkow wskazał trzy duże strzałki.

- Zaatakowaliśmy ze wschodu, zachodu i północy. Zalecone przeze mnie linie natarcia są umyślnie koncentryczne. Po osiągnięciu wyznaczone celów trzy fronty spotkają się w tym punkcie, na północ od Pekinu. Tam właśnie znajduje się największa koncentracja chińskich sił. Zostaną zaatakowani z trzech stron jednocześnie. Zetrzemy ich w proch.

Ta wojna jest ostatnią. Na pewno dla Janowa i Ogarkowa. Czekają ich tylko cierpliwa asymilacja wielkiej nagrody. Żadnego zapotrzebowania na generałów, którzy umieją wygrywać wojny. Najlepiej będzie podrzucić

całą sprawę KGB, pomyślał Janow. Będą szczęśliwi, jeśli pozwoli się im złamać Ogarkowa. KGB nienawidziło armii. Chyba najlepiej zacząć od jego żony, tej ładnej Żydówki.

Siedzący przy niedalekim pulpicie major nagle wstał i wyszczerzył zęby w dzikim uśmiechu.

- Towarzyszu generale, mają Czianga Szikai!

- Wspaniale - odparł Ogarkow. - Dokonała tego drużyna Specnazu - mruknął do Janowa i podniósł wzrok na ekran, gdzie linie zaczynały się poruszać. - Będą biegać niczym kurczaki bez głów, biedne skurczybyki. Cóż, wygląda na to, że za chwilę udowodnimy, że Moltke Starszy nie miał racji.

- A kto to był? - spytał Janow uprzejmie. - I co takiego powiedział?

- Wielki pruski generał, który wygłosił kilka sławnych powiedzeń. Stwierdził kiedyś: „Zazwyczaj odkrywamy, że nieprzyjaciel ma trzy wyjścia, i z tych trzech wybierze czwarte”. A także: „Żaden plan nie przetrwa kontaktu z nieprzyjacielem”.

Janowowi wojskowe aforyzmy wydały się drętwe, aż do bólu. Jedyne powiedzeniem, za które ciebie będą pamiętać, będzie: „Żałuję, że ożeniłem się z Żydówką” - pomyślał.

Ogarkow spojrział na ekran. Zapach kawy i koniaku ulatniał się, zostawiając silniejszy aromat kadzidła, którym popi pobłogosławili salę sztabową.

- Biedne dranie - mruknął.

6.

Środki przeciwdziałania

♦ Dongliao He, Jilin

Podpułkownik przytknął swoją szeroką twarz tak blisko Aleksieja Mazurowa, że ten mógł wyczuć wódkę i pastę mięsną w jego oddechu.

- Jesteście beużytecznym, kurewskim wypierdkiem, Mazurow - ryknął.
- Przez was straciło życie tuzin dobrych żołnierzy. Bo wy nie wykonaliście rozkazów. Taki z was pożytek, jak z kutasa wykastrowanego byka. Gdybyśmy nie mieli wojny, a ja nie potrzebowałbym każdego, kto jest w stanie wpakować się do czołgu, postawiłbym was przed sądem wojskowym, a jutro o tej porze wyrzucił z armii na zbity pysk. Rozprawię się z wami po wojnie. Dostaniecie dowództwo jakiegoś plutonu babć klozetowych w Kazachstanie. A teraz wskakujcie do czołgu i walczcie.

- Towarzyszu pułkowniku, przyznaję, że sprawy przybrały zły obrót. Ale byłoby jeszcze gorzej, gdybyśmy postąpili według standardowych procedur. Wtedy wszyscy byśmy zginęli.

- Gdyby to objęło także was, mógłbym to zaakceptować.

- Towarzyszu pułkowniku - rzucił Mazurow desperacko, gdy wielki mężczyzna odwrócił się i zaczął przedzierać przez zarośla. - Staram się wam powiedzieć, że jednak coś nam to rozpoznanie dało. Widziałem to na własne oczy.

Silniki czołgów zaczynały dudnić, ludzie kręcili się gorączkowo. W powietrzu unosiła się drapiąca w gardło woń oleju napędowego i spalin.

- A cóż to było, to niezwykle coś, które widzieliście? Nowy model samobieżnego chińskiego śracza?

- No, właśnie. Nie potrafiłem tego rozpoznać.

- Mazurow - syknął pułkownik z pogardą. - Wątpię, czy wiecie, do czego służy cipa waszej dziewczyny. Pakujcie się do czołgu i nie wracajcie już, jeśli to możliwe.

Pomysł rzucił Molczanow, ale Mazurow i Borys Czertok, dowódca wozu piechoty *BMP*, zgodzili się bez zastrzeżeń.

Kiedy trzech porucznicy i ich pojazdy znajdowali się kilka kilometrów od pułku, zatrzymali się, by skoordynować swój plan. Molczanow dowodził pancernym samochodem wywiadowczym *BRDM*, a *T-80M* Mazurowa dołączono do patrolu rozpoznawczego, by zmienić poprzednią załogę, która w tejże chwili podróżowała do ojczyzny w surowych, drewnianych skrzynkach. Mazurowa wybrano po trosze dlatego, że umiał posługiwać się mandaryńskim jako drugim wybranym językiem.

- Słuchajcie - rzucił Molczanow. - To co mam zamiar zaproponować, jeszcze rok lub dwa lata temu doprowadziłoby mnie przed sąd wojskowy. Ale odkąd Ogarkow objął dowództwo, wszystko się zmieniło. Chce, żeby młodszy oficerowie też wykazywali inicjatywę, co pomaga ofensywie utrzymywać tempo. Dobrze wiemy, że ci pierdoleni pułkownicy i generałowie nie chcą tego zaakceptować, ale jeśli idzie o mnie, to zrobię to z przyjemnością. Prócz wszystkich innych korzyści, w ten sposób nie damy sobie odstrzelić dupy. Prawda, że przechodzimy przez Chińczyków jak gorące siki przez śnieg, ale tego śniegu jest cholerna góra.

Spojrzał na Mazurowa.

- Wczoraj przeprowadziliśmy rozpoznanie w sposób sformułowany w książkach, czyli podtoczyć się do czegoś i, jeśli wygląda interesująco, odpalić odłamkowy. Świetnie. Tak właśnie zrobiliśmy. Kolejny prawdopodobny cel, kolejna salwa odłamkowym. I nic. Zatem toczymy się dalej. A w dwadzieścia sekund później *T-80* Krugłowa, który otwierał ogień, wylatuje w powietrze. Rój pierdolonej piechoty nieprzyjaciela odpala granaty *RPG-7*. I to ze stu metrów! Tak to z nimi jest. Ci mali skurwiele lubią podchodzić naprawdę blisko i są przy tym niezwykle skuteczni. Odstrzelili dwa koła od mojego *BRDM-a* i nie byłoby mnie tutaj, gdyby chłopcy Borysa nie przydusili ich ogniem do ziemi i mnie nie wydostali. Myślę, że można to robić inaczej. Kiedy służyłem na froncie przeciw NATO, zauważyliśmy, że Angole nie robią tego tak jak my. Żadnego węszenia siłą. Wołą rozpoznanie po kryjomu. Pełzają wokół, obserwują, sondują, ale nie

ujawniają się. Chcę, byśmy to zrobili właśnie w ten sposób.

Trzej mali czołgiści w czarnych kombinezonach i wyściełanych hełmach byli zmęczeni, brudni i mimo młodego wieku postarzelisi się od doświadczeń tej ofensywy.

- Nie wiem jak wy - Molczanow zwrócił się do Mazurowa - ale ja chciałbym wygrać tę wojnę i pojechać do domu. Nic jednak z tego nie wyjdzie, jeśli ci pieprzeni pułkownicy i generałowie nie przestaną walczyć tak, jak gdybyśmy wkraczali do Berlina w 1945. A więc trochę inicjatywy na samych dołach nie zaszkodzi. Ogarkow by się zgodził. Za to pułkownik Bessenow zrobiłby sobie krawat z moich jaj i właśnie dlatego nie powiemy mu, jak zdobyliśmy informacje. Dobra. My z Borysem już to ćwiczyliśmy, będziemy więc sondować. Ty, Aleksiej, osłaniaasz. Borys i ja wysuniemy się na nie więcej niż tysiąc metrów, ale tylko pod osłoną twojej armaty. Głównym celem będzie ta wioska. Akurat na projektowanej trasie natarcia, idealna pozycja obronna, jeśli wcześniej się nią zająć. No więc, jeśli coś tam przygotowali, to mogą dać nam niezły wycisk. Dlatego właśnie nie chcę podtoczyć się i huknąć w nią mając tylko jeden czołg i pukawkę Borysa. Mógłby nas dopaść grad pocisków raketowych *Red Arrow* i raket 130 mm, co z pewnością przyniosłoby rozczarowanie mojej dziewczynie, i waszym także. Zatem podkradniemy się na paluszkach i rzucimy okiem. Jeśli Borysowi i mnie nie spodoba się to, co ujrzymy, podreptamy z powrotem. Aleksiej, dużo ognia proszę. Kiedy się już wydostaniemy, rób to samo. Wiem, że nie muszę ci przypominać, byś skierował lufę w stronę nieprzyjaciela, a kadłub w kierunku ruchu. Jak któryś z naszych chłopaków zobaczy jakiś pieprzony czołg, który pędzi w ich stronę w tumanie kurzu z lufą skierowaną na nich, to może posłać mu w gardło kilka salw *AT05* i *BS-3*, a potem, kiedy będą zeszkrobywać z wnętrza wieży twoje resztki, by wysłać do domu w postaci prochów, spytać, dlaczego porucznik Mazurow zachował się jak pipa. W porządku. W takim razie ruszamy.

Aleksiej pomyślał, że gdyby zgubili mapy, trafiliby na farmę kierując się węchem. W powietrzu wisiał fetor ludzkich odchodów użyźniających pola. Aleksiej przyczał się ukryty w głębi sadu jabłoni i przyglądał się z

podziwem, jak wykorzystując każdą osłonę Molczanow i Czertów mistrzowsko prowadzą swoje lekkie pojazdy i prześlizgując się od stogów siana do sadu morelowego, suną wzdłuż ścian żółtej kukurydzy zrzuconej na stopy, by wyschła na słońcu. Nikogo nie było widać, farma wydawała się opuszczona, co mogło być prawdą, gdyż radziecka armia pancerna znajdowała się w odległości nie większej niż 25 kilometrów. Za jego plecami drgało gorące powietrze z rur wydechowych silnika turbinowego. Na siedzeniu kierowcy Chrenow rozsiały się rozluźniony, trzymał dłonie na drążkach, gotów do pracy. Powyżej celowniczy Chan pochylił się do przodu w swoim siedzeniu. Mazurow dostrzegł, jak jego peryskop przepatruje okolicę. W komorze zamkowej tkwił pocisk odłamkowy.

Szybki, kołowy *BRDM* Molczanowa rwał po ścieżce, osłaniany działkiem 73 mm Czertowa i armatą *T-80* przyczajonego sześćset metrów za nim w sadzie. Zatrzymał się pod gęstą zasłoną żywopłotu. Mazurow ujrzał, jak Molczanow wysuwa się z wieży, by zerknąć przez lornetkę ponad listowiem na zabudowania farmy dwieście metrów w dali. Następnie zniknął i Mazurow usłyszał jego głos przez radio.

- Tu Wołga Jeden. Widzę tam jakąś stodołę na przestronnym podwórzu. Kilku żołnierzy. W stodole maszyna. Nie mogę się jej dobrze przyjrzeć, ale z chęcią bym to zrobił. Lepiej rzucę okiem z tamtego skrzyżowania. Osłaniaj mnie.

BRDM niespiesznie pełzał ścieżką, w ślad za nim sunął *BMP*. Czertów zatrzymał się w miejscu, gdzie żywopłot przerzedzał się nieznacznie. Wóz bojowy piechoty okrywały gałęzie i liście, niczym wózek kwaciara. Wieża czołgu obróciła się, by osłaniać farmę.

Na rozstaju dróg Molczanow ponownie przystanął i wspiął się na wieżę, żeby popatrzeć.

Z jednego z budynków błysnęła ogień i szybując ponad sobą nadleciało coś czarnego.

BRDM rozleciał się na postrzępione kawałki. Koło z nadal przyczepioną osią wyleciało wysoko w powietrze. Wieża oderwała się i pomknęła ponad polem jak krążek do ringo. Eksplozja cisnęła Molczanowa na drzewo, gdzie zawisł niczym stary łachman.

Potężna lufa *T-80* szarpnęła się w stronę celu. Dym trysnął z budynku, gdy Czertów otworzył ogień z działka.

- Ognia!

Nastąpił straszliwy huk, podmuch, który wysysał z człowieka powietrze. Stanąwszy w płomieniach budynek farmy rozleciał się w gruz. Koziołkując i ciągnąc za sobą smugi dymu łaty i deski pofrunęły wysoko w górę.

Ścieżką wstrząsnęły wybuchy. *BMP* pędził przez dym, latające gałęzie i grudy ziemi niczym kret wyrrywający do nory.

Mazurow nie mógł zorientować się, skąd dochodzą strzały. Ponad farmą unosił się dym.

- Ogniem dowolnym - rozkazał. - Odłamkowym po budynkach.

Następny potężny huk. Działko *BMP* Czertowa pluło ogniem z za żywopłotu, podczas gdy pojazd pędził w bezpieczne schronienie. Chan dał ognia ponownie i gdy dym przeredził się, *BMP* pełzał wolno jak karaluch, na którego ktoś nadepnął i zmiażdżył mu tylne nóżki. Tylne drzwi rozwarły się i otwierając ogień wytoczyło się z nich kilku żołnierzy. Upadli na ziemię i znieruchomieli. Chan walił w budynki, a błyski wystrzałów migały na szaro-czarnym niebie jak efemeryczne, dziko czerwone usta, szerokie uśmiechy śmierci. Przeciwnik wiedział już o obecności *T-80*. Połyskując nadlatywały w ich kierunku smugacze. Mazurow strzelał z dwunastomilimetrowego *DSzK* z wieży, a Chan ciął ze sprężonego karabinu maszynowego i wynajdując cele obracał działkiem. Błyski pocisków 125 mm mieszały się z zielono-czerwonym smugaczami jak feeria sztucznych ogni.

Strzelanina ustała. Widać było tylko smugi kłębiącego się w powietrzu dymu.

- Mechanik, ruszamy - rozkazał Mazurow. - Mogą tam być nasi ranni.

T-80 z chrzęstem wytoczył się z kryjówek. Turbiny zawyły, gdy Chrenow dodał gazu. Trzymając się z dala od prowadzącej do farmy ścieżki, która była najprawdopodobniej zaminowana, torowali sobie drogę przez pole soi. Z głową ponad pancierzem Mazurow wdychał prawdziwe perfumy czołgu: proch i ropę, olej i pot, świeżą ziemię i miażdżone listowie, zapach śmierci w powietrzu.

BMP dostał kilka razy. Ktokolwiek zdruzgotał jedną gaśnicę, walił

dalej i wyrwał dymiącą dziurę w boku pojazdu i przepuścił biednego Czer-towa przez zamknięty właz w postaci krwawej mazi.

Molczanow wisiał na drzewie. Wydawał się nietknięty. Może wspiął się i teraz, niczym dziecko z przerośniętą ambicją, nie mógł zejść na dół. Ma-zurow żałował, że nie może przynieść mu drabiny. Poszliby razem do do-mu zobaczyć się ze swoimi dziewczynami i wypiliby trochę wódki.

- Na farmę - rzucił Mazurow. - Lepiej rzućmy okiem na to coś, o czym meldował.

Z bliska żar palących się z trzaskiem budynków przypiekał twarz. Suche łąty, tynk i drewno płonęły wesoło. Przez wyrwę Chrenow uTORował sobie drogę na podwórze.

Coś zamajaczyło w stodole. Wyrwane z zawiasów drzwi wisiały bez-władnie. Mazurow wyteżył wzrok, by dostrzec to przez dym i gorące po-wietrze. Było na wpół roztrzaskane, egzotyczne i dziwaczne. Co to takiego, do cholery? Do czego służy?

- Chmura kurzu, szefie - zameldował Chrenow przez interkom.

Przez wyrwę zbliżał się kłęb pyłu. Na podwórzu rzucał się ranny żoł-nierz, a z płonących zabudowań farmy dochodziły jęki ludzi. Mazurow zeskoczył na ziemię i dźwignął rannego na burtę, po czym sam wgramolił się do czołgu.

- Wrywamy stąd - rozkazał.

Wydostawszy się z farmy kazał zatrzymać czołg i zwrócił się do leżą-cego poniżej żołnierza. Unosząc ze sobą życie, krew uciekała z niego jak z sita.

- Ta maszyna w stodole - zapytał Mazurow. - Co to jest?

Młody mężczyzna w maskującym chałacie obliżał wargi, które były su-che, choć całe ciało wydzielало wilgoć. Mazurow dał mu łyk wody z ma-nierki.

- Ta maszyna. Do czego ona służy?

- Zabija rosyjskich sukinsynów takich jak ty - wyszeptał chłopak i umarł.

◆ *Suchoj SU-24C nr L286*

Major Feliks Chochołłow zaczął wytracać wysokość nad Zatoką Delaware.

W oddali światła Waszyngtonu zabarwiły letnią mgiełką jak odległy ogień.

- Wkrótce powinieneś złapać radiolatarnię NDB - powiedział Thrale.

- Czuję ją nosem - zgodził się Chochłow. Palcem w rękawiczce wskazał skaczącą igłę na tarczy naprzeciw Thrale'a, który siedział obok niego w fotelu po prawej stronie. - Teraz. Mam ją.

- W porządku. Przeprowadzi nas nad Potomakiem, a pas sam dojrzysz. Znajduje się blisko mojego domku w takiej zapadłej wiosce. Nikt nie mieszka w pobliżu. Korzystają z niego tylko piloci samolotów rolniczych. Jest trawiasty, ale niemal kilometrowej długości. Dasz radę?

- Kilka dni temu posadziłem ten samolot w środku Pekinu. Zaprojektowano go do korzystania z prowizorycznych lądowisk.

Gdy Chochłow zaczął przygotowywać samolot szturmowy do lądowania, Thrale wyjrzał z kabiny i zerknął w tył. Obok ogromnego zbiornika paliwa na pylonie skrzydło wysunęło się do przodu. Kiedy podwozie wpełzło się w strumień powietrza, płatowiec zadrzżał, a skowyt silników turboodrutowych wskoczył na wyższe tony, gdy - rekompensując dodatkowy opór powietrza - Chochłow zwiększał ciąg. Pod nimi w świetle księżyca migotał Potomak.

Dociągając uprząż Thrale pochylił się do przodu w siedzeniu i spojrzął ponad długim, spiczastym nosem samolotu.

- Masz go? - spytał.

- Mam - odrzekł Chochłow.

Thrale'mu przemknęło przez myśl, że Rosjanin na pewno służył na „Kijowie” lub na innym jego siostrzonym okręcie. Nie tracąc środka pasa z oczu, podchodząc do lądowania tak jak na lotniskowcu, zatoczyli elipsowaty, 360-stopniowy krąg i przez cały czas wytracali wysokość. Lądowisko wyglądało jak ciągnące się przez ciemne zboże pasmo zbielełej trawy. Zmniejszając siłę nośną Chochłow wychylił kłapy i niskociśnieniowe opony głucho pacnęły w twarde, suche błoto. Jego palce wykonały zręczny taniec, gdy otworzył dwa hamulce aerodynamiczne, przyduślił ciąg i podniósł kłapy do połowy z w pełni opuszczonej pozycji. Gdy spadochron hamujący otworzył się z trzaskiem, Thrale poczuł, jak uprząż wpija się mu w ramiona. Po chwili toczyli się już w spacerowym tempie. Chochłow opisał

półkole na końcu pasa, tam, gdzie zaczynały się sosny i podniósł ostłonę kabiny. Kiedy zamknął dopływ paliwa, spłynął na nich zapach gorącej benzyny lotniczej, kurzu i świeżo skoszonego zboża.

- Witam w Ameryce - powiedział Thrale.

◆ Xinzhou, Shanxi

Opadając na spadochronie z wysokości tysiąca metrów w głębokiej ciemności wiejskich okolic Shanxi, obładowany sprzętem wojskowym Otari zdawał sobie sprawę, że nie powinien zaprzętać sobie umysłu podziwianiem widoków. Gwałtowny dopływ adrenaliny urwał się na chwilę po opuszczeniu *An-22*. Dryfując pod czaszą spadochronu *UT-15* Otari nie potrafił jednak obojętnie patrzeć na piękne światła celu, które błyszcząły w dole, niczym klejnoty w puszystej ciemności.

Nadeszła chwila koncentracji, by trafić w środek lądowiska. Czarny teren na północny zachód od budynków, które otaczały go z trzech stron, znajdował się dokładnie tam, gdzie powiedział Arby.

Na odprawie we Władywostoku Arby przekazał mu najświeższe informacje z wywiadu.

- Kogo mamy załatwić? - spytał go Otari. - Słyszałem, że Chin Peng został nowym marszałkiem polowym. To jego mamy sprzątnąć?

- W żadnym wypadku. Chin Peng to stary maoista, kumpel Czianga Szikai. Wspaniały, aż po czubki swoich wojskowych butów. Na tym stanowisku jest dla nas wart trzy dywizje, jeśli nie całą armię. Nie, twój cel leży tutaj, pięć kilometrów na południowy zachód od Xinzhou.

Na ekranie sztabowym w sali odpraw ukazała się mapa, a na niej pulsujący punkt. Arby wyświetlił powiększenie miejsca, żeby dać Otariemu dokładniejszy pogląd na sytuację.

- Popatrz, na północny zachód od kompleksu budynków znajduje się ciemniejszy obszar. Około trzydzieści na czterdzieści metrów. Powinieneś umieścić tam swoje trzy grupy. Co ty na to?

- Będziemy się obijać głowami przy lądowaniu, ale da się to zrobić. Wszyscy chłopcy mogą pochwalić się najlepszymi notami za skoki spadochronowe. Wielu wygrywało zawody w Żółtych Wodach. Tak, myślę, że uda się nam tam wylądować.

- Zrzut nastąpi z pułapu czterech tysięcy metrów z pokładu *An-22*. Wcześniej atak *Su-27* unieszkodliwi chiński radar. Nikt nie spostrzeże waszego przybycia. Z odległości jedenastu kilometrów poszybujecie do celu. Masz jakieś pytania?

- Kogo lub co mamy zniszczyć?
- Jednego człowieka. Będzie w tym budynku nad ziemią.
- Trzy grupy na jednego człowieka. Któż to taki?
- Znaleźliśmy Czianga Szikai - odparł Arby triumfalnie.

Światła straciły cały swój urok, adrenalina znów napłynęła do żył. Cel pojawił się w polu widzenia. Dziedziniec z trzech stron otaczały ściany i budynki. Spadając Otari słyszał świst powietrza i miękkie tąpnięcia butów desantowych tych, którzy wyskoczyli jako pierwsi. Skręcił, by minąć żołnierza przed sobą i wyrównując spadochron zładował lekko, jak gdyby wysiadał z windy. Nylon opadł czarnymi fałdami, Otari strząsnął uprząż i zwinął materiał w kulkę, żeby ani on sam ani jego żołnierze nie zaplątali się w linki nośne.

Sformowani w grupy, trzydziestu sześciu żołnierzy stanęło ze zdjętymi z pasków *AKSU*, granatami, nożami, minami i plastikiem w dłoniach. Otari w jednej ręce dzierżył *Barrett Light 50*, a drugą odbezpieczył *Desert Eagle* wciąż tkwiący lufą w kaburze.

Po czwartej stronie dziedzińca, tam, gdzie znajdowała się wolna przestrzeń, rozbłyły reflektory.

- Cześć, chłopcy - rozległ się głos przez megafon.

Otari zawahał się. Nie wiedział co zrobić. Wiedział jedynie, że jest za późno.

◆ **Wardman Tower, Waszyngton**

Światła „Sheratonu” błyszczą jaskrawo. O tej porze nocy bez trudu znaleźli miejsce do zaparkowania. Thrale wydostał się z ruchu ulicznego, który płynął wartkim nurtem wzdłuż Connecticut Avenue i wślizgnął się w lukę przy krawężniku.

- Będzie lepiej, jak zostaniesz tutaj - powiedział do Chochłowa. - Gotowi wezwać gliny, gdy zobaczą nas dwóch w radzieckich skafandrach lotniczych.

- Będę podziwiał tutejsze widoki - odparł pilot.

Kierując się do wejścia Thrale przeszedł przez chodnik.

Na kombinezon lotniczy wciągnął starą niebieską wiatrówkę. Wkroczył do budynku i podszedł do portiera, który gapił się w milczeniu w mały, przenośny telewizor przy kontuarze recepcji.

- Smith - przedstawił się. - Do pana Kuusinena.

Portier podniósł wzrok na Thrale'a i spojrzał do rejestru.

Na szczęście bardziej interesowały go zabawne wyczyny młodych kobiet w telewizji, niż gość doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego.

- Uhm. Pan Smith. Mam tu dla pana jakieś klucze. Pan Kuusinen prosił, by wszedł pan na górę niezależnie od pory dnia.

Żeby nie kręcił się w publicznych miejscach, pomyślał Thrale z aprobatą. Odebrał klucze i ruszył w stronę windy. Czekając, aż zjedzie, zerknął za siebie. Wyglądało na to, że młoda kobieta na ekranie jest w poważnym niebezpieczeństwie postradania dużej części swojej garderoby.

Drzwi windy rozsunęły się z westchnieniem. Korytarz na szóstym piętrze spowijała cisza. Podłogę wyściełał miękki dywan, a na stoliczku obok drzwi apartamentu Kuusinena stał wazon z kwiatami. Thrale przycisnął guzik jeden raz. Odczekał chwilę, zanim wyjął klucze, przekręcił zamek i wszedł do środka. W dużym pokoju zasłony były rozsunięte i pomieszczenie oświetlały od dołu światła Waszyngtonu.

- Lief? - zawołał Thrale półgłosem. - Lier? To ja, K.K.

Apartament tonął w ciszy, słychać było tylko miękki oddech powietrza, które poruszało się w kanałach klimatyzacji.

- Lief?

W korytarzyku, który odchodził z pokoju, jarzyło się przyćmione światło i Thrale postąpił cicho w tamtym kierunku. Drzwi były lekko uchylone, a przez szparę sączyło się światło. Zapukał.

- Lief?

Pchnął drzwi i zajrzał do środka. Była to sypialnia. Kołdra była odsunięta na bok, a mała różowa lampka na stoliczku nocnym oświetlała pokój.

Światło paliło się w łazience. Thrale wszedł do środka.

Zmięte ciało Kuusinena leżało na wyściełanej dywanem podłodze. Ubrany był w piżamę w czerwone i białe paski. Na czole, w miejscu, którym

uderzył o umywalkę podczas upadku, zakrzepło trochę krwi. Miał sinią twarz, dłonie i stopy. Nie ruszał się, nie oddychał, nie żył.

Thrale podniósł zatrwożony wzrok na kratkę wentylacyjną i ostrożnie wycofał się z pomieszczenia, jak gdyby stanął oko w oko z niebezpieczną bestią. Uspokajając się i zbierając myśli powstał chwilę na korytarzu, po czym wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Portier w holu był całkowicie zaabsorbowany dziewczyną na łóżku, którą otaczały odrzucone części garderoby. Thrale przekradł się obok i wsiadł do Cadillaca.

- Feliks - zaczął. - Stało się coś okropnego. Zostaliśmy przechytrzeni i zamiast w połowie wieczoru, przybyliśmy za pięć dwunasta. Karoca zmieni się w dynię, a ty i ja, twój kraj i mój kraj przegramy wojnę. Muszę zobaczyć się z prezydentem Barnetem i to jak najszybciej.

Pilot gestem wskazał na Tower.

- A ten twój człowiek, doradca Barneta?

- Został zamordowany. Za pomocą maszyny. Nasz kraj jest w stanie wojny.

Przez moment Thrale siedział pogrążony w myślach.

- Jakie są twoje rozkazy?

- Mam ci udzielić wszelkiej pomocy.

- Lubisz ogrody, Feliks?

Rosjanin spojrział na niego z zaciekawieniem.

- Tak.

- W takim razie jedziemy powąchać trochę róż.

◆ Yu Xian, Hebei

Przed jednoosobowymi, czarnymi samolotami w kształcie trójkąta stali w szeregu ubrani w białe skafandry lotnicze piloci. Lotnisko nad wielkim podziemnym hangarem świeciło pustkami, zdobione jedynie wypalonymi kadłubami maszyn dywizjonu *J-6*, który stacjonował tam do momentu, gdy w pierwszym dniu wojny nie nadleciały niosące ze sobą bomby kasetowe *Su-24*.

Trójkątne samoloty, *Toryus* Komury - zwane też Zabójcami Smoków - nie były podobne do prawie żadnego samolotu na świecie. Kształtem

przypominały długi na dwadzieścia metrów grot strzały, a od jednej ostro skośnej końcówki skrzydła do drugiej liczyły sobie czternaście metrów. Płatowiec samolotu był dziwacznie powykręcany, złożony ze ścianek, z których każda tworzyła kąt ostry z pionem. Całość pokrywał materiał absorbujący fale radarowe.

Na świecie istniał tylko jeden samolot, którego przypominał *Toryus*, a mianowicie *Lockheed F- 117A*, myśliwiec szturmowy typu *Stealth*. Te dwa modele były niemal identyczne, gdyż *Toryus* zbudowano na podstawie oryginalnych planów tego drugiego.

Piloci dywizjonu zebrali się w szeregu przed dowódcą, podpułkownikiem Nozaką. Każdy nosił na piersi cesarską chryzantemę o szesnastu płatkach.

- Żołnierze 64. *Sentai*. Przed Wielką Wojną Wschodniej Azji nasi ojcowie zdołali przekonać świat, że są krótkowzroczni, tchórzliwi, mają słabe poczucie równowagi, nie widzą w nocy i nie posiadają żadnych zdolności mechanicznych, a jeśli byli dość głupi, by zasiąść za sterami samolotu, to należał on niezmiennie do drugiej kategorii i nie mógł zagrozić niczemu, co było choć trochę twardsze niż dziecięcy latawiec.

Słyszając takie określenie swoich przodków twardzi, bystroocy, atletyczni, młodzi wojownicy wyszczerzyli zęby w radosnym uśmiechu.

- Jednak kiedy nasi ojcowie zdecydowali się działać, spadli na nieprzyjaciół jak grom i rozgniatając ich pod stopami rozbili ich siły w proch. Byli samurajami i latali na najlepszych samolotach na świecie. Historia się powtarza. Świat widzi w nas lud pacyfistyczny i lękający się wojny. Myśli, że jesteśmy uzależnieni od pracy i nadajemy się wyłącznie do produkowania coraz większej liczby elektronicznych zabawek. Podobnie jak ich przodkowie, nie mają racji. Jesteśmy samurajami i nadszedł nasz czas. Przekroczymy granicę, a wszyscy na naszej drodze będą się kłaniać i kłękać. *Hakko icziu!*

- *Hakko icziu!*

- Chodźmy - warknął Nozaka. - Zmienimy porządek świata.

Przednia krawędź terenu działań wojennych zbliżała się i Nozaka sprowadził skrzydło stu dziesięciu samolotów z ośmiu tysięcy metrów na pułap szturmowy tysiąca metrów.

Mimo że było ciemno, widział przed sobą ogromną formację *T-72* i wozów wsparcia, która sunęła na południe. Jego *Toryus* zaopatrzony był w dwie zwrócone w przód i w dół kamery noktowizyjne, pokryte elektrostatyczną siatką ekranującą o rozmiarach oczka mniejszych niż długość fali radarowej. Ekran był niewidzialny dla nieprzyjacielskiego radaru, ale przenikalny dla promieni podczerwonych. Nozaka dostrzegł wyraźne, żarzące się ogniki turbin *T-72* i w odległości dziesięciu kilometrów wybierał cele laserowym znacznikiem.

Skrzydło myśliwców rzuciło czterystupięćdziesięciokilogramowe bomby inteligentne, po cztery każdy. Dokładność trafienia w cel wynosiła trzydzieści do sześćdziesięciu centymetrów, a zrzucane ze znacznej wysokości były w stanie przebić stosunkowo cienkie, górne pancerze czołgów.

Wielka armia pancerna toczyła się naprzód, a jej system obrony przeciwlotniczej milczał. Płomienie wykwitły na szpicy czołowej zbyt gęsto, by można je było policzyć.

Po chwili odlatywali, zostawiając za sobą czerwone jak krew niebo.

◆ **Dongliao He, Jilin**

Ekran radarowy pozostał pusty. Gwardia Rogaczewa dysponowała czterema samobieźnymi systemami dział przeciwlotniczych. Na kadłubie lekkiego czołgu zamontowana była wieżyczka z czterema działkami 23 mm o szybkostrzelności 1000 strzałów na minutę. Sterowany anteną radarową ze szczytu wieżyczki śmiertcionośny grad pocisków strącał każdy samolot, który miał tego pecha znaleźć się w jego zasięgu. Był to najprawdopodobniej najlepszy konwencjonalny samobieźny system przeciwlotniczy.

Na ekranie radarowym *ZSU-23-4* nie pojawiło się nic. Siły Powietrzne Ludowej Armii Wyzwoleńczej zostały wymiecione z przestrzeni powietrznej.

To dowódca pojazdu, a nie operator radaru pierwszy zauważył, że coś jest nie w porządku. Zdjął słuchawki, by podrapać się w ucho, które drażnił jakiś owad. Poprzez piski i dudnienie sunącej naprzód Gwardii usłyszał rozlegające się w zapadającym zmierzchu bzyczenie, podobne do jęku hordy komarów, które nękały jego ucho.

- Macie coś na radarze? - spytał spieszenie przez interkom.

- Nic.

- Gałązka Siedem - rzucił przez radio. - Słyszę jakieś bzyczenie w powietrzu na drugiej godzinie.

Mazurow siedział w wieży *T-80* na lewym skrzydle grupy marszowej. Podobnie jak pozostali dowódcy zmrużył oczy i po wyciągnięciu słuchawki z jednego ucha wyłowił cieniutkie bzyczenie. Gdy czołgi po prawej stronie kolumny zaczęły buchać płomieniami, chwycił przeciwlotniczy karabin maszynowy *DSzK* i otworzył ogień.

Dostrzegł przed sobą jakiś kształt i trafił go bardziej dzięki przypadkowi niż dokładnemu celowaniu, a ten koziółkując jak ugodzony kulą ptak runął na ziemię. Rozpiętość skrzydeł małego samolotu wynosiła nie więcej niż dwa metry. Cały rój kłębił się diabelnie, nie wyżej niż dziesięć metrów nad ich głowami. Latały zygzakami. Każdy obierał sobie za cel inny czołg. Ten, którego Mazurow strącił przez przypadek, wybrał jego *T-80*. Zwałił się, trzasnął w pancierz i zaklinował się pomiędzy wieżą, a lufą.

W chwilę później napastnicy zniknęli i wozy wsparcia przetoczyły się po resztkach Gwardii Rogaczewa. Czołgi stały w płomieniach na polu bitwy, z której istnienia gwardziści nie zdążyli zdać sobie sprawy.

Po lewej rósł jakiś laszek.

- Mechanik, w lewo. Wjedźcie między drzewa – rozkazał Mazurow. Dać się zaskoczyć w ciemności na otwartym terenie, kiedy coś takiego latało dookoła głowy, równało się po pełnieniu samobójstwa. Gdy Chrenow wepchnął czołg głęboko między sosny i modrzewie, Mazurow rozkazał mu zgasić silnik. Bezzałogowe samoloty rozpoznawały czołgi i nie zaatakowały żadnego z lżej opancerzonych pojazdów. Mazurowowi przemknęło przez myśl, że te mordercze szerszenie mogą mieć krewnych, którzy zaraz dobiorą się im do skóry. Przypuszczał, że w jakiś sposób potrafią one rozróżniać typy pojazdów, być może za pomocą czujników podczerwieni, które wykrywały gorące silniki i rury wydechowe czołgów. Obserwując dno doliny z ukrycia przez gogle noktowizyjne stwierdził, że jego przypuszczenia potwierdzają się. Wszystkie czołgi zaatakowane zostały w najsłabsze punkty - włazy wieży i pokrywy silników. Sam pancierz wydzieliał promieniowanie fali milimetrowej. Może szerszenie umiały wyczuwać także i to.

Wygramolił się z wieży i ściągnął wrak napastnika z czołgu. Płatowiec i trzyłopatowe śmigło wykonano z jakiegoś materiału kompozytowego, który sprawiał, że samolot był niewidoczny dla radaru. Nos był okrągły i przezroczysty - prawdopodobnie służył za obiektyw; na spodzie znajdowała się broń, rodzaj pocisku o dwunastocentymetrowym przekroju. Jeden z nabożów karabinu maszynowego oderwał fragment kadłuba i Mazurow dostrzegł wewnątrz małe mikroprocesory. Zabójczym szerszeniem sterował niewielki komputer.

Chrenow i Chan wysiedli z czołgu i we trójkę przyglądali się egzotycznej i przerażająco skutecznej broni.

- Ta maszyna w stodole... to mógł być jakiś dziwny traktor, wyglądał, jakby miał sześć kół. Ale od razu można było poznać, że to pojazd bojowy. Może to także był robot, może miał w środku komputer i pociski raketowe. Może umiał rozpoznać czołg.

Mazurow powiódł wzrokiem po płonącym polu bitwy. Parę czołgów zaczęło się przegrupowywać.

- Jeśli mają więcej takich pieprzonych zabawek, to odnajdą nas, nawet jeśli przycupniemy między drzewami. Chrenow, wyprowadźcie czołg na otwarty teren. Okopimy się w lesie.

Chrenow i Chan spojrzeli na niego niepewnie.

- Szefie, jak ktoś da nogę z pola bitwy, stawia się go pod mur - zaczął perswadować Chrenow.

- Ty cholerny idioto! Dla nas wojna się skończyła! - ryknął Mazurow. - Zwabiono nas do Chin, by nas tu zmasakrować.

Chrenow wskazał gestem dłoni na *T-80*, które po przegrupowaniu się ruszyły do przodu.

- Musimy do nich dołączyć - upierał się.

Mazurow zdjął saperkę z burty czołgu i pomaszerował do lasu.

- Ja także służę Związkowi Radzieckiemu - zawołał przez ramię. - Ale nigdzie w przysiędze nie jest powiedziane, że muszę popełnić samobójstwo.

Słyszał, jak szepczą między sobą. Wiedział, że według ich opinii oficer załamała się i zdezerterował w środku bitwy. W chwilę później wielki silnik ożył. Chrenow szarpnął za drążki i w kurzawie ziemi i trzasku łamanych

gałęzi czołg zakołysał się i wypełził z lasu na otwartą przestrzeń, po czym skierował się po dnie doliny za przeformowującą się grupą.

Spomiędzy drzew wytrysnął strumień światła i ugodził w *T-80*. Ogień buchnął z każdego spoiwa i otworu czołgu, na sekundę przemienił ciemność w światło dnia, a grzmot wybuchającej głowicy ściał Mazurowa z nóg. Na czworakach wpełznął się głęboko w jakieś krzaki. W lesie coś się poruszyło. Przegrupowujące się czołgi zaczęły eksplodować gorejącymi błyskami światła, które przezierały przez dym.

W pobliżu rozległo się łagodne zawrodozenie turbiny. Mazurow usłyszał cichy chrzęst sunących kół. Pojazd zatrzymał się tuż przed ścianą lasu i zwrócił się ku dolinie. Widział go jak na dłoni, oświetlonego łuną płonących czołgów. Miał sześć ogromnych jak u traktora kół. Z górnej części wystawała obrotowa wyrzutnia raketowa, która zanurzyła się we wnętrzu, i po chwili ukazała świeżo załadowana pociskami. Kiedy oddała salwę, w powietrzu przetoczył się głuchy grzmot i błysnęło światło. Na polu rozszalały się płomienie. Na górnym panczeru szczyrzyły się liczne czujniki podczerwieni, fali milimetrowej, mikrofalowe i laserowe oraz stereoskopowe kamery telewizyjne. Noc, pył, dym, chmury, cała kurzawa wojenna nic nie znaczyły. Maszyna widziała wszystko.

Spod mnóstwa oczu potwór groźnie obnażał zęby: działa typu *Gatling* i karabiny maszynowe obok zasobników rakiet. Dobrze wiedział, czym różni się lekko opancerzony pojazd od człowieka.

Urządzenie ponownie sięgnęło do magazynka. Pojazd skoczył do przodu z wyciem turbiny i pognał w ścianę dymu sto kilometrów na godzinę w poszukiwaniu żeru. Mazurow mocniej chwycił łopatę i zaczął kopać dziurę, w której miał się schować.

O świcie słońce nie wstało. Ponad ziemią wisiała warstwowa chmura smolistego dymu. Mazurow wychynął ze swojej nory wymęczony ponad wszelkie wyobrażenie. Noc straszyla oślepiającymi błyskami ognia, wyciem i hukem sprzętu bojowego, jednak teraz zaległa cisza. Poczuvszy dojmujące pragnienie ruszył w stronę rzeki. Po dnie doliny, na zwęglonej ziemi, walały się poczerniałe i pogieęte kadłuby Gwardii Rogaczewa. Nie było widać żywej duszy.

Nagle u góry rozległo się terkotanie i gwizd śmigłowca. Wylądował nieopodal i w jego boku odsunęły się drzwi. Człowiek w białym skafandrze lotniczym spojrzął na Mazurowa i uśmiechnął się zachęcająco. Azjata. Japończyk.

- Nic ci nie jest? - zawołał całkiem niezłe po rosyjsku.

- Nic mi nie jest - potwierdził Mazurow i szedł dalej.

- Dokąd idziesz?

- Nad rzekę. Chcę mi się pić.

- Podejdź tutaj. Mam wodę czystsza niż tamta. Tutaj, zobacz.

Uniósł manierkę i Mazurow podszedł do niego.

- Kim jesteś? Czołgista?

- Dowódcą czołgu.

- Świetnie. Potrzebny mi ktoś, kto to przeżył. Trudno kogoś takiego znaleźć. Chyba zbyt dobrze wykonaliśmy zadanie.

Zaśmiał się radośnie i po japońsku wydał komendę pilotowi. Oderwali się od ziemi i z gwizdem wznieśli się z powrót nad dolinę.

- Jestem Nozaka - przedstawił się. - Dowodzę skrzydłem *Toryus*, myśliwców szturmowych *Stealth*, niewidocznych dla radaru.

- To wy jesteście sprawcą tej jatki?

- Nie, my zniszczyliśmy pułki drugiego frontu. Tutaj większość roboty wykonały *Hiryus*, czyli Latające Smoki albo uzbrojone szerszenie i *Hayate*, czyli Burza, automatyczne wozy bojowe.

- Tak - odrzekł Mazurow bezbarwnym głosem. - Widziałem je.

Nozaka wskazywał na poszczególne fragmenty ciągnącego się kilometrami pasma rzezi.

- Spójrz! - zawołał podniecony, jak gdyby roztaczał przepiękne widoki przed turystą. - *MiG-i-29* rozbite na miazgę. Czy wiesz, jak trudno wpakować pocisk z działka przeciwlotniczego w pędzący samolot? Jest to prawie niemożliwe. Chyba że użyje się działła plazmowego. Plazmę odpała się w strumieniu, który pędzi z prędkością ponaddzwiękową. Wystarczy skierować lufę prosto na samolot i bez obliczania kąta wyprzedzania pociągnąć za spust. Tak jak gdyby strącało się kaczkę na strzelnicy w wesołym miasteczku. - Ach. Spójrz na to.

Mazurow zerknął w dół na rozerwane ciało olbrzyma: coś zaskoczyło

nieuzbrojonych żołnierzy na otwartym polu. Kawałki ludzi wały się po ziemi, mózgi rozsmarowane były po trawie, wnętrzności wisały na krzakach i drzewach.

- System wyrzutni wielorakietowej. Jedna salwa umieszcza w celu pięćdziesiąt tysięcy granatów z odległości siedemdziesięciu kilometrów. Skuteczniejsze niż taktyczna broń jądrowa - wyjaśnił uszczęśliwiony Nozaka.

W dole pojawił się kolejny eszelon. Wozy bojowe wydawały się nieuszkodzone. Rozsiane po okolicy trwały nieruchomo tam, gdzie natrafiły na naturalne przeszkody w terenie.

- Materiał wybuchowy paliwowo-powietrzny. Tlenek propylenu. Pięć razy skuteczniejszy, niż trotyl. Po odpaleniu zmienia ludzkie płuca w papkę. Rakieta ma zainstalowane naprowadzanie końcowe, uderza w cel z dokładnością do kilku metrów z odległości setek kilometrów. Nowoczesna technika - chwalił się Nozaka. - Gdybyście walczyli lancami z końskiego grzbietu, wasze szanse byłyby takie same.

Śmigłowiec schodził w dół i kierował się w stronę lotniska, które pojawiło się w polu widzenia.

- Chodź ze mną - rozkazał Nozaka. - Chcę, żebyś opowiedział pewnemu człowiekowi o wszystkim, co widziałeś.

◆ Pas sterowy Doubs, Maryland

W kabinie *Suchoja* Thrale ścisnął swój *M-16*. Przyszło mu na myśl, że trzyma broń otrzaskaną w szerokim świecie, odbyła ona bowiem podróż dookoła świata i teraz znalazła się z powrotem w kraju, z którego pochodziła. Siedzący obok niego Chochłow włączył dopalacze i przez ułamek sekundy samolot szturmowy stał na hamulcach, a cały płatowiec drżał od tłumionej mocy. Pas startowy mienił się pulsującym światłem. Spoglądając przez ramię Thrale ujrzał, że las stoi w ogniu, a sosny płoną jak pochodnie pod lutownicą turboodrzutowych silników. Chochłow zwolnił hamulce i gdy przyspieszyli, pęd wcisnął ich w siedzenia. Końcówki skrzydeł z suchym trzaskiem kosiły zboże. Zarośla na końcu pasa zbliżały się w niepokojącym tempie i Chochłow poderwał samolot w górę. Unosili się w chłodnym, jedwabistym powietrzu nocy. Pilot wciągnął podwozie, oraz klapy i zmniejszył ciąg silników. Ze skrzydłami w pełni wysuniętymi w przód

nadlecieli nad Potomak i podążyli w dół rzeki. Za ich plecami pas startowy, który płonął ogniem zaproszonym przez dopalacze, przyćmił się w mgiełce. Sunąc bardzo wolno z prędkością trzystu kilometrów na godzinę wlecieli nad wielkie, rozciągające się pod nimi miasto.

Na pułapie tysiąca metrów nad Aleją Jerzego Waszyngtona Chochłów wykonał ostry zwrot i wyrównał wzdłuż Theodore Roosevelt Memorial. Po prawym skrzydle wznosił się wielki kolos Pentagonu. Przemknęli nad przemykiem między kompleksem Watergate i Centrum im. Johna F. Kennedy'ego.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Thrale.

Światła uliczne migotały białymi i pomarańczowymi barwami. Samochody sunęły ulicami niczym robaczki świętojańskie. Palce Chochłowa wykonały szybki taniec na tablicy przyrządów.

- W porządku - odparł. - Włączyłem automatycznego pilota. Poprowadzi samolot nad Atlantyk, do chwili, gdy skończy się paliwo.

Ich oczom ukazało się ogromne cielsko Budynku Władzy Wykonawczej.

- W radzieckich Siłach Zbrojnych musimy płacić za sprzęt uszkodzony z własnej winy - rzekł Chochłów sucho. - Posłużę w lotnictwie jeszcze długi czas.

Krawędź natarcia skrzydła nasunęła się na majaczący w dole BWW.

- Uwaga.

BWW zniknął pod skrzydłem i Thrale zamknął oczy. Wybuch ładunku prochowego, który odrzucił osłonę kabiny, ryk silników rakietowych wypychających siedzenie i oszałamiające zderzenie ze strumieniem powietrza przy szybkości 200 km/h zmieszały się w jeden gwałtowny cios przemocy.

Za chwilę ciśnienie opadło i z wysokości tysiąca dwustu metrów mógł sycić wzrok widokiem miasta. Odczepił się od wyrzucanego fotela, gdy dotarł do górnego punktu krzywizny toru lotu, i zaczął opadać w stronę jaśniejszego w dole Białego Domu.

Czarny spadochron otworzył się z łopotem. Nie było wiatru i nie tracąc celu z oczu, Thrale opadał bez przeszkód w dół. Zauważył, że tak jak mówił Chochłów, nowoczesnymi spadochronami wojskowymi steruje się dziecinnie łatwo.

Rezydencja jaśniała pod nim, niczym kość słoniowa, a błyszczące plamki rozświetlały teren. Manewrując uważnie Thrale nie spuszczał wzroku z ciemnego pola.

Zapomniał, że ziemia wyrasta pod nogami bardzo szybko i wylądował z głuchym plaśnięciem. Spadochron opadł w fałdach na klomb. Powietrze przesycał słodki zapach róż.

Kilka metrów dalej rozległ się trzask i zduszone przekleństwo. Po chwili z ciemności wyłonił się Chochłów i razem podnieśli wzrok na przepiękną konstrukcję, przed którą stali. Byli w Ogrodzie Róż.

Przemykając się przez podłużny południowy kwietnik stąpali cicho pomiędzy zawilcami, irysami i ostróżkami, które tuliły się do ciemnego bukszpanowego żywopłotu. Kącik, gdzie dzika jabłoń zwisała nad różanecznikiem, posłużył im za schronienie w pobliżu kolumnady z białych filarów, która zasłaniała taras Gabinetu Ovalnego.

Wtem rozwarły się drzwi w pawilonie w zachodniej części tarasu i ktoś wyszedł na zewnątrz. Spoglądając na gwiazdy mężczyzna postąpił naprzód. Miał jakieś trzydzieści lat i był bez marynarki. Wyglądał na ochroniarza.

Chochłów, choć niewysoki, miał szerokie ramiona i masywną klatkę piersiową, która u Rosjan zapada się w brzuch, w miarę jak się starzeją. Budową przypominał piłkarza rugby. Kilkoma gwałtownymi susami przemierzył krótki dystans i uderzywszy w strażnika przydusił go do ziemi w momencie, gdy znaleźli się na ziemi. Kiedy ochroniarz odzyskał oddech, wzrokiem natrafił na lufę pistoletu *Makarów PM*.

- Tylko nie rób hałasu - ostrzegł go Thrale i pogroził mu swoim *M-16*, który miał przewieszony przez szyję. Chochłów skrępował strażnikowi dłonie na plecach i cała trójka wkroczyła do Białego Domu. Thrale otworzył najbliższe drzwi i znaleźli się w przepięknym, przestronnym pokoju ze ścianami o eleganckich łukach. Byli w Gabinetecie Ovalnym.

Weszli do środka i zamknęli za sobą drzwi.

- Nie chcemy nikogo zabić - uspokoił Thrale strażnika. - Nazywam się Thrale. Pracuję dla Liefy Kuusineny i muszę zobaczyć się z prezydentem.

Zwrócił się do Chochłowa.

- Uwolnij mu jedną rękę. W porządku. Usiądź na tym krześle i zadzwon do do goś, kto może mnie skontaktować z Barnetem.

- To fotel prezydenta - odparł strażnik zgorszony.

- Na pewno nie będzie miał nic przeciwko, chłopcze - zapewnił go Thrale. - Zapewniam cię, że zdarzą się dzisiaj gorsze rzeczy.

Strażnik przemierzył rozłożysty, bladozłoty dywan w turkusowe rozety i zasiadł w ciemnozielonym, skórzanym fotelu Barneta. Wolną ręką podniósł słuchawkę i wystukał trzycyfrowy numer. Chochłow stał tuż za nim z pistoletem gotowym do strzału.

- Panie Davis, tu Hank. Jestem w Gabinetce Owalnym w towarzystwie dwóch intruzów. Jeden z nich podaje się za pana Thrale'a i twierdzi, że pracuje dla pana Kuusinen. Chce rozmawiać z prezydentem.

- Daj, ja z nim porozmawiam - przerwał mu Thrale i przejął słuchawkę.

- Panie Davis, tu K.K. Thrale. Muszę zobaczyć się z prezydentem w niezwykle pilnej sprawie, która dotyczy bezpieczeństwa narodowego. Przedtem jednak proszę wezwać technika i kazać mu sprawdzić przewód wentylacyjny w łazience prezydenta. Pod żadnym pozorem proszę nie wpuszczać prezydenta do łazienki. Za kratką znajdziecie coś, co wygląda jak zabawkowy czołg. W rzeczywistości jest to groźna broń. Jeszcze raz powtarzam, prezydentowi nie wolno się do niej zbliżyć. Ta maszyna została zaprogramowana, by go rozpoznać i zabić. Kiedy pan to zrobi, proszę oddzwonić.

Thrale odłożył słuchawkę i czekał. Ktoś pchnął drzwi i jeden z agentów Tajnej Służby wetknął głowę do pokoju. W dłoni trzymał czarny pistolet automatyczny *Uzi*, a jego palec wskazujący spoczywał płasko na spuście, co oznaczało, że broń jest odbezpieczona i gotowa do strzału. Ze swojego miejsca przy prezydenckiej fladze, odwrócony plecami do złotych zasłon, Thrale wycelowwał w niego swój karabinek.

- Nie chcemy nikogo zabić - powiedział. - Ale lepiej będzie, jak stąd wyjdiesz.

Zdawali się czekać całe wieki. Thrale czuł się obolały od szarpnięcia wyrzucanego fotela i zderzenia z ziemią przy lądowaniu. Znużony przestąpił z jednej nogi na drugą i podrapał się po plecach wolną ręką.

- Nic ci nie jest? - zatroszczył się Chochłow.

- Jestem po prostu za stary na to wszystko. Tak powiedział Chuck Imamura i miał rację.

W tym momencie na rzeźbionym, dębowym biurku zadzwonił telefon i Thrale podniósł słuchawkę.

- Tu prezydent. Lepiej niech pan przyjdzie i powie mi wreszcie, co się tu dzieje.

♦ **Kwatera Główna Dalekowschodniego Okręgu Wojskowego, Władystok**

Była to orkiestracja przemocy, czysta symfonia wojny. Paraliż nieprzyjacielskiego C3 - dowodzenia, sterowania i łączności - wywołany przez radzieckie środki przeciwdziałania C3CM był niemal całkowity.

Czołowi dowódcy ChRL: Zhao Teh, Cziang Szikai i cała reszta nie żyli. Ośrodki łączności leżały w gruzach. Ostatnia chińska armia została zaatakowana jednocześnie z trzech stron.

Koordynacja radzieckich sił połączonych rodzajów wojsk była niemal bezbłędna. Po raz wtóry nieprzyjaciel nie był w stanie przeciwstawić się ciosowi, który spadł na całą jego pierwszą linię. Walczący w polu chińscy dowódcy ogłuszeni i oślepieni sukcesem radzieckiego C3CM nie wiedzieli skąd i kiedy nastąpi kolejne uderzenie, aż do chwili, gdy pierwszy *T-72* nie przewalił się przez ściany ich prowizorycznych kwater. Za nim nadciągnęły tysiące następnych, śmigłowce, samoloty szturmowe, myśliwce i bombowce, artyleria od 22 mm do 155 mm, wozy bojowe z działkami, wozy bojowe z raketami, żołnierze w transporterach opancerzonych, wozach bojowych i pieszo.

- Jak z podręcznika - zawyrokował Ogarkow ze zrozumiałą dumą. - Okrażenie i zniszczenie nieprzyjaciela. W czasie Wielkiej Wojny Ojczyźnianej zniszczyliśmy dwadzieścia osiem hitlerowskich dywizji na Białorusi i dwadzieścia jeden w Jassach i Kiszyniowie. Nacieraliśmy przez następne siedemset kilometrów i starliśmy w proch kolejnych dziewięćdziesiąt sześć dywizji, a wzięliśmy do niewoli trzydzieści cztery. Nawet tamte sukcesy nie mogą się równać z obecnym. Nasze szkoły nauk wojskowych będą miały teraz mnóstwo materiału do przetrawienia, kiedy przyjdzie zastanawiać się nad naszym *wojennom stroitelstwom*, naszym rozwojem militarnym.

- Nazwą waszym imieniem Akademię Wojskową, tak jak to było z

Frunzem - rzucił Janow przypochebnie i zaśmiał się w myśli, gdyż ten komplement miał swoje ciemniejsze i bardziej utajone znaczenie. M. W. Frunze był twórcą samej Armii Czerwonej w stopniu większym niż Trocki. Spotkał go los większości błyskotliwych ludzi owych czasów: został zamordowany przez Stalina, który zafundował mu operację medyczną, której ani nie chciał, ani nie potrzebował. To nawet niezły pomysł, rozmyślał Janow, może nawet lepszy niż oddanie sprawy KGB. Nieżywy bohater uszedłby w tłoku.

Sala dowodzenia tonęła w ciszy. Nie pozostawało nic innego, jak tylko pozwolić, by żołnierze w polu dokończyli swoje zadania.

- Potęga militarna ChRL została złamana - stwierdził Ogarkow. - Teraz pozostała już tylko kwestia narzucenia im naszej władzy i zdecydowania, jak najlepiej ją wykorzystać.

- To - odrzekł Janow - będzie należało do przyjemności.
- Generale - odezwał się głos z pulpitu. Był to „Czerwony Sztandar”.
- Tak, Arby.
- Ktoś na górze chce się z panem zobaczyć.
- Kto taki?
- Cziang Szikai.

◆ Sala Sztabowa, Biały Dom

W Sali Sztabowej uwijał się personel. Oficerowie wywiadu siedzieli przy pulpitych komputerowych, tablice sytuacyjne jarzyły się światłem, procesor centralny pracował pełną parą, banki danych były uaktywnione. Mimo to czuło się, że coś jest nie w porządku. Gdy tylko Thrale wszedł do środka, wiedział już, o co chodzi. Spośród znaczących ludzi obecny był tylko prezydent. Brakowało ministrów i szefa personelu.

Barnet siedział nieogolony, bez marynarki. Ochroniarze trzymali go na dworze tak długo, aż upewniono się, że w budynku nie ma już żadnych cybernetycznych zamachowców.

- Cindy, złapałaś Eda? - zawołał.

Przestraszona młoda kobieta wystukiwała następny numer na klawiaturze telefonu.

- Nadal próbuję, panie prezydencie.

Barnet zauważył Thrale'a, który wkroczył w otoczeniu agentów Tajnej Służby.

- Nie co dzień zdarza się, że pracownicy CIA skaczą na spadochronie z radzieckiego myśliwca odrzutowego, by uratować mnie przed zamachem - powiedział na powitanie. - Sądzę, że byłoby lepiej, gdyby Ed Reisch posłuchał tego, co ma pan do powiedzenia.

- Ed Reisch nie żyje, panie prezydencie.

- Skąd do cholery może pan to wiedzieć? - zawołał Barnet wystraszony.

- Dlaczego pan tak myśli?

- Lief Kuusinen nie żyje. Zamordowała go taka sama maszyna, którą zaprogramowano, by uśmiercić pana w określonym dniu. Czyli dzisiaj. Tu się właśnie pomyliłem. Myślałem, że będzie to szósty sierpnia. Proszę kazać policji udać się do wszystkich członków Narodowego Ośrodka Dowodzenia, z którymi nie można się skontaktować.

- Cindy, proszę rozpocząć procedurę zwoływania NOD - rzucił Barnet.

- Kto jeszcze nie żyje, panie Thrale, obok Eda Reischa i Liefa Kuusinena?

- Wszyscy. Albo prawie wszyscy. Z pewnością słyszał pan o doktrynie „dekapitacji”, panie prezydencie.

- Dekapitacji? Do diabła! Człowieku, przecież to scenariusz wojny nuklearnej! Wzięty prosto z polityczno-wojskowych symulacji i gier wojennych.

- To jest wojna nuklearna, panie prezydencie. Popełniłem błąd, bo zakładałem, iż zacznie się szóstego sierpnia.

- Ale dlaczego właśnie szóstego sierpnia? Kto nas atakuje? Nie było żadnego wypowiedzenia wojny.

- Nasz wróg nie wypowiada wojen. Dlatego właśnie powinienem był się domyślić, że nie będzie to szósty sierpnia. W *Hagakure* napisano tak: „Wyrażenie: «wygraj najpierw, walcz później» można streścić w dwóch słowach: «wygraj z góry». Szóstego sierpnia 1945 roku zrzuciliśmy bombę atomową na Hiroszimę. Ale na wypadek, gdyby ktoś taki jak ja pamiętał o tym, datę tę zmieniono. Wojna, którą prowadzimy ma trwać sto lat. Tak mówili Japończycy. Jesteśmy atakowani przez Japonię.

Przy pobliskim pulpicie telefonistki powstało nagle jakieś zamieszanie.

- Ktoś zaraz do pani przyjedzie, pani Thompson - zapewniła, a jej głos brzmiał piskliwie z przerażenia. - Ktoś zaraz przyjedzie.

Obróciła się i podniosła wzrok na Barneta.

- Zadzwoiłam do generała Thompsona i obudziłam jego żonę. Znalazła jego ciało.

- Thompson należał do Kolegium Szefów Sztabu - zauważył Thrale.

Po twarzy Barneta przemknął grymas paniki.

- Jak mogę dowodzić, skoro pozbawiono mnie moich ludzi?

- Panie prezydencie, nie oczekiwano tego od pana - wyjaśnił Thrale cierpliwie. - Miał pan już nie żyć. Dowództwo miał objąć Marshall Telford.

- Wiceprezydent?

- Wiedzieli, że będą mogli go owinąć wokół palca, gdy tylko wystrzelą pierwszy pocisk. Telford jest pacyfistą. Raczej przyjąłby warunki kłęski, niż wdał się w wojnę nuklearną.

- Pocisk? Jaki pocisk? Japończycy nie mają żadnych pocisków bali-
stycznych.

- O ile się nie mylę, to część naszych znajduje się pod ich kontrolą.

Barnet wpatrywał się w Thrale'a przez dłuższą chwilę.

- No dobrze - wyrzucił w końcu. - Wal pan.

- Mamy do czynienia ze stuletnią wojną, w którą Komura wierzy od samego początku. Ostateczne odliczanie czasu zaczęło się, gdy cybernetyczny zamachowiec zamordował w łazience pańskiego poprzednika, prezydenta Hawkinsa, w ten sam sposób, w jaki zamordowano dziś rano Liefa Kuusinena i w jaki pan sam miał zginąć.

- Dlaczego zamordowano Hawkinsa?

- Żeby pan mógł zostać prezydentem. Jako potencjalny przegrany z chęcią uchwycił się pan programu, który panu podsunęto, a który miał panu zapewnić powtórny wybór. Był on prosty: wrzucić Japonię do kruszarki.

- Jaki był w tym sens?

- Nowoczesną wojnę prowadzi się w czterech wymiarach: operacyjnym, logistycznym, społecznym i technicznym. Każda strategia, która nie uwzględni wszystkich czterech, weźmie w łeb. Pan sprezentował Komurze to, czego potrzebował, by zapewnić sobie poparcie czynnika społecznego. W Japonii nie ma wolności słowa, podobnie jak nie panuje tam stojąca na gruncie wolności i sprawiedliwości demokracja. W wyniku pana posunięć

ludźmi targnęły namiętności. Dla Japończyków Amerykanie znów stali się tym, kim byli podczas wojny na Pacyfiku: diabłami i szatańskimi demonami. Naród japoński nakłoniono do wiary w jednomyślność. Przez długi czas Japończyków wychowywano tak, by w zbiorowym myśleniu i zbiorowym działaniu odnajdywali większą radość niż w hołdowaniu indywidualizmowi. Są, jak to się mówi, w odpowiednim nastroju, by usłyszeć, że wspaniałe siły rasy Yamato nie tylko pomogły Chinom w ich zwycięstwie nad Związkiem Radzieckim, lecz także jednym wspaniałym uderzeniem - jak w Port Artur lub Pearl Harbor - spustoszyły USA. Tylko, że tym razem zadały Stanom Zjednoczonym całkowitą klęskę.

- Wspominał pan, że być może kontrolują nasze międzykontynentalne pociski balistyczne?

- Jeśli się nie mylę, niektóre albo wszystkie pociski zawierają mikroobwody importowane z Japonii. Wewnątrz tych mikroobwodów, ukryty w jakimś ciemnym, malutkim, elektronicznym zakątku czai się wirus - „bomba logiczna”. Wie, jaki mamy dziś dzień, od dawna na niego czekał. Gdy pocisk zostanie uzbrojony, odpali go w cel, jaki zapisano w jego pamięci. Gdzieś tutaj, na terenie USA. Oznacza to, że nie możemy wykorzystać naszego nuklearnego systemu odstraszania.

Po drugiej stronie sali, pracujący przy pulpicie komputera podpułkownik wywiadu segregował raporty, w miarę jak napływały, przeglądał SIGINT z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego i obserwował obraz z nadzoru w czasie rzeczywistym z satelity typu *KH-11* umieszczonego na orbicie ponad Chinami. Po chwili wstał i podszedł do nich.

- Panie prezydencie, sądzę, że powinien pan wiedzieć, iż Rosjanie ponieśli druzgocącą klęskę w bitwie czterech armii na północ od Pekinu. Zda się, że w porównaniu z tym bitwa pod Kurskiem to zabawa plastikowymi żołnierzkami w piaskownicy.

- Dziękuję, pułkowniku. Przez jakiś czas Rosjanie będą musieli się sami zajmowali swoimi sprawami. Mamy własne problemy do rozwiązania.

- Pociski *50 MX*- rzucił Thrale. - W Montanie. Skontaktujcie się z dowódcą bazy, niech każe rozbroić pociski *MX* oraz odłączyć je od źródeł zasilania.

- Panie prezydencie, nadchodzą raporty z policji - zawołała Cindy Hutchings od telefonu. - Wszyscy członkowie NOD, których dotąd zlokalizowano, nie żyją: niektórych zamordowano w łóżkach, a inni wyglądają, jakby zmarli z naturalnych przyczyn.

- Ed Reisch też?

- Tak, panie prezydencie - wyszeptała dziewczyna. - Poderżnięto mu gardło. Leżał w łóżku. Policjant powiedział, że wydawał się... zdziwiony. Tak właśnie to określił.

- Panie prezydencie - krzyknął gwałtownie major lotnictwa. - Nie możemy połączyć się z Bazą Sił Powietrznych Malmstrom w Montanie. Ani przez radio, ani przez telefon. Linie są głuche.

♦ **Kwatera Główna Dalekowschodniego Okręgu Wojskowego, Władystok**

W ogrodzie, w którym zbiry Feliksa Dzierżyńskiego rozstrzelały Leonida Brujewicza i jego rodzinę, zanim skonfiskowano jego willę, siedzieli dwaj starzy mężczyźni, a za ich plecami stali oficerowie sztabowi. Pomiedzy sobą mieli młodego mężczyznę w mundurze czołgisty.

Ogarkow rozpoznał Czianga Szikai, lecz nie miał pojęcia, kim jest sędziwy Japończyk, który siedział obok niego. Jednak Janow wiedział, kogo ma przed sobą, ponieważ znał wszystkich - którzy podobnie jak on - dierżyli prawdziwą władzę. Orientował się, kim jest Komura i domyślał się, dlaczego tu przybył. Zdawał sobie sprawę, że „Zarnica” przybrała katastrofalny obrót, ale nie rozumiał, jak mogło do tego dojść. Podejrzał, że odpowiedź na pytanie, dlaczego, jest łatwa.

- Kim jesteś, chłopcze? - spytał młodego, rosyjskiego oficera.

- Porucznik Aleksiej Mazurow, z Gwardii Rogaczewa.

- Nie powinieneś być razem z nimi? - spytał łagodnie.

- Wszyscy zginęli - odparł Mazurow. - Przeprowadzili mnie tutaj, bym opowiedział wam o tym, co widziałem: że wojna dobiegła końca i że ją przegraliśmy.

- Przegraliśmy? - wybuchnął Ogarkow. - Wygraliśmy! A co u diabła robiliśmy tu przez cały ten czas, jak nie wygrywaliśmy wojnę?

- Graliście w gry wojenne z komputerem, podczas gdy masakrowano wasze armie.

Komura odezwał się po raz pierwszy. Choć mówił po japońsku, jego wypowiedź wypływała po rosyjsku z małego pudełka. Jego głos brzmiał sucho, niczym szelest jesiennych liści.

- Przywłaszczając sobie „Koralową Włócznię”, którą ochrzciliście „Czerwony Sztandar”, skradliście ziarno, z którego wyrosła wasza klęska. „Czerwony Sztandar” nigdy nie był czerwony; przez cały czas sterowały nim pierwotne programy, o których nic nie wiedzieliście.

Janow obrzucił wzrokiem dystynkcje tych, którzy stali za plecami dwóch przywódców. Po japońskiej stronie mignął mu Hua Bai i jeszcze inna postać z przeszłości, generał Yonai. Zaraz, gdzie on jest? O tam, tak, to on.

- Ale wszystko zaczęło się o wiele wcześniej - zauważył. - Od powstania planu „Zarnica”. Czyż nie ma między nami jego autora?

Aleksander Borodin wystąpił naprzód. Nie miał na sobie chińskiego ubrania. Na głowę włożył jarmużkę.

- Jestem tutaj - przyznał. - A wy tam, gdzie od dawna pragnąłem was zobaczyć. Was i wam podobnych.

- A co wam takiego zrobiłem, prócz tego, że wyniosłem was na wysokie stanowisko i obsypałem przywilejami?

- Wy i ludzie waszego pokroju nienawidzicie mnie i mi podobnych. Jestem Żydem, panie Janow. Wasz poprzednik, Józef Stalin, kazał wywieźć nas w mroźne pustkowia Syberii. Udało się ukryć małą dziewczynkę, którą adoptował życzliwy Rosjanin. To prawda, wyjątki potwierdzają regułę. Ta mała była moją matką. Zginęła cała jej rodzina. W końcu zmarła i ona, ze złamanym sercem. Zanim to jednak nastąpiło, prosiła, bym przysiągł jej, jej rodzinie i wszystkim Żydom, że każę wam za to zapłacić.

- Racja - zgodził się Janow. - Powinniśmy byli ukatrupić was wszystkich.

- Teraz kolej na was - odparł Borodin.

- Nie. Jeszcze nie - oświadczył Janow. - Mamy jeszcze broń nuklearną. Zmieciemy Chiny i Japonię z powierzchni ziemi.

- Czyżby? - zadrwił Komura. - Naprawdę to zrobicie?

◆ **Trasa 665, Ohio**

Przez Wrightsville przetoczyła się od strony Columbus długa, szesnasto-kołowa ciężarówka z naczepą. Za nią sunął czterodrzwiowy Ford. Obydwa pojazdy skrupulatnie przestrzegały ograniczenia prędkości. Reflektory rozlewały przed nimi białe jeziora światła. Kiedy ukazał się drogowskaz do Parku Narodowego Jeziora Madison, samochody skręciły przy Deer Creek.

W porze, kiedy niebo jaśniało budzącym się świtem, park zamieszkiwały tylko dzikie zwierzęta. Kierowca zatrzymał ciężarówkę na drodze pod osłoną drzew. Trzej pomocnicy wyskoczyli z Forda. Wszyscy byli młodzi, sprawni i dobrze wyszkoleni.

Konstrukcja naczepy pozwalała na otwarcie bocznych ścian i zwinięcie dachu. Kierowca umiejętnie sterował drążkami i taran hydrauliczny powoli unióś ładunek do pożądanej pozycji. Spełniwszy swoje zadanie czterej mężczyźni wsiedli z powrotem do Forda i zadowoleni wyjechali z parku. Zatrzymali się na opustoszałej szosie, która wiodła do Londynu w stanie Ohio. Kierowca wysiadł i stanął przy drzwiczkach. W dłoni trzymał radionadajnik, który zwrócił do tyłu w stronę parku i nadusił guzik.

Park buchnął ogniem. Płomienna pochodnia uniosła się i przyspieszając pomknęła na zachód.

Samochód odjechał. Nie posiadając się z radości czterech Japończyków poklepywało się nawzajem po plecach.

Baza Sił Powietrznych Wright-Patterson, miejsce stacjonowania setki bombowców *B-1B*, których istnienie dopuszczał Traktat Pokojowy, leżała sześćdziesiąt kilometrów na zachód.

◆ **Poligon szkoleniowy w Sand Springs, Montana**

Major Frank Collins uwielbiał świt. Powietrze przypominało jedwab, a sędziwy *F-4 Phantom* leciał jak nowy. Teraz, gdy zagrożenie ze strony czerwonych zniknęło, rezerwistom z Powietrznej Gwardii Narodowej przysługiwało niewiele cennych godzin lotów i Collins hołubił czas, który mu podarowano. Świt to najwspanialszy moment, by spaść z wysokości jak drapieżny ptak i, pędząc jak strzała ponad zaroślami i skałami poligonu, legalnie złamać wszystkie minimalne pułapy ustanawiane przez Federalną Agencję Lotnictwa.

Przy szybkości ośmiuset dziesięciu kilometrów na godzinę i pułapie piętnastu metrów celownik zajarzył się jaskrawo. Osłoniętym rękawiczką palcem wskazującym Collins zaczął naciskać spust, ale w tym samym momencie ożyły słuchawki.

- Biały Dwa, przerwać atak.

Collins mruknął z niezadowoleniem, ale gładko przyciągnął drążek i wielki myśliwiec bombardujący wyleciał łukiem w niebo, zostawiając za sobą smugę czarnego dymu - jego znak firmowy.

- Biały Dwa, leć do Bazy Sił Powietrznych Malmstrom. Na miejscu zacznie krążyć na tysiącu pięciuset metrach, prędkość pięćset kilometrów. Leć z maksymalną prędkością.

- Odebrałem - zameldował Collins. - Co mam robić po dotarciu do celu? Kontroler wyjaśnił, jakie czeka go zadanie.

Kierując się na zachód Collins pomknął przez zimne powietrze na wysokości tysiąca pięciuset metrów. W cywilu był prokuratorem i miał kwitnącą praktykę w Billings. Leciał nad niezbyt gęsto zaludnionym terenem, ale wiedział, że niedużo czasu upłynie, a zacznie dostawać listy z żądaniem rekompensaty od właścicieli znajdujących się pod torem lotu domów, których okna roztrzaskiwał ponaddzwiękowym gromem.

Jednak nie znaczyło to nic w porównaniu z tym, czego miał dokonać po dotarciu na miejsce. Niespokojnie nadusił przycisk radia.

- Tu Biały Dwa. Jesteście tego pewni?

- Potwierdzam. Rozkaz od samego prezydenta. Paliwo silnika startowego w tym urządzeniu spala się nie dłużej niż w trzy minuty, a do tego czasu to coś znika w ogóle z atmosfery. Nie zostały ci trzy minuty. Zostały ci sekundy.

Celownik Collinsa był cały czas włączony. Tak go zostawił.

◆ Sala Sztabowa, Biały Dom

Sala powoli się zapełniała. W pojedynek Barnet organizował nowe władze Narodowego Ośrodka Dowodzenia.

- Te skurczybyki sprzątnęły mi najlepszych - skarżył się Thrale'owi. - Oczywiście mogę wziąć generała Tweeda na miejsce Thompsona, ale ten biedny skurwysyn i tak awansował wyżej, niż go do tego uprawniają jego

kompetencje. Dlatego właśnie dowodzi skansenem zużytych czołgów w Arkansas. Potrzebuję kogoś utalentowanego, do cholery.

- Jest taki facet w Pentagonie. Obecnie w podróży służbowej, panie prezydencie - szepnęła Carol Smith, młoda, pracowita urzędniczka. Miała na sobie obcisłą, uszytą z czterech uncji materiału suknię bez ramiączek i pleców, w której przyjechała do Białego Domu. Pnąc się w górę drabiny sukcesu, tak jak to sobie zaplanowała - w pierw przyjmowanie pracowników dla Barneta, potem Kongres i Senat, wiceprezydentura, i najwyższe stanowisko po upływie ośmiu lat - nie miała czasu na nic poza pracą. Jednak dwa razy w miesiącu zestrzajała swoje zachcianki z innym działającym z podobnych pobudek stworzeniem. Tym razem spotkali się w R.T. w Arlington, wypili Chardonnay i skonsumowali homara, wypili Margaux i skonsumowali wyśmienite żeberko z frytkami, wrócili do jej mieszkania, wypili koniak i skonsumowali się nawzajem. Z jakiegoś powodu, którego nie umiała sobie wytłumaczyć, wrócili do domu jej partnera i tym samym uratowali oraz zmienili swoje życie. Ta kobieta w wieczorowej sukni, pachnąca delikatnie trzydziestoletnim, dobrej jakości koniakiem, była nowym szefem personelu Barneta.

- Ten facet to generał brygadier Walt Jones. Pasuje jak ulał. Jest czarnoskóry, został bohaterem w Wietnamie. Zrobił doktorat na Uniwersytecie Obrony Narodowej. Bystry facet.

- Złap go telefonicznie, powiadom o awansie i każ mu przytaszczyć tutaj swoją dupę.

- Panie prezydencie. Przyszedł raport z King's Bay. „Ohio” i „New Mexico” zostały zatopione przy nabrzeżu. Nastąpiło kilka silnych eksplozji pod wodą i poszły na dno w przeciągu minuty.

Głos siedzącego obok majora lotnictwa przerwał pilny meldunek oficera marynarki.

- Atak raketowy na Wright-Patterson - zawołał z niedowierzaniem. - Kilka rakiet bliskiego zasięgu... olbrzymie zniszczenia.

Na ekranie sytuacyjnym świata, który zajmował całą jedną ścianę, zaczęło pulsować błyszczące światełko. Paliło się na terenie ZSRR, w Nowosybirsku, i zaczęło wspinać się w górę ekranu. W całej sali zaległa cisza.

- O kurwa - wyszeptała Carole Smith. - Te zidiociałe dupki odpaliły balistyczny.

Thrall jako jedyny w pokoju przeniósł wzrok na mapę USA. Na Bazę Sił Powietrznych Malmstrom.

◆ Baza Sił Powietrznych Malmstrom

Wszędzie walały się trupy. Ci, którzy zginęli pierwsi leżeli w łóżkach skąpani we krwi. Ci, których obudził hałas - w piżamach i koszulach nocnych, w korytarzach i umywalniach, na dworze na ziemi. Bazę przejęli spadochroniarze, którzy okopali się wokół silosów rakiet. Z radością stwierdzili, że wszystko wyglądało dokładnie tak, jak im powiedziano: USA nie miało ani jednego żołnierza, marynarza czy lotnika, który z poświęceniem chroniłby bezpieczeństwa najistotniejszych urzędzeń. Ci, którzy leżeli teraz porzuceni po całej bazie byli w pełni wyszkoleni i biegli w swoim fachu. Spadochroniarze zaś byli wyszkoleni i biegli w swoim.

Pokrywy silosów rozdziawiły się. Kłęby pary uciekły w powietrze poranka i smok ryknął, a gorący podmuch jego oddechu przewalił się po wielkich tunelach, buchając w górę i plugawiąc niebo. Biały ryjek pocisku wychynął spod ziemi i podłużna, błyszcząca rakietka z flagą Stanów Zjednoczonych na boku popędziła w górę na słupie ognia. Żołnierze krzyknęli z zachwytem w okopach bojowych, lecz ich głos utopił się w grzmocie odlatującego pocisku.

Niespodziewanie jakiś mały, ciemny kształt wystrzelił znad horyzontu. Nie dosłyszeli trzasku działka *Gatlinga*. Wielka rakietka zadrżała i piękno krzywizny toru lotu zostało zaburzone. Małe jęczyczki ognia wyprysnęły na jej bokach, po czym eksplodowała zmieniając się w wielką kulę ognia, która ciągnęła w górę nieba.

Phantom zrobił szaleńczy unik, ale gigantyczny palec płomienia dosięgnął go i zmienił w błysk żaru. W chwilę później był tylko jednym z wielu płonących, spadających na ziemię strzępów.

Żołnierze ucichli.

Niedługo potem, podczas gdy technicy pracowali nad przygotowaniem do odpalenia następnego *MX*, szare cienie zatoczyły koło nad bazą i zrzuciły coś, co zmieniło cały kompleks w gruzy. Po nich przybyły czołgi,

piechota i pozostali przy życiu żołnierze zaczęli walczyć do ostatniego tchnienia.

◆ **Sala Sztabowa, Biały Dom**

Migotliwe światło, które pulsowało na mapie w Bazie Sił Powietrznych Malmstrom w Great Falls w Montanie, zgasło i wszyscy w wielkiej podziemnej sali jednocześnie odetchnęli z ulgą. Potem przenieśli wzrok na światelko, które pięło się nad Nowosybirskiem.

- Ma krótką trajektorię - oświadczył major lotnictwa Thomas znad swojego pulpitu i stukając w klawisze prowadził jakieś obliczenia metodą ekstrapolacji z materiału, który posiadał. - Wygląda, że na Leningrad.

Linia zaczęła zakrzywiać się w dół ekranu.

- *F-111* unieszkodliwiły silosy w Malmstrom - ogłosił Thomas.

Linia ugodziła w Leningrad. W parę chwil później połączenie z Fortu Belvoir potwierdziło, że satelity *Vela* i *Hotel* zawieszono 96.000 kilometrów nad powierzchnią ziemi zarejestrowały podwójny błysk wybuchu nuklearnego.

- O, Jezu - szepnęła Carole Smith. - Ci dranie...

Zadzwoił telefon prezydenta i Carole odebrała go, nie odrywając wzroku od ekranu, jakby w obawie, że dowód na to, iż wielkie miasto i jego mieszkańcy przestali istnieć, mógł zniknąć.

- Boże... co...kto? Tutaj?

Położyła dłoń na słuchawce i zwróciła się z niedowierzaniem w stronę Barneta, który siedział w fotelu naczelnego dowódcy.

- To japoński ambasador - oznajmiła. - Chce zobaczyć się z prezydentem Telfordem.

Barnet znał ambasadora Japonii Nakamurę, ale gdy wyłonił się on z windy, która zjechała do podziemnego stanowiska dowodzenia, przez chwilę nie był pewien, czy to on. Nakamura przybył z dwoma pomocnikami i nie szedł, ale paradował krokiem zdobywcy. Stąpający u jego boków doradcy utorowali sobie drogę wśród zebranych z lekceważeniem arystokratów sunących pomiędzy niewolnikami.

Nakamura podszedł do wzniesionego w kącie sali stanowiska dowodzenia, skąd prezydent mógł kontrolować przebieg wydarzeń. Był nadęty, lecz

pewność jego uśmiešku zbladła nieco, gdy spostrzegł, kto tam siedzi.

- Pan? - zdziwił się. - Pan jeszcze żyje? Zresztą to już nie ma znaczenia.

- Czego pan chce? - odpowiedział chłodno Barnet.

Nakamura uniósł brwi w udanym zdumieniu.

- Czego chce? Przecież to jasne. Jestem tutaj, by podyktować panu warunki złożenia broni.

- A jeśli nie mamy zamiaru się poddać?

- Nie macie zamiaru? Panie Barnet, nasza cierpliwość nie jest bezgraniczna. Zmiotliśmy Nowy Jork z powierzchni ziemi, tak jak wy zmiotliście Hiroszimę i Nagasaki. Jak widać potrafimy się hojnie zemścić. Teraz nie ma już wątpliwości, że rasa Yamato zajmuje w świecie pozycję numer jeden. Przekazuje pan nam całą swoją władzę. Jeśli będziecie zwlekać, podajemy wam więcej Nowych Jorków. Tam posłaliśmy tylko pocisk *MX* z pojedynczą głowicą. Następnym razem każda głowica pocisku wyszuka sobie cel. Atlanta zapłonie ponownie, Chicago zmieni się w popiół wywiewany do jeziora. Spuścimy na wasz naród deszcz śmierci. W końcu i tak zostaniecie niewolnikami, więc lepiej poddajcie się teraz.

Barnet przemówił głosem, który mroził niczym lód.

- W Nowym Jorku ludzie nadal żyją. Jedzą obwarzanki i piją kawę. Mężowie całują żony, a matki przygotowują dzieci do szkoły. Nie mamy zamiaru zostawać niewolnikami, ani z nikogo robić niewolników.

Zadzwoił telefon i Carole Smith podniosła słuchawkę, po czym podała ją Nakamura.

- To do pana - powiedziała, a złośliwość w jej głosie źle wróżyła.

Nakamura odebrał telefon, a w miarę jak słuchał, uchodziło z niego powietrze. Twarz mu poszarzała i zabłysła potem. Podniósł wzrok na Barneta.

- Zaszła pomyłka - wyszeptał. Ukłonił się nisko, a jego doradcy, choć nie rozumieli, co się stało, również się ukłonili: nisko, niespodziewanie służalczo.

- Ty nędzny skurwysynu! - wyszeptał Barnet i jego noga wystrzeliła w przód. Nakamura potoczył się na plecy, a krew trysnęła mu z ust. - Wyprowadźcie stąd to ścierwo - rozkazał Barnet.

Thrale przemówił z krzesła na stanowisku dowodzenia, w którym tkwił

cały czas. Miał ciało obolałe ze zmęczenia, łamało go w plecach, czuł skutki szarpnięcia wyrzucanego fotela i uderzenia w ziemię przy lądowaniu na spadochronie. Wzdrygnął się na myśl o gwałtowności wydarzeń.

- Panie prezydencie - oświadczył wyraźnie. - Jeszcze nie zwyciężyliśmy, ani nie podpisaliśmy żadnego traktatu pokojowego. Nie jesteśmy nawet w sytuacji patowej. Japończycy nadal mogą nas pobić. Zniszczyli bombowce *B-1*. Pociski *MX* zniszczyliśmy sami, zanim zdążyli użyć ich przeciwko nam. Spośród naszych dziesięciu okrętów podwodnych z pociskami balistycznymi na pokładzie pięć zatopiono w King's Bay. Pięć pozostałych jest na morzu. Nie ośmieliliśmy się użyć ich pocisków w obawie, że obwody elektryczne zostały zarażone bombą logiczną, co uczyniłoby z nich miecz w ręce wroga. Musimy założyć, że klęska radzieckich sił w Chinach i zniszczenie Leningradu oznaczają, że Chińczycy i Japończycy wspólnie wejdą w posiadanie radzieckiego arsenału nuklearnego. Jeśli do tego dojdzie, będą nas mogli znów próbować zastraszyć i żądać złożenia broni, gdyż nie będziemy dysponowali żadnymi środkami, którymi moglibyśmy odeprzeć ich atak, dopóki nie sprowadzimy naszych strategicznych okrętów podwodnych i nie wymienimy podzespołów na nowe, naszej produkcji.

- Więc co mamy zrobić? - spytał cicho Barnet.

Thrale podniósł się z krzesła i wyprostował się. Czuł, że ciało mu płonie.

- Pan musi zostać tutaj, gdzie jest pan bezpieczny. Nadal jest pan królem na szachownicy. Proszę pozwolić mi zrobić to, co do mnie należy. Jakby to powiedział świętej pamięci MacGregor, mam tę przewagę, że rozumiem tych małych żółtych drani.

- W porządku - zgodził się Barnet. - Wszyscy zostali nieoczekiwanie awansowani podczas tych strasznych wydarzeń. Dopóki trwa wojna, jest pan sekretarzem stanu. A teraz, czego pan potrzebuje?

- Kluczy do muzeum - odrzekł Thrale.

◆ Tucson, Arizona

Mike Schrantz wysiadł z samochodu, który go przywiózł i przez chwilę przyglądał się temu, co zbrojmistrze ładowali z wózka bombowego do

ośmiostrzałowego, obrotowego zasobnika w komorze uzbrojenia za kabiną pilotów. Potem podszedł i wspiął się przez właz wejściowy w tylnych, umieszczonych od spodu drzwiach.

Kabina była przestronna, a on - jak na pilota - wysoki i smukły. Właśnie to lubił w tym samolocie: ciche zawrozdzenie pomocniczego zespołu silnikowego i krążące wewnątrz powietrze, które przyjemnie chłodziło skronie na przekór żarowi pustyni. Na lewym fotelu siedział mężczyzna z grubą instrukcją obsługi na kolanach. Podniósł wzrok, gdy Schrantz wspiął się do środka.

- Jesteś Mike, nie? Pamiętam, że widywałem cię w sekcji prób globalnych.

- Miło cię znowu widzieć, Curtis.

Podali sobie dłonie i Schrantz usadowił się po prawej stronie.

- Gdzie cię dopadli? - spytał przyjaźnie Curtis Hope.

- Na plaży. Mam wciąż piasek pomiędzy palcami. A ciebie?

- Gdy zaprosiłem teściów na grilla. Żona myśli, że zrobiłem to specjalnie.

Schrantz parsknął śmiechem.

- Która część naszego ptaszyska jeszcze działa? - zapytał ponuro.

- Radiostacja i sprzęt radiolokacyjny były niezłe rozwalone, więc kazałem technikom od awioniki wstawić po prostu nowe skrzynki. Wyjęli cały system do walki radioelektronicznej i radar Hughesa o niskiej wykrywalności.

- Pal to sześć, Curtis. I tak nie szkolono mnie, by używać tych cudniek, a ciebie?

- Trochę tego liznałem. Kiedy przeprowadzaliśmy testowanie w locie systemów zintegrowanych, byłem w podgrupie oceniającej aspekty ergonomii i obciążenia pracą w składzie dwuosobowym. Pamiętasz, SAC twarodo utrzymywało, że samolot powinny pilotować dwie osoby, ale wielu sądziło, że dwie osoby nie będą w stanie poradzić sobie z obciążeniem pracą w warunkach bojowych. Ja osobiście zawsze byłem zdania, że potrzebny jest dobry nawigator i operator systemów uzbrojenia.

- Co robiłeś po zamknięciu programu?

- Pracuję u Boeinga. Wydawało się, że po traktacie z Sowietami przyszłość tkwi w lotnictwie cywilnym. A ty?

- Wciąż u Northropa. Jestem szefem podgrupy do spraw uzupełniania paliwa w locie.

- Cóż, przynajmniej umiemy oderwać tę maszynę od ziemi, uzupełnić paliwo w locie i znaleźć cel.

Wziąwszy do rąk grubą instrukcję dwaj piloci zaczęli przedzierać się przez wykaz czynności kontrolnych przed lotem. Kiedy byli gotowi, by zapuścić silniki, Schrantz zawahał się na chwilę.

- Zrzuciłeś kiedyś z tego bomby, Curtis?

- To nie była moja działka, Mike. A ty?

- Też nie.

Przez kilka chwilę gapili się na siebie.

- Szefem sekcji bombowej był Blake. Nie przemęczali się zbyt, a później zrezygnowano z tego programu. Zginął w wypadku samochodowym.

- Głowa do góry. Na pewno będzie o tym w instrukcji. W niej jest wszystko.

- Tak, racja. No więc, wyłącznik główny w pozycji dwa.

- Jest wyłącznik w pozycji dwa.

Fantastyczny bombowiec miał pięćdziesiąt dwa metry od jednej końcówki skrzydła do drugiej. Bramy, które na powrót wzniesiono po wprowadzeniu go do środka zwalono tak, by mógł wykołować na zewnątrz.

Hope zwiększył moc silników turbowentylatorowych *F118-GE-100* i potoczyli się gładko do przodu po saetrze podłoża pustyni w towarzystwie i otoczeniu flotyli wozów ubezpieczających. Aby wydostać bombowiec, musieli poprzestawiać niektóre z pozostałych eksponatów. *B-17* stał zepchnięty na *Lockheeda F-101*, jego skrzydło wpasowano w lukę między gondolą *Douglassa C-117*, a usterzeniem ogonowym *B-29*. Po odlocie *B-2* przestawienie tego wszystkiego na miejsce zabierze pracownikom dyżurnym trochę czasu.

Nowoczesny bombowiec strategiczny *Northrop B-2* wytoczył się z Muzeum Lotnictwa Pirna przez zdemontowane bramy i skierował się prosto na południe na Wilmot, pokonując cały dystans aż do zjazdu nr 269 z autostrady międzystanowej nr 10.

Autostrada była opustoszała, korki na wyjeździe nr 268 i 270 ciągnęły

się kilometrami. *B-2* miał do swojej dyspozycji całą obszerną jezdnię, gładką i szeroką jak pas startowy. Wielkie latające skrzydło mieniające się czernią i szarością węgla drzewnego zaczęło przyspieszać, a gorące spaliny sprawiały, że powietrze falowało.

Po kilometrze rozbiegu Hope podniósł przednie koło i po chwili wielki samolot wzbiał się w powietrze; jego unikalny, zygzakowaty cień nietoperza przesuwiał się w dole po ziemi.

Wspinał się równo i wkrótce zniknął z widoku, zostawiając jedynie lekką smugę, która roziała się w podmuchu bryzy.

◆ **Lotnisko wojskowe, Władywostok**

Kiedy Thrale wysiadł z *F-111*, Fusako czekała na niego.

- Udało się? - mruknął, stając blisko na rampie. Nieopodal parkowała limuzyna marki Honda.

- Tylko jeden - odparła. - Później dostaliśmy rozkaz wynurzenia się. Byliśmy na Bałtyku, czekał na nas statek. Zeszliśmy jedną burtą, a przez drugą weszła na pokład zwycięska załoga.

- Świetnie. A twój ojciec, minister handlu jest tutaj?

- Są tutaj wszyscy z otoczenia Komury. Ludzie odpowiedzialni za wojnę są z nim w starym stanowisku dowodzenia. Ci, których to nie dotyczy, mieszkają w dzielnicy portowej w hotelu, który zarekwirowali. Tam zatrzymał się mój ojciec.

- Idź po niego, dobrze? Spotkamy się tutaj, obok tego biało-czerwonego samolotu szkoleniowego.

- Dobrze. - Objęła go na moment. - Powodzenia.

- Och, mamy jeden pocisk i jeden bombowiec - odparł. - Jak moglibyśmy przegrać?

Podszedł do Hondy i kierowca zawiózł go do willi, którą zbudował Leonid Brujewicz, a gdzie teraz oczekiwali go Komura Tadaji i Cziang Szika-i. Dwaj starzy dyktatorzy siedzieli w krzesłach, które ustawiono w dolnym ogrodzie, tam, gdzie niegdyś przechadzali się oficerowie sztabowi Ogar-kowa. Ich sztabowcy stali za nimi w grupkach.

Ogród mienił się kwiatami i listowiem. Roztaczał się stamtąd przepiękny widok na morze. Wiekowy, chłodny i wyrachowany Komura siedział i patrzył zimno na Thrale'a, który szedł przez trawnik.

- A pan co tu robi? Powiedziano nam, że mamy oczekiwać sekretarza stanu.

- Oto jestem. Prezydent awansował mnie na to stanowisko. Jednak mam ograniczone umiejętności dyplomatyczne. Jestem bardziej żołnierzem, od pół wieku bronię mojego kraju w taki czy inny sposób.

- Więc dlaczego pan tu przyjechał, panie żołnierzu-sekretarzu?

- Aby położyć kres wojnie.

- Przyjechał pan, by się poddać?

- Nie, żeby coś zademonstrować.

Znad morza nadlatywał samolot. Leciał nisko, wyraźnie widoczny na wysokości nie większej niż tysiąc metrów. Pozbawiona ogona maszyna poruszała się cicho niby ogromny, czarny nietoperz.

Naraz syknęła się z niego śmierć. Na niebie wykwitło osiem białych spadochronów i olbrzymie bomby, które na nich wisały, opadły w szeregu na ziemię. Pierwsza spadła za murem, dwie następne w środku, ostatnia zaryła nosem w klombie kwiatów niecałe pięć metrów od nich i jej spadochron rozciągnął się na trawniku u ich stóp. Ze skrzynki, którą umocowano do jej podstawy pomiędzy statecznikami wystrzeliła amerykańska flaga i mały głośnik zaintonował: „StarSpangled Banner”.

Thrale stanął na baczność. Kiedy hymn się skończył, bombowca już nie było. Podeszedł, podniósł flagę i zatrzymał ją w dłoni.

- Bombowiec *B-2* - wyjaśnił stając z powrotem przed Komurą i Cziangiem Szikai. - Nie myślicie chyba panowie, że naprawdę zaufaliśmy Rosjanom nawet po Traktacie Pokojowym? Nie, do diabła! Zbudowaliśmy czterdzieści dziewięć takich bombowców i trzymaliśmy je w magazynach. Każdy może przenieść osiem opadających swobodnie lub sterowanych pocisków nuklearnych, każdy może zmienić Tokio lub Pekin w radioaktywny popiół. A co więcej, są niewidzialne dla radaru, dlatego nazywają się bombowcami *Stealth*. Jeśli zaś nie możecie ich wytropić, wasza broń plazmowa nic wam nie pomoże, bo bombowiec może latać i wracać i bombardować, aż po japońsku i po chińsku będzie się mówić tylko w piekle.

- Mamy do dyspozycji cały nuklearny arsenał Związku Radzieckiego - odezwał się Komura. - My także możemy zmienić wasz kraj w lawę.

- Ach... teraz rozmawiamy o nieuniknionej wzajemnej zagładzie. To bardzo dalekie od bezwarunkowej kapitulacji. Ale proszę poczekać chwilę, czy wspomniał pan, że ma pan do dyspozycji cały arsenał nuklearny ZSRR?

Thrale zerknął na zegarek.

- Proszę spojrzeć w stronę morza.

Kilometr dalej pełzało morze, szare i zimne ciągnęło się do samego horyzontu. Minęła minuta i zza ich pleców zaczęło dochodzić bzyczenie przyciszonej rozmowy dwóch sztabowców. Potem na morzu w doskonałej ciszy wzniósł się olbrzymi słup wody i oderwał od powierzchni wody. Kilka sekund później rozległ się gigantyczny ryk, gdy przelatując nad willą pocisk targnął i potrząsnął drzwiami i oknami, a podmuch powietrza chłostał ich po twarzach.

Gdy opadająca szara woda zmieniła w rozlewającą się, syczącą pianę, Thrale odezwał się ponownie.

- Naiwni idioci - rzekł z pogardą. - Czy myśleliście, że tylko wy wpadliście na pomysł wprowadzenia bomby logicznej do mikroobwodów nieprzyjaciela? My zrobiliśmy to samo Rosjanom. Ten pocisk balistyczny wystrzelono z okrętu podwodnego „Newski”. Na nasz rozkaz. Połowa pocisków balistycznych zainfekowana jest bombą logiczną. Naszą bombą.

Zwrócił się do Komury i Czianga Szikai.

- Wojna dobiegła końca - oznajmił. - Mamy bombowce B-2 i pięć taktycznych okrętów podwodnych z nowymi podzespołami. Wy macie garstkę pocisków, które, jeśli odpalicie, mogą z powodzeniem strzelić wam w twarz lub wylądować na waszym podwórku. Wojna się skończyła. To jest pat. Jeśli idzie o Związek Radziecki, macie to, po co tu przyszlście. Japończycy dostaną surowce, a Chiny usunęły od siebie zagrożenie. Nie jest to gra, z której wyszło się na zero.

Thrale odwrócił się i odszedł. W połowie ogrodu rzucił im jeszcze ostatnie spojrzenie.

- Wojna dobiegła końca - powtórzył. - Wracajmy wszyscy do domów. Byłoby lepiej, gdybyśmy w ogóle ich nie opuszczali.

Kiedy Thrale zniknął, Cziang Szikai podniósł się powoli.

- Jankes ma rację - zawyrokował. - Obydwoj mamy to, czego chcieliśmy. Ja pozbyłem się wrogów i mogę rządzić moim krajem, aż do śmierci. Pozbyłem się kilku milionów nadwyżkowej populacji i nie muszę martwić się Związkiem Radzieckim. Zapamiętają mnie na zawsze. Ty także masz wszystko, czego chciałeś. Twój kraj otrzyma surowce, by produkować telewizory i inne bawidełka tak długo, jak długo Ziemia będzie się kręcić. Wojna się skończyła.

Oczy Komury płonęły wściekłością. Szikai spojrział na niego z obrzydzeniem. Przywódca tych karłów zza morza jest szalony, już dawno o tym wiedział.

- Nie dostałem tego, po co tu przybyłem - wycedził Komura.

Szikai odwrócił się i przygotował do odejścia.

- Wojna skończona - powtórzył. - Wygraliśmy.

- Amerykanie nie przegrali.

Kiedy Thrale wrócił, Fusako stała przy skrzydle wojskowego samolotu szkoleniowego *Jakowlew* wraz ze swoim ojcem. Odziedziczyła urodę po matce, pomyślał Thrale - Saito wygląda jak żaba.

Dwaj mężczyźni skłonili się lekko - etykieta wyświechtana przez wydarzenia.

- Wojna może wygasnąć - zaczął Thrale. - Ale nie nastąpi to, dopóki żyje Komura. Czy chcesz, żeby się wreszcie skończyła?

Feliks Chochłow zszedł po betonowych płytach rampy i mijając nieruchome myśliwce i transportowce zwyciężonego imperium zmierzał w ich kierunku. Thrale skinął mu głową, a Chochłow wspiął się na skrzydło *Jakowlewa* i wsunął do kabiny.

- Tak - odrzekł Saito. - Nie chciałem tej wojny, ale nie mogłem sprzeciwić się Komurze... dlatego pozwoliłem mojej córce przekazywać CIA informacje. Myślałem, że to zadziała, ale tak się nie stało. Za mało i za późno... bałem się.

- W porządku - odparł Thrale. Śmigło samolotu szkolnego Sił Powietrznych zakręciło się i gdy silnik gwiazdowy zaskoczył, z dysz silników trysnął niebieski dym.

- Wsiadaj - rzucił.

◆ Hotel „Taczanka”, Władywostok

Zasiedlili dookoła długiego stołu, przy którym zastępy Rosjan skubały niegdyś *wobla*, żarły *zakuski*, łykały wódkę i żłopały szampana. Nad nimi zamykał się kasetonowy sufit i malowane sklepienia, a wokół wyrastał las stalinowskich filarów. Tych dwudziestu ludzi, na ogół starych, odkryło, że serce japońskiego systemu władzy jest puste, przeniknęło do jego środka i założyło tam swoją siedzibę. Dwie kobiety-samuraje, *kaishaku*, warowały po obydwu stronach wysokich drzwi.

- Bardzo dobrze - przerwał ciszę Komura. - Wszyscy byliśmy świadkami tego pokazu. Teraz musimy podjąć decyzję, czy zapuścić się dalej i ryzykować wybuch wojny nuklearnej, czy obwieścić koniec i zadowolić się tym, co uzyskaliśmy.

Dla wszystkich zainteresowanych nadszedł delikatny moment, kiedy to nie należy określać jednoznacznie swojego stanowiska, a jednocześnie wy badać grunt przed wykonaniem ruchu. W chwili, gdy człowiek był pewien, w którą stronę płynie prąd, wszystko stawało się proste. Jeśli próbowało się płynąć pod prąd, szło się na dno jak kamień.

- To trudna decyzja - wyszeptał jakiś głos i rozległ się pomruk zgody. W istocie była trudna: nikt nie chciał pójść na dno.

Na samym końcu stołu podniósł się bardzo stary, pomarszczony człowiek. Czaszkę miał łysą, a skórę woskową i przejrzystą. Był tak chudy, że ubranie wisiało mu na kościach.

- Wcale nie - oświadczył. - Znacie mnie. Jestem Yonai. Byłem generałem w Armii Cesarskiej i mam większe wojenne doświadczenie niż inni. Ta decyzja nie jest trudna. Nasz początkowy plan był błyskotliwy, wart samego generała Togo i zgodny z wszystkimi cnotami samurajów rasy Yamato. O mały włos zakończyłby się całkowitym zwycięstwem.

Powiódł wzrokiem dookoła stołu, zaglądając każdemu w twarz, młodym i starym.

- O mały włos. Lecz jeśli Amerykanie mają choć jeden pocisk *MX*, lub bombowiec *B-2* albo też pocisk *Trident*, to kiedy my będziemy pustoszyć ich kraj za pomocą rosyjskiego arsenału, oni zniszczą z pół tuzina naszych największych miast. Posiadając kilka bombowców lub garstkę okrętów

podwodnych, jak nas zapewnił pan Thrale, mogą sprawić, że japońskiego używać się będzie jedynie w piekle. Oparł się na kościstej dłoni i potrząsnął głową.

- To nie jest trudna decyzja. Nie ma żadnej decyzji. Wyszliśmy z tej wojny unosząc bogactwa ponad wszelkie wyobrażenie. Możemy czerpać z rogu obfitości surowców, co oznacza, że nie będziemy musieli nic importować. I tak będziemy na pierwszym miejscu. *Hakko icziu!*

Bliżej środka stołu siedział podpułkownik Nozaka. Miał na sobie biały skafander lotniczy z ozdobną chryzantemą, a za pas wciśnięte dwa samurajskie miecze. Wstał i skłonił się w stronę Yonai, zanim doń przemówił.

- Generał Yonai jest bardzo elokwentny. Ja zaś jestem zwykłym żołnierzem, słabym w sztuce słowa. Raczej nie ufam ludziom elokwentnych... dla mnie elokwencja jest oznaką nieszczerości. Posiadam jednak czyste *yamatogokoro*, duszę i ducha Yamato, które pomagają mi odróżnić prawdę od błędu. To, co zaleca generał Yonai jest błędem. Jakie to ma znaczenie, że spali się kilka japońskich miast? Czyż mieszkańcy Tokio nie czekają, aż *sum* się poruszy i wszystko zniszczy? Czy ci, co przyjdą potem, nie odbudują miasta z ruin, tak jak to było w przeszłości? Czy nie warto poświęcić kilku ludzkich istnień, aby zadać nieprzyjacielowi klęskę totalną i na zawsze? Trzeba odpalić pociski! Spuścić na nich deszcz śmierci!

Nozaka pochwycił długą, żebrowaną rękojeść swojej *katany* i wysunąwszy się ze świstem z zakrzywionej pochwy ogromny miecz zabłysnął w świetle. Odstąpił od swojego krzesła i ludzie między nim, a Yonai rozpierzchli się jak kuropatwy. Nozaka kopniakiem odrzucił krzesło i jednym susem znalazł się przy starym. Yonai patrzył na niego chłodno, nie poruszywszy się nawet.

- Jesteś głupcem - zganiał go pewnym głosem.

Odgłos ostrza uderzającego w cel i sapnięcie młodego żołnierza stopiły się w jedno. Na stół trysnęła krew. Nozaka chwycił serwetę i wytarł o nią ostrze, zanim schował je na powrót do pochwy.

- Żył zbyt długo - skwitował. - Błąd wślizgnął się w jego duszę.

- Zatem postanowiliśmy - podsumował Komura. - Kontynuujemy wojnę. Ale nie z tego miejsca. Tutaj dowodzi Chińczyk Szikai. Podobnie jak Yonai stracił on całą pewność siebie i silną wolę. Jest stary i nie pragnie,

by wojna toczyła się dalej. Jest następny w kolejce. Naszym przeznaczeniem jest władanie światem.

Powstał i pozostali poszli za jego przykładem.

- Kioto leży niedaleko. Wróćmy tam i stamtąd rozegramy ostatni akt tej wojny. *Hakko icziu!*

- *Hakko icziu!*

7.

Reisen

♦ Lotnisko Misaki, Honsiu

Biały *Jak-18* przeszybował nad zielonym dnem doliny i ucałował trawę. Gdy maszyna wytrącała prędkość, Chochłow przyciągnął wolant i utrzymując nos samolotu wysoko w górze nie pozwolił, by zarył w ziemię. Dodał lekko gazu, żeby usprawnić działanie steru wysokości i kiedy nos opadł w dół, toczyli się już w spacerowym tempie. Chochłow pokołował do hangaru, który wskazał Thrale i zdusił ciąg. Wyskoczyli na słodkie, świeże powietrze. Lotnisko świeciło pustką.

- Prześliczne lądowanie - pochwalił Thrale. - Jesteś tego typu pilotem, z którym lubię latać. Umiałbyś latać na każdej maszynie.

- Wszystko to samoloty - zgodził się Chochłow.

- Byłeś w Afganistanie, prawda? Działałeś kiedyś jako WZP? Byłbyś do tego odpowiedni.

- Wysunięty Zwiad Powietrzny? - odparł Rosjanin powoli. - Tak, walczyłem w Afganistanie. Trzy okresy służby. Jedna na szturmowych, dwie w WZP.

- Naprawdę mam dzisiaj szczęśliwy dzień - zawołał Thrale wesoło. Podeszedł do hangaru. - Masz jakiś łom, Feliks? Otwórzmy te drzwi.

Rosjanin wyłamał zamek i złożyli harmonijkowe drzwi - Saito pomagał Chochłowowi, a Fusako Thrale'owi, Słońce rozlało się po wnętrzu hangaru i odstąpiło zielony myśliwiec z krwawoczerwonymi oznaczeniami. Thrale przykucnął pod skrzydłem i przysunął nos do kranów zlewowych zbiorników.

- Ten jest całkiem niezły. Nazywali ten typ *Reisen*, nasza nazwa brzmiała myśliwiec *Zero*. Ten tutaj to model *5B*, który skonstruowano na

początku 1944 roku. Takashi mówił mi, że lata na pokazach lotniczych. Został całkowicie przebudowany, i teraz to niemal nowy samolot. No dobrze, wyjaśnię wam teraz, co zamierzam zrobić.

Wysunął się spod skrzydła i wszyscy stanęli wokół niego.

- Komura i jego banda polecili do Władywostoku swoim *Boeingiem* 747. Ich eskorta składa się z eskadry *F-15*. Kiedy są w powietrzu, nie ma żadnych szans na przebicie się przez taką osłonę. Prawie żadnych. Otóż, pod koniec lotu, gdy 747 wychodzi na prostą podczas lądowania, pojawia się pewna możliwość. Ale tylko pod warunkiem, że czeka się w odpowiednim punkcie, zlewa z konturami terenu i roślinnością, a w ostatniej chwili podrywa się, wali prosto na 747, i prawie wbijając się nosem w jego kabinę opróżnia w nią magazynek działek. Umiejętność tak zrobić. Niegdyś tak robiłem. Ale do tego konkretnego zadania potrzebuje WZP. Kogoś nade mną, kto naprowadzi mnie na właściwą pozycję.

Thrale zerknął na Chochłowa.

- Będę potrzebował twojej pomocy. I twojej. - Palcem pokazał na Fusako. - Polecisz z Feliksem. Będziesz słuchała radia i tłumaczyła dla niego.

- Dobrze - przytaknęła Fusako.

Japoński minister handlu Saito stał cicho obok starego myśliwca.

- A co ze mną, panie Thrale? Będzie mnie pan potrzebował?

- Owszem. Gdy zestrzelę 747, dam stamtąd nogę. Pan będzie razem z Fusako i Feliksem. Polecą pan z nimi do Tokio. Tam będzie czekał na pana samochód, który zabierze pana do gabinetu premiera. W chwili, gdy tam pan dotrze na biurku zadzwoni telefon. Będzie to prezydent Barnet. Pan, on, Cziang Szikai i Janow udacie się na konferencję pokojową. Niech pan zrobi tak, jak w 1814 roku - kupi sto lat pokoju i obsadzi rząd ludźmi takimi jak pan.

Thrale mrugnął do Fusako.

- Nepotyzm nie jest karany, prawda? Proszę mianować Fusako ministrem odbudowy. Chciałaby zaprowadzić w Japonii demokrację konstytucyjną.

- Jak jej babka - zauważył Saito. - Nikomu się to jeszcze nie udało.

Wyprowadzili *Zero* na słońce i podczas, gdy Thrale robił przegląd układów sterowania, Fusako siedziała w *Jaku* i czekała, aż odezwie się radiostacja. Kiedy Thrale skończył, podszedł do niej i oparł się o krawędź kabiny. Wstrząsnął nim nagły dreszcz. Objął się ramionami, jak gdyby poczuł nagły chłód.

Fusako wysunęła rękę w geście pocieszenia.

- Jesteś tu? Czy to te duchy... zmarli?

- Dookoła mnie - wymamrotał. - Bataliony zmarłych... przywołują mnie.

Radio zatrzeszczało.

- Leci! - zawołała Fusako pospiesznie. - Komura już tu jest.

Powietrze było rzeńskie. Poprzedniej nocy silna burza spłukała z nieba mgłę i dym. Na pułapie dwóch i pół tysiąca metrów Chochłow miał widoczność ponad czterdzieści pięć kilometrów. Szczęśliwie się składało, gdyż w takich warunkach atmosferycznych mógł wyśledzić nadlatujące odrzutowce i naprowadzić Thrale'a na cel. Z drugiej strony piloci odrzutowców mieli także widoczność ponad czterdziestu pięciu kilometrów. Thrale czułby się bezpieczniej w zwykłym, przymglonym półmroku, jak ryba, która śmiga w zamulonych wodach.

Słuchawki Chochłowa śpiewały w dziwnym języku. Przypominało mu to gdaczące kury na prywatnej działce jego dziadka w Rybińsku. Fusako nadusiła przycisk interkomu i zaczęła tłumaczyć. Chochłow skorzystał z drugiej radiostacji, by porozumieć się z Thrale'em.

- Niebieski Dwa, tu Niebieski Jeden. Aktywny pas w bazie lotnictwa zero dziewięć. Nadchodzą z północy, oczekiwane podejście z lewym bocznym wiatrem. Lecę pokrzyżać na południe. Nabieram wysokości. Mam cię w polu widzenia. Kurs trzy dwa zero. Prędkość dwa siedem zero.

- Kurs trzy dwa zero, prędkość dwa siedem zero - potwierdził Thrale.

W dole malutki zielony samolot skończył zawijać ósemki ponad bujnym, wiejskim krajobrazem i zaczął pełzać w cieniu białego samolotu szkoleniowego.

Thrale leciał nisko nad drzewami i polami. *Zero A6M5b* słuchał sterów

niczym nowiułki samolot. Nie mylił się, kiedy przypuszczał, że został on całkowicie przebudowany. Zamontowany z przodu, czterestacylindrowy silnik gwiazdowy *Nakajima* ryczał na pełnych obrotach, ciśnienie oleju było wysokie, a temperatura utrzymywała się na zielonym polu wskaźnika. Drażki chodziły lekko i precyzyjnie. Mały samolot miał zwrotność, która niegdyś czyniła z niego najgroźniejszy myśliwiec świata. Reagując na załamania terenu dłoń Thrale'a ślizgała się czule po drążku sterowym.

- Niebieski Dwa, przed tobą linia wysokiego napięcia.

Thrale widział tę przyczynę owdowienia wielu żon pilotów - kable masherujące w poprzek pól od jednej stalowej wieży do drugiej. Samych wież trzeba unikać jak ognia. Często wystawały z nich długie ścięgna, niewidoczne, dopóki się człowiek na nie nie nadział, a wtedy było już za późno.

Thrale celował w sam środek łuku, w miejsce, gdzie kable zwisały najniżej nad ziemią. Pole zielonych igiełek falowało pod skrzydłami i przelot samolotu ubijał pianę z pól ryżowych. Skupił wzrok na kanale irygacyjnym w oddali. Jeśli pilot zapatrzył się na przewody, nieuchronnie na nie wlatywał. Wąskie cienie przemknęły po kokpicie i Thrale łagodnie podniósł *Zero* na dwadzieścia pięć metrów i wrócił na kurs.

W kabinie *Jaka* Chochłów uwijał się jak w ukropie. Prowadził samolot seriami łagodnych zakrętów, które zerowały się tak, że maszyna utrzymywała stały kurs, przeskakiwał z pułapu na pułap, a głowa obracała się mu dookoła, oczy przepatrywały niebo i ziemię. Po dwóch latach w roli Wysuniętego Zwiadowcy Powietrznego w Afganistanie wykonywał te wszystkie czynności automatycznie. W wojnach takich jak tamta atak z powietrza nigdy nie odbywał się bez powietrznego zwiadowcy. To on wynajdował partyzantów, często krążąc na oślep, aż zaczęli do niego strzelać, znańczył ich pozycje białymi rakietami fosforowymi, naprowadzał samoloty szturmowe, dawał rozkaz zrzutu bomb, wracał, by ocenić szkody i naprowadzał myśliwce ponownie w inne miejsce, koordynował działania z pieprzonym pułkownikiem w śmigłowcu dowodzenia, utrzymywał łączność z śmigłowcami szturmowymi, które ciągnęły z południa, i z tymi, które wiozły żołnierzy Specnazu ze wschodu. Kierował wszystkich tam, gdzie powinni się znajdować, kierował działaniami bojowymi jak dyrygent orkiestrą. Dla

ludzi na ziemi był zwiastunem śmierci. Starali się jak mogli go zestrzelić, a gdy im się to udało, i gdy lądował wśród nich na swoim nylonowym spadochronie, z niewysłowioną radością siekali jego genitalia i rozciągali go na kółkach, by zedrzyć z niego skórę.

Chochłow dobrze wiedział, że są tylko dwa rodzaje pilotów: szybcy i nieżywi, dlatego głowa nie przestawała się mu obracać, a oczy śledziły nieprzerwanie niebo i ziemię w dole.

Ponad ciemną i jasną zielenią traw, żółcią pól i żywym srebrem strumieni i rzek sunął biało-czerwony samolot. Ukazał się nagle, jak ryba, która przepływa z przybrzeżnych wodorostów na czyste wody. Chochłow zaklął.

- Niebieski Dwa, niezidentyfikowany nieprzyjaciel na twojej piątej godzinie, pułap około trzydzieści metrów.

Chochłow szybko zorientował się, co się stało.

- Wygląda na T-38.

Był to wojskowy samolot szkoleniowy, który wykonywał lot na niskiej wysokości po wyznaczonej trasie, która poprowadziła go nad dnem doliny, gdzie pozostawał niewidoczny dla oka.

- Niebieski Dwa. Idzie twoim kursem, chyba cię dostrzegł.

Thrale zerknął przez ramię. Wspinając się w górę T-38 zdobywał przewagę wysokości nad *Zerem*, który śmigał tuż nad sama ziemią.

- Ćwicz sobie podejście do ataku - mruknął Thrale do Chochłowa. - Zawiadomi bazę, że tutaj jestem.

Jakiś kilometr z przodu chuda, strzelista metalowa tyczka wznosiła się w górę - wysoki na trzysta metrów maszt radiowy.

Thrale gwałtownie poderwał *Zero* i zaczął piąć się stromo ku słońcu. Na moment pilot T-38 dał się zaskoczyć i niemal zgubił *Zero*. Thrale zakręcił się w autorotacyjnej beczie w drugiej części pionowej świecy, i młody pilot, niczym zapalony tancerz, który usłyszał pierwsze takty „Blue Suede Shoes” przechylił się na skrzydło i wskoczył w lukę za ogonem Thrale'a, żeby popsuć mu szyki. Ale do tego czasu Thrale był już gdzie indziej. Wykorzystując większą zwrotność *Zero*, z półbeczki popędził pionowo z powrotem w stronę ziemi. Rozradowany pilot T-38 pognął jego śladem, jak dziecko zadowolone, że znalazło towarzysza do zabawy.

Thrale śmigał doliną, wierzchołki sosen migały nad jego głową, a rybacy podrywali wzrok w popłochu i wściekłości. Kiedy wzgórze pozostawił za sobą, jego oczom ukazało się rozległe pastwisko i stado krów. Wyrwał w górę w ostrym zakręcie w prawo i przez dwie sekundy leciał prosto i równo, a słońce zalewało kabinę. Potem ostro zawrócił w lewo i przeciążenie urosło do granic wytrzymałości. Poszarzało mu przed oczami, cienie chłostały osłonę kabiny.

Po chwili leciał znów w ciszy stałym kursem. Spojrzał do tyłu i dostrzegł kulę ognia, która eksplodowała pomiędzy drzewami. W powietrze uleciał strumyczek dymu i wysoka tyczka wieży radiowej zaczęła się powoli przewracać, giąć i łamać w snopie iskier, które strzelały ku niebu.

- Niebieski Dwa, wszystko w porządku?

- Uhm. - Thrale oddychał ciężko z wysiłku, pot spływał mu po skroniach. - Wszystko w porządku. Już po nim.

- Dobrze. Duży Bandyta w odległości czterdziestu kilometrów. Musimy się pospieszyć. Za trzy kilometry natrafisz na wylot doliny. W tym miejscu podleć do góry. Znajdziesz się pięć kilometrów od progu dziewięć zero. Będziesz na peryferiach Kioto.

- Odebrałem. Trzy trzy pięć i trzy kilometry.

Z kabiny *Jaka* widzieli, jak mały zielony myśliwiec leci przez moment prosto jak strzała, a po chwili zaczyna się kołysać.

- Ma go - szepnęła Saito, która siedziała z tyłu kabiny.

W oddali wyraźnie było widać szachownicę Kioto, a dalej białe krzyże pasów startowych na lotnisku w bazie sił powietrznych. Na horyzoncie majaczyła biała cętka i wirujące dokoła niej pyłki kurzu.

Pstrokata roślinność mignęła pod kabiną. Leciał teraz w dół zbocza, podążając za połyskującym strumieniem, który pędził w kierunku jeziora.

- Niebieski Dwa. Między wlotem doliny i progiem dziewięć zero nie miałbyś żadnej osłony. Na pewno by cię zobaczyli, kiedy nadlatywałbyś ponad polami. Kiedy wylecisz z doliny, będziesz miał przed sobą miasto. Leć dwa dziewięć zero i odnajdź park miejski.

- Dwa dziewięć zero i park - potwierdził Thrale.

- Od parku odchodzi duża ulica, na kursie dwa siedem zero, na zachód. Mnóstwo budynków. Wtopisz się w zgiełk uliczny.

- Duża ulica. Na zachód.

Mając przed oczami miasto Thrale prześlizgnął się ponad polami, po czym poderwał samolot nad dachy domów. Trawniki parku zamajaczyły w przodzie.

- Park pół kilometra.

- Mam go.

Mijając świątynię, Thrale położył *Zero* w zakręt. Kątem oka dostrzegł uciekających w dole ludzi. Bulwar wyrósł dokładnie na wprost i Thrale zanurkował w ten tunel z betonu i szkła. Zaklął, gdy myśliwiec wpadł w turbulencje powietrza wokół budynków, które opasywały ulice. Głowa majtała się mu na boki, kiedy próbował utrzymać maszynę w poziomie. Przed nosem samolotu widział falę pierzchających w popłochu ludzi i roztrzaskujące się samochody. Rzeka rozbłęysła w dole. Park znajdował się po lewej, a pałac po prawej stronie. Drapacz chmur, plakaty, ciężarówka i samochody, kolej elektryczna, twarze niczym plamki farby.

- Niebieski Dwa. Pół kilometra - poleciał Chochłow. - Próg prosto przed tobą, odległość dwa i pół kilometra.

Budynki zostawił z tyłu i ponownie pędził nad polami. Na dziesiątej godzinie, wielki samolot pasażerski schodził do lądowania, biały i błyszczący w słońcu. Z piersi Thrale'a wyrwał się wilczy skowyt. *F-15* leciały wokół 747. Pięćdziesiąt lat wcześniej cel rozbłęysałby na siatce celownika, a broń pokładowa byłaby gotowa do strzału. Stary myśliwiec, który prowadził, był jednak zabytkiem muzealnym, zdolnym jedynie do latania na pokazach lotniczych.

- Mają cię!

- Spóźnili się!

Przesunął manetkę gazu do oporu i z rykiem silnika gwiazdowego *Zero* pognało z prędkością pięciuset trzydziestu kilometrów na godzinę nad ziemią. Na polu poderwały się nagle grudki błota i Thrale zaczął robić uniki to w prawo, to w lewo. Od strony lotniska tryskały czerwono-zielone smugaczki, lecąc z początku leniwie, później przemykały ze świstem koło kabiny. Myśliwce pospiesznie chowały podwozia i klapy niczym grupka pań zaskoczona w kąpeli - ogień buchał z dysz wylotowych, gdy próbowały nabrać prędkości, potrzebnej, by uzyskać skuteczność w walce. Chowając

podwozie 747 położył się w zakręt i z uniesionym nosem szedł w górę na pełnej mocy. Widziany z boku był duży i powolny niczym sterowiec.

Coś uderzyło w *Zero*. Połowa tablicy przyrządów wyskoczyła ze swojego miejsca i grzmotnęła Thrale'a w twarz, odrzucając mu głowę w tył. Wrzący płyn strzyknął z rozprutego przewodu. Smugacze migwały po obu stronach kabiny, pociski darty poszycie. Thrale desperacko manewrował sterami i lotkami. Iskry sypały się ze zniszczonej tablicy przyrządów, a kabina cuchnęła ozonem i gumą arabską. W osłonie pojawiła się nagle dziura i powietrze wdarło się do środka. Thrale skulił się i pochylił do przodu, jak człowiek, który jedzie samochodem w rżęsiły deszcz. Wargi miał mocno odciągnięte ponad zęby, grymas śmierci bielił twarz nabiegłą krwią. Włosy stały mu dęba. Samolot pasażerski wypełnił cały wiatrochron. Thrale dostrzegł kobietę w jaskrawej czerwieni, która wlepiła w niego wzrok. Coś ciężkiego jak łom grzmotnęło w myśliwiec. Poczul ohydny woń topionego metalu i w tej samej chwili kabina zmieniła się w kocioł ognia.

Zdarzyło się to bardzo powoli. Trzyplanetowe śmigło obracało się z przodu, płomienie, które huczały w kabynie kołysały się leniwie niczym ogniki świec. Ogromne skrzydło 747 parło w stronę Thrale'a w zwolnionym tempie. Dokonał małych poprawek w ułożeniu steru wysokości i lotek, żeby nie zaczepić o nie końcówką skrzydła. Myśliwiec musiał koniecznie dolecieć do samego celu.

Nie słyszał teraz żadnych strzałów - był zbyt blisko. Widział jak łopaty turbin wirują w gondolach pod białym skrzydłem 747 i dostrzegł siedzącą w fotelu kobietę z czerwoną kokardą. Jej włosy spłynęły do przodu jak błyszczący czarny wodospad. Bataliony umarłych stanęły wokół niego. Ich twarze wyrażały aprobatę.

W oddali olbrzymi słup dymu skałał czyste powietrze. Mały, biały samolot, który leciał na wschód, był jedynym punktem na niebie.

KONIEC